





Salomea Słowacka
z domu Januszevska.

NOWA BIBLIOTEKA
PISARZY POLSKICH.

TOM XXIII.

447.

LISTY
WSZYSTKIE ZEBRANE
JULIUSZA SŁOWACKIEGO

WYDANIE

W SETNĄ ROCZNICĘ NARODZIN POETY

ILLUSTROWANE

ZEBRAŁ

Ks. KAMIL JULIUSZ KANTAK.

TOM IX.

Ks. Dr. ANTONI MARCHEWKA

MIKOŁÓW-WARSZAWA.
NAKŁADEM KAROLA MIARKI.
1909.



63905

884 (084)

ZBIORY ŚLĄSKIE

Akc R Nr 881/43/5

LISTY DO MATKI
I TEOFILOSTWA JANUSZEWSKICH.

Warszawa, dnia 15 września 1830.

Kochana mamó! Miałem pisać do was w przeszłą niedzielę, ale odebrany list z Krzemieńca, w którym Teofil wypytuje się o okolicznościach, potrzebnych do naprawy języka, skłonił mię, iż zatrzymałem się trzy dni z listem, żeby mu coś pewniejszego donieść, ale napróżno. Kaczkowski dopiero jutro będzie miał o tem pewną wiadomość; na przyszłą więc pocztę odkładam list pana Pawła Jarkowskiego o intrologatorze, i list do Teofila o sztuce wymowy, podług prawideł Lahnsena. Dzięki, tysiąc razy dzięki kochanym Państwu za list ostatni, gdzie tyle osób pismo spostrzegłem, tyle miłych, przychylnych a nawet pochlebnych dla mnie wyrazów wyczytałem. Chciałbym wszystkim poosobno wyrazić przyjemność i wdzięczność, jaką dla wszystkich przejęty jestem. Kochana mamó, ucałuj ode mnie po tysiąc razy rączki kochanej pani Michalskiej i powiedz, że już teraz zazdrosnem okiem nie patrzyłbym na Mniszeczkę, bo wczoraj jedna nieznajoma dama, wszystkie Mniszeczki wyrugowała mi z głowy...

W tych dniach bardzo wiele miałem chwil nadzwyczaj przyjemnych. Pamiętasz, kochana mamó, że dzień 23 sierpnia, jest dzień moich urodzin; wymówiłem się z tem przed jednym z moich znajomych i zdziwiłem się bardzo, kiedy mnie w ten dzień zaprosił na wieczór kawalerski; nie spodziewałem się, żeby kto w Warszawie myślał o moich urodzinach, przyjemnie mi więc było, gdy młodzież zebrana przepijała do mnie szampa-nem. Staruszek jeden po polsku ubrany siedział u końca stoła, zdawało mi się, że kochany dziadunio był na jego miejscu. Winogrona, kawony, melony Wołyń mi przypominały, i jeszcze bardziej dopomagały iluzyi.

W kilka dni potem, jednego poranku przyjechał do mnie Potocki, prosząc, żebym z nim jechał do Ursynowa, małej wioseczki Niemcewicz; muszę więc mamie opisać obszernie tę wizytę. Ursynów leży o małą milę od Warszawy za Mokotowem; śliczny był ranek, trochę zimny, mgła lekka jesienna pokrywała rozległe i piaszczyste równiny Mazowsza. Myśl, że jadę do starego poety, który wiek Stanisława Augusta z naszym wiekiem łączy, zajmowała mnie bardzo; nadto, niepewny byłem, jakie mnie tam spotka przyjęcie, bo Niemcewicz, przez kobiety poputy, bardzo się zrobił kapryśnym; nareszcie stanęliśmy u celu podróży. Pojazd nasz zatrzymał się w alei, w której z daleka widać już było dom poety; nie kazaliśmy jechać dalej, bo Niemcewicz stał przed gankiem. Podobnie więc jak Lubańska do Częstochowy, zbliżaliśmy się pieszo z sercem skruszonym; przywitał nas dosyć obojętnie, ułożyłem mu jakiś na prędce komplement, którego przyjął z uśmiechem; zaczął rozmowę o Wilnie rąbiącym tonem Jana Śniadeckiego. O źle! pomyślałem sobie, na toż przyjechałem tutaj, żebym mu potakiwał; szczęściem, że rozmowa ta prędko się skończyła. „Panie Hrabio“ rzekł do Potockiego, wszak znasz mój Ursynów, oprowadź pana Słowackiego po piękniejszych miejscach, ja się muszę tymczasem przebrać. To mówiąc, ukłonił się nam i wszedł do domu, a my poszliśmy chodząc po ogrodzie.

Śliczny starego Ursynów, zarosły wielkimi drzewami, bardziej do dzikiego lasu, niż do ogrodu podobny; w wielu miejscach małe widać łąki, na których wybiera paszę jedyna krowa Niemcewicza; z tej krowy, jak mi sam mówił, ma dwa złote na tydzień przychodu. Przybyliśmy wkrótce do małej altanki z kory, na której wszyscy podróżni piszą wierszyki na pochwałę Niemcewicza; żadnego jednak napisu nie widać, bo je staruszek zdzierać kazał przez

skroinnosć. Usiadłem w altanie. Potocki stał nade mną, a widząc, że jestem nadzwyczaj smutny i blady, spytał mnie o przyczyne. „Myślę, odpowiedziałem mu, iż szczęśliwy, kto może tak pisać jak Niemcewicz słodko i przyjemnie, bez trawienia się własnym ogniem; szczęśliwy odpocznie na starość w tak cichym domku, wtenczas, gdy na grobach młodszych od niego ludzi trawa porastać będzie.“

Wtem lokaj przysłany od starego, zaprosił nas na śniadanie; właśnie trzeba było śniadania, żeby przezwyciężyć bieg marzeń. Usiedliśmy po obu bokach Niemcewicza i podano herbatę z pasztetem na zimno; wymówiliśmy się od jedzenia i przestaliśmy na samej tylko rozmowie. Przy nogach Niemcewicza siedziały małe dziewczynki: są to córki jego kamerdynera, którym często pozwala swawolić ze sobą: jedna z nich przy gościach kilka razy mu mówiła: „Pan jesteś tak głupi jak ja.“ A stary z uśmiechem przyjmował ten grzeczny komplement. Przy śniadaniu Potocki zaczął mnie prosić, żebym co przeczytał Niemcewiczowi. Staruszek oświadczył mi także chęć słyszenia mych robót, chociaż wprawdzie dość obojętnie; kazał zdjąć herbatę, kazał się jednej dziewczynce w twarz pocałować, a zapytana od niego „kto jesteś?“ odpowiedziała: „żona panowa.“ Potem kazał im odejść i cicho się sprawować. Opatrzyłem się na przypadek w trzeci akt tragedii „Mindowe“; na wezwanie powtórzone staruszką czytać zacząłem. Niemcewicz słuchał z początku, siedząc bokiem odwrócony; gdy przyszło do drugiej sceny, w której Mindowe zrywa z krzyżakami, obrócił się nagle, czoło jego pomarszczyło się, widać było znacznie natężoną uwagę; patrzył mi w oczy, jakby chciał mnie całego przeniknąć; a oczy ma szare, przenikliwe i z wielkimi najeżonymi brwiami, jak oczy Jana Śniadeckiego; przy końcu drugiej sceny wykrzyknął głośno: „Ach czemuż tej tragedii grać nie można!“ Ten wykrzyknik bardziej mnie pochlebił, niż wszystkie po-

tem dawane pochwały. Czytałem dalej, słuchał cierpliwie; kiedy skończyłem, powiedział: „Ciesz się, iż przed śmiercią widzę, że jeszcze zostanie w Polsce poeta, co ma tak wielki talent, i duch obywatelski utrzyma“; potem dodał: „Przepisz pan tę tragedję na kilka rąk; warto, niech czeka szczęśliwszych czasów, chciałbym ją całą czytać.“ Odtąd stary przypatrywał mi się z uwagą, a przy pożegnaniu powiedział mi jeszcze: „Cieszę się, iż poznałem tak zacnego młodzieńca.“ Prawda, jak to po staropolsku? Otóż cała wizyta; nie gniewaj się, kochana mamó, że ją tak obszernie opisywałem. Tego dnia, przyjechawszy do domu, zastałem przyjemny list Olesi; tegoż dnia odebrałem wiadomość o śmierci Hrehorowicza, który na rozszerzenie serca na Litwie zakończył życie; dziwny to był dzień dla mnie.

Mieszka teraz ze mną przybyły z zagranicy Januszkiewicz, ten sam, którego mama zaraz po przyjeździe do Karlsbadu na ulicy spotkała, a z miny poznawszy, że Polak, prosiła go po francusku, żeby mamie dopomógł w wyszukaniu mieszkania. Opowiadał mi o mamie anegdotkę, która krąży w Karlsbadzie, że kiedy chłopiec w oberży pytał się, czy mama chce ze śmietanką pić kawę, omyłona podobieństwem wyrazu „śmietanka“ z wyrazem innym, który znaczył pułkownika, odpowiedziała chłopcowi po niemiecku: „Nie, ja bez pułkownika chcę pić kawę, ja sama chcę pić kawę!“ Czy to prawda? Podziękowałem Januszkiewiczowi, że na wstępie do obcego miasta mamie usłużył i obiecałem mu, że od niego kłaniać się będę mamie w tym liście.

Chciałbym wiele jeszcze pisać, ale list ten kończę w biurze, nie staję mi więc czasu ani na podziękowanie kochanej Julce i Jasiowi za ich przypiski, ani do dłuższego pogawędzenia z wami.

Kochanej babuni za karteczkę po tysiąc razy rączki całuję; czy wyczytacie ten list? wyczytajcie, jeżeli mo-

żecie i jeżeli was w połowie nie znudzi. Adieu, kochana mamó, adieu, uściskaj wszystkich ode mnie.

Julce.

Do Teofila i Hersylki pod Pawła kopertą na przysłać pocztę napiszę. _____

2.

Wrocław, dnia 17 marca 1834.

Kochana mamó! Zdziwił się zapewne, odbierając ode mnie list datowany z Wrocławia: dopełniając woli kochanej mamy, która aż nazbyt z moją chęcią zgadzała się, wyjechałem za granicę, i teraz z wielkim strachem oczekuję listu od mamy, nie wiedząc, czy mój wyjazd podoba się mamie, czy nie; ale niestety, podróż matka nie zaczyna się przyjemnie; mając weksel przysłany sobie na Drezno, musiałem jechać na Prusy, a w Prusiech odebrano mi mój paszport, i zatrzymano mnie w Wrocławiu, obiecując dać nowy paszport pruski. Siedzę więc już od kilka dni w tem nudnem mieście, a co gorzej, że mój pobyt w niem drogo kosztuje. Mamó, nie jest to miejsce, abym ci tu moją wdzięczność wyrażał za dobroć, z jaką moje chęci przewidywał; gdybym ci mamó, chciał opisywać, jak mi rozczuliło odebranie wekslu na Drezno, ten sposób delikatny oddalenia mnie od niebezpieczeństwa, wzięłabyś może, mamó, wyrazy wdzięczności za przypochlebianie się synała, który wyjeżdżając za granicę, chce od dobrej matki pieniędzy dostać.

Wyjechałem na podróż 8-go tego miesiąca; nudną miałem drogę, czas dosyć brzydki, wyjechałem w nocy, smutno mi było, zdawało mi się, że uciekam, i teraz jeszcze często się kłócę z mojem sumieniem. Mamó moja, śliczny kraj opuściłem, i może już do niego nigdy nie będę mógł powrócić. W drodze nic mi się jeszcze szczególnego nie przytrafiło, ale przykrości wiele. Szczęśliwy będę, kiedy do Drezna paszport dostanę, a dostać

spodziewam się, bo otrzymałem świadectwo jednego z pierwszych tutejszych doktorów, jako wyjeżdżam dla poratowania zdrowia. Mamo moja, nie lękaj się tego świadectwa.

Do Wrocławia jechałem przez Zula¹⁾, gdzie widziałem piękny zwierzyńiec napełniony jeleniami; przez Kremnitz²⁾, gdzie pokazywano mi plac batalii, gdzie Prusacy kiedyś zbili na głowę Austriaków. Samo miasto Wrocław jest dosyć ładne, niezmiernie stare, wszystkie domy podobne do siebie, tak, że dla kierowania się w tem mieście, kompas bardzoby się przydał. Kilka ślicznych gotyckich kościołów, dwa place, z tych jeden nazywa się placem Blüchera, na którym stoi statua tego pruskiego bohatera; drugi plac wielki jest to rynek, pośród którego stoi śliczny gotycki ratusz, a na około mnóstwo bud i szop ogromnych; przybyłem tu albowiem w czas jarmarku. We Wrocławiu szczęście tak zdarzyło, że znalazłem Kubusia Gaja; jadąc z wielkimi pieniędzmi, został także we Wrocławiu zatrzymany, i już od tygodni 7-miu siedzi tutaj. Zrobił się z niego bardzo dobry chłopak, we wszystkim mi służy i wszystko mi ułatwia. Jest tu jeszcze kilku Polaków, z którymi zabrałem znajomość, wszyscy zatrzymani i dręczeni. W drodze także poznałem się z jednym pruskim oficerem. Bardzo dobry chłopiec, cały pierwszy wieczór, gdyśmy się z nim poznali, prawił mi różne awantury, z których chociaż ja bardzo mało rozumiałem, umiałem jednak tak zręcznie uśmiechać się, wten czas gdy z miny jego wyczytałem, że mi coś śmiesznego opowiadał, iż przez kilka dni byliśmy z sobą w najlepszej harmonii i sądził o mnie, iż daleko więcej po niemiecku umiem, jak jest w istocie. Nie lękajcie się jednak o mnie, mówię już i ja trochę tym językiem, i nie jestem przymuszony, chcąc jeść, zaglądać do roz-

¹⁾ Czyt. Cula.

²⁾ Czyt. Kremnic.

mówek jak Kłębowski. A propos rozmówek: książeczka, którąś mi, kochana mamo, przy odjeździe z Krzemieńca do tłumoka włożyła, nieraz mi tu służy, ale uczę się pierwszej frazesu, a potem go recytuję, w książeczkę nie patrząc, to jest bardziej honorowo.

We Wrocławiu bardzo jednostajnie prowadzę życie, mieszkam z Gajem w jednym hotelu pod złotą gęsią, mam od dziadzińca mały na drugim piętrze pokój. Wyjeżdżając, rzeczy moje w tłumok opakowane i fortepian zostawiłem u Lapiarów; jeżeliby kiedy w waszych stronach uciechło, Teofil może go sobie kazać sprowadzić, a mnie podług słuszności pieniądze za granicę przysłać; zresztą wszystko moje z sobą noszę, to jest mały tłumoczek, a w tłumoczku trochę bielizny i mnóstwo wierszy; szkaradne wiersze, wagę mego tłumoka do 46 funtów podniosły. Kochana mamo, nie pisz do mnie do Wrocławia, bo spodziewam się, iż tu nie długo zabawię, ale jak tylko przyjadę do Drezna, napiszę do kochanej mamy i czekać będę z niecierpliwością listu od was dłuższego, niż te, którem dotąd odbierał. Kaczkowscy kłaniają się wszystkim w Krzemieńcu. Stary się ożenił, jest naczelnym lekarzem. Młodszy także w wojsku, ja musiałbym być na tem skończyć.

Mamo droga, żegnam ciebie. Nie wiem, kiedy się teraz zobaczymy. W Dreźnie znajdę Odyńca, Mickiewicz jest w Rzymie. Kochanych dziadunia i babuni rączki całuję. Teofil nabawił mnie niegdyś strachu, uboczną drogą dowiedziałem się, że się wszystko dobrze skończyło. Adieu, wszyscy moi mili; przygotuj się, Hersylko, iż kiedyś jak wrócę, Melankę twoją po niemiecku uczyć będę, bo to ładny w ustach dam język. Adieu, jeszcze raz całuję was serdecznie.

3.

Drezno, dnia 12 kwietnia 1834.

Kochana mamó! Co za szczęście! Wyrwałem się z nudnego Wrocławia, gdzie po długich korespondencyach odebrano z Berlina odpowiedź, żeby mnie puścić w dalszą drogę. Dano więc paszport do Francji; ja zaś przyjechałem do Drezna i myślę tu czas niejaki posiedzieć. Bardzo mi się to miasto podobało, bo przez długi pobyt w Warszawie stęskniony byłem po pięknym okolicach, tutaj zaś są prześliczne. Czy doszedł mamę kochanej mój list z Wrocławia? Byłem tam pod ścisłą obserwacją i dla tego się o ten list pytam. Niegodziwy Wrocław, w *Goldene Gans* zdarli mnie okropnie, bo za dni 16 zapłaciłem 30 talarów i miałem tylko tę przyjemność, że mieszkałem w zupełnie starożytnej kamienicy, której dachy wyższe są niż trzypietrowe ściany, a pod dachami pieje kogut i krzyczą koty. Do Drezna przyjechawszy w Wielki Piątek, stanąłem w hotelu pod *Złotą koroną*; zdaje mi się, że tam i mama kiedyś mieszkała. Zaraz wyszedłem na miasto, albowiem mówiono mi, iż w katolickim kościele ma być ładna muzyka i słyszałem śpiewy; trafiłem właśnie na psalm, śpiewany przez Tarquiniego na jakąś bardzo smutną nutę. Pierwszy raz słyszany głos tego rodzaju, wreszcie cichość kościelna (bo była to właśnie chwila, kiedy księża gaszą po jednej w trójkąt obstawiony palącemi się świecami), wszystko to niewypowiedziane na mnie sprawiło wrażenie. Słyszałem potem podczas Mszy głos tego samego Tarquiniego; ale sztuczne wywodząc arye, nie tyle na mnie zrobił wrażenia. Po obiedzie, w dzień mego przyjazdu, wyszedłem na miasto w nadziei, iż chodząc po ulicach natknę się gdzie Odyńca. Błądząc różnemi drogami, zachodzę na wielki rynek, spostrzegam jakąś najpiękniejszą cukiernię (*Baldyniego*), nad drzwiami napisane:

*Cafe de l' Europe*¹⁾. Ha, myślę sobie, Odyńcie musi być w Europie; wchodzę na pewno i za pierwszym rzutem oka spostrzegam naszego poeetę, który mi zaraz na moje zapytanie: to Czatyrdach? odpowiedział: „aa!“ A nie przez jedno tylko: aa, wyraził niepospolite zadziwienie; przeprowadzał je przez wszystkie tony jak K... marszałek wileński. Krótko mówiąc, ucieszyliśmy się oba ze spotkania, i zaraz wzięwszy się za ręce, poszliśmy do Odyńca kwatery. Tam wyrządził mi wielką przysługę, bo zaraz przez swojego gospodarza, który jest wielkim przyjacielem Polaków, wynalazł dla mnie prywatną stancję, która tak jest niedroga, iż po warszawskich mieszkaniach zdaje mi się, iż tu zadarmo przychodzi: za 6 talarów na miesiąc mam ładny salonik o pięciu oknach, (a przez każde okno, jak powiada Odyńcie, inną widzę panienkę). Salonik cały umeblowany bardzo ładnie, nawet z lampą alabastrową, podobną do tej, jaka jest u Hersylki, tylko trochę zapyłoną, słowem, że mogę wieczorami lampę zapalać i bajronizować. Żeby zaś o wszystkich przyjemnościach mieszkania dać wam wyobrażenie, donieść muszę, iż oprócz ładnego widoku na plac wielki, na kościół, znajduję przyjemność, patrząc na ładną córkę mojej gospodyni; panienka mówi po francusku i ładnie gra na fortepianie. Waryacje Czernego zawsze mi Wilno i wszystkich was przypominają. Przez jedno okno mego salonu (najmniej przyjemne), mogę rozmawiać z Odyńcem, przez drugie okno (przyjemniejsze), mogę rozmawiać i rozmawiam z ładną sąsiadką, która *vis-a-vis* mieszka; tylko ten język niemiecki zawsze mi stoi na zawadzie, a jak na nieścieście w rozmówkach, danych mi przez kochaną mamę, nie znajduję stosownych do okoliczności wyrazów.

Znalazłem w Dreźnie wielu Polaków z Warszawy. Pozawczoraj z trzema z pomiędzy nich z Platerem,

¹⁾ Czyt. *Kafe-del-Erop*.

bratem Ludwika, z Chwalibogiem i z Mikuliczem byłem w Grüne Gewölbe, to jest w skarbcu tutejszego króla. Wszystko ładne, bogate, ale bez gustu, tak, że mi nie zostaje w pamięci; ostatnia tylko sala mocno mnie zajęła. Widok tyłu brylantów razem zgromadzonych nosi na sobie cechę jakiejś wielkości; jako szczególnie w swoim rodzaju, przepyszne brylanty! widziałem brylant 7-my na świecie, zielony. Zrobiłem już w Dreźnie jedną znajomość u pani Dobrzyckiej; pocziwa staruszka Polka, jej córka jest pierwszą damą dworu. Ta od dawna zachwycona hymnem Bogarodzica, przyjęła mnie z otwartymi rękoma, a nad moim Kulikiem, którego nie znacie, płakała; teraz często na herbatę mię zaprasza. Jest tu także panna Czacka, zdaje mi się, iż to mamy znajoma; mam jeszcze być u Komarów i u jenerałowej Dąbrowskiej. Z Polakami tu będącemi wybieram się do Szwajcaryi Saskiej. Urodził się tu teraz nowy królewicz; szczególna rzecz, iż w chwili jego narodzenia, kiedy armaty strzelały, grzmoty pierwszy raz dały się słyszeć. Z powodu jego narodzin wczoraj była wielka parada: z drugiej strony Elby dawano ognia z armat, cała publiczność patrzyła na to z wielkiego bulwaru; te strzały armat, ten tłum publiczności wiele mi przypomniiał, ale tamte były okropniejsze.

Kochana mamó, pisz do mnie do Dreżna poste restante; jeszcze dotąd wekslu mamy nie zmieniłem: dotąd żyję i jeszcze żyć będę z miesiąc z 40-tą dukatami, z którymi wyjechałem z Warszawy. Pieniądze więc mi dosyć dotrzymują placu, lecz kiedy wyjechałem na wojaż, chciałyby dalej jechać, wszystko to jednak od woli mamy zależy. Dobrzeby było jednak, żeby na przypadek jakiej przerwy w naszych źródłach zabezpieczyć się przynajmniej na lat 2; jeżeli możecie gdzie podnieść z 5000, to mi je przyslijcie w wekslu na Paryż lub Genewę. Kochana mama nie uwierzysz, ile na tem cierpię, że ciebie tak ogałacam, że tyle wy-



Euzebiusz Słowacki
ojciec Juliusza.

magam, nie mając nawet nadziei kiedyś wywdzięczenia się za to. W biurze nie było żadnych widoków, nawet to biuro, gdzie byłem, zaczęło być źle uważane z powodu... Trzeba było iść do wojska, miałem aż nadto do tego chęci. Los jakiś rządzi moją karierą i widzę, iż zawsze mi będzie na przeszkodzie stawał. Mamo, całuję Ciebie serdecznie w rączki, babunię i dziadunia D... o błogosławieństwo proszę, z dalekich gór Krzemieńca spłynie ono na moją głowę. Ściskam was Hersylko, Teofilu i Melanko.

4.

Drezno, dnia 3 maja 1831.

Mamo! Od trzech miesięcy jestem za granicą, z Wrocławia i Drezna pisałem do kochanej mamy listy, lecz próżno co dzień chodzę na pocztę, żadnego do mnie nie znajduję listu. Zdaje mi się, że może listy nie muszą rąk mamy dochodzić, bo inaczej znaleźlibyście sposobności przesłania mi odpowiedzi; ten więc list piszę przez ręce Bankiera Hausnera w Brodach prosząc go osobnym listem, aby znalazł sposobność przesłania go mamie. Kochana mamo, jeżeli obchodzi mamę cokolwiek moja spokojność, napisz mi jak najprędzej poste restante do Drezna, gdzie dopóty siedzieć będę, póki listu od mamy nie odbiorę. Gdyby nie ta niespokojność, która mnie dręczy o was, kochani moi, byłoby mnie bardzo dobrze w Dreźnie: poznałem wiele polskich domów i żyję w dobrem towarzystwie. Czy przypomina sobie mama dom Poniatowskich, u których był niegdyś mój ojciec? Jedna z Poniatowskich, będąca teraz za Szymanowskim i bawiąca w Dreźnie, dowiedziała się, że przyjechałem tu i oświadczyła mi przez jednego z bywających u niej Polaków, iż mnie koniecznie chce poznać. Nie wiem z jakich przyczyn przez kilka dni odwlokłem moją wizytę. Pani Szymanowska znów się wypytywała swego

znajomego, dla czego u niej nie byłem; ten, chcąc mnie uniewinnić, powiedział, że od kilku dni jestem chory. Na to Szymanowska z żywą tkliwością oświadczyła, iż mi pośle swego doktora i będzie mię sama doglądać jak brata. Doniesiono mi te słowa; tknięty niemi i razem bojąc się wizyty doktora, gdy byłem zdrów, poszedłem do Szymanowskiej. Bardzo przyjemna osoba, przypominała mi bardzo Balińską. Teraz przyjechała jej siostra Grocholska i Bobrowa. Dom, gdzie najczęściej bywam, jest to dom pani Dobrzyckiej. Godna bardzo staruszka, tak mnie polubiła, że gdy raz wyliczała swych przyjaciół przy Odyńcu, wyliczyła ich czterech, potem przypominała sobie: A jeszcze pan Słowacki. Jej córka jest pierwszą damą dworu; u tej także jestem w łaskach, sama mnie zaprowadziła do biblioteki japońskiego pałacu, gdzie widziałem wszystkie osobliwości, jak np. listy oryginalne Lutra, Wiklefa, Koran Bajazeta i tym podobne...; z panną Dobrzycką byłem w Dolinie Plauen, śliczne miejsce, skały przypominają mi Krzemieniec. Widziałem już wszystkie prawie osobliwości drezdeńskie, oprócz galerii obrazów, którą w tych dniach widzieć będę. Grüne Gewölbe nie podobał mi się; oprócz będących tam brylantów nic mnie nie zachwycało. Ciekawszym jest daleko zbiór zbroi starożytnej; znajduje się w nim dwóch rycerzy na koniach, doskonale dających wyobrażenie o ówczesnych walkach; widzieć to dla poety i malarza bardzo potrzebne. Opera włoska wyjechała teraz do Lipska na jarmark; póki była w mieście, zawsze prawie na niej bywałem, a najczęściej asystując generałowej Dąbrowskiej, żonie sławnego generała, której córka jest dosyć ładna i, gdyby teraz myśl nie była zajęta innego rodzaju sprawami, mogłaby zajechać w głowę.

Przez jakiś czas miałem zamiar do was powrócić; teraz już o tem nie myślę, wreszcie napiszcie mi, co ja mam robić, gdzie się obrócić, jaki jest stan naszych

interesów? Z jaką radością odebrałbym list od mamy!... Żle jest trochę, żem wyjechał za granicę, ale już się stało. Teofilu kochany, często myślę o Tobie i naszych ostatnich przygodach, często myślę, ale nie wiem, jak myśleć... Co tam twoja Melanka porabia. Zapach tutejszej biblioteki przypominał mi krzemieniecką. O panu Pawle Jarkowskim ciągle myślałem; bibliotekarz tutejszy powiedział mi, iż pana Pawła widział w Dreźnie trzy lata temu; domyśliłem się, że mówił o panu matematyku Jarkowskim. Kochani babuniu i dziaduniu dobrodzieju! wierzcie mi, iż często o was myślę i z niespokojnością czekam o waszem zdrowiu wiadomości. Hersylkę ściskając, proszę jej, ażeby do Olesi kilka słów ode mnie grzecznych napisała, bo ja nie mogę jej dać znać o sobie. Mamo, mam droga! co się tam z Tobą dzieje? O gdyby ten list mógł przynajmniej dojść do rąk twoich. Adieu, Mamo kochana.

5.

Drezno, dnia 6 lipca 1831.

Kochana Mamo, z jaką radością odebrałem nareszcie list od kochanej Mamy, datowany z dnia 28-go maja; dzięki ci, dzięki kochana matko za wszystko, co robisz dla syna, który czuje, że nie jest godzien teraz, aby kto o nim pamiętał i jeszcze go kochał. O, mammo moja, nie gadaj teraz przed nikim o mnie, aby mnie teraz zapomniano; może potem znajdę sposób zyskania szacunku w moim kraju. Kochana Mamo! w przytomności Odyńca czytałem list twój; nie mogłem się wstrzymać od płaczu, czytając myśl o twoim nagrobku; ponieważ łzy te miały świadka, nie chcę ich tać, tak jak wiele innych łez, wylewanych samotnie. Imię moje nie może być teraz na żadnym grobie wyrte, ale przyjdzie chwila! Kochany Teofilu, jeżeli mi chcesz wiele zgryzot oszczędzić, niech w two-

ich listach nie przebija taka ironia, jak w ostatnim przypisku. Chciałem, nie mogłem być użytecznym ojczyźnie, może usługi w biurze dyplomatycznym. Mój wielki niegdyś protektor ksiązę Łubecki zaraz mi chciał dać pensję, nie przyjąłem jej, cóż, byli tam hrabowie — ja przepisywałem. Nie zostawiono mi nawet przekonania, że byłem użyteczny, lub że nim kiedyś być mogłem. Mamo, ty jedna przynajmniej, wiem, że mną zupełnie pogardzać nie będziesz. Interesa moje tylko tyle mnie obchodzą, ile to kochanej mamy wygod dotyczy się; ja przestałem już myśleć o wszystkim, byłem mógł ochronić kilka tysięcy, żeby z tem kiedyś zacząć mój pracowity zawód, a wtenczas będę się zupełnie do moich przychodów stosował; teraz to, co od kochanej mamy dostałem, wystarczy mi aż do marca. Wyjadę przez Szwajcaryę do Neapolu, tam znajduję w jakim klasztorze, jak mi mówił Heryng, za małą cenę mieszkanie i jak najmniejszym obchodzić będę się starał — przyjemność zaciszy wszystkie mi przyjemności zastąpi; czuję, że mi jej potrzeba.

Niech was to bardzo nie obchodzi, co tutaj napisałem, albowiem pisałem to wieczorem; a co wieczór zawsze jestem w stanie gorączkowym. Żeby nie tę myśli, bardzo by mi było dobrze w Dreźnie; przez cały dzień czytam, w południe kąpię się w Elbie co dnia, co mi bardzo służy, bo woda tej rzeki ma w sobie z gór części żelazne a zatem jest wzmacniającą, czego na sobie bardzo doświadczam. Ileż razy, chodząc po ulicach, staram się domyślić, w jakim mama mieszkała hotelu, i zdaje mi się, że pod „Goldene Krone“, „Złotą koroną“ — czy zgadłem? O mamó, jak na naszym horyzoncie — na chwilę zachmurzyło się niebo! było to skutkiem stosu galwanicznego (niech to wiadomości elektryczności mamie wytłómaczą), stosu złożonego z krązków srebrnych i złotych, przekładanych sinym papierem — odkryto stos — fizycy od butelek lejdejskich poginą, bo tak byli nieroztropni, że robiąc

doświadczenia z elektrycznością, na ramionach nosili metalowe przewodniki. Otóż znów wpadłem na fizykę, jestem jak student z klasy trzeciej; to zdarzyło się w uniwersytecie Getyngi.

Słiczne są okolice Dreznia. Wczoraj panna Dobrzycka, pani Asthon, Angielka, zaprowadziły mię do Brysnitz nad Elbą; nie widziałem jeszcze w życiu piękniejszego miejsca. Siedzieliśmy z pół godziny na płaskim szczycie świątyni podobnej do „Chłodnika Tetydy“ w Zofiówce; byliśmy jednakże jak zawieszeni nad Elbą. Z drugiej strony rzeki słiczne równiny, z prawej strony w odległości ładne Dreznio, a okna domów przy zachodzącym słońcu paliły się jak tysiączne lampy; kilka statków z rozpiętymi żaglami płynęło po wodzie i kilka członów rybackich — oto jest obraz, który tak wprawia w smutne zamyslenie, że przez cały czas, pomimo etykiety, słowa do dam nie przemówiłem. Znajomy wam zapewne dobry nasz plenipotent, co to nazwał siebie „kniaź“, chociaż jego imię, tak jak nasze szlacheckie, na „wicz“ się kończyło, jest teraz w Paryżu; pisał do nas, że dobrze jego pana idą interesa, że wkrótce ma być wezwany jako główny plenipotent, że tamci adwokaci pomagają mu w sprawie¹⁾; ale cóż nas teraz interesa mogą obchodzić, nudzę was niemi, może wolelibyście mieć nowiny polityczne, ale o tych nic nie wiem.

Dziwnie się teraz musi wydawać Krzemieniec, tak spokojny między górami, po których wiatr świszcze; opiszcie mi więcej ze szczegółami tę okolicę, bo bardzo bym chciał poznać miejsce, gdzie mieszkacie. Przerażała mnie cholera, która atakowała babunię; wszystkie się na nas biedy zwały. Mamó, kazałem dla ciebie zrobić mój portret, już jest prawie skończony, w bardzo ładnym guście; przed wyjazdem z Dreznia

¹⁾ Są ludzie, co dla wiadomej nam rodzinnej pieniędzy starają się, będą je mieli; tego im potrzeba.

prześle go mamie, jeżeli pisząc do Hausnera, zobowiążecie go, żeby się małą paczką nie przerażał; jak mi miło będzie, jeżeli to kochanej mamie zrobi jaką przyjemność. Najczęściej chodzimy z Odyńcem do „Wielkiego ogrodu“ na spacer, dziwimy się tam często, jak Niemcy mogą przepędzać cały dzień nad szklanką piwa z cygarem w gębie; gdzie się tylko zbliżyć do tłumu, wszędzie o nas gadają i lubią nas. Galeria obrazów w Dreźnie wkrótce będzie otwartą, będę w niej całe poranki przepędzał i wielką stąd obiecuję sobie przyjemność. Gospodyni, u której mieszkam, i córka gospodyni bardzo mnie kochają. Pierwsza mówiła, że chciałaby mnie mieć przez całe życie w swoim domu, druga, iż jeżeliby chciała mieć brata, to takiego, jakim ja jestem. Pierwszy raz w życiu jestem ideą doskonałości; bardzo mi się podobała naiwność ładnej Saksonki; pochlebiła mi. Nigdzie nie widziałem tyle ładnych kobiet, jak tutaj. Niech teraz wasza Melanka wije laurowe wieńce i na turniejach rozdziela nagrody; niech robi podobne wieńce, jak zrobiła sześciolatnia dziewczynka właściciela Nieświeża.

Czy na tęgim rumaku, czy na chudej szkapie,
Ten ma rękę pozyska, co złapie!

pójdzie za mąż za cholere. Ciekawy jestem, co się dzieje z Olesią, z Zenonem; czy wiecie co o tym ostatnim? Wielu moich znajomych opuściło Drezno: Dąbrowska pojechała do wód z swoją ładną córką. Komarowie wyjechali do Karlsbadu, kilku z mężczyzn wróciło do swych majątków. Towarzystwo więc moje znacznie się zmniejszyło. Nic teraz nie piszę, to mój zwyczaj w lecie. Przeczytałem wiele ważnych dzieł, teraz czytam pamiętniki „d'une contemporaine“¹⁾; nie podobają mi się.

Kochana mammo, całuję serdecznie twoje rączki i nóżki. Kochanym babuni i dziaduniowi dziękuję

¹⁾ djun' katanporen' — współczesnej.

z uszanowaniem za kilka słów, któremi mnie w liście obdarzyli. Hersylko! bądź szczęśliwa i ty, Teofilu, nie gniewaj się na mnie, bo ja ciebie szczerze kocham. Adieu! Panu Pawłowi Jarkowskiemu pełne uszanowania ukłony. Pisałem do Hausnera, żeby mi te 300 r. s. przysłał wekslem do Drezna na Genewę.

6.

Londyn, dnia 6 sierpnia 1831.

Kochana mammo, otóż jestem w Londynie, jakim się to stało sposobem, do zagadek policzyć potrzeba.

Dnia 25 lipca spokojnie sobie siedziałem w Dreźnie i zrana zapijałem niemiecką kawę, wtem drzwi się otwierają, wchodzi nieznajomy jegomość i powiada mi, że przywiózł listy od siostry mojej, z którymi jak najprędzej do Paryża i Londynu mam jechać. Siostrzyczka moja była trochę chora i chciała, żeby ją tamtejsi doktorowie ratowali. Nadto przywiózł mi od siostry na drogę pieniądze; zaraz jeden z moich przyjaciół ofiarował mi bryczkę na resorach krytą, i tak we trzy godziny po odebraniu listów ekspresową pocztą ruszyłem do Paryża.

Wszystko koło mnie miało jak cienie latarni czarnoksiężkiej, podróżowałem dzień i noc jak Gryzomir Krasickiego, i nie wiele więcej od niego widziałem. Były kraje, przez które ze strachem przejeżdżałem; płąłem po królewsku.

O godzinie 12-tej w południe wyjechałem z Drezna, nazajutrz rano byłem w Lipsku, wieczorem 26-go byłem w Weimarze; interesowało mnie to miasto jako będące miejscem pobytu Goethego; bardzo ma ładną postać. Przez noc przejechałem przez Erfurt, Saksogotą, a nad rankiem piłem kawę w Eisenach; śliczne miasteczko, a jeszcze piękniejsza droga, która z niego dalej prowadzi między ogromnymi górami. W Fuldzie zatrzymałem się godzinę dla naprawy powozu; zna-

lażem tam w oberży chłopca, co pisze historię teraźniejszej wojny czyli biografię jenerałów bardzo dobrze. Dnia 28-go z rana byłem w Frankfurcie, tam bawiłem godzinę dla zmienienia moich weksłów. O południu byłem w Moguncyi; śliczny Ren, jaka szkoda, że na niego dłużej popatrzeć nie mogę. Potem przeleciałem śliczne prowincje reńskie; dnia zaś 29-go wieczorem wjechałem do Metz¹⁾; co za przepyszny widok! miasto uilluminowane jako rocznica rewolucyi francuskiej; lud tysiącami tłoczy się po ulicach. Miałem interes do prefekta departamentu, był na balu; zabłocony i bez koszuli prawie, bo kołnierz schowałem pod chustkę, poszedłem na bal. Możecie sobie wystawić zadziwienie i jeszcze inne jakieś uczucie, z którym byłem przyjęty; krótki interes, który miałem do prefekta, odbywszy, pojechałem dalej.

Szkaradna Francya: miasteczka gorsze od naszych miasteczek, nędza. W południe minąłem Verdun²⁾, wieczorem w Chalons-sur-Marne³⁾ zламаł mi się powóz; zostawiłem go tam i kazałem sprzedać na rzecz składek zbieranych. 31-go lipca o godzinie 12-tej w południe wjeżdżałem do Paryża. Postyilon mój wioził mnie najpiękniejszymi ulicami, i jemu winienem, żem widział Paryż. Zajechałem do Platérowej Ludwikowej, prosiła mnie, żebym poszedł spać; usłuchałem jej rady i przespawszy cztery godzin, piątą mego pobytu w Paryżu obróciłem na zwiedzenie Palais Royal⁴⁾ i na posilenie żołądka, co uskuteczniłem w pierwszej paryskiej traktyerze; prawda, że z pożytkiem wojażuję?

O godzinie 5-tej wieczorem już siedziałem w chaise de poste⁵⁾, leciałem do Londynu. Przez całą noc widziałem uilluminowane miasta, miasteczka, bo jeszcze ciągnęły się fety... nie mi się szczególnego nie zda-

¹⁾ Czyt. Mes.

²⁾ Czyt. Werde.

³⁾ Czyt. Szalą-sjur-Marn'.

⁴⁾ Czyt. Pale Rlajal.

⁵⁾ Czyt. Szez-de-post' — wóz pocztowy.

rzyło, oprócz (jak mówił ś. p. Strzelecki) oprócz powtarzam, tykoko się nie spaliłem. Chwała Bogu, że się skończyło na szlafroku, który leżał pode mną i zupełnie spłonął, na pole od surduta i na kawałku kołnierza od płaszczu. Wszystkiemu temu winno cygaro, odtąd też ani cygarów ani lulki nie palę, ale nie tak z bojaźni jak dla nadzwyczajnej tego drogości w Londynie. Ale wróćmy do podróży.

Nazajutrz wieczorem po wyjeździe z Paryża, t. j. 1-go sierpnia, przejeżdżałem przez Boulogne sur mer¹⁾, widziałem morze, przyjemne przypomnienie Odessy. O 12-tej godzinie w nocy wjeżdżam do Calais²⁾, z Paryża mil 37. Śliczny tam widok latarni morskich, bo każda inaczej się pali dla rozróżnienia. Stałem w hotelu de Bourbon³⁾. Okropnego mi wypłatał figla Paquebot a vapeur⁴⁾, odszedł beze mnie. Na jałem więc statek, co mnie niezmiernie kosztowało, ale za to byłem panem okrętu i wszyscy byli na moje rozkazy. Musiałem zaś koniecznie nająć statek, bo czekać do jutra było niepodobna. Wjeżdżając do Dover⁵⁾, kazałem zatknąć francuski pawilon, i miło mi było, kiedy pytającym się i tłumnie zebrany na brzegu Anglikom majtkowie odpowiadali, kto i skąd jedzie. Śliczna Anglia! murawa zielenisza, a piasek czerwieniszej farby, co pejzażom oryginalny nadaje widok. Każda garść ziemi uprawiona, śliczne miasteczka, Kanterbury⁶⁾ jak mały Londynek wygląda.

O godzinie 5-tej z rana dnia 3-go sierpnia stanąłem w Londynie, zajechałem do hotelu Royal⁷⁾ na ulicy St. Jermyn⁸⁾; przeczytajcie Szyrmę o hotelu

¹⁾ Czyt. Bulon sjur mer.

²⁾ Czyt. Kale.

³⁾ Czyt. Burba.

⁴⁾ Czyt. Pakebota-vaper — parowlec.

⁵⁾ Czyt. Dafer.

⁶⁾ Czyt. Kõnterbery.

⁷⁾ Czyt. Rojel.

⁸⁾ Czyt. Sent Dżermyn.

londyńskim, a wystawicie sobie moje zachwycenie. Ci lokaje, co wystrojeni na głos dzwonka jak duchy po wysłanych dywanem schodach wchodzą, te wykwinne śniadania, wszystko mi się podobało, żeby nie droga cena. Znów odsyłam was do Szyrmy, je me suis mis en pension¹⁾ w bardzo pięknym i umyślnie na to urządzonym domu, u państwa Gordon. Pani sama bardzo dobra, prosi mnie, żebym, ile razy co jeść zechcę w dzień, do niej udawał się jako członek familii, i istotnie jestem jakby w własnym domu. Płacę na tydzień półtrzecia gwiney, to jest naszych 105 złotych: mam piękny pokój, z rana angielskie śniadanie, o godzinie 1-szej drugie śniadanie bardzo pięknie zastawione, o godzinie 6-tej obiad wykwinny; wino osobno kupuję; po obiedzie pijemy my mężczyźni aż do 8-mej, ale pijemy bardzo skromnie, nigdy więcej nad pół butelki; o godzinie 8-mej proszą nas na herbatę do salonu, gdzie są damy; wieczorem panienki grają na fortepiano i śpiewają, rozmowa. Jeden Anglik bardzo się do mnie przywiązał i uczy mnie po angielsku. Słowem, bardzo mi tu dobrze; Angliacy...²⁾; Londyn przepyszny, Paryż ani w porównanie iść nie może.

Oj Teofilu, ty błdziłeś w Warszawie, a ja w Londynie nie błędę, choć wystawić sobie nie możesz ogromu tego miasta; z jednej części do drugiej jeżdżą dyliżansem. Lokaj dyliżansu takiego wystawia palec, dosyć mu jest palec nawzajem pokazać, a już jesteście na drugiej stronie miasta za 1 szyling t. j. 2 złote. Miesiąc zabawię w Londynie. Nie troszczcie się o mnie; potem wracam do Paryża. Znalazłem tu doktora Heymana z Wilna, ów to ładny Heyman, Hersylko, bardzo dobry chłopiec. Poznałem jednego ze

¹⁾ Czyt. że-me-swi-mizan-pansja — zamieszkałem w pensjonacie.

²⁾ Rękopis uszkodzony.

sławniejszych literatów Leitch Ritchie¹⁾, mam wyobrażenie życia literatów londyńskich; bardzo z nim dobrze jestem. Pierwszy wieczór przepędziłem u niego en famille²⁾ bo jest żonaty, byłem na herbacie, a potem zatrzymał mnie na ostrygi i napój szkocki, t. j. wódkę z cukrem i z wodą, o której tak często Walter Scott³⁾ wspomina. Prosił mnie na obiad, bardzo mi u niego dobrze. Mogę teraz doznawać przyjemności, bo zrobiłem rzecz wielkiej wagi, to co było w mojej mocy, i szczęście, że tylko fluksy dostałem po tylu trudach; dwa dni prawie spałem w Londynie. O, moi mili, wiercie mi, że o was nie zapominam, że mi tu bez was tęsko; ale dobrze jest, że widzę Londyn, rodzina nasza będzie zdrowa. Mamocha, nie zapominać o mnie i kochać przywiązanego syna.

7.

Paryż, dnia 10 września 1831.

Kochana mamoch! Otóż jestem w Paryżu po 5 tygodniach pobytu w Anglii. Ach Londyn, co za miasto! Zaraz po przybyciu do Londynu pisałem do mamoch; jeżeli więc ten list mój doszedł, wiedzieć będziecie o powodach moich nadzwyczajnych przejażdżek po świecie.

Pobyt w Londynie kosztował mnie dukatów 50, lecz mogę powiedzieć, iż nie mnie nie kosztował, bo tyleż pieniędzy wzięłem za małą broszurkę, po francusku napisaną, a którą Anglik ma tłómaczyć i pod swoim imieniem wydać. Żartujcie sobie teraz z mojej literatury. Podróż chociaż wprawdzie utrudzająca, nie mnie także nie kosztowała; przyjechałem więc do Paryża z moimi pieniędzmi

¹⁾ Czyt. Licz Riezi.

²⁾ Czyt. An-famij' — w rodzinie.

³⁾ Czyt. Łolter-Skot.

nietkniętymi, i te mi do miesiąca czerwca wystarczą. Myślę siedzieć w Paryżu przez zimę, nie dla zabaw, lecz dla łatwości z jaką tu dostaję książek i dla dogodzenia potrzebie cichego życia, która mnie się czuć daje. Co za dziwna myśl, w Paryżu siedzieć dla cichego życia? Ale wracam do Londynu. Wiele miałem w nim chwil zachwycających; przyjemne miasto; wszedłszy na samą kulę wieży św. Pawła, rzuciłem okiem wokoło i pomimo niezmiernej wysokości wieży, z żadnej strony końca nie było widać: domy aż za horyzont się rozciągały i pyszna Tamiza z ogromnymi mostami i za ostatnim mostem las ogromny masztów. Nad brzegami Tamizy do obelisków podobne kominy machin parowych, z których wylatują kłęby czarnego dymu; wszystko to tworzy widok zachwycający. Groby w Westminster zwiedzałem także, ale dla przygotowań koronacyjnych nie mogłem dobrze widzieć Kąta poetów, który mnie najbardziej interesował. Dziwny ma pozór dziedziniec Westminsteru, brukowany grobowymi kamieniami, i widok tych ludzi, co sobie bez uwagi stąpają po napisach i czasem zastanawiają się czytając je pod nogami. Takie groby mają ci, którym sława nie otworzyła drzwi kościoła, a którzy chcą jednakże jak najbliższej sławnych ludzi spoczywać. Pyszny także, choć jeszcze nieskończony most podziemny, ogromna enfilada filarów, w każdym filarze lichtarz brązowy, z którego gaz się pali: ten rząd światła i filarów, niknący w oddaleniu, myśl wreszcie o ogromie przedsięwzięcia bardzo wielkie sprawia wrażenie.

Przez jeden dzień w Londynie byłem szczególniejsz szczęśliwy. Zszedłszy z rana do salonu na herbatę, odebrałem uwiadomienie, żebym się udał do jednego z londyńskich banków, który odebrał adresowany do mnie list z Paryża. Tego samego rana spostrzegłem w gazecie, iż Keana¹⁾, sławny aktor, występuje w naj-

¹⁾ Czyt. Klin.

sławniejszej swojej roli, to jest, w Ryszardzie III. Co za radość! nie spodziewałem się widzieć Kean'a, bo przez lato wszelkie teatry londyńskie zamknięte, dopiero za dwa miesiące otworzyć się miały. Poszedłem do bankiera odebrać list i znalazłem list od kochanej mamy; wychodzę na ulicę koło św. Pawła katedry, czytam, potrącany od przechodzących, list tak miły i tak uspakajający moje sumienie. Dziękuję ci, kochana mamo, dziękuję ci, Teofilu i proszę, żebyście nie pamiętali moich dziwactw. Uszczęśliwiony listami, z pogodną myślą, zasiadłem do długiej angielskiej tragedyi (odsyłał was do wojażu Szymy), to tylko powiem, że Kean nieporównany i gra jego zupełnie jest w moim guście. Anglicy dobrze wystawiają tragedye. Byłem także w Vaux-hallu¹⁾; jest to ogród pysznie illuminowany trzy razy na tydzień; w dzień w którym byłem, illuminacya była piękniejsza niż zazwyczaj, albowiem były to imieniny króla; śliczny fajerwerk i balon, w którym dwóch ludzi poleciało w nadpowietrzne krainy. Przy końcu mego pobytu w Londynie przyjechał tam Niemcewicz; widywałem się z staruszkim mile od niego przyjmowany; wyrzucił mi, że mojej tragedyi litewskiej grać nie kazałem. Staruszek trochę chory, smutny i niepewny przyszłości, ale Bóg czuwa nad nami. Nie możecie sobie wystawić, z jakim wyłaniem się, z jaką czułością żegnali mnie Anglicy; ręka mnie bolała od ściskania się. Wszyscy wstali od stołu (co u Anglików jest niesłychaną rzeczą), aby mnie odprowadzić do powozu. W nocy wyjechałem z Londynu, nad rankiem stanąłem w Dover, tam cały dzień czekać musiałem na odejście statku parowego; o 4-tej po południu puściłem się na bardzo wzburzone morze, im dalej płynęliśmy, tem było okropniej. Calais choć mała cieśnina, ale niezmiernie burzliwa; o godzinie 10-tej w nocy ciemność

¹⁾ Czyt. Woz-hol.

była okropna i fale tak wzburzone, że przelatywały przez pokład. Znużony i dręczony morską słabością, poszedłem do kabiny czyli do salonu; dziwny widok: ze 40 osób leżało na sofach i na podłodze, szczęściem miejsce maleńkie na sofie znalazłem, skurczyłem się i zasnąłem, a jednak pomyślałem sobie przed snem, iż może się gdzieindziej obudzę. O godzinie 12-tej w nocy obudzono mnie rozmową; dowiedziałem się z rozpaczą prawie, że do portu Calais wpłynąć było niepodobieństwem, bo tegoż ranka przy wejściu do portu rozbił się okręt i nocą niebezpiecznie było omijać go, znów więc kilka godzin morskiej słabości, wracamy napowrót do Dover. Pośpny był widok portu Calais. Latarnie morskie pogaszone dla ostrzeżenia okrętów, żeby nie wchodziły nocą, i szum okropny wzburzonej fali. Wracamy do Dover, lecz niemiśmy wrócili, wiatr ustał i napowrót kapitan skierował do Calais, dokąd o godzinie 8-mej z rana przybyliśmy; śliczne było słońce wschodzące na morzu; miałem więc wyobrażenie burzy. Po tych przeprawach szczęśliwie dostałem się do Paryża. W Paryżu piękne pałace. Ogród tuilleryjski z swymi drzewami bardzo piękny, ale cóż za podobieństwo do ogromnego parku James¹⁾ w Londynie, gdzie po obszernej murawie rozrzucone ogromne drzewa i pasą się najpiękniejsze trzody i na około ogromne pałace za drzewami się pokazują w pół zamglone tą atmosferą, która dodaje wielkości i nieskończoności widokom angielskim. Paryż podobny jest do innych miast... do Warszawy, — Londyn jest zupełnie oryginalnym. W Paryżu nie zastałem tych, których widzieć chciałem. Gorecki i Mickiewicz na kilka dni przed moim przyjazdem pierwszym do Paryża, wyjechali do Drezna; Odyniec, który w kilka dni przed moim wyjazdem z Drezna wyjechał do Litwy, dla za-

¹⁾ Czyt. Dżejmz

szłych zmian, jak się dowiaduję, znów do Drezna powrócił. W Paryżu mało jeszcze mam znajomości, a salonowych żadnych. Lecz dobrze mi z tem: mam śliczny mały pokój z mahoniowymi meblami i marmurowym kominkiem; co za przyjemność w zimie!

Dzięki ci, mamę moja, że mi nawet w tych okolicznościach trudnych nie dajesz uczuć żadnych niewygód; o, żebyś, mamę, mogła czytać w moich myślach, zobaczyłabyś, ile tam jest wdzięczności i przywiązania. Myśląc o mamie, przychodzi mi na myśl Herzingowa; o synie tylko wiem, że jest w Warszawie i potrzebuje pomocy. Braknie mi miejsca na wyrażenie wam wszystkim mego przywiązania. Ściskam ciebie, kochana mamę, babuniu i dziaduniu, Teofilu, Hersylko, Melanko etc.

8.

Paryż, dnia 20 października 1831.

Od dwóch prawie miesięcy jestem w Paryżu, i nie odbieram od was żadnego listu. W takich czasach możecie sobie wystawić jaką niespokojność dręczy mnie o was, jeszcze do tego mamy zdrowie z nadzieją zimy... wszystko to, wszystko okropnie mnie przeraża, a ja tak daleko, ani mogę tak jak niegdyś zlecieć do Krzemieńca, w nocy odbić waszą furtkę, obudzić dziadunia, uchodzić przez chwilę za złodzieja, co się wkrada do domu, i rankiem być przyjętym ze łzami od mamy! Cóżbym dał za taką chwilę! Zdaje mi się, że widzę i tę górę Zamkową oświeconą księżycem, i słyszę mój dzwonek pocztowy. A my mieliśmy się kiedyś zobaczyć szczęśliwie, i wszystko to być by mogło!

Czyście odebrali mój list z Londynu, a drugi z Paryża? Wiele zbiegłem świata, żyłem z Anglikami, bo mi się podobali, z Francuzami nie żyję, mam do nich jakąś nieprzewycięzoną odrazę, taka nieszcze-

rość i tak wiele gadają. Samotny prawie przepędzam dzień cały; brałem lekcye hiszpańskiego języka, i teraz już doskonale rozumiem Don Kiszota; nie równego jak Don Kichote (notabene uczę Teofila, że jeżeli chce uchodzić za Hiszpana, niechaj to h wyrwie z głębi brzucha); nauczyłem się po hiszpańsku jedynie dla Kalderona tragedyi, ale dotąd ich nie skosztowałem. Co to dla mnie będzie za źródło! jest ich kilkaset. Wojaż bardzo wiele daje wyobrażeń, szkoda tylko, iż wszystko ukazuje się mniej pięknem, jak było w imaginacyi, i potem zostaje w pamięci dwa obrazy: jeden taki, jaki być powinien, oczami wymalowany, drugi piękniejszy, dawniej utworzony przez imaginacyę. Kiedyś utworzy się trzeci najpiękniejszy z imaginacyi i z sennego przypomnienia, i połączy w sobie wszystko najpiękniejsze z tych trzech obrazów. Nie pojmuję, jak Byron mógł pisać na miejscu. Jeden najmiłszy z wieczorów, który miałem w Paryżu, był na cmentarzu *Per la Chaise*¹⁾; nie nie widziałem piękniejszego w tym rodzaju: za miastem wzgórze bardzo rozległe, którego pochyłość cała gęsto pokryta grobami i zarosła cyprysami, przez które z trudnością przedrzeć się można; różne drogi krzyżują się w tym lesie; w cyprysach mnóstwo róż miesięcznych, białych, ale kwitnących wiecznie, czasem ognistym kwiatem błysnie geranium. Groby wszystkie podobne do siebie: najczęściej małe kolumny z marmuru białego, w środku na górze jest mała kaplica, stamtąd wzrok po murawie, z wierzchołków cyprysowych utworzonej, spada na dół, i z dala w dymie błękitnym pokazuje się cały Paryż ze swojemi gmachami; nad nim, gdy byłem, zachodziło słońce. Czarne wozy tam ciągle przez pryncypalną ulicę przejeżdżają, ale pogrzeby tu bardzo ciche; u nas tak żydów chowają. Dochodząc do cmentarza, pełno ogródków i sklepików, obwieszonych wian-

¹⁾ Czyt. *Per-la-Szez*'.



Teodor Januszewski
dziadek Juliusza.

kami z świeżych i artystycznych kwiatów. To charakteryzuje Francuzów: każdy za kilka groszy dobrze pokaże innym swoją boleść, a kiedy da kilkanaście, to kwiaty z płótna aż po roku trzeba będzie odnowić.

Byłem na kilku teatrach, nie możecie sobie wyobrazić, jak Francuzi szkaradnie grają tragedję, każdy wiersz przez nadprzyrodzone głosu przechodzi gamy. W publiczności żadnego gustu: na piękne kawałki świszczą, nic nie lubią, tylko małe komedyjki, w każdej musi być dej algierski, tego wiecznie dręczą, i zdaje im się, że to jest sława narodowa. Byłem na takim wodwile, zupełnie podobny do siedm razy jeden; Francuzi rozpiływali się. Nie tak drogie życie w Paryżu, jak nam wojażerowie opowiadali; zapewne, iż bywać po balach i domach gry, to kosztuje, ale żyć można spokojnie i po kawalersku za 2000 franków. Za dwa franki mam w Palais Royal¹⁾ obiad bardzo dobry: zupa, trzy lub cztery potrawy i deser z pół butelką wina; potrawy wybierają się z karty, na której ze sto jest do wyboru i można kazać dawać najwykwintniejsze. Wino zwyczajne szkaradne; gazety czytam zawsze w ogrodzie Tuilleries,²⁾ gdzie za jedną gazetę płaci się sous,³⁾ tj. 2½ grosza, za tak małą liczbę można się dowiedzieć, co się dzieje na świecie — nie szczęśliwego.

Odyniec siedzi w Dreźnie na nowo, nie miałem od niego listu, pisuje tylko do Tedwena, z którym się bardzo dobrze poznaliśmy; jest to szambelan dworu saskiego, Polak, dawniej wojskowy. Ja się bawię jak mogę; w sztambuchu jednym napisałem następujące wiersze po angielsku. Ale wiersze białe, bezrymowe, niech tam kto nie upatruje rymu między *made a reward*.⁴⁾

¹⁾ Czyt. Pale-Rlajal.

²⁾ Czyt. Thilleri'.

³⁾ Czyt. su.

⁴⁾ Czyt. mejd' i rełod.

It is probable to us, the bargain will be made:
 France shall deliver the Africanean shores
 To the English people, and take in reward
 The country of the Rhine, perhaps the part of them;
 And from another will be made a kingdom
 And given tho the prince of orangean house
 And whe shall be not free, but theutonian slaves
 And shall have our laws, given but unobserved...
 The fair land of Miaulis shall suffer, and sold
 This bargain; and take king with a snowy crown;
 It is but uncertain, I have not but dreamed;
 If the dream is true, you will gain nothing there ¹⁾.

Taka to jest dyabelna poezya, że nie umiając złożyć dwóch wyrazów, a już składam wiersze, i dziwić się temu będziecie, tak ja się dziwiłem w Anglii dzieciom, które pięciu lat nie mają, a już po angielsku gadają. Śliczny tu czas mamy, chociaż na drzewach mało już liści, czasem nawet bywa gorąco, dotąd nie widać żadnego płaszcza ani watowanego surduta; gdy ten list odbierzecie, zapewne już będę rozkładał ogień na kominku. Jeżeli kto będzie oddawał pieniądze, to weźcie; za kilka tysięcy wdzięczny wam będę, widziecie sami, iż dla mnie niema innego widoku, jak ta nieszczęśliwa poezya; czyż mnie ta nadzieja, jedyna nadzieja w moim życiu zawiedzie? Innych snów wielkości nigdy nie miałem, innej nie spodziewałem się kariery, kiedy z małego ułamku znany byłem wszystkim Polakom w Paryżu i w Dre-

¹⁾ Prawdopodobnie układ nastąpi:

Francya uwolni brzegi afrykańskie

Dla narodu angielskiego, i weźmie za to

Kraje nadreńskie, może część ich,

A z reszty królestwo utworzą

I oddadzą księciu z domu orańskiego.

A my nie będziemy wolni lecz niewolnikami niemieckimi

I nadadzą nam prawa lecz ich nie dochowają...

Piękny kraj Miaulisa będzie cierpieć i zapłaci

Ten układ i otrzyma króla z śnieżną koroną,

Ale to niepewne, tylko marzył tak.

Jeśli sprawdzi się sen, nie zyskacie na tem.

źnie, kiedy jeszcze dotąd każdy, poznając się ze mną, wykrzyka: „Ach, to autor Boga-Rodzicy!“ Czegoż spodziewać się mogę na przyszłość Przynajmniej nie zapomnienia. Oskarżajcie mnie więc, iż trzymam się tego co mi najwięcej w życiu zrobiło przyjemności. Jeżeliby mi się szczęśliwie z wydaniem poezyi powiodło, to mam zamiar pojechać do Hiszpanii, a stamtąd do Neapolu morzem, a przez Rzym, Wenecję, Tryest, Wiedeń wrócić kiedyś do was, jeżeli będzie można. Jakbym był szczęśliwy, gdyby mi się te projekta udały. Wiecie, iż teraz snom wierzę, i mam przekonanie powzięte z doświadczenia, iż niektóre są prawdziwe. W domu, gdzie mieszkałem w Anglii, jednej nocy obudził mnie sen okropny: było to 16 sierpnia; zdawało mi się, że należę do zaburzeń. Kiedym szedł na herbatę, wszyscy spostrzegli zmieszanie na mojej twarzy, wyznałem im ze wstydem sen nocy i przepowiedziałem na ten dzień coś ważnego. Anglicy mieli mnie potem za obdarzonego drugim widzeniem. Dowiedziałem się, iż teraz do domu, gdzie mieszkałem, przeniósł się Niemcewicz; bardzo mi miło, że tam jakiś Polak mnie przypomina, zwłaszcza, iż tam dobre po sobie zostawiłem wspomnienie. Widziałem tu Rymgaile, tego to, który w domu Podczaszyńskiego w Wilnie był jak domowy, i teraz tu się uczy architektury. Ale z p. Michałem, co mówi, iż mnie na rękę nosił, dotąd się nie poznałem, nie wiem dlaczego. Często chodzę patrzeć, jak sztuchuje Oleszczyński, jeden z najpierwszych sztucharzy w Europie, młody Polak; z ojczywej historii bierze przedmioty i wydaje album rysunków różnych czynów i pomniki. Sowiński niejaki wydaje pieśni ukraińskie i polskie ludowe, z tłumaczeniem we francuskim, w którym się na sentymentalną muzykę zamieniają. Kobietom tutejszym niezmiernie się „Hryć“ podoba, także pieśń o Potockim, ale ja znajduję, że ją mama lepiej ułożyła. Jeżeli macie jakie

dumki z muzyką, ładne, a mało znane, to mi przyślijcie.

Ciągle tu wychodzą karykatury, król nawet nie oszczędzony i wszędzie doskonale podobny. Widziałem go wczoraj: jechał pod baldakinem, ubrany w mundurze bogatym, iskrzyła się czerwona liberya, srebrzyste koni chomąty, a za nim oddział konnicy a potem w karetach postrojeni ministrowie. Napiszcie mi co o cholrze, tutaj jej jeszcze niema, i nie prędko spodziewana, zupełnie o niej nie myślę; szkoda Urbańskiego. Czerwone jabłko zjadła. Zdrów jestem zupełnie. Choroba morską posłużyła mi, ale co to za niegodziwa choroba, będzie mnie zawsze odstraszać od przydłuższych wojażów morskich.

Bardzo tanio można tu kupować książki, i byłaby to dla mnie przyjemność mieć niektóre, ale ponieważ nie wiem, gdzie się obrócić, więc nie chcę się obciążać nielatającym tłumakiem. Nie chcę, aby mnie nie wstrzymywało daleko od was. Mamo kochana! tak bym chciał ciebie widzieć, tak bym chciał przywiązaniem mojem wynagrodzić matko tyle cierpień, któreś poniosła z mojej przyczyny! Potrzeba mi spokojności; nieraz sobie myślę, iż nawet w Krzemieńcu mógłbym mieszkać szczęśliwy, powiadam sobie nieraz z Chateaubrianem: Si j'avais encore la folie de croire au bonheur, je le chercherais dans l'habitude¹⁾. Francuzi piszą teraz mnóstwo romansów w różnym rodzaju; niekiedy używają starego zarzewiałego stylu, wprowadzając starych czasów osoby, tak właśnie jak gdyby na teatrze. Neron powinien po łacinie jak student trzepać; najlepszy z tych romansów jest „Les mauvais garçons”²⁾, bezimiennie wydany; przeczytaj go, kochana mamo, jeżeli

¹⁾ Czyt. Si zavezankor la folie de król' o boner, żele szerszer dan labitjud — Gdybym był jeszcze takim wariatem, żeby wierzyć w szczęście, szukałbym go w przyzwyczajeniu.

²⁾ Czyt. Le mowé garsq — Niegodziwi chłopcy.

dostaniesz. Strasznie zdrobnieli we wszystkim Francuzi, nie mogę sobie wystawić żeby to był ten sam Paryż, tak świetny niegdyś za Ludwika XIV i nie powiem jak Trembecki, żem widział:

..... w dalekiej krainie,
Ateńczyki w Paryżu, Rzymian w Londynie.

Adieu, droga mamo, zaklinam ciebie abyś mi jak najprędzej choć kilka słów napisała i prosiła bankiera, aby je przesłał do Paryża. Adres mój: Rue neuve de St. Eustache Nr. 5¹⁾. Tak list niezawodnie mnie dojdzie. Adieu, droga mamo. Uściskaj ode mnie rączki babuni i dziadunia.

Nie, pocałunek ten składam na Melankę; ona już mnie musiała zupełnie z serca dziadostwa wyrugować. A Teofil cieszy się i schudnie z zazdrości, kiedy ja powrócę i jednym słowem hiszpańskim serce Babuni i Dziadunia odbiję... Oj! tak będzie. Hersylko, Teofilu, bądźcie zdrowi.

Wasz.

Kłaniajcie się ode mnie jak najpiękniej Olesi. O! ta umie żyć na świecie. Dobrze się baba wybrała. Napiszcie mi czy prawda, że Ludwisia ma pomieszkowanie? Nieszczęśliwa. Panu Pawłowi Jarkowskiemu moje ukłony. Często chciałbym być na jego miejscu i siedzieć spokojnie w murach jezuickich. A pan Paweł dla cholery możeby się ze mną na Paryż pomieniał. Powiedzcie także Makdonaldowi, iż znałem w Anglii i mieszkalem w jednym domu z człowiekiem, którego imię irlandzkie zawsze mi go przypominało. Nazywał się Mac Donell.

¹⁾ Czyt. Rjuj new' de Sęt-Estasz'.

9.

Paryż, dnia 10 grudnia 1831.

Kochana mamó! Doczekałem się był jednego od was listu, i z niewypowiedzianą radością dowiedziałem się, żeście zdrowi i spokojni; lecz teraz znów od was nie mam wiadomości, chociaż na mój list ostatni odpowiedź nadejśćby była powinna. Więcej o was mam przyczyn niepokoić się, niż wy o mnie, stąd i częstszych listów od was koniecznie wymagam; z mojej strony częstsze listy być nie mogą, kto wie, czy i te nie będą wam powodem do jakich nieprzyjemności, lub do fałszywych tłómaczeń nie dadzą powodu. Kochana matko, bądź zupełnie spokojna o mnie: byłoby mi do brze, gdybym wiedział, iż wy za mnie gorzej nie będziecie; ty, kochana mamó, mogłabyś przede mną co ukrywać, i to mnie właśnie dręczy, bo nawet listy wasze nie mogą mi wybić tego z głowy. Wiele mam teraz znajomych, ale żadnego miłego, żadnego, z którymby mi było żyć przyjemnie i chciałbym jak najprędzej wyrwać się z Paryża do jakiego cichego miasta Włoch, żeby samo miasto mogło przemawiać do mojej imaginacyi, bo Paryż bardzo prozaiczny, szkaradny, ani tak świetny, jak był kiedyś dawniej. Trzyma mię w Paryżu jedynie nadzieja, że będę mógł drukować, ale już tyle moich nadziei na niczem spełzło! Często dnie całe przepędzam w sławnej galerii posągów i obrazów w Luwrze i już znam się nieco na malowidłach: często spojrzawszy na obraz, zgaduję autora. Szkoła francuska zupełnie mi się nie podoba, figury nienaturalne i wykrzywione, koloryt to nadto ciemny, to nadto światły; ulubiony mój malarz jest Paweł Weronese. Bardzo się ucieszyłem razu jednego, spostrzegłszy oryginał obrazu ulubionego babuni, oryginał tego obrzezania w pysznym kościele z kręconemi kolumnami. A więc, abyście wiedzieli, przez kogo ten obraz został skomponowany, donoszę

wam, iż go w tutejszej galerii przyznają Giulio¹⁾ Romano. Niektórzy jednak sądzą, iż należy do jego współzawodnika, Bartłomieja Ramenghi²⁾, nazwanego inaczej Bagnacavallo³⁾; powodem do tego twierdzenia jest człowiek, po prawej stronie widza przy brzegu stojący, w którym niektórzy widzą portret tego ostatniego malarza. Pyszna galeria Luwru blisko tysiąca kroków ma długości, cała zapełniona najpiękniejszymi obrazami, lecz czy uwierzycie, spojrzawszy na dwa małe obrazy Rafała, nie wiedząc, że były przez niego malowane, myślałbym, że je jakie dziecko nabazgrało; trzeba znać się na nich, żeby rysunek ocenić. Pomyślałem wtenczas, iż tak często nie znającym się na głębi poezyi Szekspir wydaje się dzieckiem albo waryatem wtenczas, kiedy każda jego scena odkrywa głęboką znajomość serca ludzkiego i napiętnowana jest wielkością poetycznego geniuszu.

Obchodziliśmy rocznicę urodzin naszej kuzynki; jedynie oglądając się na was, nie przyłożyłem się do tego obchodu tak, jakem to sobie wprzód, nie rozważywszy dobrze, zamierzył. Rej wodził na wieczorze znajomy niegdyś w Krzemieńcu tancerz, dzisiaj zjedzony przez mole biblioteczne, chudy, z dwoma czerwonymi plamami na policzkach, któremu do ozdoby jeszcze wąsy przybyły.

Proponują nam tu różne literackie zatrudnienia, myślałem nad tem, aby jaki romans napisać po francusku z naszej historyi, ale za pieniądze pisać nie mogę zupełnie, ile razy o tem myślę, imaginację mam zupełnie skrzepłą. Poznałem się także z kilku literatami mniej sławnymi, którzy proponowali mi wiersze moje po francusku tłómaczyć; zamówiłem sobie ich, aby to po wydrukowaniu moich wierszy uczynili.

¹⁾ Czyt. Dzulio.

²⁾ Czyt. Ramengl.

³⁾ Czyt. Baniakawalo.

Z poetami tutejszymi nie śmiem i nie chcę się poznawać, bo teraz nieznamy cierpiałbym, nie mogąc sobie należnego między nimi zająć miejsca. Widziałem z daleka Wiktora Hugo¹⁾ na imieninach kuzynki; wcale z jego postawy geniuszu nie widać, patapuf zupełnie; w życiu prywatnem szczęśliwy, ma żonę, dzieci troje, a to wcale nie na rękę dla romantycznej poezyi. Lamartine²⁾ mieszka we Florencji: klasycy francuscy uważają go za pierwszego poetę, co mnie nieskończenie gniewa. Jest w Paryżu Cooper³⁾, Amerykanin, tego będę się starał poznać; wydał on nowy romans już nie w Ameryce, ale w Wenecji odbywający się, pod tytułem: *Le bravo*; śliczny romans. Bravo nie znaczy tu okłasku, ale człowieka, który zabija za zapłatę sztyletem. *Bravo* Coopera, tak jak jego szpieg, jest to człowiek niewinny zupełnie, który rządowi się zaprzedał dla uwolnienia z więzień stanu od kilkunastu lat jęczącego w nich ojca, a rząd sekretnie ludzi podejrzanych zabijając, składa to na sztylet niewinnego *bravo*; widząc nareszcie, iż się wszystko odkryje, oddaje go pod miecz katowski. Nic piękniejszego, jak widzenie się *bravo* ze starym uwięzionym ojcem. Nie mogłem się od łez wstrzymać, tak mocno i z taką prostotą odmalowano.

Chodząc raz po Palais Royal, słyszę, że ktoś mnie po nazwisku woła, zgadnijcie kto? Oto Hłuszniewicz, doktor, który mnie raz widział, przychodząc do chorej mamy; dziwiłem się, że mnie po tylu latach poznał, winien to jestem zapewne memu nosowi.

O Jasiu nie się dowiedzieć nie mogę, Zenon i Henryk bliżej was niż ja. Miałem teraz przyjemny obowiązek wybrania dla Tedwena, w Dreźnie będącego szambelanem dworu, guwernantki dla dzieci; stąd widziałem wiele panienek, egzaminowałem je i nauczyłem się me-

¹⁾ Czyt. Jugo.

²⁾ Czyt. Lamartin.

³⁾ Czyt. Kuper.

tody Jacotot¹⁾), która teraz jest bardzo użwana we Francji. Dzieci tą metodą bardzo się prędko wprawiają do czytania i pisania, i rezonowaniem uczą się geografii i historii; wyszły już o tem książki, i te kiedyś posyłając wam moje wiersze dla Melanki, przysłać nie omieszkam. Metoda ta zastosowana jest i do muzyki i do rysunków, ale czytanie i pisanie najlepiej mi się podoba: nie dręczy dzieci uczeniem się abecadła, ani długiem sylabizowaniem, ale pokazując dziecku na książce frazes, czyta go póty, póki się go dziecko na pamięć nie nauczy; a potem mu każe zgadywać, gdzie każda litera, a w następujących słowach powtarza na drugi raz litery, każe dziecku zgadywać, gdzie je już widziało; tak, kiedy się dziecko czytać jeden frazes nauczy, już drugi idzie łatwiej i widziałem, że postępy dzieci są zadziwiające. Spróbujcie uczyć takim sposobem Melankę, obracając jeden frazes tysiącnymi sposobami, rozdrabiając go na słowa, na sylaby, na litery, nie porzucajcie tego frazesu, póki się go doskonale nie nauczy, a upewniam wam, iż po kilku miesiącach czytać będzie doskonale.

Kilka dni temu byłem na sławnej nowej operze romantycznej: „*Robert le diable*“²⁾). W całej Europie tej opery nigdzie nie wystawia, tak jest pyszną; trochę w guście *Freischütz*³⁾), prześliczna muzyka. W życiu mojem nie widziałem tak wielkiego kościoła, jak tu przez złudzenie na teatrze. Piękny jest nad wszystko widok kolumnady przy świetle księżycowym, zrobiony zupełnie *a jour*⁴⁾); za kolumnami widać cmentarz oświecony księżycem; z grobów między kolumnami wymykają się błękitne płomyki, i te tańcząc w powietrzu, potem rozchodzą się i każdego ożywia jedną marmurową mniszkę, leżącą na grobie, te się zwolna podnoszą, z całego cmentarza schodzą się mnisz-

¹⁾ Czyt. Żakot.

²⁾ Czyt. *Robert-le-Diable*.

³⁾ Czyt. *Frajszyca*.

⁴⁾ Czyt. *A jour*.

ki i zaczynają śliczny balet; za wybicciem zegaru wszystkie upadają; jest to śmieszne, ale wykonanie prześlizne. Wir mniszek ukłęcających się na ementarzu przy natężonem błękitnem świetle księżycy uderzył silnie moją imaginacyę. W orkiestrze po pierwszy raz użyto bębnow, kotłów, dzwonków i wszystkiego, co tylko można sobie wystawić; autorem muzyki jest Meyerbeer, słowem: l'opera a fait un pas.¹⁾ Mamo, jakbyś się ty rozpływała nad tą muzyką. Często sobie myślę: jeżeli mi Bóg w moim zawodzie poszczęści, jeżeli złączywszy kiedyś nasze, jeżeli będę miał jakie, przychody, co wynosić będą z 5000 franków na rok, wtenczas, matko, przyjedziesz do Drezn, tam życie bardzo tanie: widziałem jak panna Czacka mieszkała, najmiemy sobie także wiejski domek i może będzie nam dobrze.

Drezn bardzo lubię i radbym tam wrócić, mam; będziesz zupełnie kontenta z domu Dobrzyckiej, gdzie mnie tak dobrze przyjmowano, wreszcie znajdziemy tam więcej domów naszych. Ten projekt koniecznie wykonać potrzeba, bo inaczej straciłem nadzieję, że bym mógł kiedy ciebie, kochana mam, zobaczyć, a chciałbym ci dowieść, że wszystkie moje uchybienia teraz z dojrzałąś rozważą, że zmienionemi moimi wyobrażeniami, już miejsca mieć nie będą. Okropnie mi nawet myśleć, że ty, kochana matko, wspominając o mnie, możesz powiedzieć: „on mi za moje przywiązanie nie odwdzieczył.“ Matko moja, widzę wszystkie twoje dobrodziejstwa, widzę delikatność twoją i umiem odgadnąć, że przedanie kocza, pozbycie się tej przyjemności jest nowym twoim dowodem przywiązania dla niewdzięcznego syna, dla którego wystarczyć nie możesz. Stąd nie dziw się, że ja będąc w Paryżu, nie puszczam się na świat wielki, gdzie teraz albo ogromne wydatki, albo poniżenie mojej miłości własnej spo-

¹⁾ Lopera a fet-e-pas — Opera krok postąpiła.

tkać by mnie mogło; ale jeszcze ja żyć muszę, choćby rok tylko. Bądźcie zdrowi. Wszystkich was całuję i ściśkam. Kochana mam, całuję ciebie serdecznie.

Juliusz.

10.

Paryż, dnia 24 stycznia 1832.

Kochana mam! Odebrałem drugi wasz list zaraz po oddaniu na pocztę mego poprzedniego do was listu; nie możecie sobie wystawić, ile mi każdy z waszych listów uszczęśliwia; tego tylko nie mogę darować, że mi do Paryża na jednej ćwiartce piszecie. Jabym chciał wiedzieć o wszystkim: nasz kraj teraz tak mi się pięknym wydaje, kiedy nie mam prawie nadziei widzieć go kiedy; o powrocie ani myśleć, bo powiedzcie: co bym ja teraz robił? Różnica kosztów życia bardzo mała: czy tam, czy za granicą, a mniejsza jeszcze będzie jak się wyrwę z Paryża, pojedę do jakiego włoskiego miasta, gdzie, jak mówią wojażerowie, dukat tak się zdaje długim, że jego końca oczekiwać się nie można. Biedni wy teraz, myśleć o was spokojnie nie mogę.

Towarzystwo moje w Paryżu bardzo się powiększyło: wielu mam nawet szkolnych kolegów, ale wszystko nie ci, którychbym sobie życzył, słowem, że nie mam prawie towarzystwa. Życie moje bardzo jednolite i gdybym go sobie literaturą nie urozmaicał, nudneby było. Najlepiej jestem z jednym Anglikiem, z którym często wieczory przepędzam i chodzę na spacer; temu winienem, że po angielsku już trzępię a rozumiem wszystko doskonale. Jedną więc z moich największych przyjemności jest to, jeżeli się jaki romans nowy Coopera albo Waltera Scotta pokaże. Ten ostatni wydał teraz romans pod tytułem: *Le comte Robert de Paris*¹⁾, z czasów pierwszej krucjaty,

¹⁾ Czyt. *Le comte Robert de Paris* — Hrabia Robert z Paryża.

którego scena w Konstantynopolu. Jedna z najdoskonalszych osób jest Anna Komnena, córka cesarza greckiego, sawantka; drugą doskonałą osobą jest małpa, która czasem gra rolę dyabła, i właśnie w takim ostatnim charakterze dusi filozofa.

Życie moje, jak mówiłem, jest bardzo jednostajne. Z rana wstaję o godzinie 10, piję herbatę w domu, potem piszę, potem idę czytać gazety. O 4 idę na obiad, gdzie się schodzi wielu Polaków; tam się zawsze widzę i gawędzę z Antonim Góreckim, dawniej pierwszym poetą. Jest on teraz w Paryżu, przyjechał z Drezna, i zrobił mi wielką przyjemność, przywołując mi ukłony od ładnej Saksonki, córki mojej gospodyni. Trzeba wam wiedzieć, iż Górecki mieszkał w tym samym co ja mieszkaniu i ta panienska, zamiast odpowiadania mu na jego sentymenta, o mnie mu ciągle robiła pytania; znudzony tem, powiedział jej, że ja się żenię w Paryżu. Bojąc się zatem, aby ta plotka do was nie doszła i nie przeraziła was, muszę jej tu zaprzeczyć.

Dobrowolski doktor, którego tu jest, także wczoraj na obiedzie powiedział mi iż odebrał list ze stron waszych, w którym mu donoszą iż Jaś u was został i przez sąd Erazma Rakowskiego przechodzić będzie. Wiadomość ta pierwsza jaką o Jasiu powziąłem na pół mnie ucieszyła, na pół zasmuciła. Spodziewam się, iż to co piszę, już nie będzie dla was nowiną.

Miedzy nami tutaj głupstwa się dzieją, ciągle pojedynki: najlepszy był w tych dniach, bo oba pistolety pistonowe nie wypaliły, widać, że proch był z węgla, i pojedynkujący się spokojnie rozeszli. Nie lękajcie się jednak o mnie zupełnie, nie jestem w tym kole, w którym tak kule latają; gdyby nawet i nie pojedynki, tobym w nim żadnej nie znalazł przyjemności.

Odebrałem teraz list od Odyńca z Drezna, wyborczy list: wszyscy moi znajomi kolejną na wiersze się zdobywali, a Odyńcie wierszami pisał nad tą poezją

komentarze. On sam tłumaczy teraz wierszem *Lalla Rookh*¹⁾, tę dziwną mozaikę; nie wiem skąd ma do niej upodobanie.

Mickiewicz jest w Poznańskim. Michała Podczaszyńskiego niema tu teraz, jest w jednym z miasteczek francuskich; wielką mi raz zrobił przyjemność, opowiadając mi o moim dzieciństwie. Mówił mi, iż raz strasznie zacząłem kaprysić. Ojciec więc kazał mi rozesać dywan na podłogę, posadził mnie na tym dywanie, i kazał, żeby nikt do mnie nie gadał. Powiada Podczaszyński, iż dziwna była moja mina, kiedy tak na dywanie siedział; potem ochłonawszy z gniewu, przeprosiłem ojca, mamę i wszystko było dobrze.

Muszę wam jeszcze donieść, iż we Francyi napotkałem raz w traktyerni soczewicę, której od śmierci ojca nigdy nie jadłem; jedząc teraz, smak mi się jej przypominał, jak sen jaki mego dzieciństwa. I prawdziwe dzieciństwa piszę wam w tym liście, lepiejbym zrobił, pisząc wam o kolumnie Vendome²⁾: cała lana z armat, zdobytych przez Napoleona; pomnik na ślicznym placu i najpiękniejszy w całym świecie, ale brakuje mu głowy, to jest statuy Napoleona. Zobaczymy, jak pójdą rzeczy: może na niej ta statua stanie, może jak na starych ruinach lilie porosną. Teraz jednak już nie lilia, lecz gruszka jest herbem Francyi, a to z następującego powodu: Malarz jeden, skazany za robienie karykatury na pięć miesięcy więzienia i zapłacenie 5,000 franków, wymalował następującą zełmstę: na jednej ćwiartce wymalowana głowa Ludwika Filipa, potem ta głowa zwężona u góry, a szersza u spodu, potem trzecia jeszcze bardziej podobna do gruszki, a nakoniec czwarta zupełna gruszka, i podpisał: że ponieważ gruszka jest podobna do poprzedniej

¹⁾ Czyt. Ruk.

²⁾ Czyt. Wandom.

figury, ta do poprzedniej, a ta do króla, a zatem za wymalowanie gruszki mogę być skazany na... Z tej karykatury urodziła się druga, daleko lepsza. Un crieur public¹⁾, jak u nas licytant woźny, trzymając wyniesiony sur une estrade²⁾ gruszkę; pod spodem siedzi wiele osób z orderami; a ponieważ król domagał się w budżecie 14,000,000 franków dla siebie, których mu nie dano, więc malarz podpisał pod karykaturą, jak licytant krzyczy: „à quatorze millions! c'est pour rien... à quatorze millions, personnel ne dit mot? à quatorze millions, adjugé!“³⁾ Przyznajecie, że to dobra karykatura, sprzedają gruszkę za czternaście milionów.

Jedną także z największych nowości we Francji, jest wystawienie historii romansowej naszej kuzynki na teatrze Cirque Olympique⁴⁾; byłem na niem: wielkie głupstwo. Nie możecie sobie wystawić, jak są głupi Francuzi, jak chcą coś wydać wielkiego: właśnie z prostoty wpadają w deklamację śmieszną. Dostyc powiedzieć, iż figura blada, która nosi buty z kutasami, siedziała przy mnie na krześle podczas reprezentacji, i ta sama figura w czerwonym płaszczu cuda na scenie wyrabiała; smutne to było dla nas, i czasem lży się kręciły w oczach, czasem śmialiśmy się do rozpuku. Teofilu! w życiu naszym nigdy nie podobnie pięknego nie zobaczymy, jak wtenczas, kiedyś ty się zachwycił i tylko machinka pod językiem zachwycenia wydać ci nie pozwalała.

Był tu teraz bal na dochód ubogich, na którym wielu z moich znajomych było, ale tylko głowy w tłu-

¹⁾ Czyt. E krier piublik — licytant.

²⁾ Czyt. Sjur-jun-estrade — Na wzniesieniu.

³⁾ Czyt. A katorz' milla — se pur rié — personnel ne dit mot — adzjuż — za czternaście milionów — to za nic — nikt nie mówi słowa — przysądzone.

⁴⁾ Czyt. Sirk — Olepik'.

mie widzieli, taki był ścisk; między temi była i gruszka. Nie byłem wcale ciekawy tej osobliwości. Są tu Władysław i Cezary, z którymi w Wilnie do szkół chodziłem; pierwszy jest nieznośną, nudną figurą, drugi bigot, tak jak Gorecki.

Mąż Wysogierdowej czeka z niecierpliwością żony. Napiszcie do Olesi, że o niej zawsze pamiętam i często tu z osobami, znającemi ją, mówię o niej. Napiszcie mi także, jak się im powodzi, jeżeli będą mieli syna, niechaj nazwą go Februarius; nie wiem, skąd ta anegdotka Güntera przysłała mi na myśl. Kręcą mi się teraz po głowie wszystkie anegdoty, bo powiem wam pod sekretem, iż piszę romans po francusku z naszych oryginałów; scena na Ukrainie; głównymi osobami są: ś. p. szlachcic, co obchodził święta Cerery, i drugi, co podróż do Turcji czy do Arabii odbywał, a trzeci geometra Zszantyr, znajomy wam ze sztuki śpiewu i innych doskonałości. Wszystko sprzężone z wielu fikcyami i długimi rozmowami w guście Waltera Scotta, i z długimi obiadami w guście tegoż autora i Niemcewicza i w guście Polaków, słowem, będzie do chef d'oeuvre¹⁾, za które mi powinni jak za takie zapłacić. Mam już pięć rozdziałów i tylko mi 25 nie staje, to bardzo nie wiele; ale nie mówcie o tem nikomu, bo wystawiając żywe oryginały, można się kiedy z niemi spotkać; j'aurais cependant la précaution de faire périr mes personnages à la fin de la pièce, pour qu'on ne puisse plus les retrouver dans le monde.²⁾ Stąd możecie sobie wystawić, że będzie wiele krwi rozlewu — bardzo przepraszam, uniknę tego, połowę osób wieszając...

¹⁾ Czyt. Sze-dcwr' — arcydzieło.

²⁾ Zore sependan la prekosja de fer perir me personaz' a-la-fé de-la-plés' purkq ne plis' plju le retruwré dan-le-mqd' — Będę o tyle ostrożny, aby dać zginać wszystkim swoim osobom pod koniec dzieła, aby nie można ich odnaleźć na świecie.

Mamo kochana, matko moja! odbieram list twój w tym momencie o godzinie 11 wieczór, tak rozdzielający, tak okropny. Mamo droga! ty mi życzysz, aby mi dobrze i długo dobrze było. Nie, to niepodobna, ja tyle cierpię, ile razy wspomnę o tobie, ile razy odczytuję który z twoich listów. O matko moja! jak ty dobra jesteś! Wierz mi, mam, że gorzko płaczę, kiedy to piszę, chciałbym się tobie do nóg rzucić. O matko moja! gdybyś ty była bogata, gdyby tobie było dobrze, jak by mi było miło mieć wszystko z twojej dobroci! ale teraz to mi serce rozdziera; spokojniejszy byłbym prawie, gdybym musiał tak jak inni pochlebstwem lub różnemi sposobami datki na rodzicach wyciskać. A ty mi wszystko dajesz; czyż będziesz mnie jeszcze tak podłym sądzić, abyś myślała, że te wyrazy ze łzami pisane, są nie szczere. Matko moja! Jakżeż mogłaś twój list zakończyć słowami, iż mi nie wiele dobrego zrobiłaś na tym świecie? czemuż ja byłbym, gdyby nie ty, mam, moja! Wszystko dobre mam od ciebie, wszystkiemu złemu sam jestem winien: wszystko mnie znużyło, musiałem wszystko porzucić i jak wariat gonić za jakąś tam urojoną nieśmiertelnością; nieszczęśliwe jest to skierowanie moich myśli w dzieciństwo. Ale cóż robić! już tak być musi. Tylko ty, mam, nie uważaj tego za dzieciństwo tego stanu, w jakim jestem. Wiesz, mam kochana, powiem ci to, czegom nikomu nie mówił: w dzieciństwie, kiedy byłem exaltowane nabożnym, modliłem się do Boga często i gorąco, żeby mi dał życie najwspanialsze, żebym był pogardzony przez cały wiek mój, i tylko za to, żeby mi dał nieśmiertelną sławę po śmierci. Widząc teraz, jak się skierowały wszystkie okoliczności i uczucia moje, widzę wyraźnie i czasem przekonany jestem, że jakaś nadprzyrodzona moc pochwyciła moje dziecinne prośby i dotrzymuje mi układu. Straciłem nawet nadzieję być kiedyś szczęśliwym, i przysięgam ci, mam, że nigdy nawet o żadnym szczęściu, o żadnej

przyszłości nie myślę. Piszecie mi, iż Jaś zginął; list, o którym wam wspomniałem, donosi tylko, iż został w kraju, ale nie wiadomo czy żywy, czy umarły, nie chcę więc robić żadnej nadziei; jeżeli umarł, zazdroszczę mu.

Dnia 25. Dziś rano odczytuję ten list i zły jestem na siebie: równie mnie gniewa wesołość pierwszej połowy jak koniec. Teraz kiedy wiem, że moje listy nie nie szkodzą, częściej pisywać będę.

Hauzner mi przysłał rachunek kosztów na listy, wynoszący 12 franków; cieszy mnie to, bo teraz śmielej jego pomocy używać będę. Babuniu droga i dziaduniu, wdzięczny wam jestem, że mnie jeszcze trochę kochacie; teraz możecie być dumni z waszego syna, który tak skończył, jakbym ja kiedyś życie chciał zakończyć; i przyjdzie jeszcze chwila. Adieu, moja mam, droga! Twój... Teofilów całuję.

11.

Paryż, dnia 7 marca 1832.

Kochana mam! Nie uwierzysz, jak teraz jestem szczęśliwy, i tobie, matko moja, winienem jedynie szczęście, jakiego jeszcze doświadczać mogę. Od tygodnia zajęty jestem drukiem moich poezyi; za dwa miesiące będziesz je, mam, miała; to tak samo, jakbyś mnie zobaczyła, bo ja nie jestem niczem innym, jak mojem poezyami. Od niejakiego czasu piszę dziennik umyślnie dlatego, abym tobie, mam, szczegóły i wyjątki z niego mógł posyłać. Życie moje teraz jest daleko rozmaitsze, a przyczyną tego jest Skibicki, który tutaj przyjechał z Ameryki i z którym wzajemnie tak pokochaliśmy się, iż teraz wszędzie razem chodzimy. Chłopiec to, co się nazywa, do rzeczy; wrócił, chcąc walczyć, porzuciwszy drugą swoją ojczyznę, która dla niego rajem była. Na drugi dzień po poznaniu się (wyjątki z dziennika) jedliśmy razem obiad, gada-

liśmy o was, o naszym przypadku w Czernołówce, który nas do Korczówki zaprowadził. Pamiętasz, matko kochana, jak cię ten przypadek martwił, a teraz musi ci się tak błahym wydawać; otóż to nauka, aby się niczem nie martwić, bo wszystko złe i dobre przemija; ale to coś wpadłem w styl homeryczny. Dalej po krócie szczegóły mego życia. Napisałem po francusku ode, która mi ogromną sławę, ale tylko między rodakami zrobiła, bom jej nie drukował; za drugą ode, w naszym języku napisaną, 200 Polaków publicznie uradziło, aby mi dać pierścień jako pocię przeszłorocznych wypadków. Dotychczas nie dali mi go jeszcze, ale to jest bardzo korzystnem dla mnie, bo z niecierpliwością dzieł moich czekają. Nie przysięgam wam wiele egzemplarzy tych dzieł, bo się lękam; do kraju zupełnie posyłać nie będę. Mam już mojego księgarza, który będzie moim księgarzem na zawsze, tak jak Murray Bayrona, i będzie mnie oszukiwał... Byłem dwa razy w teatrze na przedstawieniu nowej dramy Dumasa, pod tytułem: *Teresa. Śliczna*. Jest to pierwszy pisarz tragiczny francuski. Byłem na wielkiej operze: *Niema z Portici*, która tak jest ładna, iż oprócz *Freischütz*a, nie podobnego nie znam. Najpierwsza tancerka baletu jest *Taglioni*¹⁾ nie ładna, ale tak zgrabna, iż mówią wszyscy, że na świecie nic podobnego widzieć nie można; wszystkim Polakom, oprócz mnie, głowy pozawracała. Ale największe wrażenie na mnie zrobiła uwertura, którą mi w Dreźnie moja panienska grała, kiedy po obiedzie leżałem w gorąco wyciągnięty na kanapie i przerzucałem drzemając książki.

Skibicki oświadczył mi, iż mnie anonsował bez mojej wiedzy u księżnej naszej Czartoryskiej: kazałem więc na łeb na szyję, żeby mnie krawiec stroił, tak jak można kij ustroić i nadać mu nieco z osą przeciętą podobieństwa; krawiec, jeden z pierwszych

¹⁾ Czyt. Talloni.

krawców, Polak, wysilił się i prawdziwie zdziwiającym sposobem jestem zgrabny. Ale te trzewiki te mnie zabijają, a bez nich ani się pokazać. Przed poniedziałkiem, który jest dniem wieczorów u księżnej, byliśmy z wizytą i nie zastawszy w domu, zostawiliśmy bilety (które są u mnie sztychowane pierwszy raz w życiu). Wystawcież sobie, co za grzeczność: księżna, chociaż mnie przez Skibickiego na wieczory zaprosiła, kazała Błotnickiemu list do Skibickiego napisać, prosząc mnie raz jeszcze. Dzień poniedziałku, 20 luty nadszedł; tego samego dnia siedzę rano u siebie, aż wchodzi jakiś człowiek z worem pieniędzy na plecach i oświadcza mi, że ma mi do wypłacenia 3000 franków i natychmiast składa mi na stole w biletach razem z listem od mamy. Od tej chwili inne zaczęło się dla mnie życie: ułożyłem zaraz nazajutrz pójść do drukarza, sam zaś w najlepszym humorze poszedłem na wieczór. Skibicki prezentował mnie; przerwaliśmy czytanie wierszy przez pana Julien¹⁾ de Paris, sławnego wydawcę *Revue Encyclopédique*²⁾ i znanego z przyjaźni ku nam. Potem znów rozpoczęło się czytanie, podczas którego przybyło wiele osób, kłaniając się z daleka gospodyni i nie przerywając deklamacyi. Gdy się ta skończyła, księżna przysła do mnie i przez kilka chwil gadaliśmy, ale na nieszczęście Skibicki wmieszał się do konwersacyi i powiedział, że Polska mnie mając, nie będzie Anglii Bayrona zazdrościć; te i tym podobne pochwały zmusiły mnie, iż się w tłum wmieszałem. Gdy błądzę w labiryncie osób, przychodzi do mnie Ludwik Plater i oświadcza, że żona jego życzy sobie mnie poznać; poszliśmy więc do niej. Sama Platerowa bardzo grzeczna, gadała o moim ojcu, ale zyczajnie jak to pańska pamięć, nie wiedziała, że umarł; potem zaprosiła mnie na czwartki.

¹⁾ Czyt. Żjulle.

²⁾ Czyt. Rewju Ansiklopedik'.

Po tych prezentacjach nastąpiła nowa. Skibicki przedstawił mnie panu Julien: jest to człowiek bardzo stary, przyjął mnie jak najgrzeczniej, i zaczął rozmowę o literaturze; krytykowałem mu trochę literaturę francuską, nie oszczędzając nawet wierszy, które czytał, bo te były nie jego. Pan Julien zaprosił mnie do siebie — dzień czwartkowy jest u niego przeznaczony na przyjmowanie wizyt — i dał mi swój adres. Potem zaczął się mazur maleńki, bo bardzo mało dam polskich młodych. Księżna wybrała mnie nie tańczącego w pierwszej figurze jako gościa. Potem walcowałem z nią i z innymi damami. Pierwszą tu polską pięknoscią jest panna Mierzyńska, której matce byłem prezentowany, potem wróciliśmy ze Skibickim do domu. Noc była śliczna, i przechodząc przez mosty, widzieliśmy księżyc odbijający się w Sekwanie. Otóż, kochana matko, masz obszerne opisanie mego wstąpienia na świat; tyle zaproszeń razem dziwne to na mnie wrażenie zrobiło, i przychodząc do domu, powtarzałem sobie mimowolnie smutne wiersze z Raju utraconego Milтона, cztery ostatnie wiersze, które się zaczynają: „świat był cały otwarty przed niemi“, a kończy się: „tak oni spokojnym i powolnym krokiem przez Eden rozpoczęli samotną drogę.“

Nazajutrz z rana poszedłem do drukarza Pinard¹⁾ o druk się układać, i tam zastałem bardzo ładną pannę Pinard, której narzeczony zawiaduje drukarnią. Ten narzeczony był bardzo grzecznym dla mnie, ułożyłem się o druk, i dwa tomy będą mnie kosztowały nie tak wiele, jakem się spodziewał. Potem zostałem z panną Pinard i z tą długo gadaliśmy; biedny narzeczony musi panienki słuchać, musiał ze łzami w oczach na obiad mnie zaprosić; pewny jestem, iż mnie na niczem nie oszukają. Chodźko mówił mi, iż ode mnie o trzecią część biorą taniej, niż brali za

¹⁾ Czyt. Pinar.

dzieła Mickiewicza. Widzicie, że dobrze się poznawać z panienkami, dobrze się zostać przy kominku i o czem innem niż o interesach pogadać.

We czwartek poszedłem na wieczór do Platerów; ei, jak wiecie, są aż do zbytku uprzejmi; widziałem tam pannę Komar, o której wam już pisałem, bo bywałem u Komarów w Dreźnie. Ładna to marmurowa osóбка. Znów była herbata, znów mazur. Dla Francuzów jeden kontredans, jeden, bo i Francuzów nie wiele. Tam miałem przyjemność widzieć jenerała Umińskiego tańczącego. Ale cóż pisać o tych wieczorach, które tak są do siebie podobne. Otóż zrana teraz jestem literatem, poprawiam korekty, piszę, przepisuję, a wieczorem od godziny pół do dziesiątej stoję się u n D a n d y¹⁾, angielski p e t i t - m a i t r e²⁾, i przyznam się wam, że to lubię; staram się, żeby nikt wieczorem nie odgadł, czem ja jestem z rana, a z rana, żeby nie mi z wieczornej f a t u i t é nie zostało. Nie zawsze mi się to jednak udaje, bo na drugim wieczorze u księżnej przyszedł do mnie L. Plater z pochwałami o tryumfach, jakie moje ody odnosiły, i prosił mnie o wiersze; odpowiedziałem mu, że drukuję. Ta prośba pochodziła i od żony jego, bo ta, słyszałem, jak się pytała męża, kiedy wyjdą moje poezye. Ludwik P. zaparł mnie do kąta, i musiałem półgodziną o literaturze i o Anglii odbyć rozmowę; widziałem, że mnie polubił, bo mnie usilnie na przyszły czwartek zaprosił.

To dotąd o mnie, teraz cokolwiek o Paryżu. Jest to ostatni dzień Zapust: przez te całe dni maski jeżdżą w kabrioletach otwartych po ulicach, ale to nie osoby pierwszego tonu. Najwięcej arlekinów i pajaców. Dziś jednak spotkałem widok bardziej interesujący, jest to procesya wołu. Rzeźnicy wybierają najtłustszego woła, ubierają go w złociste szaty, złocą rogi, i sami

¹⁾ Czyt. E Dandé.

²⁾ Peti-métr' -- panicz.

przebierają się za dawnych rycerzy średnich wieków: i tak naprzód konno muzyka, potem tłum rzeźników na koniach w zbroi, potem dwa rzędy bogato przybranych rycerzy, majstrów cechowych, potem wół, który jak mówią, trzy tysiące funtów waży, rzecz niepodobna do uwierzenia, choć prawdziwie wół ten zdawał mi się olbrzymim; po wole jedzie wóz przybrany, powożony przez woźnicę ubranego za Saturna, na tym wozie na przodzie trzech rycerzy, a na ostatniej ławce dziecię między dwoma ładnie przybranymi rzeźniczkami; to dziecię dawniej siedziało na wole, lecz raz się jedno z dzieci zabiło, i od tego czasu na wozie je sadzają. Wół oddaje najprzód wizytę królowi, a potem wszystkim ministeryalnym wołom; wszędzie rzeźnicy dostają podarunki, nazajutrz zaś, to jest w Popielec, zabijają woła i wszędzie, gdzie był z wizytą, sztuki z niego rozsyłają. Smutnie patrzałem na to stworzenie, które jutro pod topór głowę odda. Czy mogliście sobie wystawić, aby wśród ucywilizowanego Paryża takie były farsy niezgrabne; kiedy to piszę, pod moimi oknami dwie karety odkryte, napełnione maskami, przejeżdżają. Jest po co do Paryża jeździć; gdyby przynajmniej te maskarady miały koloryt romantyczny, jak weneckie, do tego potrzeba gondolierów; a tu proza, ulice napełnione żandarmami. Piszesz mi, mamó kochana, abym doniósł co o mojej kuzynce: biedna ona, nie ją dobrego nie czeka; a przynajmniej jeszcze tego przeżyć nie można. Teraz żałuję, że nie bogaty: tyle tu nędzy, że sobie wystawić nie możecie. Niektórzy w mieście nieco odległym od Paryża mieszkać przymuszeni, po złotemu na dzień biorą i bez butów prawie chodzą. Przekłęty to naród!

Piszeć mi, żebym książkę Mianowskiemu przysłał; nie wiem, jaką chce, bom listu od niego nie odebrał. Posyłając wiersze, napiszę do Olesi i do Ludwisi; wątpię, aby na tej mojej rady co wymogły; przykro mi będzie pisać. Z Skibickim robimy projekta w o-

jażu po Włoszech piechotą, ale nie wiem, jak to będzie, bo mi dzieła teraz wyciągną trochę groszów, a te z początku bardzo będą wracać powoli. Zawsze jednak mam zamiar mieszkać w Neapolu dla taniości życia. W Paryżu zaś zamówię i uproszę Chodźkę, aby nadal dzieła moje po umówionej już cenie drukował, bo żeby mieć czem przypomnieć się publiczności, nie drukuję teraz napisanego poematu „Lambro.“

Kochana mamó! Zawsze powtarzam twoje: „jakoś to będzie“, i może nieraz w jednej mówimy je chwili. Nie dziwcie się, że teraz używam j, jota, bo drukując, musiałem się ortografii nauczyć.

U nas wiosna, u was śnieg być musi. Wiele za moje listy płaciecie? Czy dzieła moje dojdą? Wiele chcesz mama egzemplarzy? Kochana mamó, ściskam ciebie serdecznie. Napisz mi, gdzie mieszka kuzyn mamy w Galicyi, co fortepian sprowadzał i jak się nazywa? Adieu. Babunię, dziadunia, Hersylkę, Teofila, Melankę serdecznie ściskam.

Kochana mamó! Posyłam ci list Skibickiego, który z wielkim uszanowaniem na pół arkusza był napisany; ja pozwoliłem sobie pół listowego czystego papieru odciąć i tylko uwiadomić mamę o tej formie uszanowania, i sam zabazgrzę jeszcze tę stronnicę. A to prawdziwie, że nie mam czem, bo nie spodziewając się takiego przybytku w papierze, wszystko, co miałem na sercu, to w poprzedzającym liście wypisałem. Spodziewam się, że mi Teofil w następującym liście pobyt swój w Wierchówce opisze, bo mnie to bardzo interesuje, jak oni biedacy znoszą nieszczęście. Chciałbym być kiedy w takim położeniu, abym mógł Stasia małego za granicą wychować i tym sposobem dać poznać ceniom Jasia, iż go po śmierci więcej nierównie kocham niż za życia. Co porabia Zenonek? Jaki u was karnawał? Bo w Paryżu był bardzo świetny. Rząd płacił ludowi, aby przybierał postać wesółą, i wielu teraz z pajaców odbiera za śmiech poza-

wczorajszy pieniądze; tak to się tutaj bawią. Maskn-rady wszystkie w najgorszym guście, uczciwe damy prawie nie bywają; nie miałem tu wcale ochoty tak jak niegdyś w Wilnie przebierać się za Hiszpana, bo pewny jestem, iżbym nie podobnego jak Porcyankowa w ubiorze Westalki nie zobaczył.

Odynieć pisał do mnie z Drezna wyborny list z wierszami wszystkich moich znajomych, nad któremi Odynieć pisze komentarze; jest on, a przynajmniej był niedawno w Lipsku. Do domu wyjeżdża stąd Górecki poeta, nie żałuję go, bo ze swoją bigoteryą nudny człowiek. Na wiosnę będzie spokojnie... Żle w Tuilleryjskim ogrodzie postawiono śliczną statuetkę: jestto Spartakus, rwący kajdany. Statua ta patrzy na pałac królewski; ciągle otacza ją tłum ludzi i mówi: „gdyby nasze były z gipsu.“ Waryują Francuzi dla nowej tragedyi Kazimierza Delavigne¹⁾, pod tytułem: Louis XI; nie widziałem jej jeszcze, bo przed teatrem zawsze tłum ludu, który tu się ogonem nazywa i każdy przychodzący musi na końcu ogona stawać, tak, że nim się docisnie, już biletów niema. Nie możecie sobie wystawić, jak Paryż nie jest nie osobiliwe-go. Jeszcze raz całuję ręczki kochanej mamy. Wszyscy, wszyscy, bądźcie zdrowi i kochajcie mnie trochę. Tak mi miło za granicą myśleć, iż mam przecię kogo, co mnie kocha, choć daleko ode mnie. Adieu.

12.

Paryż, dnia 13 kwietnia 1832.

Najukochańsza mamó! Nie śmiem ci napisać, iż mi teraz lepiej na świecie, niż kiedykolwiek było, bo sobie sam wyrzucam, że ja mogę być bez ciebie, kochana matko, szczęśliwy; jakoż to uczucie, którego teraz doznaję, nie jest zupełne. Was mi potrzeba, po-

¹⁾ Czyt. Delawin.

trzeba mi cię widzieć, kochana mamó; kiedy będziesz wiersze czytała, potrzebaby mi było, abym ci je sam mógł przeczytać. Matko kochana, widząc jak to wiele ludzi teraz lubi mnie i kocha, i mogę powiedzieć, uwielbia, nie wstydziłabyś się swego syna. Czuję to, i to dumne uczucie sprawia mi przyjemność; widzisz, kochana mamó, że wiele myśli robiących mi przyjemność do ciebie odnoszę. Odebrałem list twój dnia 14 lutego datowany. O, jakie śliczne wspomnienie tej chwili, kiedyś mnie mama prosiła, abym ci słońca nie zaciemniał. Jaka śliczna modlitwa Melanki! Płakałem, czytając ją, i potem list czytałem Skibiękiemu, który także, słysząc modlitwę Melanki, łzę z oczu otarł. Ta łza na jego posępnej twarzy dziwne na mnie zrobiła wrażenie. Jak Stern chciał-bym być mieć wówczas pod ręką tabakierkę Bernardyna. Kłaniałem się kutasom u butów, które mile to przyjeły; wy je uwielbiacie, szczęśliwi. Nie wiecie, co to jest bliższe poznanie ludzi; jest to le prophète voilà de K'horafan¹⁾, tak go nazywamy z Skibiękim. Manuskrypta Jasia są tam, gdzie fortepian, w tłumoku, razem z moimi rzeczami. Starajcie się ten tłumok sprowadzić, bo i mnie miło by było żeby moich rzeczy obcy nie przetrząsali ludzie. Otóż są odpowiedzi na wasz list.

Teraz zaczynam wam dziennik moich czynności, tak jak go z mojego po angielsku pisanego dziennika tłumaczę, skracając nieco. Tylko ty, kochana mamó, nie czytaj tego listu nikomu, bo ja inaczej szczerze pisać bym nie mógł; sama tylko rodzina ma prawo w moje czynności wglądać.

Dnia 12 marca, poniedziałek. Panny Pinard, córki drukarza mego, który przed kilku miesiącami umarł, zaprosiły mnie na obiad; znalazłem tam Chodźkę. Średnia z panien nazywa się Kora: śliczna, zupełnie

¹⁾ Le profet wlaile de korafan — prorok zasłonięty.

taka, jak sobie wystawiałem Korę, heroinę Mohikanaów. Dziewczynka młoda, ma lat 15 i coś hiszpańskiego w twarzy. Ale ja nieszczęśliwy, więcej daleko podobałem się pannie Pinard najstarszej, która coś na sawantkę zakrawa, a ponieważ mam dobre uszy, podsłuchiłem jej rozmowę z Chodźką; mówiła mu, że mnie znajduje bardzo do rzeczy i z dowcipem, a on jej na to odpowiadał: *mais, les Polonais ne sont pas bêtes*¹⁾. Zaśmiałem się skrycie z jego odpowiedzi. Widzicie więc, iż zdarzają się chwile, kiedy wasz Julek dowodzi, że Polacy nie są głupimi. Po obiedzie zostałem sam z pannami i panna Kora śpiewała mi śliczne romanse; siedząc tak przy kominku, słuchając muzyki, przypomniały mi się ciche domowe wieczory w Wilnie. Nazajutrz posłałem Korze kilka ładnych romansów, które na teatrze słyszałem. Po obiedzie, a raczej po wieczorze u panien, poszedłem na wieczór do księżnej Czartoryskiej. Jaki kontrast! tak mi było nudno; gadałem cały wieczór z hrabią Ludwikiem Platerem, z którym bardzo jestem dobrze. Żona jego prosiła mnie, abym przyszedł do nich którego wieczora i co przeczytał; śliczna propozycja! Właśnie teraz więcej niż kiedykolwiek uciekam od salonowej reputacji.

Pisał do mnie Odyniec. Tłomaczy *Lallę-Rookh Moor'a*. Byłem na obiedzie, dawanym na imieniny kutasów u butów.

Przez cały czas bardzo się dobrze prowadzę, żadnych zbyteków i wyboczeń. Nie mam czasu nic czytać. Nic nie piszę, to dowodzi, że mam zdrowie i siły, przynajmniej taki jest barometr mego zdrowia. Dodałem kilka scen do *Mindowy*. Spodziewam się, iż wkrótce ze sprzedaży dzieła zbiorę dosyć na wydrukowanie *Lambra*, a wtenczas ruszę do Neapolu;

¹⁾ Czyt. Me, le Polonais ne są pa bêt — Ależ Polacy nie są głupi.

tam siedzę i patrzę na morze: oto są do końca marca szczegóły mego życia.

Dnia 25 marca, Niedziela. Był to dzień przeznaczony na obchód uroczysty urodzin naszej wielkiej kuzyнки. Z rana odebrałem list z wielu podpisami, między którymi znajdował się podpis Julliena starego, list, zaklinający mię, abym na posiedzeniu literackim czytał. Siadłem więc do roboty i w kilka godzin napisałem odę, w której umyśliłem kilka myśli z różnych poematów. Przyszedł wieczór: ogromne zgromadzenie, mnóstwo dam polskich i francuskich, młodych i ładnych. *Lafayette*¹⁾ przydował; wszyscy czytali po francusku, kutasy także: czytano wiersze francuskie, potem na końcu wiceprezes, obracając się do zgromadzenia, rzekł, że towarzystwo uprosiło największego z poetów polskich, aby po polsku deklamował, a stąd wzywa pana S., aby zasiadł miejsce. Pan S. nie zasiadł, lecz stojąc mówił... Co? trudno opisać; rzucałem całemu zgromadzeniu; potem rozlałem wiersz ody i powiedziałem jedną śliczną historyczną powieść w trzydziestu wierszach, znów wróciłem do ody i zakończyłem myślą z „*Lambra*“ wyjętą; wypiszę ją tu.

Ja będę śpiewał i dążył do kresu,
Ożywię ogień, jeśli jest w iskiecie...
Tak Egipcjanin w liście z aloesu
Obwija zwłędle umarłego serce...
Na liściu pisze zmartwychwstania słowa;
Chociaż tym liściem serce nie ożyje,
Lecz od zepsucia wiecznie się zachowa,
W proch nie rozsypie... Godzina wybije,
Kiedy myśl słowa tajemne odgadnie,
Wtenczas odpowiedź będzie w sercu — na dnie.

Po skończeniu prezes ścisnął mię za rękę i gadałem z nim przez chwilę: starzec interesujący. Francuzi mówili, że z taką duszą deklamowałem, że wszyst-

¹⁾ Czyt. Lafajet.

ko zrozumieli prawie. Kiedy po skończeniu spojrziałem na tłum dam, obaczyłem oczy jednej ślicznej tak impertynencko zwrócone na mnie, że moje musiałem odwrócić, i znów spojrziałem, i jeszcze to samo spojrzenie; żeby tak długo, tobym zwaryował. Potem słysząc głos jednej damy, po polsku pytającej się wszystkich o mnie. Była to pani Białopiotrowiczowa, którą znałem w Dreźnie; ta skoro mnie spostrzegła, przybiegła, wołając: „A, serce pana!...“ Odpowiedziałem, że się cieszę, jeśli się jej moje serce podoba; potem wymawiała mi, że u niej nie byłem, potem pytała mnie, czy mam przy sobie pugilares, bo mi chce zapisać swój adres; gdybym był go miał, to rękę, że w pugilaresie znalazłbym coś ciekawszego niż adres, bo to sawantka. Ale ja z najzimniejszą krwią wziąłem ze stołu pióro i kawałek papieru i dałem jej materyały nieromantyczne, co znacznie węgę jej osłabiło, tak, że tylko o mieszkaniu samem dowiedziałem się.

Potem w kilka dni byłem na wieczorze u Platearów, gdzie znów nowe od obojej płci zbierałem pochwały, gdzie pan Jullien znów się do mnie przysiadł i upewnił, że odę rozumiał. Dowiedziałem się, że już jeden z Polaków temperuje pióro, aby rozbiór moich poezyj pisać. Lemaitre¹⁾ jeden z francuskich poetów, wziął się do tłumaczenia mego Mnicha i Araba. Skibicki pisze artykuł do *Revue Encyclopédique* o moich poezjach i tam będą umieszczone dwa Lemaitra tłumaczenia.

5 kwietnia, czwartek. Cholera w Paryżu. Z rana przyszedłszy do drukarni, zastałem całą skonsternowaną: chłopiec mały 15-letni umarł na cholere. Musiałem pójść do salonu cieszyć i upewniać panny, aby się nie lękały. Wystawcie sobie, że kiedy chłopiec konał, kiedy wszyscy rzemieślnicy stali wokoło bładzi i przerażeni, tak, że nikt się tknąć chorego nie ważył.

¹⁾ Czyt. Lemetr.

moja kochana Kora sama otworzyła mu usta i dawała lekarstwo; gdy się o tem dowiedziałem, chciałem gwałtownie w obecności wszystkich chwycić ją i pocałować; szczęściem, że rozważa przyszła mi w porę.

Dnia 6 kwietnia, piątek. Z rana byłem na Mszy żałobnej, którą jeden z moich przyjaciół kazał odprawić za zmarłego ojca. Celebrował ksiądz z Praniewicz, Polak Żmudzin, który aż po Ameryce wałęsał się i od 5 lat w Paryżu usługę ołtarzową pełni; wielki oryginał. Potem ksiądz zaprosił nas na śniadanie do siebie, ale fraszka śniadanie. Ksiądz jest poetą, pisze, drukuje, czyli sztychuje z muzyką swoje wiersze i te nam śpiewał przy fortepianie: nic dziwniejszego jak ta melodia. Najwięcej mi się podobała strofa, w której Poniatowski mówi do przechodnia:

Jakom marszałek francuski,
Narodowi temu wierny,
Z moimim szedł na kraj pruski
Przez Sasy, ów naród mierny.

I ja i Skibicki dostaliśmy po egzemplarzu dzieł, przy których Baka byłby tak mierny, jak kraj saski. Ksiądz sądzi, iż jest wielkim poetą; pochwały nasze utwierdziły go w tem mniemaniu; była to jednak dla mnie scena nauczająca mnie, aby mniej ufać miłości własnej, mniej pochwałam cudzym, scena bardzo potrzebna, bo czy uwierzycie, że dowiedziawszy się o śmierci Goethego, pomyślałem sobie, iż Pan Bóg go wziął z tego świata, aby dla mnie, wydającego poezye, miejsce zrobił na świecie. Matko moja, widzisz, jak szczerze piszę ten dziennik, nawet głupie moje marzenia. Niech ci przynajmniej, kochana matko, te listy dowiodą, jak ciebie kocham, jakbym chciał, abym się do szczęścia Twego mógł przyczynić. Ale lękam się więcej mówić o Korze, bo bym was znudził, a jednak szczerze pisząc, i o niej mówić muszę.

Dnia 7 kwietnia, sobota. Ze Skibickim chodziliśmy do szkoły gimnastycznej, gdzie znaleźliśmy Błot-

nickiego z jego pupilem, który się tam uczy. Sienkiewicz dowiedziawszy się, że ja wydaję teraz poezye, pisał do Błotnickiego z Anglii, każąc mi się kłaniać i prosząc, abym mu jak najprędzej poezye moje przysłał bo je chce na angielski język tłómaczyć. Widzisz, kochana matko, jak ja to będę zaraz w dwóch językach figurował. Sienkiewicz spodziewa się wziąć za to znaczne pieniądze, i pewny jestem, że wszyscy moi tłómacze lepiej wyjdą, niż ja. Miło mi wreszcie, że to Sienkiewicz tłómaczyć będzie, i mimowolnie przypomniałem sobie Mikulskiego, który mi radził niegdyś poezyi zaniechać, mówiąc, że Sienkiewicz daleko większym ode mnie był poetą, a przecież tego błahego i głupiego rzemiosła zaniechał. Wykołę kiedyś czy Mikulskiemu, posyłając mu po angielsku tłómaczone moje poezye.

Dnia 8 kwietnia, Niedziela. Zacząłem dziś rano pannę Korę po polsku uczyć; dziwne prawdziwie moje lekcye; starsza siostra bardzo z tego kontenta. Przypominam sobie, że raz, kiedy jej mówiłem, jak miłość chłopców ukształca, odpowiedziała mi, że i panny bardzo się kształcą, chce więc zapewne, aby się panna Kora uformowała; bardzo dobrze. Zdaje mi się jednak, że na zły wpadła sposób. Panna Kora płakała cały ranek, nim ja przyszedłem; dziwna dziewczyna, mówiłem wam, że Hiszpanki ma za króję. Wieczór ze Skibickim na włoskiej operze: pierwszych w Europie słuchałem śpiewaków, a jednak nudziłem się i ze Skibickim klóciłem się przez cały ciąg sztuki o włoską i niemiecką operę; ja byłem za ostatnią. Grano *Il Pirata* Belliniego, i *Othello*, operę Rossiniego. Rubini, pierwszy śpiewak, nieporównany.

Dnia 9 kwietnia, poniedziałek. Skibicki po wczorajszego kłótni przyszedł do mnie o 12 w południe, i pociągnął mnie na koncert historyczny w konserwatorium muzycznym. Dziwne to jest zjawisko — koncert historyczny. Pan Fétis, profesor, czytał rozprawę

o sztuce oper od najdawniejszych czasów, a po każdej z trzech rozpraw następowały przykłady przez pierwszych śpiewaków i stare sztuki śpiewane były przy tych instrumentach, których dawniej używano. Nic piękniejszego dla mnie, jak słyszeć Rubiniego, naśladującego starego jakiegoś śpiewaka przy akompaniowaniu klawicymbału, harf i wioł; wystawić sobie nie możecie, jak to interesująco, jak miło wpada w ucho postęp sztuki, jak widać każdy przeskok do doskonałości, jak się wreszcie ładnie wydawały arye Webera i Rossiniego, na końcu śpiewane. Ścisnąłem Skibickiego za sprawioną mi przyjemność; nie możecie sobie wystawić, jakim on jest dla mnie, jak mnie w świat prowadzi, jak sam pomaga do tego, abym tam był dobrze przyjęty. Otóż to koniec życia dawnego Julka Słowackiego.

Dnia 12 kwietnia, czwartek. Mam poezye moje, i pierwszy dzień ich wyjścia był dla mnie źródłem nieskończonych przyjemności.

Matko moja, cóż ty, co wy wszyscy o waszym Julku powiecie? Matko moja, zdaje mi się, że ciebie te poezye nie zmartwią, chyba zasmucisz się temi kilką błędów drukarskich, których twój szalony Julek uniknąć nie mógł. Zwłaszcza pod koniec *Zmii* błyszcza te omyłki straszliwym blaskiem. Dziś obaczyłem u Pinarda rejestr ludzi sławnych, zawarty w biografii *Contemporains*¹⁾ (!) a pod literą S. taki porządek: Skrzynecki Jan, Słowacki Euzebiusz, Słowacki Juliusz, Smuglewicz Franciszek, Śniadecki Jan, Śniadecki Jędrzej; widzicie, że w dobrem jestem towarzystwie. Ucieszyło to mnie bardzo. Jest to najślawniejsza biografia; ciekawy jestem, co o mnie piszą, będę się starać dostać jej. To dziwniejsza, że ta biografia wyszła wprzód, nim zacząłem drukować moje poezye; a stąd nie wiem, z czego mię tam sławnym zrobili. Nieza-

¹⁾ Czyt. Katanporén.

długo wyjdzie o mnie artykuł w *Revue Encyclopédique*, przyślę wam go; na końcu rozbioru moich dzieł będzie umieszczony poemat *Arab* tłómaczony przez Lemaitre. Posyłam wam egzemplarze z podpisami; nie wielu osobom posyłam, a to dlatego, aby moich podpisów nie pospolitować; aby te osoby, które ode mnie dzieło otrzymają, wiedziały, że ja je szczególnie szanuję i kocham. Na drugi dzień po wyjściu dzieł, Oleszczyński, sławny sztycharz, prosił mnie, abym mu portret mój zrobić pozwolił; jak wyjdzie, przyślę go wam. Wierz, kochana mamó, że tyle tu mam uwielbienia od moich rodaków, że mnie już krytyki nie obchodzą; martwię się błędami druku, ale spodziewam się, że będę mógł prędko drugą edycję wydać i te błędy zginać. Posyłam egzemplarz ciciu Franusi i Pułaskiej, spodziewam się, że dla nich nie będą obojętne podpisy. A ty, kochana mamó, jakimże sposobem mógłbym ci dać poznać, że ciebie jeszcze z pomiędzy tych wszystkich osób odróżniam? Czy ty nie odgadniesz, matko, co czułem, podpisując dla ciebie egzemplarz? Wiem, kochana mamó, że tobie to robi przyjemność, że kiedy będą chwalić Julka, to wreszcie uwierzysz, że to nie czynią osoby dla oszukania łatwowiernej, kochającej matki. Teofilu, Hersyllo, widzę stąd mój egzemplarz naprzód na waszym stoliku, a potem w szafce, w pokoju, gdzie ja kiedyś mieszkalem. Widzę czasem dziadunia i babunię, kiedy w swoim pokoju przy oknie czytają fatałachy, przez Julka przysłane. Teofilu, gdybyś ty malował miniatury, prosiłbym cię, abyś mi teraz mamę, dziadunia, babunię, siebie, Hersylkę i Melankę przysłał: teraz, kiedy jestem oddalony od was, byłoby to dla mnie największą przyjemnością. Byłbym czasem w pośródu was. Posyłam ci, kochana matko, 50 egzemplarzy na sprzedaż i 13 egzemplarzy z podpisami dla różnych osób.

Dwa tomy kosztują złotych 18 czyli dukata. Pamiętajcie ani groszem taniej nie sprze-



Mniemany dom, w którym urodził się Juliusz Słowacki.

dawać, bo na tem będzie cierpiał mój honor, nie miłość własna, ale honor, bo księgarze, dowiedziawszy się, że kto inny taniej sprzedaje, powiedzą, że ich oszukał. Bądźcie zdrowi i szczęśliwi; ja jestem szczęśliwy, i gdyby nawet 2000 franków wydane na druk dzieła nie wróciły się, to powiem, że nie drogo szczęście kupił. Wreszcie, kochana mamó, weź tyle egzemplarzy, ile ci potrzeba dla rozdania osobom, które kocham. Adieu, adieu! Proście pana Będzińskiego, aby sprowadzenie paki z książkami, którą dziś przez dyliżans wysyłam, ułatwił.

13.

Paryż, dnia 26 maja 1832.

Kochana mamó! Już miesiąc upłynął, jak posłałem mamie 62 egzemplarzy mego dziełka; będę bardzo szczęśliwy, kiedy się dowiem, że już go (!) otrzymaliście, ale to tak prędko być nie może, bo *roulage*¹⁾ francuskie, które przewozi książki, idzie bardzo powolnie, nie tak jak poczta. Bankier trochę się gniewa na mnie za komis, starajcie się go przeprosić; bo dał mi to uczuć w liście, który do mnie napisał. Zaraz po oddaniu tamtego listu na pocztę, odebrałem wasz list. A naprzód odpisuję na niektóre w nim punkta. Zasmuciła mnie bardzo śmierć cioci Franusi; właśnie posyłając wam poczyte, na jednym egzemplarzu, dla niej przeznaczonym, napisałem słów kilka, więc pierwsza moja pamiątka już jej nie zastanie; wszystko mi za późno przychodzi. Ofiaruj, kochana mamó, Beaupremu ode mnie jeden egzemplarz; ciekawy jestem, czy przeczytawszy go, nie domysli się, że się kiedy kochał namiętnie. Ja ciebie, mamó, zapewniam, że już dosyć kochałem się, i nie proście Boga, aby wasz Julek był kiedy drugi raz takim waryatem, jak wtenczas, kiedy miał lat 17, bo nie wiem, czy by wyszedł

¹⁾ Czyt. *Rulaz*.

z tego paroksyzmu; wiecie, że po tamtej słabości teraz jeszcze jestem *en convalescence*¹⁾). Heryngowa niech się dowiaduje o syna swego w Królestwie Polskiem; ja go zostawiłem w Warszawie i w niedostatku, któremu póki z nim byłem, jak mogłem, dopomagałem. Mieszkał u mnie, prawie bez grosza będąc; po moim wyjeździe nie wiem, co się z nim stało, ale tam go matka znajdzie, niech go szuka, i niech się stara wyrwać z nieszczęścia; ona jest jeszcze jednym przykładem, jak Bóg karze matki, nierówno kochające dzieci swoje.

Kochana mamó! Wszak ty byś mnie zawsze kochała? A kto wie jednak, gdyby jaka panna Słowacka na wydaniu teraz była przy tobie, to może byś, mamó nie bardzo myślała o tym biednym Julku! Jak mnie zasmucił frazes: „matka chciałaby do Ludzia dostać Francuza, a mieć go nie można.“ Więc jeszcze u was trwa systemat powierzania dzieci włóczęgom Francuzom, z których tu najuczciwsi nie wiele warci, a dopiero ta klasa, co się włóczy po świecie, na końcu języka szukając chleba!

Od czasu, jak pisałem po raz ostatni do was, miałem kilka dni dość interesujących, a przynajmniej dni te odbijały od monotonnego życia w Paryżu. Pierwszego dnia Wielkanocy odebrałem zaproszenie od księżnej Czartoryskiej na święcone. Święcone w Paryżu! Bardzo mi to było miło; znalazłem tam piękny świat, ale nasz: wszystko, co tylko jest znacznego, było zebrane koło stoła, na którym między potrawami francuskimi świeciły się nasze kolduny, barszcz, nieznane tu naleśniki z konfiturami; ale nasze baby! O baby! tych już na całym świecie nie znajdę. Bab nie było, bo tutejszym biskopowym ciastom tego nazwiska dać nie mogę, i było to raczej polskie śniadanie, od czego jeszcze iluzji dodawały zawijane zrazy, od których zacząłem, zupełnie takie jak u babuni. I powtarzam,

¹⁾ Czyt. *An kawalessans*’.

niepodobne to było do święconego, bo nie było nawet w salonie tego zapachu, który jest właściwy naszemu święconemu, a który ja tak lubię: ten zapach nieopisany, niepojęty, rzekłbyś, że zapach święconej wody, pomieszany z emanacją bab, barwinku, jajek, baranków, zapach który mnie ściga, jak sen dzieciennych lat. Ksiądz Praniewicz, o którym już pisałem, ów kaznodzieja-wojażer, muzyk i poeta, świecił stół, i w towarzystwie dziwnie się wydawał w swojej sutannie, bo tu ksiądz na ulicach nie spostrzedz, kilka tylko mniszek widziałem.

Otóż tak przepędziłem ranek pierwszego dnia Wielkanocy, a w wieczór rozmyślałem o 22 świętach, które przebiegły przez 22 lata życia; przyszłe święta może w Rzymie obchodzić będę. W tydzień potem miałem scenę innego rodzaju: musiałem być sekundantem jednego z moich przyjaciół, jednego z posłów: pojedynek miał być śmiertelny i muszę się wam przyznać, że chciałem koniecznie, aby na niczem się skończył. O godzinie 4 rano wyjechałem z moim protegowanym do lasu bułońskiego; wszak musicie znać ten las, bo jest sławny z pojedyneków; śliczny las, zupełnie mi wieś przypominał. Ranek był taki piękny. Widzieliście mię czasem, kiedy wzburzony chodzę prędkim krokiem; otóż właśnie miałem taką minę, chodząc po alejach ocienionych krzakami leszczyny wten czas, kiedy mój towarzysz leżał pod drzewem i myślał zapewne o Litwie i o rodzicach. W godzinę przyjechali nasi przeciwnicy, a z nimi Hłuszniewicz jako doktor. Oznaczyliśmy plac, aż tu strażnicy lasów pokazują się, i widząc plac rozmierzony, oświadczają nam, że w lasu od niejakiego czasu strzelać się nie wolno. Wsiedliśmy do karek, i ujechawszy z wiorstwą, zastanawiamy się, obieramy nowy plac, nabijamy pistolety, aż tu znów ci sami strażnicy, już seryo na nas rozniewiani, iż za nie ważymy ich ostrzeżenia. Znów więc siedliśmy do powozów i wyjechaliśmy z la-

sku aż do St. Cloud.¹⁾ Tam zwierzywszy się woźnicom z naszego zamiaru; ci zawieźli nas o milę dalej od Paryża, do lasku ogrodzonego jak ogród, i tam oświadczyli, że możemy się strzelać, bo nam nikt nie przeszkodzi. W tym lasku odbył się pojedynek okropny, bo z taką zimną krwią się odbywał, że trwał półtorej godziny, a trzy razy strzelali się. Właśnie kiedy ja komenderowałem schodzenie się do baryer, kiedy oba przeciwnicy przybliżali się, mierząc do siebie i postępując żółwim krokiem, zegar jakiś z poblizkiego miasteczka uderzył godzinę 10, ale tak pomału, tak donośnie, że my sekundanci oparci o drzewa, spojrzeliśmy na siebie i zadrżeliśmy; przyznali się nam potem dwaj przeciwnicy, że i na nich zegar ten okropne uczynił wrażenie. Za trzecim strzałem mój towarzysz w rękę ranionym został, i dalszego strzelania nie dopuściliśmy, to jest oni nie dopuścili, bo ja z najzimniejszą krwią nabijałem pistolety. Aby się tu przed wami uniewinnić, muszę tu dodać, że mój towarzysz był obrażony tak, że widziałem, iż tylko przez domaganie się coraz nowych strzałów aż do śmierci, honor jego mogłem ocalić, jakoż mam w nim teraz wdzięcznego przyjaciela. Po pojedynku przywitałem się z jego przeciwnikiem i odwieźliśmy obu zwaśnionych do Paryża. Nie pogodzili się z sobą, ale są grzeczni nawzajem i w towarzystwie witają się z daleka.

Przeszłej Niedzieli wyczytaliśmy w gazetach rzecz bardzo interesującą, że w Wersalu, o dwie mile od Paryża, mają być puszczane wody; byłem, widziałem: nic na świecie podobnego; prawdziwie jest to cud świata, jeszcze nie tak ogromnego nie widziałem. Byłem kilka tygodniami wprzód w Wersalu i widziałem pałac, pokoje, widziałem wielki i mały Trianon, nie potrzebuję wam go opisywać, bo go znacie z memuarów rozwiązanego wieku Ludwika XIV i XV. Pokoje,

¹⁾ Czyt. Sę-Klu.

gdzie pani Maintenon¹⁾ mieszkała, malutkie i takie jak u nas pokoje ładnej szlachcianki; pokoje gdzie przyjmowała gości wielkie, ale bez żadnych bogactw. Ogród ogromny w guście francuskim, ale ogromny. Ostatniej Niedzieli zdawało się, że wody były duszą tego ogrodu, wszędzie widać było brylantowe kolumny, najpiękniejsze myśli z mitologii zrealizowane; tu w pośród okrągłej sadzawki wznosi się kilkostopniowa podstawa, na której szczycie stoi Latona, zamieniająca jakiś tam ród człowieczy w żaby i żaby te tryskają na nią kolumnami wody, tak, że ona cała jest nakryta brylantowym sklepieniem. W innym miejscu jest ogromna sala pod czystym niebem, otoczona kolumnami z marmuru, i między kolumnami stoi tyleż wazonów, a z każdego wytryska fontanna, tak, że sala ta jest otoczona ścianami z marmuru i wody. Dalej ogromny Tytan, rzucony przez Jowisza w skały, ciska do niego z gęby ogromny słup wody na kilkadziesiąt stóp w górę. Ale największe wody są nie do opisanía, tysiące ludu otacza je. Na ogromnej przestrzeni kilkadziesiąt fontan strzela w różne strony, a wiecie, że fontanny wersalskie są najwyższe na całym świecie. Po każdym puszczaniu wód, skarb musi łożyć 13,000 franków na ich naprawę, i dlatego bardzo je rzadko puszczają, a kiedy ten dzień nadejdzie, to cały Paryż wysyła swoich mieszkańców do Wersalu. Wtenczas to miasto ożywiać się zdaje; ale widziałem je w inne dnie: wtenczas żadne jeszcze miasteczko nie wydało mi się tak smutne. Pałac ogromny i pusty, przed pałacem ogromny plac, otoczony domami dosyć nędznymi, i po całym placu ledwo gdzie można ujrzeć żywą duszę, wyjąwszy draganów, którzy zajmują będące na przeciwko pałacu i taką samą architekturą stawiane koszary. Kochana mamó! będziesz mi zazdrościć, że widziałem Wersal, bo wiem, że ciebie by bardziej interesował niż mnie, który pań i dam Ludwika XIV

¹⁾ Czyt. Mętena.

nie znam, ani na miniatury ich nigdy nie patrzałem z ubóstwieniem à la dame¹⁾); damy są bohaterami przeszłości. Kochana mamó, otóż to są szczegóły mego życia w Paryżu; jeżeli się nad niem zastanowicie, to żałować mnie będziecie, że nie mam żadnych przyjemności uczuć, tylko przyjemności wrażeń.

Nie miałbym wam co pisać o obiedzie dawanym niedawno dla nas przez Francuzów, ani o śmierci Perrier²⁾), pierwszego ministra i naszego nieprzyjaciela; umarł nieżałowany przez nikogo. Kochana mamó! o nie teraz nie proszę Boga, tylko aby mnie doszła od was wiadomość, żeście już odebrali moje poezye: chciałbym koniecznie, aby was doszły. Księgarze posłali je do Polski. Kochana mamó! ściskam ciebie serdecznie i całuję, powtarzam często twoje przysłowie: „Jakoś to będzie“, i czasem w nie wierzę. Babuni i dziadunia rączki całuję; przypiski kochanej babuni zawsze mnie do łez rozczulają i słowa jej napisane w moim sztambuchu są często prawidłem mego życia; staram się od ludzi jak najmniej wymagać. Hersylko, Teofilu, wy nie gniewajcie się na mnie, jeżeli do was osobno nie piszę, bo uważam, że w ostatnim liście ukarałiscie mnie, nie pisząc mi ani słowa o sobie. Ja was zawsze szczerze kocham i wspominam często. Panu Okraszewskiemu moje ukłony, jako też panu Pawłowi Jarkowskiemu i Beaupremu. Adieu, matko kochana, adieu.

Julek.

14.

Paryż, dnia 4 lipca 1832.

Najdroższa mamó! Odbieram już trzy listy od mamy w przeciągu tego miesiąca; w ostatnim lękasz się, mama, o mnie i posądzasz mię, że może chorował; otóż upewniam ciebie, że zdrow jestem, od wy-

¹⁾ A la dame czyt. a la dam — na wzór damy.

²⁾ Czyt. Perje.

jazdu za granicę nigdy mi na myśl żadna choroba nie przyszła. Co zaś do cholery, bądź spokojną, kochana mamó; słabość ta straszna z początku, dawno już opuściła Paryż. Ze listy moje nie są bardzo częste, temu przypisać należy, że widząc, jak wszyscy koło mnie nie mogą mieć od swoich wiadomości, patrząc na nich, mam się za szczęśliwego, że od was regularnie listy odbieram, a boję się częstymi listami nadwreżyć jakimkolwiek sposobem tej drogi, przez którą się wzajemnie znosimy z sobą. Każdy mój list może być nieszczęśliwszym od innych. Ach mamó! Olesia, jakie nieszczęście! Długo, długo myślałem o niej; czemuż mi nie opisiecie jej śmierci? jej ostatnich słów? chciałbym wiedzieć o wszystkim, ja, co ją przez całe życie widziałem. Ja będę miał także smutną chwilę: ten, któremu byłem sekundantem, i który mi za to najszczerzą wdzięczność chowa, także ma suchoty, i Hłuszniewicz powiada, że tego miesiąca nie przeżyje. Powiedzcie, że Henryczek w Dreźnie, i jak słyszałem, ma tu przyjechać, niech będą spokojni o niego. Kuzynka moja, jak się zdaje, może przyjdzie do zdrowia, choć zawsze ślady słabości zostać muszą; doktorowie, a między innemi John, zrobili wielkie konsylium i zdaje się, że przedsięwezmą skuteczne lekarstwa; wszyscy co ją kochamy, mamy nadzieję; kiedyś więc może przywiozę do was tę kochaną dziewczynę. Skibicki listy odbiera przeze mnie. Co do mnie, gdybym chciał pisać wam dziennik, ten zawarłby się w trzech słowach: czytam, czytam i czytam, to jest całe moje zatrudnienie. Jest jeszcze drugie, nudne: oto dwóch ubogich chłopców uczę po francusku, i nie uwierzycie, jaka to dla mnie męka, bo oba mają tak ciasne głowy, iż od miesiąca jak bakałarz uczę ich sylabizować. Pytasz się, kochana mamó, czy nie potrzebuję pieniędzy? Otóż muszę tu napisać stan mojej kasy. Z początku roku odebrałem od was 3000 franków, przeżyłem już sześć miesięcy, 2000 równo zapła-

cilem drukarzowi, teraz mam w biurku 1300; te mi wystarczą do lutego, jak się spodziewam, bo mi się do tego coś jeszcze wróci z książek, a zatem aż po Bożem Narodzeniu będę ciebie, kochana mamó, o jaki sukurs prosił. Kochana mamó, jaki ja niedołężny, że zawsze dla ciebie ciężarem być muszę!

W tym miesiącu pan Jullien, o którym wam już pisałem, przysłał mi zaproszenie na obiad uczone: jest to obiad *Revue encyclopédique*, na który wydawcy tego pisma zapraszają wszystkich sławnych i znacznych cudzoziemców. Byłem więc na uczonym obiedzie. Wiedziałem zawsze, że uczeni ludzie są nudni, ale nigdy nie sądziłem, aby ich obiady takie złe były; i nie myślałem, żeby każdy zaproszony był darmo: każdy musi płacić 7 franków, i za to ma prawo słuchać i mieszać się do nudnej rozmowy. Na obiedzie prezydował pan Jullien i sławny admirał Smith¹⁾, który niegdyś Jean d'Acre²⁾, twierdzą, od Napoleona obronił i za to zyskał od Anglików wiele pieniędzy i sławy. Dzisiaj już stary, siedzi w Paryżu i bawi się mechaniką, różne wynajdując maszyny do ulepszenia sztuki wojennej; ale te maszyny, jak zwykle marzenia starców, tylko w modelach dobrze się wydają. Z Polaków było kilku generałów, kilku sławnych i wygnanych Włochów, Cooper Fenimore itd. Po obiedzie Jullien pił zdrowia, wznosił toasty, i między innemi mój toast, jako nowo przybyłego do grona i poety, na co mu podziękowaniem odpowiadałem. A podczas tych toastów wzniosła się burza i piorunami towarzyszyła mowom, a potem towarzyszyła mi deszczem do domu, tak, że ledwie fiakra znalazłem. I wróciłem w złym humorze, bo się spodziewałem, że obiad uczone będzie to coś większego i bardziej wspaniałego. Niedogodnością tego obiadu jest to sprzeczność pomiędzy sławnych wojskowością ze sławnemi

¹⁾ Czyt. Smis.

²⁾ Czyt. Żan-dakr.

nauką. Przed obiadem wszyscy zapisują się w księgę i tam można widzieć szereg wszystkich nazwisk, uczęszczających od początku na złe literackie obiady. Nie zrobiłem tam żadnej ciekawej dla mnie znajomości, bo siedziałem pośród dwóch moich kompatryotów, którzy mi nic ciekawego powiedzieć nie mogli.

Gniewasz się na mnie, kochana mamó, że nie o pannie Korze nie piszę; milezenie moje nie dowodzi, abym się szczerze zakochał, nie: wszystko jak było, wiernie opiszę, choć może śmiesznym się wam wydám. Przez grzeczność kiedyś powiedziałem pannie Korze, że ją kocham, ona mi się także przyznała, że mnie kocha, a wtedy zapytałem ją, co robi, jak ją kochać przestane; odpowiedziała mi, że się otruje, albo że się utopi, a z tej odpowiedzi widać, że się urodziła na brzegach Hiszpanii. Od tego czasu postanowiłem dowieść jej, że się ani zabije, ani utopi, chociaż ją kochać przestane: więc zacząłem kaprysić, przyprowadzałem ją do gniewu, dawałem uczuć, że jeszcze dziecko, słowem, mściłem się na niej za wszystko, co kiedykolwiek od wietrznic, jak mówi Bohdan Zaleski, ucierpiałem. Nie wiem z jakiej przyczyny, ale wpadła w gorączkę, w gorączce miała delir, a z tego siostry musiały się tajemniczy jej serca dowiedzieć; widząc, że nadto zły byłem w moim postępowaniu, postanowiłem, żeby mnie zapomniiała; powiedziałem jej to i przez miesiąc nie poszedłem do nich.

Pozaprzeszłej niedzieli, przechodząc przez modną aleję Tuilleries ogrodu, wśród tłumu wyelegantowanych dam ujrzałem znów pannę Korę z siostrami; ukloniłem się z daleka i przeszedłem! Ale pani Barateau¹⁾, jej siostra, posłała swego kuzyna, żeby mnie szukał i przyprowadził. Wróciłem więc do miejsca, gdzie damy siedziały, z bardzo wesołą twarzą siadłem przy nich na krześle (a muszę wam to dla wiadomości dodać, że krzesła w ogrodzie są płatne, nie wiele, bo

¹⁾ Czyt. Barato.

2 sous, naszych 5 groszy), gadałem przez godzinę; panna Kora czerwieniła się i bladła; potem damy wstały, musiałem pani Barateau ofiarować rękę i odprowadzić do domu. Przechodząc przez most królewski, Kora, która szła naprzód, zatrzymała się i zapytała siostry, z którego to mostu la duchesse de Guiche¹⁾ rzuciła się w Sekwanę? Uczułem, że to zapytanie było delikatnem przypomnieniem mojej niestałości, i uśmiechnąłem się, kiedy pani Barateau, która знаła kiedyś duchesse de Guiche, zaczęła długo na zapytanie Kory odpowiadać. Od tego czasu widziałem je znów kilka razy w ogrodzie, siadam czasem przy nich na kwadrans.

Ale dosyć o tem, już i tak czuję, że się wy ze mnie śmiać będziecie. Miałem teraz wielką przyjemność: pan Zawierski, który bawi w Montpellier²⁾, dowiedziawszy się z moich poezyi, że jestem w Paryżu, napisał do mnie prawdziwie przyjacielski list, dopytuje się o was, o Olesię; odpisałem mu nawzajem. Winienem moim poezyzom, że ze wszystkich końców Francyi znajomi moi przypominają się mi; wielu od ukończenia szkół nie widziałem.

Pierwszego tego miesiąca wielu winszowało mi imienin i odebrałem kilka bukietów róż, bo wiedzą, że ja kwiaty lubię, widząc często bukiety w moim pokoju. Ten, który miał pojedynek, przygotowywał dla mnie fetę w Wersalu, ale kilku dniami przedtem tak zasłabł, że na moje imieniny w łóżku leżał.

Przychodzi mi często gorąca myśl porzucić Paryż i jechać na morze, przynajmniej do Marsylii, żeby się w morzu kąpać; jedynie wstrzymuje mnie od tego bojaźń, abym przez zmianę miejsca pobytu nie utrudnił sobie komunikacyi z wami i nie stracił jakiego listu. Południowa Francya mocno mię wabi, a nadewszystko morze; wy nie możecie sobie wystawić, jaka to piękna

¹⁾ Czyt. La djeszes de Gisz' — księżna.

²⁾ Czyt. Mapelle — w południowej Francyi.

rzecz te (!) morze, jaki szum rzewny i smutny, byle tylko nie jechać na pakietbocie, bo wtenczas słabość morską zabija mnie.

Jakby mi kiedyś dobrze było, gdybym siadłszy między wami, mógł opowiadać moje zdarzenia, chociaż wszystkie dosyć pospolite!

Wychodzi tu pismo peryodyczne po polsku, może kiedy dojdzie i do was; wydawcą jest Podczaszyński.

Zwiedzałem niedawno ogród botaniczny i gabinety, widziałem w ogrodzie żywe ogromne lwy z Algieru i żyrafę, która tak niegdyś zawracała głowę damom francuskim; nie znalazłem, żeby żyrafa mogła damom głowę zawrócić: strasznie niezgrabna, ale ogromnie wysoka.

Dobrze Zenon zrobił, że powrócił, jeżeli... Czekam niecierpliwie listu zapowiedzianego, w którym może i od kochanej Julki kilka słów znajdę. Dalibóg, ja może i wart jestem, żebyście mnie trochę kochali, dosyć dobry jestem chłopiec.

Posłałbym list Skibickiego, który kilka słów grzecznych do mamy pisał, ale na tak wielkim papierze i z takim uszanowaniem, że bez wahania się listu tego nie posyłam, boby to uszanowanie i wdzięczność nadto wiele ważyły; i ja cierpię na listach, które do niego posyłać, bo list mamy zawsze taki krótki.

Kochany dziaduniu, babuniu kochana, wdzięczny wam jestem, ile razy mi przysyłacie wasze błogosławieństwo; jemu to może winienem, że dotąd w życiu ciężkie nieszczęścia ode mnie odwraca. Mamo kochana, bądź zdrowa; wierszów Melanki na imieniny mamy nie miałem, przyslijcie mi je. Teofilu, Julko, Hersylko, Adieu!
Wasz Julek.

15.

Paryż, dnia 30 lipca 1832.

Najdroższa mamó! Trudno mi opisać mojej radości (!), jaką miałem z ostatniego listu; więc czy-

tacie już moje książeczki! Ty, matko, może masz czasem jaką chwilę, w której uczucie dumy jest pociechą sieroctwa! Jest to najprawdziwszy wiersz Mickiewicza. Ale czemuż w liście, tak dla mnie interesującym, znalazłem kartkę czystego papieru, czemuś mi, mamó, nie powiedziała, którąś nazaczyła kartkę ołówkiem? Jak by mi było miło szukać u siebie tej samej kartki. Zdanie mamy o nich jest zupełnie słuszne, ale przeczuwam, że przestrzegany przez mamę brak w całościach, jest skutkiem rozpierchłych pieśni Żmii; muszę więc tu wam wyznać, że ten nieporządek w układzie jest koniecznym, że Żmija zdaniem mojem i wszystkich jest najdoskonalszym z moich poematów. Jeden z najsławniejszych naszych krytyków powiedział o mnie, przeczytawszy Żmiję, że cały naród ożył w pieśni, że tam gdzie inni z murów cegiełki dobywali, ja całe mury wzniosłem. Cieszy mnie, że Żmiję wszyscy znajdują najlepszym, bo to jest mój ostatni poemat. Widać więc, że postępuję i kształcę się. Książewicz chory ozdrowiał, przeczytawszy pieśń pierwszą, i skoczył z łóżka do czytającego; a generał Umiński pytał się raz na wieczorze Skibickiego, jak po francusku sumak, bo chciał jechać do Jardin des Plantes¹⁾, aby to zwierzę widzieć.

Poezyjom moim winienem pierwszą wizytę generała Paca, i miło mi było, że ten człowiek najwięcej szanowany zrobił mi tę grzeczność; piszę tu te błahe okoliczności, ale je piszę tylko dla mamy.

Tragedya Mindowe wiem, że bardzo słaba, oprócz kilku scen. Znajdują tu, że nie mam dramatycznego usposobienia, ale ja to przypisuję ich nieobeznaniu się z nowym dramatycznym rodzajem; oni przywykli do wiersza Barbary i nie wiedzą, jak wiele jest sztuki w wierszu przekładanym Maryi Stuart; lecz kiedyś dobry aktor da uczuć słowa wyrwyjące się

¹⁾ Czyt. *Jardé de Plant* — Ogród botaniczny.

z duszy, powiąże duszą te rozmowy, które teraz zdają się połamane.

Początek Jana Bieleckiego jest nie do rzeczy, jednak Bielecki jest najbardziej chwalony przez wielką liczbę, której takiej cichej poezji potrzeba. Ludwik Plater hrabia przerażony jest bezbożnością Mindowy, bigot!! równie krzyczy na moją bezbożność Włodzimierzowa Potocka; spodziewam się, że taki sąd wszystkich dam nie będzie.

Egzemplarze rozpraszaście tak, aby latały z rąk do rąk, a nadewszystko do Litwy i Wołynia (?). Mamó moja, choćbyś miała dwa egzemplarze, to jeden pošlij Ludwisi, koniecznie, koniecznie.

Nagrobki będę się starał w przyszłym liście umieścić, ale nie tu ciekawego niema w nagrobkach, wszystkie na jeden kopyt z białego marmuru, jak małe kapliczki; cóż więc po nich, kiedy białego marmuru nie macie! A wreszcie żądanie nagrobków to mnie przeraża... czyż myślicie uciec z tej ziemi wprzód, nim ja do was powrócę? Czekaście! ja wrócę, i razem pójdziemy.

Piszcie mi o Julce... nieszczęśliwa!... porównywaną ją z Olesią: szczęście i nieszczęście jednakowym dla nich było ciosem, ale szczęśliwa umierała z boleścią, gdy nieszczęśliwa skona z pociechą, że wszystko zakończy. Myśląc o Jasiu, napisałem Dumę o Emirze Rzewuskim, i zbieram wiersze do następnego tomu.

Teraz, kochana mamó, będę ci pisać wyjątki z dziennika mego, tylko nie zdradź mamie mego zaufania i nie dawaj czytać obcym tego listu.

12 t. m. Od spotkania się w ogrodzie zaczynam się znów widywać z Korą; bawi mnie bardzo jej otwartość, wszystko mi gada jak pacierz; bywam więc często z rana u tych panienek, i często przez długie siedzę godziny. Młodsza siostra Nelly powiedziała mi, że czytając Korynnę, wyobrażała sobie, że ja mu-

sze być podobny do Oswalda, to samo mówiła mi kiedyś Kora, widzicie więc, że temu zgodnemu sądowi muszę trochę wierzyć. Po przeczytaniu romansu Pelham¹⁾ przez pana Bulwer²⁾, z zamyślenia Oswaldowskiego przeszedłem trochę do dandyzmu, i dziś właśnie udała mi się rola w ogrodzie Tuilleries; pierwszy raz ubiorem zwróciłem oczy dam, bo miałem białe szarawarki, kamizelkę białą kaszmirową, w ogromne różnokolorowe kwiaty, tak jak dawne suknie damskie, i kołnierz od koszuli odłożony; do tego dodajcie laseczkę z pozłacaną główką i glansowane rękawiczki, a będziecie mieli Julka. Jeden z moich kolegów słyszał nawet damę mówiącą: Jaki ładny kostium! — I tak przybliżyłem się do kompanii Ludwika Platera i kilka słów powiedziawszy, odszedłem pewny, że powiedzieli o mnie: *Quel fat insupportable!*³⁾ I zapytasz zapewne, mamo, dlaczego to robię? Oto dla tego, iż raz zostawszy poetą, chcę ujść powszechnej nagany, która nasz ród wystawia jako opuszczony i niedbały, i nie chcę, aby mię tak jak Mickiewicza do domu gry nie wpuszczono, bo go służący wzięli za lokaja i dali odpowiedź, że ma źle zawiązaną chustkę. Choć tu użyłem takiego przykładu, winienem dodać, że nigdy do domów gry nie chodzę; byłem tylko dwa razy z uczciwym towarzyszem, i dla próby przegrałem raz 30, drugi raz 10 franków.

18 lipca. Zienkowicz, o którym wam pisałem, że ma suchoty, ten sam co miał pojedynek, wyjechał na mieszkanie do Wersalu dla czystszej powietrza; pisuje do mnie co dnia, ja też mu odpowiadam, i czasem wierszami robię gryzące obrazy naszych tu ziomków... i to mię trochę zaczyna zrażać od Litwy, którą dotąd bardzo kochałem; nie uwierzcie jakie

¹⁾ Czyt. Pelem.

²⁾ Czyt. Baller.

³⁾ Czyt. Kel fatęsjuportabl — Jakież to niezdolny człowiek.

zebranie głupców, zwłaszcza litewskie posły są nieporównane. Poeta Gorecki siedzi w Ems, Mickiewicz blisko jest Paryża i o paszport się stara, bo tu nas do stolicy puszczać nie kazano. Chodząc na spacer ze Skibickim, wymyślaliśmy różne bajki czyli kłamstwa wojażerskie, któremi będziemy bawić kiedyś naszych rodaków za przyjazdem do kraju.

20 lipca. Byłem na wieczorze muzycznym u pani Pinard. Widziałem, że Kora uprzedziła dobrze o mnie panienki, bo patrzyły na mnie z ciekawością. Anais, najstarsza, uprzedziła mnie, żebym ściśle strzegł mego serca, bo mi go jedna z panien ukradnie; nieszczęściem panienka owa była zakatarzona, i z sercem nie przeszytem strzałą uszedłem, a może dlatego, że była nieładna. Zły byłem na Korę, że się koło mnie ciągle kręciła, i kiedy mnie prosiła, abym przyszedł we czwartek, odpowiedziałem zobaczę — z najzimniejszą krwią. Odebrałem znów list z Wersalu; wspominam o nim dla tego, że słowa napisane na końcu — twój do śmierci, — przez człowieka, który wie sam, że jest jej tak blizkim, dziwne na mnie i wstrząsające uczyniły wrażenie; skąd ten człowiek mógł zawrzeć w dwóch słowach tyle poezji? Znów mi przybyło 250 franków za moje poezye, i już robię projekt jechać do Marsylii nad morze. Tu muszę wypisać słowo w słowo z dziennika dzień przepędzony w Wersalu dlatego, bo różni się kolorytem od innych, bo ci, kochana mamo, da najlepiej mnie poznać; gwałt sobie zadając, nie opuszczę w dzienniku żadnego słowa; ty pojmiesz, mamo, jak wielką z mojej skrytości robię ofiarę.

Dnia 23 lipca. O godzinie 11-tej wyjechałem do Wersalu, który leży o 2 nasze mile od Paryża. Zienkowicz przyszedł na moje spotkanie, ale w drodze ominął się ze mną; przyjechawszy więc, nie zastałem go w domu. Dom ten trochę dzikimi chwastami zarosły i opuszczony, ale bardzo miły dla mnie, bo

właśnie w tych dniach, pisząc moje pamiętniki dzieciństwa, tak się rozmarzyłem w przeszłości, że koniecznie, koniecznie dzień jeden musiałem przepędzić w wiejskim cichym domu. Ogródek pięknym mi się wydawał. Było tam kilka winogronnych pni rozpiętych na murze, morel owocem okrytych, kilka kwitnących róż, gruszki pachnące, i około mur szary, a w kącie ławka z drzewa szara i nadpróchniała, gdzie córka gospodyni musi co dnia szyć i pracować, bo koło ławki widać dwie zachowane na pniu róże, blade i już osypujące się z liści. Na tej ławie usiedliśmy i często przerywając rozmowę, zastanawiałem się, słuchając tej wiejskiej ciszy. Wszystko było zgodne z tą ciszą, nawet ten młody człowiek, który siedział koło mnie i oddychał ciężko, blade, i za kilka tygodni może także cichy i śpiący. O piątej godzinie siedliśmy z nim do domowego obiadu; jak zwykle u chłopców, było dobre wino, porter angielski, a wtenczas rozmowa zaczęła się weselsza; do stołu posługiwała nam córka gospodyni, 13-letnia dziewczynka, bardzo do Hersylki podobna. Stawałem w jej obrotach, ile razy mój towarzysz, jak zwykle cierpki trochę w chorobie, gniewał się na nią za uchybienia w potrawach popelnione, bo często widział, że nie dopełnili jego rozkazów, gdy chciał, aby potrawy litewskim były zrobione sposobem. Chcąc raz dziewczynkę zmieszana wywieść z ambarasu, poprosiłem ją o pachnący różowy groszek, zatknięty w jej pelerynce; wybiegła do ogródka i narwała mi mnóstwo groszków, ale w przyniesionym bukietcie poznałem groszek, który zniknął z jej pelerynki, bo wszystkie inne, może umyślnie przez nią były zerwane z ciemniejszego koloru. Udując, że tego nie spostrzegłem, powiedziałem do niej: Ja nie o te kwiaty, ale tylko o twój różowy groszek prosiłem. — Uśmiechnęła się, zarumieniła i odpowiedziała pokazując na bukiet: il est là;

vous le reconnaissez bien¹⁾. Bardzo mi się podobała ta delikatna scena i bądź pewna, mam, że żadnem słowem nie zniszczyłem jej uroku. Potem Zienkowiec sporządził litewski kaliszan, taki jakieśmy go w Wilnie pijali: było tam piwo, porter, wino, syrop z konfitur, cukier, cynamon, cytryna i grzanki, słowem, było wszystko, co tylko się mogło w razie pomieścić, a tak był dobry, że się nawet mojej dziewczynie podobał. Po obiedzie poszliśmy do królewskiego pałacu, a kiedyśmy wychodzili, dziewczynka wyszła za mną na ulicę i patrzyła długo; odwróciłem się jeszcze z daleka i uśmiechnąłem i lekko schyliłem głowę. Chodziliśmy długo po parku i słońca krąg czerwony zachodził za drzewami, tak że się nań patrzeć można było; o godzinie 9-tej wsiadłem do dyliżansu i tak szczęśliwie, że sam jeden w nim jechałem. Przez całą drogę marzyłem, jeśli chce mama wiedzieć o czem, to o dziewczynce, i wkrótce ujrzałem coraz gęściejsze latarnie, potem Elizejskie pola, a potem ogłuszył mnie huk miasta, o godzinie 11-tej wysiadłem na oświeconej gazem ulicy Rivoli. Wracając do domu, ujrzałem w jednej bramie starca w porządnym surducie z tak schyloną siwą głową na piersi, że twarzy dojrzeć nie można było, w obu rękach trzymał kapelusz, ciemność nadawała mu jakąś wielkość nieszczęścia. Rzuciłem mu do kapelusza pieniądź miedzianą, bo mi przyszła myśl, że to może być udana wstydzącej się nędzy postać; stał nieporuszony, milczał; wstyd mi było myśli krzywdzącej starca, wróciłem się i rzuciłem do kapelusza pieniądź srebrny; milczał... to milczenie tak mnie zastanowiło, że gdybym miał pieniądź złoty przy sobie, wróciłbym i chciałbym być, aby jeszcze raz milczał. Kochana mam, nie czytaj nikomu tego listu, bo mię wezmą za głupca, że będąc w Paryżu,

¹⁾ Czyt. *Il e là, wu le rekonese-biê* — Jest tam, poznaje pan go dobrze.

piszę o dziewczynie, co miała groszek i o żebraku, który, milcząc, przyjął jałmużnę.

Dnia 28 lipca, sobota. Właśnie kiedy wychodziłem z rana z domu do panny Kory, portier oddał mi list od mamy, w którym wiadomość o dojściu moich poezyi; czytałem go, idąc ulicą, i z twarzą wesołą wszedłem do panienek; opowiedziałem im o mojej radości i ucieszyły się ze mną. Kora bardzo często wypytuje się o mamę. Anais zawsze mi donosi, co o mnie Polacy drukujący tam różne dzieła, mówią, i tym razem powiedziała mi, że Podeczaszyński chwalił się jej, że mu dałem moje poezye, że mówił jej, jak mię kiedyś na rękę nosił, jak mię kobiety i panienki psuły; na co mu Anais odpowiedziała, że nie widać po mnie, abym był zepsuty, bo jestem bardzo a i m a b l e¹⁾). Podeczaszyński wydaje pisemko po polsku, co tydzień wychodzące.

Odebrałem list od Zawierskiego drugi, w którym tak mi źle Francję południową wystawia, że mój projekt jechania do Marsylii upadł. Kiedym o tem panienkom powiedział, Kora zarumieniła się, bo myślała, że jej prośby zatrzymują mię w Paryżu.

Dziś i jutro obchodzą tu rocznicę rewolucyi, są fety dla ludu; chodziłem po obiedzie na pola elizejskie i widziałem, jak się lud francuski bawi, jeździ na drewnianych koniach, i na maszty oblane mydłem pną się, po zawieszony na nich zegarek, albo łyżkę srebrną! Wieczorem chodziłem po iluminowanym Tuilleries ogrodzie.

Dnia 29 lipca. Na czołnie przypatrywałem się fajerwerkowi przepysznemu; cały jeden most w chwili okrył się sztuczno-ogniowymi gmachami, i z pod tych mostów ognista jak most długi spadała do Sekwany kaskada. Potem wszystko zciemniało i znów wybuchnął bukiet olbrzymi, chyba Wezuwiusz będzie pię-

¹⁾ Czyt. emabl — przyjemny.

knieszy. Fajerwerk aż do krawędzi czołna, na którem siedziałem, w wodzie odbijał się i złościł Sekwanę. Potem przez kilka ulic, wiodących do Sekwany, przebiec się nie można było, tak były zapelnione powracającym ludem; przez całą noc spać mi nie dawały wysadzone po ulicy petardy, bo tu takim sposobem lud radość okazuje. Były tu także dla ludu wyścigi konne, wyścigi pieszych żołnierzy i jeleni, ale tych nie widziałem, nie chciało mi się mieszać w tłum ludu, który ta wolność uczyniła nieznosnie grubiańskim; przez niegrzeczność starają się próbować, czy równość trwa zawsze.

Dziś zaledwo wstałem z łóżka, ujrzałem z wielkiem zadziwieniem wchodzącego do mnie Henryczka Chońskiego. Przez kilka godzin opowiadał mi o swoich przygodach. Mówił mi, że pisze w tych dniach do rodziców. Dobrze wygląda, zdrow i wesoły, i teraz nie mogę w domu zastać, tak się włóczy po Paryżu.

Przyjechał tu także Bohdan Zalewski (!), poeta, i wielu innych z waszych stron. Czyście odebrali mój list ostatni, przed miesiącem pisany, z listem do siostry Skibickiego? Mój portret jest źle zrobiony, ale podobny bardzo; zdaje mi się nawet, że mu niewłaściwie Teofil wadę w oczach zarzuca.

Dnia 31 lipca. Spotkałem dziś rano Bohdana Zalewskiego, zaszedł mi drogę i poznał z daleka, choć bardzośmy się mało znali przedtem. Zaproszony dziś byłam przez jednego z moich kolegów na angielski obiad, który mi zupełnie Anglię przypomniał, tylko pani Gordon nie było. Właśnie rok temu przejeżdżałem przez Paryż, nie, raczej wczoraj rok. Mickiewicz przyjechał do Paryża, ale nie pójde pierwszy do niego; jeżeli się zechce poznać ze mną, to dobrze.

Kochana mamó, napisałem list do Ludwika Snia-deckiej. Odeślij ten list, moja mamó, ale tak, żeby pewnie doszedł, i żeby go przeczytała... o gdyby ona odpisała do mnie!... Ale nie spodziewam się... tylko co napisałem ten list, i dlatego widzisz tu, mamó, tak

przerywane frazesa, pióro rozkołysało się; smutno mi, ale co robić.

Jutro pójdę do Kory; może, kiedy zacznę mi patrzeć w oczy i uśmiechać się, może ten smutek rozproszy, choć dalibóg nie kocham jej. Przyszedszy do domu, zastałem bilety wizytowe Skibickiego i Sienkiewicza, z tych się dowiaduję, że Sienkiewicz przyjechał do Paryża. O kuzynce nic nowego, nic dobrego, zawsze chora, już wiecie o tem lepiej ode mnie, a ja wiem lepiej od was, że na jej słabość nie ma lekarstwa; list chorego (niegdyś) w karczmie oddałem Skibickiemu, do którego na moje ręce był przysłany; czy Skibicki odpisał? nie wiem.

Matko moja, kochaj mnie, kochaj, ja się często będę starał poezjami nowemi przypominać się tobie, bo mam zamiar ciągłym szturmem dzieł dobywać sławę. Teofilu kochany, nie piszę do ciebie osobno, bo ty czytając listy moje, pomyśl że to, co do mamy mówię, i do ciebie chciałbym powiedzieć. Chciałbym ci zastąpić choć w części Jasia.

Mamo moja, całuję ciebie, rączki twoje i rączki babuni i dziadunia.

Julek.

16.

Paryż, dnia 3 września 1832.

Kochana mamo! Jak wam teraz dobrze być musi wszystkim razem w spokojnym Krzemieńcu; wystawiam sobie wasze koło domowe, z panią Michalską, z wami, i Melanką, kręcącą się koło smutnego Stasia. Jak wam teraz dobrze być musi. Koło moich znajomych także się trochę powiększyło, ale zawsze dosyć nudne. Jak mi okropnie myśleć, że kiedyś powróciwszy do was, nie zastanę tylu osób, a tak często marzyłem, jak to ja będę kiedyś w domu Olesi, jak będę z Julką odwiedzał podrosłe Julinki; nie możecie so-

bie wystawić, jak to jest trudno oddalonemu o mil kilkaset wystawić sobie, że to wszystko snem nie jest. Wilno bez Olesi! Wierzechówka bez Julki! Często wystawić sobie nie mogę. Cieszę się, że mój portret przypomina mnie mamie, ale muszę tu napisać, że nie mam ani ciężkiego odetchnienia, ani obłąkanych oczu — mam tylko jakąś myśl ciągłą i ponurą, która mi zawsze marszczy lekko czoło i zdaje się wisieć nad oczyma. Przypomnij także sobie, mamo, że panienka w Dreźnie, kiedy mój portret zobaczyła¹⁾ powiedziała, że piękniejszy jestem od niego i dodała, że to jest zdanie jej matki.

Dnia 3 sierpnia. Pojechałem na dwa dni do Wersalu, gdzie były różne fety, i wielkie wody puszczano. Dobrze się przez te dwa dni zabawiłem; o wschodzie słońca wychodziłem na spacer do lasu, bo już się stęskniłem w Paryżu do drzew i murawy, zwłaszcza murawy rosą okrytej i pachnącej dziką wonią. O wodach Wersalskich nic pisać nie będę, bo chyba bym powtórzył to, co w dawniejszym liście napisałem. Zawsze mi się najwięcej podoba sala marmurowa, której ściany à jour¹⁾ zapełniają tryskające fontanny z marmurowych wazonów; możecie wszystkim mówić, że w tej sali wiszą pająki z fontan brylantowych utworzone, a w tych nadpowietrznych pająkach wieczorem woskowe świece się palą; jeżeli kto nie uwierzy, będzie miał ze mną sprawę, gdy wróce, ale dla czegoby temu nie miano dać wiary? Wszakże dziwniejszą są rzeczą w Anglii powozy, do których z pary uwiane zakładają konie, które zamiast owsa, węgle ziemne jedzą.

Chodząc wieczorem po parku między tysiącem ludu, przypatrującym się fontannom, spotkałem Antoniego Goreckiego poeetę, świeżo przybyłego z Dreznia. Ten mi dwie różne powiedział wiadomości: Stara Dobrzycka umarła ze smutku. Żal mi dobrej staruszki,

¹⁾ Czyt. a żur.

u której tyle wieczorów przesiedziałem. Drugą wiadomością jest ożenienie się Odyńca; napisał do swojej kochanki na Litwie, aby przyjechała do Prus, sam pojechał do Królewca, i pobrali się; niechaj więc im Pan Bóg dopomaga. Słychać, że Odyniec ma osiąść w Poznaniu i utrzymywać się tam, wydając pismo peryodyczne. Mówią, że bardzo ładnie przetłumaczył wierszem Czeicieli ognia i Lalla Rookh Moora i Kossarza Byrona. Od Goreckiego dowiedziałem się, że mnie panienska w Dreznie zawsze czule wspomina. Mickiewicz mieszkał w tem samem co ja mieszkaniu, ale na próżno starał się dobyć serce tej panienski; ja, czyli pamięć o mnie jest jak Horacyusz Kokles, który broni mostu wiodącego do jej serca: jak uschłe drzewo zawaliłem drogę, i nikt przestąpić zawady nie może, i mógłbym tu jeszcze wiele napisać takich porównań. Wiedziałem się także z Sienkiewiczem, któremu stary nasz patriarcha poetów kazał mi podziękować za przysłane mu poezye. Mówił, że wdzięczny mi jest za dar piękny, który wiele mu przyjemnych chwil sprawił! Zawsze mu się bardzo podoba akt 3-ci Mindowy; musiał sobie przypomnieć staruszek ów ranek, kiedy w małej swojej wioseczce, przy stole pijąc herbatę, słuchał tej sceny bezbożnej ze zmarszczonemi brwiami.

Dnia 7 sierpnia. Od kilku dni przyjechał Mickiewicz; żaden z nas nie chciał zrobić pierwszego do poznania się kroku, a było kilka osób, którym mówił, że mnie chciałby widzieć; starano się więc nas sprowadzić gdzie razem i poznać. Dziś zeszliśmy się na wielkim obiedzie; Mickiewicz improwizował, ale dość słabo. Po obiedzie, kiedy chodziło towarzystwo po ogrodzie, Mickiewicz przystąpił do mnie i zaczęliśmy sobie nawzajem mówić komplementa. Mówił mi, że mnie znał dzieckiem... przypominał mi ową jego wizytę u nas, gdy się zszedł tak nieszczęśliwie z Janem Śniadeckim. Śmiał się z przypomnienia, potem przypominał mi, że mu Maleski moje wiersze za

granice przysłał. Kiedyśmy zabrnęli w komplementa, kiedy mu mówiłem, że go uważam za pierwszego poetę... jeden z Polaków, stojący za mną i podchmielelony zapewne, powtarzał jak echo: „nadto jesteś skromny“; i temi słowami pomieszał zupełnie naszą rozmowę. Podczas obiadu, Cezary biegał i zapraszał nas na wieczór artystów do siebie; był to wieczór z mężczyzn samych złożony. Szopen, sławny fortepianista, grał nam, gadaliśmy różne poezye, słowem, że dobrze nam zszedł wieczór; wielu było Wołyńiaków, wiele wypiliśmy szampana. Wieczór ten był naśladowaniem świetnych wieczorów, które tu dają artyści francuscy: na takich wieczorach muzycy najpierwsi grają, następnie przy stolikach rysują karykatury i często korespondują z twarzy przytomnych sawantek. Wojażerowie opowiadają swoje podróże, uczeni swoje odkrycia itd. Pani Tastu¹⁾ jest najślawniejszą poetką francuską. Pani Allard²⁾ wydała romans w guście Koryanny pod tytułem: *le Romain du Maremnès*³⁾, dosyć chwalony. Kilka dni potem u Straszewicza był drugi taki wieczór, ale jak zwykle z długich przygotowań nie się nie klei, tak i na tym wieczorze nudziliśmy się śmiertelnie od 10-tej do 2-giej w nocy, pod koniec jednak Szopen upił się i prześliczne rzeczy improwizował na fortepianie.

Dnia 12 sierpnia. Anais, Nelly i Kora zaprosiły mnie na obiad, potem musiałem z panienkami pójść na spacer i znów mi Kora mnóstwo rzeczy nagadała przy księżycu pod pomarańczowemi drzewami Tuilleries ogrodu.

Muszę się tu przyznać mamie, że darowałem jej prześliczny sztambuch; dziwiłem się, że jej siostry nie w nim nie pisały, i dowiedziałem się, że w Paryżu nie

¹⁾ Czyt. Tastu.

²⁾ Czyt. Alar.

³⁾ Czyt. *Le romé de Maremnès*.

znają sztambuchów, tak jak u nas dla przyjaciół poświęconych; starają się tylko o napisy ludzi sławnych, imię w świecie mających. Nawet rysunki powinny być szkicami, przez sławnych malarzów robionymi. Jak to doskonale maluje próżność Francuzów, ten brak czucia nawet w kobietach. Ponieważ u tych panien mam opinię niepospolitego poety, którą winienem kilku bawiącym w ich domu Polakom, stąd silnie napierały się, abym co napisał po polsku w sztambuchu; w kilka dni odniosłem im sztambuch, ale z wierszami francuskimi. Nie mogły panienki same zgadnąć, czy te wiersze są dobre lub nie, dopiero kiedy je pokazały jednemu z francuskich poetów, gdy ten je pochwalił, i bardzo pochwalił, więc i panny tysiąc komplementów, tysiąc ekstazy z powodu wierszy powiedziały mi. Może mamę te wiersze będą interesować, więc je posyłam w tym liście. Teraz dopiero, kiedy się nauczyłem reguł wierszowania francuskiego, powiedziałbym naszym sawantkom, aby nigdy nie śmiały dwóch wierszy po francusku napisać, bo nie uwierzycie, ile w wierszach francuskich jest kaprysów i trudności, o których u nas ani się nie śniło. Jeden z Polaków mówił mi zdanie, jakie dał Mickiewicz o moich dwu tomikach: powiedział, że moja poezya jest śliczna, że jest to gmach piękną architekturą stawiany, jak wzniosły kościół, ale w kościele Boga nie ma. Prawda, że śliczne i poetyczne zdanie? podobne do jego sonetu pod tytułem „Rezygnacya.“ Zegatowicz jest w jednym z tutejszych miasteczek.

Dnia 25 sierpnia. Wyjechałem znów do Wersalu i chodząc sam jeden po ciemnych alejach parku, myślałem o Litwie, bo dziś dzień imienin niegdyś... Czy mama odesłała list mój do Wilna? Koniecznie chcę odpowiedzi. Pakę z książkami z przeciwnej strony odbić musiano, bo inaczej znalazłyby się owe 13 egzemplarzy z napisami dla wszystkich miłych i kochanych... teraz lub dawniej.

Dnia 27 sierpnia. Odebrałem list od was. Cieszy mnie, że *Żmija* w gazecie umieszczona; chcę więcej o tem szczegółów, jeżeli co jeszcze będzie nowego; nawet krytyki nie wahajcie się pisać, bo prawdziwie, że na nie jestem obojętny; dziwnie się w tem zmienił mój charakter. Henryczek zdrów, cieszy się emeryturą ojca, nie jeszcze z sobą nie zrobił, ale podobno ma zamiar wejść do szkoły handlowej; kto wie, czy Rotzyldeem nowym nie będzie.

A propos, wyborne są brzoskwinie, o których Jan Śniadecki zawsze wspominał; kiedyś i ja na starość z wami zasiądę do stołu, jak Jan z siwym włosiem i z białymi, najeżonemi brwiami (bo brwi mi teraz trochę się zgęściły), wtenczas będę gadał o paryskich brzoskwiniach, bo wyborne, jak lody się rozpluwają; najpiękniejsze po 4 do 5 groszy naszych się sprzedają, to jest po 1½ lub 2 sous. Wydaje to nam się bardzo tanio, bo mimowolnie sous przywykliśmy za grosz uważać, a frank za złoty, mało co więcej, co niezmierznie jest niedogodnem dla nas cudzoziemców. I tak dawniej jadłem obiady po 2 franki, wyborne na pozór, ale przekonałem się, że mi szkodzą, bo w tych traktyerniach skupują potrawy z innych drogich restauracy i różnymi sposobami chronią je od zepsucia, tak, że na stół podane, pięknie się wydają i są smaczne, ale przez długi czas używane, niszczą zdrowie. Ponieważ zaś nie życzę sobie otruć się obiadami, chodzę więc do traktyerów, gdzie *à la carte*¹⁾ jeść dają: bifszyk tam sam franka bez 2 sous kosztuje, ale przynajmniej zdrowy i posilny, a zjadłszy zupę, dwie potrawy i desert, można być sytym, obiad zaś taki 2½ franki lub 3 kosztuje. Są Polacy, którzy po 18 sous obiad jedzą i mają 3 potrawy, desert i pół butelki wina. Boże zmiłuj się nad niemi! W menażeryi królewskiej, gdzie dawniej co miesiąc dla zwierząt dostarczano z pewnego okręgu

¹⁾ Czyt. *a la carte*. — według karty.

miasta 15 zdechłych koni, teraz tylko dwa przysłano, więc trzynaście musiało dwunożne żywić zwierzęta.

Dnia 3 września. Pojechałem na cmentarz Pèrre la Chaise¹⁾, aby Teofilowi rysować nagrobki, ale prawdziwie, że napróżno czegoś pięknego szukałem: jedne są nadto kosztowne, i całą ich zaletą są posągi z białego marmuru, po 100.000 fr. płacone, mniejsze zaś są zupełnie pospolite, małe kolumny z... na wierzchu, małe piramidy, bo ten cmentarz, jest to las cyprysów i nagrobków tak gęsty, że z trudnością między nie wejść można; są jednak szersze drogi, którymi publiczność się przechadza. Odmienny nieco od innych jest grób wynalazcy telegrafów: jest to skała maleńka z kamienia, na której mały telegraf żelazny świecznikiem, z niego ogień jasno pozłocony. Groby marszałków francuskich są z białego marmuru i piękne, ale nie mają nic nadzwyczajnego, oprócz napisów: Massena, Cambacérès²⁾ itd. Najpiękniejszy grób pani Demidow, z domu Strogonow. Między kolumnami z kararskiego marmuru stoi trumna marmurowa, a na niej poduszka i hrabiowska korona. Chcąc widzieć wszystkie groby, byłem w Panteonie; jest to budowa w mieście na kształt katedry wileńskiej, z kopułą, podobną do kopuły św. Piotra w Rzymie. W tym kościele mają Francuzi składać swoich wielkich ludzi; mają, powiadam, bo dotąd oprócz Woltera, Russa, nie nie ma, tylko na ścianach cztery tablice w złotych ramach, w których są imiona poległych w rewolucyi. Ze szczytu kopuły, która jest najwyższą z wszystkich gmachów w Paryżu, widziałem śliczne panorama całego miasta, mrowisko ludzi, gdzie sobie gwarzą, rodzą się i umierają. Kiedy chodziłem po grobach Pèrre la Chaise, spotkałem śliczną pannę, w czarnym ubraną kolorze, ale na kulach, bo jedną stopę miała skrzywioną, a je-

¹⁾ Czyt. per la szez.

²⁾ Czyt. Kanbaser'.

dnak kształt nogi bardzo piękny; lekko i wesoło chodziła pomiędzy grobami i tłómaczyła napisy idącej za nią staruszce, dugennie; bardzo mnie zainteresowała. Wesołość przy tej ułomności pięknie się wydawała, jakby przymuszona; zdawało się, że pod nią smutne musiała ukrywać myśli, bo czegożby przyszła na groby; zdaje mi się, że ja musiałem trochę zainteresować, bo także w czarnym byłem ubrany tużurku, i byłem sam, i częstośmy się spotykali, choć jej nie szukałem. Bardzo była ładna, kiedy schodziła do mnie cyprysową aleją i czasem podniosła głowę, a wtenczas słońca promień obłąkany w cyprysowym liściu padał na jej twarz białą. Śmiać się ze mnie będziecie!

Michał odebrał list od siostry. Kochany Teofilu, dziękuję ci, że mi w twoim domku pokoik na wschód masz wybudować; nie uwierzysz, jakbym chciał kiedyś wrócić, przynajmniej mieć nadzieję, że wrócę. Kochana mamo! Każdy twój list dla mnie tak miły, że ci tego wyrazić nie mogę; staram się nawzajem wszystko pisać, i dla tego może śmiesznym jestem w moich listach. Adieu! Adieu!

Julek.

17.

Paryż, dnia 4 października 1832.

Mamo! Teofilu! Łączę was w tym liście, bo wiem, że potrzebujecie pociechy. Ale ja nie mam słów, abym trafić mógł do waszego serca. Okropne! Prawdziwie okropne były te dwa dni dla mnie: zdaje mi się, że mnie rokiem w przyszłość posunęły. Słuchajcież, opowiem wam wiernie te dwa dni mego życia, chociaż uszanowanie dla mamy kazałoby mi o niektórych rzeczach zamilczeć. Oszalałem był dla jednej młodej Francuski, która, jak mi się zdaje, także dla mnie oszalała. Nowa ta Fornarina oczarowała mnie, bo

nigdy o podobnie pięknej nie marzyłem w snach gorączkowych. Wczoraj rano o godzinie 9-tej położyłem się, aby zasnąć; zaledwo zamknąłem oczy, usłyszałem stukanie do drzwi: list od was... Senny siadłem do czytania, list ten spadł całym ciężarem na rozigrane i drżące prawie zmysły. O, bo też nigdy nie podobnego nie czytałem jak list mamy: w nim tak ogromna poezja smutku, że nikt, nikt z żadnych pisarzy do niej się nawet nie zbliżył, matko moja! Tyle w liście twoim prawdziwej boleści, tak wiernej, że płakałem, czytałem i znów płakałem; potem na kawałku papieru, leżącym na stoliku, napisałem trzy nagrobki, i posyłam je nieprzemienione. A potem zeszło się do mnie wiele osób, musiałem gadać przez dwie godziny o obojętnych rzeczach. A twarz moja była tak zmieniona, że pierwszy, co wszedł, powiedział: „Ty musiałeś dziś noc waryacką przepędzić“, a potem drugi raz spojrzawszy na mnie, rzekł: „przepraszam cię za moje słowa, ty musisz mieć smutną jakąś wiadomość.“ Tak twarz moja zdradza mnie przed ludźmi. Darujcie mi, że tak jak były pomieszane w życiu mojem uczucia i zdarzenia, tak i w tym liście piszę. Nie dawajcie mi napomnień, bo zbieg tych dwóch okoliczności przerażającą był dla mnie nauką. Ale jeszcze nie wszystko. Teofilu! znos niebezpieczeństwo a Bóg ci pobłogosławi: ty będziesz kiedyś jak twój rodzic widział trzecie dzieci z dzieci twoich. Bo nasza rodzina nie popełniła zbrodni, za którą by Bóg ją mógł karać. A spojrzaj na twoich rodziców, wszak i oni dziecię małe niegdyś stracili, a czyż kiedy o niem wspominają, zaleją się łzami? Wszak nawet nie wspominają o niem, a ja wnuk ich, który przepędziłem z niemi lata, nie wiem nawet, jak się to dziecko nazywało. Teofilu! wierzaj mi, że my ludzie nieszczęśliwi; zostanie nas mało, ale my będziemy siebie kochać przywiązaniem, z wielu osób przeniesionem na jednę, dwie lub trzy osoby; żebym ja był szczęśliwszym, to bym wam

może przywiązanie dzieci zastąpił. Ale ja złym jestem kazardzią szczęścia; te dwa dni mną całym zatrząsły, a kiedy to piszę, zalany jestem łzami. I czuję, że uczucia moje są skrzywione, bo wstrząśniony smutkiem, znajduję w nim jakąś głupią poetyczną egzaltowaną rozkosz. Darujcie mi, bo ja w dzieciństwie kształciłem się tak, abym nie był podobny do ludzi, a teraz dopiero pracuję nad sobą, aby być podobnym do człowieka.

Zmęczony porankiem dnia tego, poszedłem na obiad, jadłem gwałtem wiele, i piłem, aż pólki mi się w głowie nie zakręciło, i wróciłem do domu; a wieczorem przyszedł do mnie Michał po list, i gadaliśmy długo. Musiałem mu przeczytać list mamy, i gdy przyszedłem do miejsca, gdzie mama o naszych portretach piszesz, rozplakałem się, i on miał łzy w oczach, a potem wspólnym rozplakaliśmy się śmiechem i powiedzieliśmy sobie: *Cette vie c'est une farce un peu trop lourde*¹⁾). Tak ludzie tego wieku kończą smutne uczucia bluźnierstwem. W dziwnem byliśmy oba usposobieniu, i może dla tego napis dla Jasia straszne na nim zrobił wrażenie, i powiedział, że chciałby umrzeć dla takiego nagrobka.

Na drugi dzień, to jest dzisiaj, wstałem rano i skomponowałem rysunek, który posyłam. Wierze mi, że z cmentarza Père la Chaise żadnego nagrobka przynieść do was nie warto. Ten zaś, który tu wyrysowałem, zdaje mi się pięknym. Macie kariery kamieni, będzie więc może nie zbyt trudnym do zrobienia; chciałbym, żeby w ściany wmieścić kilka ułamków naśladowanych kolumn, żeby się ten grób wydawał, jakby z gruzów i kamieni ułożony. Jeżeli byście tego nagrobku nie zrobili, to go dla mnie zachowajcie. Jeżeli bym zaś umarł za granicą, to wtenczas każe testamentem zrobić sobie krzyż ogromny, z jednego kamie-

¹⁾ Czyt. Set' wi e tjun fars' e-pe-tro-lurd' — To życie jest farsą nieco zbyt ciężką.

nia chropowato wyciosany i nad nim cyprys posadzić i po łacinie inię moje na krzyżu napisać.

Kiedy grób rysowałem, przyszło do mnie dwóch znajomych; odwiedzają mię teraz często, bo w założonym towarzystwie, w wydziale literackim, Mickiewicz jest prezesem, a ja radcą wydziału. Właśnie mi w porę przyszła praca, kiedy nie robić nie mogę. I tak pan radca siedział, gadając o zajęciach literackich. Wtem przynoszą mi list, spojrzalem na kopertę, list był z daleka, ze stron gdzie się wychowałem, z czarną pieczętką, na której cyfra L. S. Nie możecie sobie wystawić, jak się przeraziłem! Mimowolnie list przy obecnych gościach konwulsyjnie zgmiotłem, tak, że się pieczętka rozsypała, a potem położyłem go na stoliku i patrzałem pomieszany na moich gości; zrozumieli mię i wyszli.

Wtenczas otworzyłem list okropny! Płakałem z takim łkaniem, jak dawniej, kiedy byłem dzieckiem, bo też list ten na nowo dzieckiem mię zrobił. Smutne nadzwyczaj wrażenie uczyniło na mnie opisanie jednej sceny. Antosia czytała Mnicha i Araba dla Zosi Balińskiej. Julka patrzyła jak Ludwisia wyszywała kwiaty do ołtarza na grób matki. Ludwisia spytała Julki, czy pamięta Julka Słowackiego? Powiedziała, że pamięta, że on był blady, miał czarne włosy i bawił się z dziećmi.

Świat ten, w którym starsi zapominają, a dzieci paniętają, *c'est une farce un peu trop lourde*. Te dwa dni były dla mnie prawdziwą szkołą uczuć i smutku, a kiedy wychodziłem z domu, to mnie coś tak korciło wrócić do tych dwóch listów, jak gdyby czekał na mnie w domu przyjaciel, co zwykł gorzkie ale zbawienne mówić prawdy. I tak całe dnie były zajęte odczytywaniem tych dwóch listów, że nie przeczytałem słowa z książek interesujących, które leżą na moim stoliku. Te dwa dni tak dalece odepehnęły wszystkie inne, że nie wiem, co o nich mam pisać.

Posyłam list do Ludwisi; ostatni on będzie, i już dosyć tego.

Piszesz mi, mamó, w poprzedzającym liście, żebym 3-ci tom drukował; muszę się wprzód z kasą porachować, bo tu pieniądze leżą. Wasze zaś milezenie o interesach przeraża mnie; może ty, mamó, cierpisz niedostatek? A wtenczas pomyśl, jakby to okropnie było, gdybyś to kryła przede mną, gdybym sobie wyrzucał każdą uciechę. Teraz już nawet po ostatnim liście Ludwisi i sławy mi się nie chce; nie wiem, jak ja bez tego ostatniego uczucia na świecie zostanę; może powróci. Z Korą także rozstaliśmy się, nie gada do mnie: nie kochałem jej, spostrzegła to; i widać, że dumna dziewczyna; ale widzę ją czasami, a zawsze coraz bardziej blada. Szczęście, że zima nadchodzi, będzie więc tańcować, a ma lat tylko 16 i ładna, więc zapomni.

Pan Barateau¹⁾ poeta, kuzyn ich, po przeczytaniu moich wierszy francuskich między innymi komplementami powiedział: *Ah! si je savais écrire des vers français comme vous!*²⁾ Powiedział to wobec koterii, która go przywykła uważać jako wyrocznię, a zatem to wyznanie musi być prawdziwe.

Przyjechał ks. Czartoryski do Paryża, byłem u niego z ranną wizytą; przyjął mnie nadzwyczaj grzecznie, bo się wprzód kilku osób pytał o mnie. Wiersze moje czytał u wód nad morzem w Anglii. W ciągu rozmowy pytał się o mamę, zaprosił mnie nakoniec na niedzielę na wieczór. Byłem na tym wieczorze, było tylko kilkanaście osób płci męskiej i kilka dam francuskich. Na wieczorze miałem z samą księżną bardzo pochlebną dla mnie rozmowę: zaczęła się od Anglii, a potem powiedziała mi: „Winniśmy panu wiele przyjemnych wie-

¹⁾ Czyt. Barato.

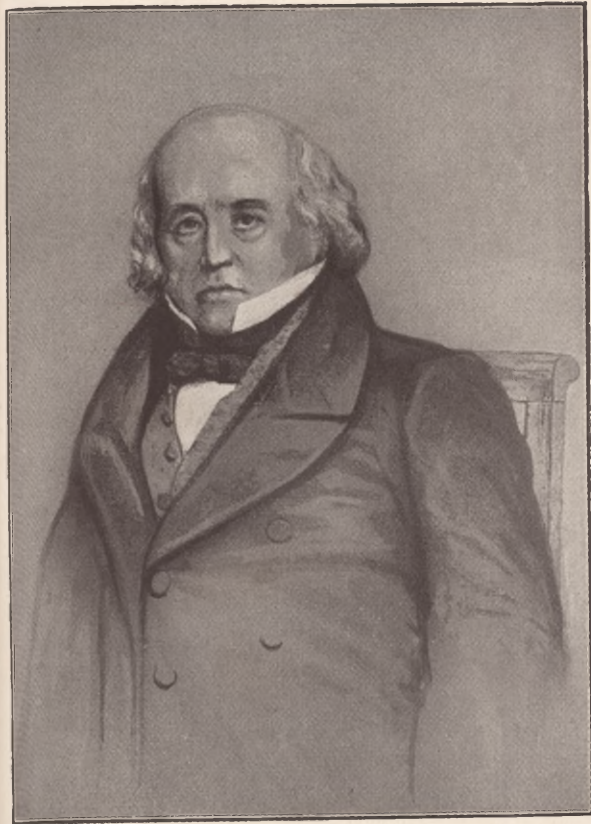
²⁾ Czyt. *A si je savais ekrir de ver fransc kom wu!* — o, gdybym ja umiał pisać wiersze francuskie jak pan!

czorów. Dawny przyjaciel, pan Błotnicki, czytał nam z całym swoim talentem pana poezye, chociaż te poezye nie potrzebowały talentu czytającego, aby się podobać mogły.“ Skibickiemu mówiła księżna zaraz przy przyjeździe, że długo nie czytała moich poezyi, bo jej hr. Ludwik Plater powiedział, iż bezbożne i brak w nich uczucia, że potem kiedy jej przeczytano „Mnicha“ i „Araba“, dziwiła się, że pan Ludwik mógł tak źle o rzeczach sądzić. Ja się wcale temu nie dziwię, bo stary i bigot.

Przyjechał do Paryża Stefan Witwicki; wiedziałem się z nim. Na wieczorze był Mickiewicz; nie możecie sobie wystawić, jak po liderlichowsku wygląda: z pomietym od koszuli kołnierzem i we fraku zasmolonym. Zbliżywszy się do mnie, powiedział: „Jeżeli teraz co porodzę, to będzie coś zapewne o oku dziecięcia, które dziś widziałem; na oku tem jest napis: Napoléon Empereur¹⁾, i to oko ciągle tkwi w mojej pamięci.“ Zdziwiłem się niezmiernie, że się jego imaginacya tak tem okiem, zapewne udanem a może szklannem, dla wyłudzenia pieniędzy wsadzonem, zapaliła. Wolałbym, żeby pisał o dziecku z złotymi zębami. Strasznie mnie zaczynają nudzić moi ziomkowie; resztę wieczoru przegadałem z dwiema panienkami farneuskiemi, i panienki francuskie znudziły mnie; nie wiem, z kim mam teraz żyć, a przynajmniej gadać.

Dnia 5-go, godzina 11-ta wieczorem. W tej chwili Michał przyniósł mi list do siostry; gawędziliśmy sobie dosyć wesoło, a potem spadliśmy na smutną stronę. Sama ks. Czartoryska wyjechała dziś do Galicyi, więc nie będzie już wieczorów: więcej to mego towarzysza, niż mnie zasmuca. List do Aleksandra Mickiewicza trochę u mnie zależał, więc powiedzcie, że się cały ten list w drodze zatrzymał; bo ja czasem nie mogę przełamać lenistwa, a potem częstych listów lękam się dla

¹⁾ Czyt. Anperer.



Julian Ursyn Niemcewicz.

was. U nas tu nic nowego, nie dla nas. Mój przyjaciel w Wersalu wyzdrowiał prawie, cud to, bo miał suhoty i bardzo posunięte daleko.

Zaglądam do dziennika, patrzyłem, com robił w dniu 28-go w niedzielę, kiedyście tracili Melankę, i znalazłem słowa: „Smutno mi, jak gdybym miał jakie przeczucie.“ Prawdziwie, że to jest coś niepojętego ta magnetyczna władza przeczucia: tak przeczułem był przyszłego roku w Anglii dzień okropny dla nas, kiedy rzeź była. Śniło mi się o tej rzezi, i gdy szedłem na herbatę, Anglicy mnie dopytywali się o przyczynę pomieszania; odpowiedziałem im że musiało się stać coś dziwnego w moim domostwie, i Anglicy śmiali się ze mnie, a ja tryumfowałem, kiedy w dni 15 nadeszły gazety i Anglicy patrzyli na mnie jak na człowieka obdarzonego władzą drugiego widzenia Szkotów.

Sen był dnia 15-go, miesiąc przypomnijcie z listu w Anglii pisanego. Od tego czasu wierzę więc w przeczucia, jest to jedno z niepospolitości w życiu więcej; teraz zła dygiestya albo za późne wstanie może mi tyśiąc przeczuć utworzyć. Co do projektu krakowskiego bardzo dobry, ale nie zupełnie bezpieczny.

Teofilu! Zdaje mi się, że tobie dobrze by było w Kijowie; miasto tanie i przyjemne; ja kiedyś także bym tam rad z mamą mieszkał, żeby mi to nie krępowało mojego zawodu, bo L a m b r o straszny. Ale nareszcie trzeba myśleć o punkcie zjechania się, bo tak błąkać się po zagranicy, to okropnie, zwłaszcza kiedy to długo pociągnie. Lękam się także o egzemplarze z napisami, i dla stryja tam były: chciałyby, żeby mogły być wszystkie wszystkim rozesłane; i teraz widzę, że pani Bałńska jest trochę może obrażona, posądzając mnie o zapomnienie; bo choć była tam, gdzie list pisano, a przecież ani słowa nie napisała, ani słowa nie kazała mi napisać. Jeżeli możesz, Teofilu, to się dowiedz w Mińsku o Hrehorowiczu, dawniej w Warszawie ze mną mieszkającym, i poślij mu jeden egzemplarz, pisząc, że ja

o to prosiłem, bo to godny człowiek. Że zaś moje wiersze nie mogą was skompromitować, to się przekonywałem z tego, że teraz je Glüksberg do Warszawy sprowadza, nie wiele wprowadzie egzemplarzy, ale zawsze pisał otwarcie o nie. W tych czasach otwartość ta nie jest moją zaletą i dla tego muszę koniecznie przed Nowym Rokiem zacząć drukować *Lambra*, ale osobno, nie jako tom III, bo nie chcę, aby tym tomom przeszkadzał.

Ale nie czas to pisać o interesach moich, kiedy wy przyciśnieni jesteście boleścią. I znów na wasz list spojrzalem, i znów mnie przeraża, i wiersz napisany przez kochanego dziadunia zdaje mi się najsmutniejszym, bo on mi się wydaje jak jakiś anioł — duch z tamtego już na wpół świata wyglądający, który wśród płaczących, zawsze jedno i znane mi napisał słowa: — Ja ciebie, mój kochany wnuku, pozdrawiam i powodzenia życzę. — Ta jednotonność słów robi te słowa tak uroczystymi, że mi się zdają błogosławieństwem Boga. Więc, dziaduniu kochany, klękam przed tobą, a przyrzekam ci, że wnuk twój będzie umiał kiedyś jak twój syn starszy dług wypłacić, którego ty dla starości wypłacić nie mogłeś. I ty, kochana babuniu, nie wstydź się wnuka wierszoklety, bo on oprócz wierszy ma jeszcze do rozrządzenia życie, a może Bóg mu pozwoli skonać jak skonali...

Teofilu! Hersylko! Nie, do was nic nie napiszę... Płakałem... Mamo kochana! Czuję, jak tobie teraz smutno... List twój, kochana mamu, zasmucił mię, ale razem piękność jego jest tak zachwycająca, że prawdziwie dumny jestem, i list ten, jeśli kiedyś o mnie pisać będą, wykryje tajemnicę całą, że jeżeli miałem jaką poezję w sercu, to ją od ciebie wziąłem. Zwłaszcza to wyrażenie mamu powtarza: Niech się dzieje wola Boga, ja zaś wspomniawszy na ciebie, nie zdolna do wyrzeczenia słów tych, — jest ogromnym obrazem matki, która nawet przed Bogiem dzieci swoje zakrywa, i Bogu nawet, że-

liby je miał zabić, broni. Te słowa miłości i przywiązania twego do mnie z duszy wyrwane, słowami mojemu zapłacone być nie mogą, lecz całym życiem.

Wasz *Julek*.

18.

Paryż, dnia 9 listopada 1832.

Kochana Mamo! Siadam z przerażeniem do tego ogromnego papieru, bo prawdziwie przez cały ten miesiąc tak siedziałem w domu, że przebiegając mój dziennik, nie nie znajduję, tylko wasze listy, które mi jednobrzmiennosc czasu przerwały. Jesień nudna, jesień jest tego przyczyną; ciągle śloty, mgły angielskie przeniosły się do Paryża, i często wieczorem nie można znaleźć dobrze znajomej ulicy; dziwnie się wtenczas miasto wydaje, słychać huk i turkot niewidomych powozów i tylko latarnie kabrioletów czyli fiaków we mgle płyną i migają.

Mamo moja! przysłany mi przez ciebie list Ludwisi przykrość mi zrobił, bo ona do mnie zupełnie inaczej pisała; szalona, chciałaby być poetyczną istotą, a jest śmieszna; smutek ją pewnie nie zabije. Zdaje mi się, że się trochę gniewa, że w moich poezjach nie o sobie, a zatem o niej nie pisałem; poznała mnie jednak czasem, pisze to sama, a ja się domyślam, że poznać musiała w scenach między Rizzio i Maryą Stuart, zwłaszcza w ostatniej scenie aktu drugiego. Po odebraniu listu do mamy pisanego, żalowałem, że nie niej drugi raz pisała, choć wpawdzie dosyć dumnie.

Zdanie mego stryja, czyli raczej jego wymówka, bynajmniej mnie nie dotknęła. Chciałbym był jednak, żeby brat mego ojca był rozsądniejszym człowiekiem; odtąd nigdy dla niego egzemplarza nie poślę, i ty, mamu, nie posyłaj mu, jeżeli chce, niech skąd inąd stara się. Cieszę się nieskończenie, że Fortunat do

matki wrócił, oby się mu znowu nie zamarzyło po świecie wędrować.

Żebyście wiedzieli, jak ten świat nudny: zupełnie inny, niż się nam wydaje; zwłaszcza Paryż, jest to prawdziwe więzienie dla człowieka bez wielu pieniędzy, bo w innym miasteczku i nawet mieście cudzoziemiec wchodzi zaraz do dobrych towarzystw. Tutaj zamknięte są domy; trzeba mieć kabriolet własny, żeby się otworzyły; zwłaszcza teraz *La noblesse* wyniosła się prawie z Paryża, *la bourgeoisie*,¹⁾ ta brylantowa poczwara, która zajęła jej miejsce, nie przepuszcza do siebie tylko bogatych. Chcąc zainteresować jaką damę, trzeba po angielsku gładać, udawać Anglika bo wiedzą, że Polacy nie mają pieniędzy; udawać zaś Anglika, trzeba udawać głupca i oryginała, bo takimi są Anglicy. W jednym tylko względzie Paryż mi się lepszym wydał, niż o nim marzyłem; gdy bowiem do nas kto z Paryża przyjedzie, zaraz ma jakiś dziwny, spiczasty kapelusz, jakiś frak wywrócony i t. p.; w Paryżu zaś przeciwnie, nie widziałem tu elegantów, tak jak u nas z połączonym kijem, z nakrochmalonym halsztuchem; wszyscy skromnie i zgrabnie ubrani. Ubierać się zaś można, jak się komu podoba: śmiało bym wyszedł na ulicę w dziadowej lisurce, którą niegdyś jak syn marnotrawny dziaduniowi zarwałem.

Widziałem tu niegdyś ludzi trochę podstarzałych, na modnym spacerze w jesieni przechadzających się w błękitnym, jasnowatowym szlafroku, na frak zamiast płaszcza wdzianym. Jeżeli chcecie sobie Julka wystawić, chodzi on w dniu mniej zimne w długim aż po kostki, ciemno-ceglastym surducie, krojem angielskim na jeden rząd guzików zapiętym, który mi już drugą zimę służy; w dniu zimne w granatowym płaszczu z długim kołnierzem i z bobrowem futrem, które mam

¹⁾ Czyt. *La-burzuazi* — Mieszczaństwo.

od kochanej mamy, a w dniu ciepłe w czarnym tużurku krótkim. W tym miesiącu byłem sześć razy na tragediach francuskich, w teatrze *Porte St. Martin*,¹⁾ który romantyczność wprowadził na scenę, i w teatrze *Français*, dawny sławny teatr klasyczny. Chodziłem na tragedye dla poznania się lepiej z Francuzami teatralniejszymi i z grą aktorek, albowiem pod sekretem powiem ci, mamu, że piszę tragedye dla pierwszego z tych teatrów; nie wiem jednak, czy mi ją przyjmą i zechcą wystawić, i czy zechcą zapłacić; dobrze by to było, żeby mi się w tych wszystkich zamiarach powiodło. Żebyście mieli wyobrażenie o smaku i obyczajach teatralniejszej publiczności, doniosę wam, że najbardziej tłum paryski na teatr *St. Martin* ściga tragedya z następującego ułożona podania: W dawnych wiekach królowa francuska *Marguerite* miała w Paryżu wieżę nad *Sekwaną*, gdzie teraz jest *Luwr*, i wieża ta nazywała się *tour de Nesle*. Tam królowa udawała się potajemnie w nocy, i dawała *rendez-vous* młodym chłopcom, dzieciom, które potem do rzeki, u stóp wieży płynącej, rzucano dla pokrycia wieczną tajemnicą postępów królowej. *La tour de Nesle*²⁾ jest tytuł zrobionej z tego tragedyi. *Panna George*, sławna tutejsza aktorka, gra przewybornie; zawsze biore miejsce w jednej z pierwszych łóż, żeby widzieć grę jej twarzy; śliczna jest, ona sama już stara, otyła i nieraz wpada w zadyszenie, kiedy mówi; przenoszą ją nad pannę *Mars*, najslawniejszą teraz na świecie z tutejszych aktorek. *Panna Mars* ma lat około 50, dosyć brzydka, grywa na teatrze *Français*, z figury bardzo mi mamę przypomina. Sceny najsmutniejsze mówi zawsze cienkim, jednobrzmiennym i przerywanym co kilka wyrazów głosem, ale głos ma jakiś czarujący: zdaje się, że najpiękniejszą muzykę słysze,

¹⁾ Czyt. *Port' Sé-Marté*.

²⁾ Czyt. *La tur-de Nesl'*.

kiedy mówi. Nie zaczyna ona tak jak nasze aktorki w tragedyi pierwszego zaraz wiersza płaczącym głosem, ani niesie ciągle do oczu chustki, ale chowa łzy i smutek na najsmutniejsze sceny; ona zdradza to przysłowiu Horacyusza: jeżeli chcesz do płaczu pobudzić, powinieneś sam naprzód płakać. — Przysłowie to jest fałszywe: smutek zdradzający się tylko mimowolnie, a nie smutek okazywany, łzy wyciska; dowodem tego jest list Ludwisi. Po większej części wszystkie kobiety dobrze grają, ale mężczyźni są szkaradnymi aktorami... Teofilu! Dzięki ci po tysiąc razy za wypisy twoje, tak starannie zrobione; wierz mi, że umiem czuć wszystko dobre, które od ludzi odbieram. Przedziwne wyrażenie: chcesz wiedzieć, co o tobie mówią gazety? Tak znarowiony jestem, bo ja od dzieciństwa przywykłem w gazetach figurować, i gniewa mnie to, że mnie teraz minuskulami drukują, kiedy dawniej drukowali wielkimi jak woły literami (jako celującego ucznia), cóż to dalej będzie, jeżeli tak zmniejszać będą?... Prawda, że głupi dosyć ten, co wyjątki umieszczał: nie położył n. p. pierwszej części pojedynku „Żmii“, i zaczął od wierszy: Daleko słychać szczęki pałaszy; nie położył łowów na sumaki, ani opisaną pożaru okretu w trzcinach; niech mu Bóg przebaczy, że mnie tak obciął. — Odyniec nie w porę sprzeczeki o romantyczność wznowił: ma on szczególną chęć wiązania swego imienia z innemi imionami; dziwię się, że nie położył w przypisku, że ja mu do „Izory“ cztery wiersze dorobiłem. Artykuł o balladzie: Czy to pies, czy to bies, — bardzo dobry; zrobiliśmy tę balladę w Dreźnie, powracając wieczorem z Grossen Garten, pięknego ogrodu. Zaczyna się od słów:

Szło dwóch w nocy z wielką trwogą,
Wtem pies czarny bieży drogą:
Czy to pies? czy to bies?
Rzecz jeden do drugiego:

Czy ty widzisz psa czarnego?
Czy to pies? czy to bies?
A obydwom z wielkiej trwogi
Włos się jeży — drgają nogi,
Czy to pies? czy to bies?

Tak dalej ciągnie się ballada, pies bieży ciągle przez kilka zwrotek, nareszcie sobie pobiegł, a poeci kończą:

Oni stali i myśleli,
Lecz się nic nie dowiedzieli:
Czy to pies? czy to bies?

Nie spodziewałem się, żeby Odyniec umieścił tę balladę jako epilog do swoich poezyi.

W tych dniach wychodzi z pod pras panien Pinnard tom czwarty Mickiewicza, zawierający trzecią część Dziadów. — Jeszcze jej nie znam, ale Mickiewicz bardzo już ostrył w poezyi. W rozmowach ciągle religię na plac wyprowadza, uniewinnia papieża, nawet bulę, słowem, że mi się, jako obecnie żyjący człowiek, nie podoba. Nie mówię tego jednak nikomu, bo ja teraz z profesyi chwałę wszystkich poetów i poezye. Odyniec z żoną w Dreźnie siedzi i ta go namawia do powrotu; zdaje się, że ulegnie Armidzie. Jest to panna niegdyś Tańska, i pisze jak słychać opisanie Paryża dla dzieci: może to być bardzo ładne. Zdaje się, jakoby się tu cała literatura przeniosła, to jest literatura młoda, literatura kobieca, garbata trochę, literatura kłótniwa, trochę paszkwilowa, a została się tylko u siebie literatura klasyczna czyli niema.

Jeżelibyś mogła, kochana mamó, to mi przez jadącą siostrę Michała przyslij dzieła Jana Kochanowskiego, które masz w twojej szafce; a jeżeli można, to dostańcie także przekład Jerozolimy przez Piotra, bo mi tu te dwa dzieła dla języka bardzo są potrzebne: teraz albowiem nie mam jak tylko Trembeckiego, i uważam, że mój styl twar-

dzieje nieznacznie. Pamiętam ja dobrze, że tego miesiąca kochanej mamy imieniny; oby ci, kochana mammo, od tego dnia lepiej było na świecie, żeby się już Bóg znudził zabierać od ciebie wszystkich tych, których kochasz.

Dzień mamy imienin wszyscy obchodzić będziemy; wielki będzie obiad, sam cicho kieliszek jeden za ciebie, mammo, wypije. Może w przyszłe imieniny lepiej nam będzie: kto wie, czy kuzynka nie wyzdrowieje...

Zdaje się, że będzie wojna, i dlatego proszę ciebie, kochana mammo, o cokolwiek pieniędzy po Nowym Roku; co możesz, mammo kochana, byle tylko tobie na niczem nie zbywało, ja się będę starał do wszystkiego zastosować. Mów szczerze ze mną, kochana matko, zaklinam ciebie, bo ja sobie tu Bóg wie co wystawiam.

Teofilu kochany, nie posłałem ci kwitu, bo tego uczynić nie mogę bez pójścia tam, gdzie pójść nie jestem w stanie; bądź jednak pewny, że na przypadek śmierci urządzę wszystko tak, abyś przed stryjem rachunku zdawać nie potrzebował.

A ty, mammo, nie przerażaj się tem wyrażeniem, bo ci ręczę, że nigdy tak zdrow nie byłem jak teraz. Zdrow jestem i czasem mam dnie wesołe; wtenczas idę do panienek wieczór przegawędzić, i niestworzone o sobie a najczęściej kłamate zrzęcznie prawię anegdoty; lubią mię wtenczas i zdaje mi się, że wszystkiemu wierzą. Doktor Hłuszniewicz prosił mamy, abyś mi kilka słów o stanie zdrowia swojego napisała; miło mi było, że pamięta o was. Brat Olędzkiej także mówił przede mną z wdzięcznością o dobru, jakie mama jej biednej wyrządziłaś.

Kochana mammo! Gdyby ludzie o wszystkim nie zapominali, ty, matko, i mój ojciec zostawilibyście mi na świecie wiele przyjaciół; ja nie powinienem mieć syna, bo nawet dla siebie jednego przyjaciela znaleźć nie mogę, cóżbym mu więc zostawił? Tej zimy, jeżeli

będę w dobrym humorze, zamierzam sobie bywać na balach teatralnych, są to bardzo przyjemne zabawy: na scenie wyrównanej z parterem uwija się mnóstwo kobiet zamaskowanych, ale najczęściej tylko do połowy. Bale takie zaczynają się o 12-tej godzinie i trwają aż do białego dnia; jest to jedyna zabawka dla cudzoziemców, niekosztowna i szalona. Mężczyźni bez masek bywają. Dzisiaj zabezpieczyłem się od zima: kazałem sobie piec postawić, bo kominek wiele mi zjadał drzewa i ciepła nie dawał, a pracując wieczorami, trzeba było ciągle o ogniu pamiętać, i to rozrywało moją uwagę. Zdaje się, że nam zima tęga zagraża, bo już śnieg mieliśmy, gdy przeszłego roku raz tylko dachy pobielaly. Odebrałem znów list od Zawierskiego, czy nie macie o jego matce wiadomości? Henryczek zdrow. Człowiek z kutasami u butów, jak entrepreneur w kłopotach, traci szacunek u ludzi, bo się ciągle intrygą zajmuje, i w tutejszej babilońskiej wieży pomieszał języki. Smutno jest patrzeć na to, co się tu dzieje, i chciałbym się wyrwać jaknajprędzej z Paryża i jechać na południe. De Lamartine popłynął z żoną i z dziećmi do Palestyny; będzie tam znowu pisał harmonie religijne; nie znajdę go we Florencyi, mała szkoda. Rambell, poeta angielski, jest prezesem towarzystwa w Londynie, zajmującego się nami. Wychodzą w Albionie dwa pisma peryodyczne, naszej sprawie poświęcone, i Anglicy zaczynają się przekonywać, że my po niemiecku nie gadamy, dotąd bowiem tak o nas sądzili. W Paryżu mamy dwie gazetki polskie dosyć dobre, kilku z naszych pisze dzieła po francusku, dziwna się utworzy literatura.

Przysłijcie mi o Jasiu wiadomości, gdzie się urodził i kiedy, słowem krótki rys biograficzny. Czy odebraliście list z nagrobkiem dla niego? Nagrobek ten bardzo się tutaj wielom podobał. Przybyło tu znowu kilku moich szkolnych kolegów, a każdy goły jak bizon, aż smutno patrzeć.

Adieu, moi mili! Adieu, kochana mamó! Her-sylko, stęskniłem się już, nie widząc tak dawno twego obosiecznego charakteru, czyli raczej pisma, bo charakter twój słodki nie zasługuje na takie nazwanie... Fortunatowi podziękujcie za pamięć. Panu Pawłowi moje ukłony, może już zapomniał o mnie; posłałem mu był z napisem egzemplarz, czy go odebrał? Do biblioteki nie posłałem, bo kto wie, gdzieby z nią zjechał. Sienkiewicz blisko was będzie. Błotnicki niańką został, bo starszy jego dyscypuł na pensyi, już się wyrwał z pod Jackowej dyscypliny. Adieu, całuję was wszystkich, babuni i dziadunia nóżki ściskam. Wieszuję pannie Sabinie zmienionego szczęśliwie stanu. Sierotka wasza niech będzie grzeczna i niech na mnie czeka z zamążpójściem. Wszak ja za lat 14 nie będę bardzo stary.

Wasz Julek.

19.

Paryż, dnia 8 grudnia 1832.

Kochana Mamó! Pobyt mój w stolicy nachyla się już do końca: za dni kilkanaście wyjeżdżam do Genewy; potrzeba zmusza mię do wyjazdu, więc i dobrze, że mię przynajmniej w poetyczniejsze krainy posyła. Wiele miałbym pisać o tym miesiącu, ale nie wiem jakiemu słowy. Więc zacznę od podziękowania za list ostatni, list z podarunkiem miłym mi nieskończenie. Wierzę słowom listu choć znając mamy serce, łatwo byłoby wątpić. Matko moja! wierz wdzięczności syna; jakżeby on po tylu łaskach śmiał ci obłudę za wdzięczność przysyłać? Porównyując los mój z innych losem, nie raz mówię sobie, że ty, matko, jesteś najlepszą z matek! Kiedyż ciebie, matko, uścisknę, kiedyż rzucę się przed tobą na kolana, i powiem ci, żeś

była moim bogiem, aniołem stróżem życia mego! Miałem w tym miesiącu kilka zdarzeń pochlebających mojej dumie, więc doznałem kilka chwil szczęścia; wyznajcie, że to nędzne życie, co w tem szczęścia szuka! Jest tu zakon święty, który chciał odlać patynę złotą, świadczącą o męce Chrystusa Pana, i znalazł się w smutnej okoliczności, bo ubogi, jak wszystkie księże zakony, co na ubóstwo przysięgają, nie miał na to funduszków. Chciano go oszukać, stanąłem w obronie, dostałem dlań pieniędzy, i ten co napisał: „Regina pacis“ w kościele, nikomu innemu jak tylko mnie zgodził się pożyczyć 500 franków. Wspomogłem księży, a zysk z odpustów dług zapłaci. Wy, którzy mnie znacie religijnym, dziwicie się nie będziecie, że księży pogardzonych we Francyi wspomogłem. Zyskałem przez to opinię poczciwego człowieka. Z drugiej strony nie powiodło mi się w roman-sach, bo pogodziwszy się zupełnie z moją młodą dziewczynką, obiecałem że pewnej niedzieli przyjdę do kościoła, do którego ona sama ze służącą chodzi. W niedzielę więc bardzo rano wchodzę do jednego z dalekich kościołów, widzę z daleka jej ubiór, postać, zbliżam się, ona się odwraca, i poznaję w niej starszą siostrę; musiała zrozumieć, o co rzecz chodzi, gdyż pośród rozmowy głośno zapytałem niegdyś mej belli, czy chodzi do kościoła, a ta mi z najskromniejszą miną powiedziała do którego i o której godzinie. Widzę więc, że starszej siostrze próżno oczy mydlić, nie przekonałem jej nawet, mówiąc, że od pewnego czasu zwiedzam kościoły, aby się przypatrzeć obrazom. W dzień imienin mamy był wielki wieczór, na którym była porządna kolejna rozmowa, jak za zwyczaj pół po polsku, pół po francusku, ułamkami dawnych czasów. Pan Adam, właśnie gdy kolej przyszła na niego, zachorował i wyszedł, więc koledzy do mnie w prośby; próżno szukałem kogo, aby mnie zastąpił. Lelum po lelum nie chciał, inni improwizować po francusku nie mogli,

musiałem więc się podjąć, i wszyscy kontenci byli z mojej improwizowanej przemowy, a stary Francuz (Lafayette), stojący słuchał mię i równie ex promptu odpowiedział; było wiele dam przytomnych, i kilka łańdnych. Była to piękna chwila w mojem życiu, jest to jeden skarb, przydany do moich wspomnień.

Wracam teraz właśnie z teatru le Gymnase dramatique¹⁾ i siadam do pisania dalej listu. Przez kilkanaście dni, które poprzedzą mój wyjazd, będę ciągle zwiędzał teatru, bo mi się zdaje, że do Paryża nie prędko a może nigdy nie powrócę, bo tu przykro, drogo, niespokojnie: między nami ciągle zwady, a w tych zwadach wykrywają się tak puste głowy, że aż to obraża dumę narodową. A potem, będąc w Genewie, między Paryżem i Florencją, któżby do Paryża wracał? Pisałem już, że interes zmusza mię do wyjazdu, ale zapewne z własnej woli w Genewie zostanę na mieszkanie, i wiele sobie obiecuję przyjemności, a listy moje może ciekawsze będą, jak wam doniosę o mieszkaniu Rousseau'a, Voltaire'a, a nadewszystko jako pielgrzymkę na mamy intencję zwiedzę Coppet, gdzie pani Stael mieszkała. Może na wiosnę znajdę sobie gdzie mieszkanie nad jeziorem Genewskiem, w jakim wiejskim domku, i tam oddam się rozmyślaniom nad marnościami światowemi; bo ja stworzony jestem do życia mniszego, spokojnego, i w najludniejszych miastach tworzę sobie samotność, ale nudną, przerywaną hukiem powozów, rozmową nudnych znajomych, więc mię nie obwiniaj, matko, że cichszej samotności szukać będę. Jak mię jaka gosposia zacznie karmić nabiałem, to metuzaleмовych lat dożyję; tu zaś zatrważa mię widok mojego przyjaciela (o którego pojedyunku pisałem). Suchoty, od których się na czas pobytu w Wersalu uwolnił, wróciły znów z okropną mocą, skoro w pary-

¹⁾ Czyt. Żłmnaz' dramatik'.

skich zamknął się murach. Najczęściej przy nim przepędzam godziny; smutny to widok młodego człowieka na łożu boleści, z którego się ruszyć nie może, bez rodziny, jak Łazarz wyniszczony. Zapadł obłożnie pozawczoraj, i kiedy sługa z hotelu musiał go nieść z kanapy na łóżko, płakał, i sługa hotelu płakał. Wieczorem weszła do niego cicho stara hotelu kucharka, która widząc, że chory nie brał przez cały dzień nic z kuchni, sądząc, że mu nagle zabrakło pieniędzy, i że wstydząc się nędzy, nie jadł, przysunęła się cicho do łóżka i powiedziała: „Pan może potrzebujesz czego? Niech pan mi tylko pozwoli, ja mu przyniosę dobrego rosółu, tak, że tego nikt widzieć nie będzie.“ Chory z uśmiechem podziękował starej kobiecie; ja na jego miejscu dziękowałbym ze łzami. A potem mówiła mu kucharka, ciągle o jego nędzy przekonana: „Niech pan pozwoli, ja się przy nim położę na kanapie i noc przepędzę, ale to bez żadnego interesu“, i kilka razy powtórzyła: „bez żadnego interesu.“ Boże mój, czyż w kuchni szukać dobrych ludzi? Ale ty, matko, nie myśl, żeby on cierpiał niedostatek; ma pieniądze, a gdyby nie miał... Lecz on nie w niedostatku; ma także matkę. Zły jestem na siebie, że o nim mamie napisałem, ale cóż robić, piszę o tem, o czem myślę, i mimowolnie on mi się nasunął na oczy. Teraz, matko, na pamięć ojca przysięgam ci, że nigdy tak zdrów nie byłem jak teraz, a znajomi, co mię niegdyś widzieli w Wrocławiu bladego, bo mię wtenczas niespokojność dręczyła, dziwią się, że tak dobrze wyglądam. Nawet przy wzmocnieniu sił, uczucia moje niegdyś drżące i rozkołysane, teraz tak stwardziały, że mi już nadto zimne dają życie; nie cieszy mię to, ale mamę ucieszyć powinno.

Właśnie w tych dniach przyjechał znów z Anglii do Paryża mój przyjaciel Anglik, śmieszna dosyć figura, z czerwonymi włosami; ręce jego stężały jak żelazo od boksowania się, i cierpi na tem, że ze mną

nie może się dalej w tej szlachetnej sztuce egzercytować. Nic nie umie po francusku, wszystkiemu zaś, co nosi polerowaną świata cywilizowanego postać, dziwi się jak dziecko i co niedziela chodzi za miasto patrzeć na walkę zwierząt, na którą sam tylko najpodlejszy lud paryski patrzeć może, tak jest przerażająca. Od dawna w Paryżu zapatrywałem się na sztychowane dwie ładne Angielki, które po oknach sklepów wystawione, sprzedają się jako obraz imaginacy malarza, i noszą podpis: „kwiaty wiosenne.“ Czy uwierzycie, że teraz od Polaków z Anglii przybyłych dowiedziałem się, że ładniejsza z tych panien jest siostrą mego przyjaciela z rudymi włosami, że ta siostra jest piękniejszą od obrazu i ma blond włosy, czemu bym nie uwierzył łatwo, patrząc na brata? Widzisz, mamó, że gdybym ja miał siostrę, mogłaby być ładną, doskonałą pięknoscia.

Chcesz, mamó, żebym ci przysłał kopię listu Ludwisi; długiego by tu miejsca potrzebował ten list, a nic w nim nie ma szczególnego. Ciekawy jestem, czy mi drugi raz odpisze, i czy mi przyśle miniaturę swoją, o którą ją prosiłem w ostatnim liście. Ile z listu sądzić mogę, nie gniewa się za pamięć moją, owszem gniewa się za mało pamięci o niej w książkach; oto są słowa listu:

„Miło mi było w mojej cichej samotności przebiegać te odcienie myśli i uczuć znajomej mi duszy. W tych twórcach poetę tylko widać, chował się człowiek, nierzad się jednak człowiek zdradził, a ja go poznałam. Żadnej już nie czytam książki, ale poezyje pana, jak przyjaciela dawnego, nie jak książki przyjął, i tak zostaną u mnie, póki ja jeszcze cierpieć muszę na ziemi.“ Dając potem zdanie o poezyach, krytykuje wykrzyknik: Oh! w tragediach. Najładniejszy ustęp jej listu jest ten, gdy podczas czytania moich poezyi przez Antosię, pyta się Julki, czy pamięta Julka Słowackiego? Spodziewam się, że jak wydrukuję „Lambro“, to mię nie będzie obwiniać, ażebym się krył z mo-

jemi uczuciami; myślę tylko nad tem, czy trudno go będzie przesłać. Już więcej miesiąca, jak wyprawiłem do Hausnera 63 egzemplarzy moich książek; chciałbym, żeby doszły przed kontraktami kijowskimi, to może znajdzie sposób przesłania ich tam. O kuzynki naszej zdrowiu nie pocieszającego donieść nie mogę; smutno! Mamą tu niektóre zabijające recepty, przez naszych wydawane doktorów, i okropność zdejmuję, widząc, że już truczizn używają.

Jeśli u was panuje choroba, dla której każą klimat doktorowie odmieniać, to niech Teofil wcześniej o sobie zaradzi; może to jest marzenie, ale zdaje się, że on będzie skłonny do tej choroby. Czy odebraliście nagrobki, które posłałem? Henryk zdrow, widziałem go dzisiaj w teatrze; podoba mu się Paryż, ale coś od jakiegoś czasu rzadko się ze mną widuje, więc o jego interesach nic nie wiem. Wiem, że starał się wejść do szkoły kupieckiej, ale czy mu się udało, nie wiem. List ten zastanie zapewne u was Mianowskiego, więc przypominam się jego pamięci; inne to były czasy, gdyśmy razem na perekładnych w nocy z Jaszun wracali, dobrze nam wtenczas było, dobrze nam było w Jaszczunach. Kiedy o tem wspominam, zdaje mi się, że już stary; prawda, że już wtenczas miałem siebie za słusznego człowieka, a inni mię za dziecko uważali. Staraj się, kochana mamó, od Lapierre mój tłumok odpytać, bo mi żal listów Olesi, w ostatnim roku pobytu mego w Wilnie do mnie pisanych, a które w tym tłumoku zostawiłem; jest tam nieco książek, pościel i toalety karlsbadzka, to wszystko chciałbym kiedyś w moim pokoju widzieć w tym domku, który Teofil budować zamierza i gdzie dla mnie jak dla starego kawalera dwa pokoiki od wschodu ma urządzić.

Spotkała mnie smutna awantura. Jeden z tutejszych malarzy zrobił śmierć Zmii, ale tak mu się nie udało, że wszyscy z szyderskim uśmiechem donoszą mi o tym obrazie, a ja odpowiadam, że tylko dobre dzieła

parodyowane być mogą. Wynagradzając mi to, jeden z najślawniejszych sztycharzy w Europie, Oleszczyński, dedykował mi sztych piękny, wystawiający Chmielnickiego; przysługę wam go kiedyś.

Adieu! matko najdroższa, do zobaczenia się. Wszak jeżeli się mamy kiedyś zobaczyć, to każda chwila przybliża nas do siebie. Ale tak nie jest, bo ja z każdym dniem widzę coraz wyraźniej wasze rysy, więc z każdym dniem muszę być was bliżej. Adieu! Babuni i dziadunia ręce całuję! Teofilu drogi! Chciałbym, żeby tobie dobrze było! Adieu, Hersylko! Adieu, mammo kochana.

Wasz Julek.

20.

Genewa, dnia 30 grudnia 1832.

Kochana Mammo! Nie masz smutniejszej dla mnie chwili jak ta, w której przybywam do obcego miasta. Dzisiaj o 5-tej wieczór przyjechałem do Genewy, wniósłem się do hotelu „Pod wielkim orłem“, a nie mogąc w nocy włóczyć się po nieznanem mieście, kazałem sobie do pokoiku przynieść herbaty i przy ogniu kominika marzę i piszę list do kochanej mamy.

Nic jeszcze o Genewie powiedzieć nie mogę, ale zamierzam sobie długo bajać o moim pobycie w dniach ostatnich w Paryżu i o mojej podróży. Jaką mi przykrość robi ten wiatr, co szumi i wyje po jeziorze genewskim! Oto powiem ci, kochana mammo, że mnie kilka osób w Paryżu żałowało: Kora płakała i z drugiego pokoju słychać było łkanie, a kiedy weszła do salonu, czerwone tak miała oczy, że siostry za rzecz potrzebną uznały mówić przede mną, że ma mocny katar mózgowy, nad czem bardzo ubolewałem.

Dwoma dniami przed wyjazdem, Michał rano wchodzi do mnie i w pośród rozmowy wspomina coś o wróżce sławnej w Paryżu, pannie Lenormand;

musisz ją mama znać z reputacyi, bo ona niegdyś cesarzowi wróżyła. Ułożyliśmy natychmiast projekt iść do panny Lenormand. Szczęściem, wiadoma nam była ulica, gdzie mieszkała, dom zaś, w którym żyje ta Sybilla, oznacza napis nad bramą: „Librairie de Mile Lenormand“¹⁾. Wchodzimy do sieni, wita nas stara duenna, pytając, czy przyszedłszy na konsultację. Odpowiadamy, że tak, i wpuszczeni jesteśmy do pokoju ładnie umalowanego, w którym całe ściany okryte obrazami najrozmaitszych cudów przyrody, a wśród tych malowideł wisi ogromny portret samej wróżki w aksamitnej czarnej sukni, ze złotą w dole frenzlą i w zamysłonej postaci odmalowany. Kilka osób, przybyłych przed nami, czekało na kabałę, w drugim pokoju słychać było ciągle mruczenie czarownicy. Wpuściła nas nareszcie do swego pokoju. Jak wygląda, opiszę. Jest to baba stara, ma ze 60 lat, otyła, niska, z garbem na plecach, ubrana w czarnej sukni, na głowie mnóstwo loków i na nich na bakier aksamitny ogromny czarny beret, jak miękka czapka; rysy twarzy niezupełnie polskie, trochę ciocię Pałuską przypomina. Siadła na krześle z poręczami, przy biurku z wytartym suknem, na biurku leżało mnóstwo kart rozmaitej wielkości. Usiedliśmy oba przy biurku. Zapytana odpowiedziała, że ceny wróżby są rozmaite: od 6-ciu aż do 60 franków. Prosiłszy o 6-cio frankową przyszłość. A więc przyznacie sami, że ludziom, co po 6 franków płacą za głupstwo, nie mogła wielkich cudów przepowiedzieć. Zadała mi pierwszemu następujące pytania: W którym miesiącu rodziłem się? w Augustcie; którego dnia? 23-go; jaka pierwsza litera imienia? J; pierwsza litera kraju? P; jaki kolor najwięcej lubię w ubiorze? czarny; jakie zwierzę najlepiej lubię? psa; jakiego zwierzęcia najbardziej nie cierpię? pająka; jaki kwiat

¹⁾ Czyt. Librairie de Mad'mlazele Lenorman — Księgarnia panny L.

najbardziej lubię różę. Na tem zakończyła i wzięwszy talię kart zwyczajnych, ułożyła z nich długi szereg, dwie karty zawsze odrzucając. Potem wzięła ogromne karty z dziwnymi wizerunkami, i kazała mi z nich wybrać jedenaście lewą ręką, inne zaś odrzuciła. Potem z trzeciej, równie ogromnej talii, kazała mi wybrać 23 kart, z wybranych ułożyła ogromny wachlarz i z wachlarza zaczęła wróżyć, jak ekscytarz jednym głosem i niezmiernie prędko. Wróżby zupełnie pospolite: między innemi powiedziała, że będę się dwa razy kochać; że rozpoczynam podróż, której mi rozpoczynać nie radzi, aż do odebrania pewnych wiadomości; że dopiero za dziewięć miesięcy będę miał stałe o losie wiadomości; że jestem zdatny, ale radzi mi wykończyć to, com naszkicował; że między 27 i 28 rokiem mojego życia będę bardzo szczęśliwy, że w tych latach wiele zajdzie dla mnie wypadków. Oto są wszystkie prawie przepowiednie, ostatnia tylko dosyć interesująca. Michałowi nie powiedziała, że zaczyna podróż, a ponieważ jej mówił, że kocha konia, wróżyła mu, że się na polu walki odznaczy. Tumani baba i niczem zbywa chorych na zdrowy rozsądek pacjentów.

Po tak przepędzonej godzinie, wyszliśmy z Michałem do ogrodu Luxembourg¹⁾. Gadaliśmy długo, drwiąc z siebie nawzajem, a potem mimowolnie wpadliśmy w długie zamyślenie, aż on pierwszy odezwał się: „Wiesz, szkoda, żeśmy babie nie dali po 60 franków, możeby nam co więcej powiedziała.“ Odpowiedziałem śmiechem na te jego słowa; malowały one doskonale łatwowierność człowieka, zdradzały go aż do głębi serca. W wilię mego odjazdu jeden z moich znajomych zęgnął mię obiadem, który nie był ani smutny, ani wesoły.

Dnia 26-go grudnia wieczorem, z 5 przyjaciółmi jedliśmy razem obiad w traktyerni przy dyliżansach

¹⁾ Czyt. Liuksanb^{ur}.

położonym; wybiła 7-ma godzina, wsiadłem do dyliżansu; przyjaciele, z których jeszcze dwóch przy powozie mię czekało, stali wokoło, gadając ze mną przez okno karety... i przy świetle latarni dziwnie się wydawała postać wychudła i blada suchotnika, który się wywłókł z mieszkania i stał nieruchomy na deszczu; widzę go dotąd przed sobą, jak mówi Szekspir, oczyma duszy mojej, choć go może oczyma głowy nigdy już nie zobaczę. Ruszył dyliżans, to ogromne zwierzę, nadziane różnonarodowym tłumem, i jechaliśmy długo przez ciemne ulice, potem przez Pont Neuf,¹⁾ a potem przez ulice, w których nigdy nie byłem, choć blisko półtora roku siedziałem w Paryżu, i tak zakończyłem paryski epizod mojego życia. W nocy, nie mogąc niczem rozerwać mojej uwagi, przebiegłem myślą mój pobyt w tem mieście, i nie znalazłem przyjemnego, żadnego wspomnienia, oprócz chwili, w której przyniesiono mi pierwsze dwa tomiki moich poezyi.

Powiem ci tu jeszcze, moja mamó, że mię w jednym zgromadzeniu ziomków proszono na klęczkach prawie, ażebym został, ale już było za późno: przygotowania do podróży były porobione. Teraz w Genewie trzeba sobie ułożyć sposób nowego życia; ale póty spokojny nie będę, póki w Genewie od kochanej mamy listu nie otrzymam, bo list twój ostatni przerażał mię, on mi zatruł wszystkie myśli, wszystkie marzenia w mojej podróży; tyś znów chora, moja kochana mamó, leżysz w łóżku... teraz zima... Boże, zlituj się nade mną.

Żądanie mamy o przysłanie kanwy nie może być spełnione jak przez jadącego w tamte strony, bo kanwy są kontrabandą, zatrzymanoby je więc na granicy jak towar. Wyjazd Michała bardzo niepewny. Cierpię

¹⁾ Czyt. Pa-Nef — most w Paryżu.

na tem, że żadnego żądania mamy uskutecznić nie mogę. Nie posądzajcie mnie jednak o niewdzięczność.

Ale wracam do opisu mojej podróży: przejeżdżałem przez ładną Francję, ładną nawet w zimie, bo pola choć skrzepłe, zachowują jednak zieloną barwę. — W dyliżansie, w którym jechałem, znajdowało się kilku Francuzów, którzy na górach wysiadali z powozu i szli piechotą; zacząłem ich naśladować i często po całej mili chodziłem. Co dziwniejsza jeszcze, że w towarzystwie naszym znajdował się jeden sławny szybokobiegacz, który się w Paryżu popisywał i któremu dotrzymywałem kroku. Towarzysze moi pierwsi znużili się pieszemi wędrowkami, i na końcu samotny musiałem je odbywać. Wszedłszy na jedną górę, spotkałem się po raz pierwszy z zimą, murawa była całą szronem obsuta. Futro u mego płaszcza obmarzło; wyprzedzałem z daleka dyliżans i stałem sam jeden, a widząc na około skały, waszemi imionami próbowałem ich echa. Jechałem przez Tonnèr¹⁾, Dole²⁾, Dijon³⁾, wszędzie śliczne okolice. Nakoniec trzeciego dnia, o godzinie 5-tej z rana przyjechaliśmy do St. Laurent⁴⁾, położonego na górze Jura, skąd trzeba było wziąć sanki, aby przebyć śniegi tej góry. Sanki dano nam zupełnie do naszych bud podobne. Towarzystwo dyliżansowe w dwie budy się zabrało, bo było nas już tylko czterech. Siedliśmy więc, ja z moim ciągłym towarzyszem Szwajcarem w pierwsze sanie, dwóch kupców francuskich w drugie, na trzech spakowano rzeczy, i ruszyliśmy z górki na górkę. Co za rozkosz: śnieg dawno nie widziany, tu sanna, tu po gołoledzi sanki nad przepaścią grożą zatoczeniem się. Co za rozkosz jechać na południe sankami! O siódmej za-

¹⁾ Czyt. Tonèr.

²⁾ Dole czyt. Dol.

³⁾ Czyt. Diza.

⁴⁾ St. Laurent czyt. Sę-Loran.

czynało się wyjaśniać. Jechaliśmy brzegiem doliny Mijou¹⁾, która się kilka mil ciągnie. W dolinie między sosnami stoją opuszczone szalety, domki, w których latem pasterze mieszkają. Na końcu doliny widać wielką bramę, to jest góry z dwóch stron spływają i kończą wąwóz, a w tem ujściu doliny kawał mgły wisiał do ziemi jak srebrna kortyna. Słońce oświecało ten zimny i zamarzły obraz. W oberży samotnej na górze Jura²⁾ jedliśmy obiad, a po obiedzie pokrzepieni zaczęliśmy nową podróż z góry na dół. Dosyć wam powiedzieć, że przedkim kłusem jechaliśmy z tej góry godzinę, i porzuciwszy śnieg na górze, wpadliśmy nagle w krainę mgły, tak, że spojrzawszy na otaczający nas wokoło i na śpiący na ziemi obłok, nie mogliśmy prawie wmówić w siebie, aby o tej porze na szczycie góry słońce świeciło. Zjechawszy z Jura, w pół godziny stanęliśmy na gruncie Szwajcarów, w ojczyźnie Wilhelma Tella. Jechałem koło Ferney³⁾, widziałem z daleka zamek Woltera i kościółek, który Bogu postawił. Ferney mniej na mnie zrobiło wrażenia, niż sama droga. Przez dwanaście godzin widząc śniegi w koło, o was marzyłem, marzyłem o dawnem dzieciństwie, o dniach, przepędzonych między sosnami. Tak mi było miło i smutno razem, że wam tego wysłowić nie potrafię. O półtorej mili od Genewy, znów siedliśmy w dyliżans na kołach, a o 5-tej wieczorem wjechaliśmy do miasta. Teraz patrzcie na początek listu, a będziecie mieli wyobrażenie, jak pierwsze chwile w tej mieścinie przepędziłem.

Dnia 5-go stycznia 1833. Czekałem z wysłaniem tego listu, póki pewnego nie obiorę sobie mieszkania, abym wam adres mój mógł napisać. Przyjechawszy do Genewy, na drugi dzień znalazłem tu kilku z moich

¹⁾ Mijou czyt. Miżu.

²⁾ Czyt. Żjura.

³⁾ Ferney czyt. Ferné.

znajomych, którzy mi obiecali dopomóc w wynalezieniu mieszkania. Genewa jest niezmiernie droga, i wszyscy, nawet najbogatsi cudzoziemcy, mieszkają w tak nazwanych pensyonach. Pochodziwszy trochę, znalazłem bardzo ładny pensyon w wiejskim domu, o kilkadziesiąt kroków od miasta położony; kosztuje mię na miesiąc 130 franków bez opału. Szczęśliwie bardzo, że się do tego pensyonu dostałem, bo moi ziomkowie mają w nim dobrą opinię. Gospodyni tego pensyonu nazywa się Mme Pattey. Jeżeli zobaczycie Grocholskiego lub Kościelskiego, powiedzcie im, że zaraz na wstępie zapytała mię panna Pattey, czy ich znam, i odtąd ciągle mi o nich mówi. Oni kiedyś mieszkali u tej samej pani, trzy razy przejeżdżając przez Genewę, ale na ten czas pensyon był w mieście, dziś zaś zmienił lokal i ukrywa się w ogrodzie między świerkami i sosnami.

Muszę wam opisać pensyon genewski. A naprzód dom, w którym się mieści, a potem gospodarstwa moich portrety skreślę, potem opiszę mój pokój, a potem moich towarzyszy. Dom leży trochę za miastem, ale wyszedłszy z niego, w kwadrans można być na drugiej stronie Genewy. Bo Genewa mniejsza jest prawie od Kamieńca, tylko domy są stare i wysokie. Możecie sobie wystawić, jak jest mała, kiedy pomimo największej drogoceny mieszkają, liczy tylko do 24.000 mieszkańców. Otóż dom, w którym mieszkam, stoi w ogrodzie, za miastem, wysoki na 3 piętra, szary, z zielonemi okienicami. W ogrodzie najwięcej jodeł i sosen, o kilkadziesiąt kroków jezioro genewskie, którego jednak dla innych wiejskich domów z okien nie widać.

Pani Pattey jest to stara kobieta przyjemnej twarzy i niezmiernie dobra. Przeczuję, że gdybym kiedy zachorował, w jej domu nie byłbym jak obcy. Cóрка jej, panna Eglantyna Pattey wszystkim w domu się trudni. Jest to panna, mająca około lat 30;

ładną być dawniej musiała, teraz pokazują się w niej wady starej panny. Z tem wszystkiem bardzo przyjemna w konwersacyi i dobrze gada o wszystkich znajomych. Czule wspomina Grocholskiego i Kościelskiego, z uśmiechem mówi o Ilkiewicz, którego także znała, a który musiał się bardzo zmienić od czasu, jakęśmy go widzieli, bo wystawiła mi go panna Pattey jako nadzwyczaj wesołego i miłego towarzysza.

Przybywszy na pensyon, zastałem w nim familię francuską, starego pana z żoną i synem, bo tu i kobiety mieszkają w pensyonach. Ci państwo wczoraj wyjechali, jeden mi tylko więc został towarzysz. Jest to Francuz, ksiądz protestancki, z którym grywam w szachy wieczorami. Mała ta liczba pensyonaryuszów powiększa się nieskończenie w lecie. Wtenczas mnóstwo przyjeżdża Anglików, często ładne przybywają Angielki, a wtenczas pensyon staje się bardzo przyjemną wioską naszą. Wszyscy się bez przymusu schodzą w godziny uczt, bawią się, wieczorami pływają po jeziorze i późno przy księżycu wracają do domu. Mam pokoik bardzo ładny, zupełnie wiejski, z obiciem w kraty zielono-karmazynowe, biurko czczotkowe, ogromny, ale ogromny fotel aksamitny, w którym jak się siedę, to mię nie widać, i krzesła i stolik i piec okrągły; okna jak zwyczajnie w Szwajcaryi z małemi szybami, a przed oknami dwa świerki, sosna, dąb stary, wiele krzewów, murawę teraz nawet zieloną i kłab z róż. Okna moje są obrócone na wschód, będę więc miał w lecie słońce, i w ładny poranek otworzę sobie okna, i będę miał zapach róż, zapach balsamiczny jodeł. Nie uwierzysz mam, jak mnie te jodły cieszą, jak mi jest przyjemna ta wiejska cisza, która mnie wokoło otacza. Zdaje mi się nieraz, że już osiadłem na wsi, abym odpoczął po trudach życia. W domu, w którym jestem, zupełnie mi uczuć nie dają, jakobym był za pieniądze, i to mi bardzo przyjemne.

W pensyonie tym wstają wszyscy o 9-tej rano, o 10-tej schodzą się do wielkiej sali na śniadanie, złożone z jajek miękko gotowanych, z mięsa na zimno, z kawy i herbaty. Ostatnie dwa napitki przyprowadzą tu doskonale, ale kawa w mieście jest niegodziwa. Potem rozchodzą się wszyscy. Ja idę najczęściej do miasta do salonu lektury, odwiedzam moich znajomych, znów o 4-tej schodzimy się na obiad. Ile razy jem obiad smaczno zgotowany, dziękuję Bogu, że m się od paryskich traktyerów wyzwolił, i czuję, że mi tu daleko lepiej na zdrowiu. Po obiedzie często kto z dam genewskich do pani Pattey przychodzi z wizytą, i tam pozawczoraj wieczór przepędziłem na rozmowie z panną Liną: jest to ładna z czarnemi oczyma Szwajcarka, i we czwartek mam pójść do jej rodziców na wieczór. O 9-tej godzinie pijemy herbatę i potem przy kominku ciągnie się rozmowa, po której każdy do swego pokoju odchodzi. Wszelka wolność wyjścia przedkiego lub bawienia się z damami w salonie zostawiona jest mieszkającym w tym domu.

Otóż masz, kochana mamó, wszystkie detale mojego pobytu w Genewie, czyli raczej sposobu, jakim tu przebywać będę; starać się muszę, aby mi tu jak najmniej smutno było; spodziewam się wejść do kilku polskich domów, a jednak uczynię to z przykrością, ale się trzeba przezwyciężyć.

Pytasz się mię, kochana mamó, wiele mi potrzeba po Nowym Roku; mówię otwarcie: abym był na cały rok spokojny, potrzeba mi koło 450 rubli; ale jeżeli mi je mama zdołasz przysłać teraz, to upraszam, abys mi za 60 egzemplarzy poezyi odebranych pieniędzy nie odsyłała, bo mi już będą niepotrzebne. Odebrawszy sumę, o którą proszę, będę mógł utrzymać się przez rok cały i nadto wydrukuję *Lambra*, — bo czuję konieczną potrzebę nowego ukazania się na literackim świecie.

O kochani moi, smutno mi, smutno czasem i często, bo się już przerabiam na obywatela świata: już się ani do miejsce, ani do osób, z którymi żyję, nie przywiązuję tak silnie jak w dzieciństwie, i to jest jedną z wad, jakiej nabywa serce tułacza.

Starajcie mi się cokolwiek donieść o Grocholskim i Kościelskim, a jeżeli możecie, to proście którego, aby sami do panny Pattey napisali, bo tu po nich czuło zostało wspomnienie; spodziewam się, że i ja na podobne zasłużę. Piszcie jak najprędzej do mnie, upraszam was o to, adresujcie list tak: A Monsieur... chez Mme Pattey, campagne de Lonthoux aux Paquis, près Genève, en Suisse¹⁾. — Słowa podkreślone są koniecznie potrzebne, albowiem Paquis nazywa się wioska, w której mieszkam; zamiast nazwiska damy i Campagne, można położyć numer 10, ale lepiej do damy adresować, zawsze jednak kładąc moje nazwisko. Kochana mamó! O jak by ja chciał przez jakiego gołębia list mieć prędko, abym się o twojem zdrowiu dowiedział! Gdyby ty zdrowa była, to by mi może i dosyć miło przeszło lato między górami szwajcarskimi. Teofilu kochany! Myślę często o tobie, patrząc na śliczne góry, na cudowne widoki, które mnie otaczają; gdybyś był kiedyś z mną posiadział, możebyśmy oba teraz u pani Pattey biedę ciągnęli, ale i dobrze, że się tak stało, jak się stało; pomimo niezawisłości życia, jest tu wiele chwil nieprzyjemnych, a najwięcej dręczy niespokojność o los oddalonych osób. Kochana mamó! Bądź ty zdrowa. Dziś właśnie musicie myśleć trochę o mnie, łamiąc opłatek? Jak was mało przy stole! Cóż robić? z babunią powtarzam: Niech się dzieje wola Boża! A od mamy przyuczyłem się przysłowia: Jakos to będzie,

¹⁾ Czyt. A M'sic... sze Madam Patte, kanpañ' de Matu o Paki pre Żenew' an Swiss — Do Pana... u pani P. dom w P. przy G. w S.

powinno być kiedyś dobrze. Adieu! Adieu! Adieu! Piszę do Hausnera w Brodach, posyłając mu także mój adres. Kłaniajcie się wszystkim moim znajomym — i bądźcie zdrowi.

Wasz *Julek*.

21.

Genewa, dnia 10 lutego 1833.

Odebrałem, najukochańsza matko, w Genewie twój list, do mnie pisany do Paryża, a przy liście przysłane mi podarunki. Kochana mamó! już to setny raz dzięki tobie.

Jestem już od 40 dni w Genewie, pisałem do was zaraz po moim tu przyjeździe, list zaś ten, który teraz piszę, opóźniony został o dni kilka, albowiem w tych dniach ostatnich pracowałem nad moim *Lambrem*, — i wczoraj posłałem go do druku. Smutno mi, że się z nim rozłączył, smutno mi, kiedy myślę, że ty go, matko, nieprędko czytać będziesz. Smutno mi, że tak jak ludzie zupełnie obcy, będziesz go musiała od księgarza sprowadzić. Mam teraz bardzo dobrego księgarza. Sławny Korn w Wrocławiu napisał do mnie list grzeczny, prosząc o 100 egzemplarzy moich poezji i po ich odebraniu ma mi natychmiast wypłatę zaasygnować. Posłałem mu więc żadaną ilość, i po wydaniu „*Lambra*“ pošlę mu także ze 200 egzemplarzy.

Co do mojego teraźniejszego położenia, bardzo miłe życie prowadzę, mieszkam na wsi, jak już wam pisałem, u ludzi, którzy kazali mi mamie napisać, że mnie bardzo kochają i starają się to samo dla mnie uczynić, co chcą, aby dla ich oddalonego syna czyniono. Stara dama, pani Pattey, ciągle mię się pyta o moje chęci, gusta, we wszystkim mi chce dogodzić, nad zdrowiem mojem czuwa, słowem, mogę was zaręczyć, że bardzo

godna i pocziwa osoba. Jej córka, panna Eglantyna, która ma około lat 30, bardzo mię także lubi, stara się mię bawić, w kilku domach mię zapoznała, a w domach tych przyjmują mię ze znaczną atencją i rozróżniają od innych. Winien jestem pannie Eglantynie, że wprowadzony zostałem na kasyno i bywam na niem często dosyć. Kasyna tutejsze są bardzo świetne. Szwajcarki, ładne blondynki, jak śnieg, mieszają się w kołach walca z zamyślonemi Angielkami, których tu jest najwięcej. Tańczą tu tylko kontradanse, walce i galopy.

Zaproszony byłem także na kilka balów, przez nieznaną osobę; dziwny to wcale zwyczaj. Byłem na jednym z nich, i z trudnością wyszedłem przecuciem prawie gospodyni, której się trzeba było uklonić. Na takich balach tańczą mazurę i to mi największą sprawiło przyjemność. Najprzyjemniejsza jednak część dnia dla mnie jest ta, którą przepędzam w domu. Jestem zupełnie na wsi: z rana po śniadaniu wychodzę z panną Eglantyną do ogrodu. Czas tak mamy śliczny, że dzisiaj chodząc w surducie, spotniałem. Ogród zawsze zielony, pełny sosen i jodeł, niebo błękitne, a na horyzoncie wysoko wznosi się Mont Blanc śnieżny, lekko jak chmura skreślony, czasem wiankiem białej chmury okryty. Wyrysuję wam kiedyś i pošlę widok domu, w którym mieszkam, wzięty z ogrodu. Chodząc tak z rana, często pannie Egl. opowiadam różne wypadki mojego życia, i zbieramy fiołki, które się już pokazują. Kilka dni temu pani Pattey umyślnie dla mnie dała wieczór i kilku Polaków zaprosiła, i kilka było dam ładnych. Bawiłem towarzystwo, jak mogłem, nauczyłem mazurę, z trudnością przypomniałem sobie z dziesiątek figur, i bardzo były panny kontente. Potem ustawiłem wszystkie do Angleza i znów im różne figle pokazywałem. Kręciłem wszystkich w długiego gęsiora, i tak się rozhasałem, że im wszystkie tańce pokazałem, aż do kozaka.

W głębi duszy jednak czułem nadzwyczajny smutek: wspomnienia tłumem cisnęły się do głowy, i napełniały puste serce. Miałem jeszcze jedną wielką przyjemność. Jednego wieczora przyszła do nas pani Morin¹⁾. Jest to żona jednego z pierwszych doktorów; bywam u nich, ona sama Włoszka, trochę sawantka, ale w miarę; ma ładną córkę, która się nazywa Lina, i sama śpiewa przesłicznie metodą włoską.

Otóż pani Morin przyszła do nas wieczorem, i wśród konwersacji powiedziała mi z uśmiechem: „Młody N. N. mówił mi dziś, że w jednym z dzienników francuskich czytał długi i pochlebny artykuł o poezjach Juliusza Słowackiego. Czy pan znasz tego poetę?” Udałem, że mi ten artykuł mało obchodzi, ale nazajutrz z bijącym sercem pobiegłem do Société de lecture²⁾, gdzie znajdują się wszystkie „dzienniki, i wynalazłem krytykę moich poezji w *Revue Européenne*“). Bardzo pochlebnie mówią; zaczynają od wyjścia na świat „Bogarodzicy“, dają tłumaczenie tego hymnu, potem mówią o „Żmii“ z pochwałami, potem przytoczony jest w tłumaczeniu wyjątek wiersza do Skibickiego, rozbiór dość obszerny tragedyi z cytacyami, pochwała śmierci błazna, i charakteru jego w Maryi Stuart, nakoniec tłumaczenie całego „Araba“, wcale niezłe. Jest wszędzie trochę i ocukrowanej krytyki, ale jest i to, że mam lat 22, i że rzuciłem podstawy wielkiej literackiej sławy. Widziałem potem w Société de lecture czytających artykuł o mnie, widziałem, jak jeden dobywszy pugilaresu, imię moje zapisywał, nie wiedząc, że tak blisko niego stałem, a to mię nadzwyczaj bawiło. Wczoraj znalazłem w gazecie czytających samego poważnego pana Morin, który zapewne przez żonę wysłany, nad rozbio-

¹⁾ Czyt. More.

²⁾ Czyt. Sosjete de lektur' — Towarzystwo czyteln.

³⁾ Czyt. Rewiu Europeen'.

rem moich poezji siedział. Wszystkie damy moje znajome starają się, aby tego żurnalu dostać i wiedzieć, co ja za jeden. Spodziewam się, że Francuz, który ten artykuł pisał, przetłómaczy mego „Lambró“, który jako romans może się podobać Francuzom.

Artykuł twój, kochany Teofilu, o twoim bracie, przesłiczny, odebrałem; jeżeli zamierzone dzieło do skutku przyjdzie, to go umieszczę tak jak jest, boś go ślicznie, z boleścią i z oburzeniem napisał. Okropne to zdarzenie, kto wie, czy na wiosnę nagrobek się nie spełni choć w części. Lepiej mi jest w Genewie, niż w Paryżu; odbieram mnóstwo listów, i wiem, co się tam dzieje.

Pisałem wam o moim wyjeździe; o moim chorym przyjacielu okropną odebrałem wiadomość; w kilka dni po moim wyjeździe mocno zasłabł, był bez nadziei, siedział nieruchomy na łóżku i ciągle powtarzał: „nie ma Julka“, a wymawiając te słowa, płakał. Kilku znajomych ciągle go pilnowało; kilkoma dniami przed śmiercią odebrał mój list, a list był wesoły, szalony prawie, bo nie wiedziałem, że się tak źle miał; czytano mu ten list i płakał. Dnia 18 w nocy o godzinie 10-tej wszyscy go opuścili, i został tylko służący, w pół godziny potem chory otworzył oczy, westchnął trzy razy i skończył; pochowano go na cmentarzu Père la Chaise, gdzie tyle razy całe ranki przepędzałem. Kilka dni potem odebrałem list, donoszący mi o jego śmierci; było to rano, ślicznie słońce świeciło, przeczytałem list; płakałem, czytając, że mnie wspominał, bo może już na ziemi nie będę miał przyjaciela, któryby mię przed śmiercią wołał częściej, niż rodzinę swoją. Po przeczytaniu listu myślałem długo, a potem czułem gwałtowne zachcenie, ale bardzo gwałtowne: oto chciałem być w tej chwili w Paryżu, chciałem pójść do Père la Chaise i usiąść na jego grobie, bo ranek był tak piękny i cichy, a gdybym siadł milczący na jego mogile to byłoby to samo jak wizyta, którą choremu

co ranka oddawałem; był to zwyczaj prawie, co dzień musiałem u niego z godzinę najczęściej milczący przesiedzieć. Matko moja! pomódl się za tego, który kochał do śmierci twojego syna i któremu twój syn nie w zamian nie dał, tylko łzę po śmierci.

Pisano mi z Paryża, że mię Kora zawsze wspomina. Druk mego „Lambro“ przypomni jej, jak niegdyś drukując poezye, chodziłem do nich co ranka i gadałem z nią przez długie godziny; będzie jej trochę smutno, kiedy to wspomnienie pierwszej cichej miłości stanie przed oczyma. Właśnie rok temu, jak drukowałem poezye...

Pobył w Dreźnie, w Londynie, w Paryżu, zupełnie inne obrazy i bardzo wydatne odcienie zostawiły w mojej pamięci. Pobył w Genewie różni się zupełnie, i spodziewam się, że utworzy obraz wspomnień najcichszy, i najprzyjemniejszy, bo dom, w którym mieszkam, latem napełnia się mnóstwem wojażerów, najwięcej Anglików. Co rok prawie, jak mi mówi panna Eglantyna, wyjeżdżają i mieszkają u nich piękne damy; bardzo to będzie korzystnie dla mnie, że nie wychodząc z domu, będę się w różnych towarzystwach ocierał. Już teraz rozmowa moja łatwiejsza, dosyć mi w salonie w dobrym świetle wystawia. Pomaga mi w tem rodzaj małej sławy, która rzuca jakiś urok na moje rozmowy, a przynajmniej dobrze ludzi o mnie uprzedza, i często wybaczy mi milczenie nawet, które zgubiłoby w opinii innych; i sam nie czując się w potrzebie ciągłego gadania, gadam więcej, bo nie doświadczam żadnego przymusu.

Teatr tutejszy szkaradny, albowiem wiele jest metodystów w arystokracji, którzy teatr za zakazaną i zgubną uważają zabawę. Obyczaje genewskie zadziwiają: nigdzie nie ma mniej intryg, ale wiele jest pło-tek, jak zwyczajnie w małym mieście. Zwyczaj tutaj jest, że panny same chodzą po ulicach, zwyczaj także, że przed pobraniem młodzi ludzie kochają się po lat

10, słowem, wiek tu złoty trwa dotąd, i z tego względu miasto dziwną ma postać moralną. Dziwię się jednak, że go tak cudzoziemcy lubią. Arystokracja tutejsza, złożona z kupców i zegarmistrzów, nudna bardzo i płaska. Otóż macie w kilku słowach rys Genewy. Drugi raz obszerniej pisać będę, teraz lękam się ten list spóźniony już długiem pisanem opóźnić. Oczekam niecierpliwie wiadomości od was, moi mili; wdzięczny jestem Hersylii za słów kilka. Tobie, kochana matko, za wszystko wdzięczny jestem, ale bardzo, bardzo, kochana mammo! Całuję ciebie serdecznie, pisz mi często, bo tego do mojej spokojności potrzeba. Adieu! Teofilu, ściskam ciebie. Babuni i dziadunia rączki całuję. Adieu!

Wasz Julek.

22.

Genewa, dnia 15 marca 1833.

Kochana mammo moja! odebrałem list od was w Genewie i ten mi dopiero pozwolił oddać się całemu wiejskiej ciszy, która mię tu otacza. Matko moja, gdybyś wiedziała, jak mi do szczęścia listów twoich potrzeba, to byś je częściej wysyłała. Mię tu listy od was mało kosztują, a zatem niech was nie zatrzymuje bojaźń narażenia mię na wielkie wydatki. Odebrałem list wasz i nie uwierzysz, jak pani Pattey i jej córka cieszyły się, że mama kontenta jesteś z mojego u nich pobytu. Po waszym liście, w dwa dni potem odebrałem odesłany mi z Paryża Ludwisi list długi, ogromny, z którego dowiedziałem się, że została dewotką. Pisze do mnie, radząc mi się nawrócić; z tej strony niewielki list odniósł skutek; znalazłem w nim jednak wiele uczucia i wiele pokarmu dla mej dumy. Obiecała mi z Odesy, gdzie na wiosnę jechać zamierza, przysłać swój portret; napisz jej więc, kochana mammo, ale nie

wyszczególniając powodów, gdzie się ja teraz znajduję, i daj jej mój adres, bo mi pisać zakazała; list ten był wypadkiem w mojem wiejskiem życiu. Wkrótce potem przyszedł mi z Paryża pakiet, zawierający 10 egzemplarzy dzieła p. t. „*Notices sur les poésies de Jules Słowacki*“¹⁾. Artykuł, który był osobno z *Revue Européenne* przedrukowany i zrobiono z niego małą broszurę. Żałuję, że go wam przysłać nie mogę pocztą, albowiem hymn w nim zawarty zahaczyłby się. Rozdałem kilka egzemplarzy moim znajomym, a resztę chowam, czekając sposobnej pory do przesłania.

Czy nie wiecie, gdzie się obraca Odynieć, pisałem bowiem do niego do Drezna, i list mój został bez odpowiedzi. W Dreźnie ulokowałem był 50 egzemplarzy moich poezyi, ale z nich ani grosza mi nie odesłano. Lękam się, aby 63 egzemplarze, które do ciebie, matko, wyprawilem, nie zaginęły; muszę się o nie w Paryżu dopomnieć, jeżeli was nie doszły; teraz drukuję tom III, a już mi przysłało arkusz pierwszy korekty. Zawierać będzie ten tom poemat w 2 pieśniach pod tyt. *Lam bro*, następnie różne wiersze, znane w nieszczęściu naszej kuzynki, dumę o ukraińskim panie, co miał arabskie konie; na końcu umieszczam poemat serca, w którym jest całe moje dzieciństwo. Dla tego jednego poematu chciałyby, abyście tom III czytali; kiedyś, matko moja, kiedyś w Westminstrze naszego kraju może mi dadzą kąt jaki! Śmieję się ze mnie, ale ja czuję, że mam w sobie duszę sławy, która ze mną umrzeć nie może.

W ostatnim poemacie ukradłem jedną myśl z twojego listu, ale ją znacznie osłabiłem w wierszu. Co do książek polskich, przyslijcie mi je dyliżansem, to jest Kochanowskiego Jana, Kochanowskiego Piotra Jero-

¹⁾ Czytł *Notis' sjur le poezi de Żjul' Si.* — Wzmianka o poezyach J. S.



Widok Wrocławia w 1848 r., według spóczesnego sztychu.

zolimę gotyckimi literami; jeżeli zaś można, przyslijcie dykeyonarz sławnych ludzi służący za materyał do wieku Zygmunta III, zdaje mi się, że przez Siarczyńskiego, ale nie pewny jestem autora; są to dwa tomy, wydane przez jednego z członków Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Pan Paweł powie wam, jakie to jest dzieło, może go w Glüksberga księgarni znajdziecie; to dzieło wielkim by było dla mnie skarbem. Ta mała biblioteka polska wiecznie mi będzie towarzyszyć i będę bogatszym od wszystkich moich kolegów. Co tylko, mam, ci wpadnie w ręce ze starych kronik, które się czasem w rękach żydów walają, to mi przyslij.

U nas tu niedawno graliśmy w domu komedję po francusku, ja miałem grać także i znajdowali wszyscy, że wybornym jestem aktorem. Ale po kilku próbach tak mię zajął drukujący się tom poezyi, że abdykowałem moją rolę i cała komedya upadła. Na miejsce tej komedyi wybrano inną, mniejszą, a ja ofiarowałem się być suflerem; jakoż po wielu próbach stanął teatr z parawanów, z wazonów i z sosen wybudowany; bardzo przyjemnie przeszedł ten wieczór. Panna Pattey gra wybornie; jeden malarz, podobny do Teofila, upudrowawszy trochę włosy, grał wujaszka, dwóch innych młodych chłopców rolę kochanków, a ja suflerem byłem. Potem tańcowaliśmy, i czy uwierzycie, ja tu pierwszy animuję towarzystwo. Kiedy tańczę, młodzię ściąga mię oczyma i zgodnie mi pierwszego miejsca ustępuje; na tym wieczorze zadziwiłem ich walcem, tańczowanym jak u nas tańczy wojsko, to jest uderzając ostrogami. Ja zaczynam mazura, ja prowadzę kotyliona i pokazuję nowe figury, jako to z szalem, z czterema królami kartowemi itp.; często gram do tańca na fortepianie, potem panna Pattey opowiada mi, co o mnie damy gadają, i bardzo pochlebne rzeczy słyszę, o czem wy z trudnością wierzyć możecie, widzieliście mię bowiem dzieckiem nudnem, teraz zaś umiem czasem grać rolę wesołego chopea, i tylko domowi widza

mię smętnym i posepnym; nie odraża ich to ode mnie, bo moje położenie oddalone od was i od kraju usprawiedliwia tygodniowe spliny.

Po całych rankach teraz pracuję nad moją nową produkcją literacką, przez kilka dni jednak malowałem nielitościwie, i wiecie co? oto widok Krzemieńca, z ławki pod topolą w botanicznym ogrodzie, dalej kościół pojezuicki, dom, w którym mieszkałem, dalej zamkowa góra i księżyc wschodzący z za murów starego zamku. Pejzaż ten udał mi się dosyć dobrze, i darowałem go pannie Eglantynie na pamiątkę; ona także rysuje dosyć ładnie. Dobrze z nią żyjemy, zwierza mi się ze wszystkiego i mówi, że żadnej ze swych przyjaciółek tego co mnie nie wypowiadała. Posyłam tu karteczkę do Grocholskiego pisaną, odeślijcie mu ją.

Wiecie, jak najczęściej przepędzam wieczory? oto przychodzi do nas stara dama, zupełnie do p. Lebrun podobna, z żywszą tylko imaginacją; oto ta dama, pani Pattey, ja i minister protestancki, który u nas mieszka, zasiadamy do bostona. Gram doskonale w bostona i nieraz staje mi w myśli moje dzieciństwo: bo pamiętam, jak niegdyś leżąc na sofie w Mianowskiego jeszcze mieszkaniu, widziałem mego ojca, Rustema, Bogatkę przy zielonym stoliku, i mówiono mi, że grają w bostona, że do Słowackiego przyszli na bostona. Od śmierci mego ojca nigdy grających w bostona nie widziałem a teraz boston jest to dla mnie wspomnienie dzieciństwa. Gra ta nie jest tak trudna, jak mi ją wystawiano, owszem daleko łatwiejsza od wista i ma tysiąc rozmaitości.

Ogród nasz okrył się tysiącami fiołków i pierwiosnków, które tu żółtego i różowego są koloru. Drzewa już się zaczynają rozwijać; piję wszystkiemi zmysłami poezję wiosny i szwajcarskiego powietrza. Listy wasze często odczytuję nad genewskim jeziorem, a po przeczytaniu myślę o was, patrząc na rozległe błękity fali. Nie uwierzycie, ile ten obraz ma smutku

i myśli: szum jeziora zaledwo słyszeć się daje, cicho, cicho, i słyszałbym głos wasz, gdybyście mię wołali. Tu wszystko cichą przybiera barwę, nawet wspomnienia wszelkich ludzi są wspomnieniami cichego życia.

Raz wieczorem zapytałem pannę Pattey o Kościuszcę. Powiedziała mi o nim następujący rys: „Po śmierci Kościuszki, jeden z obywateli kupił po nim konia, na którym stary Kościuszek często jeździł, lecz koń poszedłszy do nowego pana, ilekroć zaprzężonym był do woza i wioził szlachcica drogą, zatrzymywał się i stawał przed każdym żebrakiem, tak go dawny pan przyzwyczaił rozdawaniem jałmużny. Nowy nabywca zdziwił się takim narowem konia i odprzedał go.“ Nieprawdaz, że ta powieść ślicznie maluje ostatnie chwile życia naszego bohatera? Spokojność i dobroczynność w konia się nawet wsiąkły. O matko moja, jakbym ja chciał być dobrym człowiekiem!

O Michale Skibickim okropną mi wieść doniesiono: splamił się brudnym postępkiem, oszukaństwem pieniężnem, i wyjechał z Paryża, mówią, że do Wiednia. Ten wypadek zachwiał moją wiarę w cnotę ludzi. Zatrzymajcie to w sekrecie przed jego siostrą; gdym czytał list, donoszący mi o tem, zarumieniłem się wstydem, chciałem zapomnieć, że go znałem! ale niestety, piśmienny mi został dowód mojej oszukanej przyjaźni. W ostatnich czasach rzadko on mię widywał, widać, że splamiwszy się, nie chciał mi spojrzeć w oczy; obwinałem go o niestałość przyjaźni, teraz mu wdzięczny jestem, że mię pierwszy porzucił.

Rzadko tu bywałem w teatrze, bo tak zły, że nawet głupstwem się bawi. Dziś zaproszony jestem na wieczór, będę tańczył, jeżeli mi się uda być wesołym.

Adieu, kochana mamo, Panna Eglantyna chce do ciebie kilka słów napisać; zostawiam jej miejsca, co zostanie papieru, zapełnię.

Twój syn *Juliusz*.

Nie zostawiła mi panna Eglantyna papieru, więc skończę na tem, prosząc ciebie, matko, abyś w moim liście napisała kilka słów po francusku do niej, bo prawdziwie, że ich postępowanie ze mną jest nader delikatne i niepospolite. Adieu, adieu! babuni, dziaduniowi rączki całuję. Teofilów ściskam.

23.

Genewa, dnia 24 kwietnia 1833.

O najukochańsza! najmiłsza! Nie będę ci wyrzucał teraz, co ucierpiałem; list odebrany wszystko zatarł radością, ale dwa miesiące, a raczej cały miesiąc drugi, tortury moralne wycierpiałem. Co dnia czekałem posłańca poczty od godziny jedenastej aż do drugiej, a od drugiej godziny, kiedy już nie było nadziei, rozpacz mię porywała. Dopiero kładąc się spać, myślałem znowu o godzinach nadchodzącej poczty, i tak było przez cały miesiąc; a ja mógłbym być ten miesiąc, jeżeli nie wesoło, to przynajmniej spokojnie przepędzić. Kochana Eglantyna cieszyła mię jak mogła, często całe ranki przepędzała na dziedzińcu, czekając poczmistrza... często, widząc go mijającego dom, biegła za nim, lękając się, aby nie zapomniat był wstąpić. Nie uwierzysz, mamó, jaki to jest mój stróż anioł Eglantyna, ale teraz nie ma jej tutaj, wyjechała do starej i chorej ciotki w Lyonie, i dopiero za dni czternaście wróci. Jestem sam, z jej matką, która mię kocha i nudzi często, chcąc bawić rozmową i rozweselić, bo ona myśli, że kiedy nic nie gadam, to smutny jestem; a przymus gadania jest dla mnie przykrym w teraźniejszych czasach, a jednak przymuszam się, bo ona mię kocha.

Dnia 25-go kwietnia o 11-tej godzinie w nocy. Wracam teraz z ogrodu, całą godzinę po herbacie chodziłem po alei sam jeden: księżyc świecił mi, i w ciszy

głębokiej śpiewał jeden słowik smutno, jakby płakał. O, matko moja! myślałem o twoich projektach kupienia domu, mebli i cichego życia. Niepodobna! niepodobna! Przebac mi, matko, że ja tak niczem jestem dla twojego szczęścia — ja nie nawet dla własnego nie robię. Twoje pismo okropne mi przedstawiło obraz. Wy coraz mniej macie dostatków, zdaje się, że los teraz wzięł na cel naszą rodzinę.

Mówią mi czasem ludzie, że ja mam wyższe zdolności. Po takich mowach ludzi często myślę z goryczą, że jest tylu, którzy z małymi talentami utrzymują całe rodziny, zasłaniając je od niedostatku — a ja jestem jak niepotrzebne ziele, jestem nawet ciężarem dla ciebie, mamó moja; przebac mi, matko moja, że taką drogę obrałem, ale wrócić nie mogę. Teofilu, czuwał tam nad wszystkiemi, strzeż i bądź ich aniołem, a ja kiedyś zapłacę za ciebie dług, podczas księżycowej nocy zaciągniiony.

Nie śmiecie się z tego listu, bo ja go ze łzami piszę. Ty mi matko piszysz o ożenieniu; nie chciałbym niszczyć twoich marzeń, a jednak zdaje mi się, że ja wiecznie na samotność skazany jestem, bo mojej żonie ciężarem być nie myślę, dosyć, że nim jestem dla ciebie. Wierzę w przyszłe życie, bo to niepodobna, aby Bóg ciebie nie nagroził za to, że ci dał takiego syna. Jedna stara dama przeczytawszy artykuł w *Revue Européenne*, napisała mi bilecik, w którym po wielu pochwałach naresze napisała: *Heureuse votre mère*¹⁾. Ona także jest matką, więc myślałem sobie, że może ten wykrzyknik zagłuszy nieco słowa mego sumienia, które mi powiada, że ty jesteś nieśczęśliwą przeze mnie.

Dnia 26 kwietnia. Ile razy wieczorem siadam do pisania listu, zawsze zły jestem, że piszę smutno; a zatem postanowiłem list ten wam dokończyć

¹⁾ Czyt. *Erez wotr' mer.* — Szczęśliwa matka pańska.

innym stylem, wesołym, o ile mi moje usposobienie pozwoli. Właśnie teraz wracam z kościoła protestanckiego, gdzie słuchałem pilnie kazania. Byłem tam, przyznam się tobie, mam, dla widzenia jednej miłej osóbk, która mi wczoraj powiedziała, że będzie na kazaniu. Gdybym sobie mógł wystawić, że podróżuję dla przyjemności, gdybym sobie mógł każdej chwili powiedzieć: jeżeli zechcę, mamę za dwa miesiące zobaczę, wtenczas obecne życie wydawałoby mi się bardzo przyjemne. Panny nie opuszczają mię. Dawniej Eglantyna chodziła ze mną po całych dniach, po ogrodzie; dziś, gdy jej nie ma, stokroć ładniejsza od niej panienka odwiedza nas co dwa dni z matką. Dlaczego nas odwiedza? Zapewne nie dla widzenia starej pani Pattey. A zresztą sądz sobie, mam, jak chcesz, ale prawdziwie, zdaje mi się, że glina, z której mię Bóg ulepił, nabrała jakiegoś magnetycznego pociągu, który wiąże do mnie serca panien... Eliza, tak się nazywa przychodząca do nas często panienka, jest to osóbk mała, bardzo podobna do Kaźmiry Niepokojczyckiej: ma czarne oczy, pełne iskier, wiele dowcipu i miłości, w mówieniu wiele prostoty i ma tak około 24 lat. Dawniej bywała u nas rzadko, tylko na wieczorach; wtenczas podobna mi się bardzo, ubierałem ją zawsze, gdy wychodziła, a dla tego ubierałem, że podobał mi się jej kapelusz. Wszystkie damy przychodzą na wieczory w kapeluszach ogromnych, z czarnej lewantyny, z tak wysokim przodem, że nie dotyka kapelusz włosów. Kapelusze te nazywają się *calèche*, *koceze*, i szpecą niezmiernie wychodzące z balów damy. Otóż kapelusz panny Elizy, chociaż do wszystkich innych podobny, odróżniał się czarną koronką szeroką i spadającą na czoło. Gdy się w niego ubrała, podobna była do świeżej róży, rozkwitłej na oknie gotykiem; więc dla tego ubierałem ją, gdy z wieczorów odjeżdżała. Matka jej jest wdową; ma córkę przy sobie, i syna ładnego w Paryżu. Życie jej matki jest teraz bardzo piękne.

Gdy widzi gdzie dom jaki osierocony śmiercią, dom, od którego wszyscy weseli odbiegli, tam najczęściej z córką przepędza wieczory, u starych, u chorych. Eliza musiała się nauczyć bostona, aby grywać w takich domach ze starcami i z nieszczęśliwymi, dla tego twarz jej nosi wyraz dobroci i spokojności. Często, chodząc z Elizą po ogrodzie, obrywamy po listku margeritki. Raz, gdy nie przyszła przez dni cztery, chciałem jej dać do zrozumienia, że mi tęskno bez niej; więc wstałem rano, poszedłem do miasta, kupiłem śliczne dwa bukiety kwiatów; wróciwszy do domu ułożyłem je, naśladując twój gust, mam, w układaniu bukieci; a potem w ogrodzie zerwałem dwie margeritki małe i wśród ogromnego bukietu ułożyłem. Bukiet ten posłałem Elizie, ale od pani Pattey. Nie zawiodłem się: przypomnienie było skuteczne, przyszła z mamą wieczorem i mówiła mi, że złą była na margeritki naszego ogrodu, które jej nieprzychylny dały wyrok. Widzisz, mam, że znalazła te dwa małe kwiatki, choć były w tyśiącu ukryte. Ja zawsze mnóstwo mam po niej słów cichych, łagodnych i smutnych, z których tak widna miłość, że jej nie chcę zapytać, czy mię kocha? Bo mówiła mi, że była smutna przez cztery dni, a ja nie pytałem dlaczego. Gdy chciałem wiedzieć, co pobiła wczorajszego wieczora, odpowiedziała: „Tak mi było smutno, że położyłam się o godzinie 10 i czytałam.“ — Jaką książkę? zapytałem. — „Nowy testament. Kiedy jestem smutna, nie innego czytać nie mogę“ — i mówiła dalej: „Dziś rano, obudziwszy się, zdziwiłam się, że mi wesołe przychodziły myśli i przeczułam, że dzień ten będzie szczęśliwy.“ W tym dniu odebrała bukiet i chodziliśmy wieczorem po ogrodzie; kochana mam, zdaje mi się, że powiesz na nią: dobra dziewczynka!

Nie wiem, czy ciebie takie detale interesują, ale te detale są całą rozmaitością życia mego: bardziej mię zajmują, niż mój tom III, który za 8 dni wyjdzie z druku. Wydawca dzieł mego ojca będzie go miał, bo

jego korespondent, księgarz paryski, zgłaszał się już do mnie o kilkadziesiąt egzemplarzy, targując się nie-
miłosiernie o cenę. O jakżebym chciał, abyś go, mamó,
czytać mogła, zwłaszcza ostatni poemat o mojem dzie-
ciństwie. Nauczony doświadczeniem, nie będę go po-
syłał przyjaciółom do przedania. Drezno zjadło mi 50
egzemplarzy. Zapewne wesele Odyńca opędziło się nimi,
bo mi od otrzymania tychże słowa nie odpisał. Dziwi
mnie to jeszcze mocniej, gdyż wiem, że list mój z Ge-
newy pisany otrzymał; mniejsza o to, ma on na su-
mieniu bardziej ciężką winę, i dziwię się, że do ciebie,
matko, śmie pisać. Brakowałoby ci jeszcze listu Mi-
ekiewicza.

Panna Eglantyna przypisała się do ciebie, mamó,
w poprzedzającym liście; odpisz jej kilka słów po fran-
cusku w liście do mnie pisany. Różne tu odbieram
wiadomości o zdrowiu mojej kuzynki, ale te mię nie
cieszą. Panna Eglantyna z Lyonu, gdzie teraz bawi,
pisała do mnie długie listy, bardzo miłe i senty-
mentalne; odpisuję jej w podobnym guście, i tak skracamy
sobie czas oddalenia. Raz waryatka mówiła, że gdy-
bym ja umarł, to by ona moje serce w urnie srebrnej
piechotą do kraju poniosła; ale ja wolę nie umierać,
niż takim sposobem wojażować.

Mało tu znam ziomeków. Niedawno miałem tu
u siebie pierwszą wizytę hr. Ludwika Jelskiego. Dzi-
wiła mnie bardzo ta nadzwyczajna grzeczność. Nie
mogłem mu oddać rewizyty, bo do Drezn wyjechał;
zawsze jednakowy, elegant, włos mu bardzo poszpako-
waciał. Niestety! jacy my starzy kiedyś wrócimy do
was, ile kłamstw i przesadzonych opowiadań będzie
grzmiało pośród towarzystw. Myślę czasem o takiej
starości.

U nas tu zimno dosyć, bo śniegi, topniejące na
górach, ciepło kradną, słowem, wiosna nie jest przy-
jemną w Szwajcaryi, i dziś nawet od rana deszcz pada.
Siedzę więc w domu i bawię się wnuczką pani Pattey:

jest to dziewczynka czteroletnia, dosyć dowcipna i bar-
dzo mię kochająca; w dobrej jesteśmy harmonii, ona
woli się ze mną bawić, niż z siostrą Rozalią. Siostra
Rozalia jest to stara mniszka, która ją czytać uczy.
Patrząc na nią, myślę często o biednej Melance.

Adieu, moi kochani! babuni i dziadunia całują
z uszanowaniem ręce. Teofilowi życzę szczęśliwej po-
dróży, kto wie, może mu i dobrze będzie w nowem
mieście, do którego się przenosi, a kiedyś kupi sobie
kawał ziemi i koniec. Oby wszystkim nam spokojnie
skończyć! Adieu, Hersylko, całuję ciebie, mamó moja,
kocham ciebie mocno, mocno, mocno.

Julio.

24.

Genewa, w czerwcu 1833 r.

Kochana mamó! Czy zaczynasz już zapominać
o mnie? Listy twoje, o dwa miesiące jeden od drugiego
odległe, napełniają mię smutkiem i rozpaczą. Matko,
koniecznie proszę ciebie o więcej otwartości w twoich
listach; zdaje mi się, że jestem już człowiekiem i mam
dosyć mocy do znoszenia nieszczęść.

Donoszę ci, kochana mamó, że od dni 20 wyszedł
na świat tom III moich poezyi. Wydawca dzieł mego
ojca mieć je będzie; spodziewam się więc, że i was
kiedyś dojdzie, ale kiedy? Pierwszego dnia po wyjściu
zwróciło mi się pół kosztu druku; spodziewam się, że
wkrótce cały wyprzedażą pokryję. Przedmowa, krótka
i gryząca, trochę obraziła Mickiewicza: zemścił się
w jednym z małych pisemek, ale dosyć niezgrabnie.
Polakom tu mieszkającym podoba się ten tom bardzo,
ale nie wiem, jak u was o nim sądzić będą ludzie;
o ten tom najbardziej jestem niespokojny, niż o dwa
pierwsze. Napiszcie mi, jeżeli co o nim usłyszycie. Je-
żeli tak dalej płodną będzie moja imaginacya, jeżeli

co roku zaczęły tomy nowe drukować, to wkrótce w waszej małej szafie będziecie mi musieli poświęcić całą jedną półkę, a po mojej śmierci, ten, co mnie poznać zechce, będzie musiał miesiąc cały ze mną obcować.

Takie są teraz sny moje. Żyję sobie dosyć przyjemnie i spokojnie: horyzont mój zamknięty drzewami okrył się tysiącem róż, bzy przekwitły. Laur największy stojący pod moim oknem, usechł, chociaż go sam podlewałem; prawda, że to zła wróżba? Są to najważniejsze nowiny.

W domu, w którym mieszkam, uwijają się różne cienie, jak w czarnoksiężskiej latarni: naprzód z jaskółkami przyleciał młody Anglo-Szkot, niezmiernie cichy i nabożny, młody i dziecinny. Kupił zaraz siatkę na motyle i cały ranek uwijał się z nią po ogrodowej łące; jak mi to boleśnie przypomniało moje dzieciństwo. Mickuny, Wilenkę, lasy sosnowe, i jeszcze coś... To dziwnie, że już teraz nie mogę łowić motylów. Anglik ten po 2 tygodniach pobytu wyjechał do Lozanny.

Panna Eglantyna wróciła z Lyonu; pierwszego dnia po powrocie przy śniadaniu oddała mi przywieziony stamtąd prezent, obwinięty, starannie w cienki papier: rozwijam go, i znajduję nóż, czyli raczej scyzoryk, za dwa grosze kupiony; nie jeszcze bardziej barbarzyńskiego nie widziałem, chowam go, i kiedyś w kraju będę pokazywał. Dowodzą, że Francuzi od Hotentotów mało się różnią cywilizacją; scyzoryk malowany żółtym pokostem, na którym świecą czerwone kwiatki, z jednej strony w rozszepionem drzewie nóż, do ćwieka podobny, z drugiej strony flecik, jeden tylko cienki głos wydający. Dar ten przypominał mi owego staruszka gipsowego z kiwającą się głową, któregoś mama Jędrzejowi Śniadeckiemu na uroczysty ofiarowała. Ale przy tym nożyku dostałem także śliczną kieskę na pieniądze, z największym wytworem haftowaną przez damy lyońskie. Jest to miesiąc podarunków, bo Anglik, o którym pisałem, chcąc

się także wyrzucił w mojej pamięci, przy odjeździe dał mi na pamiątkę trybuszon; nie śmiecie się, jest to dar podobny do tabakierki kapucyna ofiarowanej Sternowi.

Dom po odjeździe Anglika został pustym przez czas niejakiś. Wtem jednego poranku zwała się jak lawina ogromna familia rossyjska: pani Uwarow córka ministra, z dziećmi. Z początku doznałem elektrycznego wstrząśnienia; teraz bardzo dobrze jesteśmy, niezmiernie grzeczni dla siebie. Pani Uwarow sama już jest w dosyć podeszłym wieku, żywa i krzyżująca, córka najstarsza dosyć rozlana i szeroka, ma twarz przyjemną i ładne czarne oczy. Włochy mało się odbiły na jej imaginacyi, została nieociosaną statuą. Ma sztambuchy, w których włoscy artyści, stosując się do jej gustu, wszystko jaskrawymi kolorami malowali. Śpiewa, robiąc zawsze trzy omyłki w aryi każdej, nigdy mniej ani więcej. W nutach mnóstwo polskich teraźniejszych, śpiewanych mazurków, które zapewne w ogień pójdą za powrotem. Młodsza jej siostra żywa i ładna, jeszcze dziecko. Synek mały, w czerwonej huzarze, haftowanej złotem, bardzo dobry dziewięcioletni chłopczyk. Przyjaciół syna, karzeł 40-letni, łokieć i ćwierć wysokości, ma twarz pomarszczoną, ale głowę nie zbyt wielką; uśmiecha się do wszystkich i nie jest bynajmniej gniewliwy. Przy dzieciach guwerner, ze wszystkiego do Szantyry, mierzącego pola w Jaszunach, podobny. Przy pannach guwernantka, ze wszystkiego do siostry Pelikanowej w Wilnie podobna, dwie panny służebne i służący. Oto jest cała familia wojażerów, zdaje mi się, że dostatecznie odmalowana. Całe 3 piętra domu rozlegają się od ich krzyku; mówią różnymi językami i nieraz mi się zdaje, że jestem w babilońskiej wieży.

Niedawno miałem rozczulającą scenę z powodu karła. Doniesiono mu bowiem, że jego ojciec umarł. Wystawcie więc sobie tę małą figurkę upośledzoną;

przy herbacie wyciągał małą chusteczkę od nosa z kieszeni, i ocierał łzy, które mu mimowolnie płynęły. Okropnie było myśleć, że on wracając do kraju, nie znajdzie osoby, któraby go może jedna tylko nie z urąganiem przyjęła. Została mu wprawdzie siostra, która w Petersburgu lekcye na fortepianie daje i z tego się utrzymuje. Po herbacie, kiedy odchodził do swego pokoju, gdzie śpi na dwóch krzesłach, przystąpiłem do niego i ścisnąłem go za rękę. Widać, że mi wdzięczny był za to uściśnienie, bo od tego dnia, witając się z rana i odchodząc wieczór, zawsze się zbliża do mnie i biorąc rękę moją w dwie swoje małe rączki, ścisła z całej siły.

Całe ranki przepędzam zawsze w publicznej bibliotece, gdzie się znajdują wszystkie dzienniki i pisma peryodyczne; codziennie więc czytam mnóstwo gazet i wiem doskonale, co się dzieje w Europie; nie nazbyt pociesającego, dla nas bieda i smutek. Po przeczytaniu gazet siedzę kilka godzin w bibliotece, gdzie czytam różne dzieła, a najwięcej dzieł filozoficznych. O czwartej wracam do domu; na odgłos donośnego dzwonka schodzi się do salonu całe towarzystwo, a stamtąd udajemy się do jadalnej sali, dziwnie ozdobionej dwoma gipsowymi posągami, z których jeden wyobraża Apolina belwederskiego a drugi jakąś Wenerę. Po obiedzie z pannami gram w wolanta i w obręcze czyli kółka; w obu tych grach doszedłem do wysokiego stopnia doskonałości i zręczności, choć mi wyższości nad sobą panny przyznać nie chcą. Często w takich grach przychodzi do walki, wtenczas zrywamy róże i rzucamy na siebie, słowem, wesoło nam czasem.

Pytałaś się, mamó, czy gram na fortepianie? Otóż donoszę ci, że gram bardzo często, a to tylko fantazyje i słyszane aryjki z oper. Największą przyjemność mi robi jeden polonez Sokołowskiego, który sobie przypomniałem. Żałowałem bardzo, że nie mogłem słyszeć bawiącego teraz w Paryżu Fiedla; jest

on zawsze ulubieńcem moim w muzyce: lubię wszystko, co się wiąże ze wspomnieniami.

Napisz mi, kochana mamó, czy Ludwisia Śniadecka wyjeżdża do Odesy? Spytaj ją się, czy o przyrzeczeniu swojemu pamięta; spodziewam się, że mój tom III pogodzi ją trochę ze mną. Czy Hersylka trwa w przedsięwzięciu wyjechania do Burkutu?

O matko moja! Rzadkość twoich listów przerażające często mi nastęcza myśli. Lękam się nade wszystko kochanego Stryjaszka. Ma obecnie pole pokazania się. Czy nie słyszeliście co o Michale Skibickim? Obym go nigdy nie spotkał na tej ziemi.

Napada mię czasem chęć czynniejszego życia, marzę o różnych projektach, ale wszystko to na próżno; nie mi nie pozostaje, jak cicho siedzieć, myśleć i pisać. Gdybym jeszcze mógł wybierać kraj do mieszkania, przeniósłbym się do Niemiec i żył spokojnie i tanio; ale teraz wszystkie kraje zamknięte są przede mną, nawet do Francyi powrócić trudno. Nie możecie sobie wystawić naszego położenia... najsmutniejsze... Ja dziękuję Bogu i tobie, matko, bo w porównaniu z innymi jestem zupełnie szczęśliwym, i gdyby nie myśl, że co chwila nieszcześnie spaść na mnie może, niezgobym więcej nie żądał; ale ta myśl jest jak miecz zawieszony na włosku nad głową moją. Zamykam oczy i spuszczaam się na Opatrzność, która prawdziwie cudownie mi dotąd sprzyjała.

Matko moja najukochańsza! najdroższa! Żegnam ciebie, ale nie na zawsze, musimy się kiedyś zobaczyć. Kochanej babuni i dziadunia z uszanowaniem rączki całuję. Teofila i Hersylkę serdecznie ścisgam.

Wasz Julek.

Dwaj wojażerowie, którzy niegdyś u pani Pattey mieszkali, gdzie są i co robią? Czy otrzymali kar-

teczkę panny Eglantyny? Zawsze ich tu mile wspominają.

25.

Genewa, dnia 15 lipca 1833 r.

Najukochańsza mamol! Czas ciągle upływa dla mnie bez żadnej zmiany, ani nawet nadziei zmiany; siedzę cicho i spokojnie nad brzegami jeziora i myślę o was. Czasem jestem otrętwiały, że potrzebowałbym, aby mię pszczoły twojej, mamol, pasieki pokąsały; smutno, smutno. Przez jakiś czas, póki wielka familia Uwarow bawiła w naszym domu, miałem nieco roztargnienia. Z obu stron między nami panowała taka delikatność, żeśmy sobie uczuć nie dali różnicy narodowej: zdaje mi się nawet, że te osoby mię dosyć polubiły, bo po odjeździe, w listach pisanych do pani Pattey, dały mi długie dowody pamięci, a panna Aleksandra odjeżdżając, zostawiła mi rysunek przez siebie zrobiony, domu wiejskiego, w którym mieszkał niegdyś Byron, bawiąc w Genewie.

Kilka razy towarzyszyłem im konno na spacer. Jeden z tych spacerów, najprzyjemniejszy, był na góry otaczające jedną stronę Genewy, góry, z których mniejsza równa waszej zamkowej górze. Damy jechały w dwóch powozach, ja zaś dostałem sobie dosyć niezłą szkapę i tak przybyliśmy aż do stóp Salève¹⁾. Tam wszyscy wsiedliśmy na osły; moje zwierzątko, największe i najmocniejsze, prowadziło cały orszak, orszak wesoły, śmiejący się, błyszczący różnymi kolorami sukien damskich. Na górze czekało nas wiejskie śniadanie na długim stole z desek pod gruszkami i jabłoniemi. Potem oczy nasze rzuciliśmy na ogromną dolinę, po której płynie kręty Rodan, jezioro, w końcu jeziora najeżona dachami Genewa i kilkanaście in-

¹⁾ Czyt. Salève.

nych miasteczek, łąki, drzewa, słowem, widok ogromny, rozległy, prawdziwie prześliczny! Po górach snulo się mnóstwo dzieci, ubranych fantastycznie w pióra, z chorągwiemi, z muzyką. Były to dzieci Szwajcarów, bawiące się w niedzielę, jak przystoi na potomków Tella. Uformowani w dwa oddziały, snuli się po wąwozach, strzelali z pistoletów, podobni niegdyś do Julka-Achileasa w zbroi... Kilka razy pływaliliśmy w czółnach na jeziorze. Majtek, który nas woził, był niegdyś przewoźnikiem Byrona i dlatego często z nim wchodzę w rozmowę. Stary wioślarz dotąd o niczem nie gada, tylko o angielskim poecie; zdaje mu się, że jakaś część sławy przy nim została po długim obcowaniu z lordem. Między innymi szczegółami opowiada, jak raz z Byronem poszli w zakład o luidora, kto z nich prędzej na drugi brzeg jeziora dopłynie. Nie dziw, że mię lord wyprzedził, powiada Maurycy (tak się nazywa majtek), albowiem za Byronem płynęło czółno, a służący leżącemu na wznak Anglikowi lał do gardła dobre wino, co nie mało w pływaniu dopomagało. — Powiada dalej, że przegrawszy zakład, oddał Byronowi luidora, który się długo wzbraniał, ale nareszcie przyjąć musiał. Dodaje wszelako Maurycy, że Byron chociaż dobrze trzymał się w wodzie, nie wiele robił drogi, bo miał koszlawą nogę, nie większą od jego dłoni. Bardzo czasem wielką przyjemność znajduję w rozmowach majtka, i patrzę na wielkich ludzi z tej samej strony, z jakiej się na nich lud zapatruje.

Patrząc co dnia na szczyt góry Mont-Blanc, przychodzi mi często na myśl Malczewski, który po śmierci jednym poematem tak wzrósł, że nawet głową przewyższa naszych poetów. Przebiegając opisanie wejścia na górę Mont-Blanc, znalazłem na ostatniej karcie między wyliczonymi bohaterami tego trudnego przedsięwzięcia, imię Malczewskiego, ale skaleczone tak, że gdybym skądinąd o jego wędrownce na górę nie

wiedział, tobym się był tożsamości osoby nie domyślił. Nie wiem dlaczego, ale myśl o Malczewskim została głęboko w moich dumaniach, utkwiona; zdaje mi się, że jest coś podobieństwa między nami, ale burza jeszcze mię nie złamała. Wiesz, matko, że teraz jedyną modlitwą moją jest prośba, aby mi Bóg pięknie i szlachetnie dał umrzeć; bo kiedy pomyślę, że wędrówka moja może być długa, że przyjdzie na mnie nędza, że mię дума moja zabije, to prawdziwie, że mię okropność takiego losu przeraża.

Pytasz się, matko droga, co zrobił Michał Skibicki? Wzdrygam się na samo wspomnienie tego człowieka. Przybywszy do Paryża oczarował wszystkich; w najpierwszych domach najlepsze znalazł przyjęcie, ze mną ciągle obcował i prawdziwie że był to jeden tylko człowiek, z którym przebywać lubiłem. Tęskno mi było, kiedy dzień jaki bez jego wizyty przeminął. Kilka miesiącami przed wyjazdem moim zaczął stonąć ode mnie. Smutno mi było, przypominam nawet że mu raz wyrzucałem zmianę zaszłą w jego postępowaniu. Dziś mu wdzięczny jestem za ten postęp, bo mi dowiódł, że spodłony nie śmiał mnie swoją obecnością kalać.

Teraz opiszę, jak się rzecz stała. Jeden z obywateli waszych, Skibickiego niegdyś szkolny kolega, wyjeżdżając z Paryża polecił mu aby listy z Polski odbierał. Między listami przyszedł rewers weksłowy na 600 fr. Skibicki za tym rewersem odbiera przyjacielu swego pieniądze i następnie listy przejmuję, aby się z nich właściciel o pieniądzach nie dowiedział. Kopczyński oszukany przybywa do Paryża, dowiaduje się z ubocznego listu o przyjściu pieniędzy do Skibickiego, ten mu opowiada, że żadnych nie odebrał i mając już paszport bierze konie pocztowe i zmyka do Austrii. Ale telegraf dogonił go i zatrzymał. Dziś piszą mi, że na Skibickiego wyrok zapadł jako fałszerza, skazuje go na 15 lat więzienia i piętnowa-

nie. Mówią także, że niektórzy z jego znajomych chcąc oszczędzić plamy imieniu (!) ofiarowali mu dozys truczny, ale nie przyjął daru.

Okropność! Nic mnie tak w życiu nie przerażało. Powiadają, że Kopczyński żałuje teraz swego kroku w pośpiechu uczynionego. Zachowajcie to w największej tajemnicy. Prawdziwie że nie wiem co w moim sercu się dzieje. Ale zostało mi jeszcze jakieś przywiązanie do Skibickiego i wielebym dał abym z ust jego mógł jeszcze jakie usprawiedliwienie się usłyszeć.

Odebrałem tymi dniami list od Odyńca. Czy prawda to, że waryuje dla jakiejś awanturnicy i ma się z nią ożenić? Co też ci ludzie wyrabiają. Matko, przypomnij Ludwisi jej obietnicę mi uczynioną. Odyńca list bardzo przyjazny ale w przypisku odkrywa się powód listu: oto dowiedział się o wyjściu tomu III, i prosi abym mu znowu 50 egzemplarzy posłał.

Czy Teofil zapomniał o mnie? Czekam z niecierpliwością dzieł Kochanowskiego: zastąpią one mi w pewnym względzie obcowanie Polaków i pomogą wiele w pisaniu nowego poematu, którego pierwszą część pod zmyślonem imieniem wydać sobie zamierzam. Jeżeli was jaka wiadomość o moim tomie III dojdzie, to mi napiszcie, bo bardzo jestem ciekawy, jak mu się powiedzie.

Zamyślam siedzieć w Genewie i nie robię żadnych wędrówek po Szwajcaryi, bo to niezmiernie kosztuje wiele; tu zaś żyję tak, jak zagranicą najoszczędniej żyć można. Czasem gwałtem chce mi się wioski na Podolu, chce mi się własnego domu, ale o tem już podobno myśleć nie należy. Jak mogę, przypominam sobie moją ziemię: niedawno nauczyłem moich gospodarzy robić chłodnik, ale nie bardzo w nim smakuja. Wprowadzenie nowej potrawy jest niezmiernie trudne u cudzoziemców, zdaje się, jakoby celne komory stały temu na zawadzie.

Jeden z Genewczyków wyklada tu publicznie kurs historii polskiej, mnóstwo dam uczęszcza i uczy się i połyka nasze dzieje, pełne błędów i skańczonych imion. Każdemu tu wolno wejść na katedrę i uczyć; bilety na takie kursa płatne są przez uczniów; panna Eglantyna żadnej takiej lekcji nie opuszcza. Przypisek do dam moich gospodyń w liście bardzo im był przyjemnym, musiałem im go kilka razy odczytywać i żałowały, że go z listu wydrzeć nie mogły.

Wiecie zapewne, że Odyńcowi ojciec umarł, że żona zagraża mu potomkiem, że go zawiodła nadzieja otrzymania placu w Poznaniu.

Czas mamy teraz dosyć chłodny. Podczas dni gorących wstawałem zawsze o godzinie 6-tej z rana i kąpałem się w jeziorze: kąpiele te bardzo na zdrowie mi były i zdrów jestem do zadziwienia: nigdy mi piersi nie bołą. Nie wierzycie, jaka to przyjemność kąpać się w jeziorze, pod drzwiami pięknego ogrodu, zdaje mi się, że kiedyś będę żałował dni teraz upływających; wy mi może teraz gór szwajcarskich zazdrościcie?

Niedawno byłem przytomny w Genewie obiorowi króla strzelców: w środku jeziora wystawiono żagiel, na którym odmalowany Negr trzymał białą tarczę; do tej tarczy strzelali, płynąc na łodziach strzelcy. Jeden z bogatych obywateli ogłoszony królem w orszaku dawnych królów szedł przez ulicę, odprowadzony do domu. Godność taka kosztuje wiele, bo obrany musi w kilkanaście dni wyprawić fetę wielką, fajerwerk, uczte, muzykę na jeziorze; ma to być bardzo piękne; jak będzie opisać.

Panna Eglantyna chce się przypisać, zostawiam jej miejsca i całuję ciebie, kochana matko, i wszystkich serdecznie ściskam.

Wasz Julek.

26.

Genewa, dnia 23 sierpnia 1833.

Najukochańsza matko! Oto dzień moich urodzin. O matko, zacząłem rok 25-ty; jak ten czas płynię! Wczoraj odebrałem list wasz, który mi był najmielszym wiązaniem, choć smutny; zdaje mi się, że z rozpieczętowanego krople łez się polały. Dziś moje urodziny: obudziłem się o godzinie 7-mej i spostrzegłem rękę, która naprzód odechyliwszy firanki, rzuciła na moje łóżko bukiet kwiatów; zapewne bukiet ten będzie od Eglantyny. Przebudzony tak mile, nie mogłem i nie chciałem spać dłużej, choć zazwyczaj do 10, to jest do śniadania, łóżko zalegam: ale pomyślałem sobie, że milej mi będzie pierwsze dwie godziny dnia tego tobie, mammo, poświęcić i oto piszę do ciebie. Wprzód jednak podziękowałem Bogu, że mię od wszego złego przez ten rok mego życia uchronił. Gdybym miał co do wyznania, uczyniłbym ci tu, kochana mammo, spowiedź ogólną i szczerą, zaczawszy od mego od was wyjazdu; ale prawdziwie, że nie popełniłem żadnych wykroczeń, nie sobie nie wyrzucam, więc pobłogosław mi, matko, na moją dalszą wędrówkę. Bukiet dany mi na wiązanie stoi przede mną: w głębi jednej róży śpi spokojnie zielony żuk; zdaje mi się, że on ma teraz los podobny do mnie, który spoczywam cicho w głębi szwajcarskiego ogrodu... Pode mną z salonu dochodzi mi głos pięknej muzyki: jedna z młodych Angielek wstaje z rana, aby korzystając z samotności, grać na fortepianie, i gra bardzo ładnie; ta muzyka dziś ma dla mnie coś smutnego.

Dom nasz pełny jest teraz różnych wojażerów: wiele oryginałów różnej płci i wieku; opiszę wam pokrótce osoby, z którymi żyję. Będzie to jakby katalog osób grających razem ze mną tragi-komedję życia. Naprzód przybyła tu familia Rosyan i na długo w domu naszym osiadła. Jest to, jak u nas nazywają, poczeiwa

szlachta: wdowa Potopof, ładna jeszcze kobieta, choć ma w Rosyi córkę dorosłą; bardzo dobrego serca, ładna jak anioł i prostoduszna. Kuzynka jej, panna Aneta, zupełnie ze wzrostu i twarzy do Maryi Kukulnikówny podobna, także bardzo dobra i prosta. Kuzyn obu tych dam, pan Szaszin, brzydki z twarzy, ale szczerzy i otwarty, nie mówi po francusku, tylko po rusku. Z temi osobami jestem jak można najlepiej. Kuzynowi gadam, co mi przez głowę przejdzie, z panią Potopof także często po rosyjsku rozprawiam.

Obok mego pokoju ma mieszkanie la comtesse Seidwitz¹⁾, lat 65 (z wszelką grzecznością dla dam to piszę), trochę uróżowana, co dnia w innej sukni, wygorsowana, krzyż dworu wiedeńskiego, zawieszony na ogromnej kokardzie, nosi przy boku; za nią zawsze lokaj Niemiec z dwiema poduszkami, które kładzie, gdziekolwiek baba usiąść zamierza. Z tem wszystkim jest to bardzo dobra osoba, wesoła, przyuczona u dworu do grzeczności, każdemu ma coś powiedzieć, bardzo lubi kalambury, wozi z sobą papugę, która kilka słów z okna krzyczy a oprócz służącego ma służącą Niemkę, którą sama pilnuje i na klucz zamyka przed wielkimi pokusami, a tak zamknięta panna oknem cały dzień wygląda, i cały dzień śpiewa nie uczonym lecz łagodnym głosem, z akompaniamentem gitary. Biedna dziewczyna, prawdziwie jak papuga wygląda! Ta pani la comtesse siedzi przy mnie u stołu, ciągle mam z nią konwersacye, ciągle wyciąga szklanke, do której wino nalewam, a baba cukru nasypuje, a ja znów trochę wody dolewam i jestem podobny do Ganimeda.

Z drugiej strony mego pokoju mieszka Anglik, oryginał: łysy, z ogromnym nosem, trochę głuchy, ograniczony, i całą sławę swoją ufundował na dobrem graniu w wista, i choć tu po 5 sous punkt gramy, on jakby o wielkie sumy chodziło, łaje, jeśli który z gra-

¹⁾ Czyt. Zajdwić.

jących słowo przemówi. Wiecznie w spodniach nankinowych i w tabaczkowym fraku ubrany. Otóż są osoby, które ze mną zajmują pierwsze piętro domu. Dół jest zajęty salonami i pokojem jadalnym; na drugim piętrze mieszkają gospodynie, dwie Angielki, matka z córką. Córka trochę do Julki Michalskiej podobna, naiwna, żywa, jak dziecko. Matka ładna jeszcze, tak że za siostrę córki mogłaby uchodzić. Przyjechały ładną kareta, z dwoma służącymi, widać że bogate; nazywają się Donnellan, jadą na zimę do Włoch. Nakoniec mieszka z nami Anglik Hamilton, ładny chłopiec, wysoki, zawsze pięknie ubrany, mało mówiący, z powagą i przymusem. Oto jest nasze towarzystwo.

O godzinie 10-tej schodzimy się na śniadanie, potem po kilka osób rozchodzimy się po ogrodzie, potem o godzinie 1-szej odbieram listy z poczty, które z różnych stron Europy do mnie spływają, potem idę do miasta, czytam gazety, i parę godzin przepędzam w bibliotece Société de lecture; o 4-tej schodzimy się na obiad, na który dwa razy dzwon domowy zwołuje. Wtenczas wypiększona comtesse Seidwitz, w salonie siedząc na kanapie i dwóch poduszkach, zaczyna którego z kawalerów do rozmowy. A po obiedzie bawimy się razem w salonie, często idziemy nad jezioro. Wieczorem zaś siadamy zazwyczaj do wista, który składają osoby: La Comtesse, Anglik w nankinie, Szaszin i ja. Dwie Angielki wyszywają na kanwie grube dywany; panna Eglantyna często moje miejsce przy grze zabiera.

Dnia 24 sierpnia. Otóż wczorajszy dzień, dzień moich urodzin, przeszedł bardzo mile dla mnie i smutno; zszedłem na śniadanie i zastałem pannę Eglantynę samą, która mnie zniewoliła, abym przyjął od niej złotą obrączkę; obrączka ta otwiera się i we środku napis: 23 A o u t¹⁾) 1833. To dziwnie, że

¹⁾ Czyt. U.

tak pamiętała o dniu moich urodzin, o którym kiedyś w zimie jeszcze mówiłem, a tego miesiąca zapytany o dzień kilkakrotnie, nigdy nie chciałem powiedzieć. Obrączkę tę z pierścionkiem, niegdyś od babuni darowanym, na jednym palcu noszę. Po śniadaniu przyszedł mi powinszować jeden z Polaków i pani Pattey zaprosiła go na obiad; na obiedzie całe towarzystwo piło zdrowie moje szampanem. Pani Seidwitz nachyliwszy się do ucha, szepnęła mi: „à la santé de Mme votre mère¹⁾“.⁴ Widzisz więc, matko, że ciebie nawet nieznajome tobie osoby wspominały w ten dzień, a coś dopiero twój syn! Wieczorem przyszło z wizytą kilka panien i trochę tańcowaliśmy do godziny 11-tej w nocy. Otóż masz, matko, opisanie dnia tego. Ci, którzy mię otaczają, starali mi się osłodzić moje położenie i prawdziwie, że nie byli dla mnie tak jak obey.

W tym miesiącu miałem jeszcze przyjemną scenę. Wizytator szkółek tutejszych uprosił panią Pattey, aby mu ogrodu na majówkę pozwoliła; porobiono więc w ogrodzie wielkie przygotowania. Jako to: zasadzono słup, na wierzchu którego zawieszono były cacka dla dzieci, pozaczepiano na drzewach w alei hojdałki, pozastawiano stoły, i do tak urządzonego ogrodu o godzinie 1-szej weszły dzieci ordynkiem z bębнами wojskowemi na czele i niosąc mnóstwo chorągiewek. Nie uwierzysz, mamó, jaki to ładny widok 100 dzieci ładnie ubranych, ubogich, bogatych, z jaką wesołością wchodzili do ogrodu, jak mrówki rozsypali się po trawie, potem znów około chorągiewek zasiedli. Pani Potopof, która zostawiła w Rosyi małego synka, chodziła między dziećmi, szukając, czy którego podobnego nie znajdzie i czy miała w oczach. Ja także, nie wiem dla czego, oczy miałem łez pełne, i coś mię dusiło w gardle. Prawdziwie, że nie wiem, jakie to było uczucie. Czło-

¹⁾ Czyt. A la santé de madam wotr' mer. — Na zdrowie Pańskiej matki.

wiek najszczerzej płacze, kiedy płacze nad sobą samym, a ja wtenczas żałowałem siebie samego, że mię burza tak gwałtownie od wieku dzieciennego oddzieliła. Podczas gier, cała nasza kompania domowa siadła na ławce między dziećmi. Wtenczas przypominałem sobie Czackiego, przypominałem sobie własne uczucia, jakich doznawałem, odbierając oklaski na egzaminach, i prosiłem wizytatora, aby mi prezentował pierwszego ucznia. Natychmiast wizytator przyprowadził mi za rękę małego 12-letniego chłopczyka, trochę chorego wtenczas; wzięłem go za rękę, powiedziałem mu imię mojej kuzynki, zapytałem, czy ją zna? Powiedziałem mu kilka pochlebnych rzeczy, i dałem mu ładny medal mój, prosząc, ażeby sobie kiedyś, będąc starszym, przypominał tę chwilę. Wiecie, że podczas tej sceny wielu przytomnych łyzy miało w oczach; mały chłopczyk ścisnął mię za rękę i nie znalazł słowa na ustach. Eglantyna mi potem mówiła, że chciała była mię w tej chwili uściskać. Droga mamó, są czasem chwile, w których myślę, że ty byś była ze mnie kontenta, i myśl ta będzie mi zawsze przytomną w życiu, bo pewny jestem, że mię do dobrego prowadzi. Matko moja! Życie moje jest teraz spokojne i bezpieczne, jeśli się kiedy troszczę, to tylko o was; w gospodarzach moich mam przyjaciół, mówią mi to samo sami stokrotnie i okazują szczerą przychylność.

Co do twego pytania o pieniądzach, wyznam ci, matko, jak się rzecz ma. Spodziewałem się dotąd, że do końca tego roku żadnej pomocy potrzebować nie będę, aż tu nieprzewidziana okoliczność dotknęła mię: mój przyjaciel, trudniący się w Paryżu książkami, otrzymał rozkaz opuszczenia Francyi. Ministerium francuskie prawdziwie się pastwi nad nieszcześliwymi wyгнаńcami. Kilkaset moich franków, które po kilkakrotnie chciałem mi odesłać, a których dotąd nie potrzebowałem, teraz jemu były gwałtownie potrzebne.

To en petit¹⁾ bankructwo mojego księgarza. Korn także nie odsyła należących pieniędzy, słowem przekonywam się, że księgarze jest to najgorsza klasa, wszyscy do Zawadzkiego podobni. Teraz więc jestem bez pieniędzy i 1000 złotych potrzebowałbym do końca roku, bo przykro by mi było w domu nie płacić, zwłaszcza, że jako wygnaniec płacę mniej od innych. Nadto mam potrzebę sprawienia sobie koszul i bielizny, słowem pieniądze toczą się tu niezmiernie prędko, a w tym roku zapłaciłem jeszcze za druk III tomu.

Wyobrażam sobie, jak mi kiedyś będzie miło spoczywać na sofie włóczkowej, twoją ręką, kochana mammo, wyszytej; dziś najpożądniejszą od was rzeczą byłaby mi twoja miniatura, matko kochana, jeżelibyś, matko, mogła mi ją przysłać; bo w dnie samotne, w dnie pełne wspomnień, patrzyłbym na nią, i byłoby mi lżej i miłej. Żadnej teraz okazji znaleźć nie mogę przesłania wam kanwy, możebym mógł ładne desenie znaleźć w Genewie. Czasem natężam tak moją imaginację, że was widzę, widzę Krzemieniec, dywanki rozkwitające pod waszemi rękami i przez wiele godzin dnia z wami jestem.

O kochani moi! Nie zapominajcie o mnie, niech ja nie przestaję zasiadać w kole waszem rodzinnem. Adieu! Hersylce za kilka słów wdzięczny jestem; widok sam jej kruczkowatych liter ucieszył mię. Dziaduniowi za błogosławieństwo wdzięczny jestem, i stopy jego i babuni całuję. Teofil niech przyjmie moje uściśnienie, Beaupré i pan Jarkowski zawsze są przytomni mojej pamięci, a ty, matko! ty mój aniele stróżu... Ludzie wszyscy płyną jak rzeka do jednego celu... w jedną stronę... zjeździemy się kiedyś, matko... Słowa Nicka nastroczają mi się tutaj: Przyjdę tam

¹⁾ Czyt. An peti — małe.

do chaty. Odpocznę... ja myślałem zawsze do was wrócić.

Adieu! Adieu! Twój

Juliusz.

27.

Genewa, dnia 22 września 1833.

Najukochańsza mammo! Otóż masz wizerunek Genewy, ale nie takiej, jaką ją co dnia widzę: sztycharz bowiem, jak zwykle, wlaźł na jakiś komin i stamtąd niewidzianą dla chodzących po ziemi Genewę odmalował; widzicie zdala góry: jest to Mont-Blanc, widzę go co dnia lepiej z mojego ogrodu. Woda, która tu odmalowana, jest to rzeka Rhodan. Ja zaś widzę Genewę wyciągającą szyję nad jeziorem; nie mogłem dostać lepszego wizerunku, więc wam siaki taki posyłam... Piękny to kraj! patrząc na niego, mimowolnie nieraz myśląc o tobie, mammo, powtarzam słowa piosnki Goethego:

Czy znasz ten kraj, znasz go, o moja miła?
Tam byłby raj, gdybyś ty ze mną była.

Odebrałem nowy dowód twego przywiązania, tem dziwniejszy, że jak się mama przekonasz, uprzedziłaś zupełnie moje żądanie. Miłość twoja, mammo, dała ci zapewne szósty zmysł przeczucia, ale list był okropny, matko! Wyrzucasz mi nieszczerłość, kiedy ja nigdy tak daleko od niej nie byłem jak teraz; wszystko co tylko mogę, wyjawiam ci, mammo! Spokojne i ciche życie jest teraz mojem szczęściem, a tobie je w całości winienem; wyraz nędza w moim liście, który cię tak mocno dotknął, potrzebuje usprawiedliwienia z mojej strony: lękam się tego nieszczęścia ale tylko na przyszłość, bo Bóg mi może zabrać mego anioła stróża, a wtenczas stryj... Ja zaś zupełnie będę niemy: jest to niemoc, która mi nie dopuści mówienia za moją sprawą. Mammo, oto jest otwartość twojego dziecka; przebac

mu, że on w dobroć Boga nie ufa, niech cię odmalowana tu przyszłość dziecka twego nie zatrważa, bo ona mi się tylko taką zdaje w godzinach spleenu i rozpacz. O mamó! Czemuż tobie mój ojciec, umierając, wszystkiego nie oddał zupełnie.

Matko! odwróć myśl od tych wyrazów i słuchaj, co twój syn robić zamierza przez zimę. Oto naprzód zostaje członkiem tutejszego literackiego towarzystwa; płacąc 50 franków na rok, mam prawo brać książki do domu z ogromnej biblioteki: otoczę się więc dziełami filozoficznymi, historycznymi dla odpoczynku zaś położę przy nich jaki romans i tak przy trzaskających na kominku drzewkach będę ranki zimowe przepędzał; wieczorami mam domowe towarzystwo, które zimą może będzie bardzo małe, a stąd będę jak w familijnem gronie.

Nie uwierzysz, mamó, jaką mi przychylność okazują pani Pattey i córka jej: dogadzają mi we wszystkim i starają się ciebie zastąpić. Wszyscy moi znajomi zazdroszczą mi mojego położenia z tego względu, i gdybym był pewnym, że mię w życiu nigdy nie mniej dobrego nie spotka, byłbym szczęśliwym, o ile to w mojem oddaleniu być może. Prawdziwie, moja mamó, nie mam ja tych snów złotych, któreby mi mierne szczęście niedostatecznem ukazywały; przyrzekłem sobie nigdy za znaczeniem i bogactwem nie gonić; a jeżeli sława łechce czasem moją próżność, to prawdziwie, że jest to szlachetne uczucie, bo sławy nie dla mnie, lecz dla mojej biednej kuzynki pragnę; wierz mi, matko, że to jest jedyny cel w mojem życiu. Drogo i poświęceniem własnego szczęścia kupuję możność służenia temu celowi, bo inaczej byłbym przy was: ale powiedzcie mi, bez książek i bez pióra czemużby było moje życie?

Tej zimy zamysłem pisać i pisać: jestem jak góra w połogu. Prawdziwie nie wiem, jaka jest organizacya we mnie, że się tak o pewnych epokach ożywia myślami, przepelnia, wylewa, i znów jestem, jak Turek

przez pół roku, po wytrzeźwieniu się z opium, zupełnie zimny i prozaiczny. Mówcie sobie co chcecie, a zdaje mi się, że gdyby mię los Andrzeja Chénier spotkał, gdyby mię na śmierć prowadzono, mógłbym jak on uderzyć się ręką w czoło i rzec: „A wszakże ja miałem coś tutaj.“ Nie, to jest może tylko ów ewiek Klembowskiego, który nas kiedyś tak ubawił; cokolwiekbądź, ten ewiek odróżnia mię od ludzi, dla których to życie jest wszystkim. Gdyby kiedyś systemat Galla wydoskonalono i gdyby, pomacawszy głowę, powiedzieć można było człowiekowi: będziesz tym a nie innym, to ludzie nie tłukliby się po tej ziemi i nie wałęsali się jak ślepi; a wszakże ja tyle mam guzów, że sam Gall możeby nie odgadł, czy ja pisać wiersze, czy kraść będę.

Gawędzę sobie z tobą, matko moja, jak gdybym siedział na twojej kanwowej poduszce. Otóż opowiem ci ważne w mojem życiu zdarzenie: jesień nadchodziła (lubię pasyami jesień, lepiej niż wszystkie pory roku), aż tu ból zębów napadł mię: zęby chciały mię pozbawić wszelkiej przyjemności jesiennej. Jednego więc poranku wstałem rano o 7-mej godzinie i poszedłem do dentysty. „Panie Chavans, rzekłem, wyrwij mi ząb trzonowy.“ „Bardzo dobrze“, odpowiedział; usiadłem, przyszła służąca dla potrzymania głowy, zakreślił mi ząb i złamał... „Cóż teraz będzie?“ — zapytałem. Odpowiedział: „weźmiemy go z korzenia.“ Jakoś dziarska mi rozłamała, i ząb wydobył; zaledwo lekki krzyk wydałem podczas operacyi... Mamó! jak się Julek odmienił, wszak pamiętasz, jak kiedyś płakał, kiedy mu zęby wyrrywano, choć tyś mi, matko, trzymała głowę a dziś służąca doktora!

Shczęśliwy, kto nigdy z oczu komina ojcowskiego nie straci, kto jak liść uwiędły padnie u stóp drzewa na którem wyrósł. Waham się i do samej godziny pocztowej wahać się będę, czy posłać przy tym liście mój tom III, czy nie? zdaje mi się, że go posłę.

O jakby mi było miło, gdybyś, matko, знаła moje trzecie dziecko.

Przybyła tu do naszego miasta nowa trupa aktorów, lepsza od poprzedzającej i przez całą zimę dość nie zły będzie teatr. Byłem na pierwszej repertycji, na *Fra Diavolo*, operze, którą niegdyś we Wrocławiu słyszałem; dziwne sprawia wrażenie ta sama sztuka w różnych słyszana okolicznościach. Publiczność tutejsza bardzo jest niesforna, wygwizdano kilku aktorów, a między nimi jedną aktorkę; biedaczka w okropnem była położeniu.

Towarzystwo nasze domowe znacznie się umniejszyło. Pani Seidwitz, la comtesse, o której wam pisałem, że chodzi z ogromnym krzyżem w pętlicy, wyjechała do swoich dóbr we Francji. Możecie czytać wojaż po Anglii, Irlandyi, pisany przez prince Pückler-Muscau; otóż ten książę dziwnego imienia jest synem z pierwszego małżeństwa pani Seidwitz. Zabawiło nas to odkrycie, albowiem dzienniki francuskie niedawno mniemały, że prince Pückler-Muscau¹⁾ nie egzystuje i że jakiś inny autor kryje się pod tem imieniem: dziś o jego tożsamości żadna nam wątpliwość nie pozostała. Matka nawet uskarża się, że jej synalek regularnie pensyi nie wypłaca.

Wczoraj wieczorem byłem na przechadzce z Anglikami: przepłynęliśmy jezioro i na drugiej stronie widzieliśmy dom, w którym mieszkał niegdyś Byron, bawiąc w Genewie. Dom ten teraz zamieszkały przez kogo innego, oddalony jest o 3 werstwy od miasta; dom mały, murowany i wcale pospolity; nie wchodziliśmy do środka. Dziedzinić nadzwyczaj smutny, otoczony stajniami; z drugiej strony ogród na schodzącej do jeziora płaszczyźnie. Wioska, w której mieszkał, nazywa się Cologny²⁾. Wracaliśmy po jeziorze przy

¹⁾ Czyt. pręś Plukler-Muskał.

²⁾ Czyt. Kolonii.

światle księżycą; nie możecie sobie wystawić, co za przepyszne jezioro przy księżycu: z jednej i z drugiej strony błękitniejące brzegi mgliste, a w końcu jeziora widać migające światła i rzędy oświeconych okien — to Genewa; z czwartej strony brzegów nie widać przy świetle księżycy. Taki spacer byłby zachwycającym z miłemi osobami, ale wy sobie nie możecie wystawić, co to są Anglicy i Angielki; jest trzech Anglików w naszym domu, żaden z nich nawet jednej myśli w głowie nie ma. Skrzywione wyobrażenia, stare, la morgue au lieu de la dignité¹⁾. — Angielki także nie takie, jak je sobie wystawiałem: wcale nie sentymtalne, i nigdy jeszcze z Anglikami w naszym domu nie było interesującej rozmowy, a ciągle muszę odpiierać rezonowania głupie pana Wolfa, który, dowiedziawszy się, że jestem autorem, a będąc wysłany z Anglii, aby ludzi na metodystów nawracał, przedsięwziął mnie metodystą protestanckim zrobić. O! gdybyście widzieli jego tłustą, okrągłą postać, przy chudej żonie, jego uśmiech jezuicki, gdybyście widzieli, jak przy stole z jezuicką miną spożywa pokarmy, śmialibyście się, jak ci się śmieją, którzy z boku na nas patrzą.

Brat Aleksandra Mickiewicza był tu, ale wyjechał, nie mogłem więc mu udzielić otrzymanej wiadomości. Odniec musiał już zostać ojcem, żadnych od niego nie mam nowin. Zdecydowałem się posłać wam jedno moje trzecie dziecko, polecę je dobrze opiekunowi Hausnerowi.

U nas tu jesień zaczyna się, ale piękna; często z panną Eglantyną siadamy na ziemi w ogrodzie i, słuchając szmeru spadających liści, marzymy o wielu rzeczach. Mamo! twoje imię często jest wtenczas na naszych ustach: ona chciałaby ciebie znać zupełnie, i dopytuje się o wszystkie szczegóły ciebie dotyczące,

¹⁾ Czyt. la morg' o lie de la dinite — pycha zamiast godności.

a mnie miło o tobie, matko, rozprawiać. Czy przyjdzie ten czas, że z tobą o osobach zagranicą spotkanych rozprawiać będę? To niepodobna, aby moje życie, tak młode, miało już być bez przyszłości. Kochanowskiego jeszcze nie otrzymałem, i niecierpliwie czekam. Przeczytawszy treny, przeczytam list o zgonie Melanki i porównam je. Mam, ten list gasi wszystkie treny, taki słiczny, tak głęboko smutny.

Żadnych nie mam nowin, nudno wszędzie, głucho; czy Kosielski wrócił, czy się żeni? interesują się tu nim bardzo, równie jak Grocholskim; nie mogą się oni uskarżać na zapomnienie. Adieu, kochani drodzy moi. Niech was Bóg chowa i strzeże, jest to samo jak gdybym rzekł: Niech mię Bóg chowa i strzeże... czy to egoizm? Nie, mam, droga! wierz mi, że Julek ma nieco szlachetnych uczuć... że cię kocha najwierniej i najszczerzej. Kilka dni temu przypominałem sobie pacierz Melanki, i łzy nagle chciały się rzucić z oczu moich; powiedziano, że żem oszalał... Któż się teraz za nas modli; mam, droga? Adieu! Adieu! Kocham ciebie nad życie, mam, moja!...

Julek.

28.

Genewa, dnia 17 października 1833.

Droga, najukochańsza mam, moja! Cóż ci w tym liście opisywać będę? spojrzawszy na cały miesiąc upłyniony, nie widzę żadnego interesującego wypadku. Anglicy, Angielki i wszystkie inne narody, które przez lato dom nasz napełniały, z przyjściem jesieni uniosły się jak jaskółki na południe i nie ma nikogo, oprócz młodego Anglika, który jest doskonale nudny. Wystawcie bowiem sobie młodego chłopca, wysokiego niezmiernie, dość przystojnej twarzy, który nigdy prawie nie gada, a kiedy się wyda z jakim zdaniem, to go i sam dyabeł o myślności zdania nie przekona; wystaw-

cie sobie tę machinę, grającą cały dzień na gitarze pierwszą lekcję ze szkółki, a będziecie mieć obraz doskonałego pana Speare¹⁾, co znaczy po polsku dzida. Jest to więc ostatni z gości letnich, i ten porzuci nas wkrótce, co uczujemy tylko po ogłuchłej gitarze w murach naszego domu. W takim towarzystwie, dodawszy do tego Anglika moje gospodynie, może bym się nudził szalenie, gdyby nie kraina marzeń i urojeń, która silniej niż kiedykolwiek oddzieliła mnie od świata.

Piszę wielkie dzieło, napisałem już 1300 wierszy, ale to jest jeszcze niczem w porównaniu do całej budowy. Cały dzień jestem tak roztargniony, że dziś płacąc szewcowi za buty, dałem pieniądze, nie dołożywszy jednego sous, który mu się do okragłej sumy należał i wyszedłem z jego sklepu. Nie wiem, jakim sposobem przypominałem sobie o tej pomyłce i zacząłem się śmiać głośno, bo prawdziwie, że nie wiem, co ten szewc o mnie pomyśli; płacąc, miałem rękę pełną sous, a nie dodałem mu jednego.

Czemuż: z tobą, mam, droga, nie mogę pogadać o moich pismach przeszłych i przyszłych. Jakże by to było szczęście dla mnie. Pisałem, że posyłam wam moje trzecie dziecko; nie dziwcie się, że nie doszło, odeśłali mi go (!) z granicy szwajcarskiej, jako złym sposobem posłane, to jest, nie tyle się zapłaty należało... mogłem je inną drogą posłać, ale wypadek ten uważałem jako przestrożę losu i wstrzymałem się. Przesał mi go w niektórych rzeczach.

Pisano mi, że dzieła Kochanowskiego już są w drodze, zapewne je w tych dniach otrzymam. Pusty dom nasz, a dla mnie pustynią się zdaje, mówiąc romantycznym czyli raczej klasycznym, idyloowym stylem, od czasu wyjazdu młodej Angielki, która tu mieszka, przede drzwiami tylko oddalona ode mnie, i z którą po całych

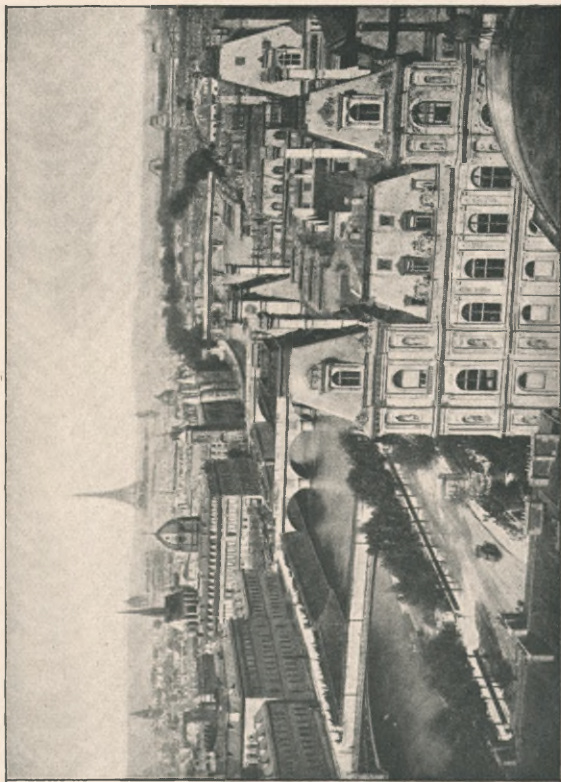
¹⁾ Czyt. Spir.

dniach szaleliśmy; prawdziwie, że dziwno, jak wiele dotąd we mnie dzieciennego, a czasem jak wiele spleenu.

Pan Wolf, minister protestancki, wysłany z Anglii, aby nawracał ludzi, wyjechał już z żoną; przez cały ciąg pobytu wszystkie osoby zaniedbywał, a do mnie się przyczepił wszelkimi argumentami, podobnymi do katechizmu szkół nowych u was. Chciałbym wam pokazać próbkę takiego rodzaju ludzi, bo prawdziwie, że ich jeszcze nie widzieliście. Ten pan Wolf, wyjeżdżając, zostawił mi na pamiątkę *Stary i Nowy Testament*, za co jemu bardzo wdzięczny jestem, bo ta księga każdemu człowiekowi w życiu towarzyszyć powinna. Darował mi także dwie inne książki, których nie czytam i nawet czytać nie będę: jedną z nich jest kazanie, które miał w kościele protestanckim w Rzymie. Nim się goście stąd rozjechali, przepędzaliśmy często wieczory na czytaniu tragedyi: byłem lektorem towarzystwa i zdaje się, że byli kontenci ze sposobu, jakim wydawałem różne role, przynajmniej widziałem często na ich twarzach, że dobrze czytałem.

Córka pani Pattey, która jest za jednym bankierem, zamierza tej zimy urządzić teatr i liczy na mnie, że się niektórych ról podejmę. Będzie to więc jedna z moich zimowych zabaw. Nastąpią niektóre godziny, w których będę musiał śmiać się szczerze z musu i rozśmieszać widzów.

Mamo kochana, napisz mi, jaki jest adres do twojego kuzyna w Galicyi. Chciałbym poznać się z nim listownie, bo może go będę potrzebował. Jeżeli będziesz kiedy pisać do niego, powiedz mu, aby mnie jak krewnego uważał; gdybyś ty, mamo, mogła kiedyś osiąść we Lwowie, to możebym po jakim roku otrzymał pozwolenie mieszkania w Galicyi i dobrze by nam było. Myśl o tem, kochana mamo, może to żądanie moje jest tylko złotem marzeniem; ile razy o takiej przyszłości myśle, to mi lżej na sercu.



Panorama Paryża.

Niespokojność jakaś dręczy mię ciągle: często zatrudniony czytaniem albo jaką cichą pracą, wstaję nagle, jak waryat chodzę z myślami, od których opędzić się nie mogę. Ta niespokojność prawdziwie ma jakąś twarz ludzką i bladą, którą widzę nieraz nagle wyrastającą z kart książki, którą czytam, i nie rozumiem książki. Niespokojność ta często jak jakaś gorycz odbiera nagle smak pokarmom, które do ust niosę. I muszę z nią walczyć jak z domowym wrogiem. Mamo! to dziwnie, że imaginacya moja jest jedynym źródłem wszystkich moich nieszczęść i wszelkiego szczęścia na ziemi... bo prawdziwie, że jestem szczęśliwy często tą władzą twórczą urojonych wypadków, szczęśliwy jestem każdego wieczora, kiedy piszę, każdego ranka, kiedy chodzę po suchych liściach w ogrodowej alei.

Nie możecie wystawić sobie, jaki wdzięk ma tu-tejsza jesień: dotąd czas najpiękniejszy, słońce, świecąc na wpół pożółkłych drzewach, zdaje się być bardziej złociste i piękne, murawy nie tak jak u nas spalone i bez życia. Kilka dni temu o południu pływałem czołnem po jeziorze: wystawcie sobie jezioro czyste i równe jak zwierciadło, tak równe, że kiedy po mnie przepłynął z daleka parowy statek, w kwadrans potem widziałem zbliżający się fałd czarnej, rozbitej kołem parowego statku wody. Fałd ten posuwał się zwolna, wspaniale i czołnem mojem lekko zakołysał, przeszedł, popłynął dalej, a czołno znów stało nieruchome na zwierciadle wody. Wystawcie sobie po dwóch stronach jeziora brzegi zielone, nad brzegami w oddaleniu to-pole, pożółkłym liściem okryte, jak złote kolumny; wiele drzew zielonych, wiele białych domków i pałacyków; a za tym brzegiem Mont-Blanc biały, świeżym śniegiem z przyległemi mu górami okryty, podobny do jakiegoś sybirskiego kraju, podobny do snycerskiego posągu sybirskiej krainy. Wśród takiej natury trzeba być smutnym, albo trzeba się kochać. Na mnie Bóg rzucił jakieś przekleństwo: na mojej drodze

stawia mi lalki, zabawkę, serce moje żywieć okruszynami uczuć... i w moich uczuciach nic nie ma wielkiego, oprócz tej jakiejś nieskończonej niespokojności, bez rysów prawie, a którą jednak widzę wszystkimi zmysłami.

Mamo, nie dziw się stylowi tego listu, ani się lekaj o mnie: jest to proste jesienne usposobienie duszy, jest to tylko skierowanie wszystkich władz do przemagającej we mnie teraz imaginacji. Żyjąc od dni kilkunastu tym chlebem, nie mogę się nagle przemienić, nie mogę wam opisywać płaskich, codziennych wypadków, powtarzać słów jakiej pani, której mi przez jedno ucho weszły, przez drugie wyleciały, opisywać rozmowy w gronie kilku nudnych osób toczącej się i t. d. Gdybym był nawet z wami, widzieliście mię myślącego i zachmurzonego, patrzcie więc tak na ten list pusty, jak na myślącego Julka. Mamo! wystawiam sobie często, że chodzę po ciemnym pokoju, gdzie nad framugą wisi biały z kości słoniowej Chrystus na czarnym krzyżu. Wystawiam sobie, mam, że ty leżysz na małej kanapie w drugim pokoju, oświecona płomieniem zapalonego ognia w piecu. Jak tam cicho i smutno musi być w waszych pokojach.

Matko! list ten może otrzymasz w dzień twoich imienin. Syn twój z daleka ręce do ciebie wyciąga i prosi cię, matko, abyś mu przebaczyła, że cię tak samą na świecie zostawił, bez żadnych przyjemności życia, pomiędzy pomnażającymi się co dnia grobami rodziny. Mamo moja! czy myśmy starzy, czy myśmy przespali wiele lat, że tak nam wiele osób brakuje? Czy nas Bóg złączy kiedyś dlatego, abyśmy przed śmiercią mogli sobie powiedzieć, żeśmy żyli? abyśmy na zmienionych twarzach naszych wyczytać mogli te (!) same słowa: żyliśmy?... Matko moja, uśmiechnij się, niech ci przyjdą wesołe myśli, wesołe marzenia; wróć kiedyś, a jeżeli nie, to znajdę sobie za granicą, ładną, dobrą, może nawet bogatą żonę. Będę miał sy-

nów, córki, wybiorę ci najpiękniejszego z synów, posadzę na twoje kolana: tylko, matko, odpędzaj go od książek, niech nad śmiercią Hektora nie płacze, niech się nie uczy od Jowisza z Iliady zmarszczeniem brwi świat wstrząsać; daj mu zimną Eneidę, której Julek częstym czytaniem nie odparł, niech ze spalonego miasta uczy się z Eneaszem unosić Boga, matkę, żonę, dzieci, niech nic nie zostawia po sobie, czego by mógł żałować.

Babuniu, dziaduniu, drodzy mi, Teofilu, Hersylko, otoczcie wszyscy mamę moją tak ścisłem kołem, aby nie widziała, że jej kogo brakuje.

Bądźcie zdrowi, bądźcie zdrowi, moi mili i najukochańsi! Ja zdrow jestem jak ryba, powietrze tu tejsze bardzo mi służy, albowiem nigdy nie doświadczyliśmy wielkiego zimna, a góry śniegiem okryte chłodzą nas w wielkie upały. Prawdziwie, że ta ziemia, to raj dla szczęśliwych. Mamo droga, całuję ciebie po tysiąc razy.

Twój Julek

29.

Dnia 30 listopada 1833.

Najukochańsza, biedna mam, moja! Chciałbym cię pocieszyć w bolesti twojej i czuję, że jedno moje uściśnienie byłoby ci miłsze nad wszystkie listu wyrazy. A ja ciebie, mam, uściśnąć nie mogę. Widząc tak mrące osoby kochane i drogie, czasem krzyczę całą mocą duszy mojej: czekajcie, czekajcie na mnie, może jedna chwila upłynie, a wrócę i uściśnę was jeszcze! Ale ty, mam, droga, nie będziesz sobie smutkiem życia ukracać, boś ty wszystkim dla mnie, bo ci przysięgam, że żadne inne przywiązanie nie dzieli serca mego na dwoje i żadnej jego części nie odrywa od ciebie.

Przez dwa miesiące oczekiwałem z największą niespokojnością jakiej wiadomości. Odebrałem książki

Kochanowskiego, list od tych, którzy mi je przysłali a od was ani słowa: to niespokojność moją okropnie zwiększyło, domowi moi dzielają ją. Na koniec ranku jednego przybiega do mnie ze łzami radości w oczach panna Eglantyna i wyciąga do mnie rękę z listem. Porwałem go... niespokojny... i przeczytałem, a potem padłem w moim pokoju na kolana i modliłem się ze łzami... a tak rzadko się modłę..., więc Bóg musiał łzy i modlitwę przyjąć jak łzę i modlitwę grzesznika. Na drugi dzień rozczytałem się w liście i znalazłem jeszcze inne powody smutku. Więc wiecie o Adamie... Ach! teraz dopiero powiem, ile mię kosztowało przełamanie pierwszego popędu dumy. Skorom przeczytał, chciałem się koniecznie strzelać z nim i natychmiast posłałem list do Michała Skibickiego, przyjaciela mego niegdyś, aby mi pomocy swojej użyzył. Przyszedł Michał wieczorem i różnemi radami odwiódł mię od zamiaru. Była to jedna z przyczyn, dlaczego do Genewy wyjechałem, i teraz nie uwierzycie, ile męki cierpię, ilekroć ludzie chcą zdanie moje o Adamie słyszeć. Nie nawidzę go... Wyjątek z mojej przedmowy on obciął i umieścił w piśmie, ale tak obciął, że mu dał całkiem inne znaczenie, pozór jakiejś uszczypliwości, a przedmowa moja jest raczej mojem usprawiedliwieniem i wszyscy, którzy ją całą przeczytają, przyznają, że Adam ze złą wiarą postąpił, on bowiem o dziełach literackich w piśmie pisał. Nic mi nie pozostaje, jak okryć ciebie, matko moja, promieniami takiej sławy, aby cię inne pociski ludzi dojsć nie mogły. I muszę tego dokonać, Bóg mię sam natchnął, bo rozwinął w myśli mojej wielkie dzieło. Część pierwszą za kilka dni posyłam do druku i teraz przepisuję. Wierz mi, matko droga, że się nie zaślepiam, że te (!) dzieło osądził po napisaniu obcego człowieka rozważa... I drukuję bezimiennie. Będzie tak równiejsza walka z Adamem. Jeżeli przygotujecie się na to, to teraz

poślę kilka egzemplarzy, napiszcie tylko czy? Bo całe jest o chorobie kuzynki.

O matko moja! jakżebyem chciał zwrócić list mój ostatni z powinszowaniem imienin tobie pisany: myślę teraz, o ile on będzie bolesny dla ciebie. Nie wiem dlaczego, ale ciągle myślę, jak kiedyś na starej, czarnej Znajdzie wjeżdżałem na mały, spokojny dziedziniec. Imieniny twoje, mammo, musiałem wczoraj obchodzić ze znajomymi: chłopcy młode przyjechali po mnie o godzinie 10 z rana i powieźli z sobą na obiad na wieś, pod góry genewskie. Było nas kilkunastu; kiedyśmy jechali, chmury czarne snuły się po niebie, sam tylko Mont-Blanc biały świecił się od słońca jak posąg Sybiru. Potem deszcz lunął rześisty, ale po deszczu najśliczniejsza tęcza rozwinęła się nad nami. Wszystko to poruszyło aż do głębi serca nasze: w tej tęczy widzieliśmy jakąś wróżbę. Zasiadliśmy do stołu, jeść niewiele znaleść mogliśmy w wiejskiej oberży, ale szampan wszystko wynagrodził. Na prośbę kolegów pierwszy raz improwizowałem i domyśliście się, że ta tęcza była treścią mojej ody. Koledzy klaskali w ręce, a potem ściskali mię ze łzami, następnie pili moje zdrowie, a kiedy im powiedziałem, iż ty, mammo, nazywasz się Salomea, pili twoje zdrowie. Najbardziej rozczulającą była chwila, kiedy po różnych pieśniach zaintonowaliśmy wszyscy pieśń: Święty Boże! święty mocny, święty nieśmiertelny — zmiłuj się nad nami! Ten hymn kościoła naszego nieraz mię do płaczu pobudzał, a w tej chwili miał w sobie coś ogromnego. Młodzi około stołu oparci na dłoniach, podobni byliśmy do dawnych... naszych. Wystawcie sobie tę garstkę na obcej ziemi, a pewno uczujecie wrażenie, jakim nas natchnęła ta pieśń pobożna. Nasze uczty połączone są ze smutkiem. Łzy pijemy w naszych kielichach i kielichy są pełne goryczy, dopóki Bóg ich od nas nie odwróci.

W tym miesiącu miałem kilka wieczorów; wprowadzony byłem do domu pani Wodzińskiej, która tu mieszka z synami i z dwoma córkami: starsza dorosła już panna, ale bardzo brzydka, gra ślicznie na fortepianie. Field, będąc tu, dawał jej lekcye i gra zupełnie Fielda metodą, więc jej gra bardzo mi była miła. Dwunastu młodych Polaków, uczących się tu na jednej pensyi, chcąc mię poznać, dawali dla mnie wieczór, na którym tylko sami chłopcy znajdowali się. Bawiliśmy się dosyć dobrze i gdyby nie zapytania, które mi ciągle robili: co ja myślę o Adamie? byłoby mi zupełnie miło między niemi; tańcowaliśmy szalonego mazura. Tych kilka wieczorów rozerwało mię trochę, zwłaszcza, że jeszcze nic o naszym nieszczęściu nie wiedział.

Cały ten miesiąc pracowałem nad nowym poematem i w dni 20 napisałem 220 wierszy. Czuję jakąś pociechę, myśląc że moja młodość nie jest zupełnie straconą dla dobra ojczyzny mojej, przynajmniej tak sobie powiadam i słodzę tem wszystko. Spokojne teraz wiode życie. Sam jestem w domu z matką i córką Pattey; kochają mię jak syna i brata, dzielają wszystko ze mną, słowem, że mię Bóg do ich domu przyprowadził. Kiedyś, wróciwszy do mojej krainy, nieraz będę tęsknił może za tem cichem i terazniejszem życiem; prawdziwie, że źle ulepione serce człowieka: przeszłość nie powinna się nam piękniejszą wydawać niż była.

Książki Kochanowskiego odebrałem z taką radością, jak gdybym witał przyjaciół. Będę je zawsze chował, bo notatki ojca i twoje kilka wyrazów, mam, uświęciły je dla mnie. Czytam ciągle teraz oba dzieła na przemiany i znajduję, że *Treny* są niezrównanej piękności. Uwagi ojca mego po większej części znajduję słuszne; w niektórych tylko miejscach widzę, że go gust ówczesny klasyczny a raczej francuski trochę obłąkał. W terazniejszej poezyi Brodziń-

ski najczęściej się do Kochanowskiego zbliża, ale jest od niego niższy o 3 wieki. Oprócz tych dzieł nic więcej teraz nie czytam, bo po całych dniach przepisuję na gwałt mój nowy poemat, który nazywa się *Kordyan*. Dziwne to imię sam dla mego idealnego człowieka znalazłem.

O mam, czemuż nie jestem z tobą! Teofilu, Hersylko, dzięki wam za wasze słowa w liście; dziele z wami całą boleść, bo uważam się jak wasz brat i brata prawdziwie mam do was przywiązanie. Chcę, abyście spokojnie na wsi osiedli i pozbyli się wszelkich trosk i nieprzyjemności. Niech się wam kłosa żółte do nóg kłaniają, niech w waszym ogrodzie rośnie¹⁾ a przyjdzie jeszcze z nieba między was jaki aniołek z błękitnemi oczyma, i usiedzie wam na kolana, i uśmiechnie się do was; a w domu waszym wiejskim, tak jakeście mi przyrzekli, zbudujcie mały pokoik z dwoma oknami na wschód i w ogrodzie zasadźcie aleję z kasztanów i jodeł na przemiany, aby mi przypominała aleję, po której teraz chodzę... o! gdybyście mogli górę Mont-Blanc z daleka w perspektywie postawić. Dziadunia mego rączki ode mnie ucałujcie. Mam, moja kochana! bądź ty spokojna i znoś nieszczęście z całą mocą duszy, bo cóż się ze mną stanie, jeżeli ty, mam, boleścią zbytnią usuniesz się z tej ziemi. Matko moja! kiedyś wezmę cię za rękę i pójdziemy na cmentarz płakać i modlić się. Matko moja! pani i panna Pattey kilka razy widząc, że list piszę, przychodziły pod moje drzwi i wołały, abym nie zapomniał od nich tysiąc ci rzeczy powiedzieć. Panna Eglantyna płakała, dowiedziawszy się o nieszczęściu, które na was spadło; one także, matka wdowa i córka siorota, mają tysiąc zmartwień i nieprzyjemności, one

¹⁾ Brak wyrazu.

także nieszczęśliwe! Mamo moja, całuję ciebie z całej duszy, całego serca mojego!

Twój *Julek*

30.

Genewa, dnia 3 stycznia 1834.

Najdroższa mamo moja! Otóż znów dożyliśmy, czyli raczej przeżyliśmy rok cały. Nie wiem dlaczego, ale lata galopem przede mną uciekają: może to dlatego, że terazniejszość uważam za czas czyścowej próby i odkładam do szczęśliwszych czasów używanie tego świata; dlatego nic mi teraz nie bawi, nie cieszy, zdaje mi się, że sobie przygotowuję przyszłość, ale ta przyszłość może nigdy dla mnie nie nadejść. Bo nie wszystkie moje przeczucia tak się sprawdzają, jak przeczucia nieszczęścia. Kiedym pisał list w dzień eksportacji ciała mojej babuni, zalewałem się łzami, i panna Eglantyna po oczach moich czerwonych odgadła, żem płakał. Zdaje się, że mój anioł stróż przelatuje ciągle ode mnie do was i wracając znów do mnie, opowiada mi nieszczęścia. Mamo najdroższa, obiecujesz mi przysłać jaką pamiątkę, pozwól, że ci powiem, coby mi największą rozkosz sprawiło. Oto każ komu zrobić miniaturę z portretu, który niegdyś odmalował Klembowski, i przyslij mi ją: niechaj w smutnych godzinach patrzę na twarz twoją, niech sobie przypominam szczęśliwe lata cichego dzieciństwa. Czy pamiętasz, matko, że kiedy raz, jeszcze w pokojach matematyków, służąca pytała mię, która z dam znajomych wydaje mi się najpiękniejszą, odpowiedziałem, że ty, mamo, jesteś najpiękniejszą ze wszystkich dam znajomych. Wiem, mamo, że we wspomnieniach moich znów jesteś taką, jakąś była w oczach dziecińskich. Panna Eglantyna śniła raz, o tobie, mamo, i potem opisywała mi twoją postać; były niektóre rysy

podobieństwa, ale co mię najbardziej zadziwiło, to jedną okoliczność jej snu: Weszłam, mówiła, do pokoju twojej mamy, który był nieco ciemny, tak jak zwykle bywają pokoje na rez-de-chaussée¹⁾. — Zdziwiło mię to bardzo, że osoba niewiadoma twoich pokojów, odgadła je; kto wie? może we śnie zupełnie rzeczywistość widziała.

Kochana mamo! żądasz abym ci radził względem naszych interesów; jedną tylko radę dać mogę: żyj, matko droga! żyj dla mnie i zachowuj twoje zdrowie! Chciej żyć, bo przekonany jestem, że wola robi cudy, przekonany jestem, że kiedy w dzieciństwie chorowałem śmiertelnie, nie lekarstwa, ale wola silna twoja i ojca mego wyrwały mię śmierci. Jeżeli zaś, matko robić będziesz rozporządzenia, wszystko twoje zostaw Teofilowi, bez żadnych na piśmie warunków. Teofila zawsze uważałem jako najlepszego mego przyjaciela: on łagodnością i dobrocią swoją był dla mnie bratem, ani mię odepchnął od siebie wymaganiem uszanowania, więc zyskał przeto, że go szanuję i kocham. Ufam jemu zupełnie, że mi z głodu umrzeć nie dopuści. Skoro zaś fundusze moje uszczuplą się, rzucę Genewę i pójdę gdzie żyć w wieśniaka szwajcarskiego domu — byle piękną naturą otoczony, nie dbam o zwierzęce wygody życia. Dziś nawet, mamo moja, gdybyś mi szczerze napisała, że interesa nasze wymagają tego, dziś nawet skutecznym byłby ten projekt cichego życia w górach, albowiem nie widzę w tem ani upodlenia, ani śmieszności. Wierz mi, mamo, że nie odbierając długo listu od ciebie, kiedy najokropniejsza niespokojność mną miotana, ułożyłem ten projekt i mówiłem o nim pannie Eglantynie, a ona ani się śmiała z niego, ani go potępiała, jak szaleństwo... i tylko mię prosiła, abym nie zapominał, że ona mię uważa za brata a matka jej za syna.

¹⁾ Czyt. Re-de-szose — parter.

Dzień pierwszy Bożego Narodzenia przepędziłem smutno: wszyscy domowi wyjechali na wieczór, zostałem sam w domu, ale nie sam zupełnie, bo właśnie w tym dniu odebrałem do poprawy 1-szy arkusz druku nowego poematu, który wydaję na świat. Na drugi dzień po Nowym Roku przysłano mi drugi arkusz; wkrótce spodziewam się, że wszystko mi wydrukują. Wyjście na świat tego poematu będzie dla mnie bardzo ważną epoką. Pracuję teraz ciągle, czytając bardzo wiele, rzuciłem się cały w filozofię niemiecką; pomimo wielu czczych marzeń idealizmu, karmi ona moją imaginację. O, gdybyście wiedzieli, jak mi się nasz kraj pięknym teraz wydaje! szczygólniej Litwa, do niej kiedyś świętą zrobię pielgrzymkę.

Ledwo wierzyć mogę wieści o Ludwisi: niepodobną mi się wydaje. Jeśli Teofil kupi Hawryśówkę, będzie mi kiedyś miło odwiedzić go w tej wiosce, która tak pełna dla mnie smutnych wspomnień. Czasem marzę, że kupię u Michalskich Julinki i mieszkając w nich będę jak Kochanowski w Czarnolesiu. Prawdziwie, że gdyby taki domek i 2000 złotych dochodu, byłbym zupełnie szczęśliwym. Dziwisz się czasem, mam, że siedzę na jednym miejscu i różnych krajów nie zwiedzam: otóż napiszę ci, że robię to z przymusu; oprócz Szwajcaryi, wszystkie kraje są dla nas zamknięte; z sąsiednich wam miejsc łapią nas, pakują na okręta (!) i wysyłają niechętnych do Ameryki. Pomimo chęci wояżowania, nie chciałbym z przymusu odbywać tej dalekiej podróży, zwłaszcza, że Ameryka nie jest tak miłym pobytem, jak nam się zdawało. Wielu wojażerów teraz pisało o niej, a z tych opisów pokazuje się, że jest to kraj pełny egoistów, ludzi, którzy nie mają żadnej imaginacji i niezdolni są w pożytku. Takiemi są przynajmniej Stany Zjednoczone. Z Dreżna wszystkich Polaków do Anglii wysłano. Nie wiem, co się z Odyńcem stało, bo przerwałem z nim wszelką korespondencję. Mic-

kiewicz przetłumaczył „Giaura“ Byrona i wydaje go. Ukazał się był na chwilę nowy talent poetyczny, Garczyński; wydał 2 tomiki poezji, w których było wiele pięknych rzeczy, a więcej jeszcze nadziei, ale nieszczęściem suchoty zniszczyły go i umarł... Ciągłe wzdychał do Neapolu i miał nadzieję, że tam dojechawszy, uzdrowi się, ale nieborak w drodze w Avignonie¹⁾ życie zakończył.

To dziwnie, że ci, którzy w kraju żadnej skłonności do suchoty nie mieli, tutaj za granicą dostają ich; inni zaś, którym w kraju niebezpieczeństwo groziło, tu są zupełnie zdrowymi. Przykładem ostatnich jestem ja sam: piersi moje wzmocniły się zupełnie, nawet oddech stał się dłuższym i pełniejszym. Prawdziwie ręka Boska jest nad każdym stworzeniem. Śliczny klimat tutejszy zachwyca mię: dotąd raz tylko śnieg, padał, ale tak lekko, że śladów na ziemi nie zostawił; dzisiaj najpiękniejsze świeci słońce, w ogrodzie zbierałem bukiet fiołków; szron rannego przy-mrozku stopniał na nich i zamienił się w brylantową rosę.

Na Nowy Rok było u nas kilka osób. Zwyczaj tu jest na Nowy Rok dawać różne podarunki, damom najczęściej dają się cukierki. Ładne panny odbierają ich tyle, że potem kilka miesięcy karmią się niemi jak kanarki. Odebrałem jeden prezent tylko, i to od panny Eglantyny; dała mi wyszyte przez siebie włóczką pantofle, na czarnem dnie dwie gałązki koralowe. Mężczyźni tutejsi często także haftują włóczkami; takie jest najulubieńsze zajęcie męża młodszej córki pani Pattey, bankiera tutejszego. Córka pani Pattey z czworgiem dzieci i z mężem mieszka z nami przez zimę, i co wieczora albo oni do nas albo my do nich schodzimy na wista; dosyć dobrze gram teraz i grając po trzy sous punkt, nie mogę się ani zbogacić ani zruj-

¹⁾ Czyt. Awinionie.

nować przez jeden wieczór, ani nawet przez całą zimę. Wist, czytanie i dumanie zapełniają wszystkie godziny życia mego i mogę powiedzieć, że taka cisza koło mnie, że słyszałbym głos od was.

Nie dziw się więc, mamó droga, że listy moje tak nudne i puste: biała karta papieru mogłaby być gołdem mojem, tłómaczem i najlepszym dziennikiem. Adieu, droga mamó! do zobaczenia się, adieu! Twój syn, który cię za wszystkich kocha. *Juliusz.*

Panna Eglantyna zapisała ćwiartkę, którą w liście posyłam.

31.

Genewa, dnia 20 lutego 1834.

Najukochańsza mamó moja! Od dnia do dnia ocia- gałem się z tym listem, albowiem co chwila spodzie- wałem się od was jakiego słowa. Od dwóch miesięcy tak czekam w wielkiej niespokojności; myślą rozbie- ram różne prawdopodobieństwa, a czasem jak talizman jaki powtarzam mamy przysłowie: „jakoś to będzie.“ Smutne to życie przepędzam w tak ciągłej niespokoj- ności. Jakiś autor angielski powiedział żartobliwie, że człowiek, oddawszy się ciągłej samotności, zamienia się w ostrygę; otóż ja wkrótce, jak mi się zdaje, dam przykład takiej metamorfozy; oby przynajmniej nie w ostrygę, ale w perłową zamienić się konchę. Przez całą tę zimę nie przyjąłem żadnego zaproszenia na bale, bo mię nudzą. Byłem tylko na kilku małych wie- czorkach, na których główną zabawą jadło i picie: o godzinie 7-mej zaczyna się kolacya, zasiadają damy i mężczyźni około stołu pełnego szynek, jendyków (!) zimnych z truflami i ciast cukrowych, któremi Szwaj- carowie nad innymi narody celują, i przy takiej ko- lacyi trzeba siedzieć aż do godziny 11-tej czasem; po- tem tańce. Dwadzieścia już z górą osób płci obojej uczyłem z różnym skutkiem tańcować mazura, ale za-

den mężczyzna nie umie ani w takt biegać, ani à pro- pos uderzyć w podkówkę: widać więc, że do mazura potrzeba wrodzonej skłonności, to jest geniuszu, nie zaś talentu. Na jednym z tych wieczorów, gdzie było wielu starych tatusiów, wzięto się do dawnych szwajcarskich tańców, i te możeby się bardzo niektórym z waszych podobały: oto jedna osoba staje pośród sali, inne zaś biorąc się za ręce, kołem kręcą się koło niej, śpiewając starą piosnkę, najczęściej śmiesznią; stojący w kole wy- biera jaką damę i całuje ją w twarz, a dama taki try- umf odniósłszy, idzie do środka i znów czeka, póki krę- cące się koło nie skończy drugiej strofy piosnki, a po skończeniu jej całuje mężczyznę itd. Taniec ten wy- bornie maluje dawną prostotę Szwajcarów; otóż i ja byłem w takim kole, ale nie lękajcie się: zwyczajem naszym damy w rękę tylko całowałem, a to podobno, po głębszem rozważeniu rzeczy, czyniłem dla tego, że między damami żadnej dosyć ładnej nie było.

Spojrzałem przez okno; wnuczki pani Pattey ba- wiąc się na dziedzińcu, krzyczą na mnie: Lulli m é- ch a n t¹⁾). Lulli jest to moje imię, dawane mi przez dzieci; najstarsza córeczka, 6 lat licząca, jest moją żoną; w wieczór kładąc się spać, biegnie do drzwi mego pokoju i krzyczy: b o n s o i r²⁾). Lulli a czasem przy- nosi mi bukiet fiołków. Spodziewam się, że mama po- błogosławisz temu związkowi. Staram się różnymi ta- lentami umebłować głowę mojej żony i ucę ją ryso- wać: już stawia kółka na papierze, używam bowiem metody krzemienieckiej; co do innych nauk, opowia- dam jej o stworzeniu świata i już doszedłem aż do po- topu; widzicie więc, że wkrótce całą historię powsze- chną przejdziemy. Co do kobiecych robót, donoszę wam, że mi żona obrąbiła całą chustkę do nosa. Chociaż smu- tne są okoliczności, niedawno śmiałem się do rozpuku:

¹⁾ Czyt. Liuli meszan. — Lulli niegrzeczny.

²⁾ Czyt. Bą-sier — dobry wieczór.

przysłano mi bowiem z Paryża wiersze poety z muzyką poety, z tłómaczeniem francuskiem poety, a tym poetą jest pewien książdź Praniewicz, Baka naszych czasów; na karcie 72 i 73 znajduje się o mnie strofa po polsku i po francusku do muzyki zastosowana, która brzmi w obu językach jak następuje:

Pięknie Słowacki w swym kwiecie
Już za krajem się ujmował,
Rzekł: masz i medal Lafajecie,
Byś tylko Polskę ratował.
Czacki za krajem wylany
Dochodził tegoż losu bez odmiany.

Słowacki dans sa jeunesse
Defend deja son pays,
De medaille il fait largesse
Ce qui bat ses ennemis.
Czacki le sage aurait pour la patrie
Sacrifie ses biens comme sa vie¹⁾.

Upewniają mię korespondenci, że ta strofa jest jedną z najlepszych w całym dziele i że Homer w niej nie śpi. Piszę ją dla tego, aby ciebie, moja mamó, choć na chwilę rozśmieszyć. Co do mego poematu, dotąd jeszcze nie wyszedł na świat, ale za kilka dni dopiero ukaże się.

Niepewność o was wprawia mię w taką otrętwiałość względem innych celów mego życia, że o niczem myśleć, niczem się cały zająć nie mogę. O mamó droga, czy dla nas już żadnej nie ma nadziei? Odbierając takie próżne listy, może pomyślisz, mamó moja, że ci szczegółów życia nie piszę; wierz mi, moja droga, że od dwóch miesięcy nie było dnia, któryby się od innych dni w życiu mojem odróżnił. Kolorem głównym dni moich jest teraz ciągle wzrastająca niespokojność: ta

¹⁾ Czyt. S... dan sa jeunesse Defan deja sa peł. De medaj il fe larżesse Sy ki ba sez-ennemi. Czacki le saż ore pur la patrie Sakrifie se błę kome sa wi.

budzi się razem ze mną i czarniejsza jest, ile razy czas mglisty i smutny dopomaga splinowi.

Dzięki Bogu śliczne tu dnie mamy, ledwo raz śnieg się pokazał; murawa ogrodu ciągle zielona jak szmaragdy, ogród pełny małych jodeł, ciągle ma przyjemną postać. Fiołki zawsze kwitną. W takim czarującym kraju potrzeba mieć tylko serce napełnione i spokojne; ani jednego, ani drugiego nigdy w życiu nie miałem. Braknie mi wiele, a nadewszystko braknie mi przyjaźni; ostatnia próba Michał odstręczył mię od niej, a co dziwniejsza, że zostawił mi w sercu jakieś przywiązanie do siebie, którego nawet brakiem szacunku zatrzeć nie mogę. Jaki on musi być nieszcześliwy w swoim więzieniu: tyle talentów i tyle wspomnień skalanych! Czy rodzina wie o tem?

Jakże się Teofilowi powodzi z nabyciem Hawryszówki? powinien tak postąpić, jak zamierzył. Niech będzie podporą naszą, a za to niech mu Bóg błogosławi we wszystkim. O gdybyście wiedzieli, jak tu ludzie są szczęśliwi, jak spokojni: nędzy nigdzie nie widać, nigdzie uciemnienia, wszyscy w spokoju spożywają kawałek chleba; płakać powinniście, myśląc o tem.

Jest to teraz w Genewie Regner, ten sam, który był guwernerem przy Ogińskim młodym; samo imię jego przypomniało mi wiele rzeczy, tyle razy słyszałem je powtarzane w mojem dzieciństwie. Z nikim tu nie żyję, nie mam siły poszukiwać zabaw, bo mi trzeba szczęścia; zdaje mi się zawsze, że musi kiedyś nadejść.

Pani Pattey i panna Eglantyna ciągle mi dają dowody swojej przyjaźni; jestem z niemi, jak z krewnymi, największa delikatność pokazuje się w ich postępowaniu ze mną. Z tego wszystkiego wnoszę, że Bóg dotąd mną się opiekuje i dzięki mu za to składam, ale nie codziennie, wtenczas tylko, kiedy do łez jestem wzruszony czy to przez nadspodziewane szczęście, czy przez spodziewane oddawna nieszczęście. O moi mili,

uspokójcie mnie, każda pewność znośniejszą będzie od tego stanu, w jakim teraz zostaje.

Zbliża się wiosna, znów mnóstwo nowych figur przesunie się przez nasz dom; wszystkie te chwilowe znajomości podobne są do widm we śnie widzianych, zaledwo myśl zatrzymuje pamięć ich rysów. A ja zaś dla nich muszę być podobny do kamiennego słupa na drodze, przy którym zatrzymują się, starają się wyczytać niezrozumiany często napis i ruszają dalej w drogę.

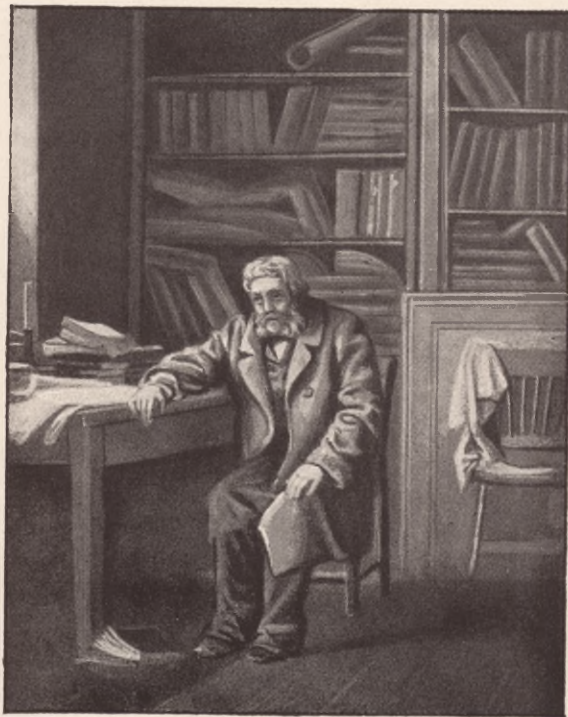
Adieu, matko moja! Całuję ciebie i was wszystkich po tysiąc razy.

Juliusz.

32.

Genewa, dnia 24 marca 1834.

Kochana mamó! List mój uprzedni pisałem w niepewności i niespokojny o was, winą to była tutejszych ludzi, którzy czekając na zgłoszenie się moje, znać mi nie dali i tak miesiąc mię trzymali w zawieszeniu. Nazajutrz po odebraniu daru twojego doszedł mię list drugi; wystawcie sobie radość moją, zdawało mi się, że o kilka mil tylko od was jestem, że codzień piszemy do siebie, i takie omamienie było rozkoszne, jak rozkoszne, to wystawić sobie nie możecie. Pierwszy list, rozpaczający napelił mię także rozpaczą... Prawdziwie chyba głową bić o mury: tak trudno żyć, tak niepodobne do przezwyciężenia trudności w życiu! O gdybyś, mama, tak jak mówisz, mogła się zabrać ze wszystkim, to żylibyśmy gdzie spokojni w jakimś miasteczku Szwajcaryi, spokojni o siebie i o przyszłość; mówisz, mamó, że mię nie chcesz pozbawiać swobody; czyż ty mię, mamó, zawsze bierzesz za owo marzące i kapryśne dziecko, które ciebie tyle razy udręczało. Dawniej byłem jak mały ptaszek niespokojny w gnieździe, chciało mi się spróbować skrzydeł; dziś przeleciałem wiele drogi i prawdziwie, że jestem znużony.



Joachim Lelewel.

Czwarte dziecię moje wyszło na świat, nie wiem jeszcze nic o zdaniach, ani go wam posłać mogę, a to dla wydarzeń, jakie tu zaszły, do których się nie mieszałem, a które zwracają uwagę na to, co z tej ziemi wychodzi. O mamó, wierz, że najszcześliwszą chwilą dla mnie była ta, gdyś pierwsze moje książki otrzymała, teraz tylko rozważa hamuje mię.

Ponieważ o wszystkich moich czynnościach donosić ci zamierzałem, otóż donoszę ci, mamó, że teraz zajęty jestem pisanem nowej tragedyi o Wallasie, szkockim rycerzu. Wiesz, co mię do niej przywiodło. Długo myślałem, jaki w dziejach różnych narodów najczystszy jest bohater i z najpiękniejszą duszą: przypomniało mi się, że niegdyś w dzieciństwie, kiedyś mię, mamó, do uczenia się francuskiego języka zachęcała, mówiłaś mi: „Poznasz Wallasa życie.“ Samo imię Wallas uderzyło magnetycznie na moją imaginacyę. Wystawiłem sobie coś podobnego do burzy, która wali lasy. Nie mogę zdać sprawy z tego wrażenia, ale czuję je dotąd. W kilka lat potem czytałem romans: *Les Chefs Ecosais*¹⁾. Mama wtenczas grałaś na fortepianie smutnego niemieckiego walca. Smutne wrażenie romansu tak się pomieszało z tą muzyką, że dzisiaj przez walec tylko romans widzę, jak we mgle. Teraz w różnych historyach poznałem się z rzeczywistym Wallasem. Już w tragedyi nie romansowo, ale w historycznej prawdzie maluję tego człowieka, ale układając tragedyę i pisząc ją teraz, często wstaję od stolika i idę do fortepianu i gram tego samego walca, aby koloryt wspomnień smutkiem nappełnił moje karty. Tragedyę tę poświęcę pamięci Jasia. Napisz o tem, mamó, kochanemu Teofilowi. Zobaczycie, że będzie jeżeli nie dobra, to przynajmniej niepospolita.

Otóż widzisz, mamó, że ja zawsze taki sam. Ciągłe układam kamyki na własny grobowiec, a życie pusz-

¹⁾ *Le chef-ecossais* — Wodzowie szkoccy.

czam mimo siebie. Wszystkie przyjemności życia mijają mi i obchodzą kołem, mówiąc, „nie przeszkadzajmy temu człowiekowi, on o przyszłości pogrobowej marzy.“ O mamó! ale ja jestem szczęśliwy tak jak jestem, i czasem nie mogę zrozumieć, jak inni ludzie bez takich wrażeń żyć mogą; zdaje mi się, że chleb, który spożywają; musi pachnąć nicością. Piszę i chodzę po ogrodzie i tak całe długie dnie mi spływają; śliczny czas mamy, słońce, listki na drzewach pokazują się, a murawa już okryta białymi kwiatkami wiosny; sympatyzuję teraz więcej niż kiedykolwiek z naturą i zdaje mi się, że czuję ją do głębi jej duszy.

Ostatnich tych dni mieliśmy wielki wieczór w domu, salony dwa otwarte, oświecone, napełnione kwiatami, piękny przedstawiały obraz. Było wiele dam i trzech moich ziomeków; młode chłopcy zgrabnie się wydają przy ciężkich tutejszych tancerzach. Szał mazurka opanował wszystkich, wszyscy się uczą mazurka i wszyscy prawie już tańczą, ale niektórzy dosyć śmiesznie się wydają; bawiliśmy się do dwunastej, bo jest prawo zabraniające dłuższych nad północ zabaw: dziwne prawo, które pokazuje, jak tu jeszcze patryarchalne życie. Weselne tylko gody mogą się dłużej w noc przeciągnąć, inaczej, za przestąpienie prawa trzeba pieniędzy, dosyć znaczną karę zapłacić. Matko moja! mam ci wielką wdzięczność, żeś czuwała nad moim światowem ułożeniem, że nie tańczę jak niedźwiedź, że mogę zagrać tańczącym na fortepianie. Ach, za wszystko, mamó droga, mam tobie wdzięczność; dotąd wszystko mam od ciebie tylko a nic od ludzi, dotąd jeszcze w rzeczach najpotrzebniejszych widzę twoją rękę; dotąd chodziłem w koszulach, które miałem od ciebie, i dopiero teraz, gdy się podarły, sprawiam sobie nowe za pośrednictwem pani Pattey, która zna się na tem; mała to rzecz, ale wiesz, mamó, że mię smuci rozłączenie się z dawnymi moimi koszulami. Wszyst-

ko, co otacza człowieka, odmienia się jak liście na drzewie; wkrótce oprócz kilku książek nie będę miał z kraju, nie dawnego przy mnie nie zostanie, a jeszcze za lat kilka nie oprócz kilku książek nie zostanie po mnie.

Teofil prosi mię, abym kiedy pamiętał o synie Jasia, jeżeli pomocy mojej potrzebować będzie; ach, bądźcie pewni, że nigdy nie zapomnę o tym świętym długu, który rodzina nasza względem Stasia sieroty zaciągnęła, i jeżeli będę w stanie, to roję sobie często, że Stasia małego wezmę do siebie, dam mu wychowanie, pozbawione wszelkich przesądów i obrębów, aby kiedyś mógł być chwałą kraju. Z jakąż rozkoszą miałbym go przy sobie, zdaje się, że wkrótce przywiązanie do tego dziecka napełniłoby serce moje. Często rozmyślałem, jakbym w jego głowie wiązał nauki w jedną budowę, nie tak jak one u nas pomieszane kładą w głowę przepełnioną dziecka.

Mamó kochana! Otóż u nas w niedzielę Wielkanoc, u nas święto największe pamiętek; tu w protestanckiej ziemi ledwo uważane. Otóż mam do ciebie prośbę, mamó, prośbę dosyć śmieszną, abyś mi przysłała przepis bab naszych, ale przepis bab prawdziwych, z szafranem i bez szafranu, z opisem, jak ma być piec gorący, kiedy je kłaść do pieca itp. Mają tu doskonałe cukierki i ciasta, ale ja zawsze o babach gadam, tak jak niegdyś Jan Śniadecki o paryskich brzoskwiinach; więc się babom zachciało widzieć baby, wiedzą bowiem, że to ciasto żeńskiej płci nosi nazwisko. Byłem tymi czasami u pani Wodzińskiej na wieczorze, o której podobno już raz wam pisałem. Ta chciała koniecznie na swoim stole mieć babę, ale jej zrobić nie umiano. Kosielski, kiedy tu był, wywiczony w kulinaryjnej sztuce, uczył paszтетników tutejszych różne ciasta robić, dotąd go kuchci z uwielbieniem wspominają; jadłem w lecie melszpajs, który on robił nauką, a jeżeli sława przyjemna, to niech wie, że jedno

ciasto nazywają u Werassa, pierwszego pasztetnika, Le baba de Kosielski; żaden wieczór panny Eglantyny nie obejdzie się bez tego baba de Kosielski.

Panna Eglantyna i jej matka kazały mi tysiąc i tysiąc czułych rzeczy powiedzieć tobie, mamó! Prawdziwie, że szczerze interesują się twojem zdrowiem i powołaniem. Co do mnie, ledwo nie powiem, że już musisz ty prosić Boga, aby ja zachorował, a to, aby mi dać dowody swojej troskliwości i przywiązania, które w innych okolicznościach nie w wielu miejscach na scenę wystąpić mogą z równym blaskiem: ale ja żartuję a oni szczerze mię kochają.

Byłem tego miesiąca kilka razy na teatrze; dziwię się, że mię teraz teatr nie bawi. Chciałbym usłyszeć na nim ludzi mówiących po polsku, zdaje się, że rozmowy innym językiem prowadzone nie interesują mię, a potem, tragedyi tu nie grają, opery tylko i wodwile: pierwsze źle dosyć mi się wydają po paryskich, i aktorski trudnem przełamywaniem trudności dręczą zawieszoną uwagę; co do drugich, to jest wodwilów, uważam je za najgłupsze wynalezienie Francuzów: ani w nich serca, ani wesołości, ani muzyki dobrej nie ma, wolę proste i szczerze farsy, takie jak nasze *Damy i huzary*. — Wiesz mamó, że we Francyi jest teraz nowa autorka, która wkrótce panią Stael zaćmi: jest to rodzaj Byrona w spódnicy, to jest Byrona w prozie; nie wiadomo dotychczas z pewnością jak się nazywa, bo się ukrywa pod męskim imieniem Georges Sand¹⁾, ale pewnie jest kobietą; niektóre dzienniki pisały, że się nazywa pani Dudevant.²⁾ Napisała trzy romanse prześliczne: 1. *Indiana* — 2. *Valentine*³⁾ — i teraz 3. *Lelia*; — pierwsze

¹⁾ Czyt. Żorż San.

²⁾ Czyt. Dłudewan.

³⁾ Czyt. Walantîn.

dwa prześliczne, ostatni dziwny i bardziej do poematu, niż do romansu podobny. Otóż to jest literacka wiadomość, która damy powinna interesować. Staraj się, mamó, przeczytać który z jej romansów, a mianowicie który z dwóch pierwszych.

Donieś mi nieco, mamó kochana, o osobach znanych mi w szkolnym czasie mojego życia; Fortunata uściskaj ode mnie i powiedz, że dotąd wspominam nasze niegdyś rozmowy. Teofilów w liście pisanym do nich pozdrów, mamó, niech cierpliwie znoszą dolegliwości tego świata. Adieu, droga, najukochańsza matko moja, niech wiosna owieje ciebie miłym powiewem zdrowia, niechaj topola botanicznego ogrodu szemrze listkami, kiedy spoczniesz na wzgórzu, gdzieśmy razem siadali; o jakże to być musi smutnie, patrzeć z góry na te (!) miasto ciche i nieszczęśliwe!

Całuję ciebie, droga, najdroższa; włosy twoje i babuni chowam święcie i wdzięczny ci jestem, matko droga, za ich przysłanie. Adieu.

Juliusz.

33.

Genewa, dnia 27 kwietnia 1834.

Najukochańsza, najdroższa mamó! Wiosna! dziś w nocy spadł deszcz wiosenny, wszystkie drzewa rozwinęły się; chodziłem po ogrodzie i ustami piłem pachnące powietrze. Czy to deszcz wiosenny, czy jakiś anioł stróż, przyniósł mi tej nocy sen o was: śniło mi się, że byłem w dawnym dziadostwa mieszkaniu, przy tobie, mamó droga, układaliśmy sobie rodzaj życia; ponieważ nie mogłaś mi dać osobnego pokoiku, postanowiłem być nająć sobie mieszkanie blisko w innym domu. Kiedym się do mojego apartamentu wynosił, mama mi powiedziałaś, że mi przyslesz służącą, nie służącego. Długo we śnie zastanawiałem

się i ciekawy byłem, czy mi też, mama, przysłesz ładną dziewczynę i nie wiem jak się skończyło. Dzięki temu snowi, że mi wasze twarze pokazał, chciałbym był, obudziwszy się, znaleźć ten sen odmalowany na firankach łóżka i schować, a przynajmniej drugi raz obaczyć. A propos firanek, wiedźcie, że wszędzie tu i w innych stronach śpią pod firankami ludzie, i dziwię się, jak my barbarzyńcy inaczej spać możemy. Z razu firanki były mi obojętne, teraz przyzwyczałem się do nich, lubię i kiedyś, wróciwszy starym kawalerem, będę miał łożę z firankami i fontaziami, jak niegdyś Jan astronom.

Chciałem tej wiosny pojechać do Clarens¹⁾ i w miejscu gdzie Heloiza żyła, przeżyć kilka miesięcy, zwłaszcza, że było to dobrze na moją kieszeń. W Clarens bowiem trzeba mieszkać u wieśniaków, więc można mieszkać tanio. Nieszczęśliwe polityczne wypadki, do których się bynajmniej nie mieszałem, nie pozwalają mi ani w prawo, ani w lewo: miejsce gdzie teraz jestem, mogę w pewnym względzie za rozległe uważać więzienie; nie pojmiecie tego, jak nam źle, jak nigdzie przytułku nie ma. Śpiewajmy: ja więc śpiewam, mój śpiew ostatni jeżeli nie podobał się, to zadziwił. W jednym z pism po francusku wydawanych czytałem o nim zdanie i rozbiór, pochlebne o tyle, ile przeciwna partya ganić nie może, a tą przeciwną mi partya są nieszczęściem wszyscy poeci, na których czele Adam, od tego bowiem sam pierwszy stronić zacząłem. Wielu jednakże w Paryżu przypisuje pieśń moją Adamowi; oto wyjątek z listu do mnie pisanego: byłem przytomny jak Ogiński atakował Adama i kiedy ten się wypierał, że nie jest autorem dzieła i że nie wie o niczem, odrzekł: to przynajmniej wiemy, że pan chce to mieć tajemnicą. — W drugim li-

¹⁾ Czyt. Klaran.

ście pisze mi jeden ze znajomych: Z Memla, dokąd egzemplarze posłałem, piszą mi o Kordyanie z wielkiem uniesieniem i biorą to za pracę Adama. — Z tych dwóch doniesień widać, że w wielu miejscach bezimiennie wydaną moją pracę przypisują innemu; znając uprzedzenie naszych w tym względzie, nie jest mi niemiłą taka pomyłka. Ach, kiedyż będę wiedział wasze zdanie?

Prawdziwą rozkoszą dla mnie są obaj Kochanowscy; codzień odczytuję ich dzieła. Jak ten Jan Kochanowski był spokojny i szczęśliwy w swej chacie, z żoną, z dziećmi; pod wyniosłą lipą Czarnolesia musiał sobie po obiedzie zasypiać, i do tej lipy tak piękne wiersze napisał; prawdziwie mu zazdroszczę jego chaty, lipy, żony, dzieci i czasów szczęśliwych, w których żył... Ja teraz zmierzam do spokojności i wszystkie moje nauki i książki, których używam, zmierzają do tego, abym w sobie filozoficzną piękność moralną utworzył; dotąd już tyle w nauce tej postąpiłem, że czuję w sobie jakąś spokojność, natchniony przez godność natury człowieka. Zewsząd widzę, że ludzie bez wewnętrznej spokojności próżno się o zewnętrzną starają.

Moja gospodyni, którą miałem za dosyć szczęśliwą, pani Pattey, ma tysiąc nieprzyjemności, i nawet proces miała tej zimy z właścicielem domu, w którym mieszka; proces ten, przez wielkiego łajdaka wytoczony i bez żadnej słuszności, wygrała pani Pattey, ale zdrowie jej pogorszyło się znacznie skutkiem ciągłych frasunków. Dobra to bardzo kobieta; kilka słów mamy przyjęła z niejakiemś oburzeniem, ale tylko z tej przyczyny, że smutno jej było, żeś ją (!) mama z moich listów lepiej nie poznała i żeś sądziła potrzebnem prosić ją o przychyłność dla mnie. Zawsze jednak twój listek był jej miłym. Możesz, mamó kochana, odtąd nie do mnie, ale do niej pisywać, to jest początek

zapisania do niej odsyłać; będzie mi to bardzo miło, bo imię moje trudne do wyczytania i niepewne.

Żadnych tu prawie od was nie mamy wiadomości. Niedawnemi czasy w jednej z gazet czytałem, że Kukolnik, Paweł zapewne, wystawił na teatrze stolicy swoją tragedję, i że ją z oklaskami przyjęto; zapewne nie ta sama, którą mi niegdyś z takim zapalem, skacząc po pokoju, opowiadał. Widzicie więc, że nie poznaliśmy się na wielkim poecie a dalibóg, może on i miał talent. To naucza, aby nigdy z uprzedzeniem nie potępiać.

Moje życie tutaj zawsze jednostajne i spokojne, cały tydzień jest niedzielą: lecz jeżeli nie mam przy muszonych zatrudnień, to mam dobrowolne i nie nudzę się nigdy. Czasem w dzień dżdżysty wyjmuję z szuflady dawne moje korespondencye, a małe różne świstki papieru wiele mi przypominają. Żałuję zawsze listów Olesi, zostały w moim tłumoku, w którym była szkatułeczka Pawła. Między innemi, lży wyciskającemi relikwiami chowam małą książeczkę Ludwika Spitznagla, pełna dziecinnych rysunków i wierszy. W sztambuchu moim dziecinny mam was wszystkich; połowa napisów w tym sztambuchu już do umarłych należy; jak wcześniej!

Kochana mammo! jak mi smutno, że nie mogę sobie wystawić twojego nowego pomieszkania: nie wiem nawet, na której leży ulicy, czy tam, gdzie Beaupré mieszkał za mego pobytu w Krzemieńcu? Czy z okien twoich widać zawsze górę zamkową, ową górę, do której nieraz przystosowywałem owe (!) zdanie Sienkiewicza: że ściga ludzi jak sumienie. — Powiedział on to o górze Mont-Blanc i prawdziwie powiedział, choć takie naciągane porównania są tylko wyskokiem dowcipu, ale nie mają w sobie nic pięknego. Górę Mont-Blanc widzę co dnia z moich okien; przez te kilka dni księżyc w pełni wschodził za tą górą: nie możecie sobie wystawić jak to smutno i pięknie, kiedy

noc czarna, kiedy samotny w moim pokoju, otwieram okno i czuję zapach wiosenny liści, i słyszę słowika w alei ogrodowej, a potem widzę zwolna wschodzący za górą księżyc. Uczucia, których wtenczas doznaję, można zamknąć w tych dwóch wyrazach: smutno i cicho. Dziś księżyc wschodzi około 2-giej w nocy, więc go czekać nie będę. Lubię bardzo teraz kwiaty i teraz bukiet żółtych pełnych fiołków i lewkonii mam przed sobą na trójnożnym stoliku, na którym piszę do ciebie mammo. O jak my kiedyś będziemy z tobą sadzili kwiaty i drzewa, matko moja. Po wygranym procesie ogród będzie należał do pani Pattey: robimy więc już projekta z panną Eglantyną, aby się zająć sadzeniem i zbieraniem kwiatów; będę chował nasiona, to kiedyś może w naszej ziemi zasieje.

Chcieliśmy tu bardzo o Wielkiejnocy zrobić babę potężną, ale napróżno tłómaczyłem im sposób pieczenia bab naszych, napróżno rozkładałem całą moją imaginację na części, z których się składa, nie chcieli się za mojem sternikowstwem puszczać na morze doświadczeń, i baba dotąd w Szwajcaryi nie zakwitła. Przyslijcie mi opis tych piramid egipsko-polskich, abym mógł je postawić na złość górze Mont-Blanc, oko w oko z tą górą. Ludzi tutejszych tak góry znudziły, że na półmiskach zawsze kładą równiny placków; zdaje się że w charakterze każdego narodu takie są kontrasty. Uważaj to, mammo, za głębokie psychologiczne spostrzeżenie, jedno z tych które zebrałem na wojażach ku oświeceniu ludzi.

Piesz mi, mammo, żeś smutno przepędziła karnawał; ja także nie byłem na żadnym wieczorze, ale też zrozumieć nie mogę, aby się co teraz bawił. Trzeba Bogu dziękować, ilekroć w łasce swojej nie rozpacz ale smutek tylko zsyła na nas. O, byleś ty, mammo, była spokojną, zdrową, to moje życie, wyznam, prawdziwą łaską Boga.

Droga mamó, muszę w tym liście zostawić miejsce pannie Eglantynie, bo chce koniecznie odpisać tobie na twoje słów kilka. Kocha cię ona bardzo i nieraz mówi, że do ciebie pojedzie i będzie się starała syna zastąpić, a przynajmniej ulżyć ci, mówiąc o twoim synie. Droga mamó, całuję cię z całej duszy i z całego serca mojego. Matko moja, ty nie wiesz, ile przez to oddalenie zebrało się w sercu mojem łez i miłości dla ciebie, tak że serce mi ciąży, że chciałbym gwałtownie upaść na kolana u nóg twoich i płakać. Adieu.

Juliusz.

34.

Genewa, dnia 6 czerwca 1834.

Najdroższa! najukochańsza! Odebrałem dwa pisma: pierwsze napełnione wyciągiem listu wieśniaczego Fortunata, który mi się wydawał prawdziwym fortunatem, skoro żyje tak spokojnie i cicho w małym glińnianym domku. Drugi twój list, mamó droga, trzy razy łzami oblałem, rzewnymi łzami, po których doznałem jakiegoś uczucia, które mię przeniosło do dawnych lat dziecinnych. O, jak często zasypiałem wtenczas znużony płaczem; dziś smutek mój ma jakąś twarz i zimność brązową i trzeba mi chyba tak mocnego wzruszenia, jakie na mnie twój list wywiera, abym odmłodził płaczem. Kiedym twój list, matko droga, czytał, zdawało mi się, że chodzę z tobą po botanicznym ogrodzie, że widzę księżyc i słyszę głos twój, i słyszę imię Julka. Powtarzałem po kilka kroć do siebie imię moje własne, próbując, czy go twoim matczynym głosem nie wymówię. Mamó droga, jaki twój list piękny i smutny: przechodziłem z tobą koło pustej furtki naszego dawnego mieszkania, patrzyłem twoimi oczyma na kościół pusty pojezuicki i szukałem myślą osieroconej ławki, ławki babuni. Mamó moja, co raz mo-

niej wierzę w przyszłe życie, bo cała rodzina nie może się tak rozejść po samotnych grobach bez pożegnania i bez nadziei zobaczenia się.

Jestem teraz samotniejszy niż kiedykolwiek. Panna Eglantyna wyjechała przed 5-ma dniami do Paryża, gdzie na nią jej wuj czeka i dziwy paryskie chce jej pokazać. Odjazd jej bardzo mi smutny, bo ona szczerze do mnie przywiązana, jak siostra i bardziej może niż siostra. Nie uwierzysz, mamó, jak smutny mi był ranek jej wyjazdu. Miała odjechać o godzinie 4-tej z rana, przyrzekłem więc, że ją o 3-ciej obudzę: jakoż nie położyłem się spać i czytałem, leżąc na kanapie do godziny 3-ciej. Srebrne jakieś światło porankowe oblało drzewa i murawy ogrodu, przeszedłem przez pokoje i stukaniem do jej drzwi obudziłem ją. Ty wiesz, mamó, jaką pośpiechność ma w sobie chwila odjazdu. Ubrała się, wyszliśmy z domu przez rozwidniający się ogród; wschód słońca blaskiem złościł się, ptaszki śpiewały i zimno poranku przejmowało jakimś dziwnym elektrycznym drżeniem. O! chciałbym was postawić na wzgórk, na którym staliśmy, czekając powozu. Z tego wzgórk widać było całe błękitne jezioro, za nim śnieżne góry, nad któremi wstawał ze snu biały Mont-Blanc. Eglantyna płakała jak dziecię; ja byłem takim, jakim mię często, mamó, widziałas, z ponurą walką myśli na czole. Każda taka chwila budzi we mnie jakieś odległe wspomnienie, każda chwila smutna teraz jest jakoby zwierciadłem, w którem całe moje smutne życie widzę w zmieszanych kolorach. Zaszedł wreszcie powóz, wsiadła do niego a ja zostałem sam jeden, jak słup na zielonej murawie, patrząc na ozłocone niebo. W kilka chwil potem weszło słońce: naprzód jakieś ogniste płomienie wytrysły z ziemi i wahały się, przelewały, aż cały krąg słońca wyszedł na niebo. O godzinie 5-tej wróciłem do siebie, pozamykałem okienice i dziwnie pośpiechnego wrażenia doznałem, widząc na kana-

pie rozrzucone książki, które chwilą przedtem czytałem i które porzuciłem w nieładzie, idąc zbudzić pannę Eglantynę. Zdaje mi się, mamę kochana, że ty pojmiesz, co było smutnego w tym powrocie myślą do kilku ubiegłych godzin. Po wyjeździe Eglantyny smutno mi było bardzo. Ona miała nade mną jakąś panującą władzę siostry. Kiedy mi list jaki zasmucił, jaka wiadomość zła zgryzła, ona umiała z twarzy mojej wyczytać smutek i zawsze jej się umiałem wyspowiadać, a po spowiedzi lżej mi było.

Teraz po ostatnim twoim liście, mamę droga, już od trzech dni jestem ponury; ten list gryzie mi serce i nikt się ze mną nie smuci, nikt mi o nie nie zapyta. Nie mogę sobie wybić z głowy tego pieska, który się przy twoich nogach, mamę droga, kładzie i tuli do ciebie; on zabiera miejsce syna twego. O mamę, gdybym kiedy mógł usiąść przy twoich stopach i położyć czoło na twoich kolanach, i pomyśleć o tym świecie, który teraz przebiegam.

Wiele zamorskich figur przemija teraz koło mnie: jaskółki angielskie rozpoczęły swój przelot na południe, i teraz dwie damy i jeden Anglik mieszkają w domu Monthoux¹⁾. Nie możesz sobie wystawić, jak ci wszyscy wojażerowie są głupi, jak wszystkim czegoś nie dostaje: jeszcze nie widziałem w domu naszym do rzeczy człowieka, ani przynajmniej kobiety; z żadnym nie można mieć rozmowy interesującej, wielu Anglików nie czytało Byrona, inni o nim jak przez sen gadają. Cóż dopiero zapytać się ich o europejskiej literaturze. Dwie damy, które są w naszym domu, prześliczne z twarzy, z urody, ale już mię piękność ich gipsowa doskonale znudziła. Chciałbym, żeby przez dzisiejszą noc zbrzydły a nabrały doweipu i przyjemności, ale one zapewne nie chciałyby takiej metamorfozy.

¹⁾ Czyt. Mātu.

W Genewie od mojego pobytu przybyło (!) dwa cuda: postawiono długi most przez jezioro i wybudowano ogromny hotel czyli dom zajezdny przy moście; hotel ten ma 140 pokoiów i 40 służących, śliczne salony i doskonałe obiady. Dwóch moich znajomych zaprosiło mię przed kilku dniami na obiad do tego hotelu; w jednym z salonów postrzegłem nowego rodzaju krzesło poręczowe a ponieważ myśl moja zawsze o dalekim powrocie do mamy, co tylko widzę nowego, myślę zaraz że za powrotem u siebie taką nowość zaprowadzę. Krzesła te z dwóch stron mają poręcze, jak dwa boki trójkąta, tak, że siedzący grzbiet w trójkąt poręczowy wsuwa; dwa takie krzesła przystawione do siebie, stanowią małą berżerkę, kanapkę dla dwóch osób, czyli, aby wam lepiej wytłómaczyć, kanapka rozcięta na dwoje po środku daje dwa takie poręczowe krzesła; nie ładniej nie wygląda w salonie. Most nowo wybudowany jest teraz modnym wieczornym spacerem tujejszych mieszkańców; do mojego regularnego życia przybyła jedna rozmaitość. O ćwierć mili od tutejszego miasta płynie rzeka Arwa; woda jej z roztopionych śniegów, niesie z sobą cząstki mineralne gór i jest nadzwyczaj zimna; z różnych stron przyjeżdżają tu ludzie osłabionych nerwów, aby się w tej rzece kąpielami wzmocnić; więc i ja teraz od dni sześciu chodzę do tej rzeki a w wodzie Arwy nie można siedzieć długo, trzeba tylko skoczyć, zanurzyć się i wybiedz. Są ładne łażienki, w których abonując się, płacę 5 fr. na miesiąc; od 6-ciu dni kąpiąc się, czuję już bardzo znaczną odmianę w sobie. Mówią mi ludzie, że jak się w tej rzece pokąpie, to moje spliny ode mnie uciekną i będę wesoły; jeżeliby tak było, to prawdziwie Arwa musi być Letejską wodą. Cokolwiekby, będę chodził co dnia do Arwy. O godzinie 2-giej w południe jestem w łażienkach, rozbieram się i leżąc na ławce, czytam przyniesioną z sobą książkę, aż póki nie ochłodzę się, potem po trzykroć skaczę do wody i rzeźki

powracam do domu na obiad. O tej samej godzinie niegdyś kąpałem się w Elbie pod Dreznem i pamiętam, że mi te kąpiele nadzwyczaj wiele dobrego przyniosły. Widzisz więc, mamó, że musi mi być żołosne życie, kiedy o zdrowiu swojem nie zapominam. Prawdziwie, że Bóg czuwa nade mną i od wyjazdu mego od was odwraca ode mnie wszystkie choroby, oprócz bólu zębów, który czasem dręczy mię, nie tak jednak, aby go wytrzymać nie można było.

Co do moich brzęczących interesów, przyznam ci się, kochana mamó, że mi dosyć źle idzie; do druku nowych dwóch książek musiałem coś ze swojej kieszeni dopłacić, a ci, którzy je wyprzedzają, tacy są hołysze, że mi przychody moje kręcą i długo zatająją. Dzięki ci więc, matko, za obietnicę, twoją przysłania mi pomocy; musiałem teraz sprawić sobie koszulę i inne części bielizny. Wierz mi, matko droga, że się oszczędzam, ile mogę ale tutejszy frank, to tyle prawie co nasz złoty, a nie można nam tańszego wybierać kraju. Jakoś to będzie, droga matko moja. Tyle tutaj biedaków, że aż smutno pomyśleć: wielu wypędzono do Anglii i tam prawdziwie, że głodu doznają, co drugi dzień tylko obiad jedzą i jaki obiad! Kiedyś może Bóg zlituje się nad nami. Niech wasze dzieci proszą o to w pacierzach. Czekam z niecierpliwością tej chwili, w której mama poznasz moje ostatnie dziecię; nie wiem, czy prędko nowe urodzę, bo teraz nie ma ich jako w świat puszczać, wszystko zamknięte.

Przepis twój na baby odebrałem i już przetłómaczony na francuski język. Pani Pattey ma go wkrótce spróbować, ale wątpię, aby się jej udał, bo pamiętam, jakich trosk doznawałaś, piekąc baby wielkanocne, z jakim drżeniem odmykaliśmy piec, w którym się rumieniły.

Nie wiem, gdzie się teraz obraca Odynieć; musiał wrócić, bo nic o nim nie słyhać, ani o moich 50 egzemplarzach.

Wiecie zapewne, że stary wielki człowiek Lafayette, któremu niegdyś ofiarowałem patenę umarł; ogromne to zdarzenie i smutne dla nas. Fortunatowi kłaniaj się, mamó; przeczułem, że go znudzi gospodarstwo: podobny on jest do Rénego Chateaubriana; niech się tem pociesza, że jest człowiekiem wieku. Nuda i zniechęcenie są dwoma głównymi charakterami ludzi teraźniejszych. Bo też nienawidzę z drugiej strony tych ludzi, którzy mówią: „niech będzie tak, jak jest.“ Jest to chrześcijańskie bluźnierstwo, Chińczyków prawidło.

Mamó droga, czy posadziliście śliwkę na grobie babuni? prawdziwie, że jej by potrzeba posadzić sad cały, aby jeszcze po śmierci była dobroczynną. Teofilów uściskaj, mamó, w listach ode mnie; smutno mi, że nie znam miasta, w którym żyją, nawet sobie wystawić nie mogę. Dziadunia rączki z uszanowaniem całuję. A ty, matko droga, ciebie po tysiąc razy ścisłkam, całuję, cierpię z tobą, myślę o tobie, zawsze będę twoim, jedynie twoim, póki będę żył na tej nędznej ziemi, a potem... będziemy spoczywali w Bogu. Adieu, droga moja!

Twój *Juliusz*.

35.

Genewa, dnia 13 lipca 1834.

Najukochańsza Matko moja! Znów nowy miesiąc upłynął spokojnie, bez najmniejszych wydarzeń: żyję, jak kwiat na jednym miejscu, tą samą rosą i tem samem słońcem, dziś jak wczoraj, jutro jak dzisiaj. Jednostajność tę przerywa czasem smutna myśl o tobie, mamó moja, czasem gorące zachcenie obaczenia ciebie, czasem mimowolne drżenie, przeczucie jakby nieszczęścia: ile razy zdołam odpędzić od siebie te trzy natrętne mary, wtenczas spokojny jestem i z zamknię-

temi oczyma pozwalam płynąć czasowi. Nie mogę jednak zataić przed sobą samym, że mi jest dosyć znosić na tym świecie. Uskarżanie się na mój los byłoby ciężkiem bluźnierstwem; ale też z drugiej strony przyznać trzeba, że tak się teraz ograniczyłem w moich żądaniach, że żadne błyszczące marzenia nie śmiały kłócić mojej spokojności. Inaczej to było, kiedy byłem jeszcze dzieckiem: pamiętam, że przez długie godziny nieraz chodząc po pokoju, rozwijałem w myślach moich jakieś świetne szczęścia, bogactw i sławy obrazy; niski sufit mego w Wilnie pokoiku nie wstrzymywał mojej bujającej myśli. Żal mi teraz nieraz, że ta władza marzeń zagasła we mnie. Jedyna myśl mię teraz pociesza w życiu: oto zdaje mi się, że jestem tem, czem być powinienem: zdaje mi się, że nie minął mego powołania, że wypełniam sobą jedną małą kratkę na świecie. Tak nienawidzę czczo żyjących ludzi, że gdybym dziś odkrył w sobie szczególną skłonność do robienia butów lub zegarków, jutro przystałbym do szewca lub zegarmistrza na naukę.

Słyszę zegar bijący głośno jedenastą w nocy godzinę; nie uwierzysz, mamó, jak coś dziwnego jest w głosie tutejszych zegarów: niektóre dzwonią zwolna i ponuro, inne wybijają coś nakształt uciętego kuranta, ulubioną zapewne piosnkę jakiegoś zegarmistrza, który przed stu laty ją śpiewał i potem śpiew swój wszczepił w starą wieżę kościelną. Więc dziś zegarmistrz w grobie spoczywa a wieża powtarza co godzinę jego ulubioną piosnkę. Ludzie, którzy się tutaj urodzili, muszą być smutni, ile razy oddalają się tak daleko, że już tej pieśni nie słyszą. Takie same (!) wrażenie sprawia na nas dzwonek szkolny, rozbity, krzemieniecki: niestety, dzwonek ten ogłuchł; głos i śmiechy żaków grających w piłkę, nie rozlegają się więcej po pustej galerii waszego kościoła. Widzę stąd umarłą twarz waszej miejsciny i z większym smutkiem patrzyłbym na nią dzisiaj, niż na marmurową i umarłą Wenecję.

Panna Eglantyna po 5-ciu tygodniowym pobycie w Paryżu wróciła nakoniec do nas; podczas swego wojażu pisywała mi czasem długie i miłe listy, które mi trochę jednostajność życia urozmaicały. Przynajmniej w godzinie nadejścia poczty oczekiwałem czegoś, gniewałem się, kiedy pocztylion z pustemi rękoma przeszedł koło domu i znów nadzieję obracałem na jutro. Nie myśl, mamó kochana, aby te listy przynosiły mi nadzwyczajne szczęście; oczekiwałem każdego jak małej jakiejś nowości. Karmię się teraz ułamkami uczuć i szczęścia.

Dziś właśnie tydzień, jak panna Eglantyna powróciła do domu; wyjeżdżałem na jej spotkanie o pół mili stąd do wioski, w której mam znajome damy, żonę i ładną córkę doktora Morin. Nie chciałem jednak oddać im wizyty i kazałem powoznikowi memu schować się do oberży, sam zaś usiadłem na trawie, zapaliłem cygaro i roztoczyłem dzieło Herschla¹⁾ o fizyce, chemii, astronomii itd. Niestety, ledwom zaczął czytać, los czy bies sprowadził w stronę, gdzie byłem, żonę i córkę doktora. Musiałem się różnymi sposobami wykręcać z zarzutu, dlaczego, będąc w ich wiosce, wolałem dzieło o fizyce niż ich towarzystwo, i nakoniec ze spuszczoną głową udałem się z niemi do domu. W drodze spotrzałem żeńców zbierających zboże, to mi tak mój kraj przypomniało, że mi się łzy zakręciły w oczach: rzadko tu bowiem widać zbierających zboże, wszędzie winnice okrywają wzgórki, a pejzaże tracą na tem bardzo wiele; nic nudniejszego dla wzroku jak winnice: całe jezioro genewskie zbrzydło obsadzone winnicami. Fasola nasza stokroć piękniejsza, bo na wyższych rośnie kijach i kwitnie czerwono, a któż z nas lubi pod oknami w ogrodzie fasolę? Widok żeńców przypominał mi jakiś tłum obrazów, począwszy od Mickuna do Wierzhówki; żeńce, chociaż porządniej trochę

¹⁾ Czyt. Herszla.

ubrani, podobni byli naszym, toż samo mieli ujęcie, także kapelusze słomiane, ekonoma tylko strzegącego nie było, ani beczi z piwem ze dworu, ani dworskiego panicza na koniku. Wkrótce potem nadjechała panna Eglantyna i galopem odwoziłem ją do domu matce. Paryż podobał jej się bardzo, i nie dziw, bo tyle zadziwiających i pięknych rzeczy jest w Paryżu. Nie chciałbym jednak wrócić do tej stolicy, chyba gdybym miał 20.000 fr. na rok dochodu. Wolę moją cichą Genewę z błękitnem jeziorem, wolę moje mieszkanie w ogrodzie, wolę moje kąpiele codzienne w Arwie. Pisałem ci już, mamó kochana, że co dnia po południu idę się kąpać do zimno-lodowej rzeczki, płynącej stąd o ćwierć mili; kąpiele te znaczny już skutek wywarły na moje zdrowie a nawet na mój humor: spokojniejszym jestem a nawet i weselszym. Gdybym był zabobonny, powiedziałbym, że Arwa cudowną płynie wodą. Doktorowie tutejsi mówią, że woda Arwy ten sam wpływ ma na zdrowie, co kąpiele morskie. Łazienka, w której się kąpie, stoi w małym ogródku, pełnym kwiatów; często po kąpieli odpoczywam sobie w altanie, winną macieją osłonionej; malwy, moje ulubione kwiaty, zaglądają do altany. To dziwnie, że ja tak lubię malwy, które nie mają zapachu. Sądziłiby z tego ludzie, że jestem zupełnie nieczuły. Mamó moja, kiedyś mały nasz domek, biały jak śnieg, z zielonemi okienicami, z czerwonym dachem, obsadzimy różnobarwnemi malwami; z tyłu będzie rośło kilka jodeł i kilka brzoź drzących, i ścieżki wysypane będą żółtym piaskiem, i jaskółki będą nad gankiem się gnieździły; o, jakieby to szczęście było!

Panna Eglantyna przywiozła mi z Paryża ładny kryształowy kielich: moda tu jest bowiem, aby każdy miał przy stole swoją ulubioną i różniącą się od innych szklankę; ja wolę jednak ten kielich napełniony kwiatami trzymać w moim pokoju, bo lubię kwiaty tak jak ty, mamó; tak jak ty jeszcze powziąłem zwyczaj długiego chodzenia w kółko po pokoju; śmieją się nie-

raz domowi, widząc mię krążącego jak gwiazdę około marmurowego stołu w salonie. Jedni myślą, że agitacyi używam dla zdrowia, inni, że wiersze składam i komponuję, a to jest tylko familijny mój nałóg. Tak chodząc, najczęściej nie myślę o niczem, dogadam tylko niespokojności nerwów moich. Salonik naszego przyszłego domku, mamó moja, obszernym dosyć być powinien, abyśmy oboje mogli krążyć i wymijać się łatwo, ale wszakże życie nas nauczy dobrze ciągłego rozmijania się.

Mamó droga! co się z tobą dzieje? Od jakiegoś czasu sny mi nawet ciebie nie pokazują. Naprawdę, zasypiając, staram się, myśląc o tobie, sny takie przywołać.

Z wiadomości nie nowego od dawna nie zaszło; świat idzie, jak może, ziemia się obraca i nie dostaje zawrotu głowy — przekłeta!

Wkrótce będzie w naszej mieścinie wielki koncert narodowy, z kilku tysięcy osób złożony, a po koncercie różne zabawy na jeziorze.

Z wiadomości literackich to tylko słyhać, że Adam wydał poemat nowe pod tytułem: Pan Tadeusz; nie znam jeszcze tego dzieła, bo w kurs nie puszczono, wiem tylko, że pan Tadeusz, jest to szlachcic na Litwie, który się awanturuje między 1811—1812 rokiem.

Donieś mi, mamó, jeżeli co wiesz, o Antonim Odyńcu, bo ja nic o nim nie wiem.

Do mojej polskiej biblioteki przybyła mi Biblia w naszym języku, którą często z rozkoszą czytam. Dzieła Kochanowskich są dla mnie także niewyczerpanem źródłem pociechy. Na fortepianie gram prawie codziennie, ale niestety bez nut; mam jednak dosyć łatwości w improwizowaniu i fortepian mi uprzyjemnia wiele chwil szarej godziny. Angielki mieszkają u nas, dosyć nudne zawsze, choć bardzo ładne; z ich towarzystwa odnoszę tę korzyść, że codziennie większą mam

łatwość w tłómaczeniu się ich językiem; myślę nieraz, że może kiedyś wróciwszy do was, kiedy mi zabraknie innych sposobów, będę mógł dawać lekcye angielskiego języka. Oby nigdy do tego nie przyszło. Droga, najukochańsza matko moja! żegnam ciebie! jeszcze zapewne na długo, ale nie na zawsze. Mam jakąś tajemną nadzieję w głębi serca, że nie na zawsze. Panna Eglantyna chciałaby ciebie pozdrowić, ale chora po powrocie z Paryża, od kilku dni leży w łóżku; prosiła mię, aby ci od niej, mamó, tysiąc, tysiąc rzeczy przyjemnych napisał. O, droga mamó! całuję ciebie z duszy całej! Całuję ręce dziada. Kochanym Teofilostwu zasyłam także wiele uścisków; ubolewam nad nimi i kocham ich, ale co czuję dla ciebie, mamó, ile przywiązanania, ile smutku, to tego nigdy nie wyrażę, chyba milczeniem i łzami, jak się zobaczymy. Twój Julek.

36.

Genewa, dnia 21 sierpnia 1834.

Najdroższa matko moja! List ten kilką dniami opóźnił się, a to z przyczyny mego wojażu po górach; podróż ta była prawie niespodziewaną. Pani Wodzińska, bawiąca tu, wyjeżdżając z familią, namówiła mię, abym jej towarzyszył. Nie mogłem oprzeć się pokusie. Kochane gospodynie moje przydały do mojej wypróznionej kasy potrzebne pieniądze, i wzięwszy mantelzak na plecy, ostatniego dnia zeszłego miesiąca siadłem na statek parowy i ruszyłem przez błękitne jezioro. Nigdy w życiu mojem nie widziałem jeszcze tak pięknych obrazów, jak te, które przez dwadzieścia dni przemijały przed mojem oczyma. Nim przystąpię do opisanja podróży mojej, muszę, matko droga, rzucić się do nóg twoich i podziękować ci za to, że wróciwszy do domu, zastałem od ciebie przyslaną mi spokojność; niepewność o ciebie dręczyła mię podczas całej wę-

drówki, myśl o tobie nie odstępowała mię; ileż razy chciałbym był trzymać ciebie za rękę, kiedy się nachylałem nad przepaściami! Zmiana ciągła miejsca, sprawa to często, że w nich upatrywałem różne z rodzinami miejscami podobieństwo. Nigdy tyle cieniów przeszłości nie stanęło przede mną: różne twarze znomych i umarłych stawały po drogach i przeprowadzały mię jak wierne przyjaciół; różne zapomniane piosnki cisnęły się do ust moich! było mi smutno i miło. Abyś mię sobie, mamó, dobrze wystawić mogła, muszę ci opisać mój fantastyczny ubiór: miałem płócienną bluzę, haftowaną zielonym jedwabiem, czy też włóczką, pas czarny skórzany, białe szarawary, kapelusz ze słomy białej i czarnej pleciony, dosyć niski, z ogromnemi skrzydłami i opasany purpurową wstążką! do tego na grubej podeszwie trzewiki i kij wyższy ode mnie, biały, z żelaznym kolcem, jakiego zwyczajnie górale używają. W ubiorze tym wyglądałem tak młodo, że mi dawano lat 15 wieku. Towarzystwo nasze składało się z 9 osób: pani Wodzińska, dwie jej córki, panna Maryanna, młoda, ale nieładna, dosyć jednak miła i mnóstwo mająca talentów, druga córka jeszcze dziecko. Przy pannach była guwernantka Francuzka, panna Malet, trochę podtatusiała i ciągle zajmująca się botaniką. Trzech synów pani Wodzińskiej, jeszcze jeden młody Żmudzin i ja. Towarzystwo to nie było tak przyjemne, jakbym ja żądał, ale też nie było nieznośne, owszem różnica charakterów podróżujących osób dobrą razem tworzyła harmonię. Najmłodszy z synów pani Wodzińskiej był naszym pajacem, ciągle nas śmieszył i bawił. Najstarszy, który niedawno stracił i pochował w grobie z suchot umarłą kochankę, był osobą melancholiczną towarzystwa; ja zaś, chociaż nie straciłem z suchot kochanki, byłem także osobą ponurą towarzystwa, nie zawsze jednak. Rano 31 lipca statek parowy ruszył z nami, rzucając na miasto kłęby czarnego dymu. Widziałem przemijające jeziora brzegi, po-

zegałem oczyma Paquis i Paquis zniknęło. Koleją wysuwały się z jeziora Coppot, gdzie pani Stael mieszkała, potem Lausanne¹⁾, za Lausanne Vevey²⁾, z drugiej zaś strony skały Meilleries, sławne skały, skąd kochanek Heloizy najpiękniejsze listy pisał. Przepłynęliśmy koło sławnego zamku Chillon i na koniec wylądowaliśmy w Villeneuve!³⁾ Tam najęty powóz zawiózł nas do Bec, miasteczka sławnego solną fabryką i minami. Nazajutrz zwiedzaliśmy miny solne: pół mili prawie szliśmy podziemnymi drogami, niosąc w rękach lampy żelazne. Było w tej podziemnej podróży prawdziwie coś uderzającego imaginacją, zwłaszcza prochem rozsadzając skały. Nie będzie ciębie, mamó moja, interesował wojaz, wyszczególniający tylko miejsce popasu i noclegu, opiszę ci więc tylko niektóre bardziej zajmujące miejsca. Trzeciego dnia naszej podróży wędrowaliśmy do klaszteru św. Bernarda. Wszyscy mężczyźni szliśmy pieszo dzień cały drogą przez Napoleona wykutą; z obu stron ogromne góry, rzeka płynnie przepaścią pod nogami, chaty nędzne, ludzie ubodzy. O wschodzie słońca spotkaliśmy w górach pogrzeb biednego człowieka. Kilkoro ludzi w łachmanach i ksiądz stanowili cały orszak, a śpiew pogrzebowy nie mógł przewyższyć szumu potoków. Mamó moja, jak mi się ludzie wydawali mrówkami! O godzinie 5-tej wieczorem wjechałem na mule w krainę śniegów, potem między skałami w ciemnem, mglistem powietrzu ukazał się klasztor. Ksiądz gwardyan w czarnym habicie stał na ganku, pies ogromny leżał na dziedzińcu, jak z marmuru wykuty, za klasztorem błyszczało oprawione w skalistym brzegu czarno ołowianego koloru jezioro. Klasztor ten, gdyby nie był przez mnichów zamieszkały, byłby prawdziwie zachwycający. Niestety! ludzie nie odpowiadają często wielkości powołania. Ksiądz gwardyan, świecki

¹⁾ Czyt. Lozan.

²⁾ Czyt. Wewe.

³⁾ Czyt. Wilnew.

i światowy, uśmiecha się do dam, a ujęcie jego nie złe by się wydawało nawet na dworze Ludwika XIV. Spaliśmy w celach zimnych jak lodownie. Refektarz wyglądał jak salon światowy a siedzące towarzystwo koło kominka śmiechem i żartobliwą rozmową odstrasza wszelką myśl wzniosłą i smutną. Blisko klasztoru stoi mały domek, gdzie składają się znalezione w śniegach trupy. Okropny to widok. W różnych pozycjach zmarli siedzą, leżą, jedni do szkieletów podobni, drudzy czarną skórą powleczeni... okropny widok, mamó moja.

Stamtąd weszliśmy znowu w uśmiechającą się krainę wiosny: po dwóch dniach podróży stanęliśmy u stóp góry Ghemi! Trzy godziny jechać na nią trzeba na mułach, a tak jest sterczącą, że nie do góry, lecz do muru gładkiego podobna; droga w ziggzag wykuta, ciągle wisi nad przepaścią. Kto na tę górę nie wszedł, to stojąc u jej stóp wierzyć nie może, aby wejść można było. Na zielonej równinie pod tą górą leży miasteczko sławne wodami Luèche¹⁾; żadne opisy nie odmalują wam zieloności smaragdowej, którą widać w dolinie, tych domów białych, które po niej są rozsypane, tej góry żółtego koloru, tych gazowych chmur, które się wiszą po jej szczytach. A ja to wszystko widziałem. I znów po trzech godzinach drogi stąpaliśmy po gołych skałach, gdzieniegdzie śniegami pokrytych... i znów nie widać było, tylko skały, śnieg, czarne jezioro i niebo. Po zejściu z tej góry, na drugiej stronie, znaleźliśmy jeszcze piękniejszą okolicę, jeszcze piękniejsze drzewa i kwiaty i kaskady srebrne z gór spadające i przesłiczne szalety. O matko! ileż razy w tych pięknych miejscach myślałem o tobie, ileż razy cisnął się do moich ust refrain Goethego piosnki:

Czy znasz ten kraj? znasz go, o moja miła?
Tam byłby raj, gdybyś ty ze mną była.

¹⁾ Czyt. Liuecz.

Po trudach pieszej podróży przyjemnie nam było się do łódki i przepłynąć jeziora Thoune¹⁾, Brienz²⁾, do sławnej kaskady Giesbach; patrząc na nią, przychodziła mi na myśl Zofijówka, a potem łańcuch myśli i rozciągał się dalej, do Wierzhówki, byłem w Julinkach i chciałem głośno wołać zmarłych po imieniu. Po odwiedzeniu kaskady Giesbach, damy nasze zmęczone i przerażone podróżą po przepaścistych górach, rzuciły nas i pojechały inną drogą do Lucern, my zaś chłopcy, trochę smutni z rozłączenia się, trochę weseli z odzyskanej wolności, poszliśmy pieszo przez góry: tu dopiero wojaż nasz zachwycającami nas zaczął karmić dolinami; Lauterbrunn i Grindelwald nie podobnego nie mogą mieć w naturze. W Lauterbrunn spada ze skał wysoka na 800 stóp kaskada Staubach, woda jej nigdzie się prawie o skały nie odbija, ale przez sam lot z takiej wysokości zamienia się na wstęgę mgły białej i leci na dolinę. Góra Jungfrau, śniegiem pokryta, stoi jak olbrzym biały. Druga dolina Grindelwald jeszcze piękniejsza, bo do niej wypływają dwie rzeki lodów; lody te aż do jej głębi dochodzą i promienna ich białosć ślicznie odbija w pośród muraw, drzew i kwiatów. Nigdy mi się nie podobnego nie śniło; tam widziałem z gór spadające awalansze. Huk podobny do piorunu rozlega się po dolinie, ile razy bryła śniegu oderwie się z czoła gór. Matko moja, wystaw sobie, że najpiękniejsze słońce oświecało to wszystko, że wstawaliśmy o wschodzie, że oddychaliśmy wonią zroszonych kwiatów. Matko moja! jakieby to były czarujące wspomnienia, gdybym kiedyś między wami mógł przypominać je i o przeszłości marzyć.

Weszliśmy na Faulhorn, gdzie jeszcze mało było podróźnych. Oberza na tej górze jest najwyższem mieszkaniem w Europie. Wojażerowie, chcąc patrzeć na okolicę, muszą wychodzić z domu kołdrami okryci;

¹⁾ Czyt. Tun.

²⁾ Czyt. Brîcs.

mród nam dopiekał, ale też jaki widok! O zachodzie słońca mgły nas owiały i staliśmy na szczycie góry, jak na pokładzie pływającego do nieba okrętu; słońce czerwone było od nas niżej na niebie, a jeszcze miało drogę do przebycia, nim zaszło. Za nami z mgły wychodził ogromny szereg gór śniegowych, niktby w godzinie nie obliczył ich szczytów, a wszystkie były czerwone od słońca, ogniste. Nocowaliśmy w obozysku i z rana widzieliśmy wschód słońca, czysty, żadnej mgły; przepaście, błyszczące jeziora, cała Szwajcarya pod nami, widna, jasna, a jaka cichość! Taki sam widok mieliśmy jeszcze z góry Righi. Na tę górę wchodził wszyscy podróźni; widok z niej rozleglejszy, ale mniej piękny: góry śniegowe w oddaleniu nie przerażają wielkością swoją rozumu a nawet imaginacyi człowieka: można z niej patrzeć na Szwajcaryę bez przerażenia, a ja, patrząc o wschodzie słońca, mimowolnie płakałem, nie wiem dlaczego, ale mi żal było ludzi... Z góry Faulhorn przechodziliśmy znowu do czarujących dolin Oberhassli; byłem w Rosenlauen¹⁾, przesłiczne widziałem glaciery²⁾, byłem w lodowych gmachach pod sklepieniami błękitnego kryształu; u nóg moich ogromne przepaści, i potok lody podrywał; ze ścian gmachów, w których stałem, kropliste od słońca spadały deszcze.

Jak to smutno pomyśleć, że ty, mamo, z tych krótkich opisów nie będziesz sobie mogła wystawić miejsce, gdzie twój syn był, gdzie myślał o tobie. Obrazy, które sobie twoja imaginacya utworzy, będą może piękne, ale nie będą tymi samymi obrazami, które teraz ja widzę we wspomnieniach. Czyż ludzie nie wynajdą kiedy jakiego środka, któryby lepiej niż pismo i malarstwo wystawiał przedmioty! Dziwna i głupia myśl. Byłem po raz czwarty jeszcze na śniegach Grimsel, po raz czwarty nocowałem w zimnej obozysku, przechodziłem śliczną drogę świętego Gotarda, widziałem na niej

¹⁾ Czyt. Rozenlalen.

²⁾ Czyt. Glasje — lodowce.

sławny most dyabła, nareszcie po 9-dniowej podróży przybyliśmy do Lucern, gdzie na nas nasze damy od 7 dni czekały, a przybyliśmy tam przez najpiękniejsze jezioro Czterech Kantonów. Byłem w kaplicy Wilhelma Tella, łódka nasza zatrzymała się na skale, z której bohater wyskoczył, Gesslera na jezioro odepchnąwszy; kaplica ta tylekroć restaurowana, znajomą ci, mamó, być musi... Wreszcie przez Bern wróciłem do domu; zastałem tam pełno cudzoziemców, i może to z tej przyczyny wojaż zostawił mi jakiś ponury smutek i tęsknotę, bo z ciszy gór wszedłem nagle w gwar ludzi, którzy się na chwilę poznają, aby się znów rozłączyć i zapomnieć o sobie, gwar zimny, nie bawiący, nie dowcipny, nie rozumny, ale ów zwyczajny gwar świata. Jedna panna Eglantyna tylko obaczyła mię i powitała z radością; stara jej matka także mię po macierzyńsku uściśnęła, więc prawdziwie jest za co dziękować Bogu, że na mojej drodze nie rzucił mi wszystkich serc z kamienia.

O matko moja! Dziś dzień moich urodzin; go-spodynie moje pamiętają o nim, a ty, matko, ty także musisz pamiętać, żeś ty kiedyś cierpiała tak mocno w ten dzień, dając życie twemu biednemu dziecku. Biedna matko moja! dziękuję ci dziś ze łzami, żeś przez lat 25 czuwała nade mną, jak anioł stróż, Bóg ci jeszcze za to nie zapłacił niczem. Ale, matko moja, po 25 latach, dzisiaj mógłbym ci zrobić spowiedź ogólną życia mego i nie skalałem się żadną ciężką zmazą. Mogłabyś się może, mamó, uśmiechnąć i pocałować mię w czoło. Błogosław mi, mamó droga; panna Eglantyna zajrzała do drzwi moich, wiedząc, że do ciebie piszę i prosiła, abym od niej zasłał ci czułe pozdrowienie. Ona się o tobie, mamó, zawsze z najczulszą troskliwością dowiadyuje. Ona ciebie kocha, mamó, i przyjmij tę miłość, wszakże mię tyle osób kochało niegdyś dlatego, że ciebie kochały.

Napisz, kochana mamó, Teofilowi o mojej po-

dróży. Teofil mi także najczęściej w zamyśleniach moich stawał w pamięci. Jakby on był szczęśliwy, gdyby zamiast nudnych rachunków, mógł liczyć wierzchołki śnieżne gór, albo leżące pod stopami jeziora. Często zdaje mi się, że kradnę przyjemności, które się całej mojej rodzinie należą. Ale wiercie mi, że chętnie bym się z wami podzielił... o, nawet oddałbym je wam wszystkie za jeden wasz uścisk. To dziwnie, mamó moja, że ja, który widziałem tyle miejsc i krajów, który zebrałem w pamięci tyle obrazów świata, spać będę może kiedyś cicho na cmentarzu krzemienieckim pod cieniem tej czereszenki, która ocieni grób babuni. O gdyby tak było!

Adieu, droga, najukochańsza mamó, boję się dłużej pisać i nowe brać kartki, abym nie opóźnił bardziej i tak już opóźnionego listu. Ale z gór pisać nie mogłem, bo co dnia byłem pieszą podróżą zmęczony, bo co dnia około 6 lub 7 mil drogi robiłem, i to z góry na górę; do tego dodajcie i to, że na górach nigdzie poczyt nie ma, to uniewinnicie mię. Całuję rączki kochanego dziadunia; niech pomyśli o wnuku i spojrzysz na zamkową górę. Mamó, a ty przy księżycu wystaw sobie, że na waszych górach stoją inne góry ze śniegu, że na tych białych imaginacyjnych górach ja jestem i że stamtąd patrzę na mały domek, który jest twojem mieszkaniem. Adieu, matko moja.

Twój Julek.

37.

Genewa, dnia 28 września 1834.

Najukochańsza mamó moja! Wróciłem znów od miesiąca do cichego mego życia: jesień, ulubiona moja pora roku, zachwyca mię bardziej teraz, niż kiedykolwiek; kąpię się w złotych promieniach słońca, chodzę po ogrodzie, słuchając z rozkoszą lekkiego szelestu spadających liści; nie dosyć jeszcze opadło, jesz-

eze nie wydają smutnego szumu pod mojami stopami. W tej ciszy usypiającej natury, marzę często o twoich projektach ostatnich. Mamo droga, nie uwierzysz, ile mi zrobiły rozkoszy; o, bodajby je można kiedyś do skutku przyprowadzić! Wierz mi, mamó droga, że gdybyś ty ze mną była, nie by do szczęścia mego nie brakowało, prócz zdrowia kuzynki; ale więcej miałbym cierpliwości czekać z tobą razem na polepszenie się jej zdrowia, a gdyby nawet ozdrowieć nie miała przed moją śmiercią, to przynajmniej my bylibyśmy dwoje wyjęci z zarazy, jaką jej choroba osobom przy niej będącym może udzielić. Mamo droga! myśląc o zdrowiu twojem, widzę, że ci najlepiej byłoby mieszkać w południowych Włoszech, ale ja nie mógłbym ci tam towarzyszyć. Tu, gdzie jestem, nadto drogie życie, tak, że oboje utrzymać byśmy się nie mogli, chyba ciągle zarywając co z naszego kapitału, a jednak życie tutaj na pensyi najwygodniejszym by było dla nas: płacąc 270 fr. na miesiąc, nie potrzebowalibyśmy myśleć o niczem, o nas by się troskano. Muszę się jeszcze o Nicei¹⁾ dowiedzieć, ale te wiadomości, jakie o niej zebrałem dotychczas, nie bardzo są zachęcające. Ma być tam niezmiernie gorąco w lecie, tak, że prawie niepodobna wytrzymać. Zawsze jednak, kochana mamó moja, potrzebowalibyśmy najmniej 4500 fr., aby się porządnie gdziekolwiekbaż utrzymać. Mniej zapewne potrzebaby było w Niemczech, ale tam nie dla mnie jest miejsce; jeszcze gorszy dla mego zdrowia byłby klimat Krakowa: pewny jestem i wielu mi mówiło, że tam choćbym największe ostrożności koło mego zdrowia przedsiębrał, dłużej nad miesiąc nie mógłbym wytrzymać. Tak się więc rzeczy mają i często, kiedy o tem myślę, rozpacz mię porywa.

Tego roku wcześniej niż kiedykolwiek goście z naszego domu rozjechali się. Zostałem sam z Włochem wojażerem i z moimi gospodyniami. Ten Włoch ko-

¹⁾ Nizza (czyt. Nica) w poł. Francyi.

zystnym jest dla mnie, bo gadam z nim często po włosku i wprawiam się. Tego lata było wielu wojażerów i z różnych narodów, z wszystkimi mniej więcej dobrze mogłem rozmawiać i Anglicy, którzy z taką trudnością uczą się języków, uważali mię za cudowne prawie zwierzę, i nie uwierzyli, jak tu łatwo uchodzić za uczzonego, albo za przyjemnego człowieka. Tutejsza młodzież tak jest ciężka, tak mało ma re-sursów, że dosyć jest przez pół godziny prowadzić w towarzystwie rozmowę, aby dokazać tego, czego inni dokazać nie mogą: nie tylko rozmową, pokazując nawet sztuki kart, można zabawić towarzystwo, i potem rozchodzi się sława po mieście. Często przychodzi mi na myśl opis Renégo w Chateaubriand, który powiada, że musiał się zmniejszać niezmiernie i zmaleć, ile razy chciał, aby ludzie z nim obcowali. Towarzystwa nasze tysiąc razy są przyjemniejsze: oświeceni nasi ziemkowie są daleko więcej oświeceni niż tutejsi.

Bardzo kontent jestem, że odbyłem podróż po górach tego roku: obrazy gór i lasów zostały w mojej pamięci; imaginacya moja jak salon pałacowy ustrojona jest nowymi malowidłami. Od powrotu mego do Genewy nie często widuję się z towarzyszami podróży. Pani Wodzińska zaprosiła nas raz na podwieczorek do swojej małej córeczki, za miasto; tam ułożyliśmy, że kiedyś, jeżeli wszyscy razem będziemy w Warszawie, pani Wodzińska wyda bal kostiumowy na który każdy z nas przywdzieje swój podróżny ubiór, a nawet swe grube trzewiki, w których laził po skałach; projekt ten bardzo mi się podoba. Jakieby to było smutne i zachwycające uczucie, po 10 lub 20 latach ubrać się tak, jak się człowiek ubierał młody, będąc na obcej ziemi; jak miłoby było powinszować sobie wtenczas przebytych bied i młodym ludziom o przeszłości rozpoviadac. Starość musi mieć także wielkie przyjemności, jak pora roku jesienna. I ty, mamó moja, przyjdiesz na ten bal kostiumowy i dasz mi czerwoną wstążkę do

mego słomianego kapelusza, bo ta, którą nosiłem po górach, zblakowała od słońca i deszczu.

Przyjechał znów na zimę teatr do naszego miasteczka i rozpoczął widowiska; mało mię to obchodzi, bo nie lubię złych komedyi i wodewilów. Oszczędność także każe mi jak najrzadziej bywać w teatrze. Włoch, z którym mieszkam, prawi mi cuda o włoskich operach, a kiedy słucham jego opowiadań, myślę o tobie, mammo moja; we Włoszech teatr bardzo tani, najdroższe miejsca są po 2 złote nasze, inne miejsca jeden złoty tylko, to jest pół franka. Życie we Włoszech także nadzwyczaj tanie; oswojony z cenami tujejszemi, nie mogę nawet pojąć tej różnicy i zły jestem na los, który mię przykuł do drogiego i nudnego kraju, wtenczas kiedy gdzieindziej mógłbym żyć taniej i przyjemniej. Mammo moja, chyba głową mury tłuc, tak wszędzie opór wielki na tym świecie, taka ciasnota, jak żeby ludzi było zanadto wiele. Niektórzy mówią, że ze znajomością kilku języków mógłbym korzystne mieć miejsce w dyplomacyi kraju Inez de Castro, ale ja do dyplomacyi nie stworzony, mało mam talentu do przewidywania politycznych wypadków; wreszcie puszczać się do tak zamieszanego kraju, trzeba byłoby wiele pieniędzy i może podróż napróżno bym odbył. Nakoniec krótkie to życie nie warte tylu zachodów.

Zapomniałem zapewne donieść ci, kochana mammo, że przed miesiącem odebrałem był list od Odyńca przez jedną panią przejeżdżającą tu z Drezna; dziecię, które miał, umarło, czyli też nieżywe urodziło się; może też to i dobrze dla niego, bo nie wiele ma funduszków. List jego dosyć wesoły, zdaje się jednak, że mu niedługo w Dreźnie siedzieć dozwolą, a wtenczas zapewne powróci.

Adam w Paryżu wydał nowy poemat w dwóch tomach p. t. Pan Tadeusz, — czyli ostatni z ajazd na Litwie w r. 1812, powieść szlachecka. Nie czytałem jeszcze tego nowego utworu, bo mi go

jeszcze nie przysłało. Cieszę się zawsze, ile razy coś nowego wychodzi, bo dla literatury naszej nietylko trzeba, aby było dobrze, ale też aby i wiele było, inaczej zawsze francuzczyzna będzie w modzie.

Piękna literatura francuska mało mię teraz obchodzi. Zjawiła się w Francyi nowa pani Stael, którą ja przekładam nad dawniejszą: nowa ta autorka kryje się pod nazwiskiem George Sand¹⁾ i pod tem imieniem wydała 4 romanse, z których dwa pierwsze są prawdziwie zachwycające; staraj się mammo, dostać *Indiana* — i drugi romans *Valentine*²⁾ — przez George Sand, a przepędzisz kilka godzin rozkosznie. Ta nowa autorka nazywa się prawdziwie pani Dudevant; o ile mogłem się o niej dowiedzieć, nie wiele uważa na opinię publiczną; rzuciła męża i żyje z uczniem uniwersytetu paryskiego, ze studentem prawa. Dotąd jednak jakaś tajemnica ją okrywa, nikt jej nie zna osobiście, nikt nie może z pewnością wiedzieć, kto jest autorem tych zachwycających romansów.

Śmiałem się kiedyś z Jasia, kiedy go widziałem w Wierchowiu, siedzącego przy stoliku i ciągnącego kabałę czyli *patience*³⁾; otóż gdybym miał teraz siostrzeńca, śmiaćby się mógł ze mnie, bo co wieczór, wyjąwszy wtenczas, kiedy są goście, ciągnę *patience* w salonie, przy okrągłym stoliku; skoro mój *patience* skończy, Włoch drugi zaczyna i tak cicho wieczór przechodzi aż do godziny 9-tej, o której pijemy herbatę. Zdaje mi się, że mama ciągniesz tę samą kabałę, jeżeli nie, to prawdziwie chciałbym cię, mammo, nauczyć, żebym mógł czasem pomyśleć sobie, że o tej samej godzinie, temi samymi sposobami staramy się dowiedzieć o naszej przyszłości. I tak: trzeba wziąć dwie talie kart, zmieszać, potem trzeba zamyślić so-

¹⁾ Czyt. Żorż San.

²⁾ Czyt. Walantin.

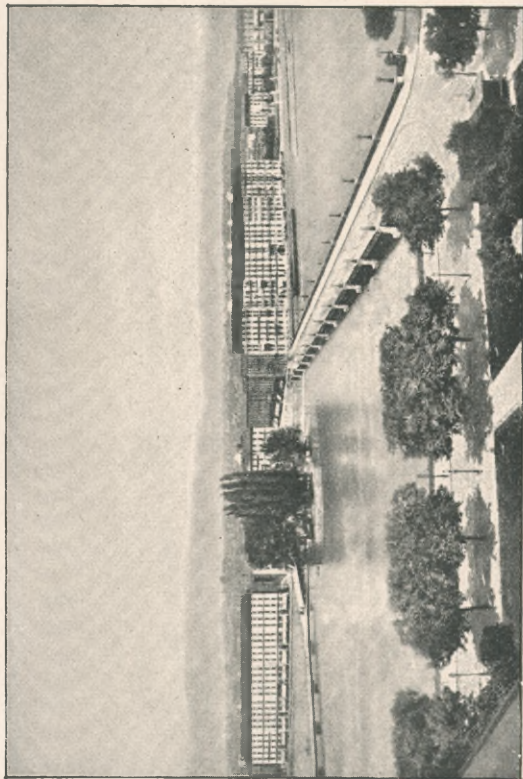
³⁾ Czyt. pasjans.

bie rzecz jaką; wszak ci, kochana mamó, nie będzie brakowało pytań, które przyszłość ma spełnić, a których spełnienie kabała obiecać może; potem kładzie się kart 9 jedna po drugiej, w miarę wychodzenia asów i królów; 4 asy kładą się po jednej stronie, 4 królowie odmienni po drugiej; od królów karty zstępują, od asów kładą się karty coraz wstępujące, jako to: as, dwójka, trójka itd. król, dama, walet itd., zachowując zawsze kolory słowem pasyans ma taki kształt:

as	♠	.	.	.	.	♥	król
	♦	.	.	.	.	♦	
	♣	.	.	.	.	♣	
	♠	.	.	.	.	♠	itd.

Z wierzchu i z dołu wolne karty można brać tylko; karta, która jest pomiędzy dwoma kartami na górze i na dole, nie może być wzięta; mama która umiesz kilka pacienców, z tego opisu może dojdziesz ładu, jeżeli nie, to mi napisz, abym ciemne punkta wyjaśnił. Co też ty, kochana mamó, pomyślisz, czytając tę receptę kabaliczną... powiesz może, żem zdziecinniał, czyli, żem jeszcze na człowieka nie wyszedł. Wiem, mamó, że wszystkie twoje projekta przeszły przez wyrocznię kabały.

Dnia 30. Obudziłem się dziś rano, aby ten list ukończyć i odebrałem wizytę syna pani Wodzińskiej, który w imieniu swojej matki przyszedł zaprosić mnie na wieczór: mają się znajdować na tym wieczorze wszystkie damy polskie, przebywające w Genewie; jedna z nich nawet jest sławna nieszczęściami. Poznam więc je wszystkie, jeżeli ich towarzystwo jest przyjemne, to rozszerzę koło moich znajomości i przez tę zimę nie będę siedział jak wilk w norze. Ty mi, moja mamó, zawsze słusznie wyrzucasz, że nie żyję



Genewa, miasto położone w Szwajcaryi.

z ludźmi; czuję sam sprawiedliwość twoich wyrzutów i co zimy staram się poprawić: zaczynam robić wizyty i znów popadam w dawny grzech samotności; widać, że jest coś w moim charakterze nietowarzyskiego. Zdaje mi się, że gdybym miał władzę ziemską, byłbym okrutnym władcą, jak wszystkie zwierzęta żyjące samotnie. Szczęściem to dla ludzi, że nie jestem niezem.

Kochana, droga mamó! jeżeli będziesz pisać do Teofilów, napisz im o mnie, napisz, że ich zawsze kocham, a ich oddalenie czuję tu nawet, bo już nie mam tej przyjemności, jaką miałem dawniej, czytając ich przypiski listowe. Nie mogę sobie wystawić teraz waszej na pół wyludnionej miejsciny: trawa musi rosnąć na ulicach i zawiasy drzwi waszych muszą rdzewieć. Projekt twój względem małego Stasia bardzo dobry, koniecznie go trzeba wychować na człowieka pożytecznego, a zdaje mi się nawet, że on niepospolitym będzie człowiekiem... Nie uczcie go tylko czytać na bajkach Krasickiego, ale na starej Biblii Wujka. Dziadunia mego rączki z uszanowaniem całuję; nie zapominam nigdy, że widziałem łzy w jego oczach, kiedym raz ostatni żegnał się z wami. Jakie to było pożegnanie! Droga, luba moja mamó! całuję oczy twoje, jedno oko po drugim, pocałowanie tak dalekie, tak lekkie, że snu by cię nawet, mamó nie zbudziło. Adieu! Odebrałem 200... Adieu, droga, miła mamó moja! Fortunatowi, jeżeli kiedy zjedzie do was, powiedz, że często wspominam o nim, ale wspominam sobie samemu. Beaupré niech także przyjmie moje przyjacielskie pozdrowienie. Bądź zdrowa i szczęśliwa, kochana mamó moja.

Twój *Juliusz*.

38.

Genewa, dnia 7 listopada 1834.

Najukochańsza mamó moja! Oto znów nadchodzi dzień twoich imienin. Któryż to dzień od czasu mego rozłączenia się! Liczbę straciłem, smutno, smutno. Czegoż ci będę życzyć, mamó, w tym roku? Ach, gdybym mógł u Boga dla ciebie szczęście uprosić, to bym je i dla siebie samego uzyskał, bo nasze losy ściśle teraz powiązane. Ale tobie, mamó, połączonej z Teofilami, przyjemniej upłynie ten dzień, niż gdybyś samą była. Nie uwierzysz mamó, jak powrót Teofilów ucieszył mię. Chciałbym was wszystkich w jednym zgromadzić miejscu, w okolicy dobrze znajomej, a to dlatego, aby myśl moja łatwo was wszystkich znaleźć mogła, jak osoby chodzące po scenie w teatrze, które mi ciągle moje wspomnienia grają; a chciałbym widzieć i aktorów i kulisy, inaczej iluzya nie jest doskonałą; bo też prawdziwie, że teraz myśląc o was, muszę was zgromadzać i łączyć i kłaść wam w usta słowa, jako osobom mojej imaginacyi, moje własne słowa, te słowa, które chciałbym od was słyszeć. Więc Teofil nie wróci więcej do tego Kijowa, miasta, o którym myśleć nie mogę bez wstępu. O, jakże mu zazdroścę! Jeżeli osiedzie na wsi, jeżeli będzie sobie siać szerokie łany i sam będzie je zbierać, a żonie odda bławatki, bo Hersylka zawsze trochę sentymentalna być musi, a zatem niech zbiór wszystkich bławatków Teofil przeznaczy jej na szpilki, tak to się podobno nazywa u was każdy dar od kupca zakupującego zboże, dla żony sprzedającego przeznaczony.

Bredzę, bredzę, bredzę, bo nie mam o czem wazniejszym rozprawić; a propos, ostatni list ukończyłem, donosząc wam, że jestem zaproszony do pani Wodzińskiej na wieczór. Oto na tym wieczorze naprzód zrobiono mi komplement taki (a bardzo ładne i różowe usta mówiły jak następuje): „Znaczo, że pan z Wo-

łynia Wołyniak Wołynianin, bo po wołyńsku tańczujesz mazurka.“ Nie chciałem Wołyniowi ujmować sławy, jaką z mego tańca odnosi i ukłoniwszy się, powiedziałem: „Ha, prawda, że my Wołyniacy, to dziarskie chłopcy.“ Trzeba widzieć moją teraz cienką postawę, aby sobie wystawić, jak mi te junackie słowa były do twarzy. Otóż potem siedziałem przy stole przy jednej grubej i świeżej matuli, z dwoma różowemi córkami, która mię nagle zapytała o mamę, pytając, czy jestem synem mamy? Pani ta, jak mi powiedziała, znała mamę w Wilnie, a potem w Karlsbad u wód: jest to pani Jezierska; nie uwierzysz, mamó, jak mi miło się zrobiło razem, słysząc mamy imię, patrząc na kogoś, co był kiedyś z tobą, co jeszcze może kiedyś będzie razem; przez całą wieczórę nadskakiwałem jej i ciąglą prowadziłem rozmowę.

Otóż wytańcowawszy się na tym wieczorze, wróciłem do domu i jak na nieszczęście, ponieważ to zwykła pora roku (jesień), w której mię napada poetyczna kanikuła, już od lat czterech bez wyjątku, ponieważ w tej porze rodzę zwykle, nazajutrz po wieczorze przyszyła mi do głowy myśl jakaś: myśl ta galopowała tak przez cztery godziny, że stała się długa na pięć łokciowych aktów. I nie dziw, że galopowała, bo też myślałem o galopującym Mazepie. Jakoż we dni kilkanaście napisałem tragedję, na którejbyś płakała, mamó, jeżeli nie po Mazepie, to po Julku. Mazepa ten jednak nie wygalopuje na świat tego roku, bo handel przecięty i z książkami źle idzie. Więc będę cierpliwy, poczekam rok jeden, czy się spusty bibliotekarskie nie otworzą... Tymczasem niech M a z e p a leży w tece; a jeżeliby mię wicher jaki zmiotł z tego świata, nim go wydam, to proszę was i zaklinam, abyście się o ten płód u pani Pattey dopomnieli i wydali kiedyś na świat, nie zapomniście! Ale co ja bzdurzę o wichrach zmiatających ludzi ze świata, kiedym zdrób jak ryba, kiedy nawet krew, co mi nieco do głó-

wy biła po napisaniu gwałtowno-krwawej tragedyi, Bóg łaskawy nie pijawkami, ale po prostu krwiotokiem z nosa sprowadził na dół, i nawet od lekkiego zapalenia takim prostym sposobem mię uchronił.

Co się też dzieje Fortunatowi, że tak melancholiczne listy pisze? co się jemu dzieje? dlaczego żaluje szkła zielonego młodości, kiedy ma teraz zielone łąki i drzewa? Nie piszę tego mojem piórem, ale piórem świata, zwykłem gęsiowem piórem, które potępia wszystko, czego zrozumieć nie może; co do mnie, pojmuję Fortunata: gdybym sam osiadł na wsi, której tak pragnę, zrobiłbym się do niego podobnym słowem, kilka jego słów tak mi go dobrze odmalowały, że czułem to, co on czuje. Biada tym, którzy zasmakują w błędnem życiu na świecie i przywykną do nadziei znalezienia czegoś dobrego na końcu wędrówki; w oczekiwaniu takim wszystko teraźniejsze niesmaczne. Z tego względu już się bardzo poprawiłem: pan Dziś lepszy od hrabiego Jutro... Bieda wielka że mój ojciec, kiedy mi dał życie, zajęty był nadto swoją tragedją *Mindowe* i tobie, kochana mamó, musiał nią głowę nabić. Bez tego nieszczęśliwego wydarzenia byłbym wcale do rzeczy człowiekiem, nie lunatykiem, nie powietrzno-chodzącym; przebac mi, mamó, te (!) tworzenie wyrazów; są to drożdże, które po napisaniu tragedyi osiadły w mojej głowie. Czekaliśmy, aby wyfermentowały i napisałbym potem list rozsądny, ale ten list, czekając na rozsądek leniwo nadchodzący, spóźniłby się może tygodniem, a stąd niespokojność; wolę tak fatalaskami szastać po papierze, aż póki nie wpadnę w ton smutniejszy, czego nie daj Boże, bo zaraz zejść do nieszczęśliwych interesów naszych.

Niedawno uczyniłem filozoficzną uwagę, że Bóg, tworząc człowieka, jeden tylko błąd popełnił, to jest ten, że człowiek bez jedzenia żyć nie może; o, gdyby nie to, jacyby ludzie byli poczciwi, jak rzadko człowiek sprzedałby swoje sumienie, swoją godność za misę so-

czewicy! jedną by tylko miał wadę: lenistwo, ale ja lenistwa do grzechów śmiertelnych nie liczę. Najpiękniejszą religią na świecie byłaby sekta bezjedzących. Otóż z tych uwag filozoficznych przyjdziemy do tego, że gdyby można za cokolwiek sprzedać kawałek chatki i ćwierć karczmy, to byłaby rzecz święta. Bo muszę ci, mamó, uczynić wyznanie mojej kieszeni ustami: i tak, bardzo sobie wyrzucam podróż po górach, bardziej jeszcze mój pobyt w Genewie, bo prawdziwie, że tu dosyć nudno a niezmiernie drogo, prawie tak jak w Anglii. Teraz już wyjechać z Genewy nie mogę, bo jak mi nadleci 100 dukatów, będę musiał za przeszłość zapłacić około 80 i znów pozostawszy z 20 dukatami w kieszeni, nie można szukać na świecie nowego gniazda. W Genewie nie mogłem porzucić domu, w którym mię za syna uważają i dogadzają we wszystkim; uważaliby to za niewdzięczność, a ja i cienia jej nie mogę przyjąć na siebie; a więc jedyną moją ucieczką byłoby wyjechanie do południowej Francyi. Inne miasta tutejsze tak są pozbawione wszystkiego, takie mieściny nudne i bezksiążkowe, że mieszkać w nich niepodobna. Pozostawszy w Genewie, po zapłaceniu moim gospodyniom 900 fr. długu, znów mogę u nich mieszkać przez rok nawet! ale cóż z tego stanu nieszczęsnego, w którym będę miał zawsze coś do płacenia! Wypadnie jednak tak zrobić, jeśli Bóg jakim sposobem nie pożywi mię; wtenczas odjadę aż nad Pireneje, gdzie jest małe miasteczko Pau¹⁾, bardzo ładnie położone wśród łąk i gór; będę tanio i spokojnie mieszkał i będę pewniejszy na dłużej mojego losu. Nie myślę, żeby mi pozostanie w Genewie nie smakowało: nigdzie może tak mi dobrze nie będzie jak tutaj, mam wszystko, jestem spokojny, prawie szczęśliwy; ale cóż, gdy na takie życie potrzeba najmniej 2400 fr. na rok, a ja tego nawet wymagać nie mogę

¹⁾ Czyt. Po.

i czuję, że połową powinienem się obchodzić, zwłaszcza, gdy w innym kraju uczynić to bez wielkiego uszczerbku w przyjemnościach można. Otóż takie jest moje położenie: dopóki miałem nadzieję, że mi prędko z tej ziemi poetyczna konsumpcja albo langory zabiorą, to nie myślałem tak o przyszłości; ale teraz, kiedy widzę, że mi może długo na tej ziemi bazgrać wypadnie, to muszę szerszym cyklem rozmierzyć, aby kiedyś innej i nie piersiowej nie doznać konsumpcji. Bodajto umieć sobie poradzić! Oto Joaś, co chodził z kutasami u butów aż do roku 1827 Chr. P. został profesorem w Brukseli, profesorem historii, i spokojny sobie na przyszłość, znów będzie zbierał numizmaty i ususzy się jak kwiatek między książkami. Oto drugi z naszych, pan Adam, zamiast profesury, pojawił w małżeństwo córkę muzyczki Szymanowskiej. Widać, że to był dawny romans, jeszcze w stolicy waszej zaczęty; nie wiem, którą to Marysię capnął, czy piękną, czy dobrą. Prawdziwie, że nie mogłem wierzyć z razu, gdy mi o tem powiedziano, bo ten Adam, to czysty szczer suchy, ma minę lokaja najczęściej, czasem szalonego, od Bonifratorów, i nie lubi nosić guzików rządami usadzonych na sukni, ale je obrywa, gdy są do pary. Otóż to są najświeższe wypadki: małżeństwo poety i profesura profesora.

Przypomnijcie dawnemu memu guwernerowi, a teraz Achillesowi bitnemu, aby nie zapomniał obietnicy. Pan Józef obiecał mi dać swoje stare kroniki; nieoczekiwany byłby to dar dla mnie. Przesłanie bardzo mało kosztuje.

Zmiłuj się, mamó droga! dopomnij się o te kroniki. Czegobym także bardzo żądał, to dzieła Czackiego, ale te dzieła bardzo trudno u was dostać. Tytuł: O litewskich i polskich prawach. Droga mamó, czy ty przynajmniej masz jakiegokolwiek książki? Napisz mi, co czytasz, co ci się podoba, abym mógł to samo odczytać i przez kilka godzin przy-

najmniej mieć oczy zwrócone na takie same karty i myśli.

Zmiłuj się, mamó! staraj się czytać romans „Indiana” i drugi „Valentine”, a zobaczysz, co to za śliczne romanse. Zresztą mało tu nowego w literaturze tutejszej, prawie cała literatura krwawa i nie-naturalna.

Kochani Teofilowie! wy już pewnie będziecie czytać mój list, a w następnej odpowiedzi spodziewam się od was przypisku. Jakże wam nie zazdrościć, że już jedną nogą wchodzicie w wiejskie wrota, już wam widać gołębnik waszego domu, już słyszeć zapach lip waszej alei; niech wam sady obradzają, niech pszczoły miód dawają; jak mówi mój Kochanowski, skaczcicie, jak Faunowie leśni, a jeżeli potrzeba, to ja wam na fujarzy będę grał proste pieśni; widzicie, jakie to częstochowskie wiersze, jakimi niegdyś winszowałem wam Bożego Narodzenia. Dziś chciałbym znaleźć moją wękę, abym kochanej mamie rozweselającą na jej imieniny napisał kolendę, ale na próżno. Nie winszować z nas żadnemu, ale wszystkim nam trzeba wołać do głuchego nieba: „szczęścia! szczęścia, trochę szczęścia!” tak jak tu dzieci żebrzą po drogach i wołają za powozami: „litości! litości! trochę litości nad nami biednemi!”

Bądźcie zdrowi, najukochańsi, najlepsi, najmiłsi! Matko, mamó, mamuniu, wszystkiemi imionami, jakie ci dawałem w życiu, wołam ciebie i zaklinam, abys mi nie płakała, mamó moja, bo trzeba cierpieć, co się Bogu podoba i póki się mu podoba; kiedyś zlecimy się jak liście jesienne, które wiatr w jeden tuman zbija i pędzi nie wiem gdzie? Całuję oczki twoje, mamó, was całuję, Teofilowie drodzy. Dziaduniowi posyłam pełne uszanowaniem wnukowe pozdrowienie. Fortunata ściskam i całuję w żółte okulary, które włożył na nos,

kiedy mu jego szkło zielone Roussel¹⁾ rozłukł. Adieu, kochani, mili. Adieu, droga matko.

Twój *Juliusz*.

39.

Dnia 18 grudnia 1834.

Najukochańsza mamó moja! Jakże znów długie milczenie twoje, mamó droga, zwłaszcza, kiedy ja taki ciekawy jestem o wiadomość, czy jesteś mama już z Teofilostwem, czy dotąd sama przepędzasz długie zimowe wieczory? Co do mnie, nigdy jeszcze tak smutno nie przepędzałem zimy. Nie wiem dlaczego, ale głębsza niż kiedykolwiek melancholia i obojętność napadły na mnie. Całe dnie przepędzam w domu przy moim kominku, całe długie wieczory przez te dwa miesiące trawiłem na pisaniu, od kilka dni dopiero skończyłem moje prace i teraz czuję jakąś otrętwiałość; zdaje się, że przez ten czas natężone władze myślenia rozkręcają się teraz, jak struny jakiego instrumentu, i za kilka dni powrócą do zupełnej ciszy zwyczajnego życia; to smutno: już wieczorem żadne mary nie przyjdą mi nawiedzać, żadna idealna piękność nie uśmiechnie się do mnie, a tyle idealnych figur przeszło przez mój pokój w ciągu tych dwóch miesięcy. Niektóre wyszły przez okna, inne spaliły się w żarze kominka, inne nareszcie zostały zasuszone w papierze, jak bratki albo inne kwiatki niepełne. Panna Eglantyna wiedząc, że do mamy piszę, przerwała mi ciąg listu i myśląc, że się chwale mamie z mojej dobroci, napisała na boku zaprzeczenie, a to stąd pochodzi, że we mnie dotychczas jest wiele dzieciństw: często zamysłony wobec tych pań ubolewam nad sobą jak dziecko, mówiąc głośno: pauvre Lulli²⁾, często chwale sam siebie, mówiąc: bon Lulli³⁾. Sam so-

¹⁾ Czyt. Rusel.

²⁾ Czyt. powr' — biedny.

³⁾ Czyt. ba — dobry.

bie nadałem takie spieszczenie mojego imienia, i damy już przywykły i często mię Lulli nazywają, ale naprawdę nikt mniej do dziecka podobny niż ja, i dlatego sprzeczność nazwiska z moją zachmurzoną postacią przez zbytek przesady, jak powiada Kochanowski, uchodzi. Panna Eglantyna myślała, że mój cały list do mamy napełniony będzie wykrzyknikami: bon albo pauvre Lulli, i dlatego pierwszemu zaprzeczyła, drugiemu by zaprzeczyć nie mogła, bo też ja prawdziwie biedny jestem! ani teraźniejszości dobrej, ani złotej nadziei! Gdybym się nie lękał nadto romantycznego porównania, powiedziałbym, że z myślami moimi podobny jestem do psa, co się sam za ogon chce złapać i kręci się długo na jednym miejscu, nakonieć znużony wywraca się i usypia przed kominem.

Tego roku imieniny twoje, mamó, samotnie przepędziłem: złe dosyć nowiny wyczytałem z rana w piśmie, potem z różnych innych przyczyn tak mi smutno było, że natychmiast po obiedzie uciekłem do mego pokoiku, tak jak mama zwykłaś czynić. Zagasiłem świecę; mały ogień na kominku słabo mi przyświecał. Samotny, milczący, myślałem o różnych czasach, o różnych wieczorach, a kiedy na zegarze uderzyła głośno nad moją głowę siódma godzina, ogromna niegdyś godzina, łyż rzuciły mi się z oczu potokiem i chodziłem po pokoju, i modliłem się, i płakałem... Tego wieczora nie było we mnie ani iskry nadziei... Cóż tedy, kochana mamó, robiłaś o siódmej godzinie wieczór w dzień twoich imienin? Wieczór ten imienin twoich przerwał mi wątek myśli i uczulem, że już przyszedłem do tego wieku, w którym łyż szkodzą, bo naza-jutrz byłem bardziej jeszcze ponury... Towarzystwo moje domowe także ma różne smutki i procesa, słowem, że wszyscy w naszym domu mamy zachmurzone czoła; prawdziwie zdziwaczeć trzeba: gdzie stąpie, wszyscy martwią się i płaczą; bądź pewna, mamó droga, że pod żadnym niebem ludzie nie są szczę-

śliwsi, niż pod naszymi chmurami, ale czy to nas ma cieszyć? Trzeba koniecznie jakiegoś poetycznego świata, trzeba koniecznie włożyć na nas inne okulary, niż te nasze oczu soczewki.

Od ostatniego mego listu, w przeciągu miesiąca upłynionego, napisałem nową sztukę teatralną niby tragedję, pod tytułem: *Balladina*. Z wszystkich rzeczy, które dotychczas moja mózgowica urodziła, ta tragedia jest najlepszą, zwłaszcza, że otworzyła mi nową drogę, nowy kraj poetyczny, nietknięty ludzką stopą, kraj obszerniejszy, niż ta biedna ziemia, bo idealny. Zobaczysz kiedyś, mamó kochana, co to za dziwna kraina i czasy. Tragedya cała podobna do starej ballady, ułożona tak, jakby ją gmin układał, przeciwna zupełnie prawdzie historycznej, czasem przeciwna podobieństwu do prawdy; ludzie jednak, starałem się, aby byli prawdziwymi i aby w sercu mieli nasze serca... Nie mogę ci tu dać, kochana mamó, wyobrażenia dokładnego rodzaju dramatyczności w mojej tragedji. Jeżeli ma ona rodzinne podobieństwo z którąś znajomą sztuką, to chyba z królem *Learem*¹⁾ Szekspira. O, gdyby stała się kiedy przy królu *Learze*! Szekspir i Dant są teraz moimi kochankami i już tak jest od dwóch lat; im więcej się w obydwoh wczuuję, tem więcej widzę piękności, mamó moja! Jakże ja byłbym szczęśliwym, gdybym mógł z tymi dwoma umarłymi usiąść pod jaką lipą albo dębem, przed moją własną chatą, w mojej rodzinnej ziemi, i marzyć, i pisać marzenia, i gwarzyć z tobą, kochana mamó, i opowiadać ci z zapalem moje plany poetyczne, tak, jak niegdyś bywało. Tu jestem tak samotny, że nikt nie słucha moich marzeń. Jak dobrze Szekspir maluje ten stan w *Ryszardzie II*. Rycerz skazany na wygnanie ubolewa nad swoim losem i mówi: „Język mój teraz będzie mi odtąd niepotrzebnym, tak właśnie jak rozstro-

¹⁾ Czyt. *Lir*.

jona lira albo harfa, lub też jak sztuczny instrument, odemknęty i podany temu, co nie zna żadnych prawideł harmonii. Uwięziłeś język w ustach moich. Zanim to już jestem stary, abym jak dziecię wziął znowu mamkę; wyrokiem twoim skazałeś mię na bezmowną i niemą śmierć.“ Te słowa zawsze czytam z głębokim smutkiem, chociaż wyznaję, że szczęśliwszy jestem niż rycerz Szekspira, bo nie potrzebuję mamki dla nauczania się po francusku i mogę się rozmówić z ludźmi, ale to jednak zawsze smutno.

Miasteczko nasze tej zimy dosyć nudne dla tych, co się chcą bawić. Teatr taki zły, że raz będąc na nim, nasyciłem się zupełnie; mieszkając w miastem, nie chce mi się w chłodne i wietrzne wieczory wleźć tak daleko, szukając nudy. Przeszłoroczny teatr, trochę lepszy od dzisiejszego, zbankrutował, albowiem tu zaraza metodyzmu tak owładała najbogatsze familie, że uważając teatr za grzech i za dyabła pokusę, usiłują wszelkimi sposobami wygnać aktorów i nie bywają nigdy na teatrze, ujmując zysku; kilka famalii na tak małe miasteczko, to bardzo wiele znaczy. Co za dziwactwa na świecie; podług mnie, ludzie ci obrażają Boga, nie korzystając z niewinnych przyjemności życia, których on im żadnym nie zatrul piotunem, oprócz nieodstępnych od natury ludzkiej dolegliwości. Niech mię Bóg zrobi bogatym bankierem w naszej stolicy a obaczy, jak się ja będę bawił.

Zimę mamy tęą tego roku w porównaniu z innemi latami: przed trzema dniami upadł śnieg, cieszyłem się jak dziecko widokiem białej ziemi i oprószonych jodeł przed moimi oknami, i razem doznawałem jakiegoś smutnego uczucia. Różne wspomnienia cisnęły mi się do głowy a nadewszystko wspomnienie ostatnich świąt Bożego Narodzenia, kiedy byłem w uniwersytecie; patrząc na śnieg, zdawało mi się, że za jeżdżam z dzwonkiem przed ganek *Jaszuński*, potem wyszedłem do ogrodu i robiłem śnieżki i rzucałem je

na wiatr północny, jak na imaginacyjną osobę przeszłości, chciałem ją śnieżkami zasypać.

Co dnia prawie, patrząc na mój ogień na kominku, staje mi w oczach postać mamy, leżącej wieczorem na małej kanapie pod oknem w średnim pokoju, naprzeciw palącego się pieca. Teraz przy zbliżającym się nowemu Bożemu Narodzeniu, chciałbym, żeby mi kto mógł zaśpiewać kolendę taką, jaką słyszałem ostatniego roku, będąc w Krzemieńcu. Wszystko, co zniknęło w przeszłości, ma dla mnie teraz anielską twarz i anielski głos.

Adama nowy poemat obudził także we mnie wiele dźwięków przeszłości: bardzo piękny poemat, podobny do romansu Waltera Skota, wierszem napisanego. Dom szlachcica maluje się wybornie; heroina poematu, choć gęsi pasie, ma jakąś w sobie świeżość dawnych opisów, coś dziwnie zachwycającego prostotą. Wiele opisów miejsc nieba, stawów, lasów jest mistrzowską ręką skreślonych; natura cała żyje i czuje. Poemat raczej żartobliwy niż smutny a jednak często z najweselszych na pozór miejsc smutek ujmuje człowieka. Jest to poemat zupełnie innego rodzaju, niż wszystkie dotąd Adama utwory. Nadewszystko jest w tym poemacie opis łowca, dmącego w róg myśliwski: cudowny opis, trochę mi przypomniał pana Jakóba trąbiącego w lesie; i drugi opis żyda grającego na cymbałach także prześliczny; chciałbym, abyście ten poemat prędko czytać mogli. Co do samego autora, piszą mi z Paryża, że żyje dobrze z młodą żoną, a żonata ma być piękna i ładnie gra na fortepianie; nie dziw, bo córka Szymanowskiej. Co wieczora mnóstwo naszych ziomeków schodzi się do mieszkania poety i bawią go, a on, ciągnąc dymy z cybucha, słucha i uśmiecha się. Co za sprzeczność z moimi samotnymi wieczorami! Niech będzie ze mną jak Bóg chce w tej smutnej wędrówce życia.

Droga, kochana mamó! tylko ty nie opuszczaj mię myślą swoją, bo tak, to mniej jestem samotny niż

wielu ludzi, bo wiem, że posiadam coś, czego mi ludzie zazdrościć mogą: twoje przywiązanie; kiedy myślę przed zaśnięciem o mojem położeniu, to mi nieraz włosy na głowie wstają. Oprócz moich gospodyń, które mi sprzyjają bardzo, nie mam przyjaciela na tym szerokim świecie. Jakoś to będzie. Życzę ci, mamó droga, dobrego roku, a kto wie?... a może... Te (!) dziwne słowo „może“ ma czarujący dźwięk lutni Eola: każdy najmniejszy wietrzyk wygrywa na naszych myślach to słowo „może“ i zawsze tylko „może“; to słowo musiało istnieć przed stworzeniem świata. Ostrzeż mię, mamó, jeżeli już w mizantropię wpadam, ale zdaje mi się, że nie, bo smutek tylko właściwy mojemu usposobieniu i czasowi, w którym Bóg kazał myśleć mojej machinie. Droga mamó moja! co ty powiesz na tak pusty list, napełniony samą gawędą. Prawdziwie, że zbiwszy mię całego młotem w jeden list ten, list nie byłby ciekawszy niż ten kawał papieru. Myślę, marzę, a czasami czekam i mam nadzieję. Droga mamó, miej ty także nadzieję i proś Boga mocno, aby cię do brzegu ciego doprowadził. Twój przywiązany

Juliusz.

40.

Genewa, dnia 5 lutego 1835.

Najukochańsza matko moja! Po długiej niespokojności, po długiem oczekiwaniu, odebrałem nakoniec wiadomość o tobie. O, jaka ty matko jesteś łaskawa! co ja biedny zrobię na świecie, żebym ciebie, mamó, o mojej wdzięczności i o mojem przywiązaniu przekonał. Czasem mi się marzy, że do Indyi pojadę, zrobię ogromny majątek, wrócę jak Nabab milionowy, a to wszystko dlatego, abym kupił piękny pałac, ciebie w nim, mamó droga, posadził i służył tobie na kolacjach. Marząc o tobie, wracają mi czasem sny szalone

mojego dzieciństwa: ale ty, moja mamó, jesteś tych snów zakończeniem, w dzieciństwie zaś mojem nieraz inne mary mieszały w Nababę pałacach, dziś wszystko przeszło: muszę już być tem dziwnem stworzeniem, co się nazywa człowiekiem.

Miło mi bardzo było dowiedzieć się o waszych stonach; pamiętają o mnie; wizyta Zenona zabawiła mię, widzę go przed sobą z hajdukiem, słyszę turkot pańskiego powozu; kto wie, czy ja bym tak nie jeździł, gdybym mógł, ale nie jeździłbym, mając długi.

Mamó moja, ostrożnie obchódź się z mojem czwartym dziecięciem, choć to dziecię nie nosi mego imienia; ile razy nie mam od ciebie długo listu, to mi się zdaje, że to dziecko temu winne i stąd milczenie twoje jeszcze jest dla mnie okropniejsze. Zaufanym tylko doktorom powierzaj zdrowie jego. Co do mnie, zdrów jestem i uśmiecham się do wiosennego słońca, bo już u nas błyskają czasem dni piękne. Zima ta jednak była nadzwyczaj ostra w porównaniu z innemi zimami: mieliśmy kilka dni śnieżnych i niektóre kanały zamrzły; cała publiczność ślizgała się na łyżwach, ja zaś musiałem wyznać, że nadto jestem niezgrabny i że nigdy nauczyć się latać po lodzie nie mogłem. Dzisiaj pierwszy raz tegorocznego słyszałem skowronka, gdzieś daleko na niebie błękitnem śpiewał nade mną, a u was jeszcze wrony czarne muszą krakać po ulicach. Zakończyłem moje zimowe prace i z dwóch tragedji jedna mi tylko została, bo jedną spaliłem w moim kominku. Mazał taki smutny los spotkał: druga zaś pod tytułem *Balladina*, jest moją faworytką i będzie czekała, aż będę miał czem posmarować prasy drukarskie. Zdaje mi się, że mię moi księgarze haniebnie oszukują, bo mi przestali przysyłać rachunków i mileją jak krety w norze, czekając zapewne mojej osobistej wizyty; prawdziwie, że nikomu na świecie zaufać nie można, a mniej niż innym ufać trzeba ludziom, którzy nie mają pieniędzy. W tem położeniu

jest jegomość, który się trudni mojami książkami; cóż więc robić, trzeba się spuścić na jego grzeczność i sumienie.

Dziwię się, że o Henryku Chońskim nie macie wiadomości; jest on zawsze w stolicy i wiem, że niedawno drukiem sprzeczał się z jakimś ziomkiem o pieniądze zarzuty; nie wiem, jaki koniec tej kłótni.

Wyszedł w Paryżu „*Korsarz*“, tłómaczony przez Edwarda Antoniego i „*Giaur*“, przez Adama; jeszcze tych dwóch tłómaczeń nie czytałem; zresztą nie nowego. Czy też znasz, mamó, romanse przez G. Sand, o których ci pisałem? Jest to pod męskim nazwiskiem ukryta autorka, bardzo sławna i nowa, pani Stael.

Jak tam u was zakątnie i cicho; prawdziwie, że żyjecie, jak święci. Jakże to być może, aby kabała przeze mnie opisana nie udawała się, dwoma taliami kart ciagniona? Tego miesiąca byłem na dwóch wieczorach: na jednym u pani Wodzińskiej bardzo się dobrze bawiłem; graliśmy w szarady, i ciągle mi były przytomne w pamięci nasze wieczory wileńskie, kiedy układaliśmy żywe obrazy, kiedy Olesia była Judytą, a Masalski Holofernesem, kiedy Teofil na czterech nogach wchodził do salonu, wioząc na grzbiecie ciebie, mamó, i małego Ferdusia, udając niby ucieczkę do Egiptu. Szarady przypomniały mi to wszystko; ubieraliśmy się dziwnie w różne szale i kapelusze; w jednej wystawiałem czas, czyli Saturna; kij z kijem związany, jeżeli nie kosę, to cep przewybornie udawał, w zębach trzymałem ogromną lalkę i pożerałem jej głowę; jeżeli nie do Saturna, to do Ugolina byłem podobny, bo lalka była ogromna i straszliwa. Narzecze chciałem skosić razem stojących w kącie trzech głupców towarzystwa, mówiąc im bardzo grzecznie, że są nadzieją przyszłości, ale że czas na nie, nawet na rozum nie ma względu; przyjęli ten komplement z grzecznym uśmiechem. Jedną szarada bardzo pię-

kną była: Nonchalance.¹⁾ Non, rycerz zazdrośny, wyjeżdżający do Palestyny, żonie swojej rozkazał, aby nikomu zamku nie otwierała, aby na każdą prośbę rycerza odpowiadała non i zawsze non. Rycerz odjechał. Wielu rycerzy przyjeżdżało do zamku, prosząc, aby im wolno było wejść do bramy; żona wierna, na wszystko wszystkim odpowiadała: non. Nakoniec rycerz jeden, przewąchawszy rzecz, prosił pani, aby do zamku wejść zabroniła; żona swoim sposobem odpowiedziała non i rycerz zdobył fortecę a mąż zginął w Palestynie.

Druga sylaba cha.²⁾ Stare damy miały kochanego kota i kot zginął, więc damy opis jego dokładny umieszczają w pismach publicznych, i wnet tysiące różnych kotów znoszą do ich domu, a koty byli to kawalerowie naszego towarzystwa, a damy między nimi szukały swojej zguby; nie wiem, czy która znalazła. Lance, wystawiliśmy ogromne szranki i królowę, rozdającą wieńce, i dwóch rycerzy z poduszkami, zamiast tarcz, z papierowemi od głów cukru szyszakami na głowach, tłukli się o wieniec zielony z rąk piękności i kruszyli dla niej lance. Otóż tak bawiliśmy się na wieczorze naszym prawie familijnym. Sama pani Wodzińska bardzo dobra dama; córka jej nieładna, ale także ma wiele wdzięku i dobrego serca. Zajęty pisaniem, długo u nich nie byłem i wymawiali mi te (!) zaniedbanie, które jako w towarzystwie podróży po górach było dosyć niegrzeczne i dziwne. Lecz ja zawsze w takich rzeczach tłómaczę się chorobą splinu i wolę uchodzić za dziwaka mglistego, niż za niegrzeczного.

Na drugim wieczorze w domu jednego z panów włoskich tańcowałem; widziałem tam trzy ładne Angielki, które wszystkim prawie głowy zawróciły, na mnie tylko nie zrobiły żadnego wrażenia. Lękam się, czy już nie umarłem, bo mi się zdaje, że już się ni-

¹⁾ Czyt. Nąszalans.

²⁾ Czyt. Sza — kot.



Teofil Januszewski
wuj Juliusza.

gdy kochać nie będę. W mojej głowie utworzył się jakiś obraz, jakieś wyobrażenie ogromnej miłości, niepodobne do osiągnięcia. Moi znajomi wszyscy latają za temi Angielkami jak wróble i bawią się; czasem im zazdroszczę, czasem chodząc po alei ogrodu przy świetle księżycy, mam jakieś uczucie samotnej dumy, które mię pociesza. Ludzie, którzy mię teraz zapominają, może będą kiedyś pamiętać o mnie, a kiedy przysła tutaj wygrzebywać popioły, leżące po zielonych cmentarzach może także i mnie wezmą i zaniosą do mojej ziemi. O takim teraz marzę powrocie. Chateaubriand chce być pochowanym nad brzegiem morza, aby słyszał po śmierci szum bijącej fali. W zachceniu takim musi coś być prawdziwego. Podziękuj, mam, metrowi memu niegdys angielskiego języka za jego pamięć; gdybym się teraz z nim spotkał, moglibyśmy rozmawiać jego rodzinną mową, zawsze jednak znalazłby błędy do poprawienia. Angielski język jest tak trudny, że coraz więcej odkrywa się kruczków, im dalej człowiek w nauce postępuje. Jakbym ja chciał być o tej godzinie w małym pokoiku Teofilów, jak niegdys.

Na jednym z wieczorów spotkałem p. Sismondgo, autora wielu sławnych dzieł historycznych: na pierwsze wejrzenie dziwną i śmieszną dosyć wydaje się figurą, twarz ma zupełnie pospolitą, a zmarszczki na twarzy jakiś śmieszący nadają jej wyraz. Wielki ten historyk i ekonomista ma żonę Angielkę, która dzieła swego męża na angielski język tłómaczy i przyczynia się do upowszechnienia sławy; szczęśliwe małżeństwo, ocienione jedną laurową koroną. Mówiąc o sławnych ludziach, zapytam o jednego, który ma do sławy prawo. Co się dzieje z autorem *Prób dramatycznych*? Aniela jego często mi przychodzi na pamięć jak sen jakiś smutny i miły. Chciałbym bardzo wiedzieć, czy zawsze pracuje czy może pracować i nad czem pracuje. Jest to

jeden z tych ludzi, którym dotąd nie oddano słusznosci; potrzebaby mniej być w pochwałach oszczędnym.

Michał, o którym wiecie, wkrótce zapewne zakończy swoje 3 lata więzienia; nie chciałbym się z nim spotkać na ziemi, bo on wiele zaszkodził moim wylewającym się przyjaźni uczuciom. Lubiłem z nim rozmawiać i długo rozmawialiśmy do późna w nocy, nieraz ze łzami w oczach; raz tak zapomnieliśmy się, że portyer paryski spać się położył i zamknął był bramę, a portyerzy paryscy nie kładą się spać z kurami.

Prawdziwie, że jakiś zły duch musi czuwać nad każdym z nas z osobna i czeka na najmniejsze potknięcie się stopy, aby nas na zawsze zabił. Teraz nie mam nikogo, coby mi najmniejszą chwilę życia przyjaźną rozmową skrócił, nikogo, coby mi przyjaźnie w rękę ścisnął; winą to mego odludnego życia, winą miejsca, w którym żyję; nakoniec mam w sobie coś, co tak na ludzi działa, że nigdy ze mną spoufalić się nie mogą. Często szukam w głębi serca mego przyczyny tego i znaleźć nie mogę. Bóg mi przeznaczył miejsce w jakim cichym klasztorze; dlaczegoż nie dał mi tej mistycznej pochodni, z którą w klasztorze mógłbym się zamknąć i latać na skrzydłach wiary w jakąś błękitną krainę nieskończoności. O, gdybym raz jeszcze usłyszał dziadunia mego, śpiewającego prostą kolendę w dzień Bożego Narodzenia razem ze sługami domu; zdaje mi się, żebym do dziecinnej wiary przeszłości mojej powrócił, bo czuję koło siebie jakąś dziwną czczość i samotność.

Prawda, mamó moja, że to niepodobna, abyśmy się kiedyś nie zobaczyli. Familiami zapewne Bóg postawi dusze na Józefata dolinie, tak, aby rodzice mogli zobaczyć, co się stało z ich biednymi dziećmi. Mamó moja! tobie Bóg nagrodzi za miłość twoją dla syna jakimś dziwnym i niewymówionem szczęściem.

Musiałem uspokoić i zatrzymać pióro, bo zaczęło pisać łzami, a może tobie te słowa, zimno przeczytane,

wydadzą się jakąś nienaturalną egzaltacją. Bije dwunasta godzina w nocy, zawsze się lękam odczytywać rano nocą pisanego listu. W nocy nieraz zdolny byłbym zginać jak Agis król spartański; kilka godzin snu dziwnie zmieniają człowieka, ciało bierze przewagę nad duszą i myślą; rano nieraz przedałbym moje pierworodzeństwo za misę soczewicy. Mamó moja droga, pisz mi obszerniej niż dotąd o stanie twojego zdrowia: czy sypiasz dobrze nocami? możesz ty uprosić Boga, żeby snu twego cząstkę do mego przyłączył, bo ja sypiam jak zabity i długo; długo o 10-tej godzinie budzić mię muszą na śniadanie i zawsze mię ze snu głębokiego budzą. A co dziwniejsza, że im więcej pracuję umysłem, tem lepiej śpię. Imaginacya tak mię morzy i morduje jak całodniowe chodzenie po górach. Są jednak noce, w których zasnąć nie mogę, i tak było, kiedym przez miesiąc był niespokojny z powodu twego, mamó, milczenia. Moje dziecię lęka mię.

List ten zapewne Teofila zastanie, a może go powita; miło mi będzie odebrać od niego wiadomość, jak też on przeżył te lata pod złocistymi dachami kościołów, przy ciemnych pieczarach świętych.

Jak się ma mały Stasio? czy już szczebioce? chciałbym bardzo kiedyś zająć się jego wychowaniem, bo zdaje mi się, że to dziecko będzie kiedyś zaszczytem naszej rodziny; pamiętajcie, że od pierwszego wychowania wszystko zależy. Teofil zapewne przez Wierchówkę powracać będzie: jaki ten dom musi być teraz smutny, jak mury jego muszą mieć wiele wspomnień dla biednej pani Michalskiej. A kiedy wiosna przyjdzie, kiedy ogród zakwitnie, kiedy na drugiej stronie stawu Julinki ożyją, jaka boleść wtenczas, jakby się chciało cofnąć nazad przeszłość i wskrzesić umarłych; przynajmniej że mi otaczające góry nie nie przypominają, nie patrzyłem na nie nigdy weselszemi oczyma.

Bądźcie mi zdrowi, moi najmilsi! Kiedy Mni-

szeczka mię porzuciła, przypomnijcie mię mojej narzeczonej Julce w Jaszunach, niech się przynajmniej nie bardzo śpieszy z wyborem. Mamo droga, ty mię swataj i zalecaj, jak możesz, twój zły towar. Adieu, mamó. Całuję ciebie w oba oczka twoje, Hersylko, Teofilu, ściskam was, moi wujostwo; chciałyby, abyście wszyscy mogli żyć razem, w jednym gronie, pod jedną jaką wiejską lipą, nie w ruinie mądrego miasteczka. Dziadunia kochanego z uszanowaniem rączki całuję. Adieu, droga, do zobaczenia! Twój *Julek*.

41.

Genewa, dnia 7 marca 1835.

Najukochańsza mamó! Otóż znów mam za co nowe składać ci dzięki; doniesiono mi, abym się zgłosił po twój nowy upominek; nie wiem jeszcze, czy znajdę przy nim list, bo dziś niedziela i bióro zamknięte. Do wdzięczności jaką ci niosę mamó moja, łączy się zawsze okropna myśl, że ja jestem ciężarem dla ciebie i chciałyby się gdzie rzucić w jezioro. O, jak ja sobie inaczej wystawiałem przyszłość, ale zaradzić temu nie jest w mojej mocy. Trzeba cierpliwości i odwagi. Robię teraz różne projekta na wiosnę. Chciałyby bowiem nieco wyrwać się z tego nudnego miasteczka, gdzie pleśniej jak ostrzyga nad jeziorem: może więc schronię się na lato do jakiej pobliskiej wsi, może pojedę do Clarens, gdzie kiedyś była Heloiza: tam będą mi dosyłać książki, będę chodził po trawach, kąpał się i marzył. Muszę tylko czekać, aby się wiosna pokazała, bo tego roku nie słychane tu mamy zimna, dziś nawet śnieg pada. Nudzi mię ta białość, zimno, odwykłem już od naszego śniegu, i wyznaję, że wolę południowe zimy, ozłoczone pięknem słońcem a ciągle pachnące fiołkami; taką była przeszła zima. Mieliliśmy wielką uroczystość w naszym mieście: oto na pięknej wysepce, połączo-

nej małym mostkiem z wielkim mostem jeziora, zrobiono prześliczny ogródek, przechadzkę i postawiono statwę Russa. Odkrycie tej statuy było wielkim świętem, cała ludność wyszła na brzegi na wysepce znajdowali się tylko urzędnicy, komitet, wojskowi i armaty. Odkryto posąg, włożono mu na głowę złoty wieniec, armaty były na wszystkie strony jeziora, ktoś powiedział krótką mowę, potem wszyscy ludzie w mundurach wojskowych wzięli się za ręce i zaczęli koło posągu tańczyć. Muzyka grała taniec, wyjęty z opery przez Russa napisanej. Patrzyłem na to z okna domu, gdzie mię zaproszono, i ten taniec, ta wesołość, widok tego posągu, który nieruchomy siedział nad trzecią generacją ludzi, wszystko to razem wzruszyło mię nadzwyczajnie. Ferney samo milczało, kiedy Genewa się cieszyła, ale słyhać aż tam było huk całodzienny dział, słyhać było w Coppet. Arystokracja genewska dotychczas Russa za wielkiego człowieka nie uznaje i nie cierpi go! lud wymógł statwę, komitet ją kazał odlać, zrobił ją zaś Genewczyk Pradier¹⁾, jeden z pierwszych snycerzy tegoczesnych. Widzicie stąd, co to sława; ludzie starzy tańczą jak dzieci koło posągu człowieka umarłego dawno. Gdyby to można wiedzieć, czy ten człowiek wie o tem po śmierci? Wszyscy przytomni robili sobie to zapytanie a nie pomyśleli, że ten człowiek wiedział przed śmiercią o tem, iż mu kiedyś posąg wystawionym będzie. Wieczorem na teatrze grano operę *Wieszczyk wiejski*, — i małą komedyjkę z życia Russa napisaną, i znów na teatrze biust autora uwieczniono laurem; wieczorem na wysepce pomimo deszczu były fajerwerki i cała ulica, nosząca imię Russa, rzęsiście oświecona! „rzęsiście oświecone“, są to wyrazy ulubionego jednookiego gazeciarza w grobie Gedymina; jak on często musi ich teraz używać.

¹⁾ Czyt. Pradje.

Głównem zatrudnieniem mojem teraz są marzenia, ale marzenia te ograniczają się do bardzo małej rzeczy: oto do własnego byle gdzie domku: chciałbym mieć coś swojego na tej ziemi, coś bardzo maleńkiego, coś bardzo pełnego kwiatów, drzew, zieloności. Mówiono mi o jednym domku w Dauphiné¹⁾ we Francyi, o kilka mil od Genewy. Domek ładnie umeblowany, maleńki, wśród łąk, otoczony małą błękitną rzeczką, z ogrodem, słowem, ładna mała pustelnia na pustyni; o 3 i pół mil od niej Lyon, miasto wielkie i największe po Paryżu we Francyi; domek ten możnaby, jak powiadają, mieć za 20,000 fr., tj. za 18,000 złotych polskich. Prawda, że ziemia przyłączona do niego nie prawie nie przynosi, bo mały kawał tej ziemi, ale życie w tym domku byłoby wcale nie drogie; jakby mi tam dobrze było z mamą! Na zimę moglibyśmy jechać do Lyonu albo do Genewy, a skoro tylko słoneczko dogrzeje, uciekalibyśmy do naszej chaty. W około najpiękniejsze okolice, śliczne góry, po górach zamki dawne i odnowione, w tych zamkach na lato często przyjeżdżają i mieszkają panowie. Powiedz mi, mamó, czy ci się nie podoba ten projekt? czy może myślisz, że ja tak jak Fortunat zniechęciłbym się prędko cichem i samotnem życiem? Tobie się może, mamó, wszystkie takie projekta wydają romansowe i niepodobne do skutecznienia; ale prawdziwie, że w tym wieku, gdzie tyle jest oschłości i rzeczywistości zimnej w wypadkach, ludzie szukają cichych schronień, jak dawniej ludzie szli do klasztorów. Gdybym wiedział, że jest jaki sposób zgromadzenia i zebrania naszych funduszów, to mówiłbym ci, mamó, o tym domku z jak najusilniejszym naleganiem; kiedyś możebym pomyślał o ożenieniu się; jeżelibym miał syna, byłby obywatelem szczęśliwego kraju. Widzisz, mamó, że ja aż do dalszych pokoleń sięgam oczyma marzeń. Jeżeli

¹⁾ Czyt. Dofine — prowincya francuska.

się te marzenia nigdy nie zamienią w rzeczywistość, to przynajmniej służą do zapelnienia pustych godzin mojego życia. Wieczory moje często teraz przepędzam w gronie moich kolegów i ziomków; gawędzimy, gramy na fortepianie i czasem tańczymy mazurka. Wszyscy moi koledzy chorzy na epidemiczną chorobę: wszyscy się kochają w jednej Angielce, a miłość różnie ubarwia ich charaktery: jedni ciągle śpią, drudzy ciągle piją, inni ciągle wdychają, słowem że to dla mnie prawdziwa komedya. Chcą koniecznie zaprowadzić mnie do domu tej Armidy, ale ja się wzbraniam, jak mogę, lękając się, abym także w jakie nie wpadł szaleństwo; jestem wszakże i bez tego dosyć sentymentalną figurą, mam czasem dziwne przeczucia. I tak: panna Wodzińska zaatakowała mię niedawno, abym jej w sztabuchu kartkę białą zabazgrał; zaraz przy stole usiadłem, umoczyłem pióro i te płaczliwe wiersze napisałem mojej towarzysze podróży po alpejskich górach:

Muszę ci tu, mamó te wiersze napisać, abyś miała wyobrażenie, jak ja dziwnie czasem marzę¹⁾

Miałem także dziwną komedję z powodu tej panny, której napisałem owe wiersze: oto dwie baby z naszej krainy przypomniały sobie jak to jest miłem zatrudnieniem swatać i żenić a zwłaszcza pannę dobrą, niewinną i posaźną z głupcem i hołyszem. Otóż użyły tu owe dwie baby wszystkich sposobów, aby tę pannenkę wydać za mąż i kuzyna swego podsunęły jej. Zdaje się, że rzecz przyjdzie do skutku. Nie śmieszniejszego jak te manewry. Zdaje się, że jestem w jednym z naszych miasteczek.

Z różnych stron dochodzą mię wieści, że moje czwarte dziecię z wielkim zapalem przyjęte zostało w Krakowie: jedna z tych wieści i pierwsza doszła mię właśnie w dzień, kiedy ze łzami patrzyłem na sta-

¹⁾ Wiersz ten znajduje się w Dzieł pośmiertnych tomle II czyli VI Poezyi Słowackiego na str. 103.

wienie posągu Russa; okoliczność ta miłe mi sprawiła wrażenie.

Nie odpisałem na zapytanie: zegarek za 15 dukatów można mieć ładny i dobry w naszych stronach, ale przesłać do Hausnera niepodobna, chyba by kto jadący w wasze strony mógł go zabrać; ale któż jedzie w wasze strony?

Czekam wizyty wiosną zapowiedzianej, czekam owej poduszeczki haftowanej na kanwie; chciałbym spać kiedyś na niej we własnej chacie mojej, a choćby ta chata była jak w piosence o Hryciu złożona z czterech dębowych desek, to każę sobie tę poduszkę pod głowę włożyć... Wystawiam sobie, nie wiem dlaczego, że dno musi być błękitne; szkoda, że nie umiem nut pisać; skomponowałem wcale niezłego walca do tańca, który możebyś ty, mamó, grała na fortepianie; dosyć jednak trudny.

Nie teraz nie maluję, trzeba bowiem wiele do tego przyborów i przestałem na wymalowaniu widoku Krzemieńca. Patrząc na ten rysunek, nieraz głęboko dumam. Przybyła mi także jedna ozdoba do mego pokoiku: oto wygrzebałem w domu cztery wielkie sztychy z Heloizy Russa, w starych złożonych ramach, i tego dnia, kiedy statwę odkryto, w moim pokoju powiesiłem te obrazy; w jednym z nich Klara, przyjaciółka Julii, zupełnie podobna do panienki, u której mieszkałem w Dreźnie, więc ten obraz miłem jest dla mnie wspomnieniem.

Mało teraz czytam, ale często wieczorem przed zaśnięciem czytam głośno rozdział z biblij; mam ją po polsku; przedwczoraj tak mocno wraziła mi się w imaginację męka Chrystusa, że we śnie umęczenie całe widziałem; obudziłem się okropnie przerażony. Czy ty, mamó, widzisz mię kiedy przez sen?

Pani Pattey i córka jej przypominają mi po raz dziesiąty, abym nie zapomniiał kłaniać się od nich; nie uwierzysz, mamó, jak się te damy interesują two-

jem zdrowiem i powodzeniem. Z listu tego przekonasz się, mamó, jak moje życie niezamienne w wypadki, co dnia to samo, jak w zegarku: wstaję o 10-tej, czytuję w mieście gazety, jem obiad, wieczorem w domu albo u kolegów bawię się rozmową, nudną rozmową głów pustych, o godzinie 12-tej kładę się spać i tak zawsze i tak co dnia. Jeżeli na lato pojedę do Clarens albo do Bec, to będę jeszcze samotniejszy.

Z niecierpliwością czekam listu od ciebie, mamó, i od Teofila; chciałbym ich widzieć szczęśliwie osiadłych na wsi, bo przekonywam się, że w wiejskim pozyciu tylko prawdziwie dobrze być może. Nieraz myślę sobie: co by to było dziś ze mną, gdybyśmy byli kupili ową wioszczynę blisko nieboszczki cici Franusi; mógłbym teraz siać hreczkę i patrzył, jak jaskółki lepią nowe gniazdeczka pod belkami mojego ganku. Adieu, droga, kochana mamó moja! moja opatrności, kochana mamó moja! Co się dzieje z Grocholskim? czy osiadł gdzie, czy się ożenił? Jak się ma maleńki Stasio? czy rośnie? czy już mówi? czy dowcipny? Adieu! Dziadunia mego z uszanowaniem pozdrawiam, Teofilów ściskam serdecznie, wszystkim znajomym kłaniam. Adieu, droga mamó moja! Twój *Julek*.

42.

Moja najukochańsza mamó! List twój zadziwił uszczęśliwił i zostawił po sobie takie uczucie smutku, jakie zwykle zostaje po zapowiedzeniu nazbyt wielkiego szczęścia. Jakże ja mogę ci radzić, mamó moja, kiedy serce moje mówi jedno tylko słowo: przyjeżdż — przyjeżdż. Niech się wam wójaż nie wydaje tak trudną i zatrważającą rzeczą — obaczycie sami, że mała różnica tłuc się po pińskich groblach czy po makademizowanych jeździć gościńcach — w kaszie pożyczki także nie wielka różnica — będziecie tylko frank jako wasz złoty uważać. Oto jest najpewniejsza miara

kosztów. Wreszcie we Włoszech życie tańsze niż w moich stronach ale trzeba się o wszystko targować. W Rzymie mieszkania drogie nadzwyczaj. Teraz pozwólcie mi wam radzić... Oto naprzód wyjechawszy z kraju, jeżeli jedziecie do Pizy, to nie tłuczcie się po niemieckich miasteczkach. Jest to główna przyczyna wielkich kosztów owo zygzakowate jeżdżenie po krajach; w każdym bowiem mieście osiadłszy na długo można miesiąc opędzić pieniędzmi, które przez tydzień dorywczego (!) mieszkania w hotelach wydają się... Doświadczyłem ja tego, więc jeżeli we troje wyjedziecie, droga do Pizy będzie 1600 fr. kosztowała — mieszkanie i życie w Pizie 500 fr. na miesiąc od trzech osób — na rok więc trzeba 6000 fr. to jest, około 11,000 zł. pol. Gdybym ja z wami mieszkał, mało co drożej wypadnie, ale to wszystko tak zależy od targowania się i od sposobu życia, że nigdy zupełnie wyrachować nie można. Jeżeli Teofil z Włochami będzie się umiał rozmówić, to za 400 fr. na miesiąc żyć będziecie mogli, Piza bowiem jest miasteczko bezładne i pieniądź w nim rzadki. Spodziewam się więc, że słuchając rady mojej zamiast włóczenia się do Baden i do innych wód, pojedziecie prosto do Wiednia, z Wiednia do Tryestu, z Tryestu do Wenecyi, z Wenecyi do Pizy. W Pizie osiadłszy spokojnie i czekając na przybycie cudzoziemca — waszego niegdyś gubernera to jest gubernera dzieci waszych. Nie gadajcie nikomu o jego przybyciu, zwłaszcza ani słowa przed najlepszym waszym przyjacielem — a nadewszystko strzeżcie się sług — bo to wszystko nie dobrze... Inaczej cudzoziemiec nie będzie mógł ani was widzieć ani mieszkać z wami... Pisałem do Marsylii do tego gubernera, aby się w Marsylii na okręt parowy embarkował i płynął do Liwurny — a z Liwurny do Pizy bardzo blisko. Zapewne miło wam będzie go zobaczyć... Skoro będziecie we Włoszech piszcie do niego pod adresem siostry jego Eglantyny — a listy go dojdą...

Co zaś się tyczy miejsca, w którym macie przepędzić zimę to jest Nicei nie podobna mu będzie tam pojechać z wami, ale dlaczegoż wy zimę w Nicei przepędzić macie? Daleko lepiej jechać do Hyères¹⁾ miasta w południowej Francyi, które zupełnie taki sam ma klimat jak Nicea a mniej smutne, mniej nudne i dogodniejsze dla nas wszystkich. O co za szczęście byłoby pod pięknem błękitnem niebem przechadzać się, oddychać świeżem powietrzem, mówić o przeszłości i na przyszłość zabezpieczać się. Gdybyście się na miasto owe (!) zgodzili, pośpieszyłbym przed wami w miesiącu sierpniu, najalbym małe pokoiki i czekałbym was mili moi. Zaręczam was (!), że nie smutniejszego jak Nicea. Od wielu podróży wiem o tem. Jacy my biedni, że nigdzie zupełnie spokojni w kraju Włoch, nigdzie razem i długo być nie możemy. Do Genewy was ani myślę sprowadzać: ciemno, nudno, drogo, dosyć zimno — słowem zupełnie nie miejsce dla jaskółek przelotnych. Proszę was także, niech was towarzystwo Balińskiej nie ciągnie. Skoro raz z zamożnymi i hulającymi rodakami spotkacie się, będą was wszyscy niemiłosiernie obdzierać. Żeby żyć za granicą, trzeba się zupełnie otrząsnąć z naszych przywyknień, trzeba nadewszystko wielkiego porządku w wydatkach. O gdybym ja mógł być waszym sługą, ręczę wam, nie poczulibyście wielkiej zmiany w ciężarze waszej kieski — i wszystkoby szło jak należy... Nie potrzeba być na to skąpym ale porządnym...

Więc, mamó moja, ty co jesteś na miejscu, dobrze tylko rozważ, czy przerwa w zwyczajnych naszych interesach nie zabije nas zupełnie. Jeżeli wszyscy nasi debitorowie są honorowymi ludźmi, jeżeli w kiesce z Teofilem będziesz mogła złożyć 4000 fr. to jest (trzęcią) część wydatków, jeżeli na rok drugi popłacać ci procenta, jeżeli pewna jesteś że powróciwszy, znaj-

¹⁾ Czyt. Ier.

dziesz wszystko nieodmienne — jedź, przyjeżdżaj. Nadewszystko chciałbym, abyście się zdecydowali na przepędzenie zimy w Hyères. Przyjechawszy latem do Pizy, starajcie się wziąć mieszkanie nad brzegiem Arno — inaczej pomrzecie z gorąca. Letni pobyt w Pizie będzie za bezcen, albowiem miasto puste — a ci co w nim żyją, potnieją. Zdaje mi się, że takie poty będą dla was najlepszą kuracją — przez poty trzeba wyprowadzić z ciała wszystkie złe pryncypia, a potem może człowiek żyły czystsza i lepszą krwią napełnić. Nie lękajcie się jednak nazbyt wielkich skwarów. Ja przebywszy kilka lat w dosyć ciepłych klimatach nigdy nie poznałem takiego gorąca jak u nas. We Włoszech musi być goręcej niż we Francyi, nie tak jednak, abym o tem sądzić nie mógł...

Najbardziej jednak zalecam wam i proszę was: obierzcie sobie pewny cel podróży i drogą jak najprostszą zmierzajcie do niego, inaczej podróż zje wasze fundusze i będziecie zadziwieni, że wam tak kieszka schudła. Jeżeli będziecie na moją przestrogę pamiętać, podróż wasza bynajmniej mnie nie zatrzyma pieniężnymi skutkami. Za powrotem będziecie mogli mniej o różnych i rozlicznych miastach rozprawiać, ale cel waszej podróży — zdrowie — zyska na tem i pieniądze oszczędzą się i nawet przyjemniej czas upłynie, niżby upłynął w ciągłych targach, przemianach miejsca, nieprzyjemnościach i nudach.

Ostatecznie taki skutek mego listu: jeżeli pojedziecie do Pizy, guwerner niegdyś dzieci waszych przyjedzie do was i zabawi z wami dłużej lub krócej jak będzie można. Jeżeli stamtąd pojedziecie do Nicei na zimę, guwerner wróci do Francyi. Jeżeli ty, mammo kochana, nie przyjedziesz, będę się starał również z Teofilami spotkać się. Może się zgodzą zimę w Hyères przepędzić.

Wszystko co mię spotyka, zdaje mi się podobne do jakiegoś czarodziejskiego wrażenia. Nie śmiem wie-

rzyć jeszcze w rzeczywistość waszego wojażu. Teofilu kochany, ciebie nadewszystko proszę, abyś dobrze miał wzgląd na to, czy zdrowie mamy, której doktorowie niegdyś zabraniali małego nawet ruchu, nie pogorszy się teraz wojażem dalekim. Radź o tem razem z doktorami, a jeżeliby było jakie niebezpieczeństwo, opieraj się jej podróży. Wzgląd na zdrowie mamy sprawia to, że nie nalegam na nią tak usilnie i tak gorąco, jak serce moje dyktuje. Dziwną tak mam naturę, że zawsze ogląda się na przeszłość i przyszłość a terazniejszość lekko waży. Skoro tylko ostateczna decyzja zapadnie, napiszcie mi obszernie o wszystkim: dzień, w którym wyjedziecie, miejsca, przez które wędrować macie i cel podróży. W oczekiwaniu tego listu będę niespokojnie zasypiał i budził się. Kto wie, jak się zjedziemy razem, jak się rozmówimy obszernie, może gdzie osiądziemy razem i będziemy spokojni.

Już u nas prawdziwa wiosna. Wczoraj cały dzień kopałem i sadiłem kwiaty. Przypomniało mi to twoje ulubione zatrudnienie niegdyś. Robimy z panną Eglantyną w ogrodzie małą altankę i ubieramy ją w piękne kwiaty. Podczas upałów tam będę czytał i myślał o was. Będę was widział, jak maleńkie biedne mrówki wędrujące po tej obszernej ziemi pomiędzy aktorami grającymi smutną i głupią komedję życia. W domu gdzie mieszkam, będzie teraz mieszkała cała rodzina Wodzińskich, będę więc miał nieco roztargnienia i huku nad głową. Wszystko mi teraz miłsze oświecone tą myślą, że was zobaczę, że pożyję trochę z wami. Jeżeli będziecie mogli, przywieźcie mi dzieła mego ojca, bo nie mam ich, ale to, jeżeli miejsce wam w pakach zostanie. Bierzcie mało pakunków, a broń Boże kołder, poduszek i prześcieradeł. To wszystko — niepotrzebne zagranicą; ale wy zapewne musicie od wojażerów wiedzieć o wszystkim co się do podróży ściąga, pakować się zaś trzeba nie w polskich tłumokach, ale w walizach skórzanych.

Ufam w Boga, że szczęśliwie wszystko pójdzie. Mammo moja, rób wszystko z rozwagą, ale staraj się przyjechać. Do widzenia, moi najmilsi. Kończę ten list, aby go dziś jeszcze wyprawić, aby was dniem przedziej doszedł. Zdaje mi się, że znajdziecie w nim odpowiedzi na wszystkie wasze zapytania. O kuzynie Idalki będę się starał dowiedzieć i posłać mu list. Dotąd nie wiem, gdzie się on obraca. Adieu. Całuję was wszystkich serdecznie i z wielkim szczęściem piszę słowo: do widzenia.

Wasz Juliusz.

Genewa, dnia 1 kwietnia 1835.

43.

Genewa, dnia 24 maja 1835.

Najukochańsza mammo moja! Nie będę ci pisał tutaj, ile zasmucony jestem twojem postanowieniem niewyjechania z Teofilami; stało się, niech więc Opatrzność obróci to na dobre, niech ręka Boga złączy nas kiedyś później. Krótki twój list pokazał mi, jak musiałaś cierpieć, mammo, widząc odjeżdżających Teofilów; wszak ja cierpię nieraz, widząc jaskółki lecące na północ.

Teofilowie dziwnie mi donieśli o swoim wojażu: na przód napisali mi te kilka słów tak bladym atramentem, że śladów ledwo dojrzeć można było wyrazów, a potem, te ślady z wielką trudnością odkryte, o zadanych szczegółach nie doniosły. Chcą, żeby guwerner ich dzieci przyjechał do Pizy, lecz nie piszą, kiedy? Adres ich ma być guwernerowi dany we Florencyi przez jakiegoś Zeidlera¹⁾; nie piszą, kto jest ten Zeidler? Donoszą o jakimś zasiłku, nie wymieniając ilości, słowem, że biedny ten jegomość otrzymawszy taki list i nie mając obietnicy listu drugiego, nie wie co począć i ruszać się z miejsca nie może. Chcą także,

¹⁾ Czyt. Caidler.

aby im kupił zegarek i przywiózł, nie myśląc o tem, że to może wyczerpie ostatnie fundusze jego, i że bez grosza nie będzie mógł z zegarkiem, ani na zegarku jak na koniu wędrować.

Otrzymałem list Odyńca, pełny ognia i mizantropii; zasmucił mię i odpiszę znów niezwłocznie, skoro uzbieram wiadomości o nowych osadach. Chciej go, mammo droga, upewnić, że zajmę się tem pilnie. Brata Idalki pobyt odkryłem z wielką trudnością i posłałem list. Odpowiedzi jeszcze nie mam.

Ja teraz w licznej towarzystwie domowem wesoło dosyć czas przepędzam, przynajmniej mam z kim pogadać a czasem potańcować.

Miałem bardzo przyjemną scenę: oto damy miały tu u siebie dzieła mego ojca i raz położyły je na stoliku otwarte na portret mego ojca. Nie mogę ci opisać, mammo, jakiego doznałem wrażenia, spostrzegłszy nagle jego wesołą, pogodną i uśmiechającą się twarz. Zdawało mi się, że przyszedł do mnie pytać o moje życie i zostawić mi naukę spokojności, jeżeli nie szczęścia. Mammo droga, moja mammo, on cię z taką przyjmie twarzą w drugiej krainie duszy, bo ty byłaś dobrą dla jego syna i nie opuściłaś go, i nie zapomniałaś o nim, i jeszcze raz poświęciłaś się dla niego, skazując siebie dobrowolnie na samotne życie, na kłopoty interesowe. O, jak ja się zawiodłem, myśląc, że pisząc, wyrobię sobie kiedyś pewny dochód niezależny od okoliczności, że kiedyś będę w stanie ofiarować ci, mammo, przynajmniej na rok gościnny pokój za granicą, że kiedyś będę ci służył do stołu i całował ręce twoje i klękał przed tobą i dziękował za wszystko, coś uczyniła dla mnie; nie, Bóg mię zapisał w księdze przeznaczenia w wielkiej rodzinie tych ludzi, o których po śmierci powiadają księgi, że... Nie chcę dokończyć, bo już cię raz, droga mammo, nieuważne słowo w liście mym przeraziło. Ale nie jeden ja nie mogę wyłamać z głowy chleba; oto Adam ożenił się,

co rok dwa wydał dzieła, i teraz musiał odprawić służę a żona jego sama trudni się kuchnią. Czy tam u was kalendarze zajmują miejsca na policach bibliotek? Trzeba jednak nie upadać; walka z obojętnością ludzi podobną jest do walki tytanów, rzuca mi na czoło wielkie światło piorunu; będę pięknym kiedyś...

Pisałem ci, mamó, że tej wiosny sadziłem kwiaty: otóż napiszę, że mój ogródek coś nie rośnie, choć na słońcu, choć często polewany. Widać, że jak mówią perukarze, ciężką mam rękę; posiałem rezedę i nie zeszła a już to przecie więcej jak sześć tygodni upłynęło, więc nie zejdzie. Dlaczego? Człowiek rozsądny odpowie, że złe były nasiona. W altance mojej nieociekanej piekę się na słońcu.

Kilka dni temu odbyła się w naszym domu loterya dla naszych ziomeków: z 500 biletów 100 było wygrywających; miałem biletów 5 i żaden nie wygrał; z powodu tej loteryi był świetny wieczór, dany przez panią Wodzińską. Chcieliśmy tańcować aż do wschodu słońca, ale się nie udało: o godzinie 2-giej wszystkie damy rozjechały się i zostało tylko kilku chłopców, którzy dla zamkniętych bram miasta do domu odejść nie mogli, z tymi doczekałem poranku. Wieczór był dosyć wesoły: trzy salony nasze, ubrane kwiatami, dosyć ładnie wyglądały; było kilka ładnych Angielek, a ja, przypomniawszy sobie zwyczaj Teofila, tańcowałem tylko z temi prawie pannami, których nikt nie chciał wziąć do tańca. O, młodości moja! Jakby to miło między swoimi bawić się i tańcować.

Dlatego żaden wieczór teraz nie przypomni mi tego zachwycającego uczucia rozwijającej się nadziei i słodkiej melancholii, z jakimi niegdyś suwałem się po wileńskich posadzkach. Teraz wszystko mi obojętne. Znużony tym wieczorem, zaduchem salonów, blaskami lamp, wyszedłem przed wschodem słońca na brzeg jeziora: ciche były wody jak błękitne zwierciadło, rybki wyskakiwały na wierzch; tak mi się zdawały wesołe



Hersylia Januszewska
z domu Bécu.

te rybki, które noc całą przepędziły w cichej wodzie i nad rankiem pluszczą się i szukają świeżego powiewu. Coś w tem życiu rybek było bardzo sprzecznego z humaną nocą człowieka. Marzyłem, patrząc na czerwieniejące się niebo; jakieś biedne kobiety przyszły prać bieliznę nad jezioro, grablami naprzód odgarnęły muł brzegowy i kamyki, a potem rozrzuciły kosz cały prostej, czarnej bielizny. Nie wiem dlaczego, ale to prozaiczne zatrudnienie ludzi dziwnie mię wzruszyło, mię, ubranego w balowym stroju. Zmysły moje rozigrane, zdolne były do przyjmowania najmniejszych wrażeń: spostrzegałem okiem prawie łzawem sprzeczności między celami życia różnych ludzi: prać bieliznę albo patrzeć na wschód słońca i topić się w marzeniach... po jakiej ogromnej drabinie te zatrudnienia musiałyby wchodzić i schodzić, aby się spotkać na środkowym szczeblu. Prawda, mamó, że najszczęśliwsze rybki, które połyskały srebrną skrzela w chłodnej wodzie?

Widziałem wschodzące słońce, stanęły mi w oczach te poranki, które przepędziłem na szczycie gór alpejskich, patrząc na te (!) samo słońce wschodzące niżej ode mnie. Ty sobie, mamó, wystawić nie możesz, co to jest patrzeć ze szczytu Righi albo Faulhornu na wschód słońca: świat zdaje się być pod nogami; ten sam chłód, który przenika na szczycie gór, rodzi w umysłach jakąś drażliwość. Płakałem na Righi, rozczulała mnie cichość i małość chat rozsianych po górach, dolinach, między zwierciadełkami kilkunastu jezior! widziałem rzutem oka cały kawał ziemi, który się nazywa krajem i jest ojczyzną innych. Gdyby nie było na świecie poezyi, to ta sama myśl, że człowiek, który chodząc po ziemi, zebrał tyle jasnych i nadzwyczajnych obrazów i z niemi do grobu pójść musi, urodziłaby ją... Znów mię napada moja domownica, zwyczajna melancholia. Nie lękaj się, mamó, tej mgły przelotnej, która się znów rozprysnie jak zazwyczaj.

Piszę teraz więcej niż kiedykolwiek, a co dziwniej-

sza, że piszę prozą; abym ci dowiódł, mamó, jak ty jesteś zawsze przytomna moim myślom, jak chciałbym wspomnienie twoje ze wszystkimi marzeniami nawet poetycznemi połączyć, jedna z heroin mojej nowej tragedyi nazywa się Salomeą. Zobacysz kiedyś, że piękna jak lilia i nieszczęśliwa prawie jak ty, tylko z innych przyczyn... Bóg wie dla kogo piszę i kiedy wydrukuję. Zdaje mi się, że piszę zupełnie dla siebie i stąd więcej może będzie naturalności i bardziej rozwiane zarysy; kiedyś to wszystko ktoś wyda na świat, może mały Stasio, jak dorośnie.

Teofilowie powieźli ze sobą kronikę Kromera i dzieła mego ojca; nie wiedząc prawdziwie, czy się z niemi zobaczą, nie wiem, kiedy i jak dojdą mię te książki.

Nim napiszę do Odyńca z podziękowaniem i z żądanymi szczegółami, podziękuj mu, mamó droga, bardzo pięknie. Chciałbym czasem bardzo pojechać znów do Paryża i nawet mam potrzebę tego dla sprawdzenia trochę zawiłych rachunków z księgarzami: oszukują mnie i mam prawie oczywiste dowody, że mię zbywają niczem, ale muszę ich zostawić wyrzutom sumienia, jeżeli jeszcze cokolwiek mają pocziwości. Prawdziwie, że klasa ta ludzi jest jedną z najgorszych: drą najbardziej ludzi na świecie i mają do czynienia z ludźmi najgłupszymi do interesów, z pisarzami.

Poznałem się z panem Sobańskim, który mówił, że mnie znał dzieckiem. Jest to człowiek dosyć bogaty, kupił sobie obywatelstwo w Szwajcaryi i żyje spokojnie z ładną i przyjemną żoną (w Vevey¹⁾), nad brzegiem jeziora. Poznałem także kilka dam polskich, między innymi panią Potocką, właścicielkę Starego Konstancy-nowa, która wraca niedługo do siebie. Dzisiaj była u pani Wodzińskiej: jest to bardzo nabożna kobieta; w wielkiej komitywie z księdzem proboszczem tutejszym. Ubolewała bardzo, słysząc z moich ust, że nie

¹⁾ Czyt. Wewe.

teraz nowego nie piszę: albowiem tak odpowiadam zawsze na zapytania pół litośne, pół uwielbiające naszych dam. Dziwiła się, że nie wstaję o 3-ciej godzinie rano, aby widzieć wschód słońca i musiałem ją zaspokoić, uręczając, że się nie kładę do 2-giej godziny w nocy i teraz, matko moja, spojrzałem na zegar i widzę, że jest właśnie godzina spania, muszę więc zakończyć na kropce albo na słowie dobranoc. Ty śpisz już dawno, kochana matko, a może, może bezsenna przewracasz głowę na zmiętej poduszce i myślisz o tej ciemnej przyszłości, w której nie dla nas nie widać. Matko, jak ja bym nie chciał dla ciebie bezsennych nocy, jakbym ci chętnie połowę snu mego ustąpił, a co do życia, chciałbym, aby Bóg zmieszał nasze przyszłe lata w jednej urnie i rozdzielił je na dwie równe połowy; ale to niepodobna umrzeć o jednej godzinie.

Jeżeli będziesz, kochana mamó, pisać do Teofilów, proś ich, aby mi z większymi szczegółami o swojej podróży donieśli, bo na niepewne nie mogę się puścić.

Muszę ten list skończyć, aby go odnieść dzisiaj na pocztę. Wyczytałem z gazet, że podobno 500 domów w Brodach spaliło się; spodziewam się, że to nie nie wpłynie na naszego Hausnera.

Adieu, kochana, najdroższa mamó moja! Uściskaj ode mnie dziadunia i pokłoń się wszystkim; a propos, na Wielkanoc podług twojej recepty zrobione baby nie bardzo się udały, winien temu piec nie bardzo napalony; ciasto było ciężkie, zawsze jednak jadłem je z wielką przyjemnością... Całuję ciebie, najukochańsza mamó, najserdeczniej.

Twój Juliusz.

44.

Genewa, dnia 30 czerwca 1835.

Najukochańsza mamó moja! Od tak dawna żadnej wiadomości od ciebie a ostatnie słów kilka, które mi

napisalaś, mammo droga, nie mogą się nawet za list policzyć; bardzo mi smutno, bardzo jestem niespokojny. Teofilowie także nic nie piszą, nie wiem, gdzie są i co mam robić, aby się z niemi zobaczyć. Pytałem się o to ciebie, mammo moja, w ostatnim liście i czekając odpowiedzi, długo się spóźniłem z pisaniem, ale ty wiesz teraz, mammo, że ja zdrów, że mi żadne nie grozi nieszczęście, więc powinnaś być o mnie spokojną. Dobrze mi dosyć teraz na świecie: jestem w domu pełnym dźwięku mojej rodzinnej mowy; jeżeli sercami nie lgną do mego serca, jeżeli nie znajdują pomiędzy niemi takiego towarzystwa, jakiegobym duszą żądał, to przynajmniej często znajdują roztargnienie i cichą wesołość: słucham ładnej muzyki i słuchając, kryję się do muszli serca mego jak ślimak, odbywam powoli jak ślimak moją drogę w krainie myśli i staram się jak ślimak oślinić łzami ślad jakiś na ziemi, któryby po mnie pozostał. Zabawy nasze są teraz dosyć rozmaite: raz przejechaliśmy wszyscy czółnami na drugi brzeg jeziora, na obiad wiejski; całe towarzystwo ziomków moich zasiadło pod wielkimi platanami u drewnianego stołu i ja z niemi. Sami widzieliśmy i wybieraliśmy w sadzawce żywe szczupaki i te przez nas zostawały skazywane na śmierć i autodafe ogniste; przywiezione w butelkach wino ciekło jak w Kanie Galilejskiej. Kamyki płaskie, ciskane naszemi dłońmi, skakały wesoło po jeziorze; graliśmy w zajęcia, jak dzieci w oblczu dam pozrzucawszy surduty i fraki; a kiedy przyszło do powrotu, niebo okryło się chmurami, jezioro kołysane burzą starało się nas ukołysać i zadowolnić jak dzieci, błyskawice wężami biegały po śnieżnych górach, a kropla deszczu nie śmiała nas uderzyć i zmoczyć; słowem, ładny był spacer, wesoły dzień, nikt nie zasmucił się i nie stetryczał bolem głowy, jak się to często zdarza, nikt nie lękał się gromu Boga, wszyscy byli razem aż do wieczora. Szczęśliwi ludzie, jeśli w teraźniejszym czasie mogą razem doczekać wieczora.

Wicher rozmiata żółte liście i spotykającym się tumanom śpiewa zawsze piosenkę pożegnania.

Mąż pani Wodzińskiej przyjechał po nią i ma wkrótce porwać stąd całą rodzinę. Szczęśliwi, wracają, wracają ułożyć się i pomieścić w domu rodzinnym na resztę życia, usnuć sobie domowe szczęście, żenić synów, wydawać za mąż córki, zasadzać ogrody, siać zboże, budować i przebudowywać domy, patrzeć na zachód słońca, wyjeżdżać do lasów na herbatę z przyjaciółmi, z wiejskim sąsiedztwem... Zazdroszczę, choć takie szczęście podobne mi się czasem zdaje do kwiatowego cmentarza; bo i nad cmentarzem chcę często powiedzieć jak Luter, patrząc na groby Worms: *Invideo, quia quiescunt*. (Zazdroszczę, bo eicho spoczywają). Czy też ja kiedy dojdę do przedśmiertnego spoczynku? Pamiętasz, mammo, te węże, które widzieliśmy kiedyś na moczarach pińskich, obwijające się koło lilii wodnych i grzejące się na słońcu? Chciałbym na rzece żywota znaleźć taki biały kwiat, obwinąć się koło niego i zasnąć. To bardzo mistyczne i ciemne, matko moja. Lilia wodna niech się tobie zamieni w jaką miłą, spokojną i cichą duszkę a zrozumiesz moje żądanie. O! o! o! z takim wykrzyknikiem konają osoby w moich tragediach, z takim długiem westchnieniem kona moja nadzieja. Byłem u panny Lenormand, obrywałem tyle razy margeritki, zdmuchiwałem cykorye, wiązałem trawy, szukałem czterolistnej koniczyny i dotąd nie wiem, co mię na świecie czeka. Zdaje się jednak, że musi coś czekać.

Jeżeli by moje widzenie z Teofilami dla różnych przeszkód spełzło na niczem, to myślę za miesiąc wyjechać w góry i osiąść na kilka miesięcy w jakiej chacie, oberży, aby widzieć chmury jesienne, łamiące się po skałach, aby się napoić pięknnością natury i mieć na długo serce pełne myśli, rozplywających się w Bogu. Nie uwierzysz, mammo, jak podróż przeszłoroczna wpłynęła wiele na wewnętrzne mnie, a jak ja często

mówię: na wewnętrznego we mnie anioła. Zdaje się, że myśli moje odmłodziły. Jeden z tutejszych pierwszych malarzy ofiarował mi się być towarzyszem podróży; miło mi będzie siedzieć przy nim na ułamku skały i patrzeć na odbicie się natury w niedoskonałym sztuki zwierciadle; a kiedy tak będziemy cicho siedzieli między drzewami, wiewiórki przyjdą igrać koło nas, ptaszki będą pić krople rosy na listkach brzoźowych. Tak przynajmniej malarz Guigon¹⁾ wystawia mi te ciche godziny, które przepędza na rysowaniu szwajcarskich skał i dolin. Czasem mówię sobie, że Bóg dobrze zrobił, zaprowadzając mię w te kraje; gdybys ty, mammo, ze mną była!

Koszono siano w naszym ogrodzie; dziwna i interesująca nowina, że koszono siano, ale wystaw sobie, mammo, jak to miło czuć woń przeszłości. Pamiętam, że raz w Mickunach, stojąc na łące przy koszących ludziach, wyjąłem jakiś srebrny pieniążek, zdaje mi się, że złotówkę i dałem ją chłopowi, który wszystkich innych wyprzedzał. O laur! o nagroda! nie byłże ze mnie mały Czacki? Otóż, kiedy skoszono siano, wyszliśmy wszyscy po śniadaniu i położyliśmy się na kopcach rozrzuconych panie, panny i chłopcy i tak leżeliśmy całą niedzielę, święcąc dzień Boży, nie myśląc o niczem, odurzeni zapachem umarłej i zabitej trawy, odrzucając tę myśl, że człowiek przechodzi jak trawa i kwiat polny, bo to nieprawda, bo trawę i kwiat polny już skoszono, wywieziono, sprzedano, już konie zjadły, a my jeszcze nie przeszliśmy i ja zabieram się na matuzalemove lata. Szanowne zdrowie, jak mówi Kochanowski; co do mnie, ja czasem z przerażeniem patrzę na zdrowie i na przyszłość... Dlaczego? zwykła niespokojność jaskółki, co się boi, aby się dom z jej gniazdami nie spalił, nim dzieci się wychowają; jeszcze mistycyzm, czyli raczej ciemność porównania:

¹⁾ Czyt. Giga.

trzeba wyjaśnić. Jaskółki, to moje szacowne dzieła dokonane i w przyszłości zamierzone, moje literackie gniazda, papiery, które można lepiej przyrównać do gniazd szczurów, niż do gniazd jaskółczych; ale co robić? piszę, jak gdyby mię kto gonił, przekonany, że taki list, nosząc cechę mego teraźniejszego usposobienia, najlepiej ci, mammo, przedstawi mię w takim humorze, w jakim teraz żyję: atmosfera imaginacyi, kraj przeszłości, wyspa ideału, przerznięta rzeką łez. O, jakże to niemieckie! ale dalibóg prawdziwe. Panna Marya Wodzińska, która mieszka z nami, także zapłynęła trochę w kraj ideału i o niczem nie marzy, jak o pustelniczym domku nad rzeczką, o czarnej sukience, o lekarstwach dla chłopów, o topolach, szumiących nad pustelnią i nareszcie o spowiedzi, którą ma odbyć przed pewnym mnichem kiedyś. Tym mnichem-kartuzem mam być ja *en personne*¹⁾, nie kto inny. Dowodzę więc jednak czasem, że jaki pan podkomorzyc w krainie Lachów, dobrze opatrzony w szlachecką układność, talenta, wąsy, podkówki i ostrogi, wybije z głowy pustelniczy domek, a ja nie będę mógł kartuzowem wspomnieniem zdobyć liliowej duszy dla aniołów. Młode nasze Polki zawsze przebywają bardzo piękne krainy marzeń, aby się kiedyś zamknąć i zakopać w najnudniejszej realności. Ty, matko moja, zdaje mi się, że przeciwnie: położenie twoje, umysł, ile razy wystawiam to sobie, zdaje mi się, że twoje serce musi być pełne wzniosłej poezyi, poświęcenie się twoje! Chciałbym być w sercu twojem, mammo, w godzinę, kiedy siedzisz sama wieczorem tak samotna na ziemi, jak ludzie przeszłych wieków, kiedy księżyc wschodzi nad górą Zamkową i mówi tobie o wielu rzeczach i o tej róży, z którą posyłałaś mnie kiedyś, małe dziecko do biednego M... Widzisz, matko, że ja te-

¹⁾ Czyt. *An person* — w własnej osobie.

raz pamiętam każde słowo rzucone kiedyś w duszę twojego syna. Przypomniałem sobie wiele rzeczy, o których jużem był zapomniiał przed laty. Zdaje mi się czasem, że przypominam sobie coś z przeszłego życia na tej ziemi...

A propos. Zapomniałem z wszelką szczerością donieść ci, mamó, że przed kilkoma dniami miałem trochę gorączki i fluksyą; cały dzień przesiedziałem w pokoju i natychmiast dobry doktor tutejszy przyszedł do mnie i nic nie zapisał, ale na drugi dzień znów przyszedł i nie zastał mię, bo byłem na spacerze. Ta troskliwość doktora rozczuliła mię i pokazała dobroć serca ludzkiego i mówiłem temu doktorowi, że mu wdzięczny jestem z głębi serca mojego; a trzeba wiedzieć, że to człowiek bardzo zimny i nieczułą, twardą, ślimakową obdarzony skorupą. Magnes lgnie do żelaza... jeszcze porównanie niezrozumiane... trzeba ci wiedzieć, mamó, że mię ludzie trzymają za żelazo, bardzo zimne. Wszak pamiętasz, mamó, że jeszcze na Julka dziecko mówiono, że dumny; to wina mojej twarzy i Boga. Zdaje mi się, że Bóg kiedyś miał włożyć moją duszę w orła, co śpi na igłach śniegu, nie budząc się, kiedy wichur obrywa mu pióra, co nie ma przyjaciół i szczęśliwy, że sam patrzy na słońce. Szkoda, że nie poszedł Stwórca za pierwszą myślą, że zrobił ze mnie posępne nic; takby mi dobrze było ze skrzydłami i z jękiem ptaka w piersiach. Trzeba zniżyć lot, trzeba... przypomniało mi to gęsie pióro, którem piszę... gęsie pióro, narzędzie nieśmiertelności, a teraz słodsze daleko narzędzie wylewających się myśli w myśli matki. Trzeba zniżyć lot i napęlić koniec papieru wiadomościami małemi. Oto przyjechała tu aktorka z Paryża, którą widziałem w Paryżu i teraz zobaczyłem niepodstarzałą i niezmienioną; z tego wnoszę, że ja także nie musiałem podstarzeć się. Może się trochę zmieniłem na duszy, ale też gdyby i tej aktorce zajrzeć do głębi duszy, kto wie, jakie tam przemiany! To

dziwnie, że ja ludzi uważam jak termometry, pokazujące ciepło żywotne mojego ja. Otrzymałem list z Paryża, z którego zaczynam wierzyć w cudy, a cudem jest, że panna Kora, o której pisałem mamie, pamięta o mnie. Trzy blisko lat pamięci! O! o! o! z takim jękiem konają osoby w moich tragediach. Adieu, droga mamó, zawsze nazywam ciebie mamą, bo ci, co się oddalili i rozłączyli dziećmi, nie starzeją i wszystkimi siłami chcą się zbliżyć do chwili pożegnania, aby rozłączenia się czas krótszym się wydawał i nie przerażał myśli odbiegającej w przeszłość. Bądź zdrowa i szczęśliwa, mamó moja!

Twój Juliusz.

45.

Veytoux¹⁾, dnia 2 września 1835.

Najukochańsza matko! Od dwóch miesięcy już nie w mieście, ale na wsi zamieszkałem, nad jeziorem Leman, w najpiękniejszym miejscu. Długo byłoby pisać, co i jak przeniosło mię w dzikie strony, ludzie różnie o tem sądzą: jedni mówią, że się był szalenie zakochał w pannie Wodzińskiej i uciekłem. Nie ma w tem za grosz prawdy, ponieważ z tobą, najdroższa matko, mówię otwarcie; otóż wyznam ci, że uciekłem, a to dlatego, że biedna córka domu, widząc mię dosyć zajętego panią młodszą od niej i widząc tę panią dosyć mi przyjaźną, zaczęła schnąć i niebezpiecznie zachorowała, a matka domyślała się o co rzecz idzie; więc musiałem postąpić sumiennie, to jest odjechać, chociaż żal mi było domu, gdzie przez dwa i pół roku mieszkałem, gdzie mi nawet w ostatnie dni było wesoło bardzo. Otóż przeniosłem się do wioski Veytoux nająłem śliczny pokój, błękitny, z okna

¹⁾ Czyt. Wetu.

widać winnicę, za winnicą jezioro, jak pół nieba wyróconego na ziemie, za jeziorem góry Meilleries¹⁾, sławne w Heloizie — Russa, słowem, trudny do opisania widok; ludzie, którzy Neapol i Helespont widzieli, mówią, że ten im wyrówna. W dzień pokój mój, jezioro, niebo, góry, wszystko błękitne, ale dziwnie czyste i przezroczyste; jaskółki przylatują do pokoju i tłuką się czasem piersią o zwierciadło. Pokój mój prześlicznie umeblowany; chodzę na obiad do pobliskiej wioski Montreux²⁾, ale jestem bardzo samotny. Na dole w domu mieszka minister protestancki, dobry, do rzeczy człowiek, świeży wdowiec z pięciorgiem dzieci; z nim czasem gawędzę, ale smutny jestem.

Pani Wodzińska z familią wyjechała do Drezna; odprowadzała ją wiele osób. Panna Eglantyna umyśliła ją odprowadzać, aby potem mię odwiedzić i była u mnie i płakała i tysiąc prośb, abym wrócił i matka jej ciągle mię zaklinała, ale tak mi znudniało to, com porzucił, że wolę samotność nad jeziorem. Muszę jednak odwiedzić moich dobrych ludzi, co mię karmili i kochali przez dwa lata i dlatego jutro wyjeżdżam, a przyjazd do nich bardzo łatwy i krótki: o godzinie 7-mej siadam rano na statek parowy a o 4-tej po obiedzie będę w dawnym moim mieszkaniu. Ze smutkiem jadę. Takiego doznaję uczucia, jak gdyby mi się coś na świecie przez dwa lata klejonego nie sklepiło. Nudzi mię dom, gdzie mieszkalem i zasmuca mię ta myśl, że ten dom ma mi być obcym; znów szukać nowych ludzi, oswajać się z nowymi twarzami a tam byłem jak synem; płakałem, wyjeżdżając, płakany.

Odebrałem list od Filów: koniecznie chcą, abym przyjechał do nich; teraz pokazało się, że nie mogę. Odebrałem i twój list, droga mamó, list, który mię rozczulił i pocieszył: sąd o moich dzieciach jest moim

¹⁾ Czyt. Mejeri.

²⁾ Czyt. Montre.

sądem, ale to, co po tych dzieciach narodzi się, będzie tysiąc tysięcy razy godniejsze ciebie, moja droga mamó; nawet zamyślam ci ofiarować na pierwszej stronie nowe, zapewne tej zimy wyłęgłe dzieciątko. Dopiero to, zaręczam ci, matko, będzie twoim wnukiem; powiedz, czy ci to nie zaszkodzi? Wracając do Filów, nie mogę jechać do kraju, gdzie oni przebywają, żadnym sposobem, jednak jeden z moich przyjaciół otwiera mi drogę niespodziewaną. Piszę list do Paryża do wielkiej osoby, może jako chorego upoważni do jechania, a wtenczas nie będzie żadnych przeszkód; ale o takie upoważnienie bardzo trudno... słowem, robię to przez znaczne figury a robię, co mogę, jednak nie chciałybyś, matko, aby mi się w podróży przytrafiło jakie nieszczęście. Filowie zrozumieć tego nie mogą i w liście dają mi uczuć, że ja to robię przez skąpstwo. Boże! gdybym ja mógł zobaczyć te kraje, gdzie oni są, przebyć z niemi zimę... cóżbym ja za to nie dał? Ale mam za to dosyć rozsądku, że muszę sobie wyperswadować rzecz, która, jeżeli ostatnie moje staranie nie uda się, stanie się wtenczas niepodobną. Czy wrócę do pani Pattey, czy gdzieindziej zimę przepędzę, jeszcze nie wiem; listy mię zawsze pod dawnym adresem dojdą. O, moja droga! kiedy patrzę na ten ładny domek, w którym mieszkam, jakby mi się chciało ciebie tutaj sprowadzić i oddać ci mój pokój błękitny, który zjadłabyś, taki ładny, jasny i tylko dla samotnego smutny; jaskółki biorą za kawałek nieba. Życie trochę mi (!) taniej kosztuje a taniej kosztowałoby jeszcze, gdybym nie był przymuszonym obiadu za domem szukać. Przy odjeździe taki smutek, taka mnie nuda opadła, że zakazałem, aby mi nie przysyłano książek, wziąłem tylko kilka moich ulubionych autorów, z tymi, jako to: Szekspirem i Byronem, chodzę po górach, kładę się pod drzewami i czytam; śliczne trawy, śliczne kwiaty, woń wiejska przypomina mi dziecinne czasy; myślę o Mickunach i Wierzhówce.

Prześliczne miałem księżycowe noce; wtenczas wychodziłem nad jezioro, siadałem na małym przylądku, wchodzącym do wody, z jednej strony miałem księżyc, z drugiej strony zamek Chillon, który z okna o 200 kroków widzę. Pierwszy raz słyszałem w starej wieży śpiewanie puszczyka. Co mi w takich nocach przechodziło przez głowę, trudno wypowiedzieć. Czasem żałowałem ludzi i rycerzy, którzy ginęli niegdyś w tym zamku, a dziś zapomniani i zamek ich tak cichy stoi w księżycowym blasku. Potem pytałem siebie, za co ci ludzie ginęli i odpowiedź była napisana we świeatłkach chat wieśniaczych. Nigdzie wieśniak nie jest tak szczęśliwy i bogaty, jak w tych stronach. Otóż ci rycerze, którzy dawniej ginęli, zapewnili zgolem swoim szczęście przyszłych pokoleń. Widziałem więzienie pyszne Chillonu, widziałem filary i pierścienie żelazne, do których przykuwano więźni. Czytałem Byrona, patrząc z bliska na mury zamku i *Wieżię Chillonu* piękniejszym mi się wydawał, ale okolice zamku nie są moją najulubieńszą przechadzką. Co dnia, idąc na obiad, przechodzę około ślicznego kościółka, otoczonego kwiatami; bluszcz się wije po szarych gotyckich ścianach, pełno róż i jaśminu wokoło, ławki, mur kościoła dziwnie porosły błękitnymi dzwonkami, a z muru najpiękniejszy widok: oko biegnie po zaroślach i zielonej spadzistości na zwierciadło jeziora; jak dobrze modlić się w takim kościółku, jak dobrze ludziom, którzy modlą się w nim od kołyski aż do grobu!

Byłem raz na wiejskim balu na górze: wieśniaczki i wieśniacy ubrani dobrze; kręcili się walea, a tak, że złudzonemu oku zdawało się, że cały taniec mijają nad brzegiem przepaści i zawsze jezioro było tłem obrazu; widać je z każdej ścieżki, z każdej doliny, z każdej góry. Nic piękniejszego jak okolica, w której żyję; ludzie wszyscy pięknie zbudowani, mnóstwo

kobiet prześlicznych, zgrabnych, wszyscy zdają się szczęśliwi. Kiedy to tak będzie zawsze i wszędzie?

Filowie przysłali mi 200 rs.; książek mi jeszcze nie odesłali. Ja zaś twój list, moja droga mam, zaraz im posłałem do Liwurny. Spodziewam się, że go odbiorą. Nudzą ich bardzo Włochy, a szczególnie Hersylkę.

Anglik jeden, który znał pana Okraszewskiego, chcąc mu podziękować za przysłanie łacińskiej kroniki, napisał do mnie list, prosząc, abym mały bilecik z podziękowaniem do mojego załączył. Ofiarowałem się chętnie to uczynić. Piszę ten listek dzisiaj, bo jutro w mieście otoczony osobami, co mię dosyć lubią, nie będę może miał spokojnej godziny na pogawędzenie z tobą droga moja matko; milsza to stokroć gawęda niż z moim ministrem protestanckim, który mi dowodzi, że tańcować jest grzechem i wszelkimi sposobami stara się ten grzech z pomiędzy śmiejących się ludzi wygnać; tak to ludzie sami znajdują sposoby dręczenia siebie, gdzie Bóg każe się cieszyć.

Gospodarzami moimi są wieśniacy, którzy dom ładny wybudowali i drą jak mogą cudzoziemców, którzy tu dla kuracyi winogronowej i dziwnie ciepłego klimatu zjeżdżają się na zimę. Tego roku wiele familli chciało się tu usadowić, ale nie znaleźli dość wielkich domów. Jakbym ja chciał, abyś mi, mam, poradziła, czy mam wrócić do pani Pattey? czy ich usilnym naleganiom odmówić? Listy ich rozdzierają mi serce: jutro będę musiał obecnych nalegań słuchać i opierać się im, a czuję że samotność tak zupełna, jaką mam teraz, złą jest dla człowieka. Nadto myślę i nadto zachmurzam się a potem, tam mię kochano i zdaje się, że bardzo i szczerze. Nie wiem sam, czy wrócę, czy nie. Widzenie się z Teofilami położyłoby koniec wymówkom; myślą, że się gniewam, że mi ich dom nie miły. Dobrze mi u nich było, spokojne wiodłem życie, jak we własnej rodzinie.

Od dwóch dni jestem w Genewie, gdzie mię przyjął jak syna. Szwędam się i robię wszelkie starania dla uzyskania paszportu do Teofilów i mam nadzieję, że go mieć będę za kilka tygodni. O, jakieby to było szczęście! Jutro wracam do Veytoux, do mojego wiejskiego mieszkania i będę czekał rezultatów moich zachodów. W domu pani Pattey znalazłem ładne Francuzki, które tu mieszkają od cholery, bo słabość ta na umyśle Francuzów wielkie sprawia wrażenie.

Był tu teraz jubileusz protestancki, obchodzony z wielką pompą; właśnie przyjechałem statkiem parowym w sam dzień iluminacyi. Kto wie, może przyszły list z Teofilami pisać będziemy; oby tak było!

Moja kochana mamó! pisz do mnie zawsze pod dawnym adresem, bo listy mię pewnie dojdą. Muszę zakończyć moją bazgraninę, bo właśnie o godzinie pół do pierwszej muszę iść do doktora po otrzymanie świadectwa potrzebnego do wydania paszportu; nie lękaj się jednak, moja droga, o moje zdrowie; czerstwo wyglądam i piersi moje nigdy z taką mocą nie oddychały. Adieu, najdroższa! Odbieram właśnie w tej chwili list od Teofilów, w którym mi donoszą o przysłaniu książek i znów nalegają o wyjazd. Adieu; Całuję rączki, oczka, ściskam ciebie serdecznie i żegnam.

Twój *Juliusz*.

46.

Genewa, dnia 20 października 1835.

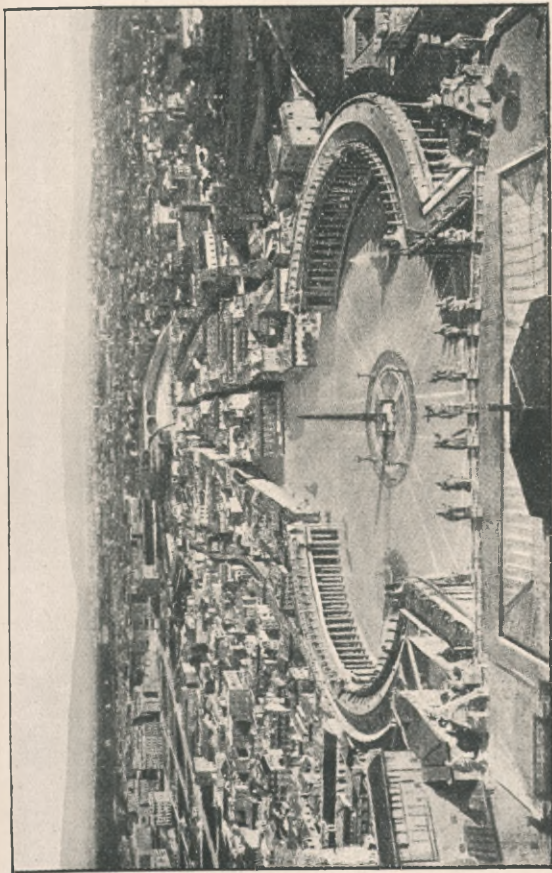
Moja najdroższa! Po trzech miesiącach pustelniczego życia nad jeziorem, wróciłem do mego dawnego pomieszkania i z przyjemnością osiadłem w moim dawnym pokoju, przed kominkiem, bo takie mamy zimna, że już się drwa palą w kominie. Pisałem ci już, droga moja, jak żyłem samotny w górach, jak odbierałem wizyty tylko jaskółek wlatujących przez

okno, albo rozmawiałem o przyszłości drugiego życia z ministrem protestanckim. Mgły i deszcze wypędziły mię z zaciszy, która przy złych niepogodach stawiała się nadto ponurą i do mizantropii zaczęła nakłaniać moje władze umysłowe. Patrząc na jezioro, napisałem kilka lirycznych kawałków, które malują stan mojego umysłu przez te kilka miesięcy i dlatego może kiedyś spodobać ci się, moja droga. Postąpiłem także w moim nowym poemacie i chciałbym bardzo tej zimy coś wydać; zależeć to będzie od okoliczności i od projektowanego ciągle wyjazdu do Włoch, który się nie udaje: czekam do dziś dnia odpowiedzi na podaną do Paryża prośbę o paszport, i ani odmówienia ani paszportu nie jestem pewny. To oczekiwanie przykre mi jest i dreczy mię. Chciałbym widzieć się z Teofilami i ciągle nadzieja truje mi spokojność cichego zimowego życia; oni także nie wiedząc, jak się rzeczy mają, obwiniają mię o nieczułość i o skąpstwo, a tu zaprawdę niepodobna wyruszyć. Odebrałem list od nich przed kilku dniami; odebrałem pierwszej jeszcze rs. 200, na których miałem straty 55 fr.; przysłali mi nareszcie i książki, ale tak źle postąpili i nierozważnie, że mi za tę paczkę każą zapłacić tutaj 40 fr., co jest niesłychaną ceną, zdzierstwem, jakie tylko we Włoszech może się popełnić, bo za taką paczkę z Paryża płaci się 4 fr., a za książki Kochanowskich z Brodów zapłaciłem 2½ franków. Odpowiedziałem więc Włochom co mię teraz chcą zdziwić, że jeśli z ceny nie spuszcza, zrzeknę się książek i zdaje mi się, że to ich do ustąpienia połowy przynajmniej ceny skłoni.

Odebrałem także jeszcze na pustyni list twój, miły twój list, moja droga, i odczytywałem go z wielkiem szczęściem po kilkanaście razy. Miło mi było słyszeć twój szczegółowy o moich dzieciach znać; zgadzam się zupełnie na wszystko i wyznam ci, moja droga, że list ten zapalił mię, abym podwoił usiłowania, abym ciebie, kochana matko, czem lepszym, udarował,

bo przyznam ci, że znienawidziłem moje pierwsze utwo-
ry: czuję potrzebę większej doskonałości, rozwinęło się
we mnie jakieś nowe piękności uczucie. Nie wiem
jeszcze, jak się ono przyoblecze w słowa, ale starać się
będę, aby coś jasnego napełniało moje karty, aby wię-
cej też było w słowach. Mam lat 25, trzeba, abym już
był tym, czem być mam i dlatego może nienawidzę
moje pierwsze dziełka. Lubię jednak wszakże więcej
nad inne Godzinę myśli; — coś w niej jest, co
mię samego kołysze przeszłości dźwiękiem, jakąś ci-
chą, dawną piosenką. Trzy miesiące spędzone po-
śród najpiękniejszych widoków przyrody były wielką
dla mnie nauką. Uważałem harmonią, która wszystko
łączy i nalewa jednym kolorem. Postrzegłem, że
sztuka powinna naśladować tę dziwną wszystkiego je-
dność. Zastanawiałem się długo nad drzewami, kwia-
tami, szmerem i różnymi dźwiękami natury, widzia-
łem ją z bliska błękitną albo chmurną. Raz, wyszedł-
szy na wielką górę, pod nogami miałem wielki pa-
rów, zarosły sosnami, bardzo ciemny, przetrnięty po-
tokiem. Było to w niedzielę rano; dzwon kościoła
wiejskiego, nadzwyczaj głośny i ponury, napełniał całe
powietrze: cały ten obraz ożywiony był duszą dzwonu,
jak ciemny poemat, w którym brzmi imię Boga.

Sam nie wiem, dlaczego z taką dokładnością opi-
sałem tę godzinę, ale zdaje mi się, że ty sobie mamó
droga, lepiej mię wystawisz w takim obrazie. Jest to
niby wizerunek symboliczny tego, co czuję teraz. Nie
idę do kościoła, ale słucham z daleka między skałami
dzwonu, co zwołuje spokojnych ludzi na modlitwę.
Dlaczego ty, droga moja, pisząc mi o twoich zamy-
ślach przyszłych, opisujesz starania, któremi chcesz
zabezpieczyć mi ciche, spokojne i miłe życie; myślisz,
że ja oddalony, innymi może projektami zajęty, uśmie-
chać się na to będę, jak na próżne marzenia? Nie,
moja droga, jeżeli się uśmiechnę, to może tylko z nie-
dowiarstwa w szczęście, czyli raczej z nieufności w ten



Panorama Rzymu widziana z dachów Bazyliki św. Piotra.

los, coby mi kiedy mógł pozwolić używać i być jak inni ludzie szczęśliwym. Za nic Bogu nie dziękowałbym tak, jak za cichy mały domek przy Teofilach, domek biały z ogrodem, z jednym sługą; skromny codzień obiad, mała szafa z książkami, oto jest zakres ograniczający moje marzenia. Przysięgam ci tu, moja droga, że za niczem więcej nie goniłbym; chciałbym tylko mieć zupełną wolność głośnych marzeń, bo czemuż ja byłbym, gdybym stracił te (!) okienko, przez które na świat patrzę i odzywam się do przechodzących pod domkiem moim ludzi? Teraz zdaje mi się, że jestem na coś potrzebny; gdyby mi powiedziano, że nie, to okryłbym się moim płaszczem i położyłbym się spokojnie do snu, pytając Boga, na co mi kazał grać rolę waryata na tym świecie. Bo już teraz byłoby zapóźno rozsądniejszą zaczynać wędrówkę: ani moje nauki, ani myśli nie przydałyby się na coś rozsądnieszego i pożyteczniejszego dla mnie. Zrobiłem z mojej głowy narzędzie na nic innego, tylko na to, do czego mi teraz służy, nieprzydatne. Zdaje mi się nawet, że ciąglem usiłowaniem w drodze wyższych marzeń zabiłem w sobie ten dowcip towarzyski, który w życiu popłaca. Są osoby, z którymi nigdy nic nie mam do czynienia i do powiedzenia, mimo tortury umysłowej, jaką sobie zadają. Są zaś ludzie prostoduszni, jak ów minister protestancki, z którymi po całych dniach gadam i nie nudzę się, ani słuchacza dręczę. Co do płci pięknej, nieraz miło mi rozmawiać z młodemi panienkami, których wyobrażenia zupełnie są ograniczone: nieraz zaś znalazłem czczość w osobach okrzyczanych za dowcipne; słowem, nie znam jeszcze głęboko serca ludzi, wytłómaczyć sobie charakterów miłych mi albo niemiłych nie umiem. Zdaje mi się także, że umysł mój dojrzał, bo nie znajduję już żadnych przyjemności w romansach czytanych, ani w tłumie tych dzieł lekkich, jakimi dotychczas mniej wię-

cej otaczałem mój rozum, słowem usposobiony już jestem do cichego, wiejskiego życia.

Gdyby można przez kupienie małego kawałeczka ziemi otrzymać pozwolenie zamieszkania w stronach gdzie Teofilowie osiąść zamysławiają, bardzo byłbym szczęśliwy. Ale to trudne i może, bez zmiany okoliczności, niepodobne. Genewa nudzi mię już z bardzo wielu przyczyn: nie wszedłem w towarzystwo i chociaż bardzo by to łatwe teraz było dla mnie, lenistwo jakieś ciągle mię wstrzymuje, a najbardziej do tego lenistwa przyczynia się mieszkanie za miastem: trzebaby bowiem w zimne noce długą drogą powracać do domu. Fiakrów tu nie ma i na każdy wieczór trzeba brać powóz, kosztujący 6 fr. na raz; taki wydatek przy drogocie życia jest niepodobny, policzywszy bowiem rękawiczki, każdy wieczór 8 fr. kosztuje, a kto się na wieczorach nudzi, to nudów tak drogo kupować nie powinien. Przenieść się do miasta na mieszkanie niepodobna, bo i więcej bym tracił, i domu, w którym mieszkam, porzucić nie mogę po tylu dowodach przyjaźni ze strony pań Pattey. Wyjazd do Włoch przeniósłby mię w nowe strony i może potem wybrałbym inne, przyjemniejsze i tańsze miasto na mieszkanie; modłę się więc o paszport, ale mało mam nadziei. Robię więc projekt, jeżeli z Teofilami nie połączę się, aby wyjechać po Nowym Roku do Brukseli, piszą mi bowiem, że tam życie nadzwyczaj tanie i przyjemne; znalazłbym tam znajomych i możeby mi tam dobrze było, ale projekt ten zapewne do skutku także nie przyjdzie, a to z powodu kosztu, jakie podróż pociągnęłaby za sobą.

Myślę nieraz, że mając ciągle i na długo gdzie się usadowić, trzeba niewiele tracić, aby na dłużej wystarczyło do życia. Nie uwierzysz, mamto droga, jak nie pozwalam sobie żadnych przyjemności, a jednak wyznaję ci, że wyjeżdżając nad jezioro, winien byłam p. Pattey 400 fr.; przysłane przez Teofila 750 fr. po-

szły na wypłacenie tego długu i teraz zostaje mi tylko 200 fr. Przymuszony sprawić sobie co na zimę, około Nowego Roku, winien będę p. Pattey 400 fr., i jeżeli otrzymam zwykły zasilek, to mi 800 zostanie, z którymi pojechawszy do Brukseli, prędko byłbym bez grosza a w nieznanym mieście trudno byłoby się załatwić.

Piszę ci, moja droga, otwarcie cały stan mojej kasy, boś mi kazała, abym tak czynił. Książki moje mało mi przynoszą, bo daleki od Paryża, wystawiony jestem na wszelkie szachrajstwa księgarzy: ci mi przysyłają rachunki, których sprawdzić nie mogę i czasem po kilkadziesiąt franków dają, kiedy im się podobą. Przychód dwóch tomów pierwszych poszedł na druk następnych a te zaledwo się teraz opłacają. Jeżeli co będę drukował, będę się starał sprzedać księgarzom z góry. Pfe! Jak to niegodnie łączyć pisanie z pieniędzmi. Lepiej jednak nic nie zyskiwać jak sprzedawać za pieniądze opinię i imaginację... Ty, moja droga, nie będziesz mną pogardzać za to, że ja na moje pióro wielkiego odbytu znaleźć nie mogę; ty nie będziesz z szyderską litością innych obcych ludzi patrzeć na mnie, kopiącego się w ziemi, jak biedna mrówka. Idę nieznanym i smutnym, ale kiedyś może powiedzą ludzie, że wart byłam własnego domku, ogrodu i kilku przyjaciół. Dlaczego takie zniechęcenie? — zapytasz, droga moja — dlaczego? Oto z bardzo małej przyczyny: dziś widziałem jednego z moich ziomeków, który po kilka razy nazywał mię poetą, a nakoniec wyznał, że nic jeszcze nie czytał mego. Prawda, że to był handlarz winny, który z próbkami jeździ po świecie i interesa domu swego załatwia; bierze kilka tysięcy franków na rok pensyi i zamyśla się ożenić ze starą wdową kupca i handel winny wziąć w posagu. Rozsądny człowiek!

Adieu, najdroższa, najukochańsza! Będę jutro pisał do Teofilów; jeżelibyś wyjeżdżał do Włoch, to

przed wyjazdem listem uwiadomię. Jak się miewa kochany dziadunio? jakie teraz, moja droga, ma towarzystwo? kto najmiłszy, kto najbardziej gawędką skraca godziny? Wzięłem się teraz do czytania nut na fortepianie. Dosyć mi ciężko idzie, bom odwykł, ale kilka miesięcy nauki pomogą; grywam po kilka godzin co ranka, czasem wieczorem gram wista nie drogo, ale zawsze przegrywam. Adieu! Całuję rączki i oczy po kilka set razy, moja droga, moja najmiłsza!

Twój *Juliusz*.

Chociaż jak się spodziewam, list ten przed imieninami twojemi dojdzie, droga moja, życzę ci tu szczęścia, ciszy i spokojności. Będę o tym dniu pamiętał i przepędzę go jak wielkie święto wspomnień i żalu.

47.

Dnia 29 listopada 1835.

Najdroższa moja! W dzień smutny twoich imienin biorę tę ówiartkę papieru, lecz po tak długim rozstaniu nie wiem, czego ci mam życzyć? Nie wiem, czy w twojem biednem życiu jest jaki mały wypadek, którego mógłbym ci winszować. Niech Bóg czuwa nad nami. Stałem w oknie mojem, patrząc na dwa małe koty, które się uganiają po dziedzińcu za suchymi liśćmi klonu, wesołe jak dzieciątka, i myślałem o mallowanych kotkach Melanki, które ci niegdyś dała na powinszowanie imienin; biedny aniołek! śnieg biały leży teraz na jej małej mogiłce.

Otworzyłem książkę Kochanowskiego i treny dwa, naznaczone twoim bladym ołówkiem, przywołały nowy łańcuch uczuć i pamiątek; pomyślałem, że gdzieś w innej stronie Teofilowie myślą o nas, także smutni w ziemi obcej i niemiłej. Z listów ich widzę, że są dziwnie znudzeni światem; starałem się, jak mogłem,

aby się z niemi połączyć i, pomimo nadzwyczajnych zabiegów, tracię nadzieję, aby się to kiedyś stać mogło, chyba będę ich czekał powracających na drodze, a oni także nieco z drogi zjadą, aby się ze mną zobaczyć. Wielka przyjemność w życiu mojem ubyla przez to, że z niemi zimy nie przepędzam: jużem marzył z rozkoszą o tych kilku miesiącach wędrówki w nowym kraju, z dawno ukochanemi osobami; już nawet przeczułem doznawałem nowych wrażeń, smutku na dawnych ruinach i dopiero 2 tygodnie temu, jak list ostatnił pozbawił mię prawie ostatniej nadziei: osoby, które się podjęły były wyrobienia paszportu, tak opieszale chodziły koło tego, że rzecz zadawniała i prośby moje bez żadnego skutku zostały. Muszę więc siedzieć na miejscu. Pisałem do Teofilów niedawno, aby ich przekonać, że jeżeli nie jadę do nich, to nie przez opieszałość to czynię. Nie wiem, czy uwierzą temu, bo im się zdaje, że to wszystko łatwo w mojem położeniu a nie wiedzą, że przeciwnie. W listach wzajemnie pisanych wzdychamy wszyscy troje do cichego kąta w naszej rodzinnej ziemi i do spokojnego wiejskiego życia. Oni szczęśliwi zapewne to mieć będą: co do mnie, niech się dzieje wola Boża.

Zimą tę niewiedzieć jak przepędzam; ciągnę nadzieja wyjechania stąd do Teofilów porwała łańcuch moich marzeń; ja, co zawsze w jesieni nawiedzany byłem przez jakąś nową myśl poematu, tego roku głowę mam podobną do niezapalanej latarni; więc nudzę się, czczość myśli jest największą dla mnie męką: nie wiem, o czym marzyć, a nie mając w głowie żadnego zmyślonego obrazu, muszę myśleć o nudnej rzeczywistości. Czas mamy bardzo brzydki, śnieg padał, teraz ciągle mgły i wilgoć: dolina, w której leży nasze miasteczko, skoro się raz mgłami napełni, mgły te kręcą się i wyjść nie mogą dla otaczających gór, trzeba więc czekać, aż się wypłaczą. Poeta, który robi sentymentalne porównania, przyrównałby miasteczko do serca,

które się samo w sobie zasklepia i, raz napełnione mgłami, nie wypogodzi się tak prędko jak serca na wszystkie cztery wiatry otwarte; ale ja, co kiedyś lubiłem takie naciągane porównania, znajduję je teraz smutnie śmiesznymi.

Dom nasz dosyć teraz wesoły: mieszka w nim jeden Francuz, jeden Anglik i jeden z mych ziomków, ale nie z liczby tych niedźwiedzi, co liżą łapę przez całą zimę: jest to ziomek wojażer, bogaty, lubi bawić się, trzyma powóz i konie, daje co tydzień wieczory, ma wszystko oprócz zdrowia. Lubię go, dobry to chłopiec, znałem go z widzenia na uniwersytecie, gady mam więc często o dawnych czasach. Nazywa się Rajocki. Od niego dowiedziałem się, że biedna Julka Sanders umarła; ze smutkiem wspomina o niej, bo się kiedyś w niej kochał i nosił jej na wieczory jabłko w kieszeni, bardzo bowiem lubiła ten owoc. Mam więc co poniedziałku mały wieczorek. Pani Pattey zaprasza damy, mój ziomek chłopców i tańczujemy. Wojażer nasz, choć tyle lat (bo od sześciu років) (!) za granicą, nie zapomniał polskich zwyczajów i zawsze zimną zastawia kolację i podług twego przepisu, moja droga, kazaliśmy piec baby, które się dosyć dobrze udały. Ostatniego poniedziałku nietylko mazura, ale tańcowaaliśmy nigdy tu niewidzianego poloneza. Wieczorki te nasze bez żadnej etykiety bardzo wesołe.

Najdroższa moja! oddano mi w tej chwili twój list z zasiłkiem, list okropny dla mnie! Gdybym mógł się w ziemię żywy zakopać i jeść ziemię, tobym zrobił to tej chwili. Najukochańsza! powiedz mi, co mam robić, abym nie był ciężarem na tej ziemi: ty chodzisz w podartym szlafroku, ale ja także od czterech lat jeden frak mam czarny i tylko sobie co lato jeden tużurek robić każe, aby między ludźmi dziurami nie świecić. Kilka dni temu kazałem sobie frak robić, bo już w dawnym paryskim nie mogłem nawet na domowych wieczorkach pokazywać się. Wyrzucam sobie tylko stół

mój domowy, który dla mnie zanadto drogi i przyrzekam ci, najdroższa, że przed Nowym Rokiem wyjadę albo do Brukseli, albo do południowej Francji, albo do jakiej innej mieściny kraiku, w którym teraz mieszkam i będę żył jak można najoszczędniej. Droga moja! od dwóch lat nie nie drukowałem i nie myślę drukować, a jako mi radzisz, jeżeli co mieć będę, sprzedam (ale kto kupi)? Więc ciebie obsiadają i objadają goście! Biedna ty, biedna ty! Gdybym był przy tobie, tobym pracował, bo ja teraz nie dumny, ale tu, czego się ja chwycę? Teraz, kiedy przebiegam wszystkie użyteczne zdolności, sława literacka czczą mi się wydaje, ekliwi mi, myśląc o niej i znów czytam list twój do Teofilów i płaczę jak dziecko; biedna ty, tobie zimno w twoich pokojkach a ja mam ogień na kominku. Ty wiesz, moja droga, że ja, nic nie zrobiwszy dla naszej kuzynki, nie mam prawa upominać się o szczupły zasiłek, jaki mają jej synowie ze szkodliwości tutejszych; ty wiesz o tem, ty wiesz, że ja mam na sumieniu, żem za mało czuwał nad nią, kiedy chora leżała; ja mam także sumienie a jeżelibym stetryczniał (!), to niemało się do tego przyczyniła ta myśl, że nieużyteczny byłem jak chwast, a każdy smutek w życiu zdaje się być słuszną karą Boga... Ale czemu ty nie opalasz wszystkich pokojków, dlaczego ty zimno cierpisz? Pomyśl, jeżeli ty siebie taką oszczędnością zabijesz, co się ze mną stanie? Zawołaj zaraz Ambrożego, niech zapali we wszystkich piecach; zaklinam ciebie, bierz z kapitałów i nie oszczędzaj się tak, że oszczędność do nędzy podobna. Ja wiem, moja droga, że ty mi odpiszesz list uspakajający, ale cóż, kiedy ja stąd widzę ciebie i dawno przeczuć widziałem biedny twój stan; owszem, bądźmy szczerzy nawzajem: ja wyznaję ci, że abym się mógł zamenażować, muszę odmienić miejsce pobytu, bo to jest nadto gorzko i prawie niepodobnem z domu, w którym mieszkam, wyprowadzić się do jakiej małej stancyjki; na-

reszcie gospodynie moje nie pozwoliłyby na to, ofiarowałyby mi zmniejszenie ceny, która i tak mniejsza jest o wiele dla mnie niż dla innych; już mi nawet o tem przebaknęły, ale ja, widząc, że ich interesa także źle idą, nie mogę się zgodzić, abym zostawszy u nich, mniej płacił niż utrzymanie moje kosztuje. Pojadę więc, jak mi się zdaje, do Brukseli a tam może mi się uda stać się jakim sposobem użytecznym sobie; ale jak tu wyjechać przed Nowym Rokiem, kiedy w ostatnim liście pisałem do Teofilów, że będę ich czekał powracających wiosną na południowo-wschodniej granicy Alp? Widzenie się ich ze mną będzie takim sposobem bardzo łatwe, mało bowiem z drogi zbczą. Wyjazd więc mój lub pozostanie tutaj jeszcze od ich listów zależą: jeżeli mi napiszą, że będą wracać drogą, którą im wskazałem, to mi już ni serce moje, ani żadne widoki oszczędności nie pozwolą stąd wyjechać przed widzeniem się z nimi; będę musiał czekać do wiosny a zaś na wiosnę pojechać na ich spotkanie na drugą stronę naszego małego kraiku.

List ten pełny nieporządných projektów i przedsięwzięć pokazuje ci, moja droga, jak ja pracuję głową, aby coś z niej dobrego wycisnąć. Nakoniec, ty sama życzyśz sobie, abym się z Teofilami widział. Odebrałem także list, w którym mi donoszą, że pewna księżna pani chce za mną pisać do tego pana, który mi widzenie się z Teofilami, tam gdzie są oni teraz, ułatwić może; może więc jeszcze za tygodni kilka pojadę do nich, ale mało mam zaufania w tem ostatniem błysnieniu nadziei.

Dnia 30 listopada. Wczoraj wieczorem gadałem do 1-szej godziny w nocy z panną Eglantyną otwarcie o mojem przedsięwzięciu wyjechania do Brukseli; płakała, płakała i płakała. Widzisz, droga, że ja mam teraz dosyć rozsądku i nie wstydę się powiedzieć ludziom, że muszę się oszczędzać i szukać tańszego miejsca pobytu. Co przewidziałem, nastąpiło: chciała ko-

niecznie, abym za połowę ceny teraz płaconej żył w ich domu; odpowiedziałem stale i z uporem, że się na to nie zgodzę, że nie jestem przyprowadzony do tego, abym nadużywał przyjaźni biednej wdowy, która pracuje na kawałek chleba i z takim go zarabia kłopotem. Nieprawdaż, moja najdroższa, że ty sama nie chcesz po mnie takiego egoizmu? Wyjechałbym zaraz, gdyby nie to widzenie się z Teofilami, gdyby nie ten list, w którym mi dają nową nadzieję. Jakoś to będzie. Może, czekając na nich, przepędzę lato w jakim tanim domku szwajcarskim, a na drugą jesień wyjadę z ubieranym nieco groszem; może co napiszę i sprzedam, jeżeli uda mi się co interesującego napisać. Słowem, będę się starał z mojej strony, aby nam obojgu lżej było na sercu. Ja wiem, moja droga, że ty mi z rozkoszą ostatnie dajesz, ale ja, co na własnej spokojności szczęście moje zasadzam, smućę się, myśląc, jakim jestem ciężarem; często nie mogę pojąć, skąd ty wydobywasz nowe grosze i myślę, że ci może anioł jaki sypie do twojej mahoniowej szkatułki. Bądź zdrowa, najdroższa, najukochańsza! Mam nadzieję, że ci z powrotem Filów lżej i lepiej będzie. Adieu!

Pisz, droga, zawsze pod ostatnim teraźniejszym adresem a listy i przesyłki dojdą.

Twój Juliusz.

48.

Rzym, dnia 28 maja 1836.

Najdroższa mamó! Ze smutkiem zapewne dowiesz się, że po trzech miesiącach pobytu z Filami w Rzymie, muszę się znów teraz z niemi rozłączyć i puścić ich samych do Neapolu; wszystko mi się nie splata, muszę znów zostać sam, a że nie lubię wrażeń niezupełnych, chcąc, aby ta samotność głębszą była, wyjeżdżam na mieszkanie do Tivoli, stamtąd zamierzam udać się da-

lej w góry i po samotnych przesiadywać oberżach, aż trudność doznawana teraz nie ułatwi się, lub też póki Filowie nie wrócą z Neapolu.

W ostatnich czasach żyłem w Rzymie z kilku ziolkami moimi, młodymi, zapalonymi i tych towarzystwo ożywiło mię nieco: jeden z nich miał wiele podobieństwa do dawnego dziecinnego przyjaciela mojego, Ludwika. Rozmawiając z nim, przyszło mi na pamięć wiele dawnych uczuć i wiele dawnych wyrazów. Chodziliśmy razem na spacer i najczęściej przepędzaliśmy wieczory w willi Mills. Jest to ogród, pełny róż i cyprysów, zasadzony na ruinach dawnego pałacu cesarzów rzymskich. Przy świetle księżycy, kiedy kwiaty wydawały dziwne zapachy, kiedy ruiny, otaczające tę willę, przybierały kształt duchów a Rzym daleki w mgłę sinej tonął, z dziwnym rozemdleniem serca myślałem o przeszłości. Nieraz ciebie, moja droga, wspomniałem cicho i głośno, opowie ci to kiedyś Zygmunt, mój towarzysz romansowych wędrówek, bo może on prędko ciebie widzieć będzie, a obiecał mi, że to uczyni, jak będzie mógł najspieszniej po powrocie z zagranicy. Jak dziwnie powietrze działa na moje zmysły, tego ci opisać nie mogę: mam tysiąc zachceń, tysiąc wielkich podlotów do nieba, chciałbym tu być przepędzić moją przeszłość.

Byłem niedawno na cmentarzu tutejszym angielskim, widziałem groby dwóch poetów, jeden z nich kiedyś mógł być dla mnie przestroga; młody Keats¹⁾ leży pod małym kamieniem: ów poeta wydał kiedyś swoje wiersze; krytyka jednego z pism angielskich zażyła go, to jest, dostał melancholii, potem suchot; pochowano go w Rzymie. Miło leżyc (!) na takim cmentarzu: mały, kwadratowy, pod piramidą Cestiusza, dawnego Rzymianina nie wielu dotąd grobami zasiany, a te, co są, ciche i z białego marmuru; w jednym kącie

¹⁾ Czyt. Kīts.

cmentarza przezroczystry kłęb cyprysów i innych lekszych (!) drzew, zupełnie jak gaik Elizejski w Eneidzie Wirgiliusza, po którym błądzą cienie kochanków — samobójców. Drugim śpiącym poetą na tym cmentarzu jest Schelley²⁾, przyjaciel Byrona; bezbożny, utopił się, ciało jego spalono na stosie, wśród równiny nad morzem w Lido; prochy leżą na cmentarzu, lecz nie spokojne, tablica marmurowa pękła na dwoje, może jakiś duch w bezkسیężycowej nocy rozłamał ją na dwoje i uniósł duszę ateisty. Cóż, moja droga, gdzie mi wybrać miejsce? czy na krzemienieckim cmentarzu pod śliwą babuni nie będzie mi spokojniej?

Tymczasem ja, co myślę o pewnym odpoczynku dla ciała, nie mogę teraz posłać go z Filami do Neapolu i nie wiem, co z sobą robić; nie wiem, czy rzucić Rzym dla jakiej bezludnej okolicy, czy pozostać w tem samem mieszkaniu, co teraz. Smutno mi będzie i pusto. Zostanie mi tylko jeden dom, w którym będę mógł przepędzić wieczory: są to pewni baronowie Richt-hoffen, mąż Niemiec, żona Polka, bardzo miła osóбка, wiele gadająca, z rodzaju naszych przymilających się i zwinnych kobietek warszawskich. Gdybyś sobie, moja droga, wystawić mogła, co to za urok jest dla nas w Polkach, jak one zdają się nam z innego świata, lekszego, zgrabniejszego stworzeniami, to byś się nie dziwiła, że słysząc tylko o tej pani, lataliśmy jak waryaty z Zygmuntem po willach włoskich, aby ją zobaczyć. Ideał utworzony w imaginacji rozprysnął się za pierwszym spotkaniem tej damy w ogrodzie Borghezich³⁾ i teraz została mi w niej tylko miłutka znajomość, bo mię Aleksander Potocki zarekomendował, a moje nazwisko już trochę znane, pomogło mi do otrzymania dobrego nader przyjęcia.

Filowie zdecydowani na wyjazd, za dwa dni ruszają, widzisz więc, moja droga, że i tak blizcy siebie,

²⁾ Czyt. Szely.

³⁾ Czyt. Borgezych.

nie możemy zawsze być razem; jakiś zły duch roz-wiewa nas po świecie jak nędzne słomki. Patrzę z prze-rażeniem na mieszkanie, w którym sam zostanę, chcia-łbym, żeby imaginacja przyszła mi na pomoc i zapeł-niła jakimi marzeniami dni moje; ta szalona władza tworzenia jest dotąd moim aniołem stróżem, bez niej nie wiem, co bym począł na świecie.

Ponieważ wszystko ci piszę otwarcie, moja droga, powiem ci, że mi smutno, bo pod koniec mego tu pobytu straciłem serce Fila; jest w tem wiele mojej winy, wiele może uchybienia, ale też z jego strony skłonność do złego humoru wiele się przyczyniła.

Oto na początku mego tu pobytu żyłem z niemi ciągle razem, całe dnie i wieczory przepędzałem na gawędce, razem chodziłem na obiad, słowem, bez za-dnej myśli zapisałem im wszystkie godziny mego życia. Tymczasem przybyło tu wiele ziomeków moich, sami Filowie powiedzą ci kiedyś, że nie szukałem ich zna-jomości i tak dalece stroniłem, że wszyscy prawie mu-sieli mnie pierwsi szukać w mojem mieszkaniu i pierw-si robić znajomość; a chociaż wszyscy zapoznali się z Teofilami, przywykli do kawalerskiego, biegającego i cygara palącego życia, powoli wszystkimi sposobami starali się mię przyciągnąć do swoich mieszkań, bo moje mieszkanie tak jest z Filów salonem połączone, że u mnie przesiadywać bez żenowania się nie mogli; stąd poszło, że po kilku tygodniach zacząłem rzadziej w domu siedzieć.

Z Zygmuntem biegaliśmy po odległych spacerach, wieczorami tak na żywych i pasjonowanych rozmo-wach czas nam zbiegał, że często wracałem do domu, kiedy się już Filowie spać położyli; przeczytałem był wszelkie moje prace Filom, które się im niebardzo po-dobały i mówili mi zawsze, że szlachta nie zrozumie. Młodzi moi znajomi z chciwością pożerali, cokolwiek im udzieliłem; wiesz, droga, że dusza najmědrsza wiele ma miłości własnej i choć się jej broni, jak może, mi-

mowlonie jednak woli pełne zapału pochwały, niż zim-ne i grzeczne pochwalenie krewnych. Nawet w tej smutnej walce z imaginacją ostrygającą potrzeba cza-sem, aby obcy dodali jaką skrę, aby obronili człowieka od rozpacz, do której wieść zwykła oziębłość ludzi są-dzących mnie. Rzadsze przesiadywanie w domu stało się przyczyną, że Filo okazywał mi się nieraz z zimną twarzą, często, wróciwszy ze spaceru, szedł prosto do okna i słowa do mnie nie wyrzekł; to mnie od siedze-nia w domu do reszty zniechęciło. Mając z niemi rok cały przepędzić, nie sądziłem, abym przez cały rok miał w domu siedzieć i tylko nad wieczór krok za krokiem wychodzić na zwyczajną przechadzkę z niemi razem, ja, co przywykłem prędko latać, czasem nic nie mówić, a czasem z jakim drugim szaleńcem gadać po szalo-nemu językiem imaginacyi.

Teraz Filowie wyjeżdżają może rozżaleni na mnie, że nie byłem takim, jakim być należało; czuję i cier-pię na tem i tobie, moja droga, powierzam tę jedną nową z moich żałości, abyś ty mię utuliła i przyrzekła mi, że kiedy mnie wszyscy porzucą i kochać przestaną, ty mnie nie porzucisz i będziesz kochała tak, jak gdy-bym ja był dobrym i szczęśliwym w zarabianiu na mi-łość ludzką! O! przeczuwałem ja, że oni nie przywiążą się do mnie i ze strachem rzucałem obcych ludzi, któ-rzy się byli przywiązali do mnie i lubili; piszę ci to, moja droga, abyś mogła mnie jeszcze pojąć i żałować, że ja z tak smutnemi myślami zostaję sam w Rzymie.

Ułożyłem już sobie, jak mam przepędzać mój dzień samotny: o godzinie 7-mej z rana będę wychodził na spacer, aby cokolwiek się chłodem orzeźwić, potem zajdę do kawiarni, potem około 10-tej wrócę do domu i w płóciennej belluzie będę marzył, pozapuszczawszy żaluzye i gryść się zapewne będę aż do godziny 4-tej, o której wyjdę na obiad, po obiedzie na spacer i wie-czór albo samotny, albo u pani Richthoffen, w której domu pierwszy raz w życiu będę się starał być jak

domowym i wyrobić sobie prawo przychodzenia nawet co dnia.

Wystaw więc sobie, droga, życie takie, wymaluj myślą naokoło młodego chłopca Rzym spiekle upałem przez dzień cały, bez drzew, bez zieloności i pomysłu, co on będzie robił? Jak na dobitkę przyjechał tutaj Gaj z żoną, ów młody niegdyś sowizdrzał; ten chce koniecznie, abym się z nim po Rzymie włóczył, bo on lubi gadać dużo, jak sam powiada, i potrzebuje koniecznie kogoś nudzić. Już dwa z niemi spacerowałyśmy: wczoraj byłem na kopule św. Piotra i włazłem aż do kuli pod krzyżem, gdzie 16 ludzi pomieścić się może. Widok na Rzym stamtąd bardzo piękny; cały dach kościoła podobny jest do jakiejś kolonii, nawet jest kilka domków rzemieślniczych i fontanna ciągle ciekąca. Chodząc po nim, człowiek czuje, że nie jest na ziemi i doznaje takiego wrażenia, jak chodzący po pokładzie okrętu; stamtąd idzie się na kopulę po bardzo dobrych wschodach, bez żadnego niebezpieczeństwa, do samej zaś kuli wchodzi się po drabinie, na którą ty, moja droga, pewnie byś polazła, bo pamiętam, jak jesteś odważną do takich przedsięwzięć. Architektowi zdawał się taki kościół bardzo łatwym do zbudowania, ja zaś myślałem sobie, że kiedyś jeszcze będę tak się drapał na piramidy, bo tak ciągle błakając się po ziemi, może kiedyś aż tam zabłądzę.

Moja droga! w ostatnim liście tak mało miałem od ciebie i o tobie, że mi dotąd smutno, aż mi żal dawniejszych twoich listów, gdzie przynajmniej musiałas, myśląc o mnie, dwie całe stronnice napełnić. Wożę z sobą ogromny pakiet twoich listów od najdawniejszych czasów, bo nie mogę się odważyć, abym najmniej z nich ważne i miłe zniszczył; osobno leżą w mojej komodzie, patrząc na listy siostry mojej Eglantyny, które także miłe mi są, bo sercem pisane. Odpisz, droga moja, do Filów do Neapolu a oni mi

list odeślą; lepiej bowiem zawsze pisać pod znajomym adresem.

Jeden tu z mieszkających malarzy zrobił teraz mój portret, osobiwie trafiony bardzo ładnie i bardzo podobny; zachowam go, bo mi kiedyś do litografii może bardzo będzie potrzebny, ale ci się postaram o dobrą kopię, którą przez wracających Filów odbierzesz. Jednak mam jeszcze trochę nadziei, że ty, droga moja, może z Mianowskim choć do Florencyi przywędrujesz; słaba to nadzieja i nie śmiem jej myślami karmić, aby nie rozkwitnęła nadto i nadto dręczyć mnie nie zaczęła. Jednak myśl ty o tem, droga! i napisz do Mianowskiego czyby się to uskutecznić nie mogło; tylko, moja droga, pamiętaj, że ja na spotkanie twoje nie mogę dalej pojechać jak do Florencyi; każdy do innego miejsca twój wojaż nie zbliżyłby nas i tylko mocniej dałby uczuć smutek i żal rozłączenia.

Adio! droga, luba moja, bądź zdrowa i nie potępij mię, nie wszedłszy w serce moje, serce pełne łez i boleści, przywykłe do jakiejś dzikiej samotności, albo do wzruszeń nagłych i ognistych, nie zaś do ciągłego zapiecowego życia; tak się Bogu podobało mnie stworzyć... a Sylka mówi, że jestem zupełnie stworzony na podobieństwo twoje.

Adieu, droga!

Twój Juliusz.

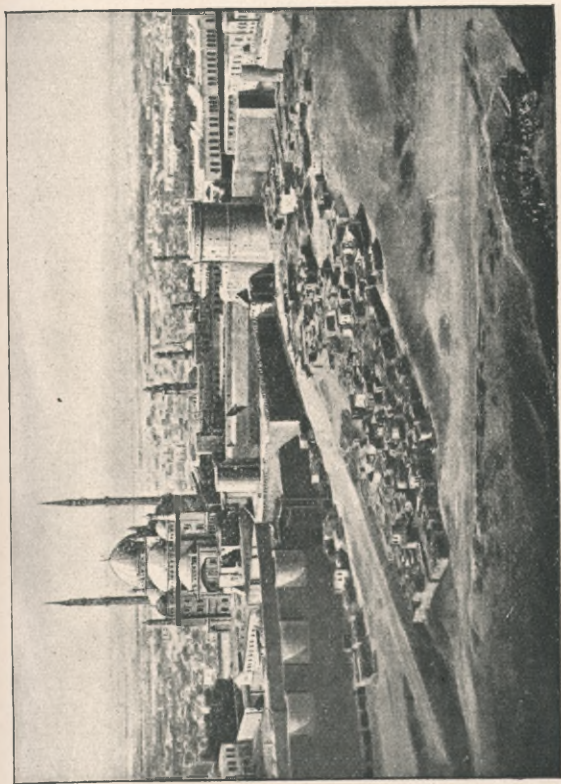
49.

Neapol, dnia 20 czerwca 1836.

Najdroższa moja! Od piętnastu już dni siedzę w oknie mojem, przy ulicy św. Łucyi w Neapolu, patrząc na błękitne morze, na Wezuwiusz, na Neapol, ciągnący się w półkregu na lewo, w dzień — biały, w nocy — jaskrawy tysiącem światła. Mam balkonik mały nad morzem, na balkoniku stoi krzesło i różę

wazon; w tem krzesle siedzę jak śpiący, pławiąc różne obrazy na błękitnym dymie tureckiego tytoniu; czasem podnoszę głowę i widzę... co? Teofilów z Gajostwem, siedzących na drugim balkoniku na górze i patrzących na morze. Tak zwyczajnie część dnia upływa w kontemplacyach. Pod wieczór robimy różne projekta spacerów, które czasem przychodzą do skutku a czasem, niezgodnością głosów zerwane, kończą się na tem, że każde z nas idzie w swoją drogę, to jest: Filowie na ludną i publiczną promenadę prowadzą się jak dwoje gołąbków, Gajostwo idą skupować lawy i obrazki, a ja wracam znów na moje siedzenie na balkoniku i przemarzam cały wieczór. Takie jest życie moje, niech go (jak powiada Adam) Słuchacz w duszy swej dośpiewa. Teofil lepiej i z większymi szczegółami opíše ci, moja droga, miasto, w którym mieszkamy; ja chciałbym ci tylko dać ogólne wyobrażenie kształtu tej stolicy: wystaw sobie brzeg, zabudowany domami w kształcie wielkiej litery E, z przydaniem kaligraficznego ogona pod spodem; na szczycie tej litery stoi Wezuwiusz, na pierwszym ząbku latarnia morska, na niższym, drugim załamaniu się litery, naprzeciw Wezuwiusza, nasz dom; cały zaś ogon ciągnący się dalej, zabudowany wielkimi domami, zamieszkały przez najmodniejsze figury, nazywa się Chiaj¹⁾. Wyjechawszy na morze, wykąsy brzegowe nikną i miasto wydaje się wielkim białym półksiężycem. W całym mieście mało rzeczy do widzenia, dosyć jest poznać ogólnie fizyognomią tej stolicy. Domy jasne, pańskie, bez dachów, oświecone słońcem, wielki ruch na ulicach, mnóstwo powozów, mało zawijających do portu okrętów. Zamek królewski wielki nad morzem, mnóstwo wojska ładnie i różnobarwnie ubranego, ciągle w ruchu, z muzyką, mniej księży niż w Rzymie, ale więcej niż w innych mia-

¹⁾ Czyt. Kłaja.



Cytadela w Kairze, Egipt.

stach: wszystko tak kolorowe jak bańka z mydła wypuszczona przez jakiego morskiego trytona, z daleka białe jak piana morska leżąca na brzegu, z której ja chciałbym, żeby wyszła jaka idealna Wenus i przejrzała się w tem wielkiem zwierciadle błękitu. Oto masz, moja droga, wyobrażenie Neapolu. Nie wiem, czy ty, co jak biedna jaskółka mieszkasz w glinianym domku, w cichej dolinie krzemienieckiej, będziesz mogła z tych kilku słów utworzyć sobie obraz jaki; ja wiem, że nigdy przedtem nie miałem, wyobrażenia o Neapolu, nie wiedziałem, jak ten Wezuwiusz stoi na straży z boku zatoki, otoczony u spodu białym wieńcem małych domków, nie wiedziałem, że można mieszkać o dwanaście kroków od brzegu morskiego i mieć morze dziedzińcem domu swojego, a Wezuwiusz latarnią stojącą u bramy. Szkoda, że dziś na tym latarniowym słupie żaden pan ziemski latarni zapalić nie może. Zachwycony jestem Neapolem a jednak za dwa dni myślę wyjechać na cichsze mieszkanie do Sorrento. Dlaczego? Wyznam ci, moja droga, że już mię przejażdżkowe życie dosyć zmęczyło. Myśl moja, która przez trzyletnią spokojność przywykła do wewnętrznego i ciągłego życia, tutaj gniewa się na mnie, że ją widokiem różnokolorowym ciągle zatrudniam i męczę. Wyznam ci także, droga, że mi braknie podpórki: podpórką nazywa się u mnie... trudno mi to wytłómaczyć, jest to coś, co mię kocha... coś co mię broni od myśli, że jestem samotny na świecie, jakaś postać, co mi patrzy ze łzami w myślące czoło i oczy; przywykłem nie do kochania czegoś, ale do lubienia czegoś na ziemi, dlatego jestem niespokojny, dlatego w Neapolu nie chce mi się długo siedzieć, a w Sorrento przywołaniem mocnych myśli będę się starał zapełnić tę czczość, która mię teraz nadto lekkim czyni i nosi po wierzchu wszystkich wrażeń. Raz tylko na Wezuwiuszu, patrząc na słońce wschodzące, odwróciłem się i modliłem się a łzy miałem

w oczach. Raz tylko od kilku miesięcy coś czułem więcej na mnie z tamtego świata. Ale czy wierzyć, droga, że Herkulanum i Pompei nie zrobiły na mnie żadnego wrażenia! Chodziłem po ulicach Pompei z cygarem w zębach jak po spalonej wiosce: uliczki małe, brukowane przed wiekami, z dwóch stron grobowce i domki bez dachów i sufitów, uróżowane jak stare kobiety szczątkami czerwonych malowideł; małe framugi wylepione muszelkami, z których niegdyś lały się źródła wody, dziś nie płaczące; świątynia Izys mała, z wyrocznią, która dziś restaurowana, ledwieby na małych dzieciach uczyniła wrażenie strachu; mały cyrk teatralny odkryty, ani przy jego kolumnach nie stoją zaschłe trupy aktorów, ani po schodach siedzą spaleni na węgiel słuchacze. Odgrywał na nim tylko Gaj komedję, bo chciał wziąć z murów mały kamyk marmurowy na pamiątkę, i cicerone¹⁾ odkrył rzecz i pamiątkę wyjął czułem, sentymentalizującemu wojażerowi z zanadrza. Ja na to wszystko patrzyłem, siedząc w łoży. Wchodząc do domu poety, towarzystwo odezwało się do mnie po polsku, abym pierwszy, jako poeta, progi przestąpił. Cicerone nasz przebiegły zaraz zrozumiał, o co rzecz chodzi, zaraz powołanie moje wywahał i dowcipnie się znalazł, bo przystąpiwszy do mnie rzekł: Ponieważ pan jesteś u siebie, więc mi coś daj! Na tak zgrabne przymówienie się, nie mogłem nie odpowiedzieć tylko brzęczącym słowem, które zaraz imię moje poety zamieniło w ustach cicerona na tytuł Ezzelenza²⁾, i tak uradowany guid³⁾ zaprowadził mię do najtajniejszych zakamarków poetycznego domu, pokazując mi różne bezwstydne i rozwiązłe obrazki. O! poeto starożytny, nie żal, że ciebie niepamięć zasypała a dom

¹⁾ Czyt. Czicerone — przewodnik.

²⁾ Czyt. Ecelenca — ekscelencya.

³⁾ Czyt. Gid — przewodnik.

twój popiół przywalił! Kiedy patrzę na Wezuwiusz i na białe domki u stóp jego nad morzem, myślę, czy nie możnaby w jednym z tych domków szczęśliwie pędzić życie; trzeba by tylko z trzykroć majątku. Wtenczas ty, moja droga, miałabyś mieszkanie z ogródkiem pełnym róż, tulipanów i anemonów, ja miałbym także cichą i żaluzjami zielonemi zasłonią pracownię, łódkę z białym żagielkiem na morzu, konia, a potem może miłą i dobrą żonę, różowe dzieci, a potem niechby choć popiół przysypał nasze grobowce!

Byliśmy także na Wezuwiuszu, wdrapaliśmy się w nocy po drodze pełnej lawy, oświeceni czerwoną pochodnią przewodnika, aż pod samą igłę góry, gdzie stoi mały domek pustelnika; było nas czterech, Filo, Gaj, muzyk Wański i ja; pustelnik dał nam kawał chleba, sera i trzy butelki wina Lacrima Christi; kazaliśmy podać podróżnych książkę i przypatrząc różne wpisy z Filem, przepędziliśmy większą część nocy bezsennie, potem zasnęliśmy na kilka godzin i przed wschodem słońca ruszyliśmy dalej. Trudno było się drapać po osypującym się popiole, ale wildok roztrzaskanego szczytu Wezuwiusza wynagrodził nam trud podjęty. Nic piękniejszego jak ten piekielny obraz żużlowych skał: niektóre czerwone się wydają jak ogień, inne złotym kolorem siarki umalowane bliżej od wschodzącego słońca, z niektórych miejsc wydobywają się małe kosmyki domu. Dalej ogromna przepaść krateru, żużle jeszcze gorące, a ciepłe powietrze wydobywa się z ziemi jak z pieca. Z tej równiny żużlowej widzieliśmy wschód słońca; nieraz już ta gwiazda zastawała mię na szczytach gór; może już mię zna z twarzy, witając mię tak często pierwszego na ziemi.

Świeżym porankiem zstępowaliśmy na ziemię. Ciała pustelnicza ocieniona lipami dziwnie się piękna i cichą wydawała; ksiądz spał jeszcze, bo go widać nie było. Usiadłszy na ławce kamiennej pod domkiem,

patrzyliśmy przez jakiś czas jeszcze na morze i Neapol. Cudowny widok. Zamiast domku małego, gdzie mieszka pustelnik obdzierający podróżnych, ludzie powinliby zbudować klasztor dla ludzi smutnych jak ja. Niechby stamtąd drugi wulkan modlitw leciał pod błękitne niebo. Na wulkanie przychodziły mi do głowy różne dziwaczne myśli: na przykład, myślałem sobie, czy nie byłoby cudem wielkim przyrodzenia, gdyby trumny złych ludzi zakopane w ziemi, przerzynały się przez nią jak strumienie i wpadały podziemnymi drogami do żaru wulkanicznego. Gdyby się tak działo od stworzenia świata, jużby się ludzie z tem tak oswoili jak z płynieniem rzek, z kwitnieniem drzew i z lataniem ptaków.

W podróży terazniejszej widziałem dwa miejsca, z którymi znałem się w operach na scenie. Jadłem obiad w karczmie Teracinie¹⁾, gdzie na genewskim teatrze w oczach moich rozbójnicy zabijali ludzi, i byłem w Portici, którą mi pokazywano na wielkiej operze w Paryżu, grając Niemą z Portici²⁾.

W Teracino mieliśmy także niemiłą i podobny do tatralnych awantur przypadek, o którym ci, moja droga, Fil, główny aktor z żoną swoją primadonną opery napisze. Nacierpieli się, namartwili, stracili dużo grosza, i teraz są jak żeglarz w Lamartinie, który siedzi na brzegu i patrzy na burzę przebitego morza. W Neapolu dobrze nam i spokojnie. Nie wiem co dalej będziemy z sobą robić, zależy to od paszportu Teofila. A dyrekcyja moich wędrówek także może niespodziany wążmie obrót. W Neapolu życie niebardzo drogie, zdaje mi się jednak, że trochę droższe niż w Rzymie; obierając miejsce pobytu na zimę, będę na to dobrane uważał, czy życie tu bez kosztu przeniesienia się do Florencyi, czy życie w tem ostatnim mieście z po-

¹⁾ Czyt. Teracinie.

²⁾ Czyt. Porticzi.

dróżą taniej mię kosztować będzie; zdaje mi się jednak, że jeszcze, aby dożyć końca tego roku, potrzebować będę około 50 dukatów, a to żyjąc jak najoszczędniej, zwłaszcza, że w każdym razie mogą mi kazać zmienić doktorowie tutejsi miejsce pobytu. Teraz mam się bardzo dobrze na zdrowiu, zaświadczą ci o tem, droga moja, Filowie; jeżeli tak dalej będzie, spodziewam się lat metuzalowych. Ale ty, moja droga, w ostatnim liście donosisz nam, że ci się znów pogorszyło. O! moja najmilsza! chciał ty mocno i proś mocno Boga, aby cię zachował długo, długo na tym świecie, gdzie bez ciebie już dla mnie słońca nie będzie. Adieu, droga moja! Twój *Juliusz*.

(List Teofila Januszeńskiego, objaśniający list poprzedni).

Przeprawę w Terracinie zapowiedział wam Julek rad nie rad muszę wam opisać szczegóły wypadku, który się wplątał do wędrówki naszej prawdziwie na to tylko, aby nam rachuby finansowe pomieszał! nie dziwcie się więc, że zacznę od prośby, abyście nam do Neapolu pieniędzy przysłali; myślimy tu zabawić lipiec, sierpień, może się i na wrzesień nieco zaciągnie. Nie mam tu żadnego bankiera znajomego, lecz spodziewam się, że pieniądze i listy adresowane Via St. Lucia da mare Nr. 28 znajdą mię, czy to będziemy w Neapolu, na Ischii¹⁾ lub w Sorrento. Otóż dla przechwalonej uroczystości Bożego Ciała, dla zabrania się z Julkiem i Gajami, wyjechaliśmy z Rzymu 4 t. m. dość kontenci, że opuszczamy kraj zbiedniony, że się przenosimy pod pogodniejsze niebo, że się zbliżymy wreszcie do ostatniego kresu wędrówki naszej, gdzie stanąwszy myślą powrotu osładzać sobie będziemy poniesione już i czekające nas jeszcze trudy i niewygody. Tak marząc, przejechaliśmy szczęśliwie błota

¹⁾ Czyt. Iskii.

pontyńskie, okolice zaludnione stadami, trzodami, przypominające bujne rozłogi nasze, zjedliśmy obiad w Terracino, mineliśmy wieżyczek kilka i brame państw papieskich, i kiedyśmy w najlepsze wytrzeszczali oczy, aby zobaczyć, jak też Neapolitańskie wygląda, straż graniczna tego pożądanego wówczas rajy zaczyna się wpatrywać na mój paszport, potem w jakiś papier, potem we mnie, zaczynają mi zadawać pytania, a po każdej uczciwej i sumiennej odpowiedzi mojej, ruszając głowami i wznosząc ramionami, powtarzają: *e lui, e questo!* po długiej i prawdziwie heroicznej scenie, wyjaśnia się rzecz cała. Zatrzymują Januszeńskiego, bo im nie kazano wpuszczać Januszeńskich i każą im wracać tam, skąd przybyłem, albo gdzie mi się podoba. Zostaje więc z Sylką na gruncie neutralnym, to jest pod progiem szafasiku strażniczego, na łasce dwóch mocarstw, na naszych dwóch tłumoczkach. Piszę do posła Matuszewicza, wyprawiam resztę towarzystwa jak najspieszniej do Neapolu i w połowie śmiejąc się, w połowie się gniewając, powracam z Sylką do Terraciny. Pierwszą pocztą odbieram odpowiedź Matuszewicza, który ubolewa nad omyłką i zaprasza mię jak najprędzej. Z listem biegnę za granicę, aby się dowiedzieć, czy rozkaz wpuszczenia mię już odebrali. Papiescy, znając mię, puszczają na grunt neapolitański, lecz ledwie dziesięć kroków zrobił, zawracają i jako przekradającego się pod strażą żandarmów każą mię do Terracino prowadzić. Szczęściem dla mnie przejeżdża generał żandarmeryi neapolitańskiej Lecca, który nas w hotelu w Terracinie widywał, gdyż tam mieszkał dni kilka, skupując konie, bierze mię w swoją opiekę, na granicy swego kraju każe mię puścić i tak nazajutrz z Sylką wyruszamy i drugiego dnia stajemy w Neapolu; opóźnienie to zabrało nam 7 dni czasu, lecz w życiu mieliśmy przyjemność, pierwszy raz w podróży naszej, wyjeżdżać do obcego kraju, gdzie nas

znajomi czekali, wyglądali... Dnia 23 rano powróciłem z Sorrento, gdzie Julek został i sam nie wiem, czy ruszymy na wiejskie, czy w miejskiem zostaniemy, bo wszystko drogo jak w Neapolu, a nie ma dogodności wielkiego miasta. Dnia 25 odwiedziliśmy Julka całem towarzystwem i powróciliśmy bardziej niż pierwszej wątpliwi, czy w Sorrento, czy w Neapolu lato przesiedzieć, zwłaszcza, że koszt jeden. Dziś rozstajemy się z Gajami, do których jużemy byli przywykli. Po Rzymie, Neapol zupełnie odrębnie wygląda: jest to zebranie ludzi ruszających się wiecznie, wiecznie mówiących, zawsze wesołych, obojętnych na wszystko, łakomie pożądlivych pieniędzy. Mieszkamy na brzegu morza, na ulicy, która jest stanowiskiem marynarzy i lazaronów, widzimy tedy pospólstwo w różnych jego zmianach: rano ruszające się do morza za swoim powszednim pokarmem, a w południe wysypiające się na słońcu, w wieczór przy oświeconych szafasikach krążące koło butelki, makaronów, baraszkujące, wrzaskliwe, a przecież jeszcześmy się nie gniewali na tułtejszych uliczników, tak jak nieraz bywało w Rzymie lub we Florencyi; widać więc, że tu lud lepszy, albo co bardziej do prawdy podobne, żeśmy się oswoili z ludem włoskim; ten krzyk, ciągły ruch i turkot powozów męczy i nudzi, i Julek jedynie uciekł z Neapolu, aby neapolitańskiego hałasu nie słyszeć. Co do zdrowia Sylka jak zwykle chuda, jednak nie jest gorzej; jeszcześmy się nie kąpali w morzu, bo lato spóźnione i dopiero łaźienki na morzu budują; zaczniemy z początkiem lipca kąpiele, nie tak często jak w Liworno i nie tak długie; tu myślimy doczekać od was pieniędzy, a za odebraniem na Rzym, Florencję, Medyolan, Munich do Wiednia wyruszemy, a z Wiednia ku domowi, bo zima nasza daleko cieplejsza pod piecem, jak we Włoszech przy kwitnących różach. Proszę więc was, abyście mi przysłali dość pieniędzy, tak, abym się o nich mógł zawlec do was. Teraz, po obrachowaniu

naszych zasobów, zostajemy od 27-go t. m. z 17 luidorami, niewielki zapas na taką odległość, przecież dostateczny na opędzenie miesiąca i większej połowy drugiego, bo wydatków niepotrzebnych dawno już nie znamy. Jeżeli można, przyslijcie 300 dukatów. Antoni, nie wyrzucaj mi ogólnikowych listów, przywieź ci pierwszy lepszy wojaż, będziesz czytał a ja dopełniać będę, jeżeli zażadasz, opowiadaniem. Skibiccy was pozdrawiają; zamieszkali w Neapolu i tylko na krótko myślą do Ischii¹⁾ wyjechać. Także tu bawią Hermanowstwo Potoccy, z temi się nie znamy. Bądźcie zdrowi, kochanego ojca ręce z uszanowaniem całuję, pozdrowicie znajomych, uściskajcie bliższych.

50.

Neapol, dnia 3 sierpnia 1836.

Najdroższa moja! Oto przybliża się chwila mojego rozstania się z Teofilami. Już się nam bliskość pożegnania uczuć daje: mimowolnie rozmowy nasze dłuższymi się stają, całe wieczory czasem opowiadają mi o tobie i o twoim domu, a ja słucham tego wszystkiego ze spuszczoną głową do ziemi i milcząc jako człowiek, który stara się każde słowo głęboko wryć w pamięć, bo wie, że ma znów zostać na długo sam ze wspomnieniami.

Przepędziłem miesiąc cały w Sorrento blisko Neapolu, sam jeden, bo Teofilowie miasta nie chcieli porzucić, ja zaś potrzebowałem przeżyć choć miesiąc jeden między drzewami, daleki od zgiełku brukowego i znalazłem sobie mały pokoik, z którego nic nie widać było prócz gaju cytrynowego i morza, za morzem w mgłę oddalenia Wezuwiusz. Całe dni przepędzałem z sobą samym i z Szekspirem; z razu chodziłem się

¹⁾ Czyt. Iskil.

kąpać w morzu i te kąpiele przez miesiąc cały brane nie przyniosły innego skutku, oprócz czasowego osłabienia, które ustało, skorom kąpieli zaprzestał. Życie moje wiejskie w Sorrento przypomniało mi dnie samotne, przepędzone w Veytoux nad brzegiem jeziora, i to podobieństwo dwóch chwil błędnego życia miłem mi było. Pisałem trochę, myślałem, czasem się modliłem, kiedy w blizkim kościółku grający organ dochodził do mojej cichej celi. Czasem, jak w obrazach włoskich albo flamandzkich słuchałem, oparty na murze, grającej na gitarze dziewczyny: była to młoda moja gospodyni, która mi ciągle dawała serenady; czasem, chodząc po górach, przypatrywałem się oryginalnym figurom Niemców i Anglików, którzy, przyrosli na grzbietach osłów jak centaury mitologiczne, zachwycali się widokami Sorrento. Zawsze widać mię było nad morzem w godzinę zachodu słońca, bo lubiłem słuchać powiewu wiatru, który, ciągle od morza na ziemię wiejący, w chwilę zachodu obracał się nagle i gonił za słońcem na morze, napełniony wonią drzew cytrynowych; i tak przeszedł mi cały miesiąc życia bez żadnej rozmaitości, oprócz dwóch listów od dobrej siostry genewskiej, które, pełne uczucia i smutku, przysłyły mię szukać cichego nad cichem morzem. Jednostajność takiego życia nie znudziła mię i byłbym dłużej pozostał w mojej zaciszy, gdyby nie blizki wyjazd Teofilów i nie chęć przepędzenia z niemi ostatnich dni mojego tu pobytu, zwłaszcza, że dla braku funduszków nie mogę ich odprowadzić do Florencyi i tu będę musiał czekać na przysłanie mi nowych zasiłków; z ostatnich bowiem rubli, odebranych jeszcze w Rzymie, zostało mi tylko teraz 25 dukatów, a końcu tego miesiąca będzie tylko 20, a po zapłaceniu podróży do Florencyi, nie miałbym co na kilka tygodni życia. W nowem zaś miejscu pobytu zostać tak nie mogę i wolę, wypożyczwszy cokolwiek grosza od Filów, czekać, aż mi go droga moja nadesłę, adresując pod moim imieniem do Neapolu, strada St. Lucia nr. 3.

Żądałbym, jeżeli można będzie, rubli 200, bo mi jeszcze wiele miesięcy do Nowego Roku zostaje, a chciałbym zawsze pojechać do Florencyi, gdzie jako w małym miasteczku życie przyjemniejsze, może nawet tańsze trochę niż w Neapolu. O dalszych moich projektach na wiosnę Filowie ci powiedzą, droga moja. Jeżelibyś, najdroższa moja, podług prośby w ostatnim liście moim zawartej posłała już dukatów 50 dla mnie do Neapolu, to niech mi doniesie Hausner, gdzie je mam odebrać, bo po wyjeździe Filów nie będą wiedzieli, gdzie mnie z listem szukać i nie wydadzą mi bez zawiadomienia przesyłającego pieniędzy na imię Filów adresowanych, ale spodziewam się, że przed nadejściem tego listu nie jeszcze wysłanego nie będzie. Na tem więc kończę interesu, że czekam w Neapolu i nie wyjadę stąd, aż mi cokolwiek nadesłać będziesz mogła. Zresztą nie jest mi tu źle, mam mały pokój z przeslicznym widokiem na morze i kiedy to piszę, pod oknami moimi przesuwają się po wodzie bat illuminowany, pełny ludzi, z przesliczną muzyką; jest to bal wydany przez jednego z cudzoziemców na morzu, który tak po kolacyi promenuje swoje towarzystwo; śliczny to dla mnie widok: jasny światłami bat prowadzi za sobą kilka ciemnych czółen, na których także musi być część towarzystwa, i najszczęśliwszego, bo ileż to ściśnień dłoni, ile rumieńców noc pokrywa i ten księżyc niepełny, wschodzący nad Wezuwiuszem, nie zdradza światłem błędem ukradzionego szczęścia. Widzę, lecz nie zazdroszczę; wolę z okna mojego patrzeć na te pełne lamp mary weselne, niż być na nich położonym z założonemi na piersiach rękami jak umarli. Już bat odpłynął, księżyc tylko cichy z kolumną światła na morzu, i cichy plusk bijącej pod oknami moimi fali... i nic więcej. Idę spać, bo już 2 godzina w nocy.

Powracam od Filów, u których co rano piję kawę, a potem kilka chwil mile przepędzam na gawędce, paląc z Filem lulkę; bo trzeba wam wiedzieć, że mszcząc

się nad nim za przybranie nieraz mentorskiego tonu, zamiast słuchania wujowskich nauk, nauczyłem go plawić myśli po falach błękitnego dymu i ziarno padło na dobrą rolę: dymi ciągle jak komin, a jeżeli Sylka wróci czarniejsza niż była, to nie od słońca neapolitańskiego, ale od ciągłego widzenia się przy tureckim tytoniu. Żałuję bardzo, że list mój dawny, w chwili jakiegoś spleenu pisany, zasmucił ciebie, moja droga, i dał ci zupełnie fałszywe wyobrażenie o mojem pożyciu z Filami; było to tylko przemijające nieporozumienie które nigdy tak daleko nie zaszło, aby nas rozdzielić i pogniewanemi rozłączyć. Jestem dosyć zły, nietowarzyski i wiele mam wad, nie tyle jednak, aby z kochanemi osobami pożycie moje niepodobnem było. Od lat sześciu z żadną się osobą pogniewany nie rozstałem, a jeżeli pomiędzy znanemi osobami mam jakich nieprzyjaciół, to nie charakterowi ani postępowaniu mojemu winienem, ale innym przyczynom. List nasz drugi z Neapolu pisany zapewne cię już, droga moja, uspokoił. Więc dosyć o tem.

Bywam tu na różnych teatrach, na które mię najczęściej ciągną moi znajomi. Opery tutejsze złe i nie bawią mię, komedia jeszcze gorsza, nudzi mię; raz zabawiłem się wesoło na teatryku St. Carlino, gdzie przedstawiają małe sztuczki ludu neapolitańskiego w neapolitańskim dyalekcie; oryginały wzięte z ulicy zdają się wchodzić na scenę i zupełnie w aktorach nie widać aktorów; z teatru tego można poznać ludu obyczaj; uczęszcza nań dobre towarzystwo, cudzoziemcy na nim bywają i wszystko się śmieje, skoro się kortyna podniesie. Nie zawsze jednak można trafić na dobrą sztukę. Prześmiewszy się czasem nad miarę, smutniejszy jestem potem, kiedy myślę o tej biednej mojej przyszłości.

Filowie za trzy miesiące będą ciebie ścisnąć, i łązy i uśmiech, i wykrzyknienie radości i powitania obcych lub przyjaciół napełnią wasz mały domek, a ja zawsze

nad mojem morzem sam jeden, tu albo gdzieindziej muszę tak przebyć długie jeszcze lata. Teraz jeszcze z głębszym żalem myślę o tem, żeś ty nie przyjechała do mnie, chociaż tak prędko i to szczęście musiałbym pożegnać. Nie wiem, czego żądać na tym świecie, gdzie wszystko się kończy i wszystko się krzyżuje jak te łódki, które teraz widzę na morzu, płynące różnemi drogami. Bądź zdrowa, droga moja. Filowie będą ci wkrótce opowiadać, jakim ja jestem w każdej dnia chwili: prędko ci opowiedzą wszystko, bo ani mój humor zmieniający się, ani rozmaitość wypadków w mojem życiu, nie czynią mnie różnym w różnych dnia chwilach.

Powróciłem z Sorrento trochę smutniejszy niż przedtem; teraz znów spokojność jakaś wróciła równowagę w mojem życiu i zdaje mi się, że tak będzie zawsze, bo już przeszedłem w stan petryfikacyi. Adio! Chciałbym ci coś miłego i pocieszającego napisać na końcu tego listu, ale same (!) tylko słowo pożegnania nastrocza się myśli mojej, tak wszelkie szczęście i nadzieja jest nie z serca mojego.

Twój *Juliusz*.

51.

Neapol, dnia 24 sierpnia 1836.

Droga moja! Zdziwisz się zapewne, odebrawszy list ten, na wsiadaniu prawie pisany. Wyjeżdżam na wschód do Grecyi, do Egiptu i do Jerozolimy; projekt ten oddawna zrobiony i kilka razy odrzucony ode mnie jako nadto straszne przedsięwzięcie, przyszedł nakońiec do skutku; odbędę sześciomiesięczną wędrówkę w towarzystwie Zenona Brzozowskiego, i w Aleksandryi połączę się z dwoma moimi współtowarzyszami podróży, Hołyńskimi; będzie więc nas czterech zgłębiających po Nilu aż do pierwszej katarakty. Nie lekaj się o mnie, moja droga, ani frasuj się o sposoby

dosyłania mi czego. Mam wszystko zabezpieczone a Filowie powiedzą ci, czego potem żądać będę. Wstrzymaj więc, najdroższa moja, wysłanie grosza, o który w poprzednim liście prosiłem, jeżeli zaś już wysłany, to niech zostanie w ręku Hausnera, do niego pisałem o to osobno. Filowie odradzali mi wояaż, ale kiedy się wahałem, czy go mam przedsięwziąć, czy nie, otworzona losem biblia zdecydowała mnie następującym wierszem: „Kościoły azyjskie pozdrawiają was.“ Może to, droga moja, weźmiesz za przesadę, ale wierszowi temu zawierzyłem i on mię prowadzi w daleką drogę. Dziś wieczór o godzinie 12 w nocy wyjeżdżam z Neapolu do Otranto. Stamtąd do Korfu, z Korfu do Aten, z Aten do Aleksandryi; taki przynajmniej mamy teraz ułożony plan podróży; jak go dalsze okoliczności zmienią, nie wiem. Spodziewam się, że ta podróż będzie mi użyteczną, chociażby tylko ustaliła moc charakteru, którego potrzeba do przedsięwzięcia i wykonania rzeczy, połączonej z trudami znacznymi, to już dosyć będę z niej miał korzyści. Obaczę nowe kraje, nowych ludzi, będę żył z nimi, będzie mię nosił wielbłąd karawany i pomyślę o śmierci na grobie Chrystusa. Będę się tam modlił za tych, których kocham, a potem z sercem pełnem pamiątek i obrazów wrócę do jakiejś cichej europejskiej samotności.

Lękam się, moja droga, abyś mi ty za złe tej podróży nie wzięła, ale cóż robić było z mojami kolegami, którzy mię tak zrećnie namówili i związali przysięgami, że się na odmówienie zdobyć nie mogłem. Zresztą, wierz mi, droga, że podróż ta, która ci się może nadzwyczajną wydawać będzie, widziana z brzegu Śródziemnego morza, nie tak straszną się wydaje; z Aten zapewne pisać będę. Smutno mi Filów rzucać. Ostatnie dni naszego tu pobytu prawie całe razem przepędzamy i mile nam przeszły na rozmowie smutnej ostatnie te godziny naszego widzenia się. Filowie zawiozą ci, droga moja, wanienkę z lawy na łzy

po Julku, a w tych łzach będziesz kąpać maleńkiego mego przyjaciela niegdyś w dzieciństwie, Homera, a ja idę zwiedzić miejsce śmierci Hektora i wołać głośno Milcyadesa na pustych Maratonu równinach. Wyznaj mi, droga, że mię jakiś niewiadomy duch z miejsca na miejsce spędza jak zmordowanego gołębia, nie pozwalając mi zasnąć, kiedy na jakiej gałęzi usiedę. Pomimo uporu, jaki nieruchawość moja stawia tej niewidomej władzy, ona mię wystrychnąć gotowa na wielkiego wojażera.

Droga moja, dziś wyjeżdżam i wiele jeszcze mam zatrudnień; nadto, ostatnie mi godziny zabiera obiad, na który z Filem proszony jestem; muszę ci więc krótko teraz pożegnać, pocałować myślą i ruszać w moją podróż.

Adieu! Przrzekam ci, że w najpiękniejszych miejscach, tam, gdzie najwięcej wspomnień rzeczy marzonych w dzieciństwie będzie się cisnęło do mojej duszy, będę myślał o tobie, droga moja: bo kiedy o Grekach dawnych czytałem, to oczy moje zwrócone z książki co dnia spotykały twarz twoją; więc i dziś, patrząc na ich pomniki, będzie ciebie szukał w powietrzu oczyma. Adieu.

Twój *Juliusz*.

52.

Otranto, dnia 29 sierpnia 1836 r. Poniedziałek.

Puściłem się nareszcie w moją pobożną wędrówkę — przez Grecję, Egipt do Jeruzalem i stoję już nad brzegiem morza Adryatyckiego tak, że podniósłszy nogę i wstąpiwszy w pierwszą falę bijącą o brzeg piaszczysty, mogę dać pożegnanie Włochom; czekam tylko na statek kuryerski, przyplływający co tygodnia do Otranto i z tego miasta wracający do Korfu, aby się dostać do tego anglo-greckiego miasta. Nie rozumiesz

zapewne, moja droga, co mię do takiej nakłoniło podróż? Ja sam prawdziwie nie mogę sobie wytłómaczyć, dlaczego z takim smutnym zapałem rzucam się w świat nieznajomy pełny niebezpieczeństw, gdy w Grecji rozboje, w Egipcie zaraza panuje? Myślisz, że chcę się coraz bardziej oddalić od ciebie — dlaczego?

53.

Bayrut, dnia 17 lutego 1837.

Najdroższa moja! Trzy miesiące upłynęło i pół, jak posłałem ci ostatnią wiadomość o sobie z Aleksandrii; ciągle w podróży, zawsze daleki miast portowych, w kraju, w którym nie ma regularnej poczty, nie było mi podobna prędzej uspokoić ciebie, moja droga, i teraz mam nadzieję, że list ten za pomocą mego towarzysza podróży, który się zbliża do Konstantynopola, dojdzie rąk twoich i całą niespokojność zakończy. Ale ja, kiedyż o tobie wiedzieć będę? Sześć miesięcy włóczę się jak waryat po świecie, widziałem tyle rzeczy, że nie pojmuję, jak oczy moje mogły wydołać zmysłowi wzroku; czułem wiele, byłem wesół, zachwycony, płakałem, miałem całe dnie pełne dumań, całe miesiące pełne roztargnienia, i dwie wielkie niespokojności: to jest niepokój o ciebie, i drugą niespokojność, żeż się ty o mnie troskać musisz. Zaczynając ten list, jestem prawdziwie jak człowiek powracający z dalekiej podróży, który ścisną za ręce, patrzy w twarz i nie mówić nie może, ale czeka, aż chwila spokojniejsza nadejdzie, aby zaczął opowiadanie.

Uważam już podróż moją za skończoną prawie; zwiedziłem Grecję, Egipt, Syryę, Palestynę i przybyłem do miasta portowego Bayrut, skąd ruszę prosto do Włoch. Czekam tylko, aż piękny czas nadejdzie i podróż morską zupełnie bezpieczną uczyni. Na miesiąc lub dwa zamierzam udać się do klasztoru Bet-

chesz-Ban. Tam będę pędził życie samotne, do szwajcarskiego podobne, towarzystwem mojem będą zakonnicy ormiańscy i jeden malarz Rzymianin, który do kościoła maluje obrazy. Miejsce, które obrałem na odpoczynek, jest jedno z najładniejszych w Syrii. Spodziewam się, że mi bardzo będzie przyjemnie spędzać trochę czasu w zaciszy na rozmyślanie, bo chociaż podróż ta bardzo mię zajęła, nieraz tęskniłem za spoczynkiem i spokojnością domku w Paquis. Pomimo wielu niewygód i złych przepraw, zdrowie moje służy mi przewybornie, i kiedy mój towarzysz, silniejszy stokroć ode mnie, nie mógł uniknąć lekkiego zapalenia oczu na łódce nilowej, ja zupełnie obszedłem się bez lekarstw, jakich nam dostarczył pewien nasz rodak, doktor w Kairze. Dziesięć dni ciąglej słoty wytrzymałem na koniu, ciągle wędrując ku Jerozolimie.

Ale o tem wszystkiem napiszę ci, moja droga, obszernie w drugim listku, który cię trochę później dojdzie; ten zaś niech cię tylko uspokoi o mnie, bo prawdziwie, że nie ma się czego lękać wschodnich krajów: klimat najpiękniejszy, wreszcie wszelkie niebezpieczne przeprawy już przebyte, pieniędzy mi wystarcza, mam kilku znajomych w tych stronach, nawet jednego księdza rodaka, który mi do klasztoru towarzyszyć będzie.

O! droga moja! żebym to ja za trzy miesiące we Florencyi zastał świeży list od ciebie, żebyś ty zdrowa była, jak o to prosiłem Boga całą noc czuwając przy grobie Chrystusa i o wiele innych rzeczy prosiłem Boga, ale o nic dla siebie. Moja droga, do której ja z różnych stron świata ciągle wracałem myślą, chcąc się z tobą podzielić każdym widokiem, każdym wrażeniem, dlaczego ty nie możesz być choć przez kilka chwil ze mną, teraz, w tej chwili... abym mógł płakać, położywszy twarz na rękach twoich. Spokoju!... Byłem nad jeziorem, gdzie niegdyś Chrystus z taką spokojną pokazywał się twarzą, choć bardzo cierpiał w głębi serca.

Bądź zdrowa! Uściskaj ode mnie Sylkę i Fila, jeżeli już są przy tobie.

Twój *Juliusz*.

Ten listek przez Smyrnę, drugi zaraz przez Konstantynopol piszę do ciebie, droga!

Wstaję z rana, towarzysz mój przychodzi mi powiedzieć, że pisał, aby ten list przez umyślnego kozaka był wyprawiony, mówiąc, że kiedyśmy oba mogli na koniu jechać przez dwa miesiące, to kozaków już odtąd tłukących się na siodle żałować nie trzeba. Mam więc jeszcze trochę czasu pogawędzić z wami, i zacząć opowiadanie podróży, które w drugim liście zakończyę.

Dnia 28 października przybyłem łódką do Kairu: pyszne miasto, piramidy z daleka widać było, pełno lasów palmowych, całe przedmieście w ogrodach.

Na drugi dzień po przybyciu do Kairu odbyłem podróż do piramid. Oba byliśmy na małych osiołkach i dziwnie na tem stworzeniu maleńcy wydawaliśmy się przy olbrzymich gmachach granitowych. Piramidy jednak nie tak mię zadziwiły ogromem. Beduini w białych płaszczach zbiegli się zewsząd, aby nam służyć za przewodników i biorąc nas za ręce, wciągali przez ciemne granitem wykładane korytarze aż do małych pokoiów, we wnętrzu piramid będących, w których stały dwie niegdyś, dziś tylko jedna granitowa trumna. Wyszedszy z ciemnych piramid, zacząłem się drzeć po kamieniach aż na ich szczyt, wciągany zawsze za ręce od dwóch Arabów. Byłem na szczycie najwyższej piramidy: cudowny widok! Szczyt Faulhorna, kopuła św. Piotra, Wezuwiusz, Piramidy, były to dla mnie jak najwyższe gałązki na drzewie, na których ja, biedny ptaszek wędrujący, siadałem na chwilę, aby odetchnąć. Widziałem więc piramidy, ale za to straciłem obraz, który sobie o nich moja imaginacya tworzyła.

W Kairze uliczki małe, mnóstwo sklepów; przed wyjazdem z tego miasta pokazano mi w sklepie biały płaszczyk z wełny, robiony w Tunisie a zwany burnus. Wybrawszy najcieńszy, jaki tylko był na Wschodzie, kupiłem go dla ciebie, moja droga, myśląc, że ci dobrze będzie obwinąć się w niego, jak w lekkie i miękkie prześcieradło, i tak leżeć na swojej małej kanapie. Mój towarzysz obiecał mi, że cię ten płaszczyk tunetański dojdzie. Drugi taki płaszcz, ale gruby i popolity, okrywa mię jadącego na koniu, a w Jeruzalem nadawał mi postać krzyżaka.

Widziałem targ niewolników i jedną ładną Abisynkę, za którą dawano już 1000 fr.

Dnia 6 listopada, wzięwszy na miesiąc łódkę z ośmiu marynarzami, którzy zupełnie byli na nasze rozkazy, jak niewolnicy, puściliśmy się Nilem ku pierwszej katarakcie, szukając spotkać się z dwoma Hołyńskimi, którzy nie doczekawszy się; puścili się przed nami w tę drogę. Śliczna podróż! Rysowałem wiele, słowa bowiem były niedostateczne do wydania wszystkiego, co uderzało w oczy. Mnóstwo żórawi lecących po błękicie, mnóstwo innych ptaków wodnych, chmury gołębi, unoszące się nad wioskami, wioseczki z ziemi bite, najczęściej w lasach palmowych stojące, czasem ogromne skały i sępy wielkości człowieka, siedzące o zachodzie słońca na górach, nareszcie przy Siut pierwszy krokodyl leżący na piasku, dla którego porwali się od stołu, aby mu się z bliska przypatrzeć, wszystko to tworzy teraz w imaginacji sen bardzo piękny.

Spotkaliśmy Hołyńskich w Denderze; jakże to była wielka przyjemność obaczyć pawilon na łódce, spotkać ich, pójść razem do przepysznego kościoła w Denderze, obaczyć ruinę, o jakiej się nawet wyobrażenia nie miało: kościół ten zaledwo się ruiną nazwać może, tak jest cały, tak piękny.

Na drugi dzień pożegnaliśmy Hołyńskich, którzy już po odbytej podróży do Kairu wracali i pojechaliśmy sami do katarakty.

Opisać wszystkich wam gmachów niepodobna, wojaż jak lepiej to uczyni jak list krótki.

Mnie miło było polować na piaskach, rysować szkice pomników, chatek, dumać i myśleć o tem, że jestem w Egipcie.

Przyjechawszy do katarakty, wzięliśmy na dzień jeden osiołki i ruszyliśmy, objeżdżając Nil, do Nubii, aby widzieć wysepkę Philae¹⁾. Śliczne miejsce, śliczne ruiny. Imieniny twoje, moja droga, 29 listopada, o których bardzo pamiętałem, przepędziłem na Nilu, zbliżając się do Thebów. Ruiny tego miasta przechodzą wszystko ogromem. Ale najbardziej mi się podobała statua Memnona i druga statua przy niej stojąca; widziałem je o wschodzie i zachodzie słońca, są to olbrzymy granitowe, wysokości domu trzypiętrowego, siedzący cicho na ogromnem polu, twarzami obróceniem na wschód. Na nodze Memnona znajdują się rzymskie napisy; jeden z tych przed wiekami zmarłych wojaków napisał na granicie: słyszę Memnona, i słowa te w czasie teraźniejszym napisane, a o tak dalekiej świadczące przeszłości, dziwnie zasmucają biednego człowieka. Osiołka braliśmy, zwiedzając Thebów ruiny; za osiołkiem moim biegła piechotą właścicielka jego, bardzo ładna bronzowa dziewczynka, która umiała jedno tylko słowo, nibyto włoskie: Mangeria, i z litością minką o takie mangerie upominała się. Widziałem Arabów, którzy konno usiadłszy na łopacie, przepływają Nil, nie bojąc się krokodyłów.

Oprócz jednej burzy Nilowej, podróż tę odprawiłem we wszelkiem bezpieczeństwie; konsul mój otrzymał mi firman Baszy, który z największym uszanowaniem Arabów odczytywali. Dnia 10 grudnia, to jest

¹⁾ Czyt. File.

po trzydziestokilku-dniowej podróży na Nilu, wróciliśmy do Kairu, gdzieśmy zastali kilku rodaków, już dawniej znajomych, oraz Hołyńskich.

Pięć dni przepędziliśmy znowu w tem mieście i potem, wsiadłszy na wielbłąda, kupiwszy sobie namiot, z dwoma służącymi i beduinami puściliśmy się przez pustynię z Kairu do Gazy. Nie wystawisz sobie, droga, jak to dziwnie wsiadać na klęczącego wielbłąda, jak się to trzeba trzymać siodła, kiedy wielbłąd się podnosi i trzy razy rzuca człowieka w różne strony, wstając na nogi; lecz jeszcze nieprzyjemniej jest siedzieć na nim, kiedy kłeka, zdaje się, że się dom pod człowiekiem wali. Wielbłądy idąc drogą, pasą się wonnym tamaryntem, i beduini pędzili nas jak pasącą się trzodę. Życie takie i podróż taka ma dziwny powab. Czas był najpiękniejszy.

Pierwszą noc spaliśmy w grobowcu świętego tureckiego: była to mała biała kapliczka z kopułką, święty nieboszczyk leżał po jednej stronie, my po drugiej. Cienki mur nas przedzielał, w którym były dwa okienka i przez te mieliśmy ze ś. p. komunikację. Wielbłądy leżały wieńcem koło ognia przed grobowcem, nad tą kapliczką rosło wielkie czarne drzewo, w którym całą noc śpiewał puszczyk. Potem co wieczora rozbijaliśmy nasz podróżny namiot, przez ośm dni bowiem jedną tylko widzieliśmy wioszczkę. Małe różne wydarzenia takiej podróży stają się bardzo znacznymi i urozmaicają ją dziwnie. Czy to kilka gazeli skaczących po stepie, czy ślad hyeny, czy spotkanie karawany, czy widok samotnego beduina, który ze swoim wielbłądem przebywa pustynię i obok naszych ogniów swój ogień rozkłada, nic z tych rzeczy nie jest obojętnem. Zachody słońca pyszne, krzaki cierniowe palące się lekkim płomykiem jak koronki brabanckie, słowem przyjemna podróż w pustyni; ażeśmy przybyli do El-Arisch, gdzie trzeba było siedzieć pod namiotami dni dwanaście kwarantanny.

Ale o tem i o dalszej podróży w następującym listku. Teraz jeszcze raz całuję ciebie serdecznie, droga moja, i proszę bardzo ciebie o list do Florencyi, bo za trzy miesiące będę tam, a jeszcze lepiej, żebyś mogła drugi list do Livorno napisać, gdzie mi go do kwarantany przywiozą. Tak, proszę cię, droga, napisz do Livorno poste-restante, i to nie bardzo spóźniając.

54.

Bayrut, dnia 19 lutego 1837.

Droga moja! Przed dwoma dniami wyprawiłem list do ciebie, moja droga, z opisaniem podróży egipskiej; inną drogą wyprawiono teraz tę ówiarstkę, spodziewając się, że jeżeli nie obie, to jedna przynajmniej rąk twoich dojdzie: z tamtego listu dowiesz się, jak pływałem po Nilu, jak przez pustynię jeździłem na wielbłądzie; teraz opiszę ci moją kwarantannę w pustyni przy maleńkiem miasteczku El-Arisch.

Wystaw sobie, droga, że po ośmiu dniach podróży w piaskach, dano nam na odbycie kwarantanny dwunasto-dniowej równinę piasku, gładką jak stół, otoczoną wzgórkami piaszczystymi do koła i nie więcej. Wyznaczono tylko miejsce, gdzie miały stać nasze namioty, określono obręb, za który nie mogliśmy przechodzić i zostawiono na łasce Pana Boga. Wszakże do maleńkiego namiociku, który i z sobąśmy mieli, przydano dwa drugie, jeden dla nas, drugi dla ludzi, ale ten ostatni tak podarty, że słońce było w nim panem. Do koła żadnego mieszkania, gdzieby się można schronić było na przypadek deszczu, słowem miejsce smutne, którego cisza przerywana tylko była dalekim szumem Śródziemnego Morza, i po dwóch innych stronach horyzontu widać było dwa smutne palmowe lasy. Rozlokowaliśmy się nareszcie na tym piasku, wygrzebaliliśmy w nim kuchenkę, ja wziąłem namiot wielki, mój

towarzysz w naszym własnym maleńkim rozłożył swoje graty i tak zastała nas wigilia Bożego Narodzenia. Wieczorem towarzysz mój, dobywszy zapomnianego czakana, zagrał mi wiejską kolendę, której słuchałem z rozczuleniem, leżąc na dywaniku w mojej budzie. Podziękowałem mu i wieczór nadszedł. Wtem niebo okryło się chmurami, burza piorunowa, ale najokropniejsza ze wszystkich burz, nadeszła i trwała całą noc, to jest 13 godzin. Nie możecie sobie wystawić, jaką okropność miała dla nas obu leżących w osobnych namiotach ta noc bezsenna, której każda chwila zdawała się ostatnią, tak gromy były okropne, bliskie i gęste. Świeca, kilkakrotnie zapalona, zawsze gasła, deszcz przedarł się przez płótno namiotu, a kałuże podmywając nasze łóżka, położone na ziemi, zmusiły nas do zwinienia wszystkiego w jeden pakiet i sami byliśmy parasolami naszych rzeczy. Nakoniec nad ranem ustała burza i deszczyk lekki tylko pozostał. Wyszedłem, aby zobaczyć, co się z moim towarzyszem stało i winszowaliśmy sobie wzajemnie. Wtem patrzę, aż mała rzeczka, płynąca przez dolinę, wzbiera, przerwywa brzegi i białymi krągłemi falami bieży prosto na nasze namioty. Zrazu nie mogłem pojąć, co to znaczy, tak widok tej nowej inondacyi nowym był dla mnie. Wkrótce poznałem całe niebezpieczeństwo i z pomocą sług znieśliśmy namioty i rzeczy nasze w kwadrans czasu na mały piaszczysty wzgórek, a woda zajęła miejsce nasze w dolinie. Tak więc dzień pierwszy świat pochmurny przeszedł nam smutno suszącym się na górze; głodni, bo o kuchni myśleć nawet nie było można, przemokli, bez namiotów, spać musieliśmy na wilgotnym piasku, nakrywszy go mokrą rogożą i dywanem; potem czas piękny wrócił i trwał aż do przyjazdu naszego do Gazy. Pod namiotem także na piasku zastało nas trzęsienie ziemi, które w Syryi do szczytu wiele miast pochłonęło: widziałem sam Tybe-

ryadę, w której blisko 500 ludzi zginęło, a domu jednego całego nie zostało.

Nie będę ci opisywał Gazy ani Jaffy; w tem ostatnim mieście miałem zastać Olesia Szpitznagla, będącego wicekonsulem, ale oczekiwanie moje zawiedzione zostało, pojechał był bowiem na greckie święta do Jeruzalem, a stamtąd miał się udać do góry Synai. Myśl, że go nie zobaczę, martwiła mię i śpieszyłem do Jerozolimy, aby go przed dniem wyjazdu choć raz widzieć i uściskać.

W Jeruzalem stanąłem dnia 13 stycznia o godzinie 9 w nocy: bramy miasta zamknięte, cisza grobowa, księżyc, szczekanie psów, odpowiadające na nasz stuk do bramy, niepewność, czy firmy nasze otrzymają nam wejście, czy trzeba będzie na polu nocować, jakieś wspomnienia krzyżackie... wszystko to pamiętnem mi uczyniło przyjazd do Jeruzalem. Nareszcie po 2 godzinach otwierają się bramy, zajeżdżam do klasztoru. Szpitznagel, słysząc głos cudzoziemców, schodzi na dół, biorę go za ramiona, obracam ku sobie, mówię mu: Oleś... nie poznaje mię. Pytam go po kilka razy: „Jak to? czy mię nie znasz?“ — odpowiada mi po trzykroć: „Niech pan daruje, ale prawdziwie nie przypominam sobie.“ — Nakoniec musiałem ze ściśnionem sercem wymówić moje imię i nazwisko... Jeżeli mi była przykrą ta chwila, to jeszcze przykrejsze pożegnanie jego nazajutrz, bo go ani na pół dnia zatrzymać nie mogłem. Przyszedł do mnie i wzięwszy za rękę, powiedział: „do zobaczenia.“ Oddawszy mu uściśnienie, z dosyć gorzkim uśmiechem odpowiedziałem, że jeżeli wyjeżdża, to już zapewne nie do zobaczenia żegnać się trzeba. Cały ten dzień było mi smutno.

Z dnia 14 na 15 miałem przepędzić noc u grobu Chrystusa. Na wspomnienie tej nocy tak miałem rozigrane nerwy, że łzy rzucały mi się z oczu. Noc

u grobu Chrystusa przepędzona zostawiła mi mocne wrażenie na zawsze. O godzinie 7 wieczór zamknięto kościół, zostałem sam i rzuciłem się z wielkim płaczem na kamień grobu. Nade mną płonęło 43 lamp. Miałem biblię, którą czytałem do 11 w nocy; o pół do 12 weszła do grobu młoda kobieta i mężczyzna, jak sądziłem małżonkowie, którzy musieli mieszkać w klasztorze i zrobili wotum odmawiać co dzień pacierz w nocy na grobie. Jakoż oboje pomodlili się krótko, pocałowali kamień a potem, przyszedłszy do mnie, oboje pocałowali mię w rękę. Tak byłem zmieszany, że nie wiedziałem, jak się znaleźć. Wyszli, zostałem sam. O północy dzwon drewniany obudził w kościele księży greckich. Różne wiary, każda mająca swoją mniejszą lub większą zagrodę w tym gmachu, budzić się zaczęły na głos tego dzwonu. Grecka bogata kaplica oświeciła się lampami, na górze ormiański kościółek zapalił także świece i zaczął swoje śpiewy. Kopt, mający małą drewnianą klatkę, przyczepioną do katafalku pokrywającego grób święty, także, jak widziałem przez szczeliny, zaczął w swojej altanie dmuchać na żar i gotować samotne kadzidło. Katolicy także w dalekiej kaplicy zaczęli śpiewać jutrznię, słowem, o północy ludzie obudzili się, jak ptaszki w gzymsach jednej budowy budzą się, świergocąc o wschodzie słońca. Grecy na grobie odprawiali Mszę, potem Ormianie, o drugiej zaś w nocy ksiądz rodak wyszedł ze Mszą w imieniu mojej ojczyzny, a ja klęcząc na tem miejscu, gdzie anioł biały powiedział Magdalenie: *Nie ma go tu, z martwych powstał!* — słuchałem całej Mszy z głębokim uczuciem. O trzeciej w nocy, znużony, poszedłem do klasztoru i spałem snem dziecka, które się zmęczy łzami.

Jeździłem do morza Martwego, do Betleem, gdzie na żłóbku Chrystusa także słucham odprawianej Mszy. Wszystkie te okolice Jerozolimy napełniają serce jakąś prostotą i świętością. Miło być w pro-

stej grocie, gdzie anieli zwiastowali pasterzom narodzenie się Pana. Miło widzieć wioszczkę Jerycha, niegdyś zrujnowaną głosem trąby wodza boskiego. Ale żeby opisać wszystkie te szczegółowe wypadki i wszystkie wrażenia, jakich się doznało, deptać ziemię Palestyńską, trzeba by na to dzieła...

A ziemia tu, o droga moja, jak piękna! Jakimi ranunkułami ognistego koloru i błękitnej farby okryta, jakie narcyzy, jakie irysy, jak podobna do pięknego kobierca! Góry tylko, na których stoi Jerozolima, dzikie, nieplodne, nadają temu miastu straszną fizjonomię; okropną jest dolina Józafata. Z pod oliw Chrystusa wziąłem ziemi na moje martwe oczy. Byłem w Nazarecie, w Napluzie, nareszcie przyjechałem do martwej a świeżo umarłej Tyberyady: w mieście ledwo trochę żywych ludzi a wszyscy kogoś płaczą... Jezioro, gdzie Chrystus wsiadał do łodzi, nauczając lud, błękitne i spokojne, otoczone górami, na jednej z tych stał się cud rozmnożenia ryb i chlebów. W mieście, nie znalazłszy między ruinami miejsca na łóżko, nocowałem na murawie pod gołym niebem; a kiedy się obudziłem i odkryłem głowę, widziałem księżyc późno wschodzący nad jeziorem genezaretańskim.

Stamtąd w 5 dni stanąłem w Damaszku: miasto podobne do Kairu i nieinteresujące, a jednak bardzo piękną ma okolicę. Nakoniec, przebywszy śnieżny Antiliban, znalazłem się między ruinami prześlicznymi Balbeku. Pamiętasz, droga moja, że kiedyś a temu bardzo dawno, leżało u nas na fortepianie dzieło wielkie, z ogromnymi sztychami, o ruinach Balbeku i Palmiry; stojąc między kolumnami rzeczywistymi teraz, przypominałem sobie te chwile dzieciństwa, kiedy je przeglądałem na obrazku i serce moje było pełne smutku. Liban, także śniegiem pokryty, przejechałem konno szczęśliwie; od wyjazdu mego z Kairu dwa miesiące jak jestem na siodle i dobrze mi z tem; śniegi gór także mię dalekimi napełniały wspomnieniami;

teraz zjechałem do kraju, w którym najpiękniejsza wiosna: jedne drzewa nie straciły zieloności, drugie się w nią teraz ubierają. Migdały pruszą kwiatem, słońce pyszne, słowem, jest to prawdziwie ziemia obiecana. Nie wyruszę z niej, aż za dwa miesiące. Nie pojedę do Konstantynopola, bo mnie to miasto nie wiele interesuje; wolę jeszcze poznać się z Libanem i z chrześcijańskim ludem Maronitów.

Powiedz, droga moja, Hersylce, że panny Malagamba nie widziałem, bo nie byłem w miejscu, gdzie mieszka; ale widziałem mnóstwo cudownie pięknych twarzyczek, niech więc mię bardzo o niestałość i lenistwo nie obwinia.

Z niecierpliwością czekam listu od ciebie w Livorno, droga moja. Czasem okropne myśli przechodzą przez moją głowę i serce, potem ufam w Boga i spokojniejszy jestem. Napiszcie mi obszernie, aby mi list wasz wynagrodził tę długą niespokojność. Jeden tylko list z Genewy odebrałem w Kairze, zresztą nie wiem wcale, co się dzieje ze znajomymi i z miłymi osobami. Co też Filowie, powróciwszy, nagadali ci o mnie, droga moja? czy mię jeszcze trochę kochają? czy się im powiodło z ciotunią? A ty, droga moja, czy mię także kochasz i nie masz mi za złe tej podróży? Czy listy moje do tak dalekiego echa podobne, nie bardzo smutno brzmią w twoich cichych pokojach? Bo powiedz, droga, cóż ja mam robić na tym świecie: trzeba lecieć, gdzie wiatr mię powieje i modlić się u Chrystusa, aby mi dał kiedyś ciszę i spokojność, a mam ufność, że ta podróż zupełnie bezużyteczną nie będzie, choćby tylko promień wspomnień takich pięknych miał upaść na starość moją, jeżeli dożyję starości... Kiedyś, usiadłszy z tobą na cmentarzyku krzemienieckim, będę ci opowiadał o grobach dawnych wielkich ludzi i o pomnikach starych wieków. A słuchając moich wspomnień, będziesz się tak

uśmiechać jak niegdyś, słuchając marzeń moich o przyszłości.

Bądź zdrowa i szczęśliwa, najdroższa! najmilsza moja!

Juliusz.

55.

Na morzu, dnia 14 czerwca 1837.

Moja droga! Od czterdziestu dni jestem na morzu i mam nadzieję, że za dwa dni wyładuję w Livorno, gdzie będę musiał odbyć dni 30 kwarantanny, nim do Florencji się udam. Tak długo bez żadnej od ciebie wiadomości! z niespokojnością zbliżam się do Europy i te czterdzieści dni, które będę musiał wysiedzieć zamknięty, są dla mnie prawdziwą męką, bo spodziewam się, że we Florencji listy na mnie twoje czekają. A ty, droga moja! ile ja ciebie niespokojnych nabawiłem nocy moją podróżą? Ty mi nieraz wyrzucać musiałaś moją wędrówkę: tobie się zapewne strasznymi wydawały morza, które ja bez żadnego niebezpieczeństwa przebyłem. Piaski afrykańskie, gdzie mi tak było wygodnie jak na spacerze w lekkiej lektyce niesionemu, bo siedło kołysane na wielbłądzie do snu łagodnie kołysze; lecz ty wiesz już o mojej podróży, jeżeli, o czem nie wątpię, odebrałaś dwa listy ostatnie z Bayrutu pisane; wkrótce może dojdzie rąk twoich i dziwny płaszczyk tunetański, który przez Odesę wędruje z Kairu.

Ostatnie dni mego pobytu w Syrii po rozłączeniu się z Zenonem, który do Konstantynopola ziemią konie kupione poprowadził, przepędziłem w klasztorze na górze Libanu, zwanym Betcheszban, czyli spoczynek umarłym w języku syryjskim. Miejsca prawdziwie bezludne, klasztor zbudowany na skale, dobrzy księża ormiańscy, piękne kwiaty, rozwijające się wiosną na górach, rozległy widok na morze z mojej celi, wszystko to miłe mi zostawiło wspomnienie.

Na dowód, jak pozyskałem przyjaźń księży, opiszę wam tylko mój wyjazd. Dobrzy ojcowie zasmuceni, że ich porzucam, dali mi wszelkie prowizye na drogę i wino; lecz kiedy przyszło osła dźwigającego rzeczy ładować, pokazało się, że ogromnego butla wina udźwignąć nie mógł. Radośny byłem z tego zdarzenia, bo myślałem, że się zdołam wymówić od przyjęcia podarunku, lecz niestety! księża wysłali za mną człowieka, który na żyłastych ramionach przyniósł za mną, trop w trop lecąc, butel aż do Bayrutu. Gdybym miał jaki mój własny domek w Europie, schowałbym ten doskonały trunek, aż się kiedyś zjedziemy; lecz ponieważ niepodobna mi jest włożyć się z nim po świecie, więc go pijam, czyli raczej co niedzielę częstuję nim sześciu ojców kapucynów, którzy na jednym ze mną okręcie wracają z Ziemi świętej, i tym sposobem zyskuję sobie u nich wielkie poważanie i, ponieważ są Hiszpanie, tytuł Don¹⁾ do mego imienia.

Ale wróćmy do klasztoru libańskiego. Przepędzałem dnie całe na dumaniu; wieczór szedłem do małego źródła, gdzie dziewczęta wiejskie przychodziły czerpać wodę i rozmawiałem z niemi po arabsku, a trzeba wiedzieć, że cały mój arabszczyzny zabytek składa się z 200 wokabuł bez spojeń słów i przypadkowych zakończeń. Nie raz matrony syryjskie dawały mi rękę, abym je brał za puls, myśląc, że jestem doktorem; każdy bowiem Europejczyk na Wschodzie uważany jest za doktora. To mnie dziwnie bawiło. Choć życie moje w klasztorze przez 45 dni było dosyć niezabawne, wyjeżdżając z niego uczułem dziwną tęsknotę. Ja miałem przed sobą podróż i włóczęgę, ci spokojni zostawali w swoich celach; dziwnie zazdrościłem im jedynostajności życia. Nie zapomnę nigdy wrażenia, jakie uczyniło na mnie ostatniego ranka, kiedym się obudził, stuknienie do drzwi, które rozbu-

¹⁾ Don — pan, tytuł dawany wybitnym osobom.

dzało śpiących po celach zakonników. Tak było tego poranku, tak miało być jutro, tak zawsze dla nich, a ja wyjeżdżałem do Bayrutu, gdzie miałem wsiąść na okręt i ruszać do Europy, gdzie nikt mię nie czeka, gdzie się ja niczego nie spodziewam. Siadłem na kół, przewodnicy i muły z rzeczami szły za mną, potem człowiek z butlem na plecach, i cała krotchowilność takiego orszaku rozweselić mię nie mogła. Obejrzałem się, byłem na dole, klasztor rysował się na niebie, a na dachu klasztornym płaskim stały małe czarne figurki. Byli to księża, którzy mię oczyma przeprowadzali. Dzień Wielkiejnocy przepędziłem w tym klasztorze i przyjechał umyślnie ksiądz jezuita, ofiarując mi się na spowiednika; z razu nie chciałem tego uczynić, lecz jego przyjacielskie nalegania tyle sprawiły, że wypowiadałem mu się ze wszystkich grzechów mego życia. Ale kiedy w szarej godzinie poranku uklęknąłem przed nim, chcąc wymówić pierwsze słowo, rozplakałem się jak dziecko, tak mi to przypomniało dawne lata, dawną niewinność, wszystko, od czego mię później długie lata oddzieliły... Po skończonej spowiedzi ksiądz wstał, uderzył mię po ramieniu i rzekł: „Idź w pokoju, wiara twoja zbawiła ciebie.“

W tym klasztorze kilka razy przyśniłaś mi się ty, moja droga, i te sny prawdziwie że mię w jakieś obłąkanie wprawiły. Powróciwszy do Bayrutu, nie znalazłem, jakim się był spodziewał, okrętu do Europy, i przez 40 dni w hotelu mieszkając, czekać na niego musiałem. Pierwsze dnie mojego pobytu w tem mieście były nieznośne: konsul mój dawał mi książki do czytania i w domu jego czasem kilka godzin wesoło przepędziłem. Nakoniec zdarzył mi los, że przyjechało do Bayrutu dwóch moich rodaków, w służbie baszy będących; ci krótko bawili, ale po nich, przyjechał z Jerozolimy starszy Hołyński, brat tego, który mię do podróży namówił. Nie znałem go i myślałem,

że w towarzystwie jego nie znajdę przyjemności, ale przeciwnie, on sam pierwszy zbliżył się i związał się ze mną: całe dnie potem spędziliśmy razem, chodząc na spacer, rzucając spojrzenia ukradkiem na zakryte wschodnie piękności, słowem, dobrze nam było i mnie dobrze, bo znalazłem w nim przyjaciela. Kiedy miałem wyjeżdżać, Hołyński sądząc, że moja kiesa wypróżniła się, różnymi sposobami starał się wszcząć dyskurs o pieniądzach. Nareszcie jednego wieczora zaczął mówić, zająknął się i przestał; ścisnąłem go za rękę, kończąc sam zaczęta przez niego frazę. Dobry chłopiec rzucił mi się na szyję i rozplakał się rzewnymi łzami, usiłując koniecznie, abym wziął u niego 2000 fr. Z największą trudnością wymówiłem się od tego i musiałem go przekonać, że mam pieniądze, wystarczające mi na powrót do Europy... Ale łez tych nigdy nie zapomnę i ty go, droga moja, za to, wiem, że kochać będziesz.

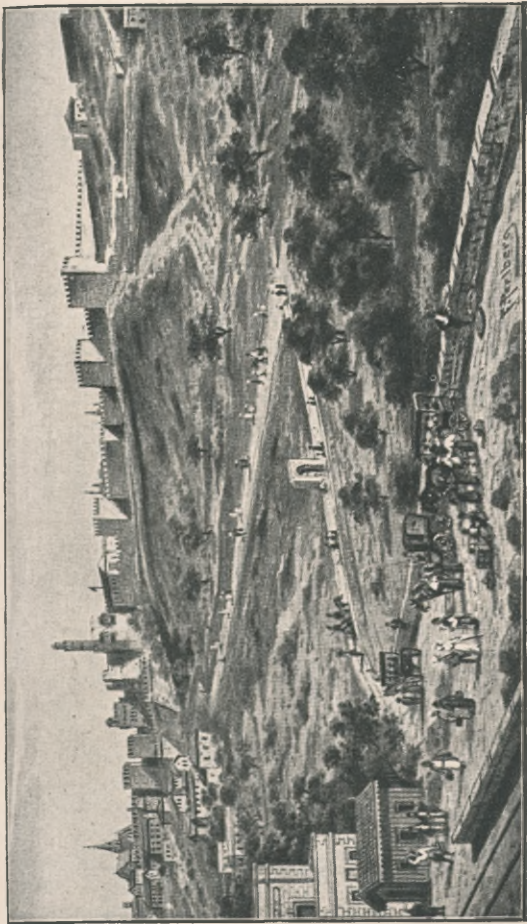
Ostatnie dnie spędziliśmy razem. W wigilię mego wyjazdu, razem byliśmy na balu u mego konsula. Ładna to jak na Bayrut była feta: fajerwerki, balon puszczony, dziedziniec zamieniony w salę do tańca, kilka kobiet wschodnich w arabskich ubiorach, żony konsułów itd. Tańczowano przy pozytywku, bo fortepiany choć są, lecz aby je nastroić, do Europy instrumenty posyłać potrzeba. Muszę ci tu także napisać, że mi rodacy moi zrobili reputację poety, więc wszyscy ubiegali się, abym z nimi gadał, i od czasu Lamartina naznaczili pobyt mój pierwszą kreską. Dostę mi to było miło, zwłaszcza, że po tym balu nazajutrz miałem wsiąść na okręt i puścić się w daleką podróż. Była więc w tem jakaś poetyczność, której wyrazić nie potrafię. Nazajutrz po balu odprowadził mię Hołyński do okrętu, chciał bowiem koniecznie do ostatniej chwili być ze mną i tak urządził swoją podróż, żeby po mnie ani godziny w Bayrucie nie zostać, mówiąc, że mu te (!) miasto byłoby nieznośnem beze

mnie: jakoż pożegnaliśmy się prawie ze łzami, ja wdrapałem się na mój statek a Hołyński, powiewając chustką, wrócił do Bayrutu i natychmiast wsiadłszy na konia, a rzeczy już był pierwszej wyprawił, ruszył w góry libańskie do cedrów Salomona. Lecz tu nadzwyczajne zdarzenie... Okręt mój, zamiast do Europy, po ośmiu godzinach drogi zawija do portu Tripoli, gdzie miał jakieś interesa do załatwienia, ale bojąc się, aby się wojażerowie nie gniewali, nikomu o tem w Bayrucie nie mówił. Wysiadam więc w Tripoli, smutny idę prosić o mieszkanie w klasztorze, i myśląc o rozstaniu się świeżem z Hołyńskim, cały dzień smutny spędzam w ogródku klasztornym, gdzie mała fontanna, cytryny i pomarańcze owocem okryte, nareszcie białe lilie kwitnące dziwnie balsamowały powietrze i klasztorowi temu romantyczną nadawały postać. Wystawcie sobie moje zadziwienie, do tego samego klasztoru nazajutrz wpada lokaj Hołyńskiego, którego pan w innym stanąwszy klasztorze i dowiedziawszy się o przybyciu mojem do tego miasta, szukać mnie rozkazał. Tak więc jeszcze jeden dzień z nim spędziłem, dziękując Bogu, że go przez to samo miasteczko prowadził, gdzie ja byłem, i o zachodzie słońca na nowo uścisnęliśmy się i na nowo każdy poszedł swoją drogą: ja do Cypru, on do cedrów libańskich. Lecz ten dzień, ostatni w Tripoli spędzony, był jednym z najprzyjemniejszych dni mojej podróży. Mało mieliśmy czasu, więc włóczyliśmy się po cudownych okolicach tego miasta, porównując jego ementarz ładny turecki z naszym ulubionym ementarzem w Bayrucie, gdzie co wieczora siadaliśmy razem na marmurowym turbanie, patrząc na morze i słuchając płaczu tureckich kobiet, które na grobowcach znajomych rozścielały bukiety kwiatów, niezmodowane w oddawaniu czei zmarłym, wierniejsze niż nasze kobiety wspomnieniom. Marzyłem kiedyś, będąc

dzieckiem, o takich cmentarzach, o takich cyprysach, jakie teraz widziałem na oczy.

Otóż masz, droga moja, opisanie pobytu mego w Bayrucie, teraz kilka słów o morskiej podróży... Dziwnie, że siadając na okręt, nie przeszła mi przez głowę myśl nawet, że może być jakie niebezpieczeństwo: jakoż przez te dni 40 żadnegośmy nie doznali oprócz nieprzyjemności, jakimi są cisze morskie i wiatry przeciwnie. Życie moje na statku jest bardzo jednostajne: wstaję przed wschodem słońca i obserwuję gwiazdy, w których się teraz głęboko zaciekam, pomagając często oku naszym okrętowym teleskopem. Potem widzę czerwieniące się niebo; koguty na rzeź przeznaczone pieją i głos ich dziwnie się wśród morza wydaje, przypominając spokojność życia wiejskiego; kot okrętowy wychodzi igrać ze mną, żywy i wesoły o godzinie porannej; potem wschodzi słońce a pokład okrętowy czerni się od habitów sześciu mnichów, rzucających spokojne łoże; potem kawa, ranne godziny, zajęte czytaniem, marzeniami, przy obiedzie nieraz mój butel budzi wesołość. Po południu o godzinie 5 cały okręt odmawia głośno różaniec Najśw. Panny, prosząc ją o wiatr dobry, i nakoniec wzywa swoją rodziną Madonnę de Monte-Negro, aby się opiekowała nim i o wiatr pomyślny prosiła. Wieczera i obserwacya gwiazd wschodzących dzień mój kończą. Czasem z którym z mnichów gram w warcaby. Nakoniec dzisiaj piszę ten list na mojej szkatułce na kolanach, siedząc na pokładzie okrętowym i ciesząc się, że po trzydniowej ciszy zawiął nam wiatr dobry i do portu Liwurny prowadzi.

Dnia 15 czerwca jesteśmy blisko Liwurny, nie widać jeszcze portu, ale pomimo ciszy morskiej, za dwa dni najdłuższej licząc, wylądujemy, strzelając salwy z dwóch armat okrętowych, jak na rezurekcyę; widzimy teraz wyspę Elbę... Filo wędrował kiedyś tą samą drogą: patrzę na morze, jak gdyby mi coś



Droga z dworca w Jerozolimie.

Listy do Matki z podróży na Wschód

o nim powiedzieć mogło. Jakem ciekawy, czy im się podróż powiodła? z jakim uczuciem przybyli do rodzinnego miasteczka? jak im się teraz Italia wydaje? co tobie, droga moja, o twoim Julku nagadali? czy bardzo go obwinili? Smutno mi do Włoch wracać, myśląc, że już ich tam nie zastanę. Nie tak było, kiedy statkiem parowym gonił za nimi do Rzymu.

Wracam z mojej wschodniej podróży zupełnie odarty: jak babka mówiła: spanachawszy manatki; kożsule moje noszą pięć ran Chrystusowych, będę się musiał zupełnie na nowo oszywać i opierać. Wiozę sobie na ranne wstanie zamiast szlafroka płaszcz arabski wełniany, wiozę także dywanik, który mi za pościel służył, w Kairze kupiony. Mam także sziszę czyli nargille; jest to rodzaj szklanej lulki, z której się pali tytuń: składa się z kryształowej butelki, w której zamiast korka, wkłada się gliniany garnuszek z tytuń, potem butelka napełnia się wodą, a przyprawiony wąż skórzany wyciąga z niej dym przechodzący przez wodę, która ciągle bełkoce i śpiewa jak słowik gardłujący; z takich lulek palą wschodnie damy i bardzo im z tem ładnie. Ubrany w arabskim płaszczu siedząc na tureckim dywanie, paląc z wschodniej lulki, będę ranne wizyty przyjmował: mam jeszcze skarpetki perskie z różno-kolorowej wełny, bardzo gustowne, które mi za meszty służyć mogą.

Na górze Libanu pracowałem trochę i owoc moich marzeń także ze mną wędruje; myślałem nawet zamknąć go w butelce, aby na wypadek rozbicia można go rzucić w morze i tak coś po sobie ocalić; a potem mię jakaś religijna wzięła filozofia, i myśląc o marności rzeczy światowych, pomyślałem, że jeżeli mnie weźmie, to niech i wszystko moje bierze Neptun.

Przyznam ci się, droga, że miło by mi było, zamiast do Florencyi, prosto do Genewy wędrować: spotkałbym tam znajome twarze, znalazłbym jak się spodziewam dawną przychylną, mój pokoik, do któ-

rego przywykłem, ogród, gdzie tak długo się przechadzałem; ale teraz nie wiem, kiedy zobaczę to wszystko, bo ciągle tak wędrować nie można i przenosić się z miejsca na miejsce kosztuje. Może też we Florencyi porobię jakie miłe znajomości, które mi tę zimę przepędzić pomogą. Podróż miała dosyć dobry wpływ na mój charakter: przywykłem być z kimś ciągle, nie mając osobnego pokoju, gdziebym się mógł zamykać... Przywykłem do wielu niewygód, przekonałem się, że obiad bez mięsa obejść się może i że należy czasem pościć, tak jak nieraz pościliśmy z Zenonem, żyjąc przez dzień cały ryżu garsteczką, przy niedzieli jedząc tylko kury. Zdrowie moje prawdziwie cudownie mi służyło: spałem nieraz na wilgotnej ziemi pod namiotem, na wietrze i zdrowszy teraz jestem po tem wszystkim, niż przedtem: słowem, uznaję nad sobą samym opiekę Boga i ufam, że ją nie tylko nade mną, ale i nad tobą rozciągnie, bo inaczej cobym ja robił na ziemi?

Dziwnem będzie bardzo dla mnie przejście z życia wschodniego do zwyczajów europejskich. Widzieć, że znakiem uszanowania nie jest już nakrycie głowy a zdjęcie trzewików, że obrusa nie kładą pod stołem ale na stole, że ludzie nie jedzą palcami, że pozdrawiając kogo, nie przytykają ręki do ust i do czoła, ani do serca, jak w ziemiach arabskich!

Wczoraj jadłem nową potrawę: był to żółw morski, któregośmy ułowili śpiącego na wodzie. Mięso jego dobre, wonnością wydawało się trochę do łososa podobne. Prowizye nasze wystarczyły nam do końca, woda się nie zepsuła, kury potłuściły, trzy barany, długo nas swoją figurą bawiące na pokładzie okrętowym, już nie egzystują, a śmierć ostatniego była opłakaną rzewnemi łzami przez okrętowego chłopczyka, który się był do zwierza przywiązał jak do braciszka i ze strony barana podobne przywiązanie pozyskał, tak, że baś biedny, póki żył, jak pies biegał za nim. Czasem widzimy

ogromne tłumy delfinów, igrających na morzu w dzień i nocy; wczoraj ciągle strzelały z fali wielkie szerokie fontanny, tak pełno było ryb nazwanych *capod'ogli o'*), które wielkością zbliżają się do wielorybów, wodę z paszcz na powietrze wypuszczają.

Oto są wszystkie różności, jakie się na morzu przytrafiają. Teraz, bliżej Europy, spotykamy okręty; przez pierwsze dni 30 żywej duszy nie spotkaliśmy, i dobrze nam z tem było, bo koło brzegów greckich jeszcze zdarzają się napady korsarzów. Napisz mi, droga, czy odebrałaś wszystkie moje cztery listy? jeden z Aten, drugi z Aleksandryi i dwa ostatnie z Bayrutu: opisana w nich była pokrótce cała moja podróż i cały ten rok błędnego życia, z którego nareszcie kontent jestem.

Tyle nowych obrazów tkwi teraz w mojej pamięci! przyszłość będzie się dziwnie w mojej głowie na takim tle odbijać. Pisz mi, droga, do Florencyi. Uwiadomiam o moim powrocie Hausnera w Brodach. Potrzeba mi trochę grosza, list ten muszę zapieczętować, nim na ład wysiądę, bo potem trzeba by go było jakiemu ze strażników kwarantanny powierzyć i nie być pewnym, czy go na pocztę odda.

Bądź zdrowa, droga moja... Oby twój pierwszy list zaspokoił mię zupełnie! Z jakim biciem serca myślę o tej poczcie, gdzie pójde szukać wiadomości od ciebie. Odpędzam od siebie wszystkie złe myśli, ale ta jednostajność morza rodzi przywidzenia i pokazuje oczom duszy dziwne obrazy... trzeba myśleć a myśląc, nie można być panem imaginacyi... Droga! bądź ty szczęśliwa, zdrowa, niech ta myśl, że twój Julek dalekie odbywał podróże, da ci choć chwilę przyjemnych myśli. Chciałbym kiedyś wszystkiego, com nabył pamięcią, na rozpłoszenie twoich smutnych myśli użyć

¹⁾ Czyt. Kapodolio — rodzaj delfina.

i być twoją książką wtenczas, kiedy już w innych przyjemności nie znajdziesz.

Ściśkam cię serdecznie, droga moja, a ty Filów kochanych uściśnij ode mnie.

Juliusz.

56.

Liworno, dnia 11 lipca 1837.

Najdroższa moja! Dziś o godzinie wpół do czwartej rano wyszedłem z kwarantanny; z jakąż niecierpliwością czekałem godziny 9-tej, o której otwiera się okno pocztowe. Wybiła nareszcie, biegnę i odbieram dwa listy, jeden od ciebie, dnia 21 kwietnia pisany, drugi od Eglantyny. Idąc przez plac, otworzyłem pierwszy dla serca mego i słowa twoje takie jakies zimne i smutne mi się wydały, że bałem się rozplakać na ulicy i uciekłem prędko do hotelu zgryźć boleść, jaką mię napełniło takie powitanie, mię, co przez 10 miesięcy nie miałem słowa od ciebie, który wreszcie już nie mam w świeżej pamięci czulszych listów twoich i myślę, że jużes ty mię kochać przestała... List Eglantyny powiększył moją boleść: z niego bowiem, to jest z daty widzę, że nie jest odpowiedzią na mój list ostatni, który przed wejściem do kwarantanny razem z listem do ciebie przed 25 dniami powierzyłem kapitanowi okrętu, aby go frankował i przesłał; łajdak! pewnie dla zatrzymania kilku groszy nie wypełnił zlecenia, i ty będziesz się jeszcze uskarżać na długie moje milczenie, a ja teraz dałbym część serca mego, żeby tylko ciebie uspokoić.

Droga! nie wystawisz sobie rozpacz, jaka mię przenika... wierzę w przecucia... Wyskakując z łódki na ląd Europy, upadłem, i wczoraj tak się bałem wyjścia z kwarantanny, że wytłómaczyć sobie jej twógi nie mogłem. Nie chcę ci się usprawiedliwiać

z wyrzutu, który mi czynisz, że kiedy Zenon mógł siostrze o sobie wiadomość dawać, ja zaniedbałem korzystać z tej drogi. Gdybyś wiedziała, jak Zenona upraszałem, aby ciebie mój list z Aleksandryi i z Aten doszedł, jak mi przyrzekał, że ci go przez swego plenipotentę w Odessie prześle! Zenon winien, on się jeszcze zobowiązał przesłać ci biały płaszczyk tunetański, lecz i ten pewnie los listów mieć będzie. O, gdybym go w tej chwili zobaczył, że łzami bym mu wyrzucał taką zdradę... Lecz stało się... Dziękuję Bogu, że ty zdrowa, a ty mu także podziękuj, że mnie spokojnie przez kraje różne i przez morza prowadził i nie chciał mnie nawet widokiem niebezpieczeństwa przerazić. Ta cała podróż, którą ci kiedyś obszerniej opiszę, była pełną przyjemności i zachwyceń. Jakżebyś chciała, abyś mój list z kwarantanny odebrała, miałabyś tam opisanie mojej czterdziesto-dniowej morskiej podróży. Dnia ostatniego siedząc na pokładzie, kiedy się okręt zbliżał do błękitnych brzegów, pisałem do ciebie, myśląc, że ten list ci chwilę spokojności i cichego szczęścia przyniesie; zapieczętowałem go i odkryłem głowę, bośmy wpływali do portu, i cały ekwipaż i księża będący na okręcie śpiewali na kolanach ostatnią litanię do Najświętszej Panny na smutną jakąś nutę... lzy mi stoją w oczach. Przeczytałem drugi list twój, żeby się uspokoić i znaleźć w nim, jeśli można, co miłego... Pamiętaj ty, moja droga, że kiedy ja teraz płaczę, to mię nikt nie pociesza, nie tak, jak było w moim domku w Paquis, gdzie mię tulono, rozżalonego, jak dziecko. Pisz mi Eglantyna, że mnie dzieci nawet czule tam wspominają i pragną mojego powrotu; o, gdybym miał skrzydła gołębia, poleciałbym gdzieś daleko i znalazłbym spokojność; są to słowa Biblii.

Jestem w Liworno, w tym samym hotelu, gdzie 14 miesiącami przedtem przebyłem trzy dni, jadąc połączyć się z Teofilami; ten sam dano mi pokój; wszystko to podwaja jeszcze moje dziwne rozziwienie nerwów.

Pisząc ten list, chciałbym papier pożreć, aby go czemprędzej wysłać do ciebie, aby dniem jednym pierwej ciebie pozdrowić i dać ci pocałunek duszy, najdroższa moja. Ale zaczynam rezonować z sobą i wmawiać w siebie, że powinienem być szczęśliwy, bo wczoraj w kwarantannie gdyby mi kto był tylko pokazał jedno słowo twoją ręką napisane, jużby mię to zaspokoilo... wreszcie może to tylko wewnętrzne usposobienie duszy, jakieś mimowolne rozczulenie, którego człowiek doznaje, powróciwszy z dalekiego wojażu i zaczynając nowe życie, jest przyczyną, że mi twój list się zmiennym i niepodobnym twojej miłości dla mnie wydał. Tak uspokoiwszy się nieco, chciałbym ci coś o mojej podróży napisać.

Grecya, pełna ruin precudownych, podobiała mi się bardzo i bardziej niż Rzym mię zachwycała. Egipt zatarł Grecyę w mojej pamięci: nie cudowniejszego nad ruiny nad Nilem będące. W liście z Aleksandryi pisałem ci, jakiego wrażenia doznałem, widząc się pierwszy raz w oryentalnem mieście i żałując tego listu, bo już teraz niepodobna byłoby tego opisać, bo przywykłem powoli do Arabów, do wschodnich ubiorów, do ich miast i nakoniec żadna sprzeczność z naszymi zwyczajami nie uderzała mię... Może cię drugi list z Bayrutu pisany dojdzie, tam będziesz miała opis podróży mojej po Syrii; przepędziłem całą jedną noc sam jeden w Grobie Chrystusa, modląc się za ciebie i za naszych. Ale cóż to jest moja modlitwa! Gdybym był wiedział, że się modlić potrzeba o to, abys ty dla mnie w przywiązaniu nie ostygła, zrosiłbym gorętszemi łzami tablicę marmurową, która pokrywa grobowiec...

Pyszny jest dzikością widok Martwego morza, zwłaszcza, że będąc tam, cała kawalkada nasza konna wjechała na trzęsawicę i konie zapadły z nami w ziemię aż po głowę; widok to był dla mnie, który wyrwawszy mego konia, postawiłem go dęba przednimi nogami na krzaku, przypominający ustęp z Biblii, gdzie

pisze o pożarciu przez ziemię całego wojska; towarzyszący nam Arab na pysznym koniu walcząc z zapadającą się głębią, prawdziwie był podobny do dawnego jakiego bałwochwalskiego króla. Byłem w Betleem, w Jerycho, w Nazaret, nad jeziorem Genezaretąńskim, gdzie Chrystus mi był przed oczyma: zdawało mi się, że postać jego spokojna stoi jeszcze na błękicie fali, z głową otoczoną promieniami. Nad tem jeziorem spałem pod gołym niebem, bo się wszystkie domy przez trzęsienie ziemi były zapadły, i choć byłem z głową nakryty od rosy, obudził mię wschód księżyca; jaka to była chwila, ile pamiątek oświecał mi ten księżyc nad eichem Genezaretąńskim jeziorem, tego wypowiedzieć nie mogę. Przeczytaj ty, droga, Biblię, pomyśl, że ja widziałem Kanę Galilejską, te lilie, czyli raczej anemony czerwone, do których Chrystus równał Salomona, mówiąc, że nie był ubrany tak pięknie, jako jedna z nich, że te kwiatki, na które on patrzył, piękniejsze są od naszych purpurowych maków polnych. Pomyśl, że byłem w grocie, gdzie pasterzom anioł zwiastował Narodzenie Chrystusa, że wieśniak jakiś orał przed tą grota..., że byłem przy żłobie Chrystusa i słuchałem Mszy odprawianej na nim za moją ojczyznę i pomyślałszy o tem wszystkim, przebac mi, że się włóczyłem, przebac mi sześciomiesięczną twoją niespokojność i kochaj mnie zawsze i bądź dla mnie przyjaciółką dobrą w tych krajach, gdzie teraz może nie znajdę żywej duszy, coby mię trochę lubiła. O droga moja, dlaczegoś ty się lękała o mnie? czy ty nie widzisz, że ja mam jakąś gwiazdeczkę nad głową, dla której złe nieprzeżycia nade mną, aż Bóg mnie zawoła?

Bądź zdrowa; na drugiej stronicy piszę do Filów a ty ją odciawszy, odeślij. Adieu, najdroższa moja.

Twój *Juliusz*.

Eglantyna, do której tyle razy co do ciebie pisałem, wszystkie moje listy odebrała; lepiej nie spuszczać się na panów Zenonów.

A wy, Filowie drodzy, coście pocieszali moją drogą, a potem nareszcie nie wiedzieliście co jej płaczącej powiedzieć, wiercie że z wielu względów już i z tej ostatniej przyczyny p. Zenon zasługuje na Mackdonalda utyskiwanie. Miałem dosyć z niego niepożytecznego towarzysza podróży i nie wiem dlaczego rozstał się tak mile jakby nas ten wojaż braćmi uczynił choć prawda, że nigdyśmy się nie rozumieli wzajemnie.

Ale dosyć tego. Oto jestem w znajomych wam Włoszech: gdybyś mi był w liście swoim adres Zeidlera¹⁾ napisał, zrobiłbyś mi wielką przyjemność, bo jutro wyjeżdżam do Florencyi i dobrzeby mi było, żebym się prosto do niego, nie szukając pomocy lokai i fakinów włoskich, mógł udać dla wyszukania stancyi itp. Będę więc we Florencyi, gdzie, jak mi pisze tak mile Hersylka, oczekiwanie dawniej mego przybycia zostało jak jakie światelko uczuciowe, rzucone na wspomnienie o tem mieście. Nie zaniedbam pójść do sklepiku modniarki i może szczęśliwszy już będę z moją panną Malagambą, dla której pojechałem do Syrii, a tu podług przyrzeczenia napiszę Sylci, jak los zawistny przeszkodził mi i zawiódł nadzieję.

Siedzę kwarantanną na pustyni w El-Arisch, odwiezła mi doktor młody, który widząc, że mi chleba dobrze upieczonego po europejsku brakuje, przysłała mi w prezencie chleb dość biały, mówiąc, że go własna jego żona piekła. Podziękowałem... i wyjeżdżając, chciałem coś zostawić brzęczącego panu doktorowi; nie przyjął, ale owszem zapraszał, abym wszedł do jego domku na filiżankę kawy. Wielbłądy stały okulbaczone i osiodłane, raczej klęczały; jakże się było oprzeć prośbom klęczących wielbłądów? Odmówiłem przyjęcia kawy i udałem się w dalszą drogę przez pustynię do Gazy. Nie pojdziesz tylko, co to wszystko ma za związek z panną Malagambą? Otóż dowiedz się, jakie nie-

¹⁾ Czyt. Zajdler.

szczęście: Panna Malagamba przez pewną metamorfozę stała się panią doktorową. Pani doktorowa dała mi zwyczajem wschodnim kawę i nawet pocałowała mnie w rękę, bo taki jest zwyczaj na wschodzie... i to wszystko opuścić przez jakiś dziwny pospiech. Ale przynajmniej jadłem chleb, jej najpiękniejszymi rączkami pieczony, a dyabeł że mógł wiedzieć, że jest teraz panią doktorową kwarantanny i że na pustyni mieszka między Gazą i Kairem.

Otóż tak uchybiłem jednego celu mojej podróży. Niech mię Sylli o niezgrabność i o małą domyślność serca nie obwinia.

Zazdroszczę wam, moi drodzy, waszej wioseczki i spokojności, żegnaj was i życzę szczęścia. Nie piszę więcej, bo list ten cały nagłemi błyskawicami różnych uczuć pisałem i jestem jak z krzyża zdjęty i senny... chcę go jeszcze dziś oddać na pocztę. Do Hausnera piszę, prosząc o 200 rubli. Niech moja luba więc się na to przygotowuje. Adio.

Wasz Juliusz.

Wkrótce z Zenonem się zapewne zobaczę. Cholera w Neapolu, tutaj jej nie ma, więc już teraz z żadnego względu nie jestem wystawiony na niebezpieczeństwa. Młodszy Hołyński został w Kairze zakochany w Arabce, starszy wkrótce wróci; zyskałem w nim przyjaciela ze świeżem sercem. Kochajcie mnie.

57.

*Florencya, Via dei Banchi*¹⁾ Nr. 4246 d. 24 sierpnia 1837.

Najdroższa moja! Wysiadując z kwarantannowego okrętu, odebrałem twój list pierwszy i nie wiem dlaczego, ale tak smutne na mnie zrobił wrażenie, tak mi się zdawało, że serce twoje dla mnie ostygło, że jakaś kryzys obojętności przyszła na ciebie. Żem ci na ten list po szalonymu odpisał. Drugi twój list odebrany tutaj uspokoił mię, był to bowiem jeden z tych

¹⁾ Czyt. Banki.

listów, z których dusza twoja, nowym smutkiem uderzona, rzuca jakieś dziwne błyskawice uczuć matczy-nych i takimi je maluje wyrazami, że nie można tylko głośnym i samotnym odpowiedzieć płaczem. O, moja droga! Bogu także wiadomo, czem ty jesteś dla mnie, i ta sama gwiazda, która mię strzegła na morzu, i na pustyni, świeciła także nad górą Bony. Dopiero kiedy się dowiedział, żeś ty zdrowa, dziękowałem Bogu, że mię od niebezpieczeństw podróży ocalił.

Od 35 dni jestem we Florencyi i Zenon przyjechał także ze Sztambułu. Rozpamiętywamy więc z nim nasze podróże i znajomym je rozpowiadamy. Wyczerpie się to wkrótce w ustach, ale w pamięci zostanie zawsze jak sen letniej nocy. Ponieważ ty, droga, lubisz szczegóły, opiszę ci moje życie we Florencyi. Skorom przybył, stanąłem w tym samym hotelu, gdzie mieszkali Teofilowie, to jest w New-Jork; ¹⁾ zaraz odpytałem mieszkanie dwóch Józefa i Hermana Potockich, do których wszedłszy, ujrzałem na wszystkich twarzach wielkie zadziwienie, nie wiedzieli bowiem, co się ze mną i z moimi współwędrownikami stało? (W nawiasie dla Fila umieszczam, że go ci panowie mile wspominają, dziękują za to, co dla nich uczynił i kazali mu powiedzieć tylko dwa słowa: „nie poskutkowało“). Na kilka zaraz obiadów zaproszony, musiałem często z łyżką podniesioną odpowiadać na mnogie o wschodzie pytania; to mnie tak znudziło, że przyrzekłem sobie po upłynieniu dni 40 nie już o Egipcie nie gadać, bojąc się, aby mi w nałóg to bajanie nie weszło i nie zrobiło ze mnie indywidualnej i nudnej maszyny, która zawsze jeden kurant odgrywa.

Odpytałem potem Zeidlera, który mi wyszukał mieszkanie. Śliczne dwa pokoje kosztują mnie 27 fr. na miesiąc; nająłem sobie za 2 skudy bardzo dobry fortepian i najmując, myślałem o tobie, droga. Zdało

¹⁾ Czyt. Niujork.

mi się, że twojemu żądaniu dogadzam i miło mi było. Teraz gram po kilka godzin na dzień z nut, ale coś nie postępuję w łatwości czytania. Z okien moich mam widok na ładny plac St. Maria Novella i lubię patrzeć na ten kościół, zwłaszcza kiedy wieczorem oświeca go księżyc. Ulubionym także moim księżycowym spacerem jest jeden bok katedralnego kościoła: nieraz marzę sobie, że tak chodził po tych kamieniach zamysłony Dante. Wyznam ci jednak, droga, że mi często dystrykcję sprawują zgrabne i ładne Florentynki: nigdzie podobnych figurek nie widziałem i wybrałbym łatwo sto dziewczątek, w które żeby mi Bóg tylko pozwolił włożyć duszę podług mego upodobania, to w każdej ze stu mógłbym się dziś zakochać szalenie. Takie jak są, przyciągają moje oczy, ale nie serce.

Ładna, bardzo ładna Florencya, a jednak smutno mi w niej: od czterech prawie lat zawsze miałem koło siebie rodzaj rodziny, zawsze kilka godzin w dniu przechodziło z ludźmi, w podróży nawet zawsze miałem jedną różową i uśmiechającą się twarz koło siebie; to też teraz, często się znajdując w mojem samotnem mieszkaniu, zadziwiony jestem długością cichych godzin, zwłaszcza wieczorem. Kilka listów z Genewy przyczyniło się do tej niespokojności; tam przekonani byli, że ja wyszedłszy z kwarantanny, zaraz nad jezioro Lemanu polecę. Nie widząc mię, płaczą; nareszcie myśląc, że mi brak pieniędzy przeszkadza, nasłali mi przed kilku dniami jakąś osobę, która chciała mi koniecznie pożyczyć na konto pani Pattey tyle franków, ile bym potrzebował; ujęło mię to, choć nie przyjąłem pieniędzy. Teraz odbywam z sobą wielkie walki, czy jechać, czy nie, i chciałbym mieć kogoś, coby mi tę wątpliwość rozwiązał. Nieraz mię wabi mój spokojny kominek w Genewie, moje drzewa i fiołki, kwitnące w złocie zimowym słońcu. Nieraz zatrzymuje mię przypomnienie różnych nieprzyjemności, od których wyjazdem do Włoch uwolniłem się.

Co do pieniężnych okoliczności, szala stoi na równi: tu oprócz mieszkania, które mam lepsze, życie daleko gorsze jak nad jeziorem, tyle mię kosztuje, a może więcej co tam. Filo będąc tu, wyznał sam, że pomimo największej oszczędności, nie można mniej niż 180 fr. na miesiąc wydawać. Rachunki nasze w Rzymie świadczą o tem. Obiad mój, złożony z dwóch albo trzech potraw, kosztuje blisko 4 pawłów, śniadanie pół, czasem wieczorem limonada, albo filiżanka herbaty, albo lody, wszystko wynosi więcej niż 3 franki; dodać franka na dzień na mieszkanie a będzie 4.; a ileż jeszcze małych wydatków, które koszt dnia do pięciu podnoszą, co robi 150 fr. na miesiąc. W zimie mieszkania podrożeją, opał bardzo drogi, zimno w samotnym pokoju, to wszystko dosyć jest smutne. Nie dziw się, moja droga, że ja niegdyś taki odludek, dzisiaj się lękam samotności. Dawniej sny moje i złote nadzieje na przyszłość otaczały mię w koło, dawniej teraźniejszość była dla mnie jak tylko sieni, prowadzące do czegoś lepszego; teraz to wszystko na wspak się obraca. Ale na Boga! jeszcze się nie poddam zniechęceniu i ty, droga moja, łagodnemi słowami dopomóż mi do tego, aby mi serce bić zupełnie nie przestało w piersiach.

Dziś zaproszony jestem na obiad do Zdzisława Zamojskiego syna tych, przy których mieszkał Odyniec. Jest on tu z żoną; żądał sam poznać się ze mną i teraz prowadzimy z sobą często rozmowy, podobne do platońskich, z żoną trudnoby prowadzić. Dziwnie, że kiedym ją pierwszy raz widział, tak mi przypomniła Julkę Jasiową, żem zmartwiał; podobieństwo to teraz znikło dla mnie, zawsze jednak, patrząc na jej czarne błyskające oczy, smutnego doznaję uczucia. Z Zenonem, który trzyma powóz, zwiedziłem śliczne okolice Florencyi; okolice te jednak dla piechotnego człowieka żadnych nie mają powabów. O jak zazdroszczę stawu, który jest zwierciadłem spokojnego

życia Teofilów! oni pewnie przy domie mają kawał murawy, na której po obiedzie położyć się mogą i słuchać dzwonienia wracającej trzody. Ja także myślę skończyć na takiej idyli i gdyby ty, droga, zgodziła się mieszkać w jakim drewnianym domku na górach szwajcarskich, tobym dziś zgodził się takie samotne życie. Ale ty, droga, lubisz towarzystwo osób miłych, a tutaj ani tak przyjaźnego, ani tak gestego, jak w twoim rodzinnem miasteczku, nie znajdziesz; ja ci sam życia samotnego urozmaicić nie potrafię; nie, nie ma dla nas miejsca na ziemi, trzeba wziąć życia tak, jak je nam Pan Bóg dał. Wierz mi, droga, że ty szczęśliwą jesteś w twojem miasteczku, gdzie wszyscy cię znają i szacują, niż w jakiegokolwiek mogłabyś być stronie, gdzie znajomości szukać trzeba, gdzie te najczęściej nie po myśli i nie podług serca wybierają się; ale pomyśl, droga, czy nie moglibyśmy spotkać się gdzie i rok razem przynajmniej przeżyć? Myśl ta często mię teraz przez długie samotne godziny zajmuję. Wszak ja dlatego gram na fortepianie, abym ci cokolwiek nowego mógł zabrząkać. Znalazłem w mym tłumoku zostawiony przez Sylkę polonez Chudoby, i ten z grzmiącym przyciskiem na klawiszach wybijam; gram także walca Szopena, nie wiem, czy go Hersylia zna. Ale ja wam piszę o tych wszystkich małych rzeczach życia, kiedy może w naszym domu znów był anioł śmierci, i wyszedłszy z niego, napełnił was okropnością. Więc już i ten starzec ubrany w kontusz, którego pomarszczone powieki błyszczały łzami przy moim odjeździe, nie przywita mię powracającego. Nasza rodzina podobna jest do zórawi, które widziałem na pustyni egipskiej: jeden się porwał i wszystkie za nim poleciały długim szeregiem w błękit, i wkrótce jęku ich słyszać nie było na ziemi.

Dnia 22. Stroją mi teraz fortepian i przy monotonnym dźwięku naciąganych strun piszę ten listek do ciebie, droga. Chcę go bowiem dzisiaj jeszcze

w drogę wyprawić. Wczorajszy wieczór przepędziłem na teatrze z kilku znajomymi i poznałem się z nową figurą komedy włoskiej, to jest z rodzajem arlekina, który tu nosi nazwanie Stenterello. Nie wiem, czy go Filowie znają. Chodzę na teatr więcej dla nauczania się języka, niż dla sztuk, które są nędzne i źle grane. Co do języka, na wschodzie znacznie poduczyłem się mówić po włosku i teraz mógłbym Sylkę i Fila prześcignąć. Szkoda tylko, że tu nie ma z kim mówić. Bawią mnie także dosyć kawiarnie, które wieczorem w niedziele tak są pełne ładnych kobiet i strojnych elegantów, że każdy salon ma pozór sali balowej. Filom donoszę, że Wański pojechał z jakimś Anglikiem do Anglii i niedawno przejeżdżał przez Genewę. Wiolonczelista zbiera koncerty w Paryżu i lata za olbrzymkami. Malarz (Suchodolski) z żoną wyjechali już przed moim tu przyjazdem do kraju i już są podobno na miejscu. Żona pana malarza zapewne już zapomniała o naszych spacerach nad brzegiem morza w Sorrento, ja także już bardzo słabo jej błękitne oczy pamiętam. Zeidler zawsze biedny, rozłączył się z godną małżonką i miał proces, z którego podobno przypadł na niego obowiązek płacenia pewnej sumy rozwódce. Otóż tak Filom donoszę o osobach, które ich interesować mogą jako wspomnienia podróży; proszę za to, aby mi Sylka doniosła co o osobie, która mnie jeszcze niestety interesuje jako wspomnienie mego dzieciństwa, od której miałem na czole pierwszy pocałunek na górze Libanu: było to we śnie i w klasztorze, księża byli blisko i zaraz nazajutrz wypowiedziałem się z grzechu pamięci, a potem wszedłszy na jedną z największych skał, rzuciłem jej ogromne przekleństwo. A ty, droga moja, czytając to, nie śmiej się ze mnie, bo to trochę i twoja wina, że ja taki smutny wariat; kiedy to piszę, zdaje mi się, że Fok siedzi i stroi fortepian. Wczoraj od Zamojskiego dowiedziałem się, że nareszcie Baliński drukuje historię

Giedymina; biedny człowiek, jak jemu źle być musi, kiedy jak tonący sławy się chwyta. Ja przynajmniej, że młody, to podobny jestem do Ofelii, która nachylając się po kwiaty, upadła w strumień, i długo ją szata napełniona powietrzem utrzymywała pływającą na wodzie, aż utonęła i pieśń jej ucichła. Ciągłe ten smutny dźwięk strojonego fortepianu. O! pięknie było, kiedy sam siedział przy księżycu między kolumnami olbrzymiego kościoła Jowisza, u stóp Akropolis Ateńskiej: wiatr, przedzierając się przez te kolumny, grał na nich jak na organie. O! wiele ja miał cudownych chwil w życiu; na co więc ta gorycz, z jaką czasem piszę o stanie mojej duszy? gwiazda, co mi świeci, piękniejszą jest od wielu innych. Ty rano wstajesz, Filu, szukaj o godzinie 4-tej wschodzącej konstelacyi Oriona na wschodzie, a zobaczysz gwiazdę moją ukochaną, która mnie przez cały rok prowadziła;

gwiazdy są tak uło-

*
* *
*
* * * *

zone. Pierwszy raz

poznałem się w Grecyi z tą lutnią niebieską. Za dwa miesiące ujrzysz ją wschodzącą o 8-mej wieczorem.

Ale ja wam piszę o niewiedzieć czem, więc całuję cię, droga i kochana mamó, całuję was, moi gospodarze wiejscy, i myśląc o was, śpiewam: „Ty śpiewasz, skowroneczku, już też i ja orzę“, ale to ty raczej, Filu, śpiewać powinienes, myśląc o mnie. Droga moja, nie smuć się i kochaj mnie zawsze, bo ja prawdziwie nie znam nic droższego na tej ziemi.

Wiesz droga, że jutro moje urodziny. Starzeję się, pozajutro zaś rocznica rozłączenia się z Filami.

Twój Juliusz.

58.

Florencya, dnia 3 października 1837.

Moja najdroższa! Ożywił mię twój ostatni list, tak miły i pełny twojej serdecznej miłości dla mnie, napełnił mię także nową tęsknotą. Bo jakżebym chciał usiąść kiedy na trawie pod domkiem Teofila wtenczas, kiedy ty masz przyjechać wieczorem, widzieć na drodze pył zbliżającego się powozu, który mi ciebie przywozi, potem rzucić się w twoje objęcia, wypłakać się z wszystkich żalów na twojem sercu, wyskarżyć się tobie z wszystkich zawiedzionych nadziei i uspokoić się nareszcie przed słońcem zachodem, aby widzieć jak ta złota gwiazda zachodzi nad Teofila łąkami, cięcha, rozpromieniona, podobna jasnemu żywotowi poezji człowieka. Za jeden taki spokojny wieczór, za jeden taki zachód słońca, oddałbym wszystkie dni zachodnie mojego życia. Ukarz droga, pszczołki mojego ula, bo one pomimo mojej woli, mimo mojej wiedzy, kasały ciebie, bo za to z dalekich stron posyłam na nie moje przekleństwo, niech w ulu wymrą, niech różne wszystkie będą dla nich trucizną, niech je szerszenie wypędzą z ula.

Moja najdroższa! Ustępnij mi o pani Felińskiej napełnił mię dla niej szacunkiem i wdzięcznością, że ona ci osładza samotne chwile i podziela to, co ciebie obchodzi. Ale cóż ty masz dla mnie za tajemnice, które mi chcesz przez ludzi obcych zostawić w przekazie? czy ja nie znam zupełnie twojej drogiej mi duszy? Więc jeżeliś co jeszcze dla mnie w jakim zakątku serca ukryła, to mi to wypowiedzaj smutnym i miłym listem a ten mię nigdy nie porzuci. Gdybyś ty wiedziała, jak ja na Libanie w klasztorze nadchmurnym wydobyłem cały pakiet twoich listów, z jaką smutną uwagą je podług dat sześcioletnich układałem, jak je potem odczytywałem ze łzami nad tobą i nad sobą!

Każdy człowiek ma jakiś skład, który w testamentie nazywa: moje papiery. Otóż ja, który w ko-

minie palę często mojami bazgraninami, nie mam przy sobie nic więcej prawie, jak twoje listy, droga: te jedne błędzą ze mną po świecie, widziały Kair i były tam, gdzie pisano słowo Boże. Teraz pismo twoje jest prawie jedyną korespondencją, po którą chodzę na pocztę: bowiem odbierając częste listy z Paquis, w których mię jak niewolnika naglono, abym koniecznie rzucił Florencję i nad jezioro wracał, odpisałam tak nareszcie, że mi teraz nieodpisywaniem zupełną wolę zostawiają robić, co mi się podoba. Siedzę więc przez zimę tutaj, najmuje mieszkanie w domu Zeidlera na 3 piętrze: będę miał ładny salonik z terasem i statkami, sypialny pokój ciepły, bo na południe i małe obserwatorium, to jest wieżyczkę, nazwaną belwederem, w którym jest mała stancyjka z oknami na cztery strony świata, z najpiękniejszym widokiem na wszystkie góry Toskanii i na wszystkie gwiazdy nad Toskanią świecące; poetyczność tej wieżyczki złudziła mię, bo myślę w niej często, okrywszy się płaszczem, samotne wieczory księżycowe przepędzać. Widzisz, droga, że we mnie jeszcze coś romansowego tleje, a raczej ciebie naśladuję, droga moja, i już wpadam w nałóg chodzenia w kółko po pokoju, a to dla tego, że mam teraz pokój, który obszernością swoją zachęca mię do takich spacerów. Otóż we Florencyi przepędziwszy zimę i popracowawszy trochę, chciałbym na wiosnę pojechać do wielkiego miasta, z książką pod pachą, jak student z suknią splamioną atramentem, z piórem za uchem i znów oddać wielki ukłon mojej królowej sławie, jako wierny jej do śmierci błazen.

Przez ciąg mojego wojażu, papier mi uzbierał dotąd około 600 zł.; więc za to i za to, co jeszcze przybyć może, spodziewam się z małym dodatkiem zaspokoić moje głupstwo i miłość własną i miłość ojcowską, i dać dziecku mojemu wyprawę. Zdaje mi się, że go ty, droga, sama pokochasz, bo zupełnie inne jak przeszłe, i już mi pięknie rośnie i płacze, i ma jakieś rysy

bardziej regularne, i jak mi się zdaje, piękne i szlachetne.

Dnia 5. Otóż przerwano mi pisanie tego listu; na dwa dni Herman i Józef Potocki przysłali po mnie, prosząc, abym z nimi jechał do Walombrozy; chciałem się wymówić ale niepodobna było, tak usilnie i grzecznie mię prosili. Więc o 6-tej godzinie zabraliśmy się z dziećmi, z guwernantką, z guwernerem, już nie tym, którego znali Teofilowie, lecz innym z Okryńskim, w ogromny powóz, zaprzężony czterema mułami i pojechaliśmy na noc do miasteczka, leżącego u stóp góry, na której stoi Walombrozy klasztor; resztę wieczoru przepędziliśmy na graniu w wista i na jedzeniu; o 7-mej zaś z rana nazajutrz, wzięwszy małą koziołkę z koniem dla guwernantki i dzieci, i dla nas dwa konie, na których kolejno jechaliśmy, przybyliśmy o 10-tej z rana do klasztoru, przebywszy najpiękniejsze okolice Toskanii. Nie wiem, czy Filowie byli w tym klasztorze; prawdziwie, że miejsce samo zachęca do zostania mnichem. Podróż ta melancholiznę na mnie zrobiła wrażenie, przypominała mi bowiem moją wędrówkę po Szwajcaryi: coś było bowiem w gwarze tej licznej rodziny przypominającego mi rodzinę Wodzińskich, ale mojej młodej panienki czarnobrewiej brakowało; przyjęcie zaś klasztorne mnichów przypominało mi wędrówkę po ziemi świętej: tak w tej małej wędrówce jak w zwierciadélku widziałem różne najpoetyczniejsze godziny mego życia. Jak też mię Bóg wysłuchał! ja go zawsze dzieckiem prosilem, aby mi dał poetyczne życie; to też on wszystko teraz tak klei, żeby serce moje napełnił najpoetyczniejszymi wrażeniami, prowadzi mię, po błękitnych morzach, nad brzegami wód spokojnych, i na góry chmurami okryte i na szczyty piramid. Chwała mu za to i dzięki. Wczoraj o godzinie 10-tej powróciliśmy do miasta; wszyscy byli znużeni i senni, ja tylko jeden zahartowany wędrówkami, mogłem powiedzieć, jak dawniej

na rezurekcyi ks. Sobkiewicza, że byłem jak mur. Bardzo jestem kontent z dnia wczorajszego: piękne niebo błękitne, kryształowe powietrze jesienne, lasy sosnowe ogromne koło klasztoru, błękitne góry, w odległości, zachwycenie oddechem spokojności mniszej, wszystko to upoiło mię i w spokojne pograżyło dumania.

Zenon, mój towarzysz, już wyjechał i około grudnia będzie zapewne w domu; zazdroszczę mu, ale on ze smutkiem porzucał życie ptaszka, i chętnieby się ze mną na wszystko, oprócz kieszeni, mieniał. Zdaje mi się, że mam w nim przyjaciela, nie bowiem nas nie poróżniło w podróży, i malutkie tylko chmurki nieporozumienia przechodziły między nami i nigdy dłużej dnia nie trwały. Czekam teraz dwóch drogich moich przyjaciół, którzy zapewne wkrótce z Grecyi powrócą. Zenonowi znowu przypominałem płaszczyk egipski dla ciebie i obiecał starać się, aby ci był odesłany; boję się tylko jakiej zamiany, bo on siostrze dwa podobne lecz mniej piękne posłał, nie mogąc już w całym Kairze wyszukać tak cienkiego jak mój. Zenon się tu raz ubrał po wschodniemu i byliśmy z nim razem tak u Zdzisławów Zamojskich. I bardzo się im podobała ta Zenonka maskarada.

Całe godziny gram teraz z nut na fortepianie i bardzo w muzyce postępuję; zacząłem ją lubić i nabrałem cierpliwości; wzięłem abonament na nuty i coraz nowe przegrywam; muzyka i moje umysłowe prace zabierają mi dzień i wieczór cały; czasem chodzę rano do biblioteki czytać po hiszpańsku Calderona i usypiam się jego brylantową i świętości pełną imaginacją. Życie takie w spokojnej i ładnej Florencyi jest bardzo miłe i od tęsknoty za mojem jeziorem już mię obroniło. Via Calzajolo¹⁾, którą znają Filowie, napełniona ładnymi osóbkami, co wieczór jest moją zwy-

¹⁾ Czyt. Kalcajolo.

kłą przechadzką. Czasem idę do kościoła Sta Croce ¹⁾ i staję przed grobem Danta, a posąg jego ponury, patrzący z wysoka na mnie, zdaje mi się mówić jakieś wyrazy natchnienia. Czasem idę do galeryi i wpatruję się w Wenus medycejską, chcąc, aby piękność jej przeszła do mojej duszy tak, żeby się wszystko potem podług niej tworzyło. Słowem, że życie moje jest pełne i puste zarazem, nie bez jakiegoś jednak harmonijnego dźwięku, nie bez upojenia. Czasem myślę, z przyjemnością, że kiedyś mi małego Stasia przysłecie, że mi on będzie jak moje dziecko, że coś niewinnego będzie przy mnie kształcić się i wyrastać; już układam sobie, czego go uczyć będę, jak prowadzić? Trzeba, żebyś mi go ty sama, moja droga, przywiozła i wpróżdy przekonała się, czy ja mogę być mentorem i czy dosyć już jestem poważnym.

Najdroższa moja! Wiesz ty o Fila do mnie przypisku, w którym on mię do równego działu po dziaduniu chce przypuścić? Kiedym ten list odebrał, był u mnie hrabia Józef, elegant, i skarżył się, że o nim zapominają; nie mogłem wtenczas wstrzymać się, ale pokazałem mu Fila przypisek, mówiąc mu, aby porównał moich ze swojemi i dumny byłem z waszej miłości dla mnie i z waszej szlachetności delikatnej. Jakaś wstydlivość zabrania mi o tem dłużej pisać, i potem, nie mógłbym znaleźć słów na oddanie wszystkiego. Niech się wam za to wszystkie roją pszczoły i miód słodki znoszą. O Filach wszyscy tu z szacunkiem wspominają a biedny Zeidler jest dla nich z wielubieniem i z wdzięcznością największą; mię także przed innymi wychwala i jest moim totumfackim i sprzyja mi bardzo. Żona go porzuciła i prawną ma separację. Szukając mieszkania, byłem u gospodyni Filów; ta mię ze łzami prosiła, abym mieszkał u niej, ale pokoi rozdzielić nie mogła a miała ich dziewięć, uważajcie

¹⁾ Czyt. Krocze — Krzyż.

więc, w jakim byłem ambarasie; staruszka mocno nalegała na mnie, abym powiedział co ofiaruję, chcąc się koniecznie ze mną ugodzić, a ja widząc dziewięć pokoi, nie mogłem bez przerażenia zacząć z nią układów. Nareszcie wyrwałem się, zostawiwszy guzik od surduta w jej ręce i uciekłem, ale nędza tej biednej kobiety wzruszyła mię i żałowałem, że nie jestem panem, mogącym w dziewięciu pokojach mieszkać. Musiałem także odbyć drugą formalniejszą batalię z młodą babą, która mię koniecznie pod swoje prawa podbić chciała, myśląc, że jestem tak bogatym, jak ten, co w dziewięciu pokojach mieszkać może. Bogu dzięki, bez mentora żadnego wyszedłem zwycięsko i wolny jestem, nie żałując wcale, że się nie dał zwyciężyć, chociaż użyła na mnie broni strasznej, to jest rzadkiej tu sentymentalności niemieckiej; a wyznam ci, droga moja, że ta sentymentalność jakoś bardzo mi się teraz podoba, a brak jej zupełny we Włoszkach pozbawia je dla mnie wszelkiego uroku. W podróży mojej wschodniej żałowałem trochę, że nie jestem dobrze złotem nadziany, bo mi przychodziła myśl romansowa: kupić na rynku Kairskim ładną Abisynkę, przebrać ją za pazią i być nowym Iarą, z nową Gulnarą, ale nie mogłem tego uczynić i dobrze się stało dla zbawienia duszy mojej. Wyznam ci jednak, że to było jedyne i istotne zachcenie na Wschodzie; zdawało mi się nawet, że bym kochał szaleńce tak nieszczęśliwą dziewczynkę, któraby nikogo oprócz mnie na ziemi nie miała. Czy ty się nie obrazisz, że ja ci piszę takie moje tajemnice i szaleństwa rozsądnego już na pozór człowieka. Cóż, kiedy we mnie na nowo jakiś wulkan zaczyna wybuchać: serce moje znów się napełnia jakimiś nieograniczonymi zachceniami i znów muszę pracować, aby się stać panem.

Najdroższa moja, całuję ciebie serdecznie i Filów

kochanych. Bądźcie zdrowi, ja porzucam pióro, abym myślał o was i zawsze kochał. Adio, droga.

Twój *Juliusz*.

59.

Florencya, dnia 24 listopada 1837.

Najdroższa moja! Znów przez dwa miesiące żadnej od ciebie wiadomości. Kiedym był na Wschodzie, smutno mi było nie odbierać listów od ciebie, ale ta myśl, że to jest niepodobnem, ufność nareszcie w jakąś gwiazdę opiekuńczą, czyniły mnie spokojnym; lecz teraz, kiedy ty co miesiąca, droga moja, mogłabyś mi kilku słowy wesołym i szczęśliwym na cały miesiąc uczynić, a nie pisziesz do mnie, smutek i strach mię przenika. Napróżno staram się moje myśli zająć pracą imaginacyjną, myśl o tobie wraca jak jakiś dzwon tajemniczy i wytrąca mi z ręki pióro, i nie śmiem pisać o urojonych nieszczęściach wtenczas, kiedy się lękam rzeczywistego. Czy ty chora? Dziwnie, że w jesieni, jak zapamiętam, zawsze się zdarzył brak twoich listów, a przez dwa miesiące w Paquis od 11—12 godziny z rana oczekiwałem, z twarzą przy szybach, na przybycie faktora, co listy roznosząc, wychodził z miasta przez orzechową aleję. Teraz trzy razy na tydzień stoję przed okienkiem florenckiej poczty i już oddawna od tego okienka smutny odchodzę. Pisz, pisz, droga moja! a jeżeli cię to nudzi i kosztuje, pomyśl, że nie-pisanie twoje wystawia mię na prawdziwe męczarnie. Z gniewem prawie odbieram inne listy, którymi teraz z różnych stron mię obsypują moi znajomi.

Co piętnaście dni przypomina mi się Paquis nad zwierciadlanem stojące jeziorem. Zenonek mi czasami z Wiednia hieroglifami o swoich zabawach pisze; z tej-że samej okolicy przychodzą mi miłsze listy od przyjaciela niegdyś mojego w Rzymie, który mi przypo-

mina przechadzki po willi róż, marzenia w Kolizeum i wszystkie inne smutne spacerki po ruinach Cezarów. Czasem listy jeszcze mię dochodzą od człowieka, który się dziećmi mojami opiekuje, nie bardzo miłe, ale dosyć pełne nieużytecznych i nierodzących żadnej nadziei wiadomości.

Oto, droga moja, za kilka dni imieniny twoje, dzień tyle dla mnie święty; w Tebach go obchodziłem przeszłego roku, i stałem przy obelisku Luxoru, który także teraz samotny, zdaje się tęsknić po swoim równniku, wydartym z rodzinnej ziemi i przeniesionym świeżo do Paryża. Więc i wieże z granitu jednego wykute rozdzielają się i idą na wygnanie. Ludziom, co mają nogi na to, aby się błąkać po świecie, trzeba się pocieszać, patrząc nawet na obeliski. Co dnia teraz mam jakieś miłe wspomnienie z roku przeszłego.

Kilka dni temu była rocznica naszego spotkania się na Nilu z dwoma braćmi Hołyńskimi, rocznica dnia, któryśmy tak mile razem spędzili. Wiedząc już, że jakieś łódki cudzoziemskie są w pobliżu, wziąłem strzelbę na ramiona i z jednym Arabem puściłem się przed łódką naszą brzegiem, aby się mieszkańców wioski o tych cudzoziemcach wypytać. Po godzinie drogi ujrzałem z daleka ich pawilony w jednym z kanałów nilowych i spostrzegłem dwóch młodych w europejskich ubiorach na piasku. Pędem biedz zacząłem do nich; młodszy brat skoro mię zobaczył, także zaczął biedz ku mnie i rzuciliśmy się w uściski obopólne, dumni ze spotkania się na tej ziemi cudów. Wkrótce nadjechała łódź z Zenonem, którego już mój Arab uprzedził, że znalazłem tych, za któremiśmy ścigali. Wszyscy więc razem, służącym powierzwszy straż łódki, poszliśmy do oddalonej o godzinę drogi Dendery. Największy ten po piramidach gmach w zachwyceniu nas pograżył. Chodziliśmy między kolumnami jak odu-rzeni, siadaliśmy na ziemi admirując, rozmawiając z litością o wojażerach europejskich, którzy takich cu-

dów wystawić sobie nie mogą. Słowem, nakarmiliśmy oczy, serce i zamknęliśmy do serca dzień pamiątek tak cudownych, że nawet przyjaźń naszą między nami powiększył. Potem Hołyńscy zaprosili nas do łodzi na obiad a my ich na poncz wieczorem do siebie; po księżycu zaś spacer do blizkiego miasteczka Kennel, gdzie egipskie Almee otaczały nos wiankami po ulicach, między palmami, gdzie księżyc w szerokim nilowym kanale odbijał się czarownie. O godzinie 1-szej w nocy rozjechaliśmy się, towarzysze nasi bowiem już wracali z katarakty, my zaś dopiero jechaliśmy do niej; łódki ich ze śpiewem majtków oddaliły się, szybko wodą niesione, nasz zaś okręcek przeciwko wodzie płynął z trudnością i łamał księżycowe fale: taki był dzień 19 listopada przeszłego roku. Teraz przepędziłem go smutnie sam jeden. Prawda to, co powiadają ludzie wschodni, że kto raz tamtego powietrza zakosztował, to jeżeli może, napowrót tam znów powraca, pomimo wszystkich niewygód ciągłej podróży; tak tam dziwne i lekkie życie, że mi teraz Europa ciemną się wydaje: poczerniały domy, zgęstniało powietrze, na zwierciadłach marzeń ktoś chuchnął i zamglił szkło. Chciałbym jeszcze raz być na Libanie. Tymczasem we Florencyi dosyć mi dobrze. Żeby Filowie wiedzieli, jak mi Zeidler umebłował 3 piętro swego domu, jak śliczny mam salonik, wysłany pięknym dywanem, z dwoma oknami i szklanymi drzwiami, które na ładny i obszerny teras wychodzą, gdzie w lecie, nastawiwszy kwiatów, można zrobić sobie prześliczny drugi salonik, zasłoniwszy się od słońca płóciennym dachem.

W saloniku moim pozawieszał Zeidler swoje obrazy, te w złotych ramach, bardzo się dobrze wydają. Filowie, co znają mego gospodarza, nie pojmą zapewne, jakem się od jego brudu, pyłu mógł obronić, ale powiadam prawdziwie, że salonik mój elegancki, kobiecie mógłby służyć do przyjęcia gości. Na przeciwko mam maleńki i skromny sypialny pokój, dosyć ciepły, bo na

samo południe obrócony. Dalej zaś wschody prowadzą mnie wyżej do małego belwederu: jest to kwadratowy w wieżycze pokój, skąd przez cztery okien widzę całą Florencję i jej okolice. Z jednej strony zielona dolina między błękitnymi górami, gdzie widać Kaszin aleje, na północ góry piramidalne Fievoli, mnóstwo domków po górach, te o zachodzie słońca wydają się rzesistemi karbunkułami, płonącymi we mgle błękitnej. Na wschód bliższe mi gmachy i kopuły zasłaniają część horyzontu, i wieżyczka śliczna katedralna, jak cacko z cukru, na bladym rysuje się niebie. Na zachód widzę góry za Arnem będące: te najeżone cyprysami, jak horyzonty Rzymu, pięknie malują się na łunie zachodu. W tym belwederze często sobie przezywam i dziękuję Bogu, że mi w życiu mojem pozwala ciągle co raz to piękniejszymi obrazami karmić oczy, i samotności mojej odbiera tem żądło gryzące, albo raczej zamienia ją w słodką melancholię.

Ten sam Bóg pozwolił, że w tych czasach potrzebny byłem i pomocny dwom biedakom i zyskałem sobie w nich przyjaciół. Zresztą życie moje dosyć jednostajne. U Józefa i Hermana Potockich często wieczory przepędzam, grając w wista i trochę się zgrywam, ale nie wiele, bo po małej cenie gramy. Zainteresowałem tu trochę moją dzikością damy florenckie i pani Potocka mówi mi często, że gadają o mnie i chciałyby mnie poznać: między innymi księżna Surveilliers. Ta, spotkawszy mnie raz na ulicy z Hermanem Potockim, zażądała, aby mnie ten ostatni jej prezentował, i musiałem więc z nią w karecie siedzącą zrobić znajomość. Nie wiem prawdziwie, czemu mi ten świat błyszczący i pusty natrąca się, bo ja z nim żadnej nie mam sympatii, teraz zwłaszcza, kiedy od ciebie, droga, nie mam żadnej wiadomości. W każdej światowej rozrywce widzę taką cześć i nudę, że nie mogę się przymusić, aby zapomnieć i nie myśleć o tem, co daleko, a po szalonym używać tego,

co blisko. Braknie mi tu bardzo towarzystwa młodych ludzi, nie mam z kim żyć po przyjacielsku, a ci, o których wyżej wspominam, choć są bardzo dobrze ze mną, tyle wad mają i taki niedostatek w uczuciowych skarbach, że zawsze między nami są progi do przejścia i nigdy ich nie przestąpimy.

Zeidler, od 16 lat za granicą będący, jest, ilekroć patrzę na jego postać straszną i zwiędłą, marą, która mię o moją przyszłość przeraża; on widząc mię często elegancko ubranego, powtarza mi jak dzwon grobowy: „i ja tak niegdyś byłem“, a ja odwracam się wtenczas od niego jak od straszydła nędzy. Nie uwierzycie jednak, jak różnymi sposobami podniósłem z prochu tego człowieka: żona go opuściła chorego, znalazłem go podobnego trupowi. Teraz powoli podniosłem jego czoło, i ci, co go znali pierwiej, dziwią się jego odmianie, a Okraszewski mówi, że cud zrobił. A Filom tylko to napiszcie, że ów Zeidler zrobił sobie piękny czarny frak i spodnie, że ma apetyt ogara, że jest wesoły i o nich wspomina jak o aniołach, którzy mu błysnęli litośniami oczyma w ciemności; niechaj to będzie najmiłszem wspomnieniem z podróży.

Przejeżdżał tedy malarz Brzozowski z Rzymu jadąc do kraju i prosił mię, abym się Filom kłaniał. Wielki pittore koni już dawno w swoich stronach; nie więcej nowego. Skrzypak do Anglii pojechał i nie o nim nie słyhać. Florencya zawsze ładna i najmiłszem podług mnie jest we Włoszech mieszkaniem. Gdyby nie interes, który mię wkrótce poprowadzi do wielkiego miasta, gdzie są dzieci moje, zostałbym przez całe przyszłe lato w moim ładnym i kwiatami jeszcze bardziej uładnionym saloniku i belwederze. Bo życie dosyć tanie i powoli porobiłbym może miłe znajomości. Teraz na pierwszym piętrze domu mojego i na drugim mieszka siedm prostodusznych dziewczynek z matką i ojcem, z którymi już zrobiłem znajomość, aby gadać po włosku. Ale z innych względów bardzo

jestem ostrożny, mając zawsze przed sobą widziadło moje straszące: Zeidlera. Ten zasyła Filom ukłony, a ja ściskam cię i całuję, droga moja, a choć ten list późno po imieninach twoich przybędzie, niech ci powie, jak ja ciebie kocham, jakbym chciał kiedyś co zrobić, co by ci smutne czoło rozjaśniło i twoje mi przyniosło błogosławieństwo. Bądź zdrowa i nie zostawiaj mię dłużej w niespokojności o ciebie. Filów ściskam serdecznie. Niech wam wszystkim będzie dobrze i niech Bóg czuwa nad wami i nade mną.

Na całą zimę zostaję tutaj. Wasz Juliusz.

60.

Florencya, dnia 2 stycznia 1838.

Najdroższa moja! Otóż Nowy Rok a my sobie niczego powinszować nie możemy, a nie wiem, czegobym ci mógł życzyć, tak wszystko dobre niepodobnem jest prawie dla nas. Melancholia jest gościem moim we wszystkie prawie święta i rocznice pamiątek: to też i tego roku jest ze mną; coraz cichszy i smutniejszy, przyjmuję rzadkie rąk uściski, z którymi przychodzi do mnie małe grono znajomych, i myślę w sobie, że jeszcze kilka Nowych Roków, kilka świąt, a potem wszystko będzie tak, jak gdyby to życie upłynęło wśród najszczęśliwszych okoliczności, pełne wesela, głośniego śmiechu, różnych kolorów i jasności.

Wigilię jadłem z ziolkami w domu Hermana, na stanie. Sama gospodyni domu dała nam wszystkie dawne potrawy, w których wspomnienia były pieprzem i rodzynekami. Nie wiem dlaczego, ale ciągle myślałem o willi u prefekta Jarkowskiego, którą kiedyś jadłem będąc dzieckiem; potem przyszła mi na myśl wielka babuni pierkania, czeladź śpiewająca koledy, potem wertep krzemieniecki, któremu może winien jestem mój szekspirowski zapach. Nareszcie dawnym zwyczaja-

jem wyciągnąłem źdźbło siana z pod obrusa, i wyciągnąłem je bez kwiatka. Pani domu, widząc moje zasnuwanie, ofiarowała się, że mi drugie wyciągnie, jakoż dożyła mi źdźbło krótkie bardzo, nie z kwiatkiem, ale z kłosem na końcu... Tłómacz więc sobie, droga moja, że dni moje będą krótkie, ale kłos zostanie po nich; ja tak tłómaczę sam i cieszę się.

Wczoraj na Nowy Rok oddałem kilka wizyt i wieczór przepędziłem u pani Zdzisławowej Zamojskiej w gronie ziomków; ona sama niedawno syna powiła, a ja mu zrobiłem horoskop, bo wiedzą wszyscy, że w mieszkaniu mojem mam wieżę astronomiczną, gdzie często z gwiazdami rozmawiam, więc wierzą we mnie jak w astrologa. Od jakiegoś czasu dałem się wciągnąć mimowolnie w świat, i już od kilku tygodni prowadzę życie pełne roztargnienia, co męczy i nudzi. Często, wyszedłszy z towarzystwa, gdzie wiele gadałem, przypomina mi się twój talent, droga moja, bawienia gości i dziękuję Bogu, że mi po tobie trochę tego daru gawędzenia spadło; lecz ta między nami jest różnica, że ty lubisz obudzać myśli w kole towarzyskim, i wyciągasz z niego iskry, jak z krzemieni, a ja nieszczęśliwy gawędzę i niczego się nawzajem od ludzi dopytać nie mogę; więc powracam zwykle zmęczony i pozbawiony moich marzeń, bo rozmowa z ludźmi jest to dla mnie pole, gdzie ja moje złote myśli, moje samotne marzenia na zdawkową rozmieniam monetę i rozsypuję. Skutek ten sam, zawsze moją miłą własność tracę. Tak mię to życie znudziło, że teraz żałuję, że zostałem na zimę we Florencyi, nic bowiem nie pracuję i z rozpaczą myślę o moim 28 roku życia, kończącym się na marnościach światowych: prawdziwie, że na skrzydłach mi wiek ucieka i chciałbym zatrzymać lata nie dlatęgo, abym się jakiego szczęścia spodziewał, ale żeby nie zejść ze świata niepłatnym dłużnikiem. Widzisz, droga, jak to prędko poszła w las nauka o próżnościach światowych, którąbym był po-

winien z pomników egipskich wyssać. Nietylko wizyty, ale znajomi moi dręczą mnie mnogimi listami, na które nie wiem co odpisywać: tak wystawcie sobie, że nawet szambelan Skibicki z Pizy, gdzie teraz dla klimatu cieplejszego siedzi z żoną, ni z tego ni z owego wypalił do mnie list esencyonalnie poetyczny o natchylonej wieży, o Campo¹⁾ santo, o profesorze prawa, o Dancie i o wszystkich rzeczach, które jego są, a ja zaś biję się w czoło, myśląc nad odpowiedzią, a na-przód nad tytułem, który na wierzchu listu prześwie-tnemu korespondentowi należy się.

Ale dosyć już skarg... Nie, jeszcze jedna: oto muszę przerwać ten list do mojej drogiej i iść do galerii Pitti, gdzie sześć bab chce mię koniecznie mieć cyceronem. Będę więc musiał suszyć głowę, aby coś nowego o starych obrazach powiedzieć, bo jeżeli nie, to całe grono mające za organ księżnę de Surveilliers, powie, że nie zasłużył na reputację przyjemnego człowieka, jaką mi niedawno te same osoby przyznały. O tortury! będę utrzymywał paradoksy, będę błyskał sprzecznościami, wskrzeszał umarłych malarzy, i to wszystko zje mi ranek, którybym mógł weselszymi zajęć myślami. W galerii tej jest jeden mały obraz, który mi łyż z oczu wycisnął, zapewne go Filowie nigdy nie uważali: jest to malowidło Pawła Veronese, wystawiające Chrystusa, który się żegna z matką, idąc do Jeruzalem, aby umarł. Twarz tej matki, pokora syna, który zdaje się ją przeproszać za to, że ją samą na świecie zostawia, prostota miejsca, gdzie się to pożegnanie odbywa, wszystko mię rozczuliło niewypowiedzianie, i kocham malarza, że mu taka myśl, nie wspomniana w ewangelii, przyszła do głowy.

Dnia 3 stycznia. Otóż przepędziłem wczorajszy ranek w galerii z damami, i dosyć się dobrze zabawiłem; dziś za to siedzę w domu, deszcz czarny pada

¹⁾ Czyt. Kampo — cmentarz.

i melancholiczne światło panuje w moim saloniku. Przypomina mi to moje dnie zimowe w domku Paquis, i dziwna jakaś czeza melancholia dręczy mię; chciałbym się kochać, ale nie wiem w kim. Filowie już ci musieli powiedzieć, droga moja, że to jest jedno z najgłówniejszych żądań mojego teraz życia; gadaliśmy o tem z niemi nieraz, siedząc na balkonie domu świętej Łucyi w Neapolu, czekając, aby się księżyc pokazał nad Wezuwiuszem i rzucił nam kolumnę światła przez morską zatokę.

Otóż rok przeszedł nowy a ja się nie kocham; co to będzie? Poznałem tu ładną jak anioł Amerykankę i to był kamień probierczy mojego ostygniętego serca. Zdawało mi się z razu, że to była jedna z nimf Niagary, podobna do tych widm, które Manfred wywoływał z tęcz nad wodospadami, i już miałem chwycić ognia z jej błękitnych oczu, kiedy mię odstręczyła od niej jej ciągła wesołość, ciągly prawie uśmiech na rozkwitłych ustach; włożyłem więc znowu jak ptak głowę pod skrzydło i pogрузyłem się w moje sny melancholiczne. Największemu doznał rozrzewnienia, czytając poważny, matczyzny i pyszny początek ostatniego twego listu, droga moja, gdzie mi piszesz o godzinie 7-mej 1809 roku 22 augusta. Zdawało mi się, że mi stróż mój anioł ze smutkiem opowiadał, jak to było koło mnie w pierwszej chwili życia mojego. Słyszałem, jak po Mszy babunia wschodziła na schodki domu, koło których rosły dwie topole. Słyszałem, jak drzwi otwierała i pytała o mnie. Dzięki tobie za widzenie takie, choć smutne teraz dla mnie samotnego. Cały twój list był mi nieskończenie miły a zwłaszcza myśl, że nie jestem zupełnie obcy w mojem rodzinnem miasteczku; że wróciwszy, znalazłbym przyjazne powitanie od osób, między którymi i kilka nieznajomych zobaczyłbym twarzy. Wszak to wzgórze między górą Zamkową i Czerczą, gdzie miał biały stanąć kościółek, zawsze czeka na kamień pierwszy i kilka trumien. Król ba-

warski wystawił teraz kościółek podobny i nazywa go pałacem Walhalli. Niech więc nasze wzgórze czeka i co roku okrywa się wonną konwalia, i odbija echami śpiewania słowików, ukrytych w Czerczy zaroślach, a tymczasem synowie Ossyana mają mieszkanie w chmurach.

Chciałbym coś napisać, coby przekonało pannę Eleonorę Komorowską, jak mi jest szacowną jej pamięć i wiele wdzięczny jestem za przychyłność jej dla ciebie, droga moja. Deszcz czarny pozbawił mię myśli i nie śmiem ciężkimi wyrazami do nieznajomych mi z tak daleka odzywać się osób. Ty więc, droga, zastąp mię i powiedz jej tysiące i bardzo miłych rzeczy.

Teraz ciebie muszę pożegnać i złożyć ci na koniec moje życzenia noworoczne i uściskać Filów także na Nowy Rok, a ten listek niech będzie dla was jak mój opłatek; rozłamcie go pomiędzy sobą i niech każde weźmie część, która się mu należy z mego serca, z moich życzeń, z mojego przywiązania. Jeden pocałunek posyłam wam wszystkim, a ciebie droga moja, jeszcze ukradkiem, kiedy się inni odwrócą, w nóżkę twoją całuję, na kolanach przed tobą. Adieu.

Wász Juliusz.

61.

Florencya, dnia 22 lutego 1838.

Najdroższa moja! Oto tłusty dzisiaj czwartek. Florencya pełna masek, powozów, śmiechu, zgiełku, a ja także zabieram się wyjść na ulicę i przypatrywać się zabawom tych ludzi. Nim jednak wezmę rękawiczki i kapelusz, pomówię z wami, bo mi smutno, bo ostatni listek wasz a zwłaszcza opis zimowej chaty Filów, nappełnił mię taką za wami tęsknotą, że się dotąd otrząsnąć z niej nie mogę. Śnieg lekki, który dziś w nocy

pocukrował dachy tutejsze, przyczynił się do mojej melancholii: wszedłem na belweder i ujrzałem z niego miasto, naszym miastom podobne, wszystkie domy z siwą głową, przyległe okolice jeszcze bielsze i gdzie nigdzie tylko smutna zieloność cichego zimowego drzewa. Dwa lata temu wjeżdżałem do Rzymu, ścisnąłem Filów i odświeżałem u nich moje rodzinne uczucia, tak właśnie jak gdybym kwiaty zerwane i już nieco uwiedle wstawiał do wody, aby głowę podniosły. Dziś jestem w ulubionym Filów mieście i z chęcią oddałbym im wszystko to, co mię nie bawi, a co malarską Teofila ubawiłoby imaginację, to jest tę maskaradę włóczącą się po błocie. Oto jeden tłum masek wystawia tryumf Cezara. Na ogromnym wozie siedzi jakiś głupiec w laurach od stóp do głów i uśmiecha się dumnie wysokością swojego piedestału, porównany z pierwszemi piętami domów; przed nim idą Rzymianie z trąbami w nadętych pyskach; przed nimi na nędznej szkapie jedzie jakiś Cocles, jakiś Brutus, który, że użyję kalamburu Szekspira w Hamlecie, nie Cezara w Kapitolu, ale kapitalne zabił cielę, maskowani ci bowiem są aktorowie albo rzeźnicy. Ci ostatni najbardziej, jak uważałem, skłonni są do maskarad i do przybierania na siebie rycerskich strojów. W Paryżu oni jedni tylko dają z siebie wzniosłe widowisko dawnych wieków w tłusty czwartek, prowadząc woła Apisa z wizytą do pałacu królewskiego; oprócz tego tryumfu Cezara, nie widziałem jeszcze innych tryumfów włóczących się po Florencyi, ale zapewne spotkam się z niemi.

Przyznam ci się, moja najdroższa, że mi w tym kraju tęskno za rozsądniejszymi krajami, gdzie kilka lat przeszłych przeżyłem. Zwłaszcza nudzą mię serca interesowne i głowy bardzo puste tutejszej płci pięknej; wystaw sobie, że w domu moim na pierwszym piętrze mieszka familia ze wsi, prawie chłopska, składająca się ze starego ojca, matki i sześciu panienek. Zaczę-



Kościół Grobu świętego w Jerozolimie.

łem u nich bywać dla włoskiego języka, bo żadna z nich innym językiem nie mówi, zaledwie czytać umieją. W domu ich ze skapstwem połączony niedostatek. Chcąc te panienki ubawić, zaprosiłem je kilka razy do siebie i dałem im mały wieczorek w moim saloniku: tańczowały, jadły ciasteczka i dziwiły się, widząc moje eleganckie mebelki, moją lampę, którą dla nich zapaliłem, mój fortepian, moją posadzkę, wybitą dywanem. Mój kochany Zeidler, któremu się nie dziwiły, bo brzydki jak dyabeł, przepowiedział mi zaraz, że te Włoszki zaczną na mnie siatki zarzucać; byłem więc bardzo ozięble grzeczny; aż tu nagle jedna z nich robi mi oświadczenie miłości na wschodach i prosi o moją rękę. Rozśmiałem się tak, że się zatrzęsła moja wieżyczka z belwederem, i zostawiłem zmieszaną Cyrce z otwartą gębą. Dotąd pojąć nie mogę tak śmiesznego głupstwa tej rodziny, przekonany bowiem jestem, że matka sama należała do spisku dziewcząt. Na miejscu tych Włoszech Sabineek, w odwrotnem znaczeniu, dziewczątka francuskie albo niemieckie lubiłyby mię i wspominałyby długo, jak odjadę; a ja właśnie tego chciałem, bawiąc je, aby kiedyś, po kilku latach, wspomniały o mnie, zobaczyły oczyma wspomnień mój salonik, mój fortepianik, moją lampę przed lustrem, i powiedziały do siebie: „Jak my się dobrze bawiły u tego *forestiere*¹⁾; kto on taki? skąd? gdzie zniknął?“ Żadnej delikatności uczuć nie znają tutaj. Wszystko ma jeden cel: złapać cudzoziemca, jeżeli się da, a wszystko wypływa z jednego źródła, to jest, że osądzili już dawno Włosi w swoim sercu, że każdy cudzoziemiec jest Anglikiem, a wyraz *inglese*²⁾ znaczy teraz u nich głupi. Otóż po tej deklaracyi Włoszek zamknąłem moje drzwi i czekam spokojnie, aż dziewczyna umrze z miłości, bo powiedziała mi wyraźnie, że nie przeżyje ciosu.

¹⁾ Obcy.

²⁾ Anglik.

Ale dotychczas zdrowa i spuszcza oczy, ilekroć mię zobaczy.

Całą tę zimę bardzo się mało bawiłem; przejeżdżała tu pani Komarowa z córkami, dawna moja znajomość drezdeńska, bywałem u nich dość często; panny dwie zadziwiły całą Florencję swoją pięknoscią; starsza podobna do Wenus medycejskiej, zakochana szalenie w bardzo brzydkim z twarzy adonisie, choruje z miłości i przypomniła mi wiele dawno znanych polskich dziewczątek, bo tylko Polki tak romansownie Kochają i tak się nie kryją z miłością. Angielki także czasem z choroby serca giną, ale cicho, spokojnie pochłaniając wszystko w sobie, podobne różom białym, więdnijacym powoli.

Te dwie piękności z matką pojechały już do Rzymu; została mi więc mniej jedna wizyta co tydzień, zostały mi wieczory do środy u księżnej Surveilliers, która dla mnie jest nadzwyczaj grzeczną i ujmującą. Zapewne, droga moja, czytając *Memoiry*¹⁾, wiesz, kto ona jest i dlaczego mi jej greczność miła. Co środy znajduję tam koło dobrze dobrane, starające się dowcipem naśladować paryskie zgromadzenia: jedni rysują szkice, drudzy gadają o literaturze i o sztukach pięknych. Muzyka tylko tam nie wchodzi; dobrze, bo gdzie muzyka się wciśnie, zwłaszcza we Włoszech, to zaraz bierze górę i staje się panem zgromadzenia i zamyka usta i głowy zasklepia. U Włochów pierwsza *cantatrice*²⁾, c'est un grand homme³⁾. Innej wielkości nie znają na ziemi, tylko wielkość gardła.

Tytuł mój wojażera egipskiego i pielgrzyma Ziemi świętej bardzo mi teraz pomaga w towarzystwie: mogę czasem poprawiać Lamartina, czasem nadawać sobie trochę kolorytu i postawy rycerzy Tassa, czasem robić

¹⁾ Czyt. memłary — pamiętniki.

²⁾ Czyt. kantatrice — śpiewaczka.

³⁾ Czyt. Se tē grantom — to wielki człowiek.

się mistyczną anegdotą rodzajem *G i a u r a*, czasem karykaturując siebie, włączając na kark wielbłąda, słowem, że wyciągam różnymi sposobami korzyść z odbytych wędrówek, a te w moich samotnych godzinach bawią mię jak sen piękny. Lękam się mglistych obrazów przelewać na papier, aby nie straciły dla mnie wdzięku.

Dosyć mi dobrze we Florencyi, tylko mi brak jakiejś milej osóбки, coby mię trochę zelektryzowała, ale tego mi zawsze brak było, oddawna, ochwaciłem się. Do Zenona pisałem o płaszczyk, ale go mój list już podobno nie zastał w Wiedniu; ja mu także nie udało się dotąd jednego komisu dla zarazy, która zamknęła port odeski, ale teraz morzem wszystko mu wyprawię. Widuję tu często na obiedzie Sandersa i przypomina mi bardzo Antosię Sandersównę z twarzy: zawsze czysty, ustrojony i przystojny, żyje skromnie, mieszka daleko od środka miasta; obaczywszy go, zdawało mi się, że go już we śnie dzieciństwa widział, i zdziwiło mię to wrażenie; potem przypisałem je portretowi, widzianemu niegdyś na ścianie. Słyszałem niedawno u pani Komarowej jednego z pierwszych improwizatorów włoskich, któremu sam zadawałem temata do improwizacyi: z jednego nie mógł się wywinąć, drugie w grobach w Sta Croce wybornie mu się udało. Smutno mi było patrzeć na poezję zniżoną do tego stopnia, że się nią ten biedak poeta za obiad wypłacał, i cały się pocił, improwizując, wtenczas, kiedy pani domu i inne osoby poziewały, nie rozumiejąc po włosku; przypomniło mi się wtenczas, jakem ja w Damaszku o towarzyszu naszym, księdzu Ryło jezuitcie, improwizował tragedję burlesque¹⁾. Zenonek wam kiedyś o tem powie. Dziwnie byłem wtenczas skłonny do improwizacyi, bo zazwyczaj głodny od obiadu klasztornego wstawałem. Teraz, Bogu dzięki, co dnia

¹⁾ Czyt. biurlesk — zabawna.

władze imaginacyjne przygaszam i przytłumiam tegim bifestkiem i wcale jestem niepoetycznym.

Gawędzę o niczem, bo o niczem ciekawem, droga moja, napisać ci nie mogę, chyba o tem, że niedawno, na przypomnienie przeszłego karnawału, zaproszony byłem do domu Potockich na pączki przez kucharza polskiego robione; że był tu teatr amatorski, na którym osoby z najwyższego towarzystwa popisały się; że brzydki i zimny dotychczas luty, że mi tęskno i smutno. Bo cóż ja będę robił dalej? zawsze i wiecznie nic nie robiąc? Życie moje jest ciągle trwającą niedzielą; nie mam nikogo, coby mię ożywił i podniósł trochę.

Żal mi, że nie mam tu Zygmunta Krasieńskiego, którego towarzystwo w Rzymie miało dla mnie, umysłowo mówiąc, lekarskie, uzdrawiające skutki. Mój Zeidler ciągle teraz gitarą zajęty, okropnie rzępoli; dobry zresztą gospodarz i bardzo mi sprzyjający. Fortunata zawsze wspominamy, gwarząc wieczorem przy kominku.

Adieu, droga! Przyszedł do mnie znajomy Teofilów w Neapolu, który się chce koniecznie do nich przepisać; zostawiam mu więc miejsce i całuję ciebie serdecznie z całej duszy mojej i polecam się jak memu opiekunczemu aniołowi na ziemi.

Twój *Juliusz*.

Filów kochanych ściskam, niech im skowronki wiosenne śpiewają nadzieje.

62.

Florencya, dnia 2 kwietnia 1838.

Najukochańsza moja! Dwoma twojemi listkami rozwidniłaś mi ten miesiąc tak, że uczynił się prawie jasny jak te, które przepędziłem na Wschodzie. Dzięki ci, droga moja; korzystałbym natychmiast z wolnych skrzydełek, aby przelecieć kawałek błękitnego morza,

dotknąć piórami szczytu Alp śnieżystych, i powędrować jeszcze dalej, gdyby mię nie zatrzymywały tu jeszcze niedokończone moje prace; przyrzekłem bowiem sobie, że z próżną teką nie pojedę do wielkiego miasta piszących waryatów. Doznaję prawie wyrzutów sumienia, że dotąd nic ani o piramidach, ani o grobowcu Chrystusa nie pisałem; ale jak mówi dawna pioseneczka: „Serce nie sługa, nie zna, co to pany“ itd., tak ja o mojej imaginacji powiedzieć mogę; zrobiłem postrzeżenie, że dla nas, ludzi z pod zimnej gwiazdy Niedźwiedzia, Włochy są anti-imaginacyjną krainą. Mój starszy i wielki pierwszy, bawiący tu dawniej, przez lat kilka nic nie napisał, i dopiero przybywszy między błędne zórawie, zaczął śpiewać i rymy lać obficie; z tego wnoszę, że imaginacji potrzebne jest ojczyście przynajmniej zbliżające się do ojczyściego powietrza, potrzebna jest także atmosfera napełniona westchnieniami ludzi czujących i oświeconych, potrzeba nareszcie trochę poklasków, trochę cienia drzew niepospolitych i smutnych, jak są laury, a w niedostatku tych sosny i jodły litewskie; tego wszystkiego braknie tu, więc dobranoc marzeniom.

Ciekawa jesteś, droga moja, nieco detalów o księżnej Surveilliers; ta, o której pisałem, jest córką Józefa, a wdową syna Ludwika: mała osóбка, bardzo mała, z twarzą dosyć przyjemną, bardzo bogata, bardzo wielka amatorka sztuk pięknych, dosyć dowcipna, ale czasem nieśmiała w rozmowie, przynajmniej ze mną. Jest to jedyny dom florencki, gdzie bywam wciągnięty, bowiem jestem i dotąd wciągany natarczywie i uprzejmie: ilekroć wychodzę, powtarza mi kilkakrotnie: kiedy się zobaczymy? Przez inne damy przypominać mi może kilka razy na tydzień swój wieczór środowy, wymawia mi, ilekroć nie przyjdę, słowem, że traktuje mię z wielką dystynkcyą, i zdaje się, że mię lubi. Cieszyła się bardzo ostatni raz, kiedy do niej do łóż przyszł dłem i zatrzymała mię przez cały akt „Normy“, z czego

nie bardzo był kontent Herman Potocki, kochający się w niej bez nadziei, a mnie bawiły jego oczki tatarskie, świecące w głębi ciemnej łoży, jak ogniki w nierucho-
mej i bladej twarzy. Przy niej znalazłem moją dawną uszczypliwość w rozmowie i dziwi mnie to, bom sądził, że się jej już dawno pozbył na zawsze, przez pięć bowiem lat i więcej poważność jakaś zastąpiła była jej miejsce. Biada temu, którego w towarzystwie osądzą za przyjemnego człowieka: musi potem wszystkie zakamarki rozumu otwierać i wypuszczać z nich na świat władze, które trzymał za kluczem jak waryaty, aby nie chodziły po mieście. Niech cię ta uwaga przekona, droga moja, że umiem rozróżnić złe od dobrego i że tylko w ostatniej potrzebie używam moich szkodzących władz.

Powiem ci, droga, że na wieczorze u Potockich, gdzie się znajdowała księżna, miałem z nią długą rozmowę, radząc jej, aby przemieniła trochę postać swoich wieczorów, i zamiast tłumu napełniającego salon, żeby zasiadła na kanapie, gościom w koło usiąść kazała i wzięła berło rozmowy, kierując ją zgrabnie i rządząc nią jak Eol wiatrami. Spytała mnie, czy się zgodzę być mistrzem ceremonii? odpowiedziałem jej coś nieznaczącego i znów dalej z maleńkimi pochlebstwami wykazywałem jej różne dobre skutki tak urządnego towarzystwa, a na koniec powiedziałem jej, że znałem osoby dwie na świecie, które doskonale prezydować rozmowie umiały; wtenczas z wielką natarczywością księżna wypyttywała mnie o nie, musiałem jej nareszcie powiedzieć, że ty, droga, jesteś jedną z nich. Bywam u niej czasem z rana; wtenczas zastaję ją rysującą pejzaże i na rozmowie z nią przepędzam miłą godzinę. Pokój jej pełny jest medalionów, portretów, biustów famijlnych, ze 20 przynajmniej bogatych sztambuchów pokrywa stoliki. Jakiś zapach dawnej wielkości napędza buduar kobiecy.

Otóż to jest wszystko o niej i o mnie. Niepodobna

ci opisywać wszystkich rozmów o niebieskich migdałach; wstydę się opisywać szarlataneryi, której używam czasem, abym jej nieznacznie pokazał dar twój, to jest moje pańsko-eleganckie wychowanie: czasem także ruiny w Egipcie pokazany zgrabnie przekonywa ją fałszywie, że gdybym chciał, to bym był malarzem. Raz na wieczorze u Potockich, kiedy była księżna w drugiej sali przy kolacyi, doszła ją jakaś fantazja Szopena, grana z melancholią na fortepianie i zgrabnie ucięta w tem miejscu, gdzie trudniejszy pasaż odkryłby z pod skóry wołowej moje oślątka uszy..., ale spostrzegam się, że ci tu czynię prawdziwą spowiedź i może nieznany ci jeszcze rys mojego charakteru odkrywam, to jest: *que je pose quelquefois devant le monde*¹⁾, jak gdyby do portretu, tj.: *en trois quarts*²⁾. Żadna pasya nie odkrywa mojej draperyi, żaden wicher nie rozwiewa mi włosów, żadna iskra nie błyszczy mimowolnie w źrenicy, aż mi wstyd, że takim jestem, lecz to nie moja wina. Ale już dosyć o tem.

Dziękuję Filom za ich listy. Z Fila wiejskich opisów jakaś dziwna poezya Kochanowskiego wytryska i wprawia mnie w dumanie: już sobie ułożyłem w imaginacyi obraz ich domku, już widzę grobelkę, staw, pasiekę; chciałbym tylko, żeby słoneczne punkta topograficzne opisał, dotąd bowiem nie mogę mieć dokładnego wyobrażenia miejsca, dopóki nie wiem, przez które okno słońce zaziera do jakiego pokoju, gdzie tenże, czy nad łąnem, czy nad lasem?

Wynalazł teraz jeden astronom w Anglii kalendarz, przepowiadający pogodę i deszcz na cały rok: umieszczono jego przepowiednie na 15 dni marcowych naprzód w gazetach i sprawdziło się do joty. Komisya uczonych ludzi w Paryżu zajmuje się roztrząśnieniem

¹⁾ Czyt. Ke że poz kelkła dewan le mąd — że pozuję czasem przed światem.

²⁾ Czyt. An trła kar — w trzech czwartych, ułożenie, że większa część twarzy obróconą ku widzowi.

tego wynalazku; jeżeli okaże się proroctwo prawdziwe, gospodarze wiejscy, jak Teofil, szczęśliwi będą, a ja postaram się, aby ten kalendarzyk jak najprędzej w Pereniatynie błękitną okładką z poza lustra wyglądał pod wiankiem przeszłorocznym z kłosów i bławatków.

Nie skarżcie się na waszą zimę, bo i tu oto już kwiecień, a ja jeszcze na kominku muszę ogień zapalać wieczorem, abym nie marzył w ręce, grając na fortepianie lub pisząc. Co się tyczy fortepianu, przez tę zimę znacznie poczyniłem postępy w czytaniu nut, ale Foka przeklinam, że mię gamy, prostej gamy nie nauczył. Biegłości mi płynnej braknie; dlatego ludzie, którzy się na czuciu nie znają, a tylko sypanie grochu w grze lubią, nie nie uwielbią w moim melodyjnym talencie. Czy zna Sylka koncert z krakowiaka Szopena, przesłiczny, ale trudny jak dyabeł. Mówią, że się Szopen z Maryą Wodzińską, a niegdyś moją Maryą ożenił; może poszła za niego trochę z przyjaźni dla mnie, bo mówią ludzie, że Szopen do mnie jak dwie krople wody podobny. Jak to sentymentalnie pójść za człowieka podobnemu temu, którego się pierwszą miłością kochało, stałość i niestałość harmonizują się z sobą w takim zdarzeniu i, podług Swedenborga, już w niebie nie z dwóch ale z trzech dusz robi się anioł jeden po śmierci. Ale w tym przypadku niech Marysia na mnie nie liczy, wolę się do innej jakiej światłej istoty w niebie przylepić; dla niej dosyć Orfeusza. Skrzydła tego anioła będą z siedmiu pedalów, a z klawiszów rąbki. Miło mi, że Sylka nie zapomniała mojego walca; dopiero po odebraniu twego listu, droga, gdzie piszesz, jakieś uściśnęła Chudobę, przypomniałem sobie o tym walcu i wnet też zagrałem go na fortepianie, aby grać to, co wy gracie, aby słyszeć to, co wy słyszycie. Takim sposobem znajduję jakiś mistyczny sposób połączenia się z wami, i przychodzi mi na myśl wiersz jeden z jakiejś mojej poezyi: „Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku i nosi ciągle wieści.“ Piszcie jeszcze tutaj do

mnie, drodzy moi, bo nie spodziewam się, abym przed dwoma miesiącami stąd wyruszył. Strach mi zmieniać miejsce, lenistwo pakowania wstrzymuje także.

Sylka, protektorka Eglantyny, wypchnęłaby mię gwałtem i zapakowała na statek parowy, ale ja się ociągając z tą chwilą, w której będę musiał, jak mówi Konrad Wallenrod, „przepraszać za wszystko, co ucierpiało dla niego.“ Listy między nami rzadsze są teraz: ona już utraciła nadzieję powrotu mego, a ja nie chcę jej ożywiać na nowo. Może to egoizm, ale nie chce mi się w domku Paquis znowu zastrzedz i głowę włożyć pod skrzydła jak łabędź senny; przeleć więc tylko przez ciemną aleję kasztanów i platanowych drzew i pójdę dalej. Mogiłka na Père la Chaise, w której leży mój młody przyjaciel suchotnik Zienkowicz, przyjmiemnie mnie zapewne z cichą radością, i mnie też najmilej, bo najsmutniej będzie usiąść na niej i podumać o pięcioletnich wędrówkach. Zbierze się więc lat i wędrówek i łez i wspomnień, aż mi Bóg usiąść pozwoli pod tą sliweczką, która na grobie dobrej mojej babki teraz zapewne stoi, białymi kwiatami okryta.

Bądź zdrowa, droga moja, wpadłem na jakiś ton smutny mojego serca i uważam to, że to się zawsze dzieje przy końcu listów moich; ale łatwo mi znaleźć rozwiązanie tej psychologicznej tajemnicy: kończąc list, smutny jestem znowu, jak gdybym się po długiej rozmowie z przyjacielem rozstawał.

Adieu droga! Bądźcie zdrowi, Filostwo moi kochani. Wszystkim wam niech słońce wiosenne zaświeci i pszczoły wasze niech wam zabrzęczą wesoło. Adieu!

Wasz J.

63.

Florencya, dnia 49 maja 1838.

Najdroższa moja! Oto jeszcze moje marzenia nie ubrane w ciało trzymają mnie tutaj, i nie wiem praw-

dziwie, kiedy stąd wyruszę, dałem bowiem sobie słowo, że do moich kolegów z niczem nie powrócę. Tymczasem Florencya smutna dla mnie jak grobowiec: przywykłem widzieć zawsze wiosenne słońce, rozwijające się drzewa; w obudzeniu się tem nieraz melancholicznie mię ogarniały tęsknoty. Zdawało mi się, że jestem z rodzaju węży, zmieniających skórę i szaty. Tego roku ciągle deszcze i niebo żelaznego koloru; rozwinięły się drzewa bez żadnej w sobie radości dlatego tylko, że przyszła na nie życia godzina; nigdy prawie słońce nie uśmiechnęło się. Patrząc na białe i różowe jabłonie, z belwederu mego widzę dolinę Arna przez wstęgi, przez warkocze deszczowe; od dalekiego morza płyną i wraz nowe nadpływają chmury; morze te (!), co takie dla mnie było przyjaźnie błękitne, co okręt mój kołysało jak sennego łabędzia, teraz przysyłają mi tylko smutki i chęć, abym ze splinu umarł. Nie dziw się, droga, że tak wyrzekam: oddawna moje przyjemności przywykłem czerpać z błękitnego tylko nieba i od dwóch miesięcy nie widzę gwiazd, chociaż teraz Orion, konstelacya podobna do lutni, którą ja ukochałem, widząc ją w pustyni nad moim namiotem, musi być na samym szczycie nieba, i wiem, że się chce ze mną zobaczyć; po deszczu więc, z parasolem chodzę po smutnych ulicach jak mara piekielna; często nuda napędza mię do pracy, ale wiecie, że między dziewięciu muzami nie położono nudy. Bogini tej nie widziałem w Panteonie, musiała się urodzić z popiołów bogów greckich.

Co jeszcze pomnożyło moją melancholię, zrozumiesz, droga, jak przeczytałem wyjątek następujący z listu Eglantyny: „Nous avons quitté le Paquis pour n'y jamais revenir; il y a huit jours que nous habitons la ville, il y en a quinze que j'ai pris pour jamais congé de cette maison et de ce jardin, dans lesquels pour quelques roses j'ai cueilli des boisseaux d'épines. J'ai habité notre chambre jusqu'au dernier moment, et j'ai

fait bruler notre pavillon pour que personne autre ne s'y mette à l'ombre; j'ai pris le chevrefeuille planté par vous et il est tout en feuilles maintenant; il orne avec d'autres vases une jolie terrasse sur le haut de la maison que nous habitons; de cette terrasse on découvre un panorama magnifique... etc.¹⁾

Droga moja! Nie wiem, czy ty pojmiesz, jaka mi od tych kilku słów napada tęsknota; więc już wróciwszy do Genewy, zamiast przywitać się z drzewami ogrodu, gdzie sobie przez 3 lata marzyłem, zamiast odpocząć w pokoiku, gdzie przywykł był leżeć spokojnie, zamiast tej melancholii, jakąby mię przeniknął widok miejsc, gdzie latał po murawach z młodzietką Maryą, co mię kochała krótko ale mocno, jak zazwyczaj młode polskie dziewczynki kochają: zamiast tego wszystkiego, znajduję dom w mieście czarnem i pępem. Ogród mój dawny przez sztachety żelaznej bramy zobaczę napełniony innemi dziećmi może, co będą jak ja dawniej odsyłały sobie wolanta po błękitnem powietrzu. To smutnie. O, nie wróć do Genewy, a nawet na krótko wrócić smutno mi będzie: ja chciałbym, latając, ażeby się wszystkie miejsca zasuszały, kamieniały w takiej postaci, jakie je zostawiłem i ażebym kiedyś drugą podróż mógł rozpocząć pełną pamiątek; lecz niestety, wszystko się odmienia.

Jak król egipski każe sobie historię moich pamiątek niezrozumiałym językiem na obelisku napisać i na grobie postawić, abym, obudziwszy się po roku filozoficznym (bagatela 1400 lat, inni mówią, że jeszcze zero

¹⁾ Opuściliśmy Paquis na zawsze; od tygodnia mieszkamy w mieście. Przed dwoma tygodniami na zawsze pożegnałam się z domem i z ogrodem, w którym z kilku różami urwałałam snopy kolców. Mieszkaliśmy w naszym pokoju aż do ostatniej chwili i spaliliśmy naszą altanę, aby nikt inny nie siadł tam w cieniu. Wzięłam przewierścień (powój) zasadzony przez pana, cały zlepony teraz; zdobi wraz z innemi wazonami ładny teras na górze domu, w którym mieszkamy; z tego terasu widać wspaniały krajobraz itd.

dodać potrzeba), mógł wszystkie moje wspomnienia na gruncie odczytać, i dopiero nauczysz się ich na pamięć, nową wędrówkę życia rozpocznę.

Hieroglifik pierwszy, ciebie mi przypomni, droga moja, i może mi łyzy czytać dalej nie pozwolą; przypomnienie o tobie cześć mi rzuci na wszystkie inne pamiątki, jak teraz często mi pokazuje błahość wszelkich innych smutków i tęsknot. — Przyjechał tu wiolenzelista Aleksander Potocki, który często w Rzymie do kwartetów Wańskiego używał; jak zawsze oryginał. Dwa wieczory przepędziłem z nim w jego łożu w teatrze, ma bowiem teraz łożę i wcale już nie tak skapo żyje jak pierwsi, zawsze rysuje portrety; zabawi to Filów; był w Rzymie i tam go zaraz jego olbrzymie Nimfy otoczyły. Wański nasz w Anglii.

Mam do Fila prośbę: oto, aby napisał do Zenonka, towarzysza mojej podróży, jeżeli wie, gdzie się teraz znajduje, aby mu napisał, że grobowy jego kamień, dwa kominki marmurowe, obrazy i paka, czekają dotąd na okazję do Odessy, albowiem od 5 do 7 września żaden dotąd okręt nie odpłynął, a to dla zarazy pierwszej, a teraz nie wiem dlaczego. Zaręczcie Zenonka, że to spóźnienie nie z mojej winy pochodzi; niech wreszcie dowie się w Odessie, czy prawdę mówię i niech wie, że na tem bardzo cierpię, że mu tak rychno, jakbym chciał usłużyć nie mogę. Mieszka on près de¹⁾ Tulczyn à Sokołówka.

Chciałbym ci coś, teraz droga, z szczegółów życia mego napisać, ale tak wszystko pusto koło mnie, że nie wiem, czy wszystko co mi się przytrafiło od miesiąca, na wypełnienie dwóch frazesów wystarczy. Oto święcone jedliśmy u Hermanów Potockich, na którym mała nas była liczba i mało jakoś wspomnień obudziło w nas to święcone: tak łatwo jest zimno rozrzucić na serca ludzkie, tak łatwo jednej osobie

¹⁾ Czyt. Pre-de — blisko.

wszystkie inne poziewaniem zarazić. Żadnej więcej fety, żadnego wieczoru, para obiadów zaproszonych i już wszystko, i cała zewnętrzna scena, co mię otacza, na tem się kończy. O życiu mojem w zewnątrz także niewiele więcej mógłbym napisać: pocernionych atramentem kilka kartek, romans oczyma w kościele, ciągle szukanie ideału, nad którym już wypatrzyłem oczy i zdarłem wiele podeszew, i to wszystko; kilka smutnych wiadomości: że autor, piszący niegdyś o stu sławnych ludziach, umarł, ów to, co niegdyś powróciwszy z wojażu do Wilna, zadziwił wszystkich krojem fraka i formą spiczastego kapelusza, a dziś pod kamieniem cmentarza Père la Chaise, zmęczony pracą robienia wielkich ludzi z niczego, spoczywa; wiadomość smutna, że Adam chcąc zarobić na kawałek chleba, dramę po francusku napisał i wyznał sam, że ją pisał jak szewc, co szyje buty, aby wyżywić żonę i dziecko, że pisał bez zapału, a teraz przechodzi przez męki tych autorów, którzy z nieznanem imieniem chcą reprezentację dla pierwszego dzieła na scenie otrzymać.

Czy znasz, mam, list George Sand o tej dramie czy dramacie? Dostyć zimny, wszakże dostyć dla Adama przychylnie napisany.

Czy też ty, droga, znasz panią Sand i jej romanse lubisz? Ona dla mnie jest francuzkim poetą i podług mnie daleko przewyższyła panią Stael. Spotkałem ją raz ubraną po męsku na statku parowym, na genewskim jeziorze, ale tak serce moje miałem wtenczas innemi rzeczami zajęte, że nie do niej nie zbliżyłem. A kto wie, czy w tej chwili słowa jej nie mogłyby nadać innego kierunku moim uczuciom: serce moje było wtenczas jak glina miękka i podatna do przyjęcia innego kształtu. Teraz już późno na wszystkie metamorfozy. Mam jeszcze jednak jeden sen błady, który mi jest nadzieją i bańką z mydła, na którą dmucham; jeszcze nie pękła.

Cokolwiek bądź, muszę się wyrwać z tej dżdży-
stej Florencyi, chociaż tu raj prawdziwy dla ludzi ze
szczupłym dochodem, ale raj materyalny, prowadzący
za sobą dziwne uśpienie władz umysłowych. To dzi-
wnie, że ja, co ze łzami prawie wyjeżdżałem z Libań-
skiego klasztoru, gdzie tylko dni 40 jak na pokucie
przesiedział, a takiej, wyjeżdżając, doznałem tęsknoty,
jak gdyby miło mi było życie z tymi dobrymi mni-
chami przepędzić, czuję, że z Florencyi bez żadnego
żalu wyjadę. Pierwszy raz mieszkanie moje nie przy-
wiązało mi do siebie, choć bardzo ładne i poetyczne,
osoby przyjaźne mi nie utonęły mi w sercu; słowem,
jest to dla mnie dziwny fenomen, ta oziębłość dla
wszystkiego i dla wszystkich; czy to już starość? Lecz
ja tak mało używałem serca mojego, że jeszcze młode
być musi. Chciałbym się znów odhartować w jakiej
nauce suchej i dającej mi co dzień nowe zagadki,
jak matematyka; ten, kto doznał przesycenia idealnych
marzeń, zrozumie i pojmie tę żądzę, że mi tęskno
prawie za najsuchszymi godzinami życia, za moją nie-
gdyś biórową pracą, że władza moich zachceń zwaryo-
wała. Lecz dosyć jest tak pisać o niczem, nie przeto,
aby mi to gawędzenie z tobą niemiłem było, lecz że
tak pisząc, boję się, abym nie zasłużył na to smutne:
a dobrze ci tak, a na co? Kończ sama, droga
moja, tę wymówkę, na co polecałem jak pliszka nad
szerokie morza, kiedy dosyć szerokie były dla mnie
stawy trzciną obrosłe, i na co się zakochałem w We-
nerze medycejskiej, na co się zapatrzyłem na posąg
Danta stojący w Santa Croce, dlaczego pokochałem
orły gubiące się w szczelinach lawin szwajcarskich,
na co straciłem owoce Hesperyd, na pomarańczach
wschodnich rosnące, kiedy mogłem tylko spokojnie iść
do Żołobów albo nad Łysą górę i strząsać sobie prze-
żroczone maryny w naszych rodzinnych ogrodach?
Wyszedłem był na szeroki gościniec i ten mię odpro-
wadził daleko, niewiedzącego gdzie idę, a teraz wę-

druję przy blasku słońca umarłych. Niech mi twoje
błogosławieństwo towarzyszy. Życie jedno stracone jest
tak małą rzeczą, że nie warto żałować, kiedy stracone
na niczem.

Adieu, droga! Kochaj mię zawsze i pamiętaj
o mnie z tęsknotą; chciałbym być twoją pociechą ja-
kimkolwiek sposobem, choćbym się o nim miał od
aniołów dowiedzieć. Adio.

Filów ściskam tylko, lecz oni wiedzą, ile w każdym
liście do nich należy. Ktoby myślał z tych słów, że
moje listy to skarby, z których wszyscy biorą, ile się
komu podoba.

Twój *Juliusz*.

64.

Florencya, dnia 10 lipca 1838.

Najdroższa moja! Dawno już nie pisałem do cie-
bie, bo w tym miesiącu miałem różne zatrudnienia,
które mię naprzód szaleńczo a potem napełniły czczo-
ścią. Zaczynając ten list, nie wiem jak pisać, bo się
boję, abym otwartością moją nie zgrzeszył i nie obra-
ził tej delikatności, jaka się w stosunkach listowych
z tobą, droga moja, znajdować powinna; a na ten raz
chciałbym, żebyś była młodym chłopcem szalonym, jak
ja jestem w chwilach ekscentrycznych życia mego,
wówczas, kiedy wychodzę ze zwyczajnego omdlenia
i lenistwa władz moich, kiedy wreszcie znajdę sobie
jaką Fornarinę, piękniejszą od tej, którą malował Ra-
fael. Kiedy, pomimo przestróg rozumu, zakocham się
z całą pasją serca mojego, owinę moje bóstwo w ideal-
ne szaty i nareszcie z rzeczy pospolitej bardzo zrobię
sobie romans, kończący się łzami, a tak głębokie zo-
stawiający wrażenie, że pamiątki jego wystarczą na
zapełnienie marzeniami wszystkich mglistych dni zi-
mowych, które jeszcze trzeba będzie przeżyć na ziemi.

A tu niech się Sylka nie uśmiecha, wspomniawszy

sobie na moje rzymskie bóstwo, bo dziewczynka, która mię teraz lubiła, odpowiedziała zupełnie pięknym włoskim okolicom; oczy jej szafirowe przy świetle wieczornem, czarnemi stawały się w dzień przy słońcu, jak kamienie w powieściach wschodnich; kształtna, wysmukła, z różowemi ustami, wyższa trochę od Sylki, trochę podobna do niej, nieco zimna z charakteru, coś czystego miała w charakterze, co ją zbliżało do Nimfy mitologicznej i do Najady, której mieszkaniem są strumienie.

Otóż admirujcie moją moc charakteru; zamiast ugrząść we Florencyi i przemienić się w jaki laur czarowany, wyjeżdżam 25 t. m. do Paryża, albowiem wysłałem tam przed mną jedno moje maleńkie dzieciątko, które już w tych dniach musiało się na świecie pokazać; nie wiem, jaki będzie los jego i bardzo ciekawy jestem, czy mu się powiedzie na świecie, zwłaszcza, że mu zamierzam wkrótce za przyjazdem nowych dać braciszków. Pierwszy z tych chłopczyków, którego już puściłem z opieki, nazywa się Anelli: melancholiczną i trochę Chrystusową ma twarz, wielką prostotę w ubiorze i niepodobny jest do niczego.

Zaczynam więc znów życie mniej opasłe, więcej dla mnie ciekawe będą dni i godziny, interesują mnie także moi dawni znajomi, których od pięciu lat nie widziałem; jeżeli źle mi będzie między nimi, uciekam znów w góry Alpejskie lub Pirenejskie i osiadam w nich na zawsze jak pustelnik. Otóż takie są w kilku słowach moje zamiary na przyszłość. Pod koniec mego pobytu wszystkie miejsca wydają mi się miłsze: okoliczności się tak składają, że opuszczając każdy kraj, żałuję go, bo mi pod koniec dobrze w nim być zaczynało; tak się dzieje i z Włochami, do trzech miesięcy wybieram się z nich w drogę i wybrać mi się nie chce. Teraz wreszcie naznaczyłem dzień wyjazdu i już sam siebie nie zawiodę: boję się nareszcie tego dziwnego zakochania się w prostej dziewczynie, które mię na-

reszcie mocy charakteru pozbawićby mogło i do jakich szaleństw przywieść, mnie, który dotąd na uwieży trzymam serce moje i czystsze życie wiodłem jak inni, znajdując w tem jakąś dumną pociechę dla duszy. Widziałem, że to dziwiło Teofila, kiedyśmy byli w Rzymie, i że mię miał za oryginała nie do naśladowania. Natura moja jest pełna błyskawic, najwięcej dni ciemnych, lecz czasem wplatają się dni ogniste różnego koloru, które mi potem świecą w pamięci. Z tych wszystkich światła zrobię sobie kiedyś wianek na czoło i tak zostanę.

Co ty powiesz, droga moja, na ten list dziwaczny? Nie mam żadnego przyjaciela, któremu bym o wszystkim mógł mówić otwarcie, więc niech te listy zastąpią mi wszystko; od tylu lat pisane co miesiąc, muszą być najlepszą historią życia mojego, z nich musisz mię znać lepiej, niż ja sam siebie, bo nigdy żurnалу nie piszę i nie wiem, jak się i o ile od 7 lat odmieniłem w sposobie czucia i pod względem rozumu. Jeżeli widzisz, droga, co zdożnego we mnie, jaką fałszywą dyrekcyę myślom nadaną, ostrzeż mię, bądź mi przewodniczką, światłością w drodze: już cię dawno nazwałem dziesiątą muzą moją.

Porzucam więc Florencję, mój salonik z fortepianem, gdzie mi tak nudno schodziły smutne i dżdżyste dni zimowe, mój ganek, gdzie dwie chude stoją pomarańcze, albowiem od dzieciństwa uważałem, że moje drzewa nigdy nie rosły, i kwiaty w moich wazonach nigdy nie rozkwiwały, może dla tego, że nadto patrzyłem na nie i mój wzrok ma palącą własność; porzucam mój belvederek, gdzie w zimie dla zimna a teraz dla gorąca siedzieć nie mogę, bo jest jak latarnia; i nie żał mi tego wszystkiego, choć wiem, że w Paryżu będę musiał w jednej maleńkiej stancyjce pomieścić siebie i manatki moje, ale za to więcej będę mieć towarzystwa, więcej zachęcenia do pracy, więcej porady. Teraz nie miałem nawet jednej osoby, której

mogłem się zapytać, czy moje dziecko głupie jest, czy rozumne, albowiem sobie nie wierzę i niespokojny jestem, nie tak jednak, aby mi to sen odejmowało; o nie, daleko więcej dręczy mię ta myśl, że Florentynka moja opuszczona może w przeznaczeniu życia mojego jest ostatnią, że reszta dni moich skazana jest na suchą nudę wdowiego życia, że może nie trzeba było tak prędko zrywać ostatniej róży.

Niech się stanie jednak, jak się Bogu podoba; widziałem nawet przestrołę jego w małym zdarzeniu: oto przeszłego wtorku wziąłem jednokonną tilbury¹⁾ i pojechałem z moją Fornariną do Pratolino. Filo zna ten ogród angielski. Lataliśmy po murawach, kłąby róż między ciemną zielonością błyszczące przypomniały mi Julinki; wchodziliśmy odpoczywać o południu do grot, w których mruczały strumienie, słowem, dobrze mi było i sądziłem się nowym Numą z Egeryą, ale koniec dnia tego wcale nie odpowiedział początkowi: wracając, koń mój w kabryolecie wziął na kiel i poniósł; widząc niebezpieczeństwo, wywróciłem umyślnie i tak szczęśliwie, że zostaliśmy na ziemi a koń z przednimi kołami poleciał; nic złego się nie stało, ani mnie, ani mojej miłej, która na mnie upadła. Kabryolet się popsuł, koń się pokrwawił, i zapłaciłem za szkodę kilka skudów, i tak się skończyło dobrze, że bez żadnego przypadku, nawet bez siniaka. To mi potwierdziło, że nieszczęśliwy jestem do koni, ale że od nich nie zginę; widzicie więc, że można w Azji i w Afryce wojażować bez żadnego niebezpieczeństwa, a na drodze do Pratolino można się spotkać z królową ostatecznych przestraszów, jak Pismo święte mówi.

Niech cię tylko, droga moja, ten mały wypadek niespokojności nie nabawi, bo takie rzeczy, jeśli się źle nie kończą, uczą ostrożności. A wreszcie, to mi zapewnia podróż spokojną i szczęśliwą, albowiem jest to

¹⁾ Czyt. *tilbere* — powóz.

jakby jaki dług zapłacony nieprzewidzialnym wypadkom. Nie troszcz się o mnie, droga, bo mi wystarczy, jak się spodziewam, do końca roku z tem co mam; spodziewam się, że rachunki moje dobrze także pójdą z opiekunem moich dzieci. Co do braci Hołyńskich, towarzyszków mojej podróży, o tych nic nie wiem, gdzie są i zapewne się z nimi aż w pozaprzyszłym roku zobaczę. W mieście, do którego jadę, pełno było teraz zyskownych spekulacyi na akcyach, co mi dało myśl, że gdybym miał co grosza w rękę, mógłbym ostrożnie go sobie przysporzyć i na wszelki przypadek mieć w kieszeni. Pomyślcie o tem, ale tylko otwarcie ze mną i bez wszelkich ceremonii: chciałbym jakimkolwiek sposobem coś sobie zarobić, ale mozem się nie zdać do tego i z przedsięwzięciami mojami będzie jak z tymi kwiatami, które pomimo to, że je podlewam, nie rosną.

Śpieszę się ze skończeniem listu tego, aby się na dzisiejszą pocztę nie spóźnić i jeszcze o chwilę nie przedłużyć twojej niespokojności. Ale ty wiesz, droga, że ja się rozważnie prowadzę i wszelkich niebezpieczeństw z dziwną zręcznością unikam.

Mieliśmy tu na św. Jana piękne fety, iluminacye, fajerwerki, biegi konne itd.; wszystko to Teofilowie na swoje oczy widzieli, więc ich opisywać nie będę; wreszcie wiecie, że ja nic nigdy nie opisuję, bo przekonany jestem, że to są słowa stracone i niczego nie uczą. Mówię ci więc tylko, droga, o zatrudnieniach moich, o nadziejach, z których jedne gasną, drugie się zapalają, o burzach serca mojego, a powinienby ci mówić o wielkiem przywiązaniu mojem dla ciebie, o miłości, która się ciągle powiększa przez wdzięczność za wszystkie dobra, któremi mię obsypujesz, droga moja, czuwając nade mną. Odebrałem twój listek i potrzebny mi był, boś mi się w jakimś śnie strasznym była zjawiła, i wstałem zimnym potem obłany, myśląc o tobie; list twój, we dwa tygodnie po tym śnie odebrany, był mi wielką pociechą.

Adio! Śnij mi się, droga, ale w miłym śnie jakim, abym widział twarz twoją uśmiechającą się do mnie, i żeby mi to odświeżyło serce na długo.

Całuję ciebie, droga moja, i ściskam serdecznie Filów a kartkę do Sylki odkładam na później i za jej zgryźliwość kłócić się będę. Adieu! Twój kochający ciebie

Juliusz.

65.

Florencya, dnia 21 sierpnia 1838.

Cóż ty mówisz na to, najdroższa, że ja jeszcze we Florencyi? Nie jest to żaden kaprys, który tak długo mię tu trzyma, ale to, że znalazłem ludzi, którzy mnie lubią, kochają i chcieli zatrzymać, więc jeszcze na jakiś czas zostanę. Tymi ludźmi przyjaźnymi jest dom Moszczyńskich, kuzynów Zenona, i ta panienska, od której on odebrał niegdyś rekuzę, która w melancholię i w dalekie kraje zagnała. Sam stary Moszczyński, dobry i wiele gadający człowiek, do tyła mi robił grzeczności, że nareszcie przełamał mój zwyczaj samotnika i przyzwyczaiał mię do tego, że co wieczora prawie z nim na gawędzie czas tracę. Żona jego dla interesów pojechała na Ukrainę i chciała bardzo być w Kamieńcu, aby ciebie poznać i o mnie tobie mówić; czy jej droga przez nasze miasteczko wypadnie, nie wiem, ale jeszcze kilka dni temu Moszczyński mówił mi, że od ciebie, droga, spodziewa się upoważnienia, aby wziął nade mną opiekę i rząd samowładny. Jeżeli więc będziesz widzieć panią Moszczyńską, bądź, moja droga, dla niej uprzejmą i o mnie źle nie gadaj, bo mnie mają za bardzo dobre stworzenie, a nawet panna Moszczyńska, dla wszystkich dosyć zimna, ze mną jest dobrze i nawet z szacunkiem. Kuzynka ich, panna Helena, w wieku już, nabożna i słaba, także się uśmiecha, kiedy

przychodzę: słowem, jakżem miał wyjechać, kiedy może w Paryżu nie znalazłbym nikogo, coby mi sprzyjał, a tu są tacy, co mię z otwartymi rękami przyjmują? Otóż to cały sekret zostania mego we Florencyi.

Przedwczoraj miałem dzień miły dla mnie: oto przyszło mi z Paryża moje ostatnie dziecko, które 11 dni dopiero żyje, w ładną sukienkę ubrane, potulne, melancholiczne, prosto mówiące, dziecko słowem, które ja kocham bardzo, o którym zaręczano mię, że mu się dobrze powiedzie. Odebrałem je z rana w niedzielę, więc porzuciwszy obojętnie, ubrałem się, poszedłem na śniadanie, ale mię coś ciągnęło do domu i do mego dziecka. Więc już chciałem powracać śpiesznie, ale przypomniałem sobie, że jest niedziela, że kościoły otwarte, że Bóg tak jest dobry dla mnie. Więc poszedłem do wielkiej, ciemnej, pustej katedry i stanąwszy w pośrodku, zacząłem myśleć o Bogu, aż oczy moje napełniły się łzami. Upokorzyłem się, bo mi się zdawało, że tego ranka urósł nieco i że Bóg upokorzenie moje widzieć będzie, jak gdyby jaka z najwyższych kolumn w ruinie upadała przed nim. Otóż takie były myśli moje, takie uczucia po odebraniu tego nowego płodu. Dziwnie, jak we mnie katolicyzm jest dumny. Potem poszedłem do Moszczyńskich pochwalić się i jadłem z niemi obiad wesoły, jak rzadko bywa.

Chrzcziny tego nowego dziecka bez żadnego kosztu obeszły się, albowiem uprzednie moje na niego zapracowały i jeszcze mi coś zostało. Przyjemność ta, o której ci piszę, jest nieco zmniejszoną przez to, że od ciebie, droga moja, już dawno bardzo nie mam żadnej wiadomości. Pocieszam się i uspokajam tem, że w ostatnim liście piszesz mi o twojej podróży na Podole, więc zapewne, jak myślę, twoje zabawienie dłuższe w Wierchowce pozbawia mnie listów, i zazdroszczę ci, że jesteś nad błękitnem jeziorem pod Julinkami. Zawołaj tam Julki, łabędzie niech przypłyną, niech zdziwionemi oczkami pytają ciebie o tę zgrabną dziewczeczkę sma-

głową, która je niegdyś o zachodzie słońca wywoływała z ajerów, i karmiąc je, dumiała o miłości i o szczęściu. A teraz myśl się wzdryga, myśląc, czem jest, i przychodzi mi na myśl testament Abelarda, który trupa swego kazał zawieść do klasztoru kochance, pisząc do niej: patrz, coś ty kochała, kochając człowieka, a myśląc o Jasiu, przychodzą na myśl te słowa Hamleta, który porzucając kości na omentarzu, zawołał: i kości te kosztowały matkom tyle trosk i starań na to tylko, a żeby teraz niemi grać w kręgle?...

Ale dosyć tego melancholizowania; wszyscy pójdziemy spać nie nabalsamowani. Dlaczego ja wpadam w smutek, kiedy piszę do ciebie, droga? czy z wszystkich zachceń, z wszystkich pamiątek dawnych robi się ta smutna harmonia, która mi dyktuje dziwne brzmienie frazesy? Kiedy to piszę, w tym momencie zadzwoniono do mnie i głos pocztowego faktora krzyknął: list! Wyszedłem z bijącym sercem, myśląc, że to od ciebie, ale niestety był to tylko małeńki listek od Hermana Potockiego z Via Reggio¹⁾. Dotąd mi bije serce i smutno mi i zły jestem.

Przyjechała tu była na parę dni z wód morskich, gdzie teraz bawi, księżna Surveilliers i zaraz u Moszczyńskich wypytywała się o mnie, a potem naznaczyła mi spotkanie się w ogrodzie Kaszyn. Zawsze grzeczna, za dobra a nawet ambarasująca mnie komplementami, na które nieraz nie wiem, co odpowiedzieć. Stary Moszczyński wielki komplementista, wyręczał mnie jak mógł i dobrze gadał o mojej ostatniej pracy. Jakżebyś chciał, żeby od ciebie co posłyszec o tem dziecku, chęć ty go prędzej pocałować mogła, bo wtenczas dopiero cel mój jest otrzymany, bo jak mówię wszystkim, ty jesteś dziesiątą muzą moją.

Przyjechali tu nowi znów ziomkowie, małżeństwo

¹⁾ Czyt. Redżjo.

młode i dosyć dobre dla nas, którzy tu nie mamy w czem wybierać, ale te wszystkie nowe przyjazdy uciążliwemi są dla mnie z tego względu, że mię zaraz nasze panie chcą mieć za Cicerona, a ja nie lubię się włóczyć ani rozprawiać o rzeczach, które każdy czuć powinien swoim czuciem i widzieć swojemi oczyma.

Projektowany mój wyjazd pozbawił mię fortepianu, który przedany został; więc teraz, nim się zdecyduje, czy tu mam pozostać na długo, nie biorę żadnego nowego piano i odpoczywam, a za to z większym potem do muzyki wezmę się entuzjazmem po pewnym wypoczynku. Skomponowałem był walec do tańcowania, który się bardzo wszystkim podoba, chociaż nie bardzo oryginalny; będę się starał, aby go przepisać i tobie, droga, posłać. Ale co dziwnego spostrzegam, oto że od czasu, jak nie mam fortepianu, imaginacja moja więcej buja i więcej tworzy: czy pewna część tej władzy musiała się wylewać przez końce palców na klawisze? Prawdziwie, jest to fenomen do obserwowania dla filozofów. Chciałbym, żeby nie tak było, bo wtenczas muzykę poświęcę, jak wiele innych rzeczy poświęciłem dla głodnego węża, co mię gryzie. Dawno już nie pisałoście mi nic o Zosi i o Ludwisi. Co się z niemi dzieje? Nadzwyczajne to jest, że jeszcze dotychczas moja dusza często bywa w tym małeńkim kąciuku litewskim, gdzie one żyją, choć tyle teraz fal przebiegło przez ten piasek, na którym są pisane wszystkie miłości, przysięgi i wrażenia. Dziesięć lat temu, czułem o tej samej porze woń sosnowych lasów koło Oszmiany; jak to prędko przebiegło! Chciałbym kiedy o słońca zachodzie wjeżdżać z tobą, droga moja, przed dom ten żółty, drewniany, przed którym rośnie jarzębina, korolowemi gronami okryta, choćby tam już nikogo z dawnych nie było, bo ja wszystko sobie wskrzeszę w pamięci, a ty do zamyślonego mówić będziesz i odwracać się od łez, drząc i żałować mnie będziesz, że mi się nie stało wszystko podług moich marzeń dziecinnych. Ale

oto już wieczór i ten, co na świecie, i ten, co się robi w czuciach i myśli człowieka; muszę więc ciebie dłużej nie smucić tą szarą barwą wieczornych pamiątek, ale pocałować ciebie i zakończyć ten list miłem jakimś podrowieniem, bo powracasz z podróży pamiątek do pustego domku twego wdowiego w Krzemieńcu i cóż w nim znajdziesz? Oby ten list był pierwszym z witających ciebie, obyś go tak jak zawsze przyjęła jak dziecko dziecka szalonego i marnotrawnego, któremu szaleństwa już zamknęły wrota powrotu. Między Czerezą a Bazylianami stoi dla mnie ta brama Danta, na której jest napisano: *Lasciate ogni speranza*¹⁾; ja też raz przeczytawszy napis, odwróciłem się łzami zalany i poszedłem dalej, i coraz dalej idę; więc tak oddalającemu się błogosław ty, droga, i wejdź na górę najwyższą i błogosław mu, ażeby Bóg ciebie widział bliżej i błogosławieństwo twoje, aby mi kiedyś jak anioł zły nie powiedział na wejściu do wieczności: smutna była, żeś ją opuścił.

Bądź zdrowa, droga i miła moja! Sylka i Filo niech także przyjmą moje serdeczne uściski; gadamy często o nich z Bernardem, który dotychczas zapomnieć nie może ich dobrotliwej grzeczności dla niego i z melancholią mówi, że już takich mu ziomków Bóg nie ześle. Bądźcie zdrowi, drodzy!

Wasz Juliusz.

66.

Paryż, dnia 24 czerwca 1839.

Zalany łzami i trzęsący się cały, nie wiem, jak zacząć list do ciebie, najdroższa moja, święta moja! czy opowiedzieć ci cierpienia duszy, których doznałem od ośmiu miesięcy, nie wiedząc, co się z tobą dzieje,

¹⁾ *Lasciate onl speranza* — zostawcie wszelką nadzieję.

czy zamilczeć o przeszłości i cieszyć się tylko, że nas Bóg poratował. Ośm temu miesięcy, przyjaciel mój Zygmunt, przyjechawszy z daleka, doniósł mi, że ty, droga, nowych doznałaś i niezasłużonych nieszczęść; a choć w sny nie wierzę, sen jednak dziwniejszy nad wszystko, miesiącem przed tą wiadomością, pokazał mi ciebie wypadającą z powozu, wywracającą się nad brzegiem przepaści, w głębi której płynęła przezroczysta rzeka; ja stałem na górze i widziałem ciebie usuwającą się szybko po stromym brzegu przepaści, nareszcie widziałem, jak upadłaś w wodę, jak szaty twoje nabrzmiły, jak szłaś coraz dalej i nareszcie zniknęłaś w głębinie. Sen ten... chwila ta była mi jak wieczność długa, a gdy ciebie straciłem z oczu, przebudziłem się w ciemności i usiadłszy na łóżku, płakałem. Odtąd co dnia wyglądałem czegoś złego; przyjechał nareszcie Zygmunt; na wypytywanie się moje powiedział mi, żeś ty nie bardzo spokojna i że cię jakieś spotkały kłopoty... Cóż miałem robić?... dawniej możeby mi rozpacz podyktowała jaką myśl rozpaczy względem siebie; teraz zacząłem tylko starać się, aby nie uleść złej fortunie; a ponieważ miasto i kraj, gdzie się znajdował, nie przedstawiały mi żadnego sposobu utrzymania się z pracy, wyjechałem do miasta, do mojej panny Kory, do dawnej tej dziewczynki, którą ty pamiętaćś musisz z kilku listów moich. Za przyjazdem tutaj napisałem do Hausnera, posyłając mu adres mój i pod tym adresem teraz mi list dochodzi. Nie wiem, dlaczego dawniej mi nie pisano i dlaczego mi, droga, wyrzucasz, że zerwałem z tobą stosunki i zapominałem o tobie, i żyć mogłem bez ciebie?

Jak mi gorzkie było to życie, widać to było na twarzy mojej, a Boga widać było w sercu mojem. Zacząłem pracować nad cudzoziemskim językiem, aby się usposobić do jakiego zatrudnienia, a choć tysiączne przedstawiały się trudności, mam pewną nadzieję, że Bóg byłby mi nie opuścił, tak jak i ty mnie nie opu-

ściłaś; a że ty myślałaś o mnie, o tem nie wątpię ani chwili, więc brak wiadomości od ciebie tem bardziej strasznym był dla serca mego, bo wiedziałem, że ty cierpieć musisz. Nareszcie po miesiącach sześciu oczekiwania przynoszą mi list od panny Eglantyny: otwieram — twój charakter, ale list datowany 23 oktobra; czyś ty się, droga, pomyliła w dacie? o, gdyby nie ta data, jużby mi te parę słów były zupełną spokojnością. Miesiąc temu nareszcie przez drogę starej stolicy odebrałem pomoc i wiadomość pocieszającą; a od tego czasu już tylko prosiłem Boga, aby mnie zupełnie szczęśliwym zrobił, abym znów ujrzał kilka słów twoją ręką pisanych, i dziś nareszcie jestem szczęśliwy, bo na stoliku moim leży list twój otwarty, a ja prawie wierzyć nie mogę własnej radości, tak odwykłem od niej, tak przyzwyczaiłem moją duszę smucić się i wyglądać złego. Na wszystko cię zaklinam, droga, nie myśl ty, aby cokolwiek interesownego miało się do mojej miłości dla ciebie, a jeżeli tak myślisz, rzuć wszystko, przyjeżdż do mnie a zobaczysz, że pracą moją będę się starał utrzymać nas oboje: rozedrę serce moje, wypalę wszystko, co jest w mózgu moim, a dowiodę ci mego czystego przywiązania. Ty może powiesz z gorzkim uśmiechem, że już zapóźno. O, nie mów tak i nie pogardzaj biednym, co z twojej łaski ma życie i spokojność... a pogardzasz mną, mówiąc mi ciągle: rób tak, jak ci do twego dobra potrzeba. Ja chcę, abyś ty nareszcie użyła kilka chwil spokojnych, abyś ty nareszcie zdobyła się na cokolwiek egoizmu. Pomyśl także, że mi ciężko na sercu, obarconem coraz nowymi długami dla ciebie, że ja za to będę przed Bogiem odpowiadał. Niech na wszystko kieruje myślami twojemi na przyszłość.

Towarzysz mój dawnych podróży może przyjmie na siebie odebranie niektórych należytości, tych przynajmniej, które za moim kwitem wydane być mogą. O, gdyby tylko 200 dukatów na rok, żylibyśmy oboje w ja-

kiej willi otoczonej różami i pomarańczami we Florencji; czasem posłuchałabyś śpiewów włoskich, czasem i ja bym ci sam za towarzystwo wystarczył, i takby nam upłynęły dnie niebardzo świetne ale miło i z błogosławieństwem Bożem dla obojga. Czyż i tyle skromnego szczęścia nie można uprosić u Boga? Myśl, myśl nad tem, droga moja, a choćby przyszło część tego, co mamy, stracić, ja tak życie nasze urządzę, że nam wystarczy. Wierz mi, droga, ja nie mam żadnych snów wielkości, a i ty może niebardzo chcesz złoczonego szczęścia. Możeby Zenon podjął się odbierać za ciebie procenta, wtenczas wszystko się łatwo ułoży: on z tymi panami dojdzie ładu.

Przed 50 dniami pisał do Zenona przyjaciel mój od serca, pan Jules d'Avallon¹⁾, któregoś ty znała dzieckiem; mieszka w Paryżu przy ulicy des Pyramides²⁾ nr. 6. Jeżeli są jakie listy do mnie, on mi je odsyła wiernie.

Zmęczyła mnie radość i uczucia, których od kilku godzin doznaję, i nie wiem, co ci mam dalej pisać, a chciałbym niecierpliwie, aby ten list już był na pocztę. Droga, ty pojmiesz wszystko, co się dzieje w sercu mojem. Biedni my! Panna Eglantyna dała mi dowody swojej przyjaźni w czasie mego smutku. Nie potrzebowałem jednak pomocy innej, oprócz współczucia, bo miałem maleńki zapasik, który mi był wystarczył, i choć z trudnością, dociągnąłem aż do końca o własnych siłach. A jednak wiem, że jeszcze długo mógłbym znaleźć u przyjaciół moich potrzebny zasiłek. Więc drugi raz nie troskaj się mną, ale sercem mojem, bo te (!) jedynie może przez zły los uciepieć i zepsuć się nawet, gorycz albowiem i łzy złym są dla niego pokarmem.

¹⁾ Czyt. Żjul d'Awala — pseudonim Słowackiego.

²⁾ Czyt. de piramid.

Bądź zdrowa, droga i ukochana mi nad wszystko, wierz mi, że na tych smutkach jakoś nie ucierpiałoby zdrowie moje; o, czemu ja ci się rzucić do nóg nie mogę i ich ucałować! Adieu.

Twój *Juliusz*.

67.

Dnia 6 sierpnia 1839.

Niespokojna jestem i smutna bardzo, bo nawet twoje starania, najdroższa, o zaspokojenie nadal losu twojej Zosi, i te dowody, które dałaś teraz twojej pamięci o wychowawcy twojej, napełniają mnie jakąś nadzwyczajną melancholią i lękam się, abyś ty uszczerbku jakiego w twoim bycie nie ponosiła, obdarzając tak Zosię, ty, która sama masz niewiele; do rozpaczę mnie to przywodzi i nie wiem, co począć. Spuszczam się jednak na wolę Pana Boga i na twoje przysłowie: *jakoś to będzie*, które się teraz mojem stało przysłowiem. List ten, droga, piszę w niepewności, czy cię mój list pierwszy doszedł. Chciałabym bowiem i poświęciłabym wszystko szczęście na ziemi, bylebyś ty o mnie, wychowawicę twoją, spokojną być mogła. Jeszcze raz nalegam i proszę, abyś starała się zdrowiu twojemu ulżyć i dopomóż wyjazdem do wód jakich, albo do cieplejszego klimatu włoskiego. Zabrałabyś wtenczas z sobą i twoją Zosię, której klimat ten takżeby służył bardzo i która się z miejsca teraz nie rusza oczekując, gdzie ty jej pośpieszyć każesz na twoje przywitanie. Biedna ja, jedyna to moja nadzieja, że ciebie jeszcze ucałować będę mogła i okazać ci moje przywiązanie i wdzięczność; jedyna, mówię, moja nadzieja, bo wszystkie inne, połączone z niespokojnością o twoje zdrowie i spokojność, zgorzkniały dla mnie i zbrzydły.

Krótko piszę, bo się boję, że ty może bazgranię moją komu innemu pokazujesz, a ja nie chciałabym,

aby się z moich frazesów kto inny mógł śmiać i przekręcać wyrazy mojego przywiązania i wdzięczności dla ciebie. Smutno mi i bardzo smutno a jedynie listy twoje mogą mię rozweselić i olulać do snu. Nie opuszczaj więc, droga, żadnej okazji, która ci się nastręczy, pisania do mnie, abym wiedziała, że ja zawsze w sercu twojem mieszkam, jak dawniej kochana przez ciebie, bo mię dręczy niespokojność jakaś o to, czy ty mię zawsze kochasz. Do widzenia się, oby jak najprędzej! Twoja wdzięczna i przywiązana *Zofia S.*

Pan Jules d'Avallon wysłał mój list.

68.

R. 1839. Paryż.

Moja najdroższa! Dawno już nie pisałam do ciebie, bo mi tak smutno, tak mię już dręczy ta ciągła samotność, ten brak wszelkiej nadziei, że coraz bardziej staje się leniwą do wszystkiego; czekałam więc weselejszej nieco chwili, chwili, w którejby jakie słońeczko błysnęło mi choćby przez okiennicę szpary, aby ciebie, droga, niebardzo swoją gawędką zasmucić, ale to trudno. Nie widząc cię tak długo, strach mię przejmuje, ilekroć piszę do ciebie, i twoje także listki wydają mi się zimniejsze; o, jak mię to gryzie, jak boli, tego ci opisać nie mogę.

Marysia, przyjaciółka moja, wzięła dla ciebie małą bagatelkę i zapewne ci ją odeśle, będąc bliżej jak ja o mil kilkadziesiąt oddalona: jest to mały pugilaresik ze słoniowej kości. Co do mnie, odebrałam do mego ogródka wszystkie tulipanów cebulki z przeszłego roku, a z tegorocznych 24 mi jeszcze brakuje. Staram się, aby się te kwiatki nie suszyły i rozrosły: ciasny mój ogródek, ale od wiatrów zasłonięty, nie bardzo dobra ziemia i nie bujnie rodzi, ale cóż robić? wreszcie może kiedyś przeniosę się bliżej stawu, gdzie jest czarnoziem.

Byłabym szczęśliwą, gdyby mi nie brakło familijnego życia: żyję bowiem jak mniszka a ty nie pojmiesz, jak to serce przez takie życie usycha, jak zamierają wszelkie uczucia, jakby sama natura mściła się, że się od jej zwyczajnych dróg oddalamy kobiety. Jednakże Bóg pomnąc, jak my słabe jesteśmy, jak to nie od nas zależy mieć dom, rodzinę, dzieci, powinienby nas wesprzeć i pustelnię naszą jakim słońcem objaśnić.

Mam teraz na świecie kilku przyjaciół takich, którzy mnie szacują i bronią, ale ci wszyscy są ode mnie dalecy; a teraz otoczona jestem ludźmi, do których przylgnąć nie mogę: zazdrośni bowiem są, małego serca, niezdolni ani uczuć ani pojąć szlachetnych myśli, słowem, są to zatarte szelągki, zimne i spleśniałe. Najwięcej więc czasu przepędzam sama, pisząc sobie i bawąc różną awanturą i przywidzenia, z czego korzyść taka, że mi samej życie złocą i różnemi okrywają tęczkami. Są to miłe mi okienka w chacie mojej, przez które widzę wiele rzeczy i twarzy znajomych; czy życie takimi snami zajęte życiem jest, nie wiem, ale to pewna, że mnie od wielu rozpacz broni i czasem przyjemność sprawia. Nie jestem ja podobna do lampy, która w szejnekatarynie siedzi i przez różnokolorowe szkła rzuca kilka bladych promyków? Dopóki więc jaki szczer łożem zwabiony nie gryzie tego, co świeci w mojej latarce, nie zgaszają mnie śmy ani komary. Gdybyś ty, droga, wiedziała, jaki Bóg jest dla mnie dobry, jakie mi daje zdrowie, jaką wyrozumiałość i powiem oziębłość na wszystkie troski i nieprzyjemności urojone, to byłabyś spokojną o mnie. To, co ty mi pisziesz o zazdrości twojej rodziny niepokoi mnie. Cóż ta ciotka chce od ciebie? Jedną z moich przyjaciółek chciała teraz jechać do Krzysztofowiczowej, ale tyle miała przeszkód w gospodarstwie, że się wybrać nie mogła; mnie także gospodarstwo nie pozwala na teraz robić takich wояzów, ale może na rok przyszły, a zwłaszcza gdybym miała nadzieję, że się u Krzysztofowiczów zobaczę z to-

bą, możebym pojechała; nareszcie to od ciebie zależy: rządź mną i rozkazuj, bo mnie to dręczy, że niczem nie mogę ci okazać miłości mojej, której ci winna moje wychowanie i całe szczęście życia leniwego. Jak ja często teraz myślę sobie, że wzięwszy się pod rękę, idziemy gdzie na wzgórze Czerczy, albo przez pewną drożynkę, ogrodzoną płotami, na cmentarzyk, usiąść razem i opowiadać sobie nasze zdarzenia i uczucia. Kiedyś Bóg da, że to nastąpi.

Czekaj ty, droga, tej chwili, bo jeżeli znajdziesz, że mnie świat pozbawił uśmiechu, kolorów, to pewna jestem, że serce we mnie znajdziesz lepsze i mocniej kochające a w rozmowach naszych choć mniej będzie teraz marzeń i nadziei na przyszłość, ale więcej spokojności i uczucia i wspomnień... Droga, droga moja, kochaj ty mnie, bo tego mi tylko trzeba, abym mogła kiedyś bez żadnego wyrzutu stanąć przed Bogiem... inaczej wszystko jest brzękiem i czczością... dla której nie warto było się rodzić i smutnieć... Adio.

Twoja Zofia.

69.

Paryż, listopad 1839.

Moja droga Sally, siedząc przy ogniku jesiennym, zabieram się do długiej gawędy z tobą, najukochańsza moja! Chciałbym nie opuścić i listkiem tym rozweselić ciebie samotną i smutną, ale nie wiem, jak to będzie, bo ja nie bardzo wesoły, a mgła jesienna skłania mnie raczej do melancholizowania nad naszym losem. Zaczę więc od tego, co mi w listku twoim do cichego uśmiechu było przyczyną, to jest od rady twojej, droga, a raczej od zachęcenia, abym się żenił... a tu dziwi mnie twoja przenikliwość: albowiem kilka słów moich niegdyś pisanych w przeszłorocznym liście, już ci dało do myślenia, że się znajdował w położeniu aspiranta.

Było to, było, ale dalibóg nie z mojej winy. Opiszę ci, co się ze mną działo. Oto przyjmowany byłem dobrze w domu Moszczyńskich i przyjsie moje każde sprowadzało rumieniec na lica panny nieładnej, ale dość kształtnej i uczonej i bardzo popsutej, była albowiem panią w domu i panowała nad ojcem i matką. Nie zwracałem na to uwagi, pojęć nie mogąc, aby ja, biedny chłopiec bez grosza mógł się posuwać tam, gdzie dwóch ładnych chłopców i bogatych otrzymało harbuzy; nie myślałem więc o tem i wyjeżdżać miałem, jak to wiedziałaś dobrze z moich listów. Trzema dniami przed wyjazdem wpada Zeidler do mnie z wiadomością, że przez trzecią osobę robiono mi propozycję, abym się zatrzymał i aspirował do tej panny. Zdziwiłem się i nie wierząc wcale, żeby to być mogło prawdą, postanowiłem wszakże zatrzymać się, abym kiedyś nie miał na sumieniu mojem, żem się po szczęście, w ludzkim rozumieniu wielkie, nie schylił wtenczas, kiedy na drodze leżało. Tego samego dnia odwiedził mnie ojciec panny i rozmowa jego choć zgrabnie bardzo prowadzona, dała mi do zrozumienia, że zatrzymanie się moje we Florencyi miłem mu będzie. Zatrzymałem się więc a bywając często w domu mojej belli, w domu egoizmu i zimną napełnionym atmosferą złota, przechodziłem przez wszystkie niepewności kokietowanego człowieka, tak, że wreszcie udręczyło mię to, zwłaszcza, że serce moje było zupełnie zimne i wszystkie wady widziało. Może to był sen i przywidzenie z mojej strony, ale jakże było nie śnić, kiedy mi często ojciec gadał przy stole nawet i otwarcie takie np. słowa: popracuj nad sobą, popracuj i zakochaj się, a ja cię ożenię. Na co panna płonęła a ja nie wiedziałem co myśleć. Na nieszczęście moje wmieszali się inni ludzie do tego, a niedyskretność osoby użytej do pierwszych propozycji była przyczyną, iż się ci ludzie wmieszali... potem wszystko oziębło, potem dowiedziawszy się o ambarasach twoich, musiałem wyjeżdżać, nie



Wnętrze Grobu świętego.

chcąc, aby sądono, że będąc w biedzie, będę moją
 chcę zataić ożenieniem się. Pożegnanie moje było
 zimne a cała ta awantura zostawiła mi tylko gorycz
 w sercu i niepewność, czy się nie urągano ze mnie.
 Może z mojej strony było nadto dумы, która się tej
 paniencie mogła opieszalnością wydawać: gdyby jednak
 miała szlachetniejsze uczucia, zrozumiałaby dlaczego
 tak nienaturalnie starałem się o nią. Ale to już
 przeszło: ona mię teraz widzi z nieba, bo już nie żyje.
 Choroby, z której umarła, nie rozumieli doktorowie,
 a ja byłbym nadto zarozumiałym, gdybym ją memu
 zimnemu postępowaniu przypisywał. Może być jednak,
 że ta, która tylu odmówiła, czuła się trochę dotkniętą
 przez to, że się nie oświadczył; a jednak pewny je-
 stem, że byłaby mię odrzuciła; wreszcie ona miała mi-
 liony, jam nie mógł jej nic dać nawzajem, nawet serca.
 Przyznam ci się jednak, droga moja, iż kiedym się
 o jej śmierci dowiedział, cierpiałem. Bo choćby to
 było w niej chwilową tylko myślą, aby mnie wybrać
 z tłumu i zrobić szczęśliwym, to już jej to nadało
 w oczach moich postać litośnego anioła, a śmierć jej
 dopełniła obrazu. Ileż razy teraz, chodząc po ciemnych
 alejach tutejszego ogrodu, zdaje mi się, że mi ona
 drogę zachodzi, że się jej cień rumieni i spuszcza-
 jąc oczy przede mną pyta się: dla czegoś mnie nie kochał?
 Śmierć ją upiękusiła w moich oczach. Nie wiem, co
 ty, droga, powiesz na to wszystko, lecz nie obwiniaj
 mię, jam był łudzony snem, w który uwierzyć nie mo-
 głem; a ty nie mów o tem nikomu, bo to są rzeczy
 delikatne dla rodziny tej, o której piszę. Powiedz że
 mi, droga, czy teraz myśleć będziesz, abym się ja kie-
 dyś ożenił? Dziwny mój los: on mię czasem psuje
 jak dziecko a potem szydzi ze mnie; trzeba się cał-
 kiem w świat umysłowy rzucić i w nim zostać. Do
 tego potrzeba mi bardzo mało du positif: gdybym
 miał 40.000 zł. w ręku, nie straciłbym kapitału i usa-
 dowiłbym się w takim miejscu, gdzieby mi mały pro-

cent wystarczał; ale wiem, że i to jest żądanie niepodobne. Piszę ci otwarcie, albowiem samaś się przekonała, że oprócz ciebie nikt o mnieby nie myślał na ziemi; jest to rzeczą niezawodną a ja mam tu tyśiączne przykłady ludzi zapomnianych nawet przez matki. Gdybym miał to, co żądam, kapitał zawarowałbym dla Stasia i nawet mu skrypt posłał, póki zaś niepewnym żyję dochodem, nie mogę się urządzić i nie mam nawet dosyć siły ograniczyć się w wydatkach, i teraz tracę więcej, niżbym powinien, albowiem zamiast kupić sobie mebelki i żyć w swoim kątku, muszę mieszkać w hotelu, gdzie wszystko drożej. Nie kupiłem zaś mebelków dla tego, że ty mi obiecałaś przyjechać, nie wiedziałem więc, czy tu będę mógł długo zabawić. Smuci mię to, że zamiast 1700 rubli odebrałem tylko 1200, a to w następujący sposób: 300 przez Staremiasto, 900 przez Hausnera, zaś 300 przez niepewną okazyę wysłane, nie doszły mię, ani resztką tych z Hausnera. Jeżeli te pieniądze zginą, szkoda. Niech cię, droga moja, nie frasuje, jeżeli nie pójdziesz wszystko, jak chcesz, bo ja nareszcie nie jestem bez rąk, a kiedy trzeba będzie, to się zawezmę do pracy. Chciałbym jednak pracować tylko umysłowo, choć mi tego nie wynagradza, i owszem róże moje mają tylko ciernie; ale Bóg dobry i tem mi daje otuchę, że dusza moja będzie policzoną między jasnemi, bo niebyłoby to gorzko, gdybyśmy oboje z tobą, droga, weszli do kraju milczenia, zapomniani?

Jednotonne są listy moje, albowiem między mną a tobą nie może być inaczej: ja względem ciebie mam sumienie pełne łez i żalu, zwłaszcza gdy tobie winien jestem wszelką pomyślność i wszelkie dobro i wszystkie dni spokojne życia; żyję zaś z ludźmi, którzy są pełni zazdrości, głupstwa, i robią co mogą, abym ich nienawidził. Mam jednak i pomiędzy niemi pewną powagę, którą mi nadaje czystość moja wewnętrzna; wolałbym szczerą miłość, ale tej nie ma pomiędzy na-

mi, a stworzyć jej nie mogę. O! moja ty droga, w czarnym szlafrocuku jakby mi było dobrze przy tobie, jakbym ja chętnie usiadł do twego obiadku i drwił wtenczas z tych, co mię nie rozumieją; wszystkoby odżyło wtenczas we mnie, znówbym zaczął płakać nad Home-rem, a tybyś bajeczkom sens moralny dorabiała. Czy wiesz, że ja siedziałem sam jeden całą godzinę w grobie Agamemnona, i myślałem o moich blaszanych zbrojach, zalewając się łzami, a świerszcze polne mówiły płaczącemu; csyt — jak gdyby nimfy przeszłości nakazujące milezenie.

Moja droga, trudno ci będzie, abyśmy się w domu państwa Lwowiczów zjechali, bo ja u nich nie bywam: żyją bardzo skąpo i w podejrzeniu mają ludzi młodych; bogaci są jednak i u nich lepiej mieć kapitały ulokowane, niż u twoich krewnych Rosienieckich. Gdyby panna Lwowicz wyjechała do Baden, tobym się z nią widział, ale to podróż dla niej daleka. Do wiosny czekać będę na jej decyzję: jeżeli nie przyjedzie, pojedę sobie gdzie w skały nad morze, i będę siedział cicho jak mruk, potrzeba mi bowiem żyć w takim miejscu gdziebym miał inne, niż z kolegów moich towarzystwo, bo ci zepsuci są biedą i życie z niemi bardzo niemiłe. Wystaw sobie, droga, ludzi znudniałych, którzy o niczem gadać nie chcą i nie umieją, ludzi, którzy się odłączyli zupełnie od towarzystwa jak wyklęci, i żyją między sobą, nudząc się wzajemnie. Ze wszystkich przyjemności, któreby mi jeszcze ciągnęły zostają mi najpożądańsze wiejskie: lubiłbym polować, chodzić po lasach, mieć jakie grono młodych panienek znajomych, grać im na fortepianie, uczyć po włosku, zakochać się w której; lecz to wszystko dla mnie jest jakby las zaczarowany, którego nigdzie znaleźć nie można. Nuda miejskiego życia, wyłączenie przez stan pieniężny z wszelkich towarzystw wywiera zgubny wpływ na umysł. Są dnie, których niczem zająć nie można. Człowiek się rzuca w kraj imaginacy i żyje w nim,

ale są reakcyje okropne, w których umysł nudzi sam siebie. Wtenczas ani wieczór przepędzony na graniu w wista, ani gawronienie po ludnych ulicach nie jest lekarstwem. Świeżość umysłu traci się a nabycie wiadomości, których nikomu udzielić nie można, czyni umysł podobny do spiżarni, zawalonej spleśniałymi wiktuałami. Cóż robić?... Dzięki tobie, droga moja, pomimo to wszystko mam dnię miłe, t. j. dnię zakryte od wiatru i śloty, dnię ciszy umysłowej; czasem przeleci i ugryzie serce jaka myśl rozpaczy, kiedy pomyślę, że to wszystko twojem szczęściem kupione, ale to być musi tak w sercu mojem, póki się kiedyś dobrze u twoich kolan nie wypłaczę, i nie poskarżę, póki oczy twoje nie powiedzą mi, żeś mi egoizm mój wybaczyła.

Portret przyjaciela twego i wspomnienie jego ostatnie, rozdzierające na mnie zrobiło wrażenie; jestem ja sercem w tej pustyni, która cię otacza i nie śmiem nawet winzować ci imieniem. O, niechaj zatrzyma się czas, niech nas tak prędko nie unosi w tym wichrze łez i żegnającemi napelnionym głosami. Nie poddawaj ty się smutkowi, ale żyj od wiosny do wiosny i tak zawsze, oczekując fiołków, które ja ci kiedyś z ukłonem Niemczyka i z powinszowaniem na różowym papierze oddam... całując w obie łzy płynące z obu twoich oczu szarych i modrych, droga i ukochana mi na zawsze.

Twój Juliusz.

Henryczek dawno nie odbiera wiadomości i martwi się, że nie nie pisał jeszcze do mnie. Chciałbym mieć listę tych, którzy mi są winni, albowiem teraz jestem jak w roku...

70.

Dnia 4 lutego 1840.

Najdroższa moja! Ty może już obwiniasz swoją Zosię, że ci tak długo nie dała o sobie wiadomości, ale

ja nie wiem, czy listy moje ze wsi pisane nie nudzą ciebie i czy warte są tych kilku złotych, które kosztują. Spodziewałam się, że ty mi także co o sobie napiszesz; wiesz bowiem, jak o twoje zdrowie jestem niespokojną i oczekując listu, nie pisałam, choć mi nawet od ciebie w tych dniach oddano resztę kwiatowych cebulek i nasion, których już część wprzód zasadziłam w ogródku. Wszystkie więc teraz mam gatunki tulipanów z przeszłorocznej siejby i bardzo jestem kontenta. Gdyby to tak wszystko szło dobrze, jak kwiaty nasze; gdyby i nadal słońca mieć trochę, wazonów, ogródek, zgodziłabym się nareszcie być starą panną. Zdrowie mię twoje trochę niepokoi i nie wiem nic, czy twój projekt jechania do wód skuteczniejszy; wtenczas i ja bym wyruszyła dryndulą, aby się widzieć z tobą, tylko żądałabym wiedzieć o twoim wyjeździe wcześniej, aby na wiosnę gospodarstwo moje urządzić: nam bowiem pannom nie tak łatwo wędrować, zaraz ludzie źle mówią i reputacyę psują i gotowi pomyśleć, że jadę szukać męża, a ja tych plotek nie lubię i lękam się.

Zawsze siedzę na jednym miejscu, ani mię karawał nie zwabi do miasteczka. Smutna jestem, ale temu los winien, nie ludzie; jestem jednak mniej smutną teraz niż dawniej i rozsadek bierze górę nad marzeniami, a byle tylko na mnie nowe nie uderzyło nieszczęście, będę wdzięczną Bogu za mój los, zsumowawszy wszystko złe i dobre. O! gdyby jeszcze z tobą się widzieć, droga moja, z tobą, jedyną moją przyjaciółką, którejbym wszystko mogła opowiedzieć i wypłakać i odetchnąć uspokojoną przez ciebie, bo mi się zdaje, że i twoja dla mnie przyjaźń ostygnać może, że wreszcie i ty mię mniej kochać możesz. Ale to jest bluźnierstwo, nieprawdaż?

Ja ci przysięgam, moja droga! iż w każdej chwili życia i w każdym postępku oczy moje obracają się za tobą jak słońce; chciałabym wiedzieć, co ty myślisz o każdej mojej myśli, a zrobiwszy co mniej do-

brego, drzę cała, jak gdybym słyszała, że ty mię, Sally, potępiasz. Może kiedy jeszcze Bóg mi pozwoli być przy tobie, a wtenczas niech mię ten sam Bóg ukarze, jeżeli ciebie rozważnie czemkolwiek zasmuce, jeżeli ci na kolanach posługiwać nie będę! Ciebie prawdziwie mogę nazwać matką moją, bo ta, której służę, ma prawo do życia mego, ale nie do mego serca; poświęciłam wiele szczęścia dla niej, czoło moje zmarszczyłam myślami, myśląc jak ją ślepą wyżywić i ubrać, jak jej łóżko kwiatami posypywać. Wypełniam moje przy niej obowiązki, jako należy się córce, ale już to mnie udreżyło; tobie nie służyłam tak a ty mnie kochasz. Bądź więc pozdrowiona co dzień przez aniołów niebieskich i niech ci Bóg da trochę tego szczęścia, które trochę już może w pole szaty swojej trzymał, aby je na moją biedną głowę posypał.

To są życzenia twojej Zosi, choć po Nowym Roku złożone.

Odpisz mi, droga! bo niespokojna o twoje zdrowie, nie mam chwili jednej miłej i tylko mam sny smutne.

Zdrową jestem jak ryba. O Filach myślę często i kocham ich bardzo.

Tvoja najprzysiężniejsza sługa *Zofia.*

71.

Paryż, w kwietniu 1840.

Najdroższa moja Sally! Dawno już nie pisałam do ciebie, bo lękam się, że cię może listy moje nudzą, a ty może długie twojej Zosi milczenie przypisujesz obojętności albo lenistwu. Bóg widzi, że chciałamby cię uczynić uczestniczką każdej myśli mojej i podzielić się z tobą każdym uczuciem, ale teraz stało mi się to trudnem przez długie nasze niewidzenie się i przez odległość miejsca. Ja, która tobie wszystko jestem winna, uważam się zupełnie za twoją własność i go-

towa jestem na wypełnienie wszystkich twoich żądań, ale ty mi nic nie rozkazujesz. Z jednej strony dobroć i łaska twoja są nieograniczone, z drugiej strony rezygnacya twoja i zrzeczenie się jakoby wszelkich praw nad twoją wychowanką, która cię tak kocha, są mi czasami bolesne. Może to odległość miejsca winna jest temu, że mi się czasem w fałszywym świetle nasze względne położenie wydaje, ale jednak ta niemoc wywdzięczenia się tobie jest teraz największą i może jedyną boleścią mego rozsądnego już na inne zdarzenia serca. Lecz bluźnię, bo powinienbym (!) ani myśleć o tym ciężarze, ale wdzięczną być jak najwyższemu opiekunczemu bóstwu, ani się czuć upokorzoną. Pracowałam nad sercem mojem, a jednak widzę, że jeszcze jest takim mętłem, takim ludzkiem i tak wzdrygającym się od obowiązków wdzięczności, nawet kiedy ją dla tak czystej, miłościwej duszy jak twoja, musi uczuć.

Jest tu pan Gaszyński, kuzyn nasz, który ci niegdyś ze Lwowa sprowadzał fortepian; poznałam go i z nim ciągle gadam o tobie. Dobry ten człowieczek, potulny i skromny, jest mi z zapałem przychylny a ciebie ubóstwia; biedak wziął się do malarstwa, ale bez funduszów prawie, jak może, klepie biedę i utrzymuje się z dawania lekcji cudzoziemcom.

Przyszła mi teraz myśl osiedlić się trochę stalej w miasteczku, gdzie panna Kora była mi niegdyś przyjaciółką: potrzebowałam, (!) aby mię coś powstrzymywało od ciągłego włóczenia się po świecie; zrobiłam więc — co? już może myślisz, że twoja Zosia poszła za męża? nie, bynajmniej — kupiła sobie tylko meble i mieszka niby u siebie, a nie w zajezdnym domu; wypadnie z tego nakoniec jakaś oszczędność, a na zawsze większa daleko jest wygoda i przystojność. Do kupienia gratów pomagał mi dobry Gaszyński, z nim razem włóczyliśmy się po magazynach i licytacyach.

Bawiło mię to urządzenie się i wejście we własne gospodarstwo, a Gaszyński notował wszystkie moje

dziecinne uniesienia i będzie ci je kiedyś czytał z książki. I tak, najęłam sobie mieszkańko na szóstym piętrze (niech ci to dowiedzie, że mam dobre piersi i nogi). Na szóstym piętrze więc najęłam ma-lutkie dwie klateczki, ale czyste i porządne, z wido-kiem na cudzy ogród, co jest tu rzeczą prawie cudo-wną, bo mało jest ludzi, którzy z okien mogą widzieć drzewa, zieloność i rozległy horyzont niebieski, a dla mnie to wszystko było nieodbitnie potrzebne, zwłaszcza horyzont niebieski, w który utopiwszy oczy, czuję ja-kiś cichy smutek i dalekie wspomnienia, tak miłe mi teraz, odkąd wszystko, co kocham, jest w przeszłości.

I ty, Sally moja! Ileż razy, gdy w ostatnią błę-kitną widnokregu zapatrzę się linie, zda mi się, że w tej mgłę jest coś twojej istoty i myśli o tobie roz-łanych. Nie dziw się, że dziwnie piszę. Mówiłam ci, że z okien moich widzę drzewa: wiosna je teraz roz-wiją, słońce złoci, ptaszki w nich świergocą. Dziś dzień moich imienin, dziś ludzie z palmami chodzą po ulicach, wszystko mię rozrzewnia, aż mi łzy zalały oczy.

O! moja... Świat ten, do któregoś się niegdyś z taką niecierpliwością wyrwała z twoich ramion, nie dopisał mi, nie zaspokoił. Żadne moje uczucie nie wyrosło — strudzona, chcę wrócić do ciebie i nie mogę...

Przerwałam pisanie tego listu, aby się uspokoić i skończyć weselszemi myślami. Chciałabym ci opi-sać moje apartamenta, abyś ty się choć myślą czasem do mnie przenieść mogła. Otóż wchodzi się do mie-szkania mojego przez maleńką kuchenkę, która mi jest wcale nie potrzebną, albowiem nie mam własnego go-spodarstwa. W tej kuchence stoi machinka drewniana z robinetami, napełniona wodą, i to nazywa się: *un e f o n t a i n e*¹⁾, sprzęt dla tak wysoko mieszkającej ko-niecznie potrzebny. Potem następuje salonik prosto-

¹⁾ Czyt. *lun fontajn*.

kątny, mający sześć kroków długości a pięć szerokości. Na kominku lustro w złotych ramach, przed kominkiem kanapka szafirowem suknem pokryta i para podobnych krzeseł...; używane już, ale jeszcze dobrze wyglądają te sprząciki; stoliczek mały mahoniowy, zielonem su-knem pokryty, na którym piszę; dwa brązowe licha-rze na kominku — i oto całe umeblowanie mojej pierw-szej klatki. W sypialnym pokoju, dwa razy większym od pierwszego, mam paradne łóżko z dywanikiem wscho-dnim pod nogami, z kapą szafirową, komodę, mały *table de nuit*¹⁾ okrągły i parę krzeseł takich jak w pierwszym pokoju. Wszystko to koniecznie było po-trzebne i nic nie ma nadto... Ale wszystko porządne i cieszy mnie, albowiem mieszkanie najwięcej wpływa na mój humor. Płacę za nie dwadzieścia pięć dukatów na rok, co na tutejsze strony jest bardzo małą kwotą. Odźwierny mi służy, to jest: czyści pokoje i ściele łóżko, i dostaje za to 13 złotych na miesiąc. Tak ure-gulowawszy się, jestem cichą i spokojną w mojej kla-teczce ptaszyną, pracuję, rozmyślam; a Gaszyński te-raz namówił mię, żem się wzięła do malarstwa.

Nie uwierzysz, Sally droga, jak mi papier nakle-jony, pędzel w rękę i kolory roztarte przypominały dawne dziecinne lata... ale niestety, nie ten już zapał do malowania, nie to rojenie tęczowe, które dawniej budziło mię rano do pędzla i zajmowało wszystkie myśli. Teraz rozsądek pyta mię co chwila o to, co ja sobie z pędzlem zamyślam i wyrzuca mi nawet, sztydząc niby z dziecinnej chwili czasu użycia. Tak, droga! nie ma jak dnie świeże uczuć i młodości: wszystko wtenczas wydaje się ważnem i dobrem, wszystko szcze-blem do szczęścia przyszłego. Każdy dzień ma swoją radość i nadzieję i chwilę jakąś jaśniejącą między wszystkimi chwilami, której człowiek obudzony czeka; lecz gdy ta świeżość wrażeń przeminie, wszystko mdłe

¹⁾ Czyt. *tabl de nuit* — stolik nocny.

i bez smaku, a człowiek leniwieje nawet w poszukiwaniu szczęścia. Nie opustoszało jednak zupełnie moje serce; przywiązanie jego do ciebie, droga! czyni go ludzkim, a praca umysłowa napenia go co raz nowem ciepłem i ogniem. Obyś ty tylko, Sally, z Zosi twojej miała pociechę, a nie będzie ona Boga obwiniać o skąpe dary życia. Niech Mu będzie chwała, że mi dał zamiłowanie w tem, co nie przemija i co nie jest śmierci podległe. A ty mię, Sally moja, kochaj i ufaj mi i uśmiechaj się, myśląc o mnie. Cóż, że nie jestem szczęśliwą według ludzi, ani bogatą, ani otoczoną tłumem przyjaciół, lecz jakby zapomnianą i na ustroniu siedzącą dziewczyną; wszystko to wyjdzie mi na dobre, bo jest losem moim. Najgorszą część doli mojej ty dźwigasz, ty biedna, sama, bez pociechy żadnej i szczęścia. O, wierz mi, że nieraz jestem w sercu twojem i czuję to, co ty cierpisz samotna. Ty nie uwierzysz, jak mię teraz uczucia zbliżyły do ciebie, ani wiesz, jak cię kocham jedynie.

Kończąc ten list, chciałam ci więcej o sobie napisać szczegółów, ale o czem pisać? odległość miejsca na wszystko rzuca jakąś zimną powłokę. Napiszę ci więc tylko, że za dni kilka będę jadła święcone i w duchu będę się z tobą jajkiem kraszaniem dzieliła, oczekując tych dni festynowych. Przez wspomnienie moich peregrynacji poszczę cały ten tydzień, przekonałam się bowiem, iż ten przepis religijny jest istotnie zdrowiu potrzebny i dopełniony być powinien, a to nie zaszczając go na umartwieniach, ale na zmianie istotnych pokarmów, która krew na wiosnę odmienia i czyści.

Nasz znajomy pan d'Avallon pisuje do mnie z ojczyzny swojej, mieszka teraz na rue Castellane¹⁾ Nr. 11; jeżelibyś chciała, droga, od niego jakich sprawunków, to pisz do niego pod tym adresem. Zeni wrócił dawno do siebie i nie daleko wędrował. Co się też

¹⁾ Czyt. Kasteln.

z Filami dzieje? Będę się starała coprędzej Gaszyńskiego wyprawić stąd, aby ci był sługą i pomocą w interesach. On mię lubi i człowiekiem jest uczciwym. Bądź zdrowa, moja najdroższa. Kochaj mię, bo bez tego nie warto mi żyć na świecie. Twoja Zofia.

Odpisz mi, droga, bo niespokojna jestem o twoje zdrowie a lada sen trwoży na długo. Ściskam cię z całej duszy.

Niedziela Kwietna 1840 r.

72.

21 października 1840.

Najdroższa moja! Siadałam pisać do ciebie po tak długim milczeniu, aby ci donieść, że zdrowa i spokojna, gdy oto otwierają się drzwi i wchodzi człowiek z pakietem, w którym znajduję pamiątkę od ciebie — cudowną — ową to poduszkę włóczkową, której czekałam tak długo; jak piękna, jak cudnie kolorowa, jak pełna nawet natchnienia dla mnie, tego ci wyrazić nie potrafię. Patrę na nią i przemyślam, czy poduszkę z niej zrobić, czy tę kanwę w złote ramy oprawić i powiesić nad łóżkiem mojem? i podobno że ten ostatni projekt uskutecznię. O jakże to miły obraz! Każde oczko było w nim przez ciebie, droga moja, dotknięte, wypatrzone, może czasami łzą skropione. On w moich pokoikach jest prawdziwą tęczą z twego miłośnego słońca i łez twoich; błyszczy i niechaj zawsze błyszczy na de mną. W pokoikach moich, gdzie dotąd same tylko potrzebne są rzeczy, on jest pierwszą fantazją i rzeczą, do której się będę mogła przywiązać, jak do stworzenia żywego. Już teraz z tych dwojga ściskających się osób ułożyłam sobie w myśli jakiś poemat fantastyczny. Serdecznie, serdecznie całuję oczka twoje i ręce za tyle roboty, za tyle pamięci o mnie biednej i tak nad zasługi kochanej.

Przejeżdżając przez wioskę moją, pan Audley¹⁾ mówił mi, że widział ciebie, że widział gdy płakałaś i to mi serce rozdarło. Ale ty wiesz, że gdybym ja mogła porzucić moją kuzynkę ślepą i sparaliżowaną, już byłabym dawno z tobą, jużbym ci służyła z całą miłością biednej sieroty a twojej niegdyś wychowanki. Nieszczęśliwy ten świat, że nie pozwala nam robić, cobyśmy chcieli, ale nas wiąże i kępuje różnemi wymaganiami i obowiązkami. Oby przynajmniej twój brat nie był opuszczony w powszechnem jak słyszę ułaskawieniu, aby już był przy tobie. Co do mnie, zupełnie mi dobrze i spokojnie, bylebym o ciebie spokojną być mogła. Nie troszcz się więc, ilekroć mi starania około mojej sparaliżowanej kuzynki pisać nie pozwolą tak często, jakbym chciała. Cierpię ja na tem sama, bo mi potrzeba czuć, że mię ktoś kocha mocno i bezinteresownie. Dotąd od obcych ludzi mało takiej doznałam miłości: pochodzi to trochę i z mojej winy, a trochę i z tego względu, że staram się, aby mi ludzie nie zarzucić nie mogli, a takie postępowanie, broniąc od nieprzyjaciół, mało także przyjaciół robi, zwłaszcza między temi, którzy nie wiedzą, gdzie prawdziwa szlachetność. Spodziewam się jednak, że mi czyste moje postępowanie kiedyś szacunkiem będzie zapłacone, wtenczas kiedy będę starą i już tylko o szacunek będę dbała. Teraz żyję jak mogę, bazgrzę sobie i czas mi upływa, a tak prędko, że prawdziwie przerażam się jego szybkim znikaniem.

Teraz ulubiona moja pora roku: jesień; patrzę na listki zwiedłe i żółte, ulatujące jak motylki złote pod memi oknami, i myślę o dawnych czasach, kiedy serce moje miała pełniejsze ognia i smutku. Teraz cisza mnie obwiała i żyję w atmosferze dosyć zimnej i rozsądnej. Cóżbym dała, aby pójść z tobą na spacer, gdzieś na wzgórze cmentarzowe i prowadzić ciebie pod rękę i mówić o wszystkiem, co się nam wydarzyło, cze-

¹⁾ Czyt. Odle.

gośmy nie dopięli, co było szaleństwem, co szczęściem, a co marą próżną. Ty musisz czuć, co ja czuję, to jest żal jakiś niewymówiony i tęsknotę, a nawet skargę jakąś cichą i pokorną ku Panu Bogu, że ci nie dał w miarę uczuć i serca twego; pocieszaj się, droga opiekunko moja, tem, że to nie z naszej winy wynikło — i gorzej byłoby, gdybyśmy byli wyczerpali całe uczucie z dusz naszych i gdybyśmy już po nim czuli tęsknotę.

Zbliżają się twoje imieniny... życzę ci szczęścia i jakiejś pociechy. — Wszystko jest w ręku Boga.

Filowie, jeżeli już ten list czytać będą, niech widzą, że ich kocham serdecznie: oni mię widzieli kiedyś i znają i wiedzą, że wszystko, co ja mówię, nie jest czerem słowem, ale prawdą i częścią serca mego; powiem im więc jeszcze, że lepszych i szlachetniejszych ludzi nie spotkałam na ziemi. Bóg im powinien być litośnym.

Żegnaj was wszystkich razem i całuję serdecznie, prosząc, abym zawsze w myśli waszej była przytomną, ilekroć was smutek albo wesele zbierze razem. Ja o was często myślę, a z żalem moim łączy się jakaś dumna pociecha, że w takich sercach, jak wasze, mam miejsce i tyle miłości. Jak znajdziecie cokolwiek czasu, napiszcie mi o sobie, bo mi w wiosce mojej bardzo tęskno i bardzo samotnie, a nie wiem, czy was moje listy nie nudzą i dlatego piszę raz we trzy miesiące.

Adieu, droga Sally, kocham ciebie mocno, mocno, i powtarzam za ciebie tę, którąś mię jeszcze w dzieciństwie nauczyła modlitwę.

Twoja Zofia.

73.

Podhorce, dnia 16 lutego 1844.

Nigdy nie myślał, droga moja, że ty mię kochać przestałaś. Niestety tak kochać, jak ty kochasz, nikt nie umie na świecie; boli mię tylko, że ja ci mojej

miłości niczem dowieść nie mogę, dlatego w słowach moich jest czasem jakaś smutna niespokojność i rozpacz. Gdyby nie to, byłoby mi dosyć dobrze na ziemi, stałem się bowiem spokojniejszy, weselszy prawie, w wielu rzeczach mniej niecierpliwy, to jest rozsądniejszy, słowem, świat mi był nauką nie zbyt gorzką, pełną wspomnień i wrażeń. Nie darmo żyliśmy i tęsknieliśmy; to przeświadczenie powinno i tobie osłodzić czasem marzenia szarych godzin. Nie mówię tego, abym cię chciał pocieszyć: wszak ja byłem przy grobie Racheli w Ramie i wiem, jakie tam było słyhać po nocy płkanie nieuciszone. Lecz pomyśl, droga, gdyby nie tak a inaczej przeszło życie nasze, nie mielibyśmy tyle w przeszłości goryczy, a może mniej na przyszłość u Pana Boga nadziei. Któż wie, czyby nasze serca próżniejsze nie były. Ty wiesz, droga, jakem ja niegdyś nie lubił egzaltacyi próżnej i wielkiem nieszczęściem nieusprawiedliwionej. Lecz teraz nasze myśli smutne być mogą, a że kto nas zobaczy chodzących w ciemności, albo się patrzących na blade oczy księżycy, ten jużby szaleńcem był, gdyby się szydzić odważył. Tak więc najpiękniejszy stan duszy, to jest jej anielskość, stała się nam dozwoloną i zwyczajną, wszak nieprawdaż? A teraz bez egzaltacyi i prosto ci napiszę, że ty zajmujesz pierwsze miejsce w sercu mojem; gdybym umierał, kazałbym spalić i odnieść ci cerce moje, bo jego popiół do nikogo innego nie należy. Zawsze czegoś brakowało tym, którym je oddać chciałem. Najpiękniejszej z córek moich dam imię twoje chrzestne, i to imię długo będzie brzmiało owonione zapachem konwalii, która rośnie na Czerczy; to jedno mogę: dźwięk, głos, echo dać naszemu smutkowi.

Całuję ciebie, droga moja, niech cię smutek tego listu nie smuci, ale uspokoi i wiosnę uczyni miłszą i zieleńszą. Niech przez twoje okno wchodzą kwiatów zapachy a przez drzwi twoje wychodzi na ulicę zapach święconego; niech girlanda szarych żebraków z obwa-

rzankami w ręku odchodzi od progów twoich, mój duch będzie wszędzie i z tobą na zawsze. Chrystus przyrzekł, że do skończenia świata.

Twój J.

Cebulki tulipanowe kwitną wszystkie, lecz ty czy masz ogródek? Może ci mróz ciągle wszystko zwarzył a ty bez bukietów na komodzie, o jeśli tak było...

Ks. Kamila J. Kantaka

książki następujące ukazały się:

**Naród, państwo, jednostka. Poznań
1907.**

**Obowiązki społeczne i narodowe.
Poznań 1908.**

**Kronika Bernardynów bydgoskich.
Poznań 1908.**

**Geschichte der Bromberger Bernhar-
diner. Posen 1909.**

**Mankietnicy i Mankietnictwo. Po-
znań 1910.**

Przygotowują się:

**Kronika Bernardynów poznańskich.
Kościół i państwo.**

**Juliusz Słowacki — synteza kultury
polskiej.**



Portret pani Bécu, matki Juliusza.